

Michael  
**MARSHALL**

**Krew aniołów**

**THRILLER RÓWNIĘ PRZERAŻAJĄCY JAK NAJLEPSZE POWIEŚCI  
KINGA I KOONTZA**





MICHAEL MARSHALL

Michael Marshall uważany jest za nowy wielki talent w gatunku literatury sensacyjnej. Porównuje się go do takich mistrzów jak Thomas Harris (*Milczenie owiec*), Dean Koontz i Robert Ludlum. *Niewidzialni*, *Pierwotny instynkt* i *Krew aniołów* to trzymające w napięciu powieści o globalnym spisku z fabułą skonstruowaną według zysady „nic nie jest tym, czym się wydaje”. Stephen King nazwał je „błyskotliwie napisanymi, pięknie przerażającymi thrillerami”.

Zapierający dech w piersiach finał trylogii o Niewidzialnych, głęboko zakonspirowanej organizacji psychopatów, mordujących bez litości, bez wyraźnego celu i na masową skalę. Jej członkowie wierzą, że ludzkość została zarażona „wirusem cywilizacji” stymulującym cechy społecznie pożądane, a tylko oni są od niego wolni, są pierwotnymi myślącymi, niczym wilki wśród stada owiec.

Psychopatyczny seryjny zabójca zwany Sprawiedliwym ucieka z więzienia. Jego brat bliźniak, były analityk CIA Ward Hopkins, podejrzewa, że w ucieczce pomogli mu Niewidzialni, którzy przygotowują akt terroryzmu na wielką skalę. Po ostatnich starciach z tą organizacją Ward i agentka federalna Nina Baynam zaszyli się w lasach koło Waszyngtonu, starając się wymazać koszmar z pamięci. Na krótko. Fala przerażających zbrodni powraca... Czy Ninie i Wardowi uda się powstrzymać „Dzień Aniołów” – planowaną przez Niewidzialnych apokalipsę?



Michael  
MARSHALL

# Krew aniołów

Z angielskiego przełożył  
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI



Tytuł oryginału: BLOOD OF ANGELS

Copyright © Michael Marshall Smith 2005

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 2009

Redakcja:

Beata Słama

Zdjęcie Michaela Marshalla:

Jerry Bauer

Zdjęcie na okładce:

Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-582-8

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91,

05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24,

02-954 Warszawa

2009. Wydanie I

Druk: OpolGraf S.A., Opole

*Dla Ralpa Vĭcinanzy*

# Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję Williamowi R. Corlissowi, z którego wielotomowego dzieła, *Sourcebook Project*, zaczerpnałem wiele wiedzy i pomysłów, a także Richardowi Pogue Harrisonowi, którego *Dominion of the Dead* pomogło mi sprecyzować niektóre moje pomysły. Wielkie dzięki należą się także Jonny'emu Gellerowi, Stephenowi Jonesowi, Davidowi Smithowi i The Junction Tavern za przeróżne formy pomocy podczas pracy nad książką. Susan Allison i wszyscy w Berkley oraz Jane Johnson także bardzo mi pomogły.

Paula, wiesz, co do ciebie czuję i... witaj, N8.

*Jak szybko czas kryje wszystko w ciemności.  
Ileż rzeczy już ukrył.*

Marek Aureliusz, *Rozmyślenia* VI-59

# Key West

Kiedy przyszli do niego, pracował. Kiedy przyszli, było upalne popołudnie, doskonale do pracy, więc szło mu nieźle i nawet pomyślał, że może jeszcze godzinka, nie więcej, i skończy, przedłuży sobie wolny wieczór. W dokach aż roilo się od turystów wszystkich kształtów i rozmiarów. Włączyli się tu i tam niczym ławica różnokolorowych rybek, niemających nic szczególnego do roboty i żadnego celu przed sobą. Więc jedli. Wszyscy jedli. Przeżuwali. Łykali cokolwiek mieli im do zaoferowania właściciele kawiarni, barów i wózków Key West: od hamburgerów i burrito po lody i pokryte cukrem *churro*, gorące, prosto z oleju. Ci, którzy mieli wolną rękę, także pili: koktajle mleczne, mrożoną herbatę wszelkich smaków i rodzajów oraz napoje gazowane i niegazowane w kubkach tak wielkich, że niewielkie dziecko mogłoby w nich pływać. Dopiero minęła trzecia; ci ludzie nie cieszyli się ani późnym lunchem, ani wczesnym obiadem. Jim był pewien, że zjedli co trzeba w południe i nie wątpił, że wrócą do stołów o siódmej, i do linguine, i grillowanej ryby miecza, i wymyślniejszych hamburgerów, popijając to schłodzonym białym chardonnay. Teraz tylko cieszyli się smakołykami jak wielka, lecz w gruncie rzeczy niegroźna szarańcza, jak szczęśliwe krowy na bezkresnym, niezbyt drogim pastwisku. Ich poświęcenie było wręcz uderzające. Gdyby chciało ci się uruchomić wyobraźnię, jej oko powiedziałoby ci z pewnością, że te ciała to tylko źródło transportu dla



oszałego z ruchliwości systemu trawiennego, ukoronowanego poruszającymi się miarowo szczękami. Nie sposób było zastanowić się choćby przez chwilę, co by się stało, gdyby nagle wyczerpały się zapasy żywności, i nie podejrzewać, że głowy, rządzące pracowitymi gębami, obróciłyby się powoli, oszaczowały istoty poruszające się w najbliższym sąsiedztwie i uznały, że oto jest następne danie.

W każdym razie Jim skłaniał się do tego punktu widzenia. Próbował się nie skłaniać, ale takie myśli uparcie wracały. Opierał się o ogrodzenie po północnej stronie Mallory Square, na którą składał się taras i promenada, łączące z morzem hotele i restauracje tej części wyspy. Statki turystyczne cumowały tu na noc — potężne, wielopiętrowe konstrukcje, przy których hotele wydawały się krasnoludkami. Rzygały kolejnymi stadami głodomorów uzbrojonych w karty kredytowe. Znad płytkich wód, rozciągających się za jego plecami, powiała bardzo słaba, lecz miło witana bryza. W prawej, swobodnie opuszczonej ręce, Jim trzymał aparat fotograficzny, w przewieszanej przez prawe ramię torbie nosił filmy do polaroida i płaskie pudełko kartonowych opakowań na zdjęcia, które sam wydrukował.

Jim Westlake robił zdjęcia turystom. Od wielu, wielu lat. Powinien mieć licencję, owszem, ale jakoś nigdy o nią nie wystąpił i nie wyglądało na to, żeby miał mieć z tego powodu jakiegokolwiek problemy. Nie narzucał się siedzącym przy stolikach turystom, nie łąził po ulicach tam i sam, nie krzyczał, nie wyskakiwał przed spacerujące pary z przyklejonym do warg sztucznym uśmiechem. Nigdy nie był komiwojażerem i nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby wpędzić w kłopoty kogoś innego. Ot, po prostu sześćdziesięcioletni mężczyzna o nieco obwisłych ze starości policzkach, poza tym jednak nadal wysoki i barczysty. Miał na sobie jasnoniebieskie spodnie i białą koszulkę z krótkimi rękawami, której nie znosił, ale przynajmniej wyglądał w niej przyzwoicie. Siwe włosy szczytywał do tyłu, nosił też ciemne okulary, chroniące oczy przed słońcem odbijającym się od wszechobecnych tu białych powierzchni. Godziny pracy spędzał albo krążąc wokół Mallory, albo spacerując po Duval Street, i kiedy dojrzał ludzi, którzy wydawali mu się odpowiedni, spokojnie podchodził i proponował zdjęcie. Wielu

z nich stanowczo kręciło głowami, nie chcąc niezaplanowanych i zapewne niepotrzebnych wydatków, niektórzy szli dalej, jakby nie zauważali jego obecności. Ale nie brakowało i takich, którzy zatrzymywali się, zastanawiali przez chwilę, by wreszcie dojść do wniosku: „A co, u diabła! Przecież jesteśmy na wakacjach!”. Ci ludzie obejrzeni już dom Hemingwaya, wyszli na najbardziej wysunięty na południe cypel i popłynęli na rafę łodziami z przezroczystym dnem. W ogóle miło tu było, a od tego są przecież fotografowie: ich zdjęcia to dowód dla nas, naszych przyjaciół i znajomych, że świetnie się bawiliśmy, że nawet się opaliliśmy, że choć na chwilę zapomnieliśmy o codziennej wojnie z niezwyrodnym czasem.

Wielu turystów nosiło na szyjach własne aparaty, niektóre może nawet cyfrowe, i Jim doskonale rozumiał, że dni jego profesji są policzone. Zdjęcia nie były już rzadkością, nikogo nie dziwiło, że pojawiają się natychmiast. Tylko że ci, którzy przychodzili do niego, nie musieli prosić obcych ludzi o wciśnięcie spustu migawki, a poza tym dzieci zawsze chętnie się do niego uśmiechały. Wręczał fotografię w kartonowej oprawie z napisem od frontu „JAKŻE MIŁY JEST ODPOCZYNEK NA KEY WEST”. Karton był ciężki, napis uroczyście klasyczny, wspaniała prezent dla mamy, zdobyły bez wysiłku i tanio. Klienci widzieli także, że fotograf się stara; jeśli nie był zadowolony z pierwszego ujęcia wykonywał drugie, bez dodatkowych kosztów. Robił to z wdziękiem... nieudane zdjęcie wkładał po prostu do torby. Nie pozwalał go nawet obejrzeć. Kto by chciał wiedzieć, jak źle wygląda? Piętnaście dolców. Nie było to tanio, ale zarabiał więcej, niż gdyby robił zdjęcia za pięć. Pięć to tylko tyle, że ktoś cię fotografuje. Piętnaście... o, to już prawdziwa pamiętka.

W tym zawodzie nie miał się nigdy wzbogacić, ale Jim wcale nie marzył o bogactwie. Liczby nic już go nie obchodziły. Żył sobie spokojnie, w porządku, a „w porządku” to z definicji „jak trzeba”. Uwierzył nawet, że w ten sposób dożyje spokojnej śmierci, ale kiedy zobaczył tych dwóch na promenadzie, idących spokojnie — żaden z nich nic nie jadł! — coś podpowiedziało mu, że zmierzają w jego kierunku.

Jeden mógł mieć czterdziestkę, może rok lub dwa mniej, drugi zapewne niedawno obchodził dwudzieste urodziny. Obaj byli szczupli i niewątpliwie sprawni. Młodszy miał na sobie czarny podkoszulek i wojskowe spodnie khaki, emanował też poczuciem pewności siebie, jakby całemu światu oznajmiał na wstępie, że jest siłą, z którą świat musi się liczyć. Drugi włożył czarny garnitur i białą koszulę. Wydawało się, że nic mu on nie przeszkadza nawet w tym upale i że ma w nosie, czy ludzie traktują go poważnie, czy nie.

Ten młodszy podszedł pierwszy. Jim uśmiechnął się, podniósł aparat.

— Zdjęcie na pamiątkę? — spytał. Wystarczająco długo mieszkał na Florydzie, by przestały go dziwić pary tej samej płci.

Facet nie odpowiedział, po prostu przyjrzał mu się dokładnie od góry do dołu. Był prawie piętnaście centymetrów niższy od niego. Wyglądało to trochę tak, jakby go oceniał, ale trudno powiedzieć, czemu ta ocena miałyby służyć.

Wreszcie młody przemówił:

— Ty jesteś James Kyle?

Było coś dziwnego w jego głosie i Jim z żalem pokręcił głową.

— Przykro mi, ale źle trafiłeś, synu. Nazywam się Westlake. Facet skinął głową. Nie poruszył się.

Jim zagrał zakłopotanego.

— Chodzi wam o licencję? Zdawało mi się, że teraz to nie jest jakiś wielki problem. — Skinął głową, wskazując grupkę portrecistów, skupionych przy wylocie Duval, obiecujących mężczyznom, że każdego zrobią na Brada Pitta, a każdą kobietę na Dolly Parton. — Przecież mnóstwo ludzi po prostu tu pracuje. Ryzykuje, szuka szansy. Lecz jeśli, rozumiecie, coś trzeba załatwić, to oczywiście będę szczęśliwy, mogąc...

Zamilkł. Teraz przyszła pora na nich. Czekał, czekał, lecz chłopak milczał z kamienną twarzą. Pod prawym policzkiem miał starą bliznę długości ponad trzech centymetrów. Jim zastanowił się przelotnie, skąd się tam wzięła, i uznał, że warto wyciągnąć rękę na zgodę.

— Słuchaj, synu... czego ty właściwie chcesz?

Młody obrócił głowę.

— Aż trudno uwierzyć, że to ten gość — powiedział.

Jim zorientował się, że mówi do swojego towarzysza, który nagle pojawił się przy jego boku. Przestraszyło go to trochę; dziwne, że ktoś może pojawić się nagle tak blisko niego... a on tego nie zauważa. Poczul się przez to stary.

— To on — potwierdził ten starszy. — Pamiętasz mnie, James?

Jim włączył swój słodki uśmiech i tak, oczywiście, że go pamiętał. Wiele lat minęło, mężczyzna się postarzał... ale tylko na pozór. Oczy nadal miał bystre, niby zwyczajne, normalne, ale jeśli w nie spojrzalesz, widziałeś, że pozbawione są zwykłego oczom ciepła, uczucia, nawet życia. W swoim czasie Jim był zimny, nikt nie mógł w to wątpić, ale ten człowiek wyglądał, jakby nigdy się nie zmienił, jakby z łona matki wyszedł na świat cichy, spokojny, od narodzin pełen przewrotnych, złych myśli. Jim nie znał jego imienia, ale wiedział, kim ten człowiek jest. Miał nadzieję... z biegiem czasu nabrał nawet pewności... że nigdy go nie zobaczy.

To był ten Przewidujący.

— Pamiętam. Czego chcesz?

— Mam dla ciebie robotę.

— Nie potrzebuję roboty. Mam zajęcie.

— Zawarliśmy układ, James.

— Bardzo dawno temu. Robiłem, co chciałeś, potem przestałeś chcieć. Uznałem, że to koniec.

— Nie. Wiedziałeś, że może to wyglądać właśnie w ten sposób.

— Powiedzmy, że postanowię o tym wszystkim zapomnieć. Że po prostu odwrócę się i odejdę.

— Przed zmierzchem wylądujesz w więzieniu. Jeśli dożyjesz zmierzchu.

Jim spojrział przed siebie, na doki. Patrzył na unoszące się w powietrzu mewy. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej jedna z łodzi z przezroczystym dnem mozolnie wpływała do portu, promienie słońca odbijały się od okien kabiny. Ludzie tłoczyli się, żeby wejść na pokład, ludzie tłoczyli się, żeby zejść z pokładu. Większość lizała lody. Niby wszystko wyglądało jak zawsze, ale

jednak inaczej. Pot spłynął mu po kręgosłupie, jednak nie tak zimny jak całe jego ciało.

Kiedy odwrócił wzrok, młodszy z mężczyzn nadal mierzył go nieruchomym spojrzeniem zimnych niebieskich oczu. Coś działo się z jego ustami. Drżały w kącikach, jakby próbował powstrzymać uśmiech.

— Czego chcecie? — spytał, już nie tak ożywiony, jak jeszcze przed chwilą.

Starszy wyciągnął z kieszeni i wręczył mu wypchaną kopertę. Jim nie miał wyboru, musiał ją przyjąć.

— Pozycję masz zająć za trzy dni — powiedział. — Tam dostaniesz bardzo szczegółowe instrukcje.

Jim schował kopertę do torby.

— Dlaczego ja?

— Ponieważ jesteś nam coś winien, a ja ci ufam i wiem, że potrafisz wykonać zadanie. Nie martw się. Będziesz zachwycony.

— Nie robię już takich rzeczy.

Mężczyzna spojrział na niego jak na głupka. Cofnął się o krok. Misja skończona, sprawa załatwiona. Pora zająć się następnym zadaniem, jakiegokolwiek ono będzie. Młody pozostał tam, gdzie stał. I ciągle walczył z próbującym się ujawnić uśmiechem.

Nim ktokolwiek zorientował się, o co chodzi, Jim przycisnął lewą dłoń do kręgosłupa lędźwiowego gówniarza. Gestem zbyt nieznacznym, by zauważyli go przechodnie, nawet gdyby nie ustawił się tak, by ciałem osłonić się przed ich wzrokiem, prawą pięścią wymierzył cios w jego żołądek, niemal w dołek, niechroniony napiętymi mięśniami brzucha. Cios miał siłę tarana odpalonego ładunkiem wybuchowym. W istocie było to jak zgniecenie nerki między dwiema cegłami.

Wyraz twarzy młodego wart był wszystkich pieniędzy świata.

— Spokojnie — wyszeptał mu do ucha. — Jeśli jesteś taki twardy, jak ci się wydaje, to sobie z tym poradzisz. Nie będzie tak źle.

Poklepał go po ramieniu. Cofnął się, niespiesznie, poza zasięg jego ciosu. Z przyjemnością patrzył na białą jak papier twarz chłopaka, na ścięgnię szyi napięte jak okrętowe liny. Drżały już nie tylko kąciki jego ust. Zdołał wreszcie odetchnąć... z wysiłkiem trupa bardzo pragnącego powrócić do życia.

Jim spojrział na tego starszego. Spokojnego, pewnego siebie, jakby lekko rozbawionego.

— Zrobię, co zechcesz — powiedział. — I to będzie koniec. Odwrócił się i odszedł.

Do domu miał czterdzieści minut spacerkiem na północ. Mieszkał w kiepskiej dzielnicy, na małej wysepce, której nie zauważał nikt zmierzający na Key West lub wracający. Jego domek był mały, pozbawiony nie tylko basenu, ale nawet jakiegось szczególnie interesującego widoku, choć było na ganku takie bardzo niewielkie miejsce, z którego czasami dawało się dostrzec ocean. Przez drzewa. Tylko w niektórych porach roku.

Usiadł na krześle ustawionym dokładnie w tym miejscu. Popijał mrożoną herbatę z listkami mięty, nie patrząc na nic i niczego nie widząc. Jego sąsiadka, Carol, wróciła do domu z dwójką dzieci, jak zwykle wywołując niezłe zamieszanie. Pomachała mu z odległości niespełna piętnastu metrów dzielących ich podwórka. Nie doczekała się odpowiedzi, co bardzo ją zaskoczyło. Pan Westlake nigdy nie był człowiekiem szczególnie towarzyskim, ale zawsze zachowywał się nienagannie uprzejmie, zawsze uśmiechał się do jej małych aniołków. I zrobił im najśliczniejsze zdjęcie pod słońcem, tak cudowne, że postawiła je w sypialni na stoliku po swojej stronie łóżka. Pewnie dostał złą wiadomość, pomyślała, nie jest w końcu najmłodszy, a w rękę trzyma kopertę. Postanowiła, że odwiedzi go później, pod byle pretekstem, no a potem Amy i Britney zaczęły się kłócić bez żadnego wyraźnego powodu, więc skupiła się na doprowadzeniu ich do domu, gdzie czekał na nie rozśpiewany i roztańczony komik (telewizja, błogosławione pudło pełne szczęścia, niezmordowany pomocnik matek). Telewizja zdjęłaby z jej barków problem opieki nad dziećmi, pozwoliła ochłonąć i skoncentrować się na innym podstawowym problemie, szczególnie aktualnym o tej porze dnia, przy takiej pogodzie: jak maksymalnie opóźnić ten pierwszy najważniejszy kieliszek wina.

Zamykające się za szczęśliwą rodziną siatkowe drzwi trzasnęły głośno i Jim ocknął się z zamyślenia. Spojrział na kopertę,

nie zamierzając zresztą jeszcze raz przeglądać jej zawartości. W kopercie był telefon komórkowy, zapisana na kawałku papieru nazwa miasta i dwie linijki instrukcji.

Jakąś częścią umysłu już zaczął podróż, wbrew woli i najlepszych chęciom. Nienawidził człowieka, który mu ją zlecił. Za to, że wiedział... wiedział!... że on nie wyrzuci koperty, nie spróbuje uciec. Jeśli ktoś zna cię lepiej niż ty sam, to kim właściwie jesteś, człowieku? Spojrzał na ocean widoczny pomiędzy koronami drzew, ten piękny widok w niczym mu jednak nie pomógł. Przecież naprawdę uwierzył, że to wszystko może się skończyć, że dziesięć lat przyszłości w jakiś sposób likwiduje przeszłość, sprowadza ją do zera.

Uwierzył w to? Jeśli tak, był głupcem.

Dopił herbatę i wszedł do domu. Umył szklankę i postawił ją na suszarce przy zlewie. Chlubił się posiadaniem dokładnie jednej szklanki, jednego zestawu sztućców, jednego głębokiego talerza do zupy i jednego płytkiego. I zawsze mu to wystarczało. Dom był umeblowany i urządzony tak, by na pierwszy rzut oka nikt nie uznał go za przesadnie surowy. Kiedy przyjechał na Key, liczył się przede wszystkim z tym, że będzie musiał szybko się stąd wynosić. Ale w ciągu kolejnych ośmiu lat uspokoił się, jego życie się unormowało, a on, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdził, że to po prostu lubi.

Po co mieć dwa, jeśli wystarczy jedno?

Po co mieć jedno, jeśli nie potrzebujesz żadnego?

Wszedł na piętro, do sypialni. Niewielka walizka czekała już na niego spakowana. Ubrania i aparat fotograficzny były tam, gdzie powinny być. Na wypełnienie czekała powierzchnia mniej więcej dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Podszedł do pustego kredensu i przykucnął przed nim. Kolana natychmiast poinformowały go, co o tym sądzą, ale wykonały swoje zadanie. Dupek w mundurowych spodniach zrozumiałby, w czym rzecz. Ciało Jima niechętnie poddawało się skazanej na klęskę bitwie z czasem.

Podniósł wykładzinę pod kredensem leżącą na deskach parkietu. Jedna z nich dawała się poruszyć. Nie była to najlepsza kryjówka na świecie, jednak gdyby miał się martwić tym, że ktoś będzie czegoś u niego szukał, to niczego by tam nie ukrył.

Wyjął z niej pudełko od butów. Włożył deskę na miejsce i zakrył ją wykładziną.

Pudełko umieścił w walizce, w przygotowanym miejscu. Zamknął ją i wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie. Chciał to zrobić, ale nie mógł sobie pozwolić na taki gest. James Kyle nie powinien oglądać miejsca należącego do Jima Westlake'a.

Zszedł na parter. Przed opuszczeniem domu upewnił się że wszystkie okna i tylne drzwi są zamknięte. Podeszedł do czystego białego samochodu i włożył walizkę do bagażnika.

Siedział przez chwilę za kierownicą, przyglądając się swojemu małemu domkowi. Być może mógłby zostawić tu Jima czekającego spokojnie gdzieś tam, w środku. Być może mógłby zrobić to jako James, wrócić po wszystkim, żyć jak dotąd. Być może to dzisiejsze popołudnie zdarzyło się tylko dlatego, że coś jednak pozostało, ten drobiazg, ten fragment Jamesa, którego powinien pozbyć się dawno temu. Mały, poobijany, metalowy rondel. Nie wyglądał najlepiej, jednak...

Jeśli chcesz być nikim, nie możesz mieć niczego. To oczywiste. Zdał sobie z tego sprawę bardzo dawno temu. A jednak... zachował go. I jakoś nie potrafił wyrzucić.

To dlatego Jim stał się tak dobrym fotografem.

Znał znaczenie pamiątek.

W końcu przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszył, widząc, że jego sąsiadka wygląda przez kuchenne okno. Pozdrowił ją tradycyjnie, uniesioną ręką.

Carol uśmiechnęła się i pomachała mu w odpowiedzi zadowolona, że staruszek odzyskał formę. Nie zdawała sobie sprawy, że patrzy nie na swego sąsiada Jima Westlake'a, lecz na kompletnie jej nieznanego Jamesa Kyle'a, gotowego przemierzyć drogę z przeszłości do teraźniejszości, jadącego z naszego świata wprost do piekła



Część I

Nikt

*Istnieje wspólnota martwych i nienarodzonych.  
My, żyjący, jesteśmy tylko jej łącznikami.*

Richard Pogue Harrison, *The Dominion of the Dead*

## Rozdział pierwszy

Nazywam się Ward Hopkins i część z tego, co opisuję, przydarzyła się mnie. Byłem na miejscu, patrzyłem, co się dzieje, zdarzenia przelatwały mi przed oczami niczym stada ptaków spłoszonych, chaotycznie wzbijających się w niebo. Gdybym postąpił inaczej, pewnie wszystko wyglądałoby inaczej. Lepiej, gorzej... nie wiem. Postanowiłem wierzyć w wolną wolę, w każdym razie wierzę, że dokonałem takiego wyboru, lecz także w to, że obszar naszych działań jest ograniczony, że mamy swoje z góry przydzielone nisze w chaosie niekończącej się przez całe życie każdego z nas walki, że niewidzialne siły manifestują się na ścieżce, którą zmierzamy ku śmierci. Wszyscy nią idziemy, wszyscy się kryjemy, wszyscy leżymy ciemną nocą z otwartymi oczami, niespokojni, niepewni, zagubieni, maleńcy, przykryci cieniem naszego własnego życia.

Czas jest jak jezioro, głębsze z roku na rok, z kropli na kropkę. Napięcie powierzchniowe, nasze drobne elektryzujące kroczonek sprawiają, że idziemy po nim niczym robaczki, nieświadomi rozciągającej się pod nami głębi. Jesteśmy bezpieczni, dopóki unosimy się w teraźniejszości... dopóki nie zatrzymamy się i nie zaczniemy tonąć w przeszłości. Dopiero wtedy zaczynamy zdawać sobie sprawę z wagi wczorajszych dni, dni wystawiających każde dzisiejsze zdarzenie na jasne promienie słońca; iluż ludzi pozostawiamy po sobie, zatrzymanych w czasie niczym owady zatopione w bursztynie? Tymczasem sądzimy, że obrona przez nas droga po powierzchni ma

znaczenie. Zapamiętujemy wzór naszych ruchów, przyglądamy się uważnie tym, którzy są blisko nas, z rzadka tylko podnosimy wzrok ponad horyzont, z rzadka pochylamy się, by zbadać ścieżkę. Lecz drzewa ocieniające brzegi czasami zrzucają liście na powierzchnię wody, tworzą kręgi; doświadczamy ich, lecz nie rozumiemy. A czasem pada także deszcz, deszcz z przyszłości. Bywa, że jest on bardzo obfity.

Czas mija, rzeczywiście mija. Zdarza się jednak, choć jakże rzadko, że coś sięga głęboko pod powierzchnię jeziora, coś z dalekiej przeszłości, a jednak żywe. Wywołuje wysoką, spienioną falę, zimny prąd działający na wszystko, co żyje na powierzchni, a dzięki niemu niektórych z nas coś do siebie przyciąga, innych zaś odpycha. Większość płynie z prądem, niektórzy toną, niewielu zaś ma świadomość tego, że w ogóle coś się zdarzyło. Stworzeń zasiedlających głębię nie wyczuwamy, chyba wyjątkowo, tkwią przecież w tajemnej przeszłości.

Bywa jednak, że nie tylko przewracają się we śnie z boku na bok, ale wyrwywają się na powierzchnię i nad powierzchnię. Budzą nas nocą niczym gwizd szalonego pociągu, pociągu pędzącego wśród ciemnych wzgórz ku temu, czego nie sposób dojrzeć i zrozumieć... choć, być może, cały świat odczuje skutki katastrofy, gdy dotrze do owego celu.

Część z tego, co się zdarzyło, zdarzyło się mnie. Część, nie wszystko.

Opowiem wam, co wiemy.

Pierwszy e-mail pojawił się w skrzynce kilka dni przed końcem lata. Nina i ja spędzaliśmy popołudnie w Sheffer, najbliższym miejscu, gdzie można było zrobić zakupy. Maleńkie miasteczko w Górach Kaskadowych, w stanie Waszyngton, to w zasadzie rząd drewnianych budynków przy odcinku szosy oraz pięć poprzecznych uliczek, rodzących się w jodłowym lesie i w jodłowym lesie ginących, bez fanfar ale też bez żalu. Jest tu sklep, kawiarnia, w której można nieźle zjeść, a także kupić używane książki, płyty kompaktowe i różne dziwne rzeczy bez żadnej materialnej wartości. Jest apteka, jest sklep z towarami

mieszanymi sprzedający także alkohol oraz zakład fryzjerski, w którym kobiety cheszą się w stylu obowiązującym za prezydentury Jimmiego Cartera. Jest kilka przyzwoitych pensjonatów, trzy bary i motel tuż przy nich, co odpowiada klientom, którzy albo tracą poczucie czasu, albo wypiją za dużo, by prowadzić — nam, bywało, przytrafiało się i jedno, i drugie. Jest tu małe muzeum kolejnictwa, posterunek policji, którym rządzi bardzo przyzwoity glina, i to chyba wszystko. Krótko mówiąc, przyzwoita wiocha zamieszкана — w większości — przez przyzwoitych ludzi, ale w gruncie rzeczy niewiele więcej niż szersze miejsce na drodze.

Nasze tymczasowe lokum było jeszcze mniejsze: chata z bali będąca niegdyś jednym z elementów staroświeckiego kempingu na wybrzeżu Oregonu. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych starsze małżeństwo kupiło trzy takie chaty, rozebrało je, przewiozło ciężarówkami i złożyło na szesnastohektarowej działce leśnej odległej od Sheffer o trzydzieści minut jazdy. Mąż zmarł wkrótce potem, ale Patrice cieszyła się doskonałym zdrowiem. Pod wieloma względami przypominała mi matkę. Gdyby Beth Hopkins żyła i mogła się z nią spotkać, wynik walki byłby bardzo trudny do przewidzenia. Oddała nam jedną z chat do użytku po tym, jak uratowaliśmy ją w głębi lasu, w dość szczególnych okolicznościach. Przemyśleliśmy sobie jej szczerą ofertę, załatwiliśmy kilka spraw i ją przyjęliśmy.

Działka Patrice graniczyła z parkiem narodowym. Miała też swoje spore jezioro. Kiedy w jesienne popołudnie patrzyło się na nie i dalej, można było uwierzyć, że ludzkość nigdy nie istniała... i nie oplakiwało się bynajmniej tej straty. Nasza chata stała najdalej, przeszło pół kilometra od drogi. Miała salonik z kominkiem, wnękę kuchenną, łazienkę i sypialnię. Dla nas była nawet za wielka. Moje życie skoncentrowało się do tego stopnia, że przypadające na mnie ziemskie dobra mieściły się w bagażniku niewielkiego samochodu. I taki też mieliśmy. Należał do kobiety, którą dawno temu przedstawiono mi jako agentkę specjalną Baynam.

Ninę Baynam.

W tej chwili Nina siedziała na ganku chaty. Było chłodno ale nie nieznośnie chłodno; w powietrzu czuło się zimę i to, że

nie była jeszcze gotowa nadejść. Nina miała oglądać zachód słońca ale wiedziałem, że go nie ogląda. To, że kierujesz głowę we właściwą stronę o niczym jeszcze nie świadczy, prawda? Podejrzewam, że słońce było jej wdzięczne za chwilę spokoju. Przenikliwy wzrok tej dziewczyny śledzący cię, gdy z wdziękiem zapadasz za horyzont... nie, tego nie zniosłoby żadne ciało niebieskie.

Tymczasem ja pracowałem. We wnęce kuchennej przygotowywałem sałatkę, poświęcając temu zadaniu więcej wysiłku i czasu niż rzeczywiście wymagało. Niemal przez cały dzień Nina była spokojna, mniej więcej tak spokojna jak glaz, który dla odpoczynku powstrzymał upadek w połowie zbrocza. Spytałem, czy wszystko w porządku, i otrzymałem potwierdzenie, nieprzekonujące, ale też niepodlegające negocjacom. Nie mam pojęcia, dlaczego kobiety tak postępują, ale nic nie można na to poradzić, przynajmniej nim dojdą do siebie i zdecydują się na rozmowę. Wiedziałem, że czeka nas wkrótce poważna rozmowa, już od tygodnia działo się coś dziwnego... ale nie zamierzałem niczego przyspieszać. Z tego powodu przygotowanie sałaty nabierało barokowych wręcz proporcji. Kulinarna estetyka dawno poszła w zapomnienie, coraz bardziej wyglądało na to, że ktoś postanowił zaoszczędzić miejsce na barze i wszystkie sałatki wrzucił do jednej miski. Posunąłem się do tego, że upiekłem francuską fasolę w piecyku i teraz czekałem, aż schłodzi się w zlewie, w naczyniu z lodowato zimną wodą.

Miałem sporo czasu do zabicia, więc poszedłem do salonu i włączyłem laptopa Niny. Miałem własnego, ale tak naprawdę wcale nie był mój. Leżał ukryty wśród izolacji dachu chaty. Ściągnięte z niego dane zostały skopiowane, zaszyfrowane i umieszczone na serwerze daleko, daleko stąd. Pliki z laptopa były jednak najwcześniejszą posiadaną przeze mnie wersją i o nich pamiętałem przede wszystkim. Dziwne, że ludzki umysł nadaje status i szereguje nawet elektroniczne dane, elektrony, które zawsze mogą być wszędzie naraz, czyli nigdzie. Podejrzewałem, iż wierzymy, że wszystko musi mieć swój początek, bo jakżeby inaczej mogłoby się skończyć?

Listy ściągałem najwyżej raz na kilka tygodni. Nie były dla

mnie formą kontaktu z zewnętrznym światem. Jedyne pisujący do mnie regularnie człowiek nie żył. To jego laptopa ukryłem w dachu. Dziś otrzymywałem tylko oferty przedłużenia lub utwardzenia penisa, zdobycia wszelkich możliwych tytułów akademickich lub obejrzenia filmu jakiejś kolejnej gwiazdeczki świętującej swoje pięć minut podejrzanie dobrze oświetlonym, podejrzanie domowym filmem. Ogólność, wręcz hasłowość zaproszeń jak ze sztancy, ich całkowite nieprawdopodobieństwo sprawiały, że nie mogły równać się znaczeniem z niczym niezmaconą ciszą. Może na to miałem właśnie nadzieję? Na ciszę, na spokój, na biały szum, a przez to coś w rodzaju pewności, że to, co nazywamy życiem, potrwa jeszcze jakiś czas.

Kiedy więc dostrzegłem, że mam wiadomość, jedną, skierowaną tylko do mnie, znieruchomiałem.

W polu „temat” widniały dwa słowa: „WARD HOPKINS?”.

Nie rozpoznałem adresu nadawcy. E-mail wysłany był z Hotmaila, ulubionej kryjówki spamerów, ale przecież nie tylko spamerzy z niego korzystali. Przyszedł na adres, który miałem od wielu lat, ale nie korzystałem z niego od dwóch lub trzech. Nie wyglądało mi na to, by wysłany nań list mógł mieć coś wspólnego z moim obecnym życiem.

Otworzyłem go. Przeczytałem.

„MUSZĘ Z TOBĄ POROZMAWIAĆ”.

Nie, nie musisz, pomyślałem. Żegnaj.

Przenosiłem e-maila do kosza, ale coś sprawiło, że się zawahałem. Może powinienem przynajmniej zapisać adres nadawcy? Skasowanie nie równa się zanegowaniu. Nauczyło mnie tego doświadczenie.

Skrzypnęły deski. Odwróciłem się i tak, w drzwiach pojawiła się Nina w czarnych dżinsach i grubej brązowej kurtce, którą przed kilkoma miesiącami kupiłem jej w Yakimie. Wyglądała świetnie... i tak, jakby miała coś komuś za złe. Natychmiast zamknąłem laptopa i wróciłem do kuchni.

— Ward, dłużej nie zniosę zachodu słońca. Obejrzałam go tyle, ile mogłam. Chętnie bym coś zjadła.

— Jasna sprawa. — Wyjąłem fasolę z wody, otrząsałem i ułożyłem artystycznie na szczycie tego, co już zdążyłem

umieścić w misce. Nina przyglądała się temu w milczeniu i z autentycznym zdumieniem.

— *Voilà!* — powiedziałem. — Oto sałata wieńcząca wszystkie sałaty.

— Nie żartujesz. Brakuje tylko sosnowych szyszek. I pary wiewiórek dla dopełnienia obrazu. Jeśli chcesz, zaraz załatwię ci kilka do wyboru. A może wolałbyś całe drzewo? Powiedz tylko słowo, maestro.

— Przestań, przestań! — uniosłem ręce w geście poddania. — Nie oczekuję podziękowań! Wyraz radości na twojej twarzy wystarczy mi za wszystko.

Nina się uśmiechnęła. Nieznacznie.

— Dureń z ciebie — powiedziała.

— Może? Ale jestem twoim durniem. Daj spokój, spróbuj. Prawdę mówiąc, nie masz wyboru. Nic nie zostało. Zużyłem wszystko.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się trochę serdeczniej. Nałożyła sobie sałatkę na talerz, jedną porcję, a potem, po chwili wahania, drugą. Okazywała dobrą wolę. Pocałowała mnie w policzek, wyniosła talerz i butelkę wina na ganek.

Poszedłem za Niną. Rozmowa minus pół godziny, odliczanie trwa.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

Jedliśmy w milczeniu. Trochę to trwało. W powietrzu, ciętym i ciepłym, wyczuwało się jednak chłód nadciągający z wyższych partii gór. Nie był to wieczór odpowiedni do jedzenia sałatki. Po kilku minutach Nina położyła widelec w pozycji „wystarczy”. Jej talerz był nadal więcej niż w połowie pełny.

— Przepraszam — powiedziała, zauważywszy, że na nią patrzę. — Napracowałeś się przecież...

— Przesadnie, doprawdy przesadnie. Zmarnowany wysiłek. Podąłem ci Sałatkę Wstydu. Powinienem przywieźć ci wielkie pudło kurzych udek od Izzy'ego.

— Może i tak?

— Ależ z pewnością! W tych sprawach możesz mieć do mnie pełne zaufanie. Posiadam mądrość szybkiego żarcia. To

dar. Każdego dnia potrafię przewidzieć, jakie danie będzie najbardziej pożądane i to nie tylko przeze mnie, lecz przez całe plemię. W dawnych czasach zostałem wyspecjalizowanym szamanem. Wróżyłem z kości, czytał znaki na niebie i ziemi, i uroczyście wyrokowałem: „Hej, chłopaki, za parę godzin nabierzecie ochoty na tacos, więc skoro już wybieracie się na polowanie, ubijcie mi mamuta”. I nigdy bym się nie pomylił.

Nina przyglądała mi się z zaciekawieniem.

— Ciągłe gadasz? — spytała, kiedy umilkłem, by zaczerpnąć oddechu.

— Ja? Skąd. To pewnie szum wiatru.

Jezioro włożyło strój wieczorowy: było czarne, szkliste. Przyglądała mu się przez długą chwilę. W końcu przemówiła:

— Co zrobimy, Ward?

No, wreszcie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że próbowałem odwlec nie rozmowę, tylko pytanie. Jedno pytanie. To pytanie.

Zapaliłem papierosa.

— A co ty chcesz robić?

— Sam aż za dobrze wiesz, że to nie tak. Chodzi o to, że... no... nie możemy przecież żyć jak teraz, prawda?

— Nie?

— Chodzi mi o coś innego. Zrozum, proszę. O okoliczności. O brak wyboru.

Ująłem jej dłoń. Lato było dla nas dobre, mimo wszystko. Prawie cały czas pozostawaliśmy blisko Sheffer. Nie wychylaliśmy się, ale udało nam się poznać kilku sympatycznych miejscowych. Sami także się poznawaliśmy; kiedy przyjęliśmy ofertę Patrice byliśmy razem zaledwie tydzień, choć znaliśmy się dłużej, dokładnie pół roku dłużej. Spotkaliśmy się zaraz po śmierci moich rodziców, którzy, jak się okazało, zostali zamordowani. Wiedziała prawie wszystko o mojej przeszłości, ja znałem jej przeszłość, w tym tę jej część, w której ważną rolę grał mężczyzna nazwiskiem John Zandt, niegdyś nasz przyjaciel, dziś zapewne człowiek stracony dla świata.

Wszyscy troje znaliśmy tajemnicę, której wolelibyśmy nie znać. To dlatego nasze życie wyglądało tak, jak wyglądało.

Chodziliśmy na długie spacery po lesie, żywiłymi się



zdrowo, z grilla zbudowanego przeze mnie z płaskich kamieni. Kiedy Nina zobaczyła go po raz pierwszy roześmiała się i nazwała „niedowarzoną stylem preriowym”. Jaki był, taki był, ale działał. Spacerowanie oraz pomoc, jakiej hojnie udzielałem nie tylko Patrice w prostych pracach fizycznych, sprawiły, że byłem w najlepszej formie od lat. O ranie barku, tej sprzed pięciu miesięcy, zdążyłem dawno zapomnieć. Straciłem parę kilogramów, Nina zyskała kilka dekagramów i choć nikt nigdy nie nazwie jej inaczej niż „smukłą”, ta zmiana zdecydowanie wyszła jej na dobre. Choć rzadko, jeździliśmy także tu i tam, na wschód i na południe, mniej lub bardziej przypadkowo. Dzięki temu łatwiej nam było uwierzyć, że nie ukrywamy się aż tak rozpaczliwie. Dwukrotnie pojechaliśmy nawet, bardzo zdenerwowani, do Los Angeles. Podczas drugiej podróży zabraliśmy kilka drobiazgów z domu Niny stojącego w miejscu raczej niebezpiecznym, po znacznie mniej wychwalanej i modnej stronie wzgórz Malibu. Nie mogliśmy pozwolić sobie na postój wystarczająco długi, by wystawić go na sprzedaż (możliwe, że znalazłby się kupiec, choć w tym przypadku wydawało się to nieprawdopodobne), więc po prostu zamknęliśmy drzwi i pozostawiliśmy dom jego losowi.

Właśnie to, przynajmniej do pewnego stopnia, wspominała Nina. Bo, szczerze mówiąc, wszystko było tak jak było, choćbyśmy nie wiem jak udawali, że nie jest. Zamknęliśmy okiennice, ale świat nie przestał przez to istnieć. Przykład pierwszy z brzegu: Nina nadal miała pracę. Poważną i wymagającą. Wy negocjowała sobie wprawdzie długi urlop, ale rozciągnęła go tak, że już trzeszczał i bliski był pęknięcia. Wkrótce musi zdecydować: rezygnuje albo wraca do pracy. Pod tym względem byłem w lepszej sytuacji. Parę lat temu rzeczywiście pracowałem, dla CIA. Specjalizowałem się w kontroli mediów. Udało mi się zwolnić. Mój przyjaciel, Bobby, lubił powtarzać, że odszedłem... kilka dni przed obowiązkowym testem na wykrywanie kłamstw.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy na neutralne tematy. Oboje wyczuwaliśmy, że nasza błoga bezczynność skończyła się nieodwołalnie, choć oboje wolelibyśmy, by trwała. Było tak, jakby jakiś łagodny gigant przez pewien czas trzymał nas w uścisku swej ciepłej dłoni, a teraz otwierał ją, gotów postawić nas na ziemi.

— Na coś się w końcu zdecydujemy — powiedziałem. — Jak na razie... życie mogłoby być gorsze. Jestem przy tobie i nie wydaje mi się, żebym wiele tracił.

— No pewnie! Jestem, jak najdosłowniej, prawdziwym skarbem. Ładna, mądra, zrównoważona. Pod każdym względem doskonała towarzyszka życia.

Podniosłem brew i spojrzałem na nią pytająco.

— Nie jestem pewien, czy posunąłbym się tak daleko.

— Nie? To wymień jakąś moją wadę.

— No cóż... postrzeliłaś swego poprzedniego przyjaciela.

— To był wypadek!

— Jasne. Ty tak twierdzisz.

— Twierdzą. To był wypadek. — Puściła do mnie oko. — Następnym razem tego nie zrobię.

Roześmiałem się. Niezadane pytania schroniły się pod ziemią, czekając na drugą okazję. Siedzieliśmy na ganku, rozmawiając, patrząc, jak jezioro ciemnieje, staje się czarną dziurą, aż zmarzliśmy i weszliśmy do środka. Później leżeliśmy w łóżku, słuchałem szumu drzew, oddechu śpiącej Niny, aż wreszcie nie potrafiłem rozróżnić jednego od drugiego.

Zasnąłem.

Pięć miesięcy to pewnie niedługo, ale dla mnie związek z Niną był najdłuższy w życiu. Nadal wydawał mi się czymś w rodzaju małego cudu. Dzięki niemu miałem wrażenie, że mogę żyć. Nie powiedziałem jej nic o e-mailu, tym pierwszym i drugim, identycznym, który przyszedł dwa dni później. Skasowałem go, a pierwszy ukryłem głęboko w folderze. Prostota nie była cechą charakterystyczną mojego życia, podobnie jak poczucie, że mam gdzieś dom. Walczyłem z ich brakiem w jedyny dostępny mi sposób. Ukrywałem się.

Działało to... przez kilka dni. Przestało, gdy na drodze do chaty pojawił się samochód. Musiałem wówczas przyjąć, że nic, ani uśmiech, ani niewinne kłamstwo, ani doprawdy przesadnie bogata sałatka nie powstrzymają świata, jeśli świat chce cię dopaść.

## Rozdział drugi

Telefon zadzwonił tuż po jedenastej rano. Byłem nad jeziorem, eksperymentując z kilkoma wielkimi kawałkami starego sinego drewna, które ocaliłem z czasów, gdy pomagałem doprowadzić do porządku stodołę. Sądziłem, że może uda mi się zrobić z nich wielki stół w wiejskim stylu, żebyśmy mogli jeść nad jeziorem bez konieczności przenoszenia mniejszego z ganku. W głębi serca wiedziałem, że niedługo dane nam będzie jeść na dworze, co więcej, podejrzewałem, że mojej konstrukcji niedane będzie dźwiganie niczego ciężkiego, na przykład kieliszka wina. Z daleka usłyszałem trzy krótkie sygnały komórki Niny, ale nie poświęciłem im większej uwagi. W chacie nie było telefonu. Jeśli ktoś z naszych tutejszych znajomych chciał się z nami skontaktować, po prostu dzwonił właśnie na jej komórkę. Stukałem więc i pukałem bez przeszkód, aż wreszcie podniosłem wzrok i dostrzegłem Ninę stojącą na ganku, bladą jak upiór.

— To Patrice! — krzyknęła. — Ktoś do nas jedzie.

Rzuciłem narzędzia i szybko wróciłem do chaty. Głowę miałem czystą, serce chłodne.

— Ilu ich jest? — spytałem.

— Jeden samochód. Na razie.

Nina szybko weszła do środka, a ja tymczasem sięgnąłem pod podłogę ganku. Wyciągnąłem coś długiego i ciężkiego, owiniętego grubą plastikową folią. Błyskawicznie załadowałem strzelbę. Nasłuchiwałam dźwięków zza jeziora, uszy mi płonęły.

Kiedy skończyłem, wycofałem się do chaty. Nina już przygotowała dwa pistolety.

— Coś się dzieje? — spytała.

— Nie.

Schowałem pistolet do kieszeni. Pocałowałem ją, wyszedłem na zewnątrz. Przystanąłem, spojrzałem na drugi brzeg jeziora. Tym razem dostrzegłem samochód stojący przy chacie Patrice, bo nie sposób było dojechać dalej. Każda osoba — lub grupa osób — ostatnie dwieście metrów do naszej chaty musiałaby pokonać pieszo. Jedną z dwóch dróg: ścieżką wokół brzegu jeziora albo używając zamiast ścieżki skrótu przez las, wychodzącego na tyły chaty.

Moim zadaniem było krycie ich obu.

Wziąłem strzelbę. Okrążyłem chatę, wspiałem się wąskim kamienistym grzbietem, doskonale ukrytym między drzewami. Pochylony, niewidoczny dla obserwatora, obiegłem jakąś ćwiartkę obwodu jeziora. Wypatrzyłem tam miejsce, z którego miałem dobry widok na biegnącą trzydzieści metrów niżej drogę, trudne do zauważenia, jeśli patrzyło się w górę. Skuliłem się za pnem najgrubszego drzewa, mocno oparłem się o niego plecami. Podrzuciłem strzelbę do ramienia i mocno docisnąłem. Wiele godzin ćwiczyłem w najdalszych zakątkach lasu Patrice. Mogłem być pewien, że z tej odległości trafię w to, w co wymierzyłem, nie miałem też najmniejszych wątpliwości, że zrobię wszystko, by trafić.

Jeden samochód. A więc, najprawdopodobniej, czterech mężczyzn. Założywszy na to, że inny samochód nie czeka na drodze. I że nikogo nie wysłano przeciw nam na piechotę, lasem. Jeśli tak, Nina zacznie strzelać pierwsza.

Po sześciu minutach usłyszałem po lewej kroki; trzask gniewionych liści niósł się daleko w spokojnym powietrzu. Czekałem, usiłując skłonić serce, by biło cicho i spokojnie. Próbowałem nie myśleć, co się stanie, jeśli będę musiał strzelać. Dokąd odejdziemy, co będziemy robili? I czy w ogóle będziemy mieli problemem, czy też może to, co w nas najlepsze, pozostanie tu na zawsze, przez godzinę czerwone, potem przez parę dni brązowe, a potem niczym się nieróżniące od leśnego błota i ziemi. Przed tą ostatnią myślą najłatwiej przyszło mi się obronić. Nie

miałem zamiaru umierać. Ani teraz, ani nigdy! Po prostu nie akceptowałem konieczności śmierci. Prędzej czy później świat będzie musiał uznać moje racje.

Po kolejnych dwóch minutach dostrzegłem ruch u stóp wzniesienia. Zdążyłem tylko zauważyć, że mężczyzn jest dwóch, najwyżej trzech. Może to dobrze? A może zostawili kogoś w odwodzie? Odchyliłem się, spojrzałem w lewo, w górę. Nie dostrzegłem nikogo. Odczekałem następne dwadzieścia sekund, po których powinienem ich zobaczyć przez kolejną przerwę między drzewami. Pojawili się po czterdziestu. Szli powoli, a ja nie wiedziałem, jak sobie to tłumaczyć, inaczej przecież reaguje się na ostrożność nowicjusza, inaczej na ostrożność eksperta. Nadal nie wiedziałem też, ilu ich jest, bo kiedy mijali szczylinę, przez którą widoczna była ścieżka, promień słońca odbił się od spokojnej tafli jeziora, oślepiając mnie białą i żółtą poświatą.

Znów znikli między drzewami. Miałem jeszcze jedną okazję, by lepiej im się przyjrzeć. Dwóch lub trzech mężczyzn, w gruncie rzeczy nie robiło to wielkiej różnicy. I tak będziemy musieli zaciągnąć ich do lasu i wrzucić do jakiejś bezpiecznie głębokiej dziury.

Wstałem. Przesunąłem się ostrożnie na drugie stanowisko, z którego miałem lepszą widoczność, sam pozostając niemal tak dobrze ukryty jak na pierwszym. Huk niespodziewanego strzału dobiegający z tyłu, mógł dać mi jakieś dwie dodatkowe sekundy, a pozycji nie zdradzę, bo otaczające mnie gęsto drzewa rozbrzmiał mylącym echem.

Przykłękiem, wymierzyłem. Mignęło ciemne ubranie jednego z gości. Pięć metrów od miejsca, z którego dobrze widziałem ścieżkę, miejsca, do którego mieli dojść.

Minęło trzydzieści sekund.

Nagle usłyszałem drażniący dźwięk. Nie od razu uświadomiłem sobie, co to takiego, to przyszło po chwili. Telefon Niny! Zadzwoił raz, potem drugi.

Zamarłem przerażony. Patrice popełniła błąd. Wielki, groźny błąd. Nie powinna próbować dowiedzieć się, co jest grane. Tak ustaliliśmy. Gdyby kogoś zobaczyła, miała dzwonić do Niny. Gdyby usłyszała strzał, miała dzwonić do przyjacielu w

Sheffer. W każdym innych okolicznościach powinna zamknąć się w chacie i udawać, że wyjechała, umarła albo jedno i drugie naraz.

Mężczyźni zatrzymali się. Z pewnością usłyszeli sygnał telefonu. Nie widziałem ich jeszcze wystarczająco wyraźnie, by zdjąć któregoś pierwszym strzałem. Jeśli mi się nie uda...

Usłyszałem cichy szmer rozmowy. Nasi goście prawdopodobnie ustalali, że idę dalej, przewidując, że telefon przeszkodził tym, którzy na nich czekali.

Ruszyli przed siebie i wreszcie widziałem ich wyraźnie. Dwaj mężczyźni. Wysocy, ubrani na czarno.

Czterdzieści metrów. Nie strzelaj w głowę, ciało jest znacznie lepszym celem. Pewność trafienia, tylko to się liczy. Odechnąłem płytko, wstrzymałem oddech. Wymierzyłem. Powoli, bardzo powoli ściągnąłem spust...

I dostrzegłem ruch. Ktoś szedł w kierunku tych dwóch od strony naszej chaty. Szybkim krokiem. Miała na sobie coś brązowego, dokładnie w kolorze...

Oderwałem kolbę od ramienia. Niemal jednocześnie usłyszałem głos... kobiecy głos... kobiecy krzyk. Kurtka Niny. Nina?

Zerwałem się na równe nogi. Nie myślałem. Zbiegłem na dół szybko, lecz ostrożnie, nadal trzymając palec na spuście, nadal kierując lufę na cel, nadal gotów do działania... tylko że nie miałem pojęcia, co się właściwie dzieje.

Znalazłem się dwadzieścia metrów za intruzami. Zająłem stanowisko w samą porę, żeby trzydzieści metrów przed sobą zobaczyć Ninę biegnącą w stronę mężczyzn, którzy w tej chwili znaleźli się między nami. Zatrzymali się. Jeden z nich trzymał w ręku telefon. Drugi odwrócił się w moją stronę, powoli podnosząc rękę.

— Cześć, Ward — powiedział. — Tylko spokojnie.

— Na litość boską, Charles! — krzyknęła Nina do mężczyzny z telefonem. — Co ty, do diabła, wyprawiasz!

Siedzieli na ganku. My trzymaliśmy się z dala od nich. Ani Nina, ani ja nie ufaliśmy sobie na tyle, by zbliżyć się do gości, choć wszystkim podano kawę. Patrice dostała wiadomość, że

sytuacja jest pod kontrolą, nawet pot ciekący mi po plecach zaczął już wysychać.

— Mogliśmy was zabić — syknęła Nina. Nie po raz pierwszy. Stojąc tak, z rękami na biodrach, wyglądała jak wcielenie furii.

— I nadal możemy — burknąłem.

Obaj mężczyźni siedzieli na naszych krzesłach przy naszym stole, przy którym zwykle jadalśmy posiłki. Ten, który mnie pozdrowił, nie powiedział do tej pory nic oprócz tego, że podziękował za cukier. Kościsty, wysoki, miał krótko ostrzyżone włosy. Nazywał się Doug Olbrich. Był porucznikiem sekcji specjalnej w wydziale rozbojów z zabójstwem policji Los Angeles, zajmującym się ściganiem sprawców szczególnie spektakularnych przestępstw.

Tym drugim, kulejącym, co zauważyłem jeszcze w lesie, był Charles Monroe, agent specjalny kierujący jednym z terenowych biur FBI w Los Angeles, bezpośredni przełożony Niny. Spotkałem się z nim tylko raz, a zaraz potem został kilkakrotnie postrzelony przez zamachowca, który zaatakował nas w barze szybkiej obsługi we Fresno pięć miesięcy temu. Miał szczęście, że przeżył, choć przez kilka tygodni po zamachu nie podzielał zapewne tego przekonania. Sądząc po tym, jak ostrożnie siadał, okres wahań chyba jeszcze nie minął. Człowiek, który postrzelił jej szefa (i mnie, w ramię) nie żył. Nina zastrzeliła go w lesie kilka kilometrów od miejsca, w którym znajdowaliśmy się w tej chwili, tego dnia, gdy poznaliśmy Patrice. Potem Nina widziała Charlesa zaledwie dwukrotnie, podczas krótkich wizyt w Los Angeles. Złożyła mu raport i została przesłuchana na potrzeby procesu mordercy, którego udało nam się tego dnia ująć.

— Dlaczego nas nie uprzedziłeś? — awanturowała się imponująco. — Mam na myśli telefon na przykład wczoraj, a nie w połowie drogi dookoła jeziora! Mogliśmy cię zabić! I choć w tej chwili wydaje mi się to pomysłem wręcz wspaniałym, takich kłopotów doprawdy nam nie trzeba!

Monroe ostrożnie postawił kubek na stole.

— A gdybym zadzwonił, to co? Czekałibyście na mnie?

— Oczywiście.

Jasne, że jej nie wierzył. Olbrich tymczasem patrzył na las szczęśliwy, że nie musi brać udziału w tej części rozmowy. Ale na jego twarzy wyraźnie widać było oznaki napięcia.

— Chcesz mi powiedzieć, że przyjąłabyś rozmowę?

— Charles... no nie, na litość boską! — Przeciągnęła dłońmi po twarzy, napiła się kawy z kubka, który wcześniej postawiła na drewnianej balustradzie ganku.

— Monroe — wtrąciłem się — czego ty właściwie chcesz?

— Od ciebie niczego. Nie jesteś pracownikiem FBI, organizacji, dla której pracuję na przykład ja. I Nina. Mam nadzieję, że jeszcze o tym nie zapomniała. Nie jesteś także gliniarzem... i nigdy nie byłeś. O ile dobrze pamiętam, zatrudniała cię kiedyś inna agencja, którą można nieprecyzyjnie nazwać „wywiadowczą”, ale było to dawno i, jak rozumiem, nikt tam za tobą nie tęskni. Więc jeśli o mnie chodzi, możesz wybrać się na spacer do lasu i nigdy nie wrócić.

— Ward ocalił ci życie — przypomniała Nina.

— Doprawdy? A ja pamiętam, że wyciągnął cię z baru. Uciekliście tylnym wyjściem. Ja zostałem przy stoliku, zza którego nie mogłem się ruszyć. Morderca poszedł za wami. Ocalałem, bo tak się akurat złożyło.

— Dość wybiórcza ocena sytuacji — zauważyłem, choć w duchu musiałem się z nim zgodzić. Bardziej interesowało mnie ocalenie własnego życia... i życia Niny... niż on, zwłaszcza że uznałem go za śmiertelnie rannego. Jak się okazało, mogłem z tą decyzją żyć.

— Ludzie — powiedział Olbrich — przecież to do niczego nie prowadzi.

— Obydwoje z Niną nie mieliśmy zamiaru do niczego doprowadzić — warknąłem. — Umówiła się z tym tu dupkiem, że nikomu nie zdradzi, gdzie jesteście. Nikomu, więc i tobie też! Złamała obietnicę. Mam prawo podejrzewać, że to dopiero początek. Nie przyjechałeś przywieźć Ninie pocztę, Monroe, więc po co, do cholery, przyjechałeś?

— Najwyższy czas na powrót.

Bam. Tak po prostu. W ten sposób pytanie, które Nina zadała mi wczoraj wieczorem, znalazło wreszcie odpowiedź. Stało się to, co miało się stać.



Pokręciłem głową. Przeszedłem kilka kroków, tam i z powrotem.

— Nie wiem, czy w ogóle wrócę — powiedziała Nina. — Tu mi się podoba.

— Doprawdy? Składasz rezygnację? To znajdź długopis i kawałek papieru. Potrzebuję jej na piśmie.

Spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami. Tylko ona mogła podjąć tę decyzję. To był jej numer do wykonania, jej życie.

— Daj spokój, Nino. — Monroe nie ukrywał irytacji, lecz nadal zachowywał spokój. — Przecież wiesz, co jest grane. Dałem ci urlop ze względu na wyjątkowe okoliczności.

— Plus ze dwa miliony nadgodzin.

— Skończył się ładne parę tygodni temu i doskonale o tym wiesz.

— Jasne. — Nina nie zamierzała walczyć. — Więc może jednak zrezygnuję? Może mam już tego wszystkiego dość? Przecież to nie jest tak, żebyśmy coś naprawdę załatwiali?

— Nieprawda. W więzieniach posadziłaś tyłu, że można ich liczyć na kopy.

— Jasne. Sadzamy kogoś, kto zabił dwie, trzy czy dziesięć osób. Co to za zwyczajstwo? Wycieramy rozlane mleko. Jasne, podłoga jest czysta... przynajmniej przez jakiś czas. Tylko że nie masz już mleka. Rodziny zabitych budzą się rano jako żywe trupy. Co się stało, to się nie odstanie. Zawsze jesteśmy po fakcie.

— I będzie tak, dopóki ktoś nie wynajdzie podróży w czasie — zauważył spokojnie Olbrich. — Na tym polega natura przestrzegania prawa.

Nina się zarumieniła. To, co mówiła, było wyrazem jej uczuć, tych najbardziej osobistych. Oceniając je bezosobowo, obiektywnie, jakiś cholerny glina zrobił z niej idiotkę. Monroe natychmiast zdał sobie z tego sprawę.

— Poza tym — dodał szybko — jest jeszcze coś. Bardzo cię potrzebuję.

— Nie, nie potrzebujesz. — Energicznie pokręciła głową. — Na gwizdnięcie masz całą kupę wściekłych bab. Założę się, że co bystrzejsze są nawet w stanie pojąć ciąg przyczynowo-skutkowy.

— Nino, przyjechałem z bardzo daleka. Nie mam czasu na takie dyskusje.

— To wracaj do Los Angeles. Miłego lotu. A następnym razem uprzedź o wizycie, przywieź czekoladki albo kwiaty. Najwyraźniej jesteś bardzo źle wychowany.

— Nie wracam do Kalifornii. FBI poproszono o pomoc w dochodzeniu w Wirginii. Zabójstwo, bardzo nieprzyjemne, podobno może być dziełem seryjnego mordercy. W każdym razie tak sądzą miejscowi gliniarze. Chcę, żebyś poleciała ze mną.

— Nie zajmuję się już...

— Nino... oni sądzą, że morderstwa dokonała kobieta.

Nina zesła nad brzeg jeziora. Dziesięć minut temu. Wiedziałem, że każda upływająca sekunda zwiększa szansę na to, że przyjmie propozycję Monroe'a. Było widać, że w tej chwili nie istnieje dla niej otaczający ją świat: drzewa, jezioro, góry, prawdopodobnie nawet ja. Zostałem w chacie z naszymi gośćmi. Żaden z nich nawet nie próbował nawiązać ze mną rozmowy. Olbrich kilka razy spojrzął na zegarek.

— Wytlumaczcie mi to — poprosiłem. — Gdzieś na wschodzie macie ciało, tak? Wiecie tylko, że może jest to interes dla federalnych, a może jednak nie. Czego nie rozumiem, to obecności naszego starego przyjaciela, tego tu Olbricha. Nie obchodzi mnie, jak definiujecie obszar działań policji Los Angeles, ale do Wirginii nawet samolotem leci się długo.

Monroe i Olbrich wymienili spojrzenia.

— Powiedz mu — polecił Monroe. Wstał z trudem i zszedł z ganku. — To jego sprawa, choćby i jedyna. A nam zaczyna brakować czasu.

Przeszedł obok, nie obdarzając mnie nawet spojrzeniem. Poszedł do Niny.

— Chodzi o Henriksona — powiedział Olbrich, gdy miał już pewność, że nikt oprócz mnie go nie słucha. — To twój brat, tak?

Mówił o mordercy, którego złapaliśmy w lasach. Mordercy, który lada chwila miał stanąć przed sądem za zabójstwo

niejakiej Jessiki Jones w Los Angeles i Katelyn Wallace z Seattle. Jej ciało znaleźliśmy sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym znajdowaliśmy się w tej chwili. Prokuratora miała więcej materiału, niż potrzeba do skazania, a w dodatku po tym procesie czekał go kolejny: za seryjne morderstwa nastolatek z Los Angeles przed pięcioma laty. Prasa nazwała je morderstwami Doręczyciela. Tu sprawy były nieco bardziej skomplikowane.

— Jesteśmy bliźniakami — wyjaśniłem. — Ale nigdy go tak naprawdę nie poznałem. Ma na imię Paul. Sam siebie nazywa Sprawiedliwym, tę hecę z Doręczycielem wymyślił Monroe, nie zapominaj o tym. I nie pracuje sam. Doskonale to wiesz. Masz wszystko w raportach Niny.

— Nie wszystko. — Olbrich odwrócił wzrok. — Uznano, że twoje oskarżenia, te dotyczące kwestii ogólnych, tylko zaciemniają sprawę.

— Powiedziałem prawdę i Nina o tym wie. Paul pracował dla zakonspirowanej grupy morderców, produkował ofiary na zamówienie. I nie tylko to.

— Za dochodzenie odpowiedzialny jest Monroe, nie Nina.

— Monroe jest odpowiedzialny wyłącznie za swoją karierę. Ale... nie dowiedziałem się jeszcze, o co ci chodzi.

— Twój braciszek wyszedł w końcu ze szpitala. Przeniesiono go do Pelican Bay. To więzienie o zaostrzonym rygorze niedaleko granicy z Oregonem.

— Myślałem, że to miejsce w sam raz dla psychopatycznych morderców wynajmowanych przez gangi, Bractwo Aryjskie, Low Riders i Black Guerillas.

— W zasadzie się nie myliłeś. Monroe był jednak przekonany, że nasz człowiek powinien siedzieć do czasu procesu w skrzydle maksymalnego nadzoru, dwadzieścia siedem przez cztery, pojedyncza cela bez okien, ze strażnikami, dla których martwy więzień to tyle kłopotu, co wypełnienie formularza. Kiedy zobaczyłem, co zrobił tym dziewczynom, nie mogłem się z nim nie zgodzić. Monroe ma chody i tak to się skończyło. Corcoran i Tehachpi nie chciały przyjąć faceta, więc wysłano go na zachód, właśnie do Bay. W ciągu trzech miesięcy przeżył trzy zamachy, w tym jeden dokonany przez strażnika, który, nawiasem mówiąc, jeszcze nie wyszedł ze szpitala. A potem...

Olbrich westchnął ciężko, marnując w ten sposób szansę na efektowną pointę. Zwłaszcza że, jak zauważyłem, Monroe powiedział coś Ninie, a Nina nagle podniosła głowę i spojrzała w moim kierunku, po czym ruszyła ku mnie szybkim krokiem.

— Nic nie mów — westchnąłem. W uszach czułem szum krwi, choć przysięgłbym, że moje serce przestało bić.

— Dwa dni temu został zwolniony. Miał wrócić do Los Angeles. Nie wiemy, co zaszło po drodze, ale jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na południe coś musiało się stać. Mamy opancerzoną ciężarówkę, w każdym razie to, co z niej zostało, i ciała dwóch strażników znalezione w promieniu półtora kilometra. Ciał pozostałych dwóch nie znaleźliśmy. Uznajemy ich za zaginionych.

— Błąd. Uznajcie ich za pomocników w ucieczce.

— Monroe wiedział, że to powiesz. Twierdzi, że zawsze skłaniałeś się do teorii konspiracji. Zabójca pod każdym łóżkiem.

— Przecież wiesz, o czym mówię. Pomagałeś Johnowi Zandtowi. Udzielał ci informacji. Tropił Paula.

— Pomogłem Johnowi bo znałem go, kiedy pracował w wydziale zabójstw. Był gwiazdą, wzorem gliniarza. Już nie jest. Przykład pierwszy z brzegu: jest poszukiwany za dwa morderstwa.

— Jasne. Zabił człowieka organizującego transport dziewczyn na miejsce kaźni i kogoś, kto pomagał je porywać, tak na początek...

— Ostrożnie, Ward. Jeśli John kiedykolwiek wypłynie na powierzchnię, będziesz pewnie musiał powtórzyć swoje opinie w sądzie.

— Nie powiedziałem, że pochwalam to, co zrobił. Ale kiedy znajduję chwilę czasu... i poczuję się bezpiecznie... zatańczę na grobie tych facetów.

— Bezpiecznie? Kto ci zagraża?

— A jak myślisz? Ludzie, którzy za tym wszystkim stoją. Nie martw się, to nie jakieś chorobliwe złudzenia. Jak myślisz, dlaczego schroniliśmy się tu z Niną, dlaczego zmieniliśmy nazwiska? Sądzisz, że postanowiliśmy wrócić do natury? Albo że jesteśmy tacy kurewsko wstydlivi?

— Myślałem, że to przez twojego brata. W końcu pomogłeś go złapać.

— Nie — odparłem chłodno. — Nie chodzi o niego. Zakładaliśmy, że system penitencjarny naszej kochanej Kalifornii jest co najmniej kompetentny.

— Ward — odezwała się Nina. Monroe szedł kilka kroków za nią, pocierając kręgosłup splecionymi dłońmi. Roztaczał wokół siebie atmosferę zadowolenia: oto człowiek, który osiągnął cel, załatwił wszystko jak trzeba i teraz czeka radośnie, jakie to inne wyzwania rzuci mu pod nogi dzień. — Wiesz?

— Wiem, wiem. Moje gratulacje, Charles. Wypuściłeś na wolność jednego z najniebezpieczniejszych mieszkańców naszej planety Ziemi.

— Znajdziemy go — zapewnił Monroe.

— Nie, nie znajdziecie. — W to nie miałem powodu wątpić. — Nie macie szans. Jeśli ktokolwiek znajdzie kogokolwiek, to przede wszystkim on ciebie. Życzę szczęścia.

— Nie sądzę, żeby właśnie mnie szukał.

— Jasne. Więc czy powinieneś wcześniej nam o tym powiedzieć? Jakies półtora dnia temu? A może od razu przysłaliście do Sheffer agentów i teraz tylko czekają, kiedy się pojawi? Użyliście nas jako przynęty?

— Oczywiście, że nie.

Nie wierzyłem mu, a to oznaczało, że Sheffer nie jest już bezpiecznym miejscem, nie dla nas. Wcale nie byłem pewien, czy Paul zaraz zacznie na nas polować. Ale inni owszem, mogli.

— Więc Olbrich przyjechał zapytać, czy wiem, gdzie jest Paul?

— A wiesz?

— Nie. Ale nawet gdybym wiedział, tobym ci nie powiedział.

Palilem na ganku, podczas gdy Nina się pakowała. Monroe i Olbrich stali nieco dalej, nie ukrywając zniecierpliwienia. Przez pewien czas przyglądałem się potylicy Monroe'a. Czysty strzał nie wydawał mi się już zadowalający. Pragnąłem złapać faceta za łeb i utopić w jeziorze. Ogłosić egzekucję, sprzedawać bilety. Tanio. Przekąska wliczona w cenę.

— Skończyłam — oznajmiła.

Odwrociłem się. Stała w progu, trzymając w ręku torbę. Włożyła ubranie, które pamiętałem z dawnych czasów. Standardowy garniturek FBI. Wyglądała bardzo poważnie i bardzo profesjonalnie. I, szczerze mówiąc, bardzo atrakcyjnie.

Wstałem.

— Agentka Baynam obecna i gotowa do akcji!

— Ja też tego nienawidzę. — Podeszła bliżej. — Wierzysz mi, prawda?

— Wierzę — powiedziałem cicho. — Bo zdaje się, że ktoś od jakiegoś czasu ignorował telefony agenta Monroe. Prawda.

— Możliwe.

— Powinnaś mi powiedzieć, że do ciebie dzwoni.

— Masz rację — przyznała. — Przepraszam. Mój błąd. Ale... kto dzwoni do ciebie?

— O co ci chodzi?

— Pamiętasz dzień, kiedy zrobiłeś tę śmieszna sałatę? Zamknąłeś laptopa, nie wychodząc z programu pocztowego. Pojawił się, gdy go otworzyłam.

Niewiele miałem do powiedzenia.

— No to mnie masz — przyznałem.

— Kto chciał się z tobą skontaktować?

— To bardzo stary adres. Nie wiem kto. Ktokolwiek.

— Jakoś mi się nie wydaje. Jesteś sympatycznym człowiekiem, choć głęboko to ukrywasz, ale trudno ci uznać za popularnego. Nie sądzę, by ktoś zamierzał zaprosić cię na kręgle. Całkiem niedaleko stąd, Ward, jest wielki świat, który wcale nam dobrze nie życzy. Musisz się dowiedzieć, kto szuka kontaktu.

— Ty jesteś szefem.

— No właśnie. Nie wolno ci o tym zapomnieć. — Pochyliła się i mnie pocałowała. — Później.

Wróciła nad jezioro, gdzie czekali na nią gliniarze. Miałem wrażenie, że odeszła na długo przedtem nim znikła mi z oczu.

Popołudnie spędziłem na porządkach w chacie. Wysprzątałem ją, wyłączyłem bojler, założyłem i zamknąłem okiennice.

Sporo czasu spędziłem, zastanawiając się, dokąd dokładnie mam pojechać, lecz niczego nie wymyśliłem. Kierunek wschód i gaz do dechy to jedyne, co przyszło mi do głowy. Wyciągnąłem z kryjówki komputer Bobby'ego. Podłączyłem go do naładowania baterii, po czym zaniósłem nieliczne bagaże do samochodu zaparkowanego za chatą Patrice. Wyjaśniłem jej, że Nina odjechała i że ja też wkrótce odjeżdżam. Poradziłem, by była ostrożna, nie ufała obcym, a jeśli cokolwiek ją zaniepokoi, natychmiast kontaktowała się z szeryfem. Poczęstowała mnie kawą. Pijąc ją, poczułem się jeszcze bardziej samotny.

Natychmiast po powrocie sprawdziłem skrzynkę poczty elektronicznej. Nic. A to odrobinę pieprzyło sprawę. Nina mogła sobie dobrze mi radzić, nalegać, żebym odkrył nadawcę, tego kogoś, kto próbował się ze mną skontaktować, ale e-mail z adresem zwrotnym został w jej laptopie. Ciągłe nie byłem pewien, czy rzeczywiście chcę nawiązać kontakt. Może sądziła, że Paul próbuje jakoś mnie namierzyć? Jeśli tak, to coś jej się pomyliło. E-mail został wysłany, gdy siedział w więzieniu.

Już miałem wyłączyć komputer, kiedy zorientowałem się, że coś się jednak ściąga z sieci. Przełączyłem na odpowiednie okno. E-mail przychodził na jedno z kont Bobby'ego. Nie zamknąłem żadnego z nich, z szacunku czy może pod wpływem przesądów; nie zamierzałem likwidować tego ostatniego przejawu jego życia.

W jego skrzynce były trzy listy. Wszystkie miały ten sam temat: „Odezwiń się”. Ostatni został wysłany trzy tygodnie temu. Bez wahania nazwałbym je spamem... gdyby nie to, że adres na Hotmailu wydał mi się znajomy.

Otworzyłem list i przeczytałem:

Bobby, jesteś tam? O dziwnych rzeczach się mówi, potrzebuję twojej rady. \*Już\*!

I ten list nie był podpisany. Dlaczego? Nasuwało się założenie, że nadawca spodziewał się, iż zostanie rozpoznany po adresie. Zastanowiłem się przez chwilę, skopiowałem adres i wysłałem e-maila z własnego konta:

Tu Ward Hopkins. Bobby nie żyje.  
Kim jesteś i czego chcesz?

Wysłałem list natychmiast, nie chciałem się dłużej zastanawiać.

Wiedziałem, że najlepiej zrobię, wyjeżdżając jak najszybciej, ale okazało się, że to wcale nie jest takie proste. Rozejrzałem się dookoła po raz ostatni, jak nauczył mnie ojciec, kiedy wybieraliśmy się na wakacje, sprawdziłem każdy pokój, zamknąłem wszystkie drzwi. Przez dłuższą chwilę szukałem kurtki, nim uświadomiłem sobie, że pewnie wisi za otwartymi frontowymi drzwiami. Nie pamiętałem, żebym ją tam powiesił, ale co, u diabła, w końcu miałem za sobą ciężki dzień.

Zdjąłem ją z wieszaka. Proszę, proszę, nie była sama. Obok niej wisiała brązowa kurtka Niny.

Dlaczego jej nie zabrała?

Przez chwilę czułem się jak nastolatek, a potem wzruszyłem ramionami, choć tylko w myślach. Za gruba. Za gruba, żeby zmieścić się w torbie. Niepasująca do typowego mundurka eleganckiej agentki federalnej. Ward, masz trzydzieści dziewięć lat. Weź się w garść.

I nagle w jednej z kieszeni dostrzegłem złożoną kartkę. Liścik napisany ręką Niny.

*Jaka jestem głupia. Zmarzną, biedna. X.*

A więc jednak miałem dokąd jechać.

Zamknąłem chatę. Pojechałem na południe, do Yakimy, gdzie znajdowało się lotnisko. Postanowiłem spędzić tam noc, a rano polecieć do Wirginii.



## Rozdział trzeci

Lee John Hudek powtarzał później, że od samego początku wiedział, jak bardzo coś jest nie w porządku. Nie pamiętał, kiedy dokładnie wyczuł nieszczęście, ale z pewnością wyczuł je wcześniej. Miał to zapamiętać na długo, bo z zasady nie wierzył w jakieś głupie strachy. Wcale. To gówno dobre dla drobnych handlarzy z Venice Beach, pijanych dziewczyn z tatuażami, w najlepszym razie dla Pete'a Vossa. Śpioch Pete wierzył, zdaje się, że ma jakieś nadnaturalne voodoo czy inne wibracje, bo matka była w jednej ósmej Czarną Stopą, buddystką czy coś, takie pieprzenie. Wierzył w to głównie, kiedy był zaćpany, a że prawie zawsze był zaćpany, Hudek nie wątpił, że to totalna bzdura, zarówno w przypadku przyjaciela, jak i w ogóle. Od najwcześniejszego dzieciństwa żył w przekonaniu, że świat pędzi przed siebie po linii prostej, a bzdury o krętych ścieżkach są dobre dla przegranych. Świat lubi tych, co to rano wstają, dostają... i idą w górę. Co mu stawiają czoło. Śpioch nie był za bystry, owszem, za to duży, oddany. Handlował bez olśniewających sukcesów, ale i bez szczególnych wpadek. Poza tym znali się od bardzo dawna, więc co tam.

John Hudek pamiętał, co następuje:

Siedział w samochodzie, mając przy boku Pete'a, a na tylnym siedzeniu Brada Metzgera. Zaparkowali przy końcu zjazdu w Tijuana Canyon Drive. Opuścili dach, opalali się na słończku i czekali. Czekali. Jeszcze trochę czekali. Czekali.

Samochód należał do Hudeka. Zapłacony gotówką. Większość ludzi w jego zawodzie i z jego pozycją kupiłaby pewnie jakiegoś podrasowanego klasyka, on sam miał takiego, choć krótko, ale ostatnio uznał, że wyglądający poważnie mercedes bardziej sprzyja mu w interesach. I gliniarze się tak nie czepiają. Niespełna dwudziestoletni Lee John miał też własny dom, również nieobciążony. Och, nic olśniewającego, cztery pokoje w Summer Hills, tyle że z basenem, sporym podwójnym garażem i telewizorem o godnych podziwu rozmiarach. Pete oraz Brad mieszkali w Simi Valley, na południe od Santa Barbara, obaj z rodzicami. Wszyscy, których znali, mieszkali z rodzicami. W ciągu roku po skończeniu szkoły niewiele się nauczyli. Tylko tego, że w Kalifornii praca nie spada już z nieba i że skromne sukcesy w licealnym futbolu gównu znaczą w szerokim świecie.

Stali maską w kierunku drogi wylotowej, mając po prawej szarą, porośniętą krzakami, stromą ścianę kanionu. Było gorąco. Śpioch grał w jakąś grę wideo, która co jakiś czas popiskiwała przeraźliwie, Brad gadał o dziewczynie. Pieprzył ją regularnie od jakiegoś czasu, a teraz zastanawiał się, czy powinien opłacić jej operację nosa. Hudek pieprzył tę dziewczynę przed nim i był zdania, że fascynacja Brada nie przetrwa okresu rekonwalescencji, zwłaszcza że przez ten czas pacjentka nie będzie w stanie go nadmuchać. Ale niech chłopak samodzielnie dojdzie do właściwych wniosków. Jeśli stać go, by wywalić taką forszę na dziewczynę, to z całą pewnością za dużo zarabia.

Co oznaczało, że za dużo mu płaci. Hudek, oczywiście.

— Pieprzyłem ją, człowieku — powiedział nagle, kierując się wyłącznie kaprysem. — Rok temu.

Brad zamilkł, ale zaraz rozpoczął opowieść o jakiejś innej babce.

Kiedy Lee John znów spojrzał na zegarek było siedemnaście po pierwszej. Ponad pół godziny spóźnienia. Ciekawe. Wrzód na dupie, tak jechać przez całą Dolinę dla takiej sprawy, ale cóż, robili to od dawna. Do tej pory Hernandez zachowywał się odpowiedzialnie, więc Hudek nie miał nic przeciwko robieniu biznesu na jego sposób. Tylko że to już było nieodpowiedzialne. Wrzód na dupie stał się nagle znacznie bardziej dokuczliwy.

Zwłaszcza teraz. Kiedy opracował Plan. Odpowiedzialność była kluczem do jego realizacji.

Znów zerknął na zegarek. Niepotrzebnie, nadal było siedemnaście po. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że wskazówka sekundowa zwolniła bieg, jakby ta minuta niebezpiecznie puchła i miała lada chwila wybuchnąć.

Może było to właśnie wtedy? Może właśnie wówczas doznał przecucia, wrażenia, sugestii, że ten dzień skieruje go na drogę, na której nikt jeszcze nie postawił znaków.

Osiemnaście minut.

Za jego plecami szczęknęła zapalniczka.

— Brad, nie pal w samochodzie — poprosił.

— Człowieku, przecież ten pieprzony dach jest otwarty. Hudek odwrócił się i spojrzął na siedzącego z tyłu chłopaka.

Brad tylko pokręcił głową, otworzył drzwiczki, wysiadł, podszedł do ściany kanionu i usiadł na głazie. Tak naprawdę wolałby (więcej, potrzebował!) skręta, ale Lee, protestując przeciw papierosom, nie tolerował palenia skrętów podczas roboty. On sam bardzo chciałby zakończyć tę szczególną robotę. Zawsze trochę go niepokoiła. Na razie wszystko szło gładko, ale kupowanie narkotyków to kupowanie narkotyków, szarpie nerwy, nawet jeśli nie ma się kaca gigantycznych rozmiarów, a Brad takiego właśnie kaca miał. Ostatni wieczór spędził nad basenem w domu Reynoldsów z młodymi Reynoldsami i kupą gości, podczas gdy starzy bawili w Hollywood na przyjęciu najeżonym prokuratorami: koktajle, maleńkie kanapki, kpinki z prokuratora okręgowego. Dzieciaki miały własny sposób na dobrą zabawę: wino, trawka i XBOX. Brad wylądował w końcu w łóżku z jakąś dziewczyną, nie tą, która chciała zrobić sobie nos. Karen miała jakąś uroczystość rodzinną, z której nie mogła się wyrwać, a to była po prostu piętnastolatka z gimnazjum, nie dowiedział się nawet, jak jej na imię, tyle że kocha kokainę. W końcu przysnął. Miał szczerą nadzieję, że mała szybko zapomni o tym epizodzie.

O siódmej rano do pokoju wszedł pan Reynolds.

— Dzień dobry, Bradleyu — powitał go, podszedł do szafy i zaczął wybierać krawat. I tyle.

— Dzień dobry panu — wybełkotał Brad.

Wyglądało na to, że pan Reynolds ma na głowie coś ważnego, być może jakąś sprawę sądową czy coś. Cała nadzieja w tym, że nie kłopotał się o los dzieci, prawie cały czas zaprawionych valium, które kupowały oczywiście od Hudeka via on sam we własnej osobie.

W tej chwili siedzącego na kamieniu Brada najbardziej interesował jeden problem: czy Lee John rzeczywiście sypiał z Karen Luchs, czy jednak nie. Jedno i drugie było równie prawdopodobne. Lee był dla niego zagadką. Znał go co prawda przez większość życia, spacerowali tymi samymi szkolnymi korytarzami, podawali sobie piłkę na tym samym boisku, podobnie dryblowali, ale musiał przyznać, że tak naprawdę nigdy przyjaciela nie rozgryzł. Mnóstwo pytań pozostało bez odpowiedzi. Na przykład: skąd brała się jego potężna motywacja? Skąd wiedział, jak załatwia się różne sprawy? Jak to się działo, że koniec końców ludzie zawsze pracowali dla niego, a nie on dla ludzi? Może pieprzył Karen, może jej nie pieprzył. Większość z nich pieprzyła dziewczyny większości z nich, ale w szerszej perspektywie nie miało to przecież żadnego znaczenia.

Telefon komórkowy zagrał melodyjkę z *Simpsonów*. Brad podniósł głowę, zobaczył, jak jego przyjaciel przykłada do ucha motorolę. Rozmowa trwała niespełna minutę. Hudek nie podniósł głosu, ale rzadko to robił, i nie sposób było wnioskować, jaki ma nastrój.

Zamknął telefon i gestem przywołał go do samochodu.

— Opóźnienie — powiedział. Z jego oczu też niczego nie dało się wyczytać.

— Jak to „opóźnienie”?

Wzruszył ramionami.

— Ale... słuchaj, coś mi tu śmierdzi. — Brada jeszcze bardziej rozboleła głowa. To od słońca. — Ludzie czekają — wymamrotał niepewnie.

— Przecież wiem. — Hudek jeszcze raz wzruszył ramionami. — Teraz tego nie załatwimy, to wszystko. Przekładamy sprawę na wieczór. Nic wielkiego.

Jeśli chodzi o Brada, to jemu coś takiego wydało się całkiem duże. Po pierwsze, nigdy wcześniej nic podobnego się nie

zdarzyło, a po drugie była sobota i na towar, trawkę i kokę czekały tłumy ludzi. Im później ją dostaną, tym później przeprowadzą po detalistach i będą mogli zacząć zabawę. Ale... Lee John gapił się przez przednią szybę z miną świadczącą, o tym, że nie jest bynajmniej zachwycony. Więc zamiast komentować wydarzenia Brad tylko sięgnął po pistolet leżący na podłodze za przednim siedzeniem, zawsze gotowy do akcji, owinał go ręcznikiem plażowym i na powrót do domu schował do bagażnika. Od razu poczuł się lepiej. Jak zwykle.

W drodze powrotnej zasnął. Mercedes tymczasem sunął sto osiemnastką spokojnie, osiemdziesiątką. Kierowca milczał. Śpioch cały czas grał. Ping, ping, biiip...

Słońce świeciło w najlepsze, w jego blasku wszystko wydawało się szare i płaskie.

Lee John Hudek podrzucił kumpli do centrum Belle Isle, po czym jeździł po dolinie bez celu, aż wreszcie znalazł się przy stoliku przed Frisbee's z cheeseburgerem i frytkami chili, przyglądając się przejeżdżającym samochodom. Ktoś, kto by na niego spojrział, zobaczyłby jasnowłosego chłopaka, dobrze zbudowanego, z pewnością uprawiającego sport, opalonego, ale bez przesady, ubranego w czyste workowate dżinsy i podkoszulek, który z pewnością nie był tani. Na lewym bicepsie miał pojedynczą obręcz tatuażu (nie dla niego lewe znaki gangsterskie), wyglądał może nie oszałamiająco, ale przyzwoicie, można go było nawet uznać za przystojnego według wzoru standardowego dla kontynentalnych Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy: typowa lokalna fauna, klasyczny przykład młodego samca występującego w tych rejonach doliny.

Telefon dzwonił kilka razy. Spokojnie, beznamiętnie Lee Joe Hudek wyjaśniał, dlaczego ludzie nie dostali jeszcze tego, czego im trzeba. Znał tych ludzi, spotykał się z nimi, nikt się specjalnie nie napinał. Tymczasem wszystko w porządku. Lee obiecał towar, Lee towar dostarczy. Jeszcze nigdy nie zawiódł. Przynajmniej do tej pory. Nie zadzwonił tylko facet, na którego telefon czekał bardzo niecierpliwie. Wciąż nie wiedział, gdzie

i kiedy ma się odbyć spotkanie. Tata zwykł określać taką sytuację jako „wyjątkowo niezwykłą”.

Jak wielu z jego przyjaciół Lee John był w dobrych układach ze starymi. Różnica polegała na tym, że inni tolerowali rodziców, dopóki nie wchodzili im w drogę, trzymali się cienia, podrzucali, gdzie trzeba kiedy trzeba, płacili za ciuchy, za psychiatrę, za odwyk, rzadko odrywali się od pracy, by zadać sobie głośno pytanie, kiedy to — jeśli w ogóle — młodzi poszukają sobie jakiegoś zajęcia, a on ojca niemal kochał i niemal podziwiał. Hudek senior, rzadko obecny w domu, zajmował się handlem nieruchomościami i developingiem. Miał mnóstwo znajomych, zarabiał krocie, a jednak nie chwalił się majątkiem. Dom jego i żony zdobyło mnóstwo wyjątkowo cennych drobiazgów, które nigdy nie przekroczyły jego granic, uprzątanymi, gdy spodziewano się gości. Nie brakowało mu też poczucia humoru. Sygnał telefonu komórkowego Lee był rodzajem żartu; pamiętał, jak wiele lat temu, kiedy był jeszcze dzieckiem, podpatrzył ojca oglądającego *Simpsonów* i śmiejącego się głośno ze słów Homera mówiącego do dzieci: „Pamiętajcie, jeśli chodzi o resztę świata, to jesteśmy zwykłą, normalną rodziną”. Motto Ryana Hudeka było podobne i bardzo niezwykle w czasie i miejscu, w którym przyszło mu żyć: „Wiesz, ile jesteś wart, ale to nie znaczy, że wszyscy muszą o tym wiedzieć”.

Przyjął tę dewizę za swoją. I nie tylko ją. Setki obejrzanych filmów, cotygodniowe dokumentalne programy o pracy policji nauczyły go, że kto się pokaże, ten ściąga na siebie uwagę, a to kiepska sprawa. Dla większości ludzi, którzy mieli okazję spotkać go lub choćby zobaczyć, Lee był tylko jednym z wielu chłopców, którzy nie bardzo wiedzieli, co robić w sobotni wieczór. Bardzo mu to odpowiadało.

Nie od razu przypomniał sobie, że dziś są urodziny matki. Kupił odpowiednią kartkę i buteleczkę jej ukochanych perfum. Podjechał pod dom. Tata gdzieś wyjechał, pewnie na pole golfowe. Wszedł przez ogród.

Lisa Hudek pólleżała na ogrodowym łóżku przy basenie. Nie robiła nic, tyle że założyła ciemne okulary. Przyjęła niezapakowany prezent wraz z nieodłącznym całusem. Uśmiechnęła

się do syna, a przynajmniej mniej więcej w jego kierunku. Lee siedział obok niej przez dobrą godzinę, przyglądając się grze słonecznych promieni na powierzchni wody i matce popijającej z wysokiej, pokrytej mgiełką szklanki. Telefon znów zadzwonił i tym razem był to Hernandez.

Mieli się spotkać o wpół do ósmej. Tak, owszem, to bardzo późno, ale zdarza się. Bywa i trzeba sobie z tym poradzić. Wiadomość o miejscu spotkania prześlemy później.

Aha, przy okazji, czy tym razem mógłbyś przyjechać sam?

— Jasne, oczywiście — powiedział Hudek i wszedł do domu. Musiał załatwić kilka telefonów.

Piętnaście po siódmej zatrzymał wolno jadący samochód w połowie przecznicy, gdzie Roscoe Boulevard przecina Sennoa Avenue. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej, na samym skrzyżowaniu, znajdowała się stacja benzynowa, o której wspomniano. Po przeciwnej stronie ulicy stał długi budynek, obok którego w ciągu ostatnich lat wielokrotnie przejeżdżał, zaledwie na niego patrząc. Kiedy był dzieckiem mieściła się tu restauracja i bar; był niemal pewien, że kilkakrotnie ją odwiedzali. Potem znikła. Zastąpił ją sklep z dywanami, potem handel używanymi samochodami, potem coś innego i coś jeszcze, aż wreszcie stał się praktycznie niewidzialny. Po prostu kolejne miejsce, czasami zabite deskami, czasami próbujące robić jakiś biznes, z czasem niewykrywalne przez ludzki radar.

— W porządku — powiedział, wyłączając silnik.

— Wręcz przeciwnie — burknął Brad, kręcąc głową. Tym razem to on siedział obok kierowcy. Śpioch Pete przyjechał drugim samochodem, ze Steve'em Verikilenem, czwartym członkiem kręgu najbardziej wtajemniczonych. Podjechali od przeciwległego rogu, z drugiej strony stacji benzynowej, widział nawet maskę ich samochodu. Nie dodało mu to odwagi. Pod siedzeniem miał ukryty pistolet. On też nie pomagał. Jakiś głos szeptał mu do ucha, że dziś trzeba go będzie użyć. Niedobrze. Pistolet nie był przecież po to, żeby go używać. Gnata miało się po to, żeby wszyscy wiedzieli, że masz gnata. Tylko raz, jeden jedyny, wystrzelili serię przed domem faceta jako

ostrzeżenie, a i tak upewnili się przedtem, że nie ma go w środku. Ale żeby tak na serio? Nie, to przecież zupełnie inna para kaloszy. Tak używana broń zupełnie nie nadaje się do tego, żeby dodawać odwagi. Brad niemal czuł, jak promieniuje mrozem przenikającym nawet przez siedzenie samochodu. Wydawało mu się wręcz, że nabiera życia, wstaje, przeciąga się z ulgą, wypija łyk kawy i pyta: „A ty, mały, myślałeś, że co? Że po co tu jestem?”.

Pod siedzeniem Hudeka krył się drugi pistolet, ale to tylko pogarszało sytuację. Bo leżał obok torby z forszą.

Brad zapalił papierosa w nadziei, że przynajmniej to mu pomoże.

— Z przodu chyba zabite deskami — powiedział niepewnie.  
— Jak niby masz wejść do środka?

— Może od tyłu?

— Naprawdę chcesz zaryzykować?

— Ja nie — odparł Hudek spokojnie. — My.

— Hej, Lee, człowieku, słuchaj... no bo kazali ci przecież przyjść samemu, więc... co będzie, jeśli pojawimy się obaj?

— Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

Brad próbował jeszcze protestować, ale szef patrzył na niego tak, że słowa zamarły mu na wargach. Nie miał nic do powiedzenia, zwłaszcza że winny był ludziom pieniądze, a zarobić dawał mu wyłącznie Lee John. Swoje zdanie mógł wyrazić tylko, otwierając drzwi samochodu, wysiadając i odchodząc, a gdyby to zrobił, jego przyszłość byłaby bardzo, bardzo niepewna. W każdym razie nie miałyby forsy, prochów i miejsca w życiu.

— Mogłem po prostu ściągnąć was jak zwykle — wyjaśnił spokojnie Hudek. — Nie powiedziecie wam o ich wymaganiach.

Ale chciałem, żebyście wiedzieli, co jest grane.

— Jasne — przytaknął szybko Brad. — Jasne, oczywiście.

Lee John wysłał sygnał do Pete'a i otrzymał odpowiedź. Śpioch i Steve wysiedli z samochodu, przeszli przez skrzyżowanie, znikli w sąsiedniej uliczce. Oczekali, obserwując, czy nie pojawili się jacyś przypadkowi przechodnie, uznali, że to niezbyt prawdopodobne, także wysiedli, wsadzili pistolety za paski dżinsów na plecach i zasłonili je kurtkami, Hudek niósł torbę z pieniędzmi. Skinął głową Bradowi, Brad odpowiedział



mu w ten sam sposób. Byli gotowi. Dwóch chłopaków na spacerze. Prawie słyszało się w tle odpowiednią muzykę.

No jasne, pomyślał Brad, czując mdłości. Jesteśmy takie muchy, że pieprzona mucha nie siada. Fajnie, fajnie, przecież nic nie może pójść źle. Nie może i już!

Przeszli przez ulicę. Hudek szedł dumnie, z uniesioną głową, pewnym, równym krokiem. Poszli wprost na mały parking przed frontem budynku, a następnie wzdłuż jego prawej ściany. Wąska alejka wyprowadziła ich na drugi, większy parking, pusty z wyjątkiem leżącego z boku stosu dziurawego brezentu. Po przeciwnej stronie parking ograniczał niski betonowy mur, o czym Hudek wiedział, bo pofatygował się i przejechał tędy przed dwoma godzinami. Po drugiej stronie murku, za wielkim zardzewiałym pojemnikiem na śmieci, kryli się Pete i Steve.

W połowie parkingu Hudek zatrzymał się nagle. Musiał przyznać, że miejsce zostało dobrze wybrane. Nawet w pełnym świetle dnia było praktycznie niewidoczne od strony drogi. W szerokiej płaskiej ścianie budynku widać było drzwi, ale nie podszedł wprost do nich. Za to rozejrzał się powoli, niespiesznie, niczym drapieżnik, pewny siły na swoim terytorium.

Brad podziwiał jego opanowanie. Bardzo je podziwiał. I miał szczerą nadzieję, że to wystarczy.

— Kazaliśmy ci przyjść samemu.

Miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Głos dobiegł zza ich pleców. Oczywiście.

— Odwrócić się. Powoli.

Lee John i Brad odwrócili się, powoli. Cztery metry za nimi stali trzej mężczyźni. Wszyscy byli szczupli, czarnoocy, ciemnowłosi. Musieli czekać, aż wyjdą zza rogu. A potem szli za nimi. Chryste!

Brad rozpoznał tylko jednego z nich. Hernandeza. Miał koło trzydziestki i gębę jak siekiera z wyprzedzący. Pokręcił głową.

— Kazaliśmy ci przyjść samemu — powtórzył te same słowa tym samym głosem, tym samym tonem.

— Słyszałem cię — odparł Hudek. — Gdybyś kazał, żebym ci obciągnął, też bym nie posłuchał.

Hernandez zacisnął usta. Poważnie skinął głową, jakby podobała mu się ta riposta, jakby starszy facet straszyl młodszego

w *Grand Theft Auto VII* i była to wpisana młodemu w program odpowiedź numer trzy. Spojrzał na gościa po swej prawej i skinął głową. Gość odpowiedział mu skinieniem. Obaj spojrzeli na Hudeka.

Skinęli głowami.

Trwało to nieco za długo i Brad przeraził się, aż mu zaćmiło wzrok.

— Powiedziałeś, że spotkanie odbędzie się w środku — ciągnął Hudek. — Więc co to za gównno dzieje się tu, na parkingu? Po co wysililiście się, żeby tak nas osaczać?

— Sprawdzaliśmy, czy stosujesz się do instrukcji — odparł Hernandez.

— Poważnie myślałeś, że się do nich dostosuję?

— Miałem nadzieję.

— Człowieku, życie to jedno wielkie rozczarowanie. Lepiej się z tym pogódź. Czy teraz możemy wreszcie zacząć załatwiać interesy? Połowa West Valley nie ma się czym zaćpać.

— A może znajdziemy innego bogatego szczyła do rozprawdzania tego gówna? Kogoś, kto będzie stosował się do instrukcji jak grzeczne dziecko?

— No i, panowie, wychodzi na to, że coś wam się pomyliło. — Hudek pokręcił głową z teatralną przesadą. — Myślicie całkiem na opak. Wydaje się wam, że będziemy tak sobie stali i słuchali tych pieprzonych głupot. W tym się, niestety, mylicie.

— Doprawdy? — Hernandez uśmiechnął się. Brad bardzo nie lubił, kiedy Hernandez się uśmiechał. Bo nie był to przekonujący uśmiech. Facet powinien ćwiczyć. Nagle zauważył, że jeden z jego kumpli trzyma w ręku broń, tak po prostu, przy nodze, nawet się z tym nie kryjąc. Pewnie cały czas ją trzymał, ale on był po prostu zbyt spięty, żeby to zauważyć.

Lee, wysłuchaj tego ich gówna, pomyślał z rozpaczą. Błagam, wysłuchaj ich. Daj im się wygadać i się stąd wynośmy.

— Pete?! — Hudek nagle podniósł głos. — Pete, może byś do nas dołączył?!

Odpowiedziała mu ciągnąca się w nieskończoność cisza. Śpioch Pete nie wyszedł z za wielkiego metalowego pojemnika na śmieci. Brad z rozpaczą zerknął na szefa. Po raz pierwszy

dostrzegł w jego spojrzeniu cień niepewności. Mimo to chłopiec powtórzył równie głośno:

— Steve?!

I znów cisza. Zatrąbił samochód. Był to dźwięk tak odległy, jakby samochody jeździły w innym świecie. Hernandez przekrzywił głowę.

— Pete? Steve? O kogo ci chodzi? Czyżbyśmy mieli więcej nieproszonych gości? Szczurów z Doliny?

Lee John nie odpowiedział. Wpatrywał się w pojemnik. Tymczasem Hernandez znów spojrzał na kumpla stojącego po jego prawej.

— No i co, panowie? Znacie jakiegoś Pete'a? Albo Steve'a? Może ich kiedyś spotkaliście?

— Aha. Chyba tak.

Podszedł do płachty leżącej przy ścianie w nieporządnym stosie. Podniósł jej róg. Brad wytrzeszczył oczy. Brezent przykrywał Pete'a i Steve'a. Usta mieli zaklejone srebrną taśmą, podobna taśma krępowała im zapewne ręce i nogi, bo obaj się nie ruszali. Być może nie ruszali się tylko dlatego, choć wcale nie było to takie pewne.

Płachta opadła.

— Nie powinniście byli tego robić — powiedział Hudek spokojnie, cicho. Wsunął rękę pod kurtkę i przesunął ją do tyłu, na plecy. — Nie powinniście tego zrobić.

— Powinieneś przyjść sam.

— Rozwiąż ich.

— Pieprz się.

Lee John wyjął rękę spod kurtki. W rękę trzymał pistolet powtarzalny.

— Rozwiąż ich, a potem możesz iść i sam się pieprzyć.

Rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas, ale Brad już jej nie słyszał. W jego głowie przemawiał głos, zagłuszający wszystkie dźwięki dobiegające z rzeczywistego świata. „Mam dwadzieścia lat, mówił ów głos, bełkotliwy, przerażony, to za mało. Za krótko żyłem. Nie zdążyłem się nażyć. Myślałem, że jestem dorosły, lecz to nieprawda, nieprawda. Już nie chcę pieprzyć, upijać się, brać narkotyków. Nie chcę tu być. Chcę siedzieć w domu, oglądać powtórki *ZArchiwumX* i jeść lody. Chcę znów mieć dziesięć lat”.

— Ty kupo gówna — syknął Hudek. Najwyraźniej on pierwszy zrezygnował.

Brad powrócił do rzeczywistości. Tamci faceci już nie trzymali broni przy ciele, wręcz przeciwnie, mierzyli w niego i Lee. Wszystko układało się kiepsko, ale z czystej lojalności zrobił to, czego się po nim spodziewano. Wyjął pistolet. Teraz już przydarzyć się mogły same nieszczęścia. Pięciu facetów, pięć spluw. Wystarczy prosta arytmetyka.

Lee wymierzył pierwszy, wprost w pierś Hernandeza, na którym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Stał swobodnie, niczym nie zdradzał napięcia i dopiero teraz chłopak uświadomił sobie z całą, największą pewnością, że ten facet zabijał. I to niejednym razem. Myślał jasno, o takiej jasności umysłu Brad nie byłby w stanie nawet marzyć, w tej chwili jednak ich myśli były bardzo do siebie podobne. To koniec. A przynajmniej koniec wszystkich tych głupich gier.

— No cóż — westchnął. — Jeśli tak ma być...

Za ich plecami rozległ się głośny trzask, a zaraz po nim stuknięcie, jakby drewno uderzyło w ścianę z pustaków. Hernandez spojrział w tę stronę, oni obaj odwrócili się.

Ktoś otworzył tylne drzwi budynku. Mężczyzna w eleganckim garniturze.

— Na litość boską, wejdźcie wreszcie — powiedział. — Jak długo mamy na was czekać?

Brad był co najmniej tak zaskoczony jak Hudek. Nie potrafił wydobyć głosu z gardła, więc to Lee musiał znaleźć odpowiednie słowa, a i jemu przyszło to z trudnością. Nie zauważył nawet, że Hernandez wykorzystał okazję i uderzył Brada w tył głowy. Nie widział, jak przyjaciel pada bezwładnie na beton parkingu.

Przez pełne pięć sekund gapił się na mężczyznę stojącego w drzwiach, nim powiedział z niebotycznym zdumieniem:

— Pan Reynolds?

## Rozdział czwarty

W budynku było gorąco i mrocznie, oświetlały go wyłącznie żarówki wiszące u sufitu w najwyraźniej przypadkowych odstępach. Od czasu do czasu światło padało na resztki pozostałe z dni, kiedy coś się tu działo: stos gnijących dywanów, niemożliwe do zidentyfikowania pod warstwą rdzy części samochodowe, kawałki jakichś prostokątnych urządzeń, które Lee John Hudek uznał za pozostałości po wyposażeniu restauracyjnej kuchni. Pachniało kurzem i gorącem. Przeszedł za panem Reynoldsem przez wielką salę, potem korytarzem kończącym się drzwiami otwierającymi się na drugą, jeszcze większą i jeszcze ciemniejszą, zajmującą całą pozostałą część hali. Zaraz po przejściu przez próg pan Reynolds usunął się na bok i Lee nieoczekiwanie dla samego siebie znalazł się na przedzie grupy. Było jasne, że ma iść przed siebie. Gdzieś daleko paliło się światło, to prawdopodobnie tam miał dojść. Przez chwilę rozważał możliwość ucieczki, mógł się przecież odwrócić, próbować wydostać na zewnątrz, ale natychmiast zrezygnował z pomysłu. Nie miał większego sensu. Brad pozostał na parkingu, podobnie Pete i Steve. Bóg jeden wie, co zrobił z nimi Hernandez z przyjaciółmi. I nie wiadomo, jaki los przewidzieli dla niego.

Uznał, że równie dobrze może się tego dowiedzieć.

Szedł przed siebie przez mrok. Miał wrażenie, że w przestrzemi tych rozmiarów jego kroki powinny odbijać się echem,

jednak jakoś go nie słyszał. Może gdzieś, w ciemności, leżą tłumiące dźwięki stopy śmieci? Może dlatego, że jest tu tak cholernie gorąco? Powietrze schwymano w tę pułapkę przed wielu laty i teraz wydawało się, że można je kroić nożem. Z pewnością zdolne było pochłaniać stuk kroków. Być może nawet pochłaniać ludzi.

Światło rzucała lampa stojąca na pustym kawałku podłogi. Wyglądała jak pożyczona z taniego motelu albo filmu: prosta drewniana podstawa, wielki abażur, niegdyś biały, teraz stary, zakurzony, obrzydliwie brudnoszary. Obok lampy ustawiono fotel: ogromny, wytarty, w kolorze, który byłby nieokreślony nawet w najlepszym świetle.

Na fotelu siedział mężczyzna.

— Cześć, Lee — powiedział. — Pamiętasz mnie?

Chłopak zatrzymał się pięć metrów przed fotelem. Nie dlatego, by uważał, że tego wymaga jakiś protokół, raczej dlatego, że z jakichś powodów wolał się do tego człowieka nie zbliżać.

Miał na sobie ciemną marynarkę i ciemną koszulę. Na oko czterdziestoletni, był dobrze zbudowany, choć chyba niedożywiony. Krótko obcięte włosy, blada cera. Rysów podkreślonej ostrym światłem twarzy nie sposób było dokładnie rozpoznać, Lee John miał jednak wrażenie, że w życiu faceta nie widział. Przypominał wielkiego psa niepewnego temperamentu, siedzącego prosto, czujnego, gotowego na spacer.

Albo na kolację.

— Nie pamiętam.

— Doskonale. — Przez długą chwilę mężczyzna przyglądał mu się w milczeniu obojętnie, spojrzeniem, którym ktoś mógłby oceniać średniej jakości pejzaż, zastanawiając się, czy — jeśli go kupi — znajdzie dla niego odpowiednie miejsce na ścianie. Może w najdalszym pokoju gościnnym? W korytarzu, gdzie wiszą stare ubrania, stoi kosz, do którego wstawia się uszkodzone rakietki tenisowe? — Co u ciebie, Lee?

— Przecież pan wie. W porządku — wzruszył ramionami Hudek.

— Doskonale. Bardzo dobrze. Usiądź.

Usiąść, owszem, ale gdzie? Lee John nie od razu zorientował

się, że facet z fotela wskazuje mu coś uniesioną lewą ręką. Tuż za nim, jakby znikąd, pojawiło się drewniane krzesło. Musiał tylko ugiąć kolana.

Ugiął.

Usiadł.

Nadal trzymał w garści torbę z forszą na handel, o którym mógł co najwyżej pomarzyć. Postawił ją na podłodze. Serce biło mu mocno, zupełnie jakby ktoś walił w pierś młotkiem, nie najmocniej, nic z tych rzeczy, ale wystarczająco mocno, by lekko uszkodzić żebra.

— Poproszono cię, żebyś przyszedł sam — powiedział mężczyzna, jakby przypomniał sobie o czymś w gruncie rzeczy nieważnym. — A przyszedłeś w towarzystwie. Dlaczego?

Chłopak wzruszył ramionami. Potrzebował chwili czasu, by znaleźć najlepszą odpowiedź.

— Po prostu wydawało mi się to dobrym pomysłem — odparł.

— Chyba rozumiem. Ludzie, od których kupowałeś, zmienili nagle zwyczaje. Chcieli, żebyś przywiózł forszę sam, bez obstawy i jeszcze w dodatku przełożyli porę transakcji. Irytujące. Więc pomyślałeś: Co, do cholery?! Wezmę kumpli, czemu nie? Nie będę robił za popychadło. W końcu jestem Lee John Hudek!.

— Jasne! — Lee John entuzjastycznie skinął głową. Wreszcie znalazł się na stałym gruncie. Kimkolwiek ten facet jest, z pewnością szybko kapuje.

— Jeśli zrobisz to jeszcze raz — powiedział spokojnie mężczyzna w fotelu — jeśli postąpisz niezgodnie z instrukcją, obojętnie, skomplikowaną czy prostą, policja nigdy nie znajdzie twojej głowy. Zabiję cię i każdego, kto kiedykolwiek był ci bliiski, i będzie to zaledwie początek twoich kłopotów. Rozumiesz?

Hudek milczał. Ośmielił się zaledwie mrugnąć.

— Rozumiesz?

— Jasne, cholera. Oczywiście. Kapuję, człowieku. Naprawdę. Przepraszam.

— Świetnie. — Nagle mężczyzna znów stał się przyjazny, pełen zrozumienia. — To bardzo ważne, wiesz? Bo muszę mieć

pewność, że jesteś godny zaufania. Musimy sobie ufać, rozumiesz?

— Jasne, jasne. — Lee John energicznie kiwał głową.

W tej chwili był pewien, że umrze. — Ale... mówi pan „my”. Kogo ma pan na myśli? No, bo sądziłem, że Hernandez...

Gość z fotela przerwał mu, po prostu podnosząc ręce, jakby się poddawał. Z mroku wyszli czterej faceci, dwóch w średnim wieku, dwóch znacznie od nich młodszych. Z każdej grupy jeden miał na sobie drogi garnitur, pozostałych dwóch ubrania, które pozwalały im bez problemu wtopić się w tłum.

— To od nas kupowałaś narkotyki — wyjaśnił tajemniczy mężczyzna. — Sprzedajemy je wieloma kanałami, także przez Hernandeza. Witaj na wyższym poziomie, Lee.

Niemal minutę potrzebowało serce Hudeka, by zwolnić do mniej więcej normalnego rytmu, a tymczasem obcy faceci, jak się pojawili, tak w milczeniu wsiąkli w mrok. Znalazł się znów sam na sam z mężczyzną w fotelu.

— Powiedz mi coś — poprosił mężczyzna. — Czy masz ideę? A cóż to miało znaczyć?

— Jak to...?

— No, jesteś dobry w tym, co robisz. Uważamy cię za idealnego dystrybutora. Zarabiasz, dajesz zarobić, nie wychylasz się, nie zwracasz na siebie uwagi. To ci wystarcza? Czy to granica twoich marzeń?

Hudek znów się zawahał. Był już prawie pewien, że rozumie sens pytania, wołał jednak upewnić się co do intencji pytającego.

— No... prawdę mówiąc... myślałem o czymś i...

— Dlaczego nie miałbyś mi powiedzieć, o czym myślałeś?

— Ferie wiosenne.

— I co z tego?

— Mam plan. — Lee John odetchnął głęboko. — Każdego roku miliony dzieciaków mają ferie wiosenne, racja? Myślę



przede wszystkim o Florydzie. Jest ich coraz więcej, robi się z tego istny cyrk, to sponsorowane, tamto MTV, wciska się wielki biznes, pan rozumie, co mam na myśli. W tym roku byłem w Panama City, sprawdzałem, jak to wygląda. Myślałem, czemu nie? Czteryście, pięćset tysięcy dzieciaków przyjeżdża tam na sezon, marzec i kwiecień. Chcą piwa, mokrych podkoszulków, marzą o poderwaniu dziewczyny. I narkotykach. Może jeszcze o tym nie wiedzą, ale już o nich marzą. Mogą je kupić, oczywiście, narkotyków tam nie brakuje, ale nie jest to w żaden sposób zorganizowane. Moim zdaniem można sprawy załatwić lepiej. Znacznie lepiej.

— Rozumiem — powiedział mężczyzna. — A ty rozumiesz w ten sposób: dlaczego tylko IBM-y i inne AT&T zatapiają kły w ciałach tych młodych tygrysów? Jeśli amerykańskie firmy korzystają z ferii wiosennych, to dlaczego Lee John Hudek nie ma, jak one, skorzystać z okazji?

— Właśnie o to chodzi. Gdyby ktoś miał tam zespół zaufanych, ciężko pracujących ludzi, mógłby zarabiać krocie. Chciałbym być tym kimś.

Koniec. Wszystko zostało powiedziane, Wielki Plan przestał być tajemnicą. Nigdy przedtem nikomu o tym nie mówił. Teraz powiedział... i od razu poczuł się pewniej.

— Pomyśl jak pomyśl — usłyszał w odpowiedzi. — Nie taki znowu oryginalny. No i są co najmniej trzy problemy. Powiem ci, jakie, dobrze?

Chłopak skinął głową. Euforia ulotniła się gdzieś, jakby jej wcale nie było.

— Pierwszy i największy to gliny. Jasne, w czasie ferii już pracuje mnóstwo dealerów. Drobnych albo opłacających się miejscowym siłom prawa i porządku. Wiosenne ferie to cały przemysł, Lee Johnie. Każde dowolne miasteczko może zarobić i ćwierć miliarda dolarów w sezon, jeśli uda mu się przyciągnąć napranych piwskim dupków. Żyć albo paść. Bary i nocne kluby oddają w zastaw licencje, niech się co chce dzieje, bo poza sezonem widzą tylko kilku miejscowych pijaczków albo zwyczajnie porastają trawą. Wszyscy wiedzą, że narkotyki są w obrocie. To część układu, łatwa i dla wszystkich zrozumiała.

Kontrolowana. Ale jeśli towar pojawi się w obfitości i ta obfitość wyleje się na pierwsze strony miejscowych gazet, taka dziura jest skończona. Raz na zawsze. Prawo czuwa, żeby to się broń Boże nie stało. Utrzymuje stan równowagi, no i oczywiście gliny dostają coś tam na droższą łódź czy inny fundusz emerytalny. Znasz gliniarzy z Florydy, Lee? Masz tam jakieś kontakty? Masz doświadczenie konieczne do rozmów z florydzkimi oficjelami, oficerami, a nie gliniarzami z patrolu?

Hudek pokręcił głową.

— Tak przypuszczałem. Drugi problem to dostawy. Nawet jeśli obłaskawisz gliny, nawet jeśli umieścisz tam swoich ludzi, a sporo ich będziesz potrzebował, w dodatku do transportu, komunikacji i magazynów, w czym gliniarze może ci nawet pomogą, zostaje jeszcze kwestia towaru. Jak masz zamiar sfinansować zakup? Nie wiem, ile drobnych masz w tej torbie ale wiem, że nie wystarczy.

Lee John wiedział, że to jego słaby punkt.

— Myślałem, że można zawrzeć transakcję z opóźnioną płatnością... — przyznał.

— A więc ktoś daje ci narkotyki, sprawdza, czy potrafisz dostarczyć je na miejsce i upłynnić, a jeśli nie potrafisz, czeka na ich zwrot i swoje dziesięć procent? Nie zwraca uwagi na dziury w planie, pomija fakt, że trochę koki i piguł twoi ludzie zużyją na własne potrzeby albo zapłacą nimi laskom z plaży? Tak myślałeś?

Hudek wzruszył ramionami. Czerwienił się ze wstydu, bo rzeczywiście tak myślał. Siedzący w fotelu mężczyzna nie roześmiał się, ale z cienia dobiegły chichoty. I nie śmiał się z niego jeden człowiek.

— I wreszcie... ostatnia sprawa. Gdzie zamierzałeś znaleźć sponsorów, żeby nie powiedzieć: dobroczyńców? Jeśli pojedziesz na południe tak po prostu, zasięgnąć języka, to faceci z Miami pokroją cię na kawałki, zanim zdążysz otworzyć gębę! Przy niektórych z tych Kubańczyków Crips wyglądają jak pieprzona Martha Stewart!

— Rozumiem. To kretyński pomysł. — Hudek został pobity. Opuścił wzrok na swoje zaciśnięte dłonie.

— Nie, Lee. To dobry pomysł. I po trosze już realizowany. Co więcej, masz rację, źle się go realizuje. Potrzebujesz odpowiedzialnego dostawcy większych ilości towaru, a także metody prania zarobionych pieniędzy. Musisz wykorzystać istniejące już w siłach prawa i porządku układy, musisz dysponować środkami, by je z góry opłacać. Musisz mieć kogoś, kto pomoże ci uniknąć głupich pomyłek i/lub wylądowania martwym pyśkiem we florydzkim bagnie. Mówiąc wprost, potrzebujesz poważnych partnerów.

Hudek podniósł wzrok. Mężczyzna patrzył na niego bardzo poważnie i bardzo twardo.

— Partnerów, którzy by ci ufali, którzy by mieli pewność, że można na tobie polegać. I że zawsze zrobisz to, co polecono ci zrobić.

Chłopak skinął głową. Nie ufał sobie na tyle, żeby się teraz odezwać.

— Będziesz potrzebował partnerów, którzy mogą nawet zażądać, żebyście udowodnili, ile jesteście warci. Zażądać przysługi, kto wie, czy tylko jednej. Bo przecież najważniejsza jest dobra wola, prawda?

— Oczywiście. Czego pan chce?

Mężczyzna w fotelu uśmiechnął się.

— Na razie nie musimy się tym zajmować. Może wkrótce, ale jeszcze nie teraz. — Przyglądał się chłopakowi przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową. — Miło mi znów cię widzieć, przyjacielu. Wychodząc, dostaniesz to, po co przyszedłeś. Tym razem torbę możesz zabrać ze sobą; nazwijmy to gestem dobrej woli. Zapłać swoim ludziom, niech się cieszą. Wkrótce porozmawiamy także o innych sprawach.

Hudek wstał.

— Będę pracował z panem? To znaczy... bezpośrednio z panem?

Mężczyzna pokręcił głową. Lee John poczuł ogromną ulgę.

— Jestem po prostu przypadkowym przechodniem. I mam wiele innych zajęć. Ty nadal będziesz brał towar od Hernandeza. Graj czysto. Patrz i ucz się. Jest dobry. Może ci posłużyć za przykład. Zwłaszcza gdybyś kiedyś zechciał przejść na wyższy poziom.

Puścił oko. Hudek zaryzykował uśmiech.

Skinął głową. Chłopak zrozumiał ten gest, wstał, odwrócił się i odszedł.

Pan Reynolds czekał na niego w korytarzu. Poprowadził go do wyjścia z budynku, przez salę oświetloną porozwieszanymi pod sufitem w nierównych odstępach lampami. Lee Johnowi kręciło się w głowie, drżał, a jednocześnie czuł coś w rodzaju euforii. Nie potrafił pogodzić się z faktem, że jego przewodnikiem jest tata Josha i Stacy. Jakoś zapomniał o tym podczas rozmowy. Ten facet z fotela potrafił skupić na sobie uwagę.

Zatrzymali się przy wyjściu.

— Nikomu nie mów, że mnie tu widziałeś — powiedział pan Reynolds. — Od czasu do czasu udzielam porad, to wszystko. Doradztwo prawne dostępne jest dla każdego obywatela tego kraju.

— Ależ oczywiście, proszę pana.

— Dopilnuj, żeby Bradley też to zrozumiał.

— Jasne. Robi, co mu każę.

Pan Reynolds skinął głową.

— Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Z pewnością dotyczy to wszystkich twoich ludzi. Obawiam się, że nie odzyskacie broni. — Z ciemnego kąta wyciągnął niewielką torbę, jaskrawoczerwoną z białym znakiem firmowym Nike. — A to dla ciebie.

Hudek odsunął suwak na kilka centymetrów. Był w niej towar zwykłej jakości, za to w wyraźnie większej ilości. Rekordowe żniwa. W tej chwili nie był nawet w stanie oszacować, ile zarobi.

— Dzięki — powiedział.

— Nie ma za co, Lee. Ale jeśli się dowiem, że sprzedajesz to gównu moim dzieciom, obojętnie któremu, pożałujesz dnia, w którym się urodziłeś.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł. Lee John sam przeszedł kilka dzielących go od wyjścia kroków.

Wyszedł na zalany słońcem parking; z jakiegoś powodu zdziwiło go, że słońce wciąż świeci. Spojrzał na zegarek. W budynku spędził zaledwie trzydzieści pięć minut. Zdumiewające.

Na parkingu stali trzej ludzie. Jego ludzie.

Podszedł do nich. Brad nadal sprawiał wrażenie oszołomionego. Pete i Steve mieli czerwone usta w miejscach, w których zaklejono je taśmą. Wszyscy byli skolowani, jak żołnierze po ostrzale przeciwnika, bardzo cisi, bardzo spokojni. I wszyscy trzej palili. Lee John po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie korzysta z tego sposobu ukojenia nerwów.

— Kazali nam tu czekać — powiedział Pete. — Hernandez i ci jego dwaj popaprańcy. No... jakby to powiedzieć... jakiś czas nas pilnowali, a potem po prostu sobie poszli. Popieprzone to, cholera. Popieprzone.

Brad zamrugał i jakoś zebrał się w sobie. Zerknął w dół i pierwszy zorientował się, co niesie jego szef.

— Masz prochy?

— Mam.

— I co? Forsę też?

— Też. Można powiedzieć, że to premia. Wszystko w porządku.

Brad pokręcił głową. Jego mózg najwyraźniej domagał się ponownego uruchomienia systemu.

— Więc... co tu się, kurwa, dzieje?

— Wszystko w porządku — powtórzył Hudek. — Tyle wiem. Nic więcej.

Poszli za nim za róg i wzdłuż budynku, aż znaleźli się na ulicy. Lee wcale nie był pewien, co się właściwie stało, nie wątpił jednak, że wyszedł z tego doświadczenia silniejszy i że ma teraz do czynienia z wyższym poziomem profesjonalizmu. Jedno wiedział z całą pewnością: nigdy, ale to nigdy nie popełni błędu polegającego na niedocenieniu ludzi, z którymi spotkał się przed chwilą. A zwłaszcza faceta w fotelu. Jego groźbę łatwo było potraktować jako coś, co mówi się tylko po to, żeby podkreślić, iż sprawa jest ważna. Gładka gadka. Jak w filmie. Chłopak nie wierzył jednak, by chodziło tylko o to. Jeśli już, to wręcz przeciwnie: ten człowiek powiedział dokładnie to, co miał na myśli, zapewne nawet mniej, niż naprawdę ma na myśli. I że bez wahania zrobi, co powiedział.

Lee nadal nie mógł sobie przypomnieć, czy i kiedy się spotkali.

— Wiedziałem, że dziś musi zdarzyć się coś dziwnego — powiedział Śpioch, masując nadgarstki.

— Daj spokój, Pete — przywołał go do porządku Brad.

— Nie, poważnie. Nad ranem, zanim się obudziłem, miałem cholernie dziwny sen. Byłem w centrum handlowym, poszedłem do McD na lunch. Tylko że była noc, mogłeś to poznać, bo wielkie okna, za którymi stoją stoły były ciemne, ale czułem się tak, jakby akurat przyszedł czas na lunch. Tylko nie kupiłem burgera albo coś. Poprosiłem o sałatkę. Przyznacie, że to popieprzone jak cholera.

— Zdumiewające, a nawet więcej — zgodził się Brad. — Wstrzymujemy druk pierwszej strony! Zawiadom CNN! Innymi słowy: pieprzysz, bracie.

— Wcale że nie! Poprosiłem o sałatkę, rozumiecie, ale nie dostałem sałatki, tylko wielką torebkę fritos. Owszem, lubię chipsy, pewnie bardziej niż większość, ale we śnie wcale ich nie chciałem. Chciałem sałaty i tyle. Więc powiedziałem: „Człowieku, słuchaj, chcę tej cholernej zieleniny, masz jakiś problem?”. A facet, ten co obsługuje za ladą, tylko tak jakby się do mnie uśmiechnął, a nie wyglądał, jak jeden z tych, rozumiecie, robotów, był starszy, siwy, mocno zbudowany, można powiedzieć, że niesamowity i groźny. Ale wziął torbę chipsów i dał mi za to inną, wiecie, tak złożoną od góry. Odszedłem od lady, nagle znalazłem się na parkingu, zajrzałem do torby. Nie dostałem swojej pieprzonej sałatki!

— A co dostałeś? — spytał Brad, zaciekawiony wbrew sobie.

Lee John przestał ich słuchać. Patrzył wzdłuż ulicy na dolinę, zachwycając się chwilą, wiedząc, że to tu i teraz jego życie nabrało rozpędu. Już trudno mu było uwierzyć w to, co się zdarzyło. Że to nie był sen... albo coś, co może się zdarzyć tylko w telewizji... świadczyły dwie torby, które trzymał w rękach.

— Szarlotkę — odparł Pete. — Nie miałem ochoty wracać do centrum, wszczynać awantury, więc ugryzłem kawałek. I wiecie co? Ciasteczko wypełnione było czymś czerwonym. A poza tym zimne aż cierpły zęby.

— I co? To wszystko? — Brad spojrział na niego zdumiony.

Nagle, jak na komendę, rozdzwoniły się ich komórki.

— Panowie! — Hudek ocknął się z zamyślenia. — Klienci zaczynają się irytować. Bierzmy się do roboty.

Tymczasem w budynku mężczyźni wyszli z cieni. Ktoś wcisnął kontakt, salę zalało jaskrawe światło.

— Poradzi sobie — powiedział ten, który siedział na fotelu.

Wstał powoli, wyprostował się, rozciągnął mięśnie ramion i grzbietu. — Trzeba go jednak trochę przycisnąć. A potem będziemy gotowi.

## Rozdział piąty

Jim siedział przy oknie baru o nazwie U Marshy gdzieś w Karolinie Południowej. Dziewięćdziesiątką piątką dojechał aż do Savannah, jakieś dwadzieścia kilometrów na północ skręcił w trzysta dwudziestkę jedynek. Jechał powoli, podróż z Keys już zajęła mu dzień dłużej niż powinna. Niemal cały czas trzymał się prawego pasa autostrady, jeszcze jeden siwowłosy dziadek w starym samochodzie, z tych, co to wyprzedza się ich w drodze tam czy gdzie indziej bez zainteresowania, nawet bez jednego spojrzenia. Początkowo robił to, bo przez osiem lat odwykł od podróży dalszych niż do sklepu po zakupy, jednak szybko przywykł do wrażenia, jakie pozostawia uciekająca pod kołami szosa i nie to było prawdziwym powodem, że jechał tak wolno. Nie mógł też zwalić winy na czystą perwersję, choć i ona odegrała rolę w tej powolnej wędrówce.

Na niebie zbierały się ciężkie chmury. Minęła dopiero piąta, było jednak ciemno i ponuro. Przy barze rozmawiano — nie trudno było podsłuchać — o tym, że wieczorem porządnie popada i że najwyższy czas.

Kelnerka bez pytania dołała mu kawy. Uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem, po czym odeszła spełnić kolejny dobry uczynek. Jim przyglądał się jej odbiciu w metalowym uchwycie do serwetek. Włosy farbowała na krzykliwy odcień blond, nawet dwa odcienie. Gdyby była lodówką, pomieściłaby w sobie mnóstwo jedzenia, ale było też w niej coś pociągającego, coś szczerego w jej najzwyczajniejszej zwyczajności. Dziwne,



kiedyś coś takiego nawet nie wydawało mu się możliwe. Dla-  
czego ludzie tak bardzo nie doceniają mocnych pracowitych  
dłoni? Z czymś rodzaju łagodnego zdziwienia uświadomił so-  
bie, że minęło przeszło dziesięć lat od czasu, gdy po raz ostatni  
kochał się z kobietą. Ta myśl przyniosła mu tylko odrobinę  
ulgi.

Posłodził kawę. Przez dłuższą chwilę wyglądał przez okno.  
Wreszcie zbliżał się do celu. Do tej pory się nie spieszył, powłó-  
czył nogami, zupełnie jakby podróż na północ była wspinaczką  
na stromą górę, której samochód nie był w stanie podolać. Ale  
teraz znajdował się o mniej więcej godzinę od celu i przyszła  
pora, żeby przestał wreszcie udawać. Nadal miał do przejecha-  
nia ładnych parę kilometrów, ale z pewnością mniej niż po-  
przednio. Jechał, dokąd jechał, chyba żeby się teraz zatrzymał.  
Nadszedł czas, przerwa, hiatus. Jeśli nie zamierzał czegoś zro-  
bić, to najwyższa pora zacząć tego nie robić!

Poprzez fizyczne objawy rozumiał odczucia, których w tej  
chwili doświadczał. Ucisk w żołądku, tak nieznacznym i pozornie  
normalnym, że można byłoby wziąć go za głód. Po raz kolejny  
spojrzał na ustawione na stelażyku menu, po raz kolejny zrezy-  
gnował z jedzenia. Choć wiedział, że nie powinien. Ktoś parę  
stolików dalej zamówił sandwicza z konserwową wołowiną.  
Pachniał wspaniale. Chleb był lekko opieczony, kiszona kapu-  
sta ciepła i ostra, sos gęsty, dobrze przyprawiony; Jim bardzo  
lubił takie sosy. Zawsze miał bardzo zdecydowane gusta kuli-  
narne. Gdyby coś zjadł, może ucisk osłabłby albo nawet znikł?

Pytanie, czy tego chce.

Nie wiedział. Szczerze i uczciwie nie wiedział.

Dopił kawę i wyszedł. Zostawił dolara napiwku do półtora-  
dolarowego rachunku. Mógł tylko mieć nadzieję, że dolar trafi  
do właściwej kelnerki.

Usiadł za kierownicą. Ze zdziwieniem przyjrzał się leżącej  
na siedzeniu pasażera torbie. Skąd się tu wzięła, pomyślał  
zdezorientowany. Nie od razu sobie przypomniał, że kupił jej  
zawartość w centrum handlowym na południe od Jacksonville.

Tak, oczywiście, kupił i zapłacił, jak wcześniej za coś znacznie poważniejszego, nabytego przed wyjazdem z Key West. A to znaczyło chyba, że podjął decyzję.

Zresztą... nad czym się tu zastanawiać? Prawdę mówiąc, decyzja została podjęta za niego. Ziemia się kręci, serce bije, krew płynie w żyłach i kto się przejmuje, co o tym myślisz?

Sto trzydzieści kilometrów dalej skręcił do Benboro. Później, na rozgałęzieniu, wjechał w złą szosę i musiał zawrócić. Nie za dobrze znał okolicę, a miejscowi nie starali się ułatwiać życia przyjezdnym. Przyjezdni przejeżdżają i tyle. Tu i tam widać było splachetki lasu, ale tak naprawdę po obu stronach drogi rozciągała się równina.

Po Benboro było już prościej, z miasteczka, jeśli należała mu się mu ta zaszczytna nazwa, prowadziła tylko jedna droga. Nieco ponad półtora kilometra dalej znajdował się duży, pochylony znak drogowy. Kiedy Jim widział go ostatnio był bladezielony, potem został pomalowany czerwoną farbą, ale, sądząc po jej wyglądzie, było to dość dawno. Poza tym odnowił go ktoś, kto może znał litery na tyle, że może i rozpoznawał je z kształtu, znaczenie słów było jednak dla niego tajemnicą.

„PARK BENBORO”.

Wjechał w wąską drogę dojazdową. Wiedział, że będzie przejezdna, że dokąś prowadzi, raz na kilka lat dzwonił i rozmowa docierała do celu: osiedla przyczep. Nie zajmował linii wystarczająco długo, by dowiedzieć się, czy na telefon odpowiadała stara kobieta, z którą się zetknął, albo czy park nadal jest otwarty. Nie było powodu, żeby go zamykać, ludzie żyli tam przecież od lat: rodziny, stare małżeństwa, rozczochrani samotnicy. I co teraz, wyrzucić ich nie wiadomo gdzie? Samo Benboro miało w sobie tyle dynamizmu co brudna skarpeta. Nikt nie zamierzał budować wokół niego osiedli ani centrów handlowych, w każdym razie z całą pewnością nie w najbliższych dniach.

Zresztą wcale go to nie obchodziło.

A jednak co parę lat dzwonił.

Droga dojazdowa biegła łukiem, co prawdopodobnie wyglądało bardzo artystycznie na planie nagryzmołonym przez niegdysiejszego developera na strzępku koperty dawno, dawno temu, jednak w rzeczywistości był to po prostu zakręt. Po pokonaniu jego połowy widziało się już około sześćdziesięciu przyczep sześćdziesięciu różnych kształtów i stopni zaniedbania. W odróżnieniu od wielu podobnych osiedli, tu brakowało prostej siatki alejek, developer z kopertą nie kochał zapewne prostoty. Znalezienie konkretnego mieszkańca nie było więc proste, co zapewne miało zarówno dobre, jak i złe strony, na szczęście Jim doskonale wiedział, dokąd jechać. Po przeciwnej stronie osiedla, tam gdzie niewielki zagajnik oznaczał czterdziestometrowy pas jałowej ziemi schodzącej do brzegu leniwej rzeki, stały cztery niskie drewniane budynki, bardzo duże i na pół zrujnowane. Dwa mieściły magazyny i warsztaty konieczne do utrzymania osiedla, dwa podzielono na niewielkie magazyny do wynajęcia.

Przy wjeździe do osiedla Jim zjechał na pobocze. Brama, jeśli tak można było nazwać dwa stalowe słupy i poprzeczkę na wysokości przyczepy, potwierdzała, że rzeczywiście, dotarł do Benboro Park, a nie na Bel Air, do nieba albo na najlepszy ze wszystkich dostępnych światów. Po drugiej stronie przegrody droga się rozwidła. W tym miejscu stała przyczepa pomalowana na ten sam czerwony kolor co znak. Na działce numer jeden. Mieszkała w niej kobieta zarządzająca osiedlem. Nazywała się Hannah. Może nawet jeszcze żyła?

Wysiadł z samochodu. Chmury na niebie zgęstniały. Były ciemne, postrzępione bielą, pękate, ale deszcz wciąż nie padał. Jim miał nadzieję, że spadnie, prędzej czy później, choćby dlatego, że zależało na nim staruszkom z U Marshy, którym z niewiadomych powodów był bardzo potrzebny. Chociaż, z drugiej strony, zepsułby kawałek dnia dziewczynce bawiącej się przed przyczepą stojącą przy drodze odchodzącej w prawo. Dziewczynka była sama. Podśpiewywała cicho. Brzmiało to bardzo miło.

Podchodząc do przyczepy numer jeden, przypomniał sobie historię, którą opowiadał dawno, dawno temu. Właśnie przeszedł długą, męczącą procedurę rozwodową, no i to było

niestety wszystko, co zdołał dla siebie zatrzymać. Niewiele tego, ale wartości sentimentalnej nie ocenia się ilością. Potrzebował bezpiecznego miejsca, z dala od prawników i im podobnych, Jechał do Miami. Przyjaciel powiedział, że może załatwić mu robotę w hotelu. A jeśli nie, zawsze pozostawała Arizona, Teksas, poszukiwanie szczęścia na Dalekim Zachodzie...

Zapukał do drzwi, zza których słychać było telewizor. Nie minęło przesadnie wiele czasu, nim się otworzyły.

— Tak, psze pana?

Była to kobieta, którą pamiętał. Lata spędzone w przyczepie, lata konserwowania się w atmosferze przesyconej tytoniowym dymem, obdarzyły jej cerę brakiem koloru jakże charakterystycznym dla spranych, białych niegdyś ścierek. Suche, siwo-brązowe włosy związała w nieporządny kucyk. Głosiła wszem wobec: „Wiem, że wyglądam jak zmora, ale szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi”.

— Cześć — powiedział Jim, uśmiechając się szeroko. — Hannah, prawda? Nie wiem, czy pani mnie pamięta.

— Nie pamiętam. Nie. Pan tu nie mieszka.

— Oczywiście. Ale wynająłem od pani magazyn. Co prawda było to dość dawno. Teraz chciałbym się do niego dostać.

— Dobrze. Jaki numer?

— Siedemnaście. — Jim bardzo starał się, by głos mu nie zdrzął.

Kobieta weszła do potwornie zabałaganionego biura znajdującego się z tyłu przyczepy. Zbliżał się trudny moment. Jim czekał na zewnątrz wpatrzony w drogę. Mała dziewczynka znikła.

Hannah pojawiła się po kilku minutach.

— Dość dawno to odpowiednie określenie — powiedziała kwaśno. — Dwanaście lat. A zapłacił pan za pięć.

— Coś mnie zatrzymało.

Skinęła głowę.

— To pan wybierał się do Australii?

— Miami. Tak.

— I co, nie podobało się panu?

— Straszny upał, ale poza tym miejsce jak miejsce.

— Upał! Już ja wiem, co to upał. Mieliśmy piekielne lato i ciągle czekamy na deszcz.

Jim wręczył jej zwitek przygotowanych wcześniej banknotów. Przeliczyła je w skupieniu.

— Nie uwzględniłem inflacji — przyznał.

Hannah roześmiała się głośno.

— Tu u nas nie ma inflacji. Nie możemy sobie na nią pozwolić.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Chciałbym przedłużyć wynajem o rok.

— W porządku. Klient płaci, klient wymaga. — Wręczyła mu zardzewiały klucz. — Miłego dnia. Może go pan zostawić na progu.

Zatrzasnęła drzwi. Sprawa skończona.

Jim wjechał na teren osiedla. Dziwił się, że tak łatwo poszło. Dwanaście lat temu przybył tu późno, niespokojny i rozgorączkowany. Łgał niezbyt przekonująco, mimo to Hannah podwiozła go do Benboro na przystanek autobusowy. Zapłacił za pięć lat, nie było go ponad dwa razy dłużej, mogła sobie pomyśleć... no, mogła pomyśleć wszystko. Najwyraźniej jednak dobrze wybrał, to właśnie było najważniejsze, słusznie przewidział, że zapotrzebowanie na przestrzeń magazynową nie będzie tu wielkie. A może Hannah po prostu sprzedała jego rzeczy i teraz siedzi w przyczepie, za zamkniętymi drzwiami, śmieje się głośno, liczy pieniądze...

Zatrzymał się przy trzeciej z wielkich drewnianych szop, podszedł do piątych drzwi. Otworzył je, wszedł do środka.

Magazyn siedemnasty był zwykłym, wydzielonym przepięrzeniem z większej całości prostokątem o wymiarach trzy metry na sześć. Jego zawartość, co widać było na pierwszy rzut oka, pozostała nienaruszona.

Ściągnął płachtę i rzucił ją na podłogę. Po czym stanął i patrzył. Miał szczerzy zamiar zachować obojętność i zimną krew, ale mu się to nie udało.

Jak na coś budzącego tak burzliwe uczucia, zajmujący magazyn siedemnasty obiekt wydawał się nader prozaiczny. Stary biały volkswagen camper nie był ani w tak dobrym, ani tak złym stanie, żeby zwracać na siebie uwagę. Miał wielką

przednią szybę, zapewniającą dobrą widoczność, pozbawiony był za to bocznych okien. Tylną część oddzielała gęsta biała zasłona. Wnętrza nie było widać, ale znajdowała się tam małeńka kuchenka i odgradzona, zajmująca całą szerokość samochodu sypialnia z łóżkiem, w zupełności wystarczającym komuś niezbyt wysokiemu, lubiącemu spać na boku z podkuczonymi nogami. Czegóż więcej potrzebuje wędrowiec? W każdym razie zupełnie wystarczało to temu szczególnemu wędrowcowi.

Jim poszedł do samochodu. Wyjął z niego dwie torby, a w przegródce małej walizki znalazł kluczyki samochodowe. Dziwnie się czuł, trzymając w dłoni kawałek plastiku, patrząc na breloczek — reklamę jakiejś wystawy dzieł sztuki, produkcji działwy szkolnej sprzed osiemnastu lat. I znów stał nieruchomo, wspominając dzień, kiedy kupił campera. Dawno temu. W innym życiu.

Wrócił do magazynu. Otworzył drzwi po stronie kierowcy. Lżejszą torbę rzucił na siedzenie pasażera, cięższą zaniósł do tyłu. Opróżnił bak z resztek benzyny, zastąpił ją nową. Wymienił stary akumulator na nowy, który miał w torbie. Stary schował do bagażnika samochodu, którym przyjechał.

Pora na decydującą próbę. Przewody elektryczne mogły przecież zamoknąć, olej mógł się zestarzeć, zagęścić. Minęło tyle czasu...

Wślizgnął się za kierownicę, siedzenie przyjęło go jak stary przyjaciel. Włożył kluczyk do stacyjki. Przekręcił bez wahania.

Kliknięcie. Nic więcej.

Spróbował po raz drugi. Silnik stareńkiego campera prychnął, kaszlnął... i dzielnie obudził się do życia. Jim pokręcił głową z podziwem i sympatią. Nie był pierwszym kierowcą zdumionym perfekcyjnością inżynierów Volkswagena.

— Miło znów cię słyszeć, stary koniu — mruknął.

Dziesięć minut później położył klucz na schodku przyczepy numer dziesięć i wrócił do popyrkującego cicho campera. Czekał za kierownicą, dopóki przez drogę nie przejdzie starsze małżeństwo. Ani mężczyzna, ani kobieta nie zwrócili na niego

uwagi. Bo i cóż to takiego, brudnobiały camper? Nic. No i Jim przekroczył już sześćdziesiątkę, a ludzi w tym wieku nie uważa się na ogół za interesujących. Samochód, którym przyjechał, stał w magazynie siedemnastym, przykryty płachtą. W środku leżało ubranie Jima Westlake'a. Teraz miał na sobie czarne dzinsy i spłowiła dzinsową koszulę, bardziej w stylu niejakiego Jamesa Kyle'a, nauczyciela, właściciela domu i w ogóle fajnego faceta.

Mała dziewczynka znów bawiła się na ulicy. Nadal sama! Jim zmarszczył brwi. Ktoś powinien się nią opiekować. Ktoś dorosły powinien siedzieć na stopniach przychodni. Niechby nawet popijał piwo, trudno, byleby miał dziecko na oku. Ludzie mieszkający w Benboro Park pewnie nieźle się znali, ale to przecież nie zawsze wystarcza. Aż za często dzieciom dzieje się krzywda. Za często i za łatwo. Tak łatwo, że mogło to doprowadzić do rozpacz. Doprawdy, świat powinien pozwalać na to, by niewinni i niedoświadczeni na zawsze pozostawali, powinni być światem, gdzie ludzie dożywający naturalnego kresu swych dni odchodzą, myśląc sobie: Cóż, szkoda, ale w gruncie rzeczy nie było tak źle. A tymczasem... jak często tak się dzieje? Wszyscy zawsze patrzą w złym kierunku. Zajmują się eleganckimi gabinetami i eleganckimi trawnikami, modą na buty, dietą, losem sław, tym, co o nich myślą ludzie albo tym, co myślą sami o sobie, zamiast zwracać uwagę na innych, opiekować się swoimi i cudzymi dziećmi, rodzicami, żonami, a nawet psami! Powinni poświęcić się ochronie tych magicznych drobiazgów, poświęcić się żywym, kochanym bliskim, bo dopiero kiedy coś znika, przestaje istnieć, kruszy się, orientujesz się, jak cudowna była to pełnia. Ale... ludzie nie myślą, nie przewidują, ponieważ są głupi. Ponieważ mają za dużo ważniejszych zajęć. Ponieważ... no właśnie.

To dlatego kiedyś, dawno temu, robił to, co robił. Żeby pokazać ludziom, co jest naprawdę istotne i o co powinni się troszczyć przede wszystkim. Żeby wiedzieli, co jest jedyne, najważniejsze. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył, ale wtedy tłumaczył sobie wiele spraw i nie zawsze był ze sobą szczery.

Pod tym względem niewiele różnił się od większości ludzi. Myślał nawet, że wewnątrz każdego żyje tak naprawdę dwóch ludzi, okłamujących się nawzajem. Jediną różnicą jest rozmiar... i śmiertelna waga wypowiedzianych czasem kłamstw.

Po kilku kilometrach silnik rozgrzał się jak należy. Volkswagen najwyraźniej cieszył się, że znów pozwolono mu pokazać, co potrafi. Jim wrócił na trzysta dwudziestkę jedynek. W zapadającym zmierzchu ruszył na północ. Towarzyszyły mu ciężkie burzowe chmury.



## Rozdział szósty

Nina stała w Raynor's Wood życząc sobie przede wszystkim tego, żeby mężczyźni zamknęli gęby i pozwolili jej się skoncentrować. Ranek spędziła na posterunku policji w Thornton, gdzie wtajemniczono ją w sytuację oraz pokazano mnóstwo czarno-białych zdjęć martwego mężczyzny, znalezionego niecałe dwa metry od miejsca, w którym stała w tej chwili. Prawdę mówiąc, było to zupełnie zbyteczne. Po tym, jak Olbrich zostawił ich i odjechał do Los Angeles, podczas podróży na wschód nie rozmawiała z szefem o niczym innym tylko o tym wypadku. Dowiedziała się o nim wszystkiego. A faktów, trzeba przyznać, było niewiele. Im częściej je powtarzała, tym bardziej puchły, jak zostawiony na deszczu chleb, coraz większy, owszem, lecz tracący smak. Monroe stał teraz nad brzegiem strumienia, piętnaście metrów dalej, otoczony tłumkiem gliniarzy, powtarzając po raz kolejny to samo. Spróbowała zagłuszyć jego głos i natychmiast usłyszała inny, bliższy i nie do zagłuszenia.

— Widzicie te krzaki? To dlatego nikt nie dostrzegł go wcześniej.

Słowa te wypowiedział Joe Reidel, dobrze zbudowany młody detektyw z wydziału zabójstw. Był jednym z tych gliniarzy Biura Szeryfa Okręgu Cathridge, którzy przyjechali do Thornton i pracowali nad sprawą od wczorajszego ranka. Miejscowa policja najwyraźniej nie miała nic przeciwko obecności na jej

terenie funkcjonariuszy wydziału śledczego. Nawet ludzi z FBI przywitali przyjaźnie, chociaż to właśnie Reidel zainicjował kontakt. Na pierwszy rzut oka widać było, że mieszkańcom miasteczka nie podoba się, że na jego terenie znajdowane są trupy, więc z radością witają każdego, kto może im pomóc w pozbyciu się tego nieprzyjemnego problemu. Detektyw był jedynym obcym, który nie przekazał jeszcze Ninie faktów tak, jak on je widzi, zabarwionych własnymi przemyśleniami. Może gdyby mu na to pozwoliła, wszyscy wreszcie by się zamknęli i pozwolili jej pomyśleć.

— Widzę, widzę — mruknęła. Raynor's Wood otaczały miasteczko od północy. Przecinała je leniwie płynąca rzeczka. Grunt po jej obu stronach był mniej lub bardziej bagnisty, tu i ówdzie powstawały nieruchome oczka wodne, nad którymi unosiły się chmury muszek. Ciało było do połowy zanurzone w jednej z takich kałuż, w odległości paru metrów od wyglądającego dość dziwnie wybrzuszenia ziemi. Rzeczywiście, od ścieżki biegnącej wzdłuż rzeczki odgradzała je kępa krzaków. Nina posłusznie popatrzyła się na to maskowanie. — Ale — dodała po chwili — przecież trudno nazwać to poważną próbą ukrycia ciała.

— Nie — przyznał Reidel. — A w dodatku to dość popularna trasa. — Wskazał grzbiet wzgórza, gdzie las się przerzedzał. Na jego szczycie znajdował się mały parking. — Nie nazywamy tego „Aleją Kochanków”, ale po prawdzie tym właśnie jest.

— Nie grzeszy urodą.

— To małe miasteczko. Człowiek uczy się zadowalać tym co ma.

— Nadal nie znaleźliście ubrania? Śladów krwi?

— Nie. — Detektyw szerokim gestem objął okolicę. — To trudne miejsce zbrodni ze względu na liście, gałązki i całe to leśne gówenko, jednak jestem pewien, że przed przyjazdem techników nikt niczego nie ruszał. Para, która znalazła ciało, trzymała się od niego z daleka.

— Badanie ran kłutych klatki piersiowej i brzucha wykazało, że w chwili śmierci ofiara była ubrana?

— Najprawdopodobniej. W ranach znaleziono mnóstwo

włókien, ale te dwie w okolicy genitaliów są dziwnie czyste, więc może...

— Facet został zaatakowany w trakcie aktu seksualnego.

Racja.

Nina wyjęła spod pachy kopertę, a z niej dwa zdjęcia zrobione na miejscu. Pierwsze przedstawiało plan ogólny; zakładała, że to miejsce zbrodni, takie jakie widzieli ludzie, którzy znaleźli ciało. Trup w lesie o zmierzchu. Wielki, blady leżący tam, gdzie go ktoś zostawił. Wyglądał tak absurdalnie, że na pierwszy rzut oka nie rozpoznawało się jego płci, choć był całkiem nagi. Leżał na boku, nogi miał wyprostowane. Na brzuchu i piersi widać było rany klute. Pierś była niewątpliwie męska.

Drugie zdjęcie pokazywało go w zbliżeniu. Widać było, że głowa mężczyzny częściowo spoczywa w wodzie, na powierzchni znajdowały się wyłącznie broda i nos. Oczy i usta były otwarte. Bardzo ostro ukazywało bezwłose części ciała, sprawiające wrażenie miękkich, lepkich jak surowe mięso, długo leżące na ladzie u rzeźnika. Lewa ręka odrzucona była na bok niczym we śnie, prawa, uniesiona, przebijała lustro wody niczym gałąź zatopionego drzewa. Brakowało prawej dłoni.

— Znalazł ją ktoś? — spytała Nina.

Reidel powoli pokręcił głową. Nie wyglądał na kogoś, kto ma zamiar wynieść się stąd w najbliższej przyszłości.

— Dziwnie to wszystko czyste — zauważyła spokojnie Nina. — Siedemnaście ran klutych, amputacja, a na ciele brak śladów krwi. Przecież nocą i w ciągu dnia przed jego znalezieniem nie padał deszcz.

— Co może sugerować, że ofiara została zamordowana gdzie indziej, rozebrana i okaleczona, po czym ciało przeniesiono tu. Być może.

— Zginął mniej więcej przedwczoraj wieczorem?

— Tak. Patolog sugeruje także, że ciało przeniesiono, o czym świadczy względna ilość robaków i mikroorganizmów. Amputacji dokonano po śmierci, co do pewnego stopnia tłumaczy brak krwi. Nie ma jak odczekać, aż facet wykorkuje, a potem go kroić. Mniej problemów.

— Ale to ciągle ciężka praca. — Nina po raz kolejny zajrzała do notatek. Ręka odcięta dwoma, może trzema uderzeniami

ciężkiego, ostrego narzędzia. Brak śladów piłowania. Na badania krwi trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. — Najbliższe miejsce parkingowe jest tam, na górze, tak? Kawalek drogi, a ofiara waży ze sto kilo. I to miałyby zrobić kobieta?

— Na plecach stwierdzono rozcięcia i otarcia pasujące do przypuszczenia, że ciało ciągnięto, nie niesiono.

— Mimo wszystko. Nie chciałabym ciągnąć go taki kawał, a ja dużo ćwiczę. No, w każdym razie ćwoczyłam.

— Motyw seksualny wylazi nam z każdej strony, a gość nie był homoseksualistą. Miał czterdzieści sześć lat, żonę, dwójkę dzieci.

— Bywa, że homoseksualista jest żonaty i dzieciaty. Może nie tu u was, na południu, ale bywa.

Policjant uśmiechnął się lekko.

— Proszę pani, ja urodziłem się w DC. Tam widzi się wszystko, pod warunkiem że człowiek wie, gdzie zajrzeć. Tyle że nasz klient miał opinię człowieka o ruchliwych dłoniach... często wędrowały w stronę damskich tyłków. Chadzał także do miejscowych barów. Nikt nie potwierdził, by z któregoś z nich wychodził w towarzystwie kobiety, ale chętnie z kobietami rozmawiał. Także z barmankami. Jedna z nich określiła go nawet słowami „strasznie napalony”. Z dziewczynami pracującymi na nocnej zmianie będziemy jeszcze rozmawiali. Nic z tego nie udowadnia oczywiście, że nie był gejem, ale jeśli chodzi o dowody materialne, to piłka jest zdecydowanie po pani stronie kortu. A przy okazji, skoro już o tym mowa... może zechce pani wyjaśnić, skąd się wzięły ślady szminki na szyi denata?

— Spróbuję także znaleźć jakieś dowody, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Bo na razie znaleźliśmy ofiarę. A więc także mordercę. I to wszystko.

— To pani jest ekspertem. — Reidel zdusił papierosa między palcami, a niedopałek schował porządnie do paczki. — Teraz chyba będzie lepiej, jeśli zostawię panią z jej myślami, agentko Baynam. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zwrócić się do mnie bez wahania.

Zszedł po zboczku do stojącej na dole grupki gliniarzy. Po chwili buchnął z niej głośny śmiech.

Nina odwróciła się. Przez kilka długich chwil kontemlowała zбочe.

Nina i Monroe sami poszli porozmawiać z Julią Gulicks i Markiem Kroegerem. Oboje mieszkali w Thornton, ale pracowali w Owensville, najbliższym większym mieście. Poszli na spacer do Raynor's Wood wieczorem, w dniu ich piątej randki. Do tej pory ze sobą nie spali. Nie spieszyli się, bo i po co? Pewnie zastanawiali się, czy ta noc może być tą nocą. Tak naprawdę to dwójka dzieciaków, choć wcale nie dzieciaki. Dwadzieścia dziewięć i dwadzieścia pięć lat.

Rozmowa odbyła się w sali konferencyjnej firmy, w której oboje pracowali. Żadne z nich nie czuło się tu komfortowo, Nina uznała jednak, że to zupełnie zrozumiałe. Po trzech tygodniach ukradkowych spotkań w mieszczącym się sto metrów dalej barze ich rodząca się dopiero przygoda była prawdopodobnie na ustach całego miasteczka. Wyczuła, że Julia Gulicks należy do tego gatunku kobiet, które traktowały prywatność tak jak ona — jako prywatność. Powyżej dwudziestki to już nie zabawa, a już na pewno nie sport domagający się tłumu kibiców.

Przesłuchanie prowadził Monroe.

— Do której byliście w barze?

— Mniej więcej do dziewiątej — odparł Kroeger. Mówił ci-cho, na skroniach miał kilka wczesnych siwych włosów. — Nieco później niż zwykle, bo... no... ostatnio chodziliśmy do Italian Kitchen. To parę przecnie stąd.

— A dlaczego nie poszliście tam w ten czwartek?

Mark zerknął na Julię, zaczerwienił się, i wbił wzrok w podłogę.

— Noo... — zaczęła dziewczyna. Miała uderzająco rude włosy, bladą, ale lekko opaloną twarz i piegi. — Przecież... przecież już o tym rozmawialiśmy...

— Wiem — powiedział łagodnie Monroe. — Muszę jednak prosić państwa...

Nina próbowała się nie uśmiechnąć. Odplynęła. Wszystko było już w aktach, spisane przez Reidela, prowadzącego

przesłuchania poprzedniego wieczoru. Mówił przede wszystkim Kroeger. Czwartkowa noc miała być tą nocą. Wiedział o tym i sądził, że jego dziewczyna też o tym wie. Ta niewypowiedziana pewność sprawiła, iż ich spotkanie było znacznie bardziej formalne. Rozmowa się nie kleiła, ważniejsze od tego, o czym rozmawiali było to, o czym nie mówili. Spotkali się po pracy, jak zwykle poszli do baru przy Union Street. Ich trzy pierwsze półrandki odbyły się właśnie tam, trzy kolejne w Italian. Obsługa była przyjazna, przychodzące pary traktowała naturalnie, jako pary. Spotkania od drugiego do czwartego kończyły się pocałunkami, coraz bardziej namiętnymi. Piąte zwiastowało, że najwyższa pora na wielką zmianę. Żadne z nich nie miało pewności, czy tego wieczoru zjedzą kolację. I żadne nie chciało o to pytać. Nina była skłonna założyć się o duże pieniądze, że w Trenton co najmniej dwa mieszkania były wręcz idealnie wysprzątane, a u Julii na łóżku leżała pewnie czysta pościel. On chyba nie posunął się tak daleko (może nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest to jakaś opcja?), ale swoje łóżko co najmniej prześcielił. Oboje trzymali w lodówce butelkę dobrego wina — jedną, bo pili niewiele — oboje ułożyli poduszki na kanapach, na regałach w pierwszym rzędzie znalazły się najmądrzejsze książki. A jednak żadne z nich nie zdobyło się na to, by powiedzieć: „Słuchaj, a może pojedziemy do mnie?”. I żadne nie zaproponowało wizyty w Italian, bo stamtąd człowiek wychodzi najedzony, nawet ocieęzały, a to nie sprzyja... no, wiadomo czemu.

Więc tylko się do siebie przysunęli. Całowali się trochę, choć niezbyt namiętnie, bo nie było to właściwe miejsce, a poza tym od Thornton dzieliło je dwadzieścia pięć minut jazdy samochodem i nikt nie chce zakończyć zbyt wcześnie. Rozmowa stopniowo odchodziła od spraw ogólnych, zaczęli mówić o porze roku, pogodzie, która w gruncie rzeczy nie była zła, no więc dlaczego, na przykład, to tylko luźny pomysł, nie pójść na spacer? Być może niewiele już było wieczorów obiecujących radość z przechadzki? W końcu Mark zapłacił rachunek, chwilę nawet chodzili tam i z powrotem po uliczce, lecz szczerze mówiąc w Owensville niewiele jest do oglądania, więc szybko wrócili do samochodu i pojechali do Thornton. Oboje myśleli o

tym samym: że może jest jeszcze odrobiną za wcześnie. Więc, kiedy mijali skrzyżowanie, gdzie od drogi odchodziła wąską dróżką, niecały kilometr od miasteczka, dziewczyna doznała olśnienia.

— Dlaczego nie mielibyśmy zaparkować tu i pójść na spacer?

Mark skinął głową.

— A znasz tę dróżkę? — spytał.

— Nie — przyznała Julia. — To znaczy znam las. Wszyscy go znają. W ciągu dnia bawią się tu całe rodziny. Ale nigdy... nigdy nie przeszłam się tędy nocą.

— Ja też nie — przyznał Mark.

Jakie to słodkie, pomyślała w tym momencie Nina.

— Ale ludzie stąd korzystają z niej regularnie?

Oboje jednocześnie skinęli głowami.

— Więc przeszliście kawałek, zatrzymaliście się i wtedy pan Kroeger dostrzegł coś za krzakami.

Mark posłusznie opisał, jak przeszli zaledwie sto metrów dróżką, a potem chwilę wzdłuż strumienia. Obejmował przyjaciółkę, podniósł wzrok... i dostrzegł kogoś leżącego z wyciągniętą ręką. Podeszli bliżej, uświadomili sobie, co widzą, i z telefonu komórkowego zawiadomili policję.

Cztery godziny później wrócili do domu. Każde do swojego. Czwartkowy wieczór nie okazał się jednak tym szczęśliwym. Nina uznała, że ich wspólna noc została odsunięta w czasie. Martwego człowieka niełatwo wymazuje się z pamięci. Kroeger nadal krzywił się na tę myśl.

— Zidentyfikowaliśmy ofiarę — oznajmiła Nina. — Pochodził stąd, nazywał się Larry Widmar. Któreś z was go zna?

Oboje pokręcili głowami i to był koniec rozmowy.

Wracali do Thornton. Za kierownicą siedział Monroe. Nina jeździła z nim wielokrotnie i zauważyła, że średnia osiągnana prędkość zmalała o dobre dziesięć procent. Postrzał musiał wpłynąć na gotowość do podejmowania ryzyka szefa, zupełnie jakby ciało wysyłało mu sygnały ostrzegawcze. Poza tym wyglądał znacznie starzej. To akurat mogła zrozumieć. Sama

została przecież postrzelona, niemal rok temu, wkrótce po spotkaniu Warda. Zdarzyło się to w miejscu zwanym „Dwory”, w górach, niedaleko Yellowstone. Jeden z mężczyzn wplątany w zabójstwo rodziców Warda trafił ją w pierś, tuż poniżej obojczyka. Potem przez dłuższy czas czuła się stara, jakby zimne wiatry znalazły sposób, by przenikać jej ciało. A teraz? Teraz nie wiedziała, jak się czuje. Po prostu dziwnie jest wrócić do świata, znów pracować w zawodzie. To nierzeczywiste, nawet niesamowite.

Poza tym bolała ją głowa.

Miejscowi gliniarze mieli dziś obejść bary, spróbować znaleźć kogoś, kto widział Widmara w środowoy wieczór lub kiedykolwiek wcześniej. Większość spędzi noc w Raynor's Wood, zapewne strasząc wszystkich tych, którzy uznali, że ta noc jest ich nocą. Ich dwoje czekało ostatnie zadanie: przesłuchanie innej osoby, o której można powiedzieć, że jest wplątana w sprawę.

— Co powiedział o mnie Reidel?

— Kiedy?

— Przecież wiesz. Gdy zszedł do strumienia po tym, jak ze wszystkich sił przeszkadzał mi spokojnie pomyśleć.

— Jego zdaniem zależy ci na tym, żeby wykazać, że to nie mogła być seryjna morderczyni. Co wydało mu się dziwne, bo, jak powiedział, wyglądasz na taką, która potrafi obciąć facetowi jaja i to bez mrugnienia okiem.

— A wy się z tego śmieliście.

— Nie ja, Nino.

— Wiesz, jaka to głupota zakładać, że morderstwa dokonała kobieta.

— Kobiety zabijają, Nino.

— Nie w ten sposób.

— Przypominam sobie wiele kobiet skazanych za coś podobnego.

— Skazany nie zawsze znaczy „winny”.

— Zawsze. Prawdę mówiąc, tak działa system.

Rozmowa wkrótce się skończyła, co dało Ninie szansę przyjrzenia się miasteczku, do którego właśnie wjeżdżali. Niespecjalnie ją to cieszyło. Nie potrafiła wskazać żadnej szczególnej



przyczyny ale po prostu nie lubiła Thornton. Obiektywnie owszem, wydawało się całkiem sympatyczne. Znajdowało się w południowo-zachodnim rogu stanu, trzydzieści minut od Smith Lake, godzinę od Parku Narodowego Blue Ridge. Główną drogą z Owensville bez problemu dojeżdżało się do małej dzielnicy biznesowo-handlowej. Można tam było kupić burgera z Renee's, przesmarować samochód, przejechać lub wysłać rzeczy, kupić kosiarkę, przespać się w hotelu należącym do jednej ze znanych sieci. Ktoś, kto pojechałby dalej, prosto, wyjechałby z miasteczka, nie widząc nawet jego starego centrum. Jednak gdyby skręcił w lewo przy Ponderosa, drogą prowadzącą wokół wzgórze, minąłby duży stary kościół i szkołę: kilka sporych budynków sprawiających ogólne „gotyckie wrażenie”, wyrastających pewnie poza murem szerokich zielonych trawników i drzew. Po drugiej stronie ulicy stał mniejszy budynek, przedszkole, nazwane wdzięcznie „Śpioszek”. Następnie droga prowadziła w dół, do uroczo ocienionej wysokimi drzewami historycznej dzielnicy, na którą składało się zaledwie kilka uliczek. Był tu oczywiście Starbucks, restauracje i pracownie, w których gustownie oprawić można było dosłownie wszystko. Nic tu nie miało więcej niż dwie kondygnacje, wszystkie frontony były drewniane, chodziło się po zasypanych liśćmi chodnikach z ozdobnie ułożonej czerwonej cegły. Ludzie spacerowali sobie tu i tam, niosąc pod pachą lokalną gazetę. Młode, obowiązkowo szczupłe mamy, każda z maluszkiem przy boku, zatrzymywały się jedna przy drugiej, by miło spędzić kilka chwil. Samochodzik UPS rozwodził wszystko, co potrzebne.

Zaledwie kilka przecznic dalej nie było już tak malowniczo, potem ulice zrobiły się jakby węższe, a domy stały na większych działkach, kurczowo trzymając się wspomnień swej dawnej świetności. Wreszcie zaczynały się otwarte przestrzenie, trzecia część miasta obrzeżona Raynor's Wood, lasem ciągnącym się wiele kilometrów na północ.

Takie miasteczka co roku zajmują pierwsze miejsce wśród wielu tych, które nie zmieściły się w kompendium „Najbardziej czarujących małych miasteczek Ameryki”. A Nina spędziła w nim niespełna dwadzieścia cztery godziny... i zdecydowanie go nie lubiła.

Próbowała to sobie wytłumaczyć. Przecież stało się ono miejscem zbrodni, co musiało się jakoś na nim odcisnąć, choćby wiedzą, że jakkolwiek uroczym by tu było, miasteczko to kazało zagrać dwóm osobom dwie główne role w scenie zbrodni: rolę mordercy i rolę ofiary. Jakim cudem je przyjęli? Jak to się stało? Czy miasteczko jako takie nie jest w pewien sposób odpowiadające za to, co dzieje się w jego granicach? Ludzie zabijają się, owszem, w wielkich miastach, w głębi serca wiemy przecież, że są za wielkie, że tam wszyscy mieszkają zbyt blisko siebie i nawet się nie znają, że nie potrafią dzielić się ze sobą moralnymi standardami według ustalonych zasad. A małe miasteczka... to one winny reprezentować i wspierać ideał wspólnoty, w której na takie rzeczy po prostu nie ma miejsca.

A jednak Nina zbyt długo pracowała w tym zawodzie, by pielęgnować naiwne wyobrażenie o małych społecznościach i wiejskich ideałach. Wielkie miasta budowały gmachy śmierci od fundamentów, małe miasteczka dostarczały często barokowych wręcz dekoracji.

No więc w Thornton coś się działo. W Thornton nie wszystko było w porządku.

Widmarowie mieszkali w średniej wielkości domu w stylu królowej Anny, wyposażonym w wyłożoną kostką werandę. Gayle Widmar zbliżała się do pięćdziesiątki, wyglądała szalenie elegancko, prezentowała też staranną fryzurę, choć od trzydziestu sześciu godzin pogrążona była w żałobie. Dziećmi opiekowała się jej siostra mieszkająca czterdzieści minut drogi stąd. Gayle miała zamiar dołączyć do nich, gdy tylko ta rozmowa się skończy. Jej podręczna torba już stała w holu. W domu panowała dziwna cisza, tak charakterystyczna dla miejsca, w którym nagle wszystko się zmieniło.

Pani Widmar siedziała w fotelu z wysokim oparciem, ustawionym pośrodku dużego salonu. Nina szybko zadała kilka podstawowych pytań. Mąż Gayle, Lawrence — ani razu nie nazwała go Lanym — był właścicielem sieci pralni chemicznych (czyli dwóch, co Nina ustaliła wcześniej) oraz współwłaścicielem popularnej pizzerii w historycznej dzielnicy miasta.

Zasiadał w radzie szkolnej. Mieszkali tu, gdzie mieszkali, choć stać ich było na znacznie więcej, a to dlatego, że oboje dorastali w okolicy. Byli małżeństwem od dwudziestu lat.

Pani Widmar zachowywała się z rezerwą, akcentowała nawet swą wyższość, jak to się często zdarza w przypadku małżonków ludzi, którzy zmarli nagłą śmiercią. Ci ludzie potrzebują wsparcia, ale nie ufają światu. Mają wrażenie, że ktoś po cichu o coś ich oskarża. Ich zdaniem panuje powszechne przekonanie, że gdyby okazali się w jakiś sposób lepsi, ich partnerom nie przydarzyłoby się nic złego. Pięć procent winy za każde morderstwo spada na najbliższych ofiary więc, choćby nawet nieświadomie, są oni wściekli na ofiary właśnie za to, w jakiej sytuacji się znaleźli, a zwłaszcza za to, że muszą stawić jej czoło samotnie, co jest dla nich przerażające i nieznanne. Bliscy muszą także pogodzić się jakoś z tym, że morderstwo to nie fikcja wymyślona, by bawić, ono się po prostu zdarza, po morderstwie nie pojawiają się napisy końcowe. Życie toczy się dalej, choć być może nie wiesz, gdzie przechowywany jest tytuł własności domu albo kto naprawia kosiarkę. Niełatwo pogodzić się z myślą, że rzeczywistość i fikcja są bliżej ze sobą spokrewnione, niż skłonny byłeś przypuszczać. Bo jeśli tak jest, to co jeszcze może okazać się prawdą? Istnienie obcych? Duchów?

Monroe wysłuchał zeznań pani Widmar o ostatnich znanych jej czynnościach męża: w środę wieczorem jadł kolację w towarzystwie współnika od pizzerii, nie wrócił do domu, poinformowała policję o jego zniknięciu o siódmej rano następnego dnia. Tymczasem Nina przyglądała się stojącym na półce nad kominkiem fotografiom. Lawrence Widmar wyglądał na nich tak przeciętnie, że wydawało się to wręcz niesamowite. Standardowy uśmiech. Grzywa siwych włosów. Prawdziwy filar lokalnej społeczności. Jakże łatwo było wyobrazić go sobie w banku. Jakże łatwo było wyobrazić sobie, jak wspiera datkami komitet rodzicielski, a także szkolną drużynę sportową. Jakże łatwo było wyobrazić go sobie przysuwającego stołek do samotnej damy, pytającego, czego się napije. Może i było to krzywdzące wyobrażenie, jednak śmierć sprawia, że nasuwa się tyle pytań, iż niemal każda odpowiedź może okazać się dobrą odpowiedzią.

— Wspólnik pani męża powiedział nam, że rozstali się około wpół do jedenastej — powiedziała. — Domyśla się pani, co Lawrence mógł robić później?

— Nie — odparła Gayle. — Czasami wieczorem chodzi na długie spacery. Robi to... robił... przez ostatnie trzy, może cztery lata. To był jego sposób na utrzymanie formy. Nie lubił siłowni.

— Czy miał może swoje ulubione miejsca, trasy?

— Nie. Po prostu chodził po miasteczku...

— Raynor's Wood?

Kobieta spojrzała na nią chłodno.

— Ostatnim razem był tam nocą ponad dwadzieścia lat temu. Ze mną.

— Pani Widmar, miejscowa policja jest przekonana, że pani męża zamordowała kobieta. Co sądzi pani o tej koncepcji?

— To samo co pani.

— Czyli?

— Nic niewarta.

— Czy mąż panią zdradzał? Przykro mi, ale muszę zadać to pytanie...

— Wiem. To konieczne. Moja odpowiedź nie różni się od tych, których w ciągu ostatnich dwóch dni zmuszona byłam udzielać wielu ludziom, pragnących dowiedzieć się tego bezpośrednio lub pośrednio. Nie.

— I nie wie pani o nikim, kto mógłby mu źle życzyć?

Pani Widmar gwałtownie pokręciła głową. Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała się załamać. Głośno wysmarkała nos, zapatrzyła się we własne kolana, mrugnęła kilkakrotnie, szybko.

— Kochałam męża — powiedziała w końcu. — Nadal go kocham. Był przyzwoitym człowiekiem, dobrym ojcem. Brzmi to banalnie, lecz jest prawdą. Dzieci będą bardzo za nim tęskniły. Bardzo. Jednak... był tylko facetem. Zwyczajnym facetem. — Wreszcie podniosła wzrok. — Ja po prostu nic nie rozumiem. Dlaczego ktoś miałby zabijać kogoś takiego?

— Bardzo często nie dowiadujemy się dlaczego.

— Dlaczego ta sprawa znalazła się w kompetencji FBI?

W tym momencie do rozmowy włączył się Monroe:

— W zabójstwie pani męża są aspekty, które nas zainteresowały.

Pani Widmar uśmiechnęła się krótko. Wargi miała zaciśnięte.

— Więc zainteresujcie się bardziej. Znajdźcie tego, kto nas skrzywdził.

— Oczywiście zrobimy, co w naszej mocy.

Ale ona nie rozmawiała z nim.

Nina i Monroe szli drogą. Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucało na ziemię skośne złote promienie.

— I co myślisz?

— Wiemy, że nie była w stanie tego zrobić — powiedziała Nina. — Nie wydaje mi się, żeby mogła zaangażować się w inny sposób. Jakiś motyw wskazujący na współnika?

Monroe pokręcił głową.

— To starzy przyjaciele, facet nie miał nic do zyskania, a bardzo wiele do stracenia. Wydaje się bardziej wstrząśnięty niż żona.

— Jest wstrząśnięta. — Nina wzruszyła ramionami. — Uwierz mi na słowo.

Doszli do samochodu. Nina czekała, aż Monroe otworzy drzwi, ale jej szef zwrócił nagle uwagę na stojący po przeciwnej stronie ulicy dom. Był mniejszy niż rezydencja Widmarów i w znacznie gorszym stanie. Wyglądał tak, jakby wystawiono go na sprzedaż, a pośrednik nie za bardzo przykładał się do sprzedaży.

W końcu wrócił do rzeczywistości.

— Widmar cieszył się określoną reputacją. Żadnych skandali, jednak mówiło się to i owo. Jedna z dziewcząt pracujących w jego pralni, kelnerka z restauracji... Okazjonalne skoki w bok.

— Wiem. Reidel mi to powiedział. Najwyraźniej niektóre spacerki pana Widmara kończyły się w barze. Żona nie wiedziała, owszem, ale to nie znaczy, że facet prowadził podwójne życie albo był sukinsynem. Mężczyźni w pewnym wieku chętnie rozmawiają z barmankami. Napastowanie napastowaniem, ale ruchliwe rączki nie robią jeszcze z człowieka prawej ręki Hitlera. Nie wszyscy żyją z twoim poczuciem moralności, nie wszyscy tak się kontrolują.

— Nie twierdzę, że Widmar był złym człowiekiem. I nie podoba mi się ten sarkazm — nadał się Monroe.

— Sarkazm? Twoje poczucie moralności znane jest jak świat długi i szeroki.

— Nino, dlaczego wkręcasz mi jaja w imadło?

— Chyba dla rozrywki.

— Nie wierzę. Nigdy niczego nie robisz bez powodu. Powiedz mi wszystko teraz, bo drugi raz nie zapytam.

— W porządku. — Przechyliła głowę. — Ward powiedział mi, że to, co od nas dostałeś, zdjęto ze sprawy Jones/Wallace. Że Paul znów jest tylko zwykłym psychopatycznym mordercą.

— Chryste! Olbrich! Świetny glina, ale gada...

— Może uznał, że jest coś winien Wardowi, choćby za zmylenie jego psychopatycznego brata. A tak przy okazji, nadal nic o nim nie wiecie? A wczoraj byłeś taki pewny siebie.

Monroe pokręcił głową.

— To jak jest, Charles? Prawda czy fałsz?

— Nie mamy żadnych dowodów, by ktokolwiek inny miał związek z tymi zabójstwami, a tego dotyczy proces. Hopkins może sobie pokrzykiwać o spiskach, o seryjnych mordercach, ale to tylko mącenie wody.

— Wiesz, jak się nazywają, Charles. Mówią na nich Niewidzialni.

— Wiem tyle, ile mi powiedziałaś. Nie wiem, czy to prawda. I nie jest to materiał na sprawę, którą można byłoby wnieść do sądu.

— I nie ma nic wspólnego z faktem, że gdyby sprawa trafiła do sądu, pewnie wyszłoby na jaw, że dostałeś informację o tym, gdzie są zwłoki Jessiki Jones. Czy samo to nie sugeruje, przynajmniej do pewnego stopnia, że miała z tym związek jakaś osoba lub osoby? Nie chcemy mącić wody, co?

Nina dopiero w tej chwili zauważyła, że przed domem po przeciwnej stronie ulicy stoi mężczyzna. Podlewał trawnik, przyglądając im się z zainteresowaniem. Uświadomiła sobie, że gdyby podniosła głos choćby odrobinę, można byłoby mówić o krzyku. Ciszej, nie tak pewnie, powiedziała:

— Wracajmy do hotelu, Charles. Niech wtopię się w tło. Jak na jeden dzień dość mam tego miasteczka.

## Rozdział siódmy

Samochód podjechał przed Holiday Inn nieco przed piątą. Stałem na parkingu. Częściowo dlatego, że mogłem zapalić papierosa i nikt krzywo na mnie nie patrzył, częściowo dlatego, że nie odczuwałem nieprzepartej ochoty, by wpaść na Monroe'a.

Widziałem, jak wysiedli z samochodu. Podeszedł do nich jeszcze ktoś, do tej pory czekający przed wejściem. We trójkę weszli do hotelu i znikli mi z oczu. Uznałem to za nieco dziwne. Ten trzeci był prawie mojego wzrostu i trochę lepiej zbudowany, Czuję się tak, jakbym nagle znalazł się na zewnątrz ciała, na zewnątrz życia, i przyglądał się samemu sobie. Nie jest to przyjemne uczucie. A wzmagało się, kiedy czekałem, patrzyłem na trzy postacie w pokoju sto siedem, tym na parterze. Gdybym był młodszy, pewnie uznałbym, że facet włóczący się po parkingu z gnatem w kieszeni marynarki jest fajny i w ogóle. Teraz człowiek już tylko zastanawia się, czy mu pozwolą wejść.

Po czterdziestu minutach drugi facet wyszedł z hotelu, wsiadł do samochodu i odjechał. W końcu w pokoju została, jak mogło się zdawać, tylko jedna osoba. Przez chwilę stała nieruchomo. Widziałem ją przez firanki.

Wszedłem do środka, minąłem recepcję, skręciłem i ruszyłem korytarzem. Zapukałem do drzwi. Otworzyła mi po pełnej minucie.

Nina zdjęła buty, przez co wydawała się o pół metra niższa,

jakimś cudem zachowując te same wymiary. Była także zmęczona... i ostrożna.

— Skąd wiedziałeś, w którym hotelu mieszkam?

— Zadzwoiłem do glin. Powiedziałem, że jestem gościem FBI i mam dla ciebie przesyłkę.

— Jezu! A numer pokoju?

— Od czego jest recepcja? Trudno ukryć się w małym miasteczku. Może powinienem cię uprzedzić, że jeśli Al-Kaida zdecyduje się napaść na miejscowy bank spółdzielczy, to może się jej udać.

Nawet się nie uśmiechnęła.

— Popelnilem błąd, przyjeżdżając? — spytałem poważnie.

— Zdaje się, że ktoś zostawił mi wiadomość.

— Przepraszam — powiedziała i odsunęła się.

Minąłem ją. Wszedłem do pokoju. Pokoje hotelowe innych ludzi są dziwne. Chyba że z nimi do nich wszedłeś, widziałeś, jak odstawiają torbę, jak rzucają marynarkę na fotel, wysypują drobne, jak z nadzieją spoglądają na łazienkę, chyba że wraz z nimi odsunąłeś zasłonę prysznicową i jak oni uznałeś, że nie jest za dobrze. Jeśli nie, zawsze wyglądają jak cudzy pokój. Cudzy, mokry, ręcznik jest cudzy, nie moja sprawa. Może tylko to czułem?

— Nino, wszystko w porządku?

— Tak — opowiedziała głosem, który tego nie potwierdzał.

— Dzisiaj jest mój pierwszy pełny dzień w prawdziwym świecie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo przyzwyczyłam się do życia, jakie wiedliśmy do tej pory.

Na stole stał dzbanek kawy. Nalałem sobie filiżankę i usiadłem na czymś, co jakiś projektant, kiedyś, dawno temu, uznał za zdolne do pełnienia roli krzesła.

— I to wszystko?

Usiadła na łóżku, założyła nogę na nogę.

— Może?

Kawa nie była szczególnie dobra, jednak dzielnie sobie z tym poradziłem. Nina patrzyła na lustro nad biurkiem.



— Powiedz mi... powiedz mi, dlaczego tu jesteś? — poprosiłem.

— Taką mam pracę.

— Nie. To znaczy tak, taką masz pracę, ale nie dlatego tu jesteś. Monroe widział, że dla tego przypadku wyjdiesz z ukrycia. O co chodzi?

Uśmiechnęła się do swoich złożonych na kolanach dłoni.

— Za często zapominam, że nie jesteś durniem.

— Ja też. Łatwo się pomylić.

Spojrzała najpierw na mnie, potem wniosła oczy do nieba. Przez chwilę rzeczywiście wydawała się w porządku. Potem znów się zachmurzyła. Opadła sztywno na łóżko, zapatrzyła się w sufit.

Popijałem kawę i czekałem.

— Byłam mała, kiedy ta kobieta...

Nina dorastała w Janesville, w Wisconsin. Była jedynaczką. Wychowywała się w szczęśliwej rodzinie, rodzice kochali ją i siebie nawzajem. Była zdolna, doskonale radziła sobie w sportach. Niestety, nie przełożyło się to na liczbę przyjaciół. Nie jeździła z innymi uczniami szkolnym autobusem, szła piechotą do firmy, w której pracował ojciec i czekała na niego na ławce. Odwoził ją do domu, opowiadając o dniu pracy lub, przy rzadkich, lecz godnych zapamiętania okazjach, po prostu gniewnie milcząc. Jako trzynastolatka znalazła wreszcie wspólny język z rówieśnikami, nawiązała nawet przyjaźnie, ale przez lata każdy dzień kończył się jak poprzedni. Spacer ze szkoły, wczesne odrabianie pracy domowej albo po prostu obserwowanie, jak mija czas. Nawet jej to odpowiadało i w holu budynku firmy ojca siedziała tylko wtedy, kiedy padał deszcz albo było zimno (w Janesville nie brakowało co prawda dni deszczowych i chłodnych). Nie była to najbezpieczniejsza dzielnica, ale ojciec widział ławkę z okna swojego gabinetu, a i strażnik przy drzwiach miał na nią oko. Dzisiaj pewnie wyglądałoby to inaczej, jednak wtedy tak układ działał całkiem niezłe.

Naprzeciwko budynku był bar. Mieścił się na parterze jedynej zachowanej wśród betonowych sześcianów wiktoriańskiej

kamienicy. Oprócz wielu innych rzeczy Nina obserwowała też ludzi, wchodzących do niego... i wychodzących późnym popołudniem. Zawsze ją to ciekawiło. Wydawali się tacy różni. Biznesmeni w garniturach wchodzili do środka niczym na spotkanie w interesach, jednak siedzieli sami przy oknie i nigdy nie zostawali dłużej. Byli także starzy mężczyźni; nieczęsto widziała ich wychodzących, bo siedzieli w barze tak długo, że mogły to być nawet lata. Nosili grube płaszcze, poruszali się powoli, uważnie, mieli siwy niechlujny zarost. Nie brakowało też innych, ani młodych, ani starych, co to wpadali do środka albo wypadali ze środka, jakby stale się dokądś spieszyli. Trudno wyobrazić sobie, co robili w przerwach między wizytami. Z pewnością spali albo zarabiali jakoś pieniądze na kolejne piwo.

Do baru przychodziły także kobiety. Niewiele, ale i niemało. Po pewnym, niezbyt długim czasie Nina nauczyła się odróżniać jedną z nich.

Po raz pierwszy dostrzegła ją, mając jedenaście lat. Przez następne dwa widywała od czasu do czasu. Kobieta wyróżniała się tym, że była młodsza i ładniejsza od innych, tych, nie owijając w bawełnę, dość okropnych. Miała gęste kasztanowate włosy, nosiła obcisłe dżinsy i bluzę bez rękawów. Za drugim czy trzecim razem zauważyła przyglądającą się jej dziewczynkę. Nawet puszczą do niej oko z daleka, z drugiej strony ulicy. Czasami mężczyźni dostrzegali małą dziewczynkę na ławce, patrzyli na nią, a od ich spojrzeń aż się czerwieniła. Wcale się jej nie podobały. Ale kiedy ta pani mrugała, było w porządku. Dzięki niej czuła się trochę bardziej dorosła.

Nigdy ze sobą nie rozmawiały. Ta kobieta nigdy nie przeszła przez ulicę, nigdy nie pomachała jej ręką. Przez następne kilka lat ich spojrzenia krzyżowały się może dwadzieścia, trzydzieści razy. Nina widziała, jak się w tym czasie zmieniała. Nigdy nie przyglądała się jej z bliska, więc może nigdy nie była ona taka młoda, jak to sugerował jej strój. Tak czy inaczej starzała się... i to szybko. Wydawało się, że przed każdym kolejnym „spotkaniem” dzieje się z nią coś złego. Przytyła dobre piętnaście kilogramów. Stała się blondynką, potem rudą, potem znów blondynką, tylko jeszcze jaśniejszą, w końcu wróciła do włosów

rudawych w jakimś niezdrowym odcieniu. Cześć jej twarzy była zaczerwieniona, część niezdrowo blada. Bez zmian pozostał wyłącznie krok – szła do baru, jakby miała tam wejść pierwszy raz, ale słyszała o nim same dobre rzeczy i spodziewała się miło spędzić czas. Było tak nawet wtedy, gdy tuż przed wejściem potykała się o własne nogi. Mniej więcej wtedy Nina przestała ją lubić. Miała wrażenie, że patrzy na kogoś, kto w porównaniu z naszym zwykłym życiem żyje jak na przyspieszonym filmie, jakby każdy krok tej kobiety odpowiadał tysiącu naszych. A jednak od czasu do czasu nadal ją zauważała, puszczała oko. Tak zwyczajnie, po prostu, jakby mówiła: „Cześć. Widzę cię i ty mnie widzisz. Wszystko w porządku”. Kilka tych spotkań, już ostatnich, było dziwnych. Nina nie wiedziała, czy kobieta rzeczywiście ją widzi, czy może działa tylko odruch. Ale... oko puszczała.

A tymczasem znajdowano trupy.

Trzy w ciągu dwóch lat. Potem czwarty. I piąty. Mężczyźni znalezieni w samochodach. Ofiary postrzałów. Zaczynali wieczer, szukając czegoś łatwego i nieprzesadnie drogiego, a w następnym dniu meldowali się minus portfel... i życie.

Trzy tygodnie przed trzynastymi urodzinami Niny aresztowano kobietę. Kiedy zobaczyła wiadomości w telewizji, siedząc na kanapie obok ojca, szeroko otworzyła usta.

To była ta kobieta.

Ta, która puszczała do niej oko.

Media zrobiły z tego wielką sensację, wstęp do sprawy Aileen Wuornos, lepiej znanej jako Morderczyni z Florydy, aktywnej kilka lat później. Morderczynię z Janesville ochrzciły Czarną Wdową, choć nie była czarna, nie była wdową, nie była nawet pajakiem. Ze szczegółami opowiedziały, jak to była napaśtowana jako dziecko przez co najmniej dwóch członków rodziny. Dowiedziały się, że mężczyźni przekazywali ją sobie na przyjęciach i wykorzystywali, aż traciła przytomność, a nawet i potem. Sugerowały, co skłonna była zrobić za drinka, a nawet za obietnicę drinka. Nic z tego nie pojawiło się w argumentacji o zmniejszenie kary, było wyłącznie sensacyjnym dowodem winy.

Oskarżona twierdziła, że jest niewinna, i Nina jej wierzyła.

Widziała ją przecież, jak szła ulicą w piękne letnie wieczory, widziała ducha i energię tylko w tym, jak szła. Nikt, kto tak chodzi, nie mógłby popełnić równie strasznych czynów. Ktoś, gdzieś musiał kłamać.

Nagle okazało się, że kobieta może być jednak winna, w każdym razie taką ofertę złożył sądowi jej adwokat. Tak, jego klientka miała broń. Tak, używała jej, zawsze w obronie własnej. Wpędzała się w kłopoty z mężczyznami i to był jedyny dostępny środek obrony.

W to Nina także nie uwierzyła. Śledziła tę sprawę uważnie, w najdrobniejszych szczegółach. Gromadziła gazety i magazyny z informacjami, a gdy tylko pojawiała się coś na ten temat w telewizji, patrzyła jak zaczarowana. Gdy słyszała kogoś rozmawiającego o tym, czy to w szkole, czy na ulicy, zatrzymywała się, próbowała dowiedzieć jak najwięcej. Jak gąbka chłoneła wszystko i wszystko zapamiętywała.

Miesiąc później nastąpił kolejny odcinek czegoś, co powoli zaczęło się stawać prawdziwą operą mydlaną. Kobieta zmieniła zeznania. Znów była niewinna i biała jak lilia, nigdy nie zbliżyła się do ofiar. Twierdziła, że próbował ją zgwałcić jej własny adwokat. I sędzia też. Wszyscy chcieli ją pieprzyć, metaforycznie i dosłownie. Każdy spotkany mężczyzna, nie wyłączając kobiet.

Nie ja, myślała Nina wpatrując się w telewizor. Nie ja.

— A wtedy... — powiedziała i zamilkła.

Milczałem do tej pory i teraz też nie zamierzałem się odzywać. A kiedy Nina przemówiła ponownie, głos miała stłumiony, ochrypły.

— A potem było to pięciosekundowe ujęcie pokazujące, jak wyprowadzają ją z sądu i jak wsiada do samochodu. Padał deszcz, włosy miała mokre, przylepione do twarzy. Schudła, ale... jakby to powiedzieć... w złych miejscach. Jakby zrobiła się chudsza w głowie. Patrzyła nad dachem radiowozu, wściekle, wprost w kamery telewizji. Pochylili jej głowę i wsiadła. Widziało się to w jej oczach.

— Co?

— Że to zrobiła. Przekonałam się wtedy, że jednak ich zabiła. Wystarczyło popatrzeć jej w oczy, by wiedzieć, że jest winna,

że była tam, że strzelała. Ale wiedziałam też, że jest niewinna. Zrobiła te straszne rzeczy i jednocześnie ich nie zrobiła. Nie wiedziałam, jak to możliwe. I jak to możliwe, że już nie miała ochoty puszczać do mnie oka.

Musiałem to sobie przemyśleć.

— Co się z nią stało? — spytałem w końcu.

— Skazano ją za wszystkie pięć morderstw. Osiem miesięcy później popełniła samobójstwo. Przemyciła łyżkę, odłamała koniec i wbila ją sobie w gardło. Mówili, że umierała trzy godziny.

Nina zamilkła na dobre pięć minut. Oddychała coraz wolniej, zorientowałem się w końcu, że śpi.

Odczekałem dłuższą chwilę, po czym włączyłem laptopa i podłączyłem się do linii telefonicznej. Przez cały dzień nie miałem szansy sprawdzić poczty, dowiedzieć się, czy tajemniczy korespondent ma mi coś więcej do powiedzenia.

Hotelowa linia była bardzo wolna. Czekałem, ku własnemu zdziwieniu myśląc o ojcu. Wiadomości znikąd przypomniały mi ostatnią otrzymaną od niego informację, kartkę z jednym zdaniem ukrytą w krzesle domu w Montanie. Kiedy umierasz, dowodem na to, że żyłeś, są różne dziwne rzeczy: puszki jedzenia, którego nie lubi nikt inny, niewysłane pocztówki w celofanowych, zakurzonych opakowaniach z nalepkami z ceną, która jest już historycznie niska. Moi rodzice zostawili po sobie mnóstwo takich pamiątek. Dzięki nim dowiedziałem się, że mam brata, Paula, że obaj zostaliśmy nieoficjalnie adoptowani, gdy byliśmy mali, po konfrontacji z moim prawdziwym ojcem, człowiekiem, który skrzywdził moją matkę. Parę lat później rodzice porzucili Paula w San Francisco przekonani, że lepiej nas rozdzielić. Na lepszy pomysł nie wpadli. Organizacja, której członkiem był mój naturalny ojciec, działała trzydzieści lat później. Tatko, a pamiętajcie, że Don Hopkins był tylko pośrednikiem w handlu nieruchomościami, tropił ich i zlokalizował w luksusowym osiedlu leżącym w górach nad Yellowstone. Więc zabili jego i mamę. Ta organizacja była mała, doskonale

zakamufLOWana, ale miała pieniądze. Miała władzę. Dla mnie byli to Niewidzialni, pod taką nazwą ich znałem. Detektyw John Zandt poinformował mnie, że jego zdaniem Niewidzialni żyją w Ameryce od ponad trzech tysięcy lat, bogacąc się na wydobyciu miedzi w okolicach Wielkich Jezior. Twierdził, że osiedliła się tam grupa mężczyzn i kobiet pochodząca z różnych części globu, różnych kontynentów, zjednoczona wyłącznie nienawiścią do cywilizującego się stopniowo świata. Był także pewien, że są oni odpowiedzialni za prawie wszystko, od tajemniczego zniknięcia kolonizatorów z Roanoke do indiańskich legend o wojowniczych plemionach brodatych ludzi. Mieli bronić się przed kolonizatorami przybywającymi na kontynent, który uznali za swój. Czego nie byłem pewien, to stanu umysłu Zandt, kiedy mi to opowiadał. On zaś wątpił w siłę mojego charakteru. Nie wykorzystałem dwóch okazji, by zabić człowieka, który zamordował jego córkę. Zabić mojego brata. Paula.

No, przypuszczam, że własne życie zawsze wydaje nam się bardziej skomplikowane niż cudze.

Wreszcie komputer pisnął. Miałem wiadomość. Otworzyłem ją i przeczytałem:

Ward,

Nazywam się Carl Unger. Bobby nie żyje? Co, do CHOLERY!

Trafiłem na coś dziwnego. Może mieć związek ze sprawą, o której z nim rozmawiałem przez telefon jakiś rok temu. Wymienił w związku z tym twoje imię. To ważne. Dzwon +natychmiast+. 07589576543. C.

Przeczytałem list dwukrotnie, po czym się zamyśliłem. Nie pamiętałem żadnego Carla Ungera, ale to niczego nie dowodziło. Ładnych parę lat temu odszedłem z CIA, a to nie jest firma, która byłym pracownikom przysyła gazetki z informacjami, kto się z kim ożenił i wynikami klubowej drużyny softbolu. Nie mam też pamięci do nazwisk. Są dla mnie drobiazgiem, czymś nieważnym, w rodzaju ulubionej marynarki, którą człowiek wkłada najchętniej. Z e-maila można było wnioskować, że znałem jego adresata, być może jednak poznałem go jakby przez

pośrednika, bo on powoływał się przede wszystkim na Bobby'ego, a trzecie zdanie wydawało się szczególnie przekonujące. Bobby Nygard był cholernie twardym sukinsynem. Ja też dosłownie zmuszałem się, by uwierzyć, że nie żyje, a byłem przy nim tej nocy.

Sprawdziłem jego książkę adresową. Nie było w niej żadnego Ungera. Niewiele z tego wynikało, bo ja też w niej nie figurałem. Bobby był ekspertem od podsłuchu elektronicznego, specjalizował się w komputerach i Internecie. Kto wie, jakich sposobów używał, by zacierać ślady swego istnienia? Nie znalazłem żadnego poprzedniego e-maila Ungera ani z aktualnego adresu, ani od kogoś o tym nazwisku wśród innych, na przykład znacznie godniejszych, z „gov” w nazwie domeny. To też niczego nie dowodziło. Bobby najwyraźniej regularnie czyścił i archiwizował pocztę elektroniczną. Najwcześniejszy z zachowanych listów wysłany został zaledwie miesiąc przed tym, nim znów się spotkaliliśmy... a niespełna tydzień później nie żył.

Wiedziałem, że przez ostatnie kilka dni dzwonił do różnych ludzi, próbując iść po śladach, które wspólnie odkryliśmy. Bardzo możliwe, że Unger był jednym z jego kontaktów. Czy jestem gotów ponieść ryzyko? Po co? Jeśli jesteś optymistą, możesz czytać ten e-mail raz za razem i zapewne dojdiesz do wniosku, że ten ktoś tam ma jakieś być może użyteczne informacje. Jeśli nie, możesz dojść do wręcz przeciwnego wniosku. „Optymista” to nie jest słowo, które drukowałbym sobie na wizytówkach.

— Bobby, proszę — odezwałem się głośno — powiedz mi, czy ten facet jest coś wart?

Nie uzyskałem odpowiedzi. Wcześniej też próbowałem go pytać i niczego się nie dowiedziałem. Cholernie przewrotny facet. Za życia nic tylko wszystkim udzielał rad.

Jeszcze raz zajrzałem do listu, a potem wpisałem numer telefonu do komórki. Nie miałem zamiaru dzwonić do Ungera. W każdym razie jeszcze nie teraz. Najpierw spytam Ninę, co o tym myśli. Jeśli krzyżują się ścieżki życia, jej i moja, a na to liczyłem, ma prawo głosu.

Obudził mnie łomot. Ktoś walił w drzwi, i to mocno. Przez jedną trudną chwilę, wciąż zaspany, miałem straszne wrażenie, że to Paul, że udało mu się wysledzić nas nawet w Wirginii. Nie od razu uświadomiłem sobie, że Paul nie oznajmiałby swego przyjścia. Nawet gwałtownie.

Wstałem powoli z krzesła zeszywniały, z obolałym kręgosłupem. W pokoju było ciemno, przez zasłony przebijało jednak światło latarni z parkingu. Spojrzałem na łóżko, lecz nie zobaczyłem Niny. Zegar wskazywał parę minut po jedenastej. Miałem wrażenie, że jest znacznie później. Jakby już było pojutrze.

Wyprostowałem się ciągle oszołomiony. Drzwi do łazienki były zamknięte, w szczelinie przy podłodze widziałem smugę światła. Podeszedłem do nich.

— Nino?

— Chwileczkę. Kto tak wali?

— Obsługa. Ambitna. Spełni każde zamówienie bez względu na okoliczności.

— Zamówiłeś coś tak późno?

— Nie. Tylko żartowałem. Nie przejmuj się.

Łomot rozległ się znowu. Pochyliłem się, wyjrzałem przez... jak je tam zwać... szkiełko w drzwiach. Za późno przypomniałem sobie filmy, w których ktoś w takiej sytuacji zawsze dostawał postrzał w oko. Na szczęście rozpoznałem nieoczekiwanego gościa, choć widok miałem raczej zniekształcony.

— Monroe! — Krzyknąłem do Niny, gwałtownie powracając do pionu. — I nie wygląda na to, żeby miał zamiar odejść.

— Chryste! Już dobrze, wpuść go.

Otworzyłem drzwi. Agent zachwiał się, bo właśnie miał zamiar znowu w nie wałnąć.

— Słyszeliśmy, słyszeliśmy — uspokoiłem go.

Wszedł do środka, nie zwracając na mnie uwagi.

— Co tu robisz? — burknął, choć nie sprawiał wrażenia szczególnie zaskoczonego.

— Dali mi wszystkie luksusowe apartamenty — odpowiedziałem. — Zajrzyj pod łóżko u siebie, a znajdziesz tam twojego własnego mnie.

— Wpieprz mi się w śledztwo, a dopilnuję, żeby cię zamknęto.



— Przyjąłem do wiadomości.

Nina wyszła z łazienki. Zakładałem, że bierze prysznic czy coś takiego, ale pojawiła się ubrana. Wyglądała znacznie lepiej, niż ja się czułem. Cóż, jak zawsze. Już się do tego przyzwyczyłem.

— O co chodzi? — spytała. — Dowiedzieliście się czegoś w jakimś barze?

Monroe wziął z łóżka żakiet Niny i podał go jej.

— To coś nieco poważniejszego. Mamy kolejnego trupa — powiedział.

## Rozdział ósmy

Było zaledwie kilka minut po ósmej. Zabawa trwała. Co więcej, rozkręcała się. Rozrywkowa, fajna, dobiegająca końca początku, a to przecież najmiłsza chwila. Starzy mieli niedługo wrócić do domu, ale do tej pory Luchsowie zawsze robili za dobrych gospodarzy. Wychodzili do ogrodu od tyłu, przez piętnaście minut promienieli serdecznością, po czym wycofywali się do sypialni i zasuwali zasłony. Jak długo nic się nie paliło, wszystko było w porządku. Tymczasem w basenie było mnóstwo pokrzykujących chłopców i popiskujących dziewczyn, reszta zaś tańczyła do muzyki jakiegoś chłopaka, który podłączył iPoda do wzmacniacza przy beczce piwa. Był łachudra wciskający swoje kawałki w cudze uszy mógłby być naprawdę dokuczliwy, ale ten facet miał dobre nagrania Nu Indie/Alt Country. Brad życzył mu wszystkiego najlepszego.

Brad odpoczywał na leżaku pod wielkim drzewem stojącym pośrodku trawnika przed domem. Czuł się świetnie. Przeżył wprawdzie trudne chwile, kiedy dziewczyna sprzed paru nocy zobaczyła go z Karen i nawet przez moment sprawiała wrażenie, że chce zrobić z tego aferę, ale chyba tymczasem coś od kogoś dostała i bawiła się zbyt dobrze, by chciała tę zabawę przerwać. Karen tymczasem stała przy basenie, gadając z przyjaciółmi, których nie znał. Przedtem rozmawiała z mamą; ustalono, że jeśli zechce zrobić sobie nos, rodzice za to zapłacą, zapewne także dlatego, że będą mieli wpływ na wybór chirurga. Większość przyjaciółek pani Luchs była w mniejszym lub

większym stopniu „bioniczna”, miała więc u kogo zasięgnąć informacji, choć sama, cud nad cuda, nigdy nie trafiła pod nóż. Kiedy Karen po raz pierwszy wspomniała o ich propozycji, Brad poczuł ukłucie żalu, jakby coś mu odebrano, ale wystarczyła chwila, by uświadomił sobie, że chodzi o odpowiedzialność i wydatki, a jednego i drugiego wolałby jednak uniknąć. Nawet mimo tego, że Lee część nieoczekiwanie zdobytej gotówki rozprosił między swoich ludzi i jego sytuacja finansowa nieoczekiwanie się poprawiła i wyglądała całkiem niezłe. To znaczy, wyszedł mniej więcej na zero, oczywiście, ale miał nowe szorty Zpatuula, koszulę Penguin i jakieś pół metra nowych gier do konsoli i na PC. Kupił też sobie iMaca, bo... no właśnie, nie za bardzo wiedział po co, pewnie się przyda, a sklep jakoś tak zastąpił mu drogę. A kiedy Karen się odwróciła, naszyjnik, który dał jej w prezencie błysnął w promieniach południowego słońca. Miał się mocniej zakolysać później. Małe „K”, bujające się to w jedną, to w drugą stronę...

Siedział wygodnie, popijał piwo, słuchał muzyki i cieszył się, że w tej chwili jest sam. Czasami myślał, że fajnie jest mieć wielu przyjaciół.

Chociaż bywa, że cieszysz się, kiedy jesteś sam.

Cięcie. Godzina, może dwie później. Brad siedział po drugiej stronie basenu w towarzystwie paru osób, z Karen na kolanach. Z okazji imprezy podcięła włosy, były teraz średnio długie i lśniące. Gadali sobie, słuchali też jednego chłopaka opowiadającego, jak to ojciec sfinansuje mu początki internetowej witryny dla dzieciaków, które nie są cool, ale bardzo chciałyby być. Brad pomyślał nawet, że to fajny pomysł i że może powinien wymyślić dla siebie coś podobnego. Przez dobrych parę minut głąaskał szyję Karen i myślał, ale niczego nie wymyślił. Może później. Na razie zredukował piwo, bo wziął jedną z tych nowych pigułek. Nie miały nazwy, były czerwone, z literą „A”, więc może nazywały się „A”? Wyluzowały, a tak, owszem, lecz nie oteępały. Jeśli się na coś patrzyło widziało się ostro, chyba że za szybko poruszyłeś głową — wtedy wszystko

jakby iskrzyło. Przez to zawieszona na drzewach lampki wyglądały doprawdy cudownie. Dużo ludzi było dziś na „A”. Okazała się bardzo popularna. Dobra wiadomość dla Lee, dobra wiadomość dla niego. Innymi słowy, po prostu dobra wiadomość.

Facet od witryny gadał dalej i Brad przestał go słuchać. Ten od muzyki albo już padł, albo znalazł sobie kogoś, bo z głośników sączyła się jakaś melodyjka, słodka, ale tak w ogóle w porządku. Jakaś może nawet znajoma, choć nie potrafił jej nazwać. Luchswowie zdążyli się już pojawić i zniknąć, impreza nabrała tego jakże charakterystycznego dla niezbyt późnego wieczoru tempa, kiedy to wszystkim się wydaje, że będzie trwała wiecznie. Jasne, to najfajniejsza chwila, nawet lepsza niż początek środka i Brad pomyślał, że przecież może wstać, znaleźć sobie coś do jedzenia, w ogóle coś, kiedy po drugiej stronie basenu pojawił się nieoczekiwany gość.

Lee we własnej osobie. Brad nawet nie wiedział, że tu jest. Lee nie słychał z zamięłowania do imprez. Zawsze zachowywał się bardzo poważnie. Tak poważnie, że nawet w tej chwili rozmawiał przez telefon. Otaczali go ludzie śmiejący się, rozbawieni, korzystający z prawa do dobrej zabawy, a tu on... taki serio, taki zajęty, jakby właśnie zajmował się akcjami czy innymi udziałami. Kup tanio! Sprzedaj drogo! No, po prostu dziwny facet.

Gdy tak na niego patrzył Lee skończył rozmawiać i schował telefon. Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, po czym rozejrzał się, jakby kogoś szukał. Ciekawe kogo, pomyślał Brad. Nagle jego głowa znieruchomiała. „A” zadziałała, wstał tak, jakby był robotem. Kumpel dostrzegł go i skinął głową.

Brad odpowiedział mu skinieniem. Lee jest przecież jego kumplem, nie?

Lee pokręcił głową. To nie to, żeby go tylko witał. Przywołał go. Tak, to jego szukał.

Brad pocałował Karen w szyję.

— Za chwilę wracam, mała — szepnęła. — Muszę pogadać z Lee.

Zeskoczyła z jego kolan, a on wstał. Przecisnął się przez tłum. Nogi mu zdrętwiały, za długo przytulał Karen, więc obszedł basen, kulejąc, choć lekko.

— Hej — powiedział, kiedy wreszcie dotarł do Lee. — Fajna impreza, nie?

— Jak bardzo ci odbiło?

Brad spojrział na niego zdziwiony. No to tyle, jeśli chodzi o uprzejmości.

— Nic mi nie jest. Wypiłem parę piw, to wszystko.

Lee skinął głową.

— To dobrze. Jedziesz ze mną.

— Jasne. Przywieźć hamburgery?

— Nie. Są tu Pete i Steve?

— Steve to nie. Jest... nie mam pojęcia, gdzie jest. Ale Śpioch, owszem. Gdzieś go widziałem. Chyba.

— Ja przejdę naokoło basenu, ty przez dom. Może uda się go znaleźć. Spotkamy się przy moim samochodzie. I przemysyj sobie gębę zimną wodą.

— O co chodzi?

— Musimy coś zrobić.

— Tak, jasne, rozumiem... ale co?

— Brad, rusz dupę.

Lee odszedł, przeciskając się między tańczącymi. Brad potrząsnął głową, nieco oprzytomniał i stwierdził, że nie jest tak źle. Obszedł basen z drugiej strony, starając się znaleźć Pete'a i trochę także Steve'a, który, czego był prawie pewny, w ogóle na zabawę nie przyszedł. Poszukał też wzrokiem Karen, miał zamiar dać jej znać, że na chwilę wychodzi, ale nigdzie jej nie było.

Dom był już właściwie pusty i cichszy niż będzie za kilka godzin, gdy ochłodzi się, a ludzie nabiorą ochoty na pozycję horyzontalną — wtedy znów się ożywi. Brad nie znalazł ani Pete'a, ani Steve'a. Do frontowych drzwi doszedł, zabłądziwszy tylko raz. Zapomniał przemycić twarz, ale mimo to czuł się świetnie.

Na podjeździe stało mnóstwo samochodów, w tym nowe jaskrawobłękitne BMW Karen. Zgromadziło się wokół nich kilka małych grupek. Brad dostrzegł samochód Lee i zatrzymał się przy nim. Poczekał parę minut i wyciągnął papierosa. No i proszę, okazało się, że zapalniczkę zostawił nad basenem. Niech to szlag.

— Tego szukasz?

Odwrócił się. Tuż przy nim stała Karen i podawała mu ogień. Uśmiechnął się. Zapalił papierosa.

— Jesteś aniołem miłosierdzia. Albo ognia. Tak czy inaczej, aniołem.

— Mówisz mi najpiękniejsze komplementy. A w ogóle to o co chodzi? Badasz uwarunkowania pracy parkingowego?

— Czekam na Lee.

Jak na komendę usłyszał zgrzyt kroków na żwirze podjazdu. Hudek podszedł do niego powoli.

— Jedziemy — powiedział spokojnie. Spojrzał na Karen. — Cześć. Fantastyczna zabawa.

— Bardzo dziękuję. — Dziewczyna wyprostowała się i uśmiechnęła. — Robimy co w naszej mocy, żeby goście dobrze się bawili. A wy, młodzi gniewni, dokąd?

— Chcemy się po prostu przejechać — odpowiedział Lee. — Kupimy coś do jedzenia.

— Mamy wystarczająco dużo guacamole, żeby utopić w nim dziecko.

— Wiem. Próbowałem. Ale my szukamy czegoś specjalnego. A tak przy okazji... ktoś tam chyba do ciebie macha.

Karen się odwróciła. Przed frontowymi drzwiami stało białe porsche, a przy nim dwie osoby. Wyglądało na to, że muszą odjechać, już, natychmiast, ale przedtem chcą się pożegnać. Dziewczyna przyjrzała im się uważnie.

— No jasne. Sarah i Randy. Muszą wcześniej wyjść. Dobra, więc... cóż... obowiązek wzywa. Jedź ostrożnie.

— Ja zawsze jeżdżę ostrożnie — powiedział Lee. — Przecież wiesz.

Karen uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. Nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Pochyliła się i cmoknęła Brada w policzek.

— Później — powiedziała cicho i odbiegła, rozkładając ramiona, by przytulić odjeżdżających.

Oczekali kilka minut. Pojawił się Śpioch Pete. Był zaprawiony, ale nie aż tak, jak można się było spodziewać, choć czerpał z zapalem ze sporej torby doritos.

— O co chodzi, panowie? — spytał.

— Trzeba coś załatwić. Jedziesz z nami?  
— Oczywiście, koleś. Znasz mnie. Etyka pracy przede wszystkim.

— To lubię. — Hudek wcisnął przycisk, samochód pisnął cicho. Otworzyły się zamki drzwi. — Brad, siadasz przy mnie, z przodu.

Włączył radio, podkręcił głośność. Wyjechali za bramę i ruszyli krętą dróżką przez ranczo, mijając prywatne bramy prywatnych posiadłości. Dojechali do jeszcze większej, granicy wspólnoty Faircroft Ranch. Ochroniarze pomachali im, nawet na nich nie patrząc. Ich zadaniem, jak we wszystkich chronionych osiedlach, było zatrzymywanie wjeżdżających, nie wyjeżdżających, a nikt w samochodzie Hudeka nie był czarny ani nawet śniady.

Pojechali główną drogą do Santa Barbara, zgodnie z przepisami, niespiesznie, odpowiedzialnie. Po dziesięciu minutach Lee zjechał na sto dziewięćdziesiątkę dwójkę, prowadzącą na północ. Brad obserwował światła, samochodowe, uliczne, na billboardach, w miarę jak je mijali. W radiu szło coś, co znał, ale nie pamiętał tytułu. Interesowało go głównie, co oznaczała wymiana zdań między Lee i Karen. „Jedź ostrożnie. Zawsze jeżdż ostrożnie”. Jeśli w ogóle coś oznaczała. A poza tym... dlaczego jadą na północ?

— Hej, podkręć to — poprosił Pete. — Po prostu odlot!

Hudek wzmocnił dźwięk w głośnikach z tyłu, a przykręcił przednie.

— Lee, o co tu chodzi? — spytał wreszcie Brad. — Dokąd jedziemy?

— Dzwonił Hernandez. — Powiedział to cicho, spokojnie. — Nagłe wezwanie. Jego stali mają inne zajęcia. Potrzebuje paru ludzi. Będziemy stali za nim i go kryli.

— I my mamy być tymi ludźmi? Ty chyba, kurwa, żartujesz. Człowieku... przecież kiedy ostatni raz go widziałem facet przystawił mi łufę do głowy!

Lee skinął głową, patrząc we wsteczne lusterko.

— Słyszę cię i rozumiem. Ale to dobry znak, Brad. To coś ważnego!

— Od kiedy to pozwalamy się wynajmować? Tańczyć jak nam zagrają i tak dalej?

— Nie możemy odmówić, kiedy prosi nas pierwszy raz. Zrobimy, co chce, potem kupimy sobie jakieś wielkie hamburgery, wrócimy na imprezę, zabawimy się i w ogóle. Wechodzicie?

Pete siedział z tyłu i podśpiewywał do muzyki. Nic go nie obchodziło. Brad pokręcił głową, ale nie było to bynajmniej zaprzeczenie. Wyjął z paczki papierosa, zapalił.

— Słuchaj, człowieku...

— Lee... pieprz się... człowieku. Dach ściągnięty i przecież jedziemy. Chcę zapalić, to zapalę.

Hudek się uśmiechnął.

— Dobra, dobra, koleś. Obiło ci, nie moja sprawa. Chcę usłyszeć tak czy nie.

— No... kurwa... tak, oczywiście. Chociaż... rozumiesz... ja właściwie nic z tego nie rozumiem.

Lee puścił do niego oko i nagle podjechał do krawężnika. Brad się przestraszył, ale... przy krawężniku stał Hernandez z torbą na ramieniu.

— A to co? — wybełkotał Pete z ustami pełnymi chipsów. — Co ten tutaj robi?

Hernandez podszedł do samochodu i spojrzał na tylne siedzenie.

— Jednego brakuje — stwierdził.

Hudek nie odpowiedział od razu. Miło było tak panować nad sytuacją. Gdyby chciał, mógłby po prostu odjechać i zostawić tego dupka na chodniku.

Wyłączył radio.

— Niewiele czasu nam daleś, co?

— Czasu na co? — spytał Pete. — A w ogóle, to co mamy wspólnego z tym popaprańcem?

— Pomożemy mu — powiedział Hudek. — Podwieziemy go tam, dokąd chce dojechać. W porządku?

— Niech będzie. — Pete chyba nadal był pełen wątpliwości. — Jak sobie życzysz.

Lee spojrzał na Hernandeza i się uśmiechnął.

— No i dobrze. Wsiadasz?

Kierując się wskazówkami Hernandeza, Lee pojechał na Wzgórza, pomiędzy pola golfowe i kolejne luksusowe osiedla.



Nie był to teren, który dobrze znał. Można byłoby nawet próbować udowodnić, że w ogóle nie jest to teren, chyba że w żargonie handlarzy nieruchomościami. Wjechali w Santa Ynez, najpierw trochę, potem głębiej.

— Jedziemy aż do Nevady? — spytał w pewnym momencie Pete. Poza tym pytaniem obaj z Bradem siedzieli cicho.

Hernandez wskazał skręt w lewo. Nie było przy nim znaku, jakby droga prowadziła donikąd. Przejechali ładnych parę kilometrów, znaleźli się w lesie, a właściwie lasku, wśród niewysokich krzaków. Po pewnym czasie przekroczyli jedno ze wzgórz, droga prowadziła w dół. Jeśli można tę ścieżkę nazwać drogą... zresztą po niespełna kilometrze się skończyła. A raczej przeszła w częściowo bity, częściowo żwirowy parking, otoczony drzewami niknącymi w ciemnościach choć oko wykol.

— To tu?

Hernandez skinął głową.

— O której mają przyjechać? I kim w ogóle są?

— To ludzie tacy jak ty. Nie masz się czego bać.

— Ale wezwaleś nas, żebyśmy cię trzymali za rączkę?

W tym momencie na drugim końcu parkingu zapaliły się światła. Brad poczuł, że serce zabiło mu mocno i szybko, raz za razem. A Lee po prostu czuł się dobrze. Siedział w samochodzie z gotowym towarem. Ludzie mieli przynieść torby z forsażem i był to niewątpliwie krok w dobrym kierunku.

— To oni? — spytał.

— Tak. — Hernandez otworzył drzwi. — Ty, Pete czy jak ci tam, czekasz w samochodzie.

— Nie ma mowy.

Lee spojrzął na Hernandeza.

— W czym problem? — spytał. Dziwne to było uczucie, rozmawiać z kimś takim jak równy z równym. Dziwne ale fajne.

— Ty i ten drugi gówniarz stoicie na parkingu i się nie ruszacie. Tego szczyła pamiętam z taśmą na pysku.

— Nas było dwóch, a was trzech — przypomniał Pete. Gniewnie, co było u niego rzadkie. — Możemy się sprawdzić zaraz, jeden na jednego.

Boże, ale ty jesteś głupi, Pete, pomyślał Brad. W świetle reflektorów dalekiego samochodu widział trzy sylwetki. Zostać w samochodzie... dla mnie brzmi to całkiem fajnie.

— Nie, dziękuję. — Hernandez spojrział na Pete'a i uśmiechnął się brzydko. — Jesteś wielki facet, nie miałbym z tobą szans.

Pete natychmiast się zamknął.

— Siadaj za kółkiem — polecił Lee i z przyjemnością zauważył, że Hernandez z aprobatą kiwa głową. — Tak na wszelki wypadek.

Tymczasem Hernandez otworzył torbę, wyciągnął z niej pistolet i wręczył go Hudekowi. Brad pokręcił głową.

— Po co? Przecież to ma być zwykła...

— Brad, zamknij się.

Lee wsadził go za pasek spodni na plecach. Dostrzegł, że Hernandez też sięga ręką do tyłu, jakby sprawdzał, czy broń jest na miejscu.

W porządku. Są gotowi.

We trzech wysiedli z samochodu. Pete przesiadł się na siedzenie kierowcy.

— Uważajcie — powiedział.

Hernandez szedł pierwszy, Lee za nim, nieco po prawej, Brad po lewej.

— Hej, Emilio! — krzyknął jeden z idących im naprzeciw mężczyzn. — Kto jest z tobą?

— Przyjaciele — odparł Hernandez. — Wszystko gra.

Brad patrzył na twarze mężczyzn. Jeden z nich był prawdopodobnie w jego wieku i zapewne pochodził z tego samego środowiska, dwaj inni wydawali się starsi. Jeden miał ogoloną głowę. Coś tu jest nie tak. O co chodzi w tym trzymaniu się z tyłu, na przykład? Przecież wiadomo, jak się takie rzeczy robi: ty podchodzisz, oni podchodzą, spotykacie się w połowie drogi, czasami pali się papierosy, czasami wymienia jakiś kiepski dowcip, pożegnanie, koniec.

Dlaczego nie podchodzą?

Lee myślał mniej więcej to samo, ale może ci ludzie chcieli Po prostu dać im coś do roboty? Coś w rodzaju głupawej demonstracji, kto tu rządzi? Udowadniają, kto jest lepszy? Lee

nie sądził, by im na to pozwolono i okazało się, że ma rację. Hernandez zatrzymał się. On i Brad również.

— Hej, ludzie! — zawołał Hernandez. — Wmurowali was w ziemię czy co?

Nie odpowiedzieli. I nagle Lee coś zauważył i było to jak oszalamiający cios.

Żaden z tych trzech mężczyzn nie niósł torby.

Zdażył tylko powiedzieć: „Hernandez...” i zaczęła się strzelanina.

Nikt nikogo nie ostrzegwał. Nikt nic nie powiedział. Tylko jakby znikąd pojawiła się broń. Koniec udawania. Pif-paf!

Lee cofnął się i sięgnął za plecy po broń. Hernandez okazał się znacznie szybszy. Niemal natychmiast zaczął strzelać w stronę samochodu, przesuwając się jednocześnie w prawo, w stronę drzew.

Brad zamarł. Hudek uświadomił sobie, że chłopak nie ma broni. Widział, jak przez chwilę próbuje zrozumieć, co się tu, kurwa, dzieje, a potem wieje w lewo.

Lee spróbował wyciągnąć broń. Nie mógł, o coś zaczepiła. Szarpnął jeszcze raz. Udało się. Zaczął strzelać.

Dwaj faceci schowali się za samochodem. Trzeci trochę się spóźnił. Strzelał do Hernandeza, ale pudłował.

Lee strzelił do niego raz, potem drugi. Chybił. Facet obrócił się nagle i strzelił do Brada, uciekającego ile sił w nogach, niebędącego zagrożeniem dla nikogo, nawet niemającego broni. Walił do nieszczęśnika, pryskającego tylko dlatego, że kazano mu tu przyjechać.

Hudek widział, jak Brad nagle zaczyna się trząść, potyka się, chwieje. Wpadł na drzewo, odbił się od niego i bezwładnie padł na ziemię.

Minął go samochód. Silnik ryczał na pełnych obrotach, spod kół pryskał żwir. Ostatni strzał — Lee skłonny był przyjąć, że czuł, jak powiew wiatru rozwiał mu włosy.

Czterdzieści pięć sekund, nie więcej. I koniec.

Lee stał przez chwilę nieruchomo, czując się tak, jakby świat fiknął koziołka, a wszechświat zamarł.

O cholera! Brad... — przypomniał sobie.

Podbiegł do kumpla leżącego prawie na skraju parkingu. Ze

zdumieniem stwierdził, że ciągle się rusza, że nie widać śladów krwi. Odwrócił się i spojrzał na niego. Z jego twarzy wiele można było wyczytać, ale z całą pewnością nie ból. Złapał go za ramię.

— Kurwa, człowieku... myślałem, że cię dorwali. Że cię, kurwa, załatwili!

Brad usiadł i potrząsnął głową.

— Ja też. Ale tylko się potknąłem. Z ziemi sterczał spory kamień. No i na niego trafiłem.

— Pewnie ocalał ci życie. Jezu!

— Możliwe. Szczęśliwy kamyk.

Spojrzeni sobie w oczy i nagle się roześmieli. Był to bardzo drżący śmiech, a właściwie w niczym śmiechu nie przypominał.

— Trafili go?! — krzyknął oddalony o jakieś trzydzieści metrów Hernandez.

— Nie! — odrzyknął Lee. Adrenalina nadal działała, czuł się jak po dawce czystej kokainy. — Co tu się, kurwa, stało, człowieku?

— Nie mam pojęcia, ale odjeżdżamy. Już. Musimy podzwonić w parę miejsc.

Lee wyciągnął rękę, Brad chwycił ją i pozwolił podnieść się z ziemi. Nie rozumiał nic z tego, co się stało, jego mózg żył jeszcze chwilę sprzed sześćdziesięciu sekund. Zdarzyło się wtedy coś złego, owszem, ale czuł, że to coś mu umknęło. Sprawiał nawet wrażenie zdziwionego tym, że ciągle tu jest.

— Chodź! — powiedział Lee. — Wynosimy się stąd.

Lee doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że doświadczyli właśnie czegoś niezwykłego. Hernandez z pewnością zechce dobrać się tym facetom do dupy. A niejaki Lee John Hudek będzie przy jego boku. Od dziś nie należy już do grupy dzieciaków, którym po prostu udało się zarobić trochę forsy.

Lee złapał kumpla za ramię i pomógł mu iść. Brad kulał, ale i tak zależało mu, żeby się stąd wynieść możliwie jak najszybciej. Robił, co mógł, żeby znaleźć się w samochodzie. Myślał tylko o tym, jak by to było fajnie, gdyby „A” przestała działać, gdyby wreszcie mógł to wszystko jakoś uporządkować.

I nagle dostrzegł, że Hernandez stanął jak wryty tuż przy samochodzie.

— Co...? — wyjąkał.

Na siedzeniu kierowcy coś siedziało.

Coś potwornego wyszło z lasu, z mroku nocy, i usiadło w samochodzie. Coś obrzydliwego, przerażającego, ale całkiem nieruchomego.

Śpioch Pete.

— Jezu Chryste — szepnął Brad. Spojrzał na Hudeka ale Hudek akurat patrzył na Pete'a. On też na niego spojrział.

Zmusił się. — Chryste, nie.

Od ramion w dół wszystko było w największym porządku. Pete był Pete'em i tyle. Siedział prosto, w dłoniach nadal trzymał torbę doritos. Lecz jedna z kul, przeznaczona być może dla Hernandezza, może dla Lee, może nawet dla niego zignorowała ich, jak wędrowne ptaki ignorują tysiące kilometrów oceanu, i znalazła miejsce przeznaczone dla niej, od kiedy opuściła lufę. Po drodze zabrała ze sobą ćwierć głowy Śpiocha. Weszła od prawej strony, mniej więcej w połowie czaszki, przebiła kość policzkową, mózg i wyszła z drugiej strony, pozostawiając po sobie brzydką dziurę. Jedyne oko Pete'a wciąż było otwarte. Z nosa coś mu ciekło.

Na oczach Brada, pewnego, że całe lewe oko przyjaciela po prostu błyszczą odbitym światłem, nagle się poruszyło.

I przestało się ruszać. Szczęka Pete'a opadła. W kroczu spodni rozkwitła ciemna plama.

Tak odszedł.

## Rozdział dziewiąty

— Nie mamy wyboru — powiedział Hernandez. — Posłuchaj mnie.

Brad siedział na ziemi, obejmując ramionami kolana. Palił już trzeciego papierosa, co oznaczało, że rozmowa trwała jakieś dziesięć minut. Wiedział, że powinien słuchać, ale nie miał zamiaru brać w niej udziału. Próbował myśleć, owszem, ale było to jak spacer po rozgrzanych węglach, rozciągających się w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Tylko że te rozgrzane węgle były lodowato zimne.

Lee pokręcił głową.

— Ja z tym chłopakiem chodziłem do szkoły! Musi być jakiś inny sposób!

Hernandez mówił krótko i do rzeczy. Ciało musi zniknąć. Nie można go tu zostawić. Trzeba się go pozbyć. Gdy tylko ktoś je znajdzie, gliny dosłownie rzucają się na sprawę. Bogaty dzieciak z odstrzeloną głową to nie jest coś, co przychodzi, mija i nie zostawia śladu. Więc nie wolno zostawić śladu. Lee zdołał zachować obojętność w sposób, który Brad uznał za wręcz nieprawdopodobny. Jasne, nie mówił cały czas spokojnym, cichym głosem, pocierał wargi palcem i nie patrzył na przednie siedzenie częściej niż którykolwiek z nich. Wpadł jednak na pomysł, by umieścić ciało tak, by sugerowało strzelaninę z jadącego samochodu albo napad, w straszny nieudany sposób. Albo coś. Upierał się przy tym, Hernandez trwał przy swoim.

— Posłuchaj mnie, Lee — powiedział spokojnie. Hudek zdał

sobie sprawę, że po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu, a nie „mały” albo „hej, ty”. — Nie mamy czasu. Jesteśmy za miastem, ale ktoś przecież słyszał tę strzelaninę. Musimy załatwić sprawę tu, teraz, natychmiast.

Hudek przemyślał to sobie. Skinął głową.

— No to do roboty — westchnął.

Otworzyli drzwiczki od strony kierowcy, wyciągnęli ciało, podpierając je tak, by wysunęło się łagodnie, powoli. Ale nagle resztką głowy zachwiała się, obróciła, coś lepkiego wypłynęło na rękę Brada, który cofnął ją z obrzydzeniem w tej samej chwili, gdy ciało puścił Lee, no i w rezultacie Pete wylądował na żwirze bezwładnie jak worek cementu. Hudek zdjął podkoszulek, którym wytarł większość krwi oraz mózgu z siedzenia, podczas gdy Brad i Hernandez wzięli trupa za nogi i podciągnęli pod tylne koła samochodu, bardzo ostrożnie, żeby głowa nie obijała się o ziemię. Otworzyli bagażnik. Hernandez miał w nim ręcznik plażowy, którym owinęli głowę Śpiocha. Potem podnieśli ciało. Musieli je wygiąć, żeby zmieściło się w bagażniku, co nie było łatwe. W końcu zatrzasnęli klapę.

Teraz, kiedy już nie widzieli trupa, poczuli się znacznie lepiej. Brad obserwował Hernandeza, zbierającego zakrwawiony żwir i wrzucającego go do torby po chipsach. Pomyślał, że facet jest cholernie dokładny.

Wreszcie wsiedli do samochodu. Najpierw ruszyli drogą, którą przyjechali, ale potem skręcili w prawo, głębiej pomiędzy wzgórzami. Park był zamknięty, i tak zresztą byłoby to wiejskie miejsce. Znaleźli jednak boczną dróżkę i wjechali całkiem głęboko. Zaparkowali, wyjęli ciało z bagażnika. Przenieśli Pete'a — czy też to, co z niego zostało — mniej więcej kilometr, ścieżką spacerową. Za życia był dużym facetem, po śmierci już tylko bardzo ciężkim. Ciężkim, trudnym do niesienia, wciąż ciepłym. Jego dłonie wydawały się za wielkie, poza tym nagle zaczęły sprawiać wrażenie, jakby składały się z samych palców. Nim skręcili ze ścieżki i skierowali się w las, Brad czuł się tak, jakby ktoś wbijał mu gwóźdź w podstawę kręgosłupa.

To Lee zdecydował, że są już wystarczająco daleko. Zatrzymali się, położyli ciało pod drzewem. W samochodzie nie było oczywiście łopaty, więc użyli rąk i samochodowego podnośnika. Ta ciężka praca zabrała im sporo czasu, choć kopali wszyscy trzej, a ziemia była dość miękka. Przenieśli Śpiocha do dziury, ale okazała się za mała, więc przetoczyli go na drugą stronę i trochę ją powiększyli. W końcu Śpioch spoczął w grobie, po czym zaczęła się dyskusja, czy mają zostawić na miejscu ręcznik. Hernandez twierdził, że Lee powinien zabrać go gdzieś i spalić, Brad wołał, żeby został tutaj, bo nie chciał znów spojrzeć w twarz przyjaciela, choć było to niedobre, ale nie chciał wyjaśniać. Wygrał Hudek. Taki tani ręcznik. Takie ręczniki można dostać wszędzie.

Brad był bardzo zadowolony.

Nikt z nich nie wiedział, czy na ciele można zostawić odciski palców. Uważali, że nie, ale na wszelki wypadek Lee wytarł je zakrwawionym podkoszulkiem, który też wrzucił do dołu. Po chwili zastanowienia obrócił zwłoki i związał im ręce tą właśnie szmatą, by skomplikować sprawę, gdyby ktoś je kiedykolwiek znalazł.

Nagarnęli trochę ziemi, zasypując nią dół, po czym rozeszli się w różne strony. Każdy z nich przy dźwigał najcięższą kłodę, jaką znalazł. Rzucili je na grób tak, by możliwie jak najbardziej wyglądało to na dzieło natury, następnie Lee odszedł jakieś dziesięć metrów, przyjrzał się dokładnie i choć w ciemnościach trudno było ocenić, jego zdaniem wyszło całkiem niezle. Resztki wygrzebanej ziemi rozrzucił dookoła. Stał przez chwilę, patrząc na to, czego dokonali, a potem tylko pokręcił głową.

Wracali do samochodu w milczeniu.

Lee nie włączył świateł, dopóki nie znaleźli się bliżej cywilizacji. Wrócił do miasta jak zwykle ostrożnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości, i podjechał, by wysadzić Hernandeza we wskazanym przez niego miejscu.

Facet wysiadł i nagle odwrócił się w jego stronę.

— Zaraz zacznę dzwonić po ludziach — obiecał. — Także do człowieka, którego spotkałeś. Powiem ci, jak powinniśmy załatwić tę sprawę. Jeszcze dziś.

Lee patrzył przed siebie. Tylko skinął głową. Hernandez zatrzasnęła drzwi i poszedł w swoją stronę.



Ruszyli szybko. Przejechali sto jedyneką przez Venture i Oxnard. Nagle Lee zwolnił i zjechał w bok, w kierunku plaży.

Wysiedli, nadal milcząc. Nie potrafili znaleźć właściwych słów, bąkali tylko coś, co nic nie znaczyło. Lee zabrał torbę po doritos i po drodze rozrzucił jej zawartość, ostrożnie jak zawsze, pilnując, żeby jak najwięcej poniósł wiatr. Nim doszli na brzeg, torba była pusta, ale i tak Lee wszedł wprost do morza. Wymyśl ją starannie, podarł na skrawki tak małe, jak tylko pozwalał materiał, z którego została zrobiona, i rzucił je na wodę. Poniesione przez wiatr rozsypały się na wszystkie strony, błyszcząc w promieniach księżyca.

Podszedł do Brada stojącego — bardzo niepewnie — po kostki w piasku. Patrzyli na siebie przez chwilę. W milczeniu.

— Śpioch Pete — powiedział w końcu Lee.

Brad pokręcił głową.

— Pieprzyć to, Lee. Pieprzyć to.

Odwrócili się i ruszyli przez wydmy. W bagażniku samochodu Hudek znalazł starą bluzę. Włożył ją na drogę do miasta. Zatrzymali się przy pierwszym Starbucksie i kupili sobie koktajle mleczno-waniliowe. Wypili je w drodze do Frisbees na Jolacha Avenue. Zdumieni i wytrąceni z równowagi jaskrawym światłem i donośnymi głosami dobiegającymi z kolejek przed kasami, tym, że ludzie mogą tak po prostu stać, rozmawiać, śmiać się, kupować sos barbeque, jakby nic się nie stało, kupili w końcu trzy spore torby hamburgerów. Do samochodu wrócili na sztywnych nogach.

Przejechali przez miasto, aż pod Faircroft.

— Spokojnie — powiedział Lee.

Brad uśmiechnął się nieznacznie, gdzieś w przestrzeń.

Do samochodu podszedł strażnik, ten sam, z którym Lee rozmawiał, wjeżdżając do rezydencji. Zamienili kilka słów i to całkiem przyjaźnie. Lee zaproponował mu hamburgera i facet niemal go przyjął, ale chyba w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma podwyższony cholesterol, albo że w budce czeka niedojedzona pizza. W każdym razie machnął ręką, pozwalając im jechać.

Więc jechali, mijając wszystkie te wspaniałe bramy.

— Zatrzymaj się — poprosił Brad, gdy przebyli za ledwie

kilkaset metrów. Hudek natychmiast spełnił jego prośbę. Brad wyskoczył z wozu i zwymiotował. Wymiocina śmierdziała piwem, krwią, zgnilizną i lasem.

Potem pojechali dalej.

Na podjeździe do domu Luchsów nadal stało mnóstwo samochodów. Lee zaparkował swój, wyłączył silnik. Zdjął dłonie z kierownicy, kilkakrotnie zacisnął je i rozluźnił.

— No tak — powiedział. — A teraz wracamy na imprezę. I spróbujemy się dobrze bawić.

— Żartujesz?

— Nie żartuję. Musimy się tu pokazać. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Brad oczywiście rozumiał. Wysiedli, nie zapominając o hamburgerach, weszli na teren posiadłości bocznym wejściem. Znaleźli się wśród mniej więcej trzydziestu młodych ludzi. Nadal się bawili, didżej znów zmanifestował swą obecność, pracował ciężko, lecz muzyka brzmiała jakoś inaczej, płasko i banalnie. Na widok toreb z hamburgerami podeszło do nich kilka osób.

— Ktoś widział Pete'a? — spytał obojętnie Lee. — Jego nazwisko jest na jednej z tych torebek. A może nawet na dwóch?

Na żart odpowiedziano śmiechem. Nie, nikt go ostatnio nie widział; ktoś dodał, że podobno pojechał zakończyć wieczór gdzie indziej.

No tak, pomyślał Brad, to bardzo dobre określenie. Rzeczywiście, zakończył wieczór zupełnie gdzie indziej. Cieszył się, że już się wyrzygał

Nagle poczuł w swej dłoni ciepłą dłoń. Karen.

— Myślałam, że już cię utraciłam.

— Nie ma mowy — odparł z uśmiechem, częstując ją frytkami.

Półtorej godziny później Hudek zatrzymał samochód na ulicy przed domem rodziców. Sprawdził, czy gdzieś nie pali się światło, a potem zaczął się zastanawiać, co właściwie powinien zrobić.

Zdażył już odwiedzić całodobową myjnię. Prawdę mówiąc,

odwiedził dwie. Najpierw pojechał do miejsca, w którym go znali, a potem dwadzieścia przecnic dalej, gdzie nie znalazł go nikt. Za każdym razem zamawiał tylko mycie karoserii, bez czyszczenia wnętrza, a do pierwszej podjechał tylko dlatego, że na zmianie nie było żadnego znajomego. Dla tych ludzi był tylko kolejnym młodym człowiekiem w fajnym samochodzie.

Karoseria przedstawiała się więc nieźle. Środek nieco gorzej. Siedzenie kierowcy, na przykład. I górna część drzwiczek po tej stronie. Na oko wyglądało to nieźle, ale wiedział, że na oko to za mało. Wkrótce będzie mógł sprzedać samochód... ale nie zaraz. Bardzo go zdziwiło, jak wielką różnicę stanowi „wkrótce” i „nie zaraz”, szczególnie kiedy na miejscu, na którym siedzisz, jeszcze niedawno zmarł twój najlepszy przyjaciel.

Mógłby to zrobić rano, ale cóż, nie chciał czekać, tylko załatwić wszystko dziś, raz na zawsze. Chciał obudzić się nazajutrz ze świadomością, że to, co się stało, to rzecz wczorajsza. Oczywiście tak nie będzie. Zabraknie Pete'a, zabraknie go bardzo szybko i wszyscy się o tym dowiedzą. Ale jeśli uda mu się załatwić sprawę samochodu, będzie mógł twierdzić, że o niczym nie wie.

By to osiągnąć, musiał sprawdzić parę rzeczy.

Po pierwsze: czy w bieżniku opon nie zostały ślady ziemi i żwiru, które mogłyby doprowadzić do tego cholernego parkingu albo dróżki, którą dojechali prawie na miejsce pochówku.

Po drugie: czy bagażnik został oczyszczony ze wszelkich śladów żwiru i krwi. Ręcznik na głowie był świetnym pomysłem, ale całkiem przesiąkł, nim wyciągnęli ciało z bagażnika. W zasadzie należałoby wymienić całą wykładzinę.

A także: musi wyczyścić przednie siedzenie, może nawet całe wnętrze. I to porządnie. Oglądanie od czasu do czasu *Kryminalnych zagadek Las Vegas* czegoś Hudeka nauczyło, choć nigdy nie przypuszczał, by miał z tej wiedzy skorzystać. Garaż w jego domu doskonale się do tej roboty nadawał, był dobrze oświetlony i czystutki. Najpierw podjechał jednak pod dom rodziców, zakładając, że życie jeszcze się w nim toczy. Z dwóch powodów. Tata miał mnóstwo przydatnych rzeczy: środki czyszczące, rozpuszczalniki, narzędzia. Samochód Hudeka seniora zawsze wyglądał tak jak powinien, miał tego

wszystkiego mnóstwo i nawet nie zauważy, że czegoś ubyło. Lee czuł, że dobrze, żeby go widziano. „Tak, widziałem go tego wieczoru. Nie, wyglądał świetnie, był wyluzowany, dlaczego pytaacie? O nie, nie, niemożliwe. Przepraszam, ale to absolutnie niemożliwe!”

Widział, że choć w sypialni rodziców jest ciemno, w gabinecie ojca ktoś może jeszcze być. Wysiadł cicho, zamknął drzwi i wszedł do domu. Ojca w gabinecie nie było, choć komputer pracował. Przeszedł przez kuchnię. Szerokie drzwi stały otworem.

Ktoś siedział przy basenie.

Lee wyszedł na taras.

— Tata?

Ktoś spojrzał na niego i tak, to był ojciec. Palił cygaro. Siedział ot, tak sobie, przy basenie, spokojnie, w milczeniu. Przerwał milczenie.

— To ty, chłopcze? — powiedział cicho. — Co tu robisz?

— Przejeżdżałem i pomyślałem, że powiem wam „cześć”... jeśli jeszcze nie śpicie.

— Miło z twojej strony. Napijesz się?

— Jasne. Najchętniej zimnego piwa. Może lepiej, żeby było słabe.

— Dobrze. Byłeś na imprezie?

— Tak, u Luchsów.

— Mają ładny dom.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Owszem. Ale taki trochę na pokaz.

Ryan Hudek się uśmiechnął. Wstał i poszedł do kuchni po piwo dla syna. Po drodze klepnął go po ramieniu.

I w tej chwili Lee o mało się nie rozkleił, ale jakoś opanował emocje. Po tym, co się stało, nie było już odwrotu. Siedział z ojcem pół godziny, potem się pożegnał. Ojciec tylko skinął głową i został na krzeselku. Lee przeszedł przez dom, po drodze skręcając do garażu. Zabrał, co mu było potrzebne, przekładając narzędzia tak, by na pierwszy rzut oka nie widać było, że czegoś brakuje.

Dotarł wreszcie do domu i przede wszystkim włączył ekspres do kawy. Pistolet Hernandez'a ukrył w szufladzie

garażowej szafki pod różnymi śmieciami. Był zmęczony, wręcz zmordowany, a powinien zachować przytomność ciała i umysłu; dzisiejszy wieczór z pewnością nie nadawał się do stymulacji narkotykami. Zresztą nigdy nie potrzebował niczego więcej niż kofeiny. Czekając, aż kawa się zaparzy, spróbował wspominać Pete'a, ale szybko z tego zrezygnował. Lepiej nie. Pete nie żyje. Trzeba to przyjąć do wiadomości. Nikt nie zmusił go do robienia czegoś, czego nie chciał zrobić.

Lee Hudek czyścił samochód. W pewnej chwili zorientował się, że co kilka minut zerka na telefon. Minęły już trzy godziny, a Hernandez nie dzwonił.

## Rozdział dziesiąty

Nie wiem, jak można to opisać. Nie był to las, nie był to teren otwarty, po prostu północno-zachodni kraniec Raynor's Woods. W zasadzie nic, całe hektary niczego, od czasu do czasu jakieś drzewko, kilka krzaków i wypełnione wodą kanały jak zmarszczki na bardzo starej twarzy. Niecały kilometr dalej znajdowało się małe miasteczko, ale trudno było się tego domyślić. Nie było tu niczego dla nikogo z wyjątkiem owadów i ptaków, i małych futrzanych drapieżników, które się nimi żywiły. Widziałem coś podobnego w New Jersey, nazywało się to Pustkowiec. Nie wiem, jak miejscowi określali swój teren, ale ta nazwa pasowała do niego równie dobrze jak każda inna, zwłaszcza w zimnym, stłumionym księżycowym blasku.

Poszedłem na parking za Niną i jej szefem. Usiadłem na tylnym siedzeniu ich samochodu. Odbyło się to przy dość gwałtownej dyskusji, ale Monroe nie miał ochoty na kłótnie, bo chyba bardzo mu się spieszyło. Przejechał przez miasto na pełnym gazie, udało się nam nawet je opuścić, jechać tak jeszcze z dziesięć minut, aż na poboczu pojawił się migający światłami policyjny radiowóz. Pojechaliśmy za nim szeregiem dróg i drózek prowadzących donikąd, by wreszcie trafić na jedną, która przynajmniej biegła prosto. Po dłuższym czasie radiowóz zjechał na pobocze. Nieco dalej stały dwa inne samochody i ciężarówka wyglądająca jak ruchome laboratorium do badania miejsca zbrodni.

Z radiowozu wysiadło dwóch gliniarzy, jeden w mundurze, drugi w garniturze. Ten drugi przypominał faceta, którego widziałem z Niną i Monroe'em wcześniej w hotelu.

— Kto to? — spytał, kiedy do nich podchodziliśmy.

— Kolega — odparła Nina. — Jakiś problem?

— Nie, panienko. Zadzwoń do mamy. Niech przywiezie tu wszystko potrzebne do pikniku.

— Daj spokój, Reidel — przerwał tę wymianę zdań Monroe.

— Zaprowadź nas na miejsce.

Reidel spojrział na mnie. Ja spojrziałem na niego. Odwrócił się, ruszył, ale szedł obok ścieżki. Poszliśmy za nim.

Paręset metrów dalej dostrzeżliśmy błyski latarek. Grunt stawał się coraz wilgotniejszy. Deptaliśmy paprocie, zapadaliśmy się po kostki w błotniste kałuże.

— Kto go znalazł? — spytała Nina. — Ktoś był aż tak zdesperowany, żeby wybrać się tu na spacer? Nie wierzę.

— Miejscowy. Starszy dżentelmen. Zbiera drewno. Rzeźbi z oberwanych gałęzi węże, jak mi się zdaje. Sprzedaje je turystom na festynach. Znalazł zwłoki późnym popołudniem, ale ma jakieś problemy z głową, przestraszył się, nie był pewien, czy rzeczywiście widział to co widział. Zastanawiał się parę godzin, zanim zadzwonił. Teraz trochę się uspokoił.

— Kto chciałby mieć drewnianego węża? — spytałem.

— Nie mam pojęcia, szanowny panie.

Taśmą ogrodzono teren znajdujący się nieco dalej. Inną jego granicę stanowił kanał szerokości może metra, choć rosnące na obu brzegach szuwały sprawiały, że nie sposób było wyznaczyć dokładnej granicy pomiędzy wodą i bagnistym gruntem. Ciągnął się łukiem po lewej i prawej, przez co powstał rodzaj wyspy o szerokości czterdziestu metrów. Było tam coś na przeciwnym końcu, ale uwagę skupiał bliższy kraniec. Kilku mężczyzn wpatrywało się w ziemię. Na stelażu ustawiono mocną lampę, oświetlającą ich głowy i ramiona.

Reidel przeszedł pod taśmą. Poszliśmy za nim na brzeg kanału, przez który przerzucono dwie deski.

— Pojedynczo proszę — powiedział.

Przeszliśmy prze tę namiastkę mostu, który uginał się mocno pośrodku i z pewnością nie miał szans na przetrwanie nocy.

Przeszliśmy parę kroków przez błoto i wreszcie poczuliśmy pod stopami solidny grunt.

Specjaliści od badania miejsca zbrodni rozstąpili się na nasz widok. Od razu można się było zorientować, że coś jest tu bardzo nie w porządku. W nieruchomym powietrzu unosił się ostry, przeraźliwy, łatwo rozpoznawalny smród.

— Przyjechaliście w samą porę — powiedział jeden z techników. — Właśnie mieliśmy to zabierać. To znaczy jego.

Odsunął się. Włączył flesz na światło ciągłe, przez co to, co mieliśmy obejrzeć, widoczne było jeszcze dokładniej. Monroe zorientował się pierwszy.

— Jezu! — powiedział cicho i bardzo spokojnie.

Na ziemi leżał mężczyzna, na boku, z przygniecioną ciałem ręką. Wyglądał, jakby zrzucono go z dużej wysokości. Miał na sobie dżinsy oraz ciemnozieloną grubo tkaną koszulę, jedno i drugie bardzo brudne. Jego głowa była skrzyżowana pod nienaturalnym kątem, jakby próbował popatrzeć przez drzewa na księżyc. Oczy pozostały otwarte. Mężczyzna miał ze trzydzieści pięć lat, choć czasami trudno jest określić wiek trupa. Śmierć potrafi wymazać kilka lat troski o formę, a także pozbawia ofiarę przynajmniej części tego, co stanowiło ojej charakterze.

Małe zwierzątka rozprawiły się także z fragmentami jego twarzy.

Z powodu ostrego światła miejsce zbrodni sprawiało wrażenie fotografii, emocjonalnie płaskiej... dopóki nos nie spróbuje przypomnieć ci skutecznie, że to jak najbardziej rzeczywistość i to bardzo bliska. Monroe nie zareagował jednak na bodźce bezpośrednie, raczej zwrócił uwagę na to, co ujawniało położenie lewego rękawa koszuli. Rękaw mianowicie był podwinięty nad łokieć i widać było wyraźnie, że przedramię pozbawione jest większej części ciała. Nie przez rozkład, choć i on odegrał swą rolę — świadczył o tym wszechobecny odór, jednocześnie gryzący i jakby wilgotny — lecz przez to, że ktoś po prostu to ciało usunął tak, że prawie na całej długości ramienia widać było nagą kość. Kiedy się to zauważyło, łatwo było dostrzec, że ciało pod ubraniem także wydawało się niepełne. Sądząc z twarzy, ten mężczyzna był budowy średniej do mocnej, ubranie na nim wisiało, a ciemne zaschnięte plamy mogły



świadczyć o tym, że to, co widać na ręce, powtarza się prawdopodobnie wszędzie. Może było to dzieło zwierząt, tylko... jakie zwierzę wejdzie pod ubranie, zostawiając prawie nienaruszoną twarz?

Odwrociłem się bardzo zadowolony, że nie ja pierwszy zobaczyłem zwłoki. Nina patrzyła na przeciwległy kraniec wysepki.

— A to co?

— Proszę zobaczyć.

Reidel poprowadził nas po nierównym gruncie. Nie od razu można było sobie uświadomić, czym to coś jest, tyle tylko że oświetlone było światłem księżyca. Kiedy podeszło się bliżej człowiek nagle zaczynał rozumieć.

To, co zauważyłem, kiedy się tu pojawiliśmy, okazało się białą koszulą. Czystą, niewielką, zawieszoną na trzech gałęziach krzaczka prawie zupełnie tak, jak pranie na sznurku. Krzaczek rósł niedaleko jedynych na wysepce pięciu drzew.

Nina, Monroe i Reidel stanęli jak wryci. Przyglądali się temu w milczeniu. A potem chrząknęli mniej lub więcej jednoznacznie.

Ta koszula działała na człowieka może nawet bardziej niż ciało. Nie mogłem obronić się przed myślą, że ten facet od węży zauważył najpierw ją i to go tak śmiertelnie wystraszyło.

Ktoś powiedział coś nad ciałem. Rozległo się stłumione przekleństwo.

— Hej, ludzie, powinniście to zobaczyć! — zawołał jeden z techników.

Posłusznie podreptaliśmy z powrotem w pobliże ciała, które tymczasem przewrócono na wznak. Przy tej okazji pojawiło się prawe ramię, w stanie mniej więcej takim jak lewe. Podwinęły rękaw, usunięte ciało. Ale widoczna była wielka różnica.

Brak dłoni.

— Jasne — mruknął Reidel po długiej chwili milczenia. — Czy teraz możemy już mówić o śledztwie w sprawie seryjnego mordercy?

— Co najmniej cztery, pięć dni — powiedział koroner, przyglądając się ciału kładzionemu na nosze. Z powodu jakiegoś

świństwa, które rozsmarował sobie pod nosem, żeby nie czuć smrodu, wyglądał, jakby był ofiarą najgorszego w świecie kataru. — Może nawet tydzień. Usunięcie ciała i organów wewnętrznych utrudnia takie ustalenia. Może będę wiedział coś więcej, kiedy przewieziemy go do laboratorium, ale nie spodziewajcie się, że podam wam godzinę. To nie jest odpowiednie środowisko dla trupa.

Miał rację. Choć granatowe nocne niebo zaczynało jaśnieć, nie znajdowaliśmy się w miejscu, w którym ktokolwiek chciałby się znajdować. Od naszego wyjazdu z hotelu minęły cztery długie godziny, zasypiałem na stojąco i lada chwila miało mi zabraknąć papierosów. Nie otwierałem gęby i trzymałem się z boku na wypadek, gdyby ktoś dorosły zorientował się, że jeszcze nie śpię i posłał mnie do łóżka.

Patrzyłem, jak technicy troskliwie przenoszą szczątki na noszach przez zaimprovizowany mostek. Wysepka natychmiast się zmieniła, jakby ktoś wyłączył niesłyszalną ścieżkę dźwiękową. Zmarły ma w sobie jakąś wielkość. Przekazuje miejscu coś niezwykłego, przynajmniej je naszemu gatunkowi. Trup musiał być pierwszą dla nas oznaką, jak poważne, jak potężne siły istnieją poza zasięgiem naszego wzroku. Można obserwować różne aspekty rzeczywistości: rzeki, zwierzęta, drzewa, słońce, ale to, co stanowi największą różnicę — różnicę między kochanym człowiekiem a człowiekiem martwym — nie jest dotykalne. To otwiera drogę do zupełnie innego wszechświata: bez trupów nie byłoby wirusów, fal radiowych, kwarków... A także wprowadza do niego poczucie beznadziejności. Rytuał i jego istota — bogowie — są tylko opakowaniem pustki, czegoś, czego nie potrafimy pojąć. Zastanawiałem się, kim był zmarły, w czym życiu powstanie największa pustka. Na szczęście nie w moim, bo przez chwilę czułem się nikczemny, samotny. Gdziekolwiek poszedłbym na tej planecie, nie spotkam już rodziców. Już nigdy Bobby nie postawi mi piwa. Minął rok, a ja jakoś ciągle nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Nie pamiętałem o tym, czasami godzinami, czasami przez cały dzień albo i kilka dni, ale kiedy wspominałem, nie znajdowałem wyjaśnienia. Jakoś nie udało mi się wytłumaczyć sobie, że w porządku, nie żyją, jasne, zrozumiałem. Pewnie nigdy mi się to nie uda. Może

śmierci ukochanych po prostu nie sposób zrozumieć? Może musisz myśleć o czymś innym, już zawsze?

Zapaliłem jeden z niewielu pozostałych mi papierosów i słuchałem, co inni mają do powiedzenia.

Monroe nadal coś pilnie notował.

— Jesteście pewni, że pozbawiono go ciała, zanim go tu porzucono? — zapytał koronera.

— Tak. Trochę go zostało, na przykład na twarzy, mamy tu ślady zębów, zapewne gryzoni, ale większość wycięto wcześniej. Duży nóż, tasak, coś z tych rzeczy. Ślady cięcia na kości ramieniowej. Zadraśnięcie na goleni. Kiedy zdejmujemy ubranie pewnie zobaczymy więcej. Narzędzie ciężkie i ostre. Uważam, że użyto go także do obcięcia dłoni.

Nina skinęła głową.

— Dziwne, że zwierzęta nie uszkodziły go bardziej. W końcu minęło trochę czasu.

— Ile?

— Pięć do siedmiu dni. Sam powiedziałeś.

Koronier uśmiechnął się i podniósł palec do góry.

— Och, wcale tego nie powiedziałem. Ofiara nie żyje mniej więcej tak długo, owszem. Ale nie na tej nędznej namiastce posiadłości ziemskiej. Powiedziałbym, że leżał tu nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

Nina patrzyła na niego w milczeniu. Znałem to spojrzenie. Znacząco: „Mów. Nie zmuszaj mnie do zadawania pytań, bo gorzko tego pożałujesz”.

Koronier miał na palcu obrączkę. On też znał to spojrzenie.

— Ciało na plecach jest względnie nienaruszone — rzekł. — I mamy plamy opadowe w części grzbietowej... to znaczy... po śmierci krew spływa do najniższej partii ciała. W tym wypadku chodzi o plecy, pośladki, łydki, podczas gdy ciało...

— Znalezione leżące na boku.

— No właśnie. Natychmiast po śmierci musiał więc znajdować się gdzie indziej. I leżał na plecach.

— Pytanie, gdzie — wtrącił się Reidel. — Jakoś mi się zdaje, że nie masz zielonego pojęcia, gdzie by to mogło być.

Koronier pokręcił głową.

— Zobaczymy, co znajdą technicy. Ale na waszym miejscu

za dużo bym się nie spodziewał. Owszem, można mieć nadzieję, że znajdą coś szczególnego, wskazującego na miejsce, gdzie leżał, no wiecie: ślady ziemi, odpadków, pyłu. Ale jeśli był nagi, to większość dowodów wycięto albo zamazano, kiedy znowu go ubierano.

Monroe skinął głową.

— Możemy więc przypuszczać, że fragmenty ciała usunięto, by ukryć dowody mogące wskazywać, gdzie było ono przetrzymywane?

— Możliwe.

— Albo i niemożliwe — wtrąciłem. Przyglądałem się wysepce świeżym spojrzeniem i nagle coś przyszło mi do głowy.

— Tak, Hopkins?

— Powiedz mi, co sądzisz o tej koszuli?

— Na razie nie mam zielonego pojęcia. Być może nic nie znaczy.

— Wręcz przeciwnie — powiedziałem. — Martwe ciało i tekstylia, a na kilometry wokół nic? Powiedziałbym, że musi istnieć bardzo bliski związek.

— Może ci, którzy przenieśli tu ciało, tak po prostu ją zostawili — zauważył Reidel. — Co może pomóc nam w określe-  
niu, dokąd odeszli.

— Tego też nie kupuję — zaprotestowałem. — Dlaczego mieliby ją zostawić „tak po prostu”? Jest czysta. Ani śladu krwi. Wygląda, jakby przed chwilą wyjęto ją z torebki.

Nina spojrzała na mnie zaskoczona.

— Więc twoim zdaniem, co?

— Chodź i zobacz.

Ruszyłem przed siebie. Inni wahali się przez chwilę, w końcu jednak poszli za mną.

Podeszliśmy do koszuli we właściwym momencie, bo fotograf właśnie kończył robić zdjęcia i zamierzał zdjąć ją z krzaka.

— Chwileczkę — poprosiłem, a Nina wskazałem gestem, żeby stanęła za nią. — Zauważyłaś coś?

Przyjrzała się koszuli i pokręciła głową.

— Nie o to chodzi. — Stań plecami równoległe do niej i popatrz przed siebie. Co widzisz?

Ustawiała się tak, jak prosiłem i spojrzała.

- Latarnię.
- Właśnie. Innymi słowy miejsce, gdzie było ciało. Tę koszulę ułożono jako znak. Informację dla kogoś. To świadek.
- Przez kilka chwil cała trójka rozglądała się dookoła.
- No dobrze, niech będzie — zgodziła się Nina. Za to Monroe nie sprawiał wrażenia przekonanego. Z pewnością nie do końca.
- Jak to się ma do stwierdzenia, że ciało wycięto ze zwłok, żeby jednocześnie usunąć dowody świadczące o tym, gdzie je przechowywano? — spytał.
- Może nijak. — Wzruszyłem ramionami. — Ale jeśli ktoś zadał sobie trud i zawiesił tę koszulę, to po to, żeby coś powiedzieć. Stworzył tableau, może scenę? A może nawet ją odtworzył? Trzeba mieć jakiś powód, żeby przywlec ciało aż tu. Wcześniej mieli je przecież gdzieś, gdzie mogli je obkroić z mięsa bez strachu, że ktoś ich odkryje. Innymi słowy, było to miejsce bezpieczne. I zdecydowali się przenieść je akurat tutaj, gdzie ktoś musiał je znaleźć. Więc położenie jest ważne. Może ciało wycięto, żeby trup był lżejszy?
- Cała trójka gapiła się na mnie. Rząd znaków zapytania.
- Musicie być cholernie zmęczeni — stwierdziłem. — Przecież im lżejsze ciało, tym łatwiej je przenieść. A ktoś chciał to zrobić i nie tak po prostu przenieść, ale przenieść właśnie tu. I wiedział, że nie jest wystarczająco silny, by tego dokonać. Obcięli więc, co się dało, bez zniekształcania trupa.
- Więc to ktoś, kto wiedział, że całego trupa nie przeniesie — orzekł Reidel. — Postanowił jakoś go dostosować... — Wahał się przez chwilę. — Na przykład kobieta?
- No, może... Chociaż...
- Monroe spojrział na mnie dziwnie. Nina wpatrywała się w ziemię. Reidel się uśmiechał.
- O co chodzi? — obruszyłem się.

Samochód zatrzymał się na parkingu przed hotelem. Monroe i Reidel mieli jechać prosto do kostnicy, by sprawdzić, jak posuwa się wstępne badanie zwłok.

Świt zbliżał się wielkimi krokami.

— Przepraszam, nie miałem pojęcia, że wtrącam się do dyskusji — odezwałem się.

Nina pokręciła głową.

— Dobrze kombinowałeś. Moim zdaniem udało ci się nawet zaimponować Charlesowi.

— Nie ma dowodu, że to kobieta. Gdybym chciał przenieść faceta, wolałbym, żeby był tak lekki, jak to tylko możliwe. A ten nie zaliczał się do najmniejszych. Jednak nawet martwy karzeł nie jest lekki.

— Przemawia przez ciebie doświadczenie?

— Nie. Pewnie powiedział to Konfucjusz czy któryś z tych facetów. Słuchaj, sprawdźmy, czy nie dadzą nam tu jakiejś kawy.

— Ward, przecież nie ma jeszcze piątej. Rano!

— Masz broń?

— Oczywiście.

— Ja też. Dadzą nam kawę. Nie mają wyboru.

Weszliśmy do hotelu. Znalazłem kogoś i byłem tak uroczy, że nie wiem, dlaczego wreszcie obiecano nam kawę. Chyba żebym tylko przestał się czepiać.

Bar miał kształt litery „L”. Przenieśliśmy filizanki w najdalsze miejsce jego dłuższego ramienia. Pewnie mądrzej zrobilibyśmy, wracając do pokoju, ale w trupach jest coś szczególnego, sprawiającego, że człowiek woli jednak pozostawać na otwartej przestrzeni.

Piliśmy kawę, słuchając stłumionego szumu odkurzaczy. Po długiej chwili odezwał się pager Niny. Spojrzała na wyświetlacz.

— Mamy wyniki badania krwi pierwszej ofiary — oznajmiła. — Są ślady rohypnolu lub jakiejś podobnej substancji. Co oznacza premedytację.

— Premedytację w czym? Przecież niekoniecznie w morderstwie. Czy to coś, co zrobiłaby kobieta? Użyła narkotyku gwałtu?

— Nie, jeśli miała ochotę na mały numerek.

Powiedziałem Ninie o e-mailu otrzymanym od kogoś, kto podał się za Carla Ungera, twierdził, że jest znajomym Bobby'ego i chciał się ze mną jak najszybciej skontaktować.

Rozmawialiśmy o tym przez jakiś czas, a po chwili namysłu, powiedziała:

— Skontaktuj się z nim.

Skinąłem głową. Potem siedzieliśmy w milczeniu.

— Sprawdziłam coś — przerwała ciszę Nina. — W ciągu dziesięciu lat w całym okręgu nie było ani jednego morderstwa. Ani jednego! A teraz... dwa trupy w pobliżu jednego małego miasteczka.

— Mają poważny problem.

— A owszem.

Zostaliśmy tam, popijając coraz zimniejszą kawę, a otaczający nasz świat powoli stawał się coraz jaśniejszy.

## Rozdział jedenasty

A tymczasem w drodze był mężczyzna, mężczyzna, który już się nie wahał i zmierzał tam, dokąd miał zmierzać.

Wczoraj, późnym popołudniem, zgodnie z instrukcjami przekazanymi mu na Key West, Jim Westlake dojechał do Petersburga. Zatrzymał się na parkingu przed supermarketem Publix, stojącym na obrzeżu miasta. Wysiadł, przeciągnął się, poczekał do piątej po południu, po czym wcisnął i przytrzymał jedynekę na klawiaturze telefonu komórkowego, zaprogramowanego tak, że automatycznie wybrała określony numer. Nie potrafił go zidentyfikować. Zapewne gdyby był młodszy i miał bardziej techniczne zainteresowania albo zapłaciłby komuś młodemu z technicznymi zainteresowaniami, mógłby ten numer poznać. Nie wiedział jednak, czy może mu to w czymś pomóc, więc po prostu zrezygnował.

Rozległy się trzy sygnały i ktoś odebrał.

— To ja — przedstawił się Jim. — Już jestem.

— Dobrze, doskonale — powiedział ktoś. Po głosie można byłoby sądzić, że to starszy z mężczyzn z Key West. Przewidujący. Zawsze on. Oczywiście.

— I co teraz? Podaś mi adres?

— Sam musisz go odkryć.

Jim roześmiał się. Kwaśno.

— Byłeś kiedyś w Petersburgu? Jasne, to nie Nowy Jork, ale też nie szersze miejsce na drodze. Jeśli chcesz załatwić sprawę przyzwoicie, musisz się bardziej postarać.



— No cóż — rzekł głos — można powiedzieć, że trochę wprowadziłem cię w błąd. Będzie musiał pojechać nieco dalej.

— A niby dokąd, jeśli wolno wiedzieć?

Głos bez wahania podał mu nazwę miasteczka. Jim wysłuchał go w milczeniu. W całkowitym milczeniu.

— Jesteś tam, James?

— Jestem. I niech cię diabli wezmą!

— Byłem pewien, że powiesz coś podobnego. Dlatego jesteś teraz tam, gdzie jesteś, a nie tam, gdzie powinienes być.

Jim spojrział na swoją opuszczoną lewą rękę. Drżała. Zaciśnął pięść.

— Nie pojedę!

— Pojedziesz — zapewnił go głos. — Musisz i przecież nie tylko dlatego, że ja ci każę. Wiedziałem, że gdybym ci to powiedział jeszcze na Key West, z pewnością byś się nie zgodził. A to byłby duży błąd, bo jeśli nie będziesz posłuszny, masz przechlapanie. Dawno temu nie załatwiłeś prostej sprawy, która teraz prosta już nie jest. Masz sposobność naprawić błąd, a przy okazji zrobisz także coś dla nas. Coś ważnego, zwłaszcza dla mnie, osobiście, więc tego z pewnością nie spieprzysz.

Jim podniósł wzrok i rozejrzał się po parkingu. Ściany supermarketu błyszczały w promieniach słońca. Całe rodziny chodziły we wszelkich możliwych kierunkach, pchały wózki jeszcze puste i już pełne, przynosiły jedzenie z bliska i z daleka. Myśliwi w lesie półek, zbieracze żywności niskocholesterolowej i pakowanej próżniowo.

— Dobrze — powiedział. — Ale mów do mnie. I tym razem całą prawdę.

— Czekaj tam, gdzie jesteś — polecił głos. — Wkrótce dostaniesz niezbędne informacje. I się do nich dostosujesz. Ta sprawa ma znaczenie i dla mnie, i dla ciebie, ale to nie ja ryzykuję życie.

Na tym rozmowa się skończyła.

Przez kilka minut Jim czekał przy telefonie, który zaczął piszczeć, a potem wydał z siebie szereg dziwnych dźwięków. Powtórzyło się to po chwili i na wyświetlaczu pojawiło się polecenie wciśnięcia przycisku.

Wcisnął. Zobaczył zdjęcie, twarz kobiety. Na kolejne polecenie wcisnął kolejny klawisz. Zobaczył drugie niewielkie zdjęcie, innej kobiety.

Pod oboma znajdował się taki sam krótki podpis: „ZABLIJ JA”.

Zagubiony w czasie. Zagubiony w liczbach. Zagubiony wśród zdarzeń.

Krzyki sprawiły, że Jim się ocknął. Uświadomił sobie nagle, że stoi oparty o samochód Bóg jeden wie, jak długo. Po prostu stał, zapomniawszy o bożym świecie i parkingu, wpatrując się w ekranik telefonu komórkowego.

— Kopnął mnie, mamó. On mnie kopnął!

Spojrzał w tamtym kierunku. Całkiem niedaleko parkował SUV. Przy jego bagażniku, z klapą otwartą jak żarłoczna gęba, stało dwóch może siedmioletnich chłopców. Obaj już dorobili się nadwagi. Bagażnik wypełniony był po brzegi kolorowymi torbami z artykułami żywnościopodobnymi w ilości, która niewielkiemu krajowi afrykańskiemu wystarczyłaby na tydzień. Dzieciaki zostały, matka odprowadzała wózek na miejsce znajdujące się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Głupota. Co za głupota!

Ten, który został kopnięty, wrzeszczał wniebogłosy, czerwony na twarzy. Ten, który kopnął, przyglądał mu się z klinicznym zainteresowaniem, jakby próbował wyciągnąć z tego doświadczenia jakieś ogólniejsze wnioski. Jak kogoś kopniesz, wrzeszczy. Co za interesujące doświadczenie.

Jim wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Zastanawiał się przez chwilę, jak to jest, że dla świadka wydarzenia dzieciak, który kopie, nie jest ani w połowie tak irytujący, jak dzieciak kopnięty i rozpaczliwie wrzeszczący, że został skrzywdzony. Tak, jasne, ten co kopał to dupek do kwadratu, Tak, to on zaczął, i tak, nie wolno kopać. Ale to skrzywdzonemu sam miałbyś ochotę skopać kostki. Za karę, że jest taki zadufany w sobie, taki wielki i skrzywdzony, że próbuje przehandlować własną słabość za zdobytą tylnymi drzwiami władzę. Kiedy kopnięty maluch wzywa dorosłych, by ukarali kopiącego, w istocie

pragnie, by dokonano gwałtownego czynu za niego, chce osiągnąć przewagę bez odpowiedzialności. Z takich gówniarzy wyrastają dorośli, którzy skarżą sąsiada, bo potknęli się na ścieżce przed jego domem, choć wieczór spędzili, jedząc jego hot dogi i pijąc jego piwo.

Podjechał do SUV-a i opuścił szybę.

— Hej, mały — powiedział do tego szlochającego. Obaj chłopcy popatrzyli na niego z zainteresowaniem. — Albo oddaj mu kopa, albo się zamknij.

Dzieciak nadal pociągał nosem, ale już jakby z przyzwyczajenia.

— Zrozumiałeś? Skończ z tym pieprzonym wrzaskiem.

Malec przestał chlipać jak nożem uciął i energicznie pokiwiał głową. Był bardzo blady.

— No, teraz lepiej. I tak trzymaj. Albo wróć i cię dopadnę. Zamknął okno, wyjechał z parkingu i ruszył przez miasto.

Jechał przez całą noc. Na zachód. Nie przekroczył granic Wirginii, za Petersburgiem trzymał się wyłącznie bocznych dróg. Jechał na miejsce. Teraz naprawdę nie miał wyboru.

Wracał do domu.

Część II

Wielu

*Miejsca wywierają wpływ, na dobre lub na złe.*

David M. Smith, *Moralność miejsca*

## Rozdział dwunasty

Oz Turner odetchnął głęboko i wypuścił powietrze, prychnąwszy przy tym jak zrezygnowany koń. Była za piętnaście jedenasta wrześnieowego poniedziałkowego ranka, chłodnego i deszczowego. Wrzesień do niczego się nie nadaje. Poniedziałek jest jedynym dniem tygodnia, który nudzi i zniechęca chwilę po narodzinach. I ta godzina! Kwadrans przed „czy już dobrze się bawimy?”. Człowiek ocieka wodą, na deszczu niezbyt wprowadzie intensywnym, ale bardzo pewnym siebie. Taki ranek chce się jak najszybciej zapomnieć.

Ze swego biurka stojącego naprzeciw okna złym spojrzeniem omiatał główną ulicę Lincoln, po której szło paru mieszkańców, wszyscy z opuszczonymi głowami. Weszli do sklepu Jayne's... i ulica znów opustoszała.

Witaj, nudo, moja stara przyjaciółko.

Wstał i powoli przeszedł do wnęki kuchennej, mijając po drodze dwa puste biurka. W redakcji rzadko pracowały dwie osoby naraz, a żeby pracowały trzy, musiałyby wybuchnąć wojna, dojść do najazdu obcych albo rozpocząć się lokalny festyn. Czekając, aż zagotuje się woda, Oz wyspał do kubka cztery łyżeczki kawy oraz trzy łyżeczki cukru. Jego od bardzo niedawna była żona poświęciła wiele czasu na wymawianie mu, że pije za dużo kawy. Nadal czuł wielką frajdę, że nie musi już słuchać tego pieprzenia. Ta kobieta potrafiła być prawdziwym wrzodem na dupie. W łóżku była dobra, owszem, choć biorąc

pod uwagę, że udowadniała to teraz innemu facetowi (właściwie to od trzech lat, z których dwa nadal była jego żoną) trudno uznać to za zaletę. Oz dawno temu uznał, że są dwa gatunki kobiet: te pierwsze są nieśmiałe, wstydlive, zawsze wierne mężczyźnie, od których każdy mężczyzna ucieka co sił w nogach. Drugie są energiczne i chętne, a od mężczyzn uciekają szybko i daleko. Miał nadzieję, że istnieje gdzieś coś pośredniego, ale sam przed sobą przyznawał, że jest już za stary, by mógł dokonać odkrycia osobiście.

Dobre pięć minut gapił się na swoje odbicie w czajniku, choć wcale nie był pewien, czy to rzeczywiście on... włosy i broda nieco zbyt regularnie siwe i nieco zbyt obfite, jak na obecną modę. Z opóźnieniem zauważył, że woda wreszcie się zagotowała. Wrócił z kawą do biurka i tuląc kubek do brzucha, rozczarowany wpatrywał się w monitor. Dobrze, zgoda, dopisał do nowego tekstu te parę stron, lecz do niczego się nie nadawały. No dobrze, Newport Tower na Rhode Island wyglądała zdumiewająco skandynawsko i co z tego? Żaden news, od lat wszyscy o tym gadają. Zamierzał podejść do tego z innej strony: kłapek na oczach establishmentu, by nie wspomnieć o Tajemniczych Potęgach Dawnych Lat. Tak samo podchodził do całego życia. Jednak był zawodowcem. Nie można powtarzać wszystkiego raz za razem. Nawet jeśli nikt nie czyta jego pisaniny (co wydawało się aż nazbyt prawdopodobne) albo ją przegląda i bierze za kiepski żart (z całą pewnością wiedział, że takich ludzi nie brakuje) robotę należy wykonać przyzwoicie.

Bo inaczej... cóż pozostaje?

Zaznaczył tekst i go wymazał. Zaczął od nowa. Minęło kolejne pół godziny. Niezbyt interesujące.

Podniósł głowę, kiedy z ulicy dobiegło głucho „bum”.

Naprzeciwko Jayne's pojawił się samochód. Dawał się zauważyć, bo zaparkował tyłem; pokaz brawury niedostępny dla większości mieszkańców. Poza tym był duży, czarny, wypożyczony i miał tablice z Kolorado. Ktoś obok niego stał. Ktoś wzrostu więcej niż średniego, szeroki w ramionach, o krótkich

ciemnych włosach. Ktoś o pociągłej, pokrytej krótkim zarostem twarzy. Patrzył wprost w okna redakcji „Lincoln Ledger”.

A potem spojrział w dół i w górę ulicy. Wyglądało to jakoś tak... profesjonalnie.

Oz przysunął się do okna. Zaintrygowało go coś, co wydało mu się trochę nie z tej ziemi. Otóż ten facet przypominał... Terminatora. Nie to, żeby był taki wielki i napompowany jak Arnold w swych najlepszych czasach, nie ustroił się od stóp do głów w czarną skórę. Gdyby ktoś taki wjechał do okręgu Webster w Massachusetts, wszyscy by się o tym dowiedzieli. Choćby z wiadomości transmitowanych z małego studia parę miasteczek stąd, z krzesła, które on sam zajmował przez godzinę w tygodniu między dwunastą a pierwszą w nocy, prowadząc program *Godzina Oza z Oz*, słuchany przez garstkę cholerycznych ofiar bezsenności; prawa do wykorzystania przez inne stacje, proszę bardzo. Jeszcze nikt nie skorzystał.

Nie, ten facet był raczej szczupły i nie taki wysoki, podobieństwo do Terminatora wynikało z tego, jak stał, najwyraźniej nie zwracając uwagi na deszcz, a sprawiał wrażenie, jakby nie zwracał uwagi na wiele innych rzeczy.

Nazwijcie mnie Woodwardem, przemaalujcie na Bernsteina, jeśli tylko chcecie, ale założę się, że ten facet nie zrobił sobie zwykłej przerwy w podróży, pomyślał Oz. Zaczął szukać cyfrowej kamery. Pół minuty zajęło mu znalezienie jej pod stosem wydruków. Kiedy wrócił do okna, na ulicy nie było nikogo.

— O cholera! — mruknął pod nosem. Zerknął w prawo i w lewo. Nic, pusto. Więc facet jednak wszedł do sklepu. Przyjezdny, kupi sobie coś do picia, może papierosy, i pojedzie dalej. Lincoln może odetchnąć. I nudzić się, jak zawsze.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. I to mocno.

Oz obrócił się na krześle. Na karku czuł mrowienie. Nie, to nie może być on.

W każdym razie tak byłoby lepiej.

I znów to pukanie. Trzy mocne uderzenia.

Oz wstał powoli. Cofnął się kilka kroków do miejsca, z którego widział drzwi wejściowe do redakcji. Górna ich połowa zrobiona była z matowego szkła. Widać było przez nie tylko zamazany kształt.

Czekał. Był ciekaw, czy gość zapuka raz jeszcze. Nagle uświadomił sobie, że w redakcji jest jaśniej niż na schodach, więc jeśli on widzi tam kogoś, to ten ktoś z całą pewnością widzi jego. Po co pukać do drzwi, skoro ten, kto jest w środku, słyszał poprzednie pukanie?

Wyprostował się... na tyle, na ile mógł, ale cieszyło go, że dzięki temu wygląda może nieco groźniej. Podeszedł i otworzył drzwi

Na progu stał mężczyzna z ulicy. Na jego długim płaszczu lśniły krople deszczu. Nogi miał lekko rozstawione i mimo że był doskonale nieruchomy sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł poruszyć się szybko w dowolnym kierunku. Spojrzał na Oza. Oczy miał zielone, zimne.

— Oswald K. Turner?

— Jak pan się tu dostał?

— Podeszedłem do drzwi, a potem wszedłem po schodach.

— Czyli... tak je pan po prostu otworzył?

— Tak.

— Nieprawda. Były zamknięte na klucz.

— Nie zauważyłem.

— Pan nie...? No tak. Niech będzie. — Oz nie miał najmniejszego zamiaru upierać się przy swoim. Im dłużej patrzył na faceta, tym był pewniejszy, że ma do czynienia z gliną. Albo żołnierzem. Albo najprawdziwszym Człowiekiem w Czerni. W każdym razie, niech go diabli, kimś poważnym.

— Mogę wejść?

Zastanawiająco uprzejme pytanie, bo przecież ten człowiek wyglądał jak ktoś, kto jest w stanie wejść, gdzie chce, nie pytając o pozwolenie.

— Zależy — odparł ostrożnie. — Czego pan właściwie chce?

Gość sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął z niej kartkę i pokazał ją Ozowi. Była to jedna ze środkowych szpałt „Ledgera”, z numeru sprzed trzech tygodni. Tekst podpisał Oswald K. Turner. Tytuł brzmiał: „KIEDY ONI POTRAKTUJĄ TO POWAŻNIE?”.

— Chcę o tym porozmawiać — powiedział mężczyzna. — Chcę, żeby mi pan pokazał to miejsce.

— Mam tam pojechać? Pada deszcz!



— Zauważyłem.  
— Mój samochód jest w warsztacie.  
— Mój nie.  
— Zgoda, dojedziemy na miejsce, ale potem czeka nas długi spacer. Pod górkę. Poza tym to teren prywatny. Właściciel za mną nie przepada.

Mężczyzna nic nie powiedział, tylko pochylił głowę o jakieś pięć stopni, nie spuszczać oczu z Oza. I Oz natychmiast go zrozumiał. Pojadą, dokąd mają pojechać, pojadą teraz, już, do diabła z huraganem, do diabła ze śnieżycą, pojadą, nawet gdyby z nieba nie spadły żaby lecz krowy!

— Pan jest z... z kimś...?  
— Ja? — Krzywy uśmiech. Prawie uśmiech. Jakby gość wyszedł z wprawy. — Nie. Jestem pana wiernym czytelnikiem.  
— A jakoś się pan nazywa?

Nieźmiennie zimne spojrzenie zielonych oczu. Zupełnie jakby facet rozważał, czy warto odpowiedzieć. Uznał, że warto.

— Nazywam się John Zandt.

Zandt prowadził w milczeniu, odzywał się tylko wtedy, gdy potrzebował wskazówek. Oz też nie miał ochoty na rozmowę. Ćwiczył sztukę obserwacji. Na tylnym siedzeniu leżało mnóstwo książek i map. Samochód miał na liczniku przebiegu dziesięć tysięcy pięćset kilometrów, na liczniku podróży blisko dziesięć tysięcy. Możliwe, że firma zapomniała wykasować ten licznik przed wynajęciem wozu temu Zandtowi lub komuś wcześniej, ale wydawało się to raczej nieprawdopodobne. W samochodzie czuło się zapach tytoniowego dymu, poza tym pachniał tylko nowością. Pan Zandt był w drodze od dłuższego czasu albo jeździł szybko, a zapewne i jedno, i drugie naraz.

Jechali sto dwunastką, potem w prawo na pięćdziesiąt jeden C, albo Starą Drogę Nad Jeziorem, jak ją powszechnie nazywano. Z oczywistych powodów, bo mijala jezioro po lewej stronie, jednak wody było wokół mnóstwo i nie sposób pojąć, dlaczego akurat ta droga została tak uhonorowana. Facet też zerknął na stawik, więc zapewne myślał o tym samym. Ale skąd

Oz miał wiedzieć, że Zandt porównywał w myśli to, co widzi, z małym jeziorkiem w Vermoncie, na brzegu którego stał niewiele ponad rok temu, że próbuje przypomnieć sobie, czym było wtedy jego życie... i nie potrafił sobie przypomnieć.

Dwadzieścia pięć kilometrów dalej Oz znowu wskazał w prawo. Pojechali wyboistą jednopasmową drogą, omijającą park leśny Robertson — niemal czterysta hektarów lasów u stóp wzgórz, gdzie ludzie od czasu do czasu wyprawiali się na wycieczki.

Droga kończyła się bramą.

— Musimy tu zaparkować — powiedział Oz. — Teraz, jak wspomniałem, czeka nas mały spacer. Tylko kilkanaście kilometrów.

Zandt skinął głową, wyłączył silnik i wysiadł. Począł, aż pasażer także wysiadł i zamknął samochód.

Przez pierwsze kilkaset metrów Oz bardzo się denerwował. Bo, prawdę mówiąc, szli po podjeździe domu Franka Pritcharda. Jego farma przylegała do parku, otaczał ją z trzech stron. Najprostsza i najłatwiejsza droga prowadząca tam, dokąd zmierzali, biegła przez jego ziemię, potem przez teren parku narodowego i znów przez teren prywatny. Problemem był właściciel, niezbyt przywiązany do lokalnych pamiątek. Podczas ich ostatniego spotkania zagroził, że zniszczy to cholerstwo. Mówił z przekonaniem. I wymachiwał strzelbą.

Pokonali drogę bez problemu, znikli w lesie i w tym momencie Oz zwątpił, że to on prowadzi. Owszem, od czasu do czasu musiał wskazywać właściwy kierunek, jednak jego klient poruszał się o wiele szybciej od niego. Wzniesienia i łożyska strumieni pokonywał, jakby szedł po równej drodze. Już po paru minutach Oz pocił się i ciężko dyszał.

— Hej, to jest tu od ładnych paru lat — wydyszał w plecy pracującego przed siebie tajemniczego mężczyzny. — Dwadzieścia minut nie zrobi wielkiej różnicy.

Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na niego. Szedł dalej, ale chyba jednak trochę wolniej niż poprzednio.

Oz prowadził ich mniej więcej na północny wschód, w górę, na wzgórze.

— O kurczę! — wysapał parę chwil później. Zatrzymał się, wyciągnął rękę. — Sukinsyn naprawił ogrodzenie.

Odpoczywał przez chwilę z rękami opartymi na kolanach. Nie da się ukryć, odczuwał coś w rodzaju ulgi. Miejsce, do którego zmierzali, kryło się teraz za niemal trzymetrowym ogrodzeniem. Co oznaczało, że nie mogą iść dalej. Koniec gry, wredny facecie. Miło było cię poznać.

Tymczasem facet obejrzał ogrodzenie. Z kieszeni płaszcza wyjął niewielkie narzędzie. W jakieś czterdzieści pięć sekund przeciął płot do wysokości półtora metra.

— No nie — jęknął Oz, ale Zandt chyba go nie usłyszał, bo już był po drugiej stronie. Poszedł za nim. Cóż innego mógł zrobić?

Wrócili na ziemię Pritcharda. Stąd do celu nie było już daleko — jakieś trzysta metrów pod osłoną grzbietu wzgórza. Skręcili w lewo, wspięli się na kolejne, niższe wzniesienie. Jego drugi bok był nieco bardziej stromy, więc schodzili ostrożnie.

Przystanęli na kawałku płaskiego terenu. Mniej więcej sześć metrów przed nimi wznosił się drugi, bardzo podobny pagórek. Otaczał go las, poszycie było gęste, splątane. Skręcili w prawo, zatrzymali się.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Oz nie bez dumy. — Oto pańska ziemianka.

Miał zamiar gadać dalej, wygłosić przygotowaną mowę, lecz mężczyzna poniósł rękę, więc posłusznie się zamknął. Zandt podszedł bliżej czegoś, co tak bardzo pragnął obejrzeć. Na pierwszy rzut oka nic niezwykłego, łatwo było przejść obok, nawet tego nie zauważając, co w ciągu wielu lat zdarzało się przecież bardzo często.

Pomiędzy korzeniami drzew i porozrzucanymi kamieniami ukryte był małe prostokątne wgłębienie w zboczu wzgórza. Podłoże stanowiła udeptana ziemia, ściany były nieco pochylone, zbudowane z kamieni podobnych do tych, których pełno leżało dookoła. Ułożono je jedne na drugich, nie stosując zaprawy. Tworzyły podpory trzydziestocentymetrowej grubości i metrowej wysokości, odległe od siebie o nieco ponad pół metra. Leżał na nich płaski kamień, tworzący nadproże. Wierzch zasypano ziemią. Zandt przykucnął, zajrzał do środka przez otwór. Przesunął dłonią po kamieniach, jakby badał, jak dobrze

są do siebie dopasowane. Z kieszeni wyjął aparat fotograficzny, zrobił kilka zdjęć. Przeszedł pod wzgórzem kilka kroków w jedną i drugą stronę, obserwował, jak położone jest wejście w stosunku do zbocza.

A potem, nie odwracając wzroku, podszedł do Oza.

— Teraz możesz mówić — powiedział.

W 1869 roku właściciel gospodarstwa rolnego niedaleko Lincoln, będącego wówczas wiochą równie małą co nic niezna-  
cząca, zbierając w lesie drewno na opał trafił na coś, co wydało mu się dziwne — kamienną konstrukcję, wąskie wejście. Następного dnia wraz z synem wyczyścił poszycie, usunął także kamienie wepchnięte do tunelu za wejściem. Wydawało się nieprawdopodobne, by znalazły się tam same z siebie. Nie mogły pełnić innej funkcji niż zagrażać wejście. Syn wszedł do środka, przyświecając sobie świeczką. Tunel ciągnął się w głąb wzgórza przez mniej więcej dwa i pół metra, po czym rozszerzał się w okrągłą komorę o średnicy i wysokości jakichś trzech metrów. Tego samego wieczoru chłopak, utalentowany plastycznie, narysował to, co widział. Następного dnia ojciec wszedł do środka zobaczyć to na własne oczy. Wąski tunel sprawiał mu pewne problemy. Spędził w środku czterdzieści minut, a kiedy wyszedł powiedział synowi, że muszą znowu zablokować wejście. „Żeby dzieci i zwierzęta domowe nie wpadły w pułapkę” — powiedział, choć w najbliższym sąsiedztwie nie za wiele było i jednych, i drugich. Bardzo stanowczo nakazał też, by nie rozmawiać o tym z nikim oprócz rodziny. Syn zapisał to wszystko w pamiętniku, który znaleziono, wraz z rysunkami, w lokalnym muzeum w Lincoln przeszło sto lat później.

Miejscowa ciekawostka, nic więcej. Najprawdopodobniej ziemianka do przechowywania ziemniaków na przednówek. Zbudowana z kamieni przetrwała dłużej niż stojąca gdzieś w pobliżu chata, której mieszkańcom służyła.

Tylko że... pierwszego lutego 1876 bostoński „Journal” poinformował o odkryciu innej podziemnej komory, tym razem niedaleko Dedham, na południe od miasta. W ciągu następnych

pięćdziesięciu lat w Nowej Anglii — w Massachusetts, Vermoncie, New Hampshire i Connecticut — odkryto ich setki. Zazwyczaj, choć nie zawsze, znajdowały się na pagórkowatym terenie. Występowały w dwóch typach: proste sklepione przejścia, często wykorzystujące naturalne szczeliny wśród skał, lub konstrukcje bardziej skomplikowane, przypominające ul, jak jaskinia w Lincoln, o ścianach z kamieni bez spoin, wspornikowe, z łukowatym sklepieniem. Każdą z tych konstrukcji przykrywała i wypełniała ziemia, dzięki czemu wtapiały się w zbocze lub grzbiecie wzgórza, w którym je znajdowano.

Niewiele trzeba było czasu, by zauważono podobieństwo tych konstrukcji do kamiennych komór budowanych w Europie na długo przedtem, nim podobno odkryto Amerykę. Archeolodzy orzekli jednak, że były to ziemianki stawiane przez pierwszych kolonizatorów, którzy do czasów odkrycia wymarli lub przenieśli się gdzie indziej, a o ich oryginalnych gospodarstwach zapomniano.

Tak to mniej więcej wyglądało do lat sześćdziesiątych, kiedy to entuzjastyczni amatorzy stali się tak hałaśliwi i tak usilnie interpretowali znaczenie „ziemianek”, że zawodowcy postanowili odbić temat z ich rąk. Prowadzone z niezwykłą pieczołowitością żmudne badania wykazały, że na tych obszarach brak jest zabytków ery prekolumbijskiej, że odkryte budowle leżą na terenach zajmowanych przez pierwszych osiedleńców i odzwierciedlają położenie ich domostw, ponieważ są w ich pobliżu, że źródła ustne i pisane potwierdzają praktykę budowania ziemianek, w których przechowywano produkty spożywcze. *Quod erat demonstrandum*. Innymi słowy, wynoście się stąd, amatorzy, i zostawcie sprawę nam. Amatorzy wskazali jednak, że niektóre konstrukcje są astronomicznie zorientowane, na przykład ta pod Gungywamp w Connecticut, w której znajduje się korytarz zdumiewająco podobny do tego z prehistorycznego monumentalnego grobu w New Grange w Irlandii. Przypadek, stwierdzili autorytatywnie archeolodzy. Ale... datowanie metodą C14 dowodzi, że konstrukcja z hrabstwa Vermont z Wirginii pochodzi z 1405 roku — nie poddawali się amatorzy. Datowanie tą metodą obciążone jest wielkim marginesem błędu — odparli pewni siebie zawodowcy. Ale nie kiedy popiera wasze

tezy — irytowali się amatorzy. Poza tym dobrze, może w niektórych przypadkach mamy do czynienia z ziemiankami, ale większość budowli jest śmiesznie za duża do tego celu — dawali jeszcze mocno zirytowani. Dobra, dobra, archeolodzy zatkali uszy palcami. Gadajcie sobie dalej.

— Coś mi mówi, że pan wiedział to wszystko wcześniej — zakończył opowieść Oz. — Zresztą większość tej historii opisałem w artykule...

Czuł się niepewnie pod ciężkim nieruchomym spojrzeniem faceta i po raz pierwszy w życiu wolał raczej zamknąć, się niż gadać. Wszyscy słyszeli o tak zwanym nieobecny spojrzeniu weteranów z Wietnamu. Ten facet miał spojrzenie tak nieobecne, jakby próbował spojrzeć w kosmos, co wręcz wyjątkowo wyprowadzało człowieka z równowagi. Zwłaszcza że patrzył wprost przed siebie.

— Co jest w środku?

Oz roześmiał się.

— No jasne. Pan naprawdę sądzi, że ja tam wlałem?

— O ile wiem, pisał pan o tym trzy razy, a może nawet częściej. Temat pana nie zainteresował?

— Proszę spojrzeć na wejście. Jedno z najczęściej zadawanych pytań brzmi: dlaczego jest za małe, by zapewnić wygodny dostęp? Popatrz na mnie, człowieku. Masz wyobraźnię przestrzenną? Widzisz może, jak się tam wciskam, nawet gdyby nie przeskadzały mi te wszystkie kamienie?

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Oz ponuro patrzył, jak mężczyzna zdejmuje płaszcz.

Zabrało to ponad pół godziny i przez ten czas deszcz zmienił się w wilgotną mgiełkę. Facet mógł wreszcie wcisnąć głowę i ramiona do dziury, by wyciągnąć więcej kamieni. Oz robił, co mu kazano, czyli te już wyjęte układał na boku w schludny stos. Nagle echo oddechu mężczyzny zmieniło się lekko, lecz wyraźnie. Pojawił się po chwili, ciągnąc kamień większy i bardziej płaski od innych.

— No, koniec.

I to spojrzenie...

— Nie to, żebym nie chciał, człowieku — powiedział Oz, bo teraz, kiedy wejście zostało otwarte, rzeczywiście chciał. — Ale jestem trochę za stary, trochę za gruby, a co ważniejsze, cierpię na klaustrofobię. Półtora roku temu w Vermoncie wlałem do dziury przez o wiele większe wejście i ciągle pamiętam uczucie, że ktoś mnie pogrzebał żywcem.

Zandt uśmiechnął się nieznacznie, lecz nie był to chyba kpiący uśmiech. Wyglądało na to, że docenia fakt, iż wreszcie usłyszał coś bliskiego prawdy i łatwego do zrozumienia.

Poszedł sam. Przez chwilę w otworze widać było jego stopy, a potem i one znikły.

Oz siedział na stosie kamieni. Czekał.

Po jakichś dziesięciu minutach pochylił się i zajrzał do tunełu. W głębi błysnęło światło silnej latarki. Ten Zandt jest przygotowany na każdą ewentualność.

Oz usiadł. Czekał. Mókl, bo znowu się rozpadało, marzył o kawie, ale poza tym był, jeśli tak można powiedzieć, napalony. Zaledwie parę godzin temu nudził się w zwykły poniedziałkowy rano, żałując, że nic się nie dzieje. No to teraz się działo. Co do tego nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. W ciągu ostatnich kilku lat był tu piętnaście, może dwadzieścia razy. Siadał prawie dokładnie tu, gdzie teraz, zastanawiał się, czemu służyć mogła ta konstrukcja. A teraz ktoś wreszcie wszedł do środka... i może to odkryje?

Po kolejnych piętnastu minutach usłyszał, że facet wychodzi. Najpierw pojawiły się ręce, a w rękach kilka małych plastikowych torebek. Coś w nich było, ale trudno powiedzieć co. Zandt wstał, otrzepał się z błota, podniósł płaszcz. Torebki schował do kieszeni.

— Co tam znalazłeś? Co widziałeś? To, co na rysunkach?

— Rysunki owszem, były całkiem niezłe.

— Więc co...?

Nagle rozległ się trzask, bardzo głośny. No i krzyk, też nie cichy. To Frank Pritchard biegł pod górę w ich kierunku, a w rękach trzymał strzelbę.

— O cholera, kiepska sprawa — westchnął Oz. — Każdego wolalibyśmy tu widzieć, tylko nie jego.

Zandt przyglądał się biegnącemu spokojnie, wycierając błoto

z dłoni. Wkrótce można już było nawet zrozumieć, co farmer krzyczy. Był zalany, jak zwykle zresztą, I jak zwykle wściekły, bo żaden sukinsyn nie ma prawa chodzić po jego ziemi, kiedy tylko mu się spodoba. Ma cholerną strzelbę, tym razem jej użyje, żadna pieprzona ława przysięgłych w tym kraju nie śmie go za to skazać.

Zatrzymał się i oczywiście w nich wymierzył.

— Ożeż ty...! — Teraz Oz naprawdę się przestraszył. — Frank, słuchaj...

Pritchard chwiał się, lufa strzelby zataczała niebezpieczne kręgi. Lada chwila mógł odstrzelić komuś głowę.

— Jesteśmy zajęci — powiedział Zandt łagodnie, nie podnosząc głosu.

Stary zamknął się nagle jak mały zamyka się w skorupie. Potrzeba było dłuższej chwili, by Oz uświadomił sobie, że w kieszeniach długiego płaszcza jego gościa znajduje się również broń. Pistolet pojawił się jakby znikąd, wycelowany wprost w głowę farmera. Ręka Zandta ani drgnęła.

— Rozumiem, że bezprawnie wtargnęliśmy na pański teren — mówił dalej tym samym spokojnym, rozsądnym głosem. — Rozumiem, że to pana irytuje. Teraz jednak odejdzie pan i zostawi nas w spokoju. A kiedy znów zobaczy pan tu pana Turnera, odwróci pan głowę i uda, że go nie widział. Czy dobrze się rozumiemy?

— To moja ziemia — powiedział farmer zdumiewająco pewnie.

— Wiemy. Nie wyrządzimy szkód.

Stary poddał się, odwrócił, odszedł kilka kroków, ale zatrzymał się i spojrzął przez ramię.

— To jest złe. Ja wam to mówię.

— Wiem — powiedział Zandt. — Wiem.

Pritchard zaklął pod nosem. I odszedł.

Oz odprowadził go wzrokiem. Zandt zaczął pracowicie zatykać wejście wyjętymi wcześniej kamieniami.

Minęło dziesięć minut. Teraz nikt nie będzie mógł tu wejść. Tym razem większy, płaski kamień umieszczony został na miejscu jako ostatni. Zablokował wejście. Widać było, że do tego właśnie go przeznaczono.



Zandt wstał.

— Już nigdy nie podasz dodatkowych detali dotyczących położenia tego miejsca, rozumiesz? — powiedział. — Ani w gazecie, ani na sieci, ani w tym twoim okropnym programie radiowym.

— Dlaczego? Skoro już tu byłeś... — Oz umilkł. Ugiął się pod spojrzeniem faceta. — No, dobrze.

A on wręczył mu swój aparat.

— Masz tu piętnaście zdjęć ze środka. Reszta karty pełna jest podobnych materiałów. Także z wnętrza Dedham.

— Co? Mowy nie ma. Nikt nie wie, gdzie...

— Ja je znalazłem. Umieść je na swojej stronie, żebym miał do nich dostęp, gdybym ich potrzebował.

— Ale... dlaczego to robisz, człowieku?

— Ludzie powinni wiedzieć. Ale byłeś tu sam, do środka wszedłeś sam. Rozumiesz?

— Mój drogi, już zapomniałem, że w naszym świecie rzeczywiście istniejesz. Cała przyjemność po mojej stronie. Uwierz mi.

Zandt uśmiechnął się, i tym razem jego uśmiech wydawał się prawie szczery. Po czym odwrócił się i odszedł.

Nim Oz wrócił do bramy, czarny wóz odjechał. Deszcz powoli wypełniał wgłębienia pozostawione przez opony. Na szczęście pięć minut po tym, jak wyszedł na Old Pond Lane, pojawił się samochód.

Na nieszczęście był to samochód jego ekszony.

## Rozdział trzynasty

Tego ranka wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Po ósmej obudził nas telefon Reidela z informacją, że miejscowy glina wpadł na coś w sprawie Larry'ego Widmara. Tuż przed zniknięciem, tego samego wieczoru, rozmawiał z kobietą w barze na Owensville Road. Nina zapisała szczegóły i umówiła się z nim na miejscu za czterdzieści minut.

Kiedy brała prysznic, zadzwoniłem pod numer, który podał w swoim e-mailu Unger. Przedtem wykorzystałem ciemny kąt Internetu — okazało się, że numer należy do pana C. Ungera, adres nieznany. Nieźle to wyglądało: ten człowiek wykorzystywał umiejętności nabyte podobno w wywiadzie, nie dopuszczając do tego, żeby jego dane znalazły się w bazie danych, która w ogóle nie powinna istnieć. Nadal nie chciałem dzwonić do niego z własnego telefonu komórkowego, ale nie miałem wielkiego wyboru. Telefon z pokoju, hotelowego holu lub budki telefonicznej pozwoliłby mnie zlokalizować szybciej, niż lokalizuje się komórkę. Była oczywiście inna możliwość, właściwie jedyna, zatraćająca o inżynierię społeczną: wykorzystać cudzy telefon za zgodą lub bez zgody właściciela. Jedyne, co bym wtedy osiągnął, to narażenie na niebezpieczeństwo przypadkowego przechodnia. Nawet mój dobrze wytresowany system moralny nie potrafiłby zakwalifikować tego jako „dobrego uczynku”.

No więc w końcu do niego zadzwoniłem. Po wszystkich moich rozterkach zwyczajnie nie odebrał. Przekierowano mnie na

pocztę głosową. Dowiedziałem się, że owszem, to telefon pana Carla Ungera, i że mam zostawić wiadomość. Oznajmiający mi to głos nie wydał mi się znajomy, ale to częste w przypadku głosów z telefonu. Przedstawiłem się, powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, żeby do mnie zadzwonił. Potem wyszliśmy, wsiedliśmy do mojego wynajętego samochodu i pojechaliśmy do baru.

Reidel już na nas czekał. W towarzystwie kobiety stał na parkingu, zimnym, wilgotnym, pustym, spowitym mgłą. Bar znajdował się przy szosie, niespełna kilometr od miasta. Był niski, miał kształt wydłużonego prostokąta, delikatnie stylizowanego na łódź. Dlaczego? Trudno powiedzieć, najbliższy ocean odległy był o dzień jazdy samochodem. W każdym razie nazywał się Mayflower.

Kobieta miała na imię Hazel. Czekali na parkingu, bo właściciel się spóźnił, a bar był zamknięty na klucz.

— No tak. — Nina pokazała odznakę. — Hazel, powtórzysz mi, co powiedziałaś policjantowi?

Hazel miała około trzydziestki, była ładna, lecz chuda, jak to palacze, wkrótce ludzie będą ją nazywali „zasuszoną”. Jej głosem można było ostrzyć noże, sugerował też, że lepiej czuje się wieczorem niż rano. Samą postawą dawała do zrozumienia, że w każdej rozmowie spokoju wystarcza jej na dwie minuty. Najwyżej.

— Facet na zdjęciu, które mi pokazali. Przychodzi od czasu do czasu, niezbyt często. W środę wieczorem był, a owszem, od północy do rana, a wiem, że to była środa, bo się wkurzyłam. Miałam mieć wolny wieczór, tylko że Gretchen znów się nie pojawiła bez uprzedzenia, ale, do cholery, to przecież w porządku, ta gruba dupa pieprzy Lloyda nawet w tej chwili, więc jest nietykalna, dziwka.

— Lloyd prowadzi bar — wyjaśnił Reidel. — Jeszcze z nim nie rozmawialiśmy. Nie było go wczoraj wieczorem ani w środę.

— No tak — prychnęła Hazel. — Za bardzo pochłonęło go pieprzenie. Jest żonaty, wiecie? Trójka dzieci. Cholernie fajne dzieciaki.

- Środa wieczorem? — odpowiedziała jej Nina.  
Kobieta wzruszyła ramionami.
- Nie rozmawiałam z facetem, tak naprawdę wcale go nie znałam, powiedziałam glinom, że był, gadał z babką o krótkich włosach, przychodzi tu od czasu do czasu, pije czystą wódkę. Myślałam, że jest to... no... babka dla babek, ale co ja tam wiem?
- Możesz podać nam dokładniejszy rysopis tej kobiety?
- Pani wzrostu, dwadzieścia kilo cięższa, ziemista cera. Nie wiem, kto chciałby ją pocałować.
- Czy ktoś z pracowników może wiedzieć, kim ona jest?
- Donna... ale wróci dopiero w czwartek.
- Odwróciliśmy się, bo na parking wjechał samochód. Czerwona półciężarówka zaparkowała tuż obok budynku.
- Albo on — powiedziała Hazel. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i teraz przycisnęła je mocniej do ciała. — Miejmy nadzieję, że nie zapomni o głowie.
- Z samochodu wysiadł facet tuż przed pięćdziesiątką, szczupły, łysiejący. Bardzo chciał być srebrnym lisem, ale wyglądał raczej na siwą łasicę. Pięknie opaloną.
- Co się dzieje? — zapytał.
- Policja — oznajmił Reidel. — Chodzi nam o pańskiego klienta. Niejakiego Lawrence'a Widmara.
- Lloyd wyraźnie się zaniepokoił.
- A tak, to ten, którego zabito.
- Nie żyje? — Hazel zrobiła wielkie oczy.
- Owszem — potwierdziła Nina. — Ciało znaleźliśmy w Raynor's Wood. Policjant pani o tym nie powiedział?
- Nie. Spytał tylko, czy poznaję... nie wiedziałam. — Wyciągnęła paczkę papierosów, szukała zapalniczki. Podałem jej ogień. — Dziękuję. O Jezu.
- Nie nazwałbym go stałym gościem. — Lloyd wprawnie przełączył się na gładką gadkę. — Przychodził do nas raz, może dwa razy w miesiącu. Nie pił za dużo. Siedział we wnęce, czytał książkę. Czasami z kimś pogadał.
- Z kobietami?
- Tak.
- Hazel powiedziała, że w środę rozmawiał z kobietą.

Lloyd spojrział na swoją pracownicę.

— Znasz ją. Okrągła twarz, krótkie włosy, moim zdaniem lesba.

— Hazel, przecież sam ci o tym mówiłem. Diane Lawton. Rozmawiał z nią?

— No jasne.

— Tracił czas. — Facet był wyraźnie zdziwiony. — Głupiec. Jest ich aż za dużo.

Gdyby wzrok zabijał, spojrzenie Hazel spaliłoby go na popiół.

— Ma pan w barze książkę telefoniczną, proszę pana? — spytała bardzo uprzejmie Nina.

Podeszła z Reidelem do drzwi. Ja i kelnerka zostaliśmy na parkingu.

Przyjęła ode mnie kolejnego papierosa. Nie spieszyło jej się do środka.

— Twoim zdaniem zrobił to ktoś z Thornton? — zapytała.

— Albo okolicy. Ta Lawton wydaje ci się prawdopodobna. Ściągnęła brwi. Nie spodziewała się pytania.

— No nie... wcale nie. Ale ja przecież nic nie wiem o ludziach, którzy zabijają ludzi. Musi być w nich coś specjalnego, prawda? Potrafisz to rozpoznać?

— Właściwie nie — odparłem szczerze.

— Naprawdę? Poznałeś morderców?

— Kilku.

— Jacy byli?

— Podobni do ciebie i do mnie. Tyle, że zabijali ludzi.

— No ale... dlaczego zabijają?

— I tu mnie masz. — Wzruszyłem ramionami. — Po prostu tak już jest.

— Miałam kiedyś chłopaka — powiedziała Hazel po krótkiej chwili milczenia. — Zachowywał się tak, jakby pewnego dnia mógł coś komuś zrobić. Coś w nim było, czasami tak dziwnie patrzył na swoje ręce. Ale, o ile wiem, nie zrobił nikomu nic złego. Potem się rozstaliśmy. I pewnego dnia, wieczorem, przyszedł do mnie. Usiadł na podwórku. Nie krzyczał, nic z tych rzeczy. Po prostu siedział. Nawet się bałam, że coś zrobi, ale po prostu odszedł.

— Co potem? — spytałem.

— Nic — usłyszałem w odpowiedzi. — Czasami go widywa-  
łam, jednak parę lat temu zginął w wypadku samochodowym.  
— Hazel wzruszyła ramionami. — Nie wiem, dlaczego ci o tym  
opowiedziałam.

Pojawili się Nina i Reidel. Nina zatrzymała się na chwilę i  
podziękowała Hazel za poświęcony jej czas.

— Jeśli można prosić... niech pani nic o tym nikomu nie  
mówi — powiedziała. — Na tym etapie śledztwa chcemy tylko  
wyeliminować z niego panią Lawtona.

— Załatwione. — Hazel przydeptała niedopalek. — Dzięki  
za papierosa.

Odwróciła się i poszła do baru.

— Zdobyłeś przyjaciółkę? — spytała Nina.

— Znasz mnie. Nie sposób mi się oprzeć.

Diane Lawton mieszkała w niewielkim domu niespełna dwa  
kilometry od Mayflower, w granicach Thornton. Dotarliśmy do  
niej dwadzieścia po dziewiątej, ale stojący na podjeździe mały,  
miejski samochód sugerował, że jest jeszcze w domu. A także  
muzyka dobiegająca z otwartego kuchennego okna. Lekka,  
barokowa, z obojem przebijającym się radośnie przez orkie-  
strę, najprawdopodobniej Bach. Zapewne samo to wystarczało,  
żeby sąsiedzi popatrywali na nią spod oka. Na podwórkach  
domów po obu stronach ulicy wały się dziecięce zabawki.

Nina zapukała do bocznych drzwi. Niemal natychmiast  
otworzyła nam kobieta, doskonale pasująca do podanego opi-  
su.

— Pani Lawton?

Kobieta obejrzała nas sobie i skinęła głową. Miała może  
trzydzieści lat, była puciołowata, a jej usta sprawiały wrażenie,  
jakby lada chwila miały się skrzywić. Trzeba było przyjrzeć się  
dokładnie, by dostrzec cienie pod jej oczami i zmarszczki  
świadczące o tym, że te usta może i krzywiły się, ale ich kąci-  
ki rzadko wędrowały do góry.

— Tak. A państwo?

Nina pokazała jej odznakę.

— Możemy wejść?

— Właśnie wychodzę do pracy.

— To powinno nam zająć zaledwie kilka minut.

— Powinno?

Nina była idealnie spokojna.

— Proszę pani — powiedziała — widziała pani moją odznakę i wie, że pracuję dla FBI. Tolerujemy głodne kawalki w telewizji, dla potrzeb dramaturgicznych, ale nie Kochamy ich w prawdziwym życiu.

Kobieta odsunęła się, wpuszczając nas do środka. Jej kuchnia sprawiała sympatyczne wrażenie, pełna wiszących na sznurkach doniczek z roślinami i ceramicznych pojemników na przetwory zrobionych albo przez entuzjastycznych amatorów albo artystów na terapii zajęciowej za bardzo wysokimi murami.

Znalazła pilota i ściszyła muzykę.

— O co chodzi? — spytała.

Nina pokazała jej zdjęcie.

— Rozpoznaje pani tego mężczyznę?

Lawton uśmiechnęła się lekko.

— Ma na imię Larry. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby okazało się, że jest żonaty.

— Był. Teraz jest martwy.

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona.

— Naprawdę? O rany!

— Nie słyszała pani o ciele znalezionym w Raynor's Wood?

— Nie. Weekend spędziłam poza miastem. O co chodzi?

— Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć — włączył się do rozmowy Reidel. — Niektórzy goście Mayflower twierdzą, że rozmawiała z nim pani w środę wieczorem.

— Ludzie tu bardzo interesują się sprawami innych ludzi, co? Jasne, rozmawialiśmy. Przysiadł się do mnie, to co mieliśmy robić?

— Wyszła pani z nim?

— Nie.

— Czy dlatego... powiedzmy... że do siebie nie pasowalście?

Pani Lawton westchnęła.

— Pracuję w schronisku dla kobiet w Dryford, panie władzo, bo bywa, że kobiety potrzebują schronienia. Nie jestem stąd, strzygę się krótko, ponieważ nienawidzę, kiedy włosy włożą mi do oczu, a poza tym sądzę, że tak jest lepiej. Może w

tym akurat się myślę, ale nie, nie jestem lesbijką. Mam nadzieję, że to jasne?

— To nie nasza sprawa. — Nina spojrzała gniewnie na Reidela. — Nie miałabym do pani pretensji. Biorąc pod uwagę alternatywę.

— Nie wyszłam z nim z baru, bo nie mam zwyczaju zawierać znajomości na jedną noc. Gdybym miała, zaliczyłabym tylu tutejszych chłopaków, że ludzie nie mieliby wątpliwości co do mojej orientacji seksualnej. Jego nie chciałam także dlatego, że był dupkiem.

— To znaczy?

— Przysiadł się, postawił mi drinka, a potem cały czas gapił się przez ramię na kogoś innego. W końcu, nadal na mnie nie patrząc, powiedział, że było bardzo miło i poszedł porozmawiać z tamtą. Rozumiecie? Czy to dla was wystarczająco żalсна historia? Facet podrywa babkę, szybko orientuje się, że jest nudna, porzuca podrywkę i próbuje po raz drugi.

— Ta historia byłaby żalсна — wtrąciłem się do rozmowy — gdyby było właśnie tak. Żonaci mężczyźni nie szukają w barach podniety intelektualnej. Znalazł sobie dziewczynę łatwiejszą od pani, to wszystko. Tak czy inaczej, porąbano go na kawałki, więc to jednak pani wygrała.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Jak wyglądała ta druga kobieta? — spytała Nina.

— Miała długie włosy. — Brzmiało to tak, jakby długość włosów tłumaczyła wszystkie straszne wydarzenia na świecie. — Szczupła, ładna, długie włosy rude jak cholera. Założę się, że gorący był z niej towar.

Reidel, który do tej pory wszystko pilnie zapisywał, oderwał wzrok od notatnika.

— Przepraszam, pani coś powiedziała?

— Sporo wypła — dodała kobieta, nie kryjąc irytacji. Jej głos ociekał jadem. — Więc pewnie co racja to racja. Rzeczywiście, musiała być łatwiejsza ode mnie. Podłożyła mu się, bo padła nieprzytomna.

— Proszę pani — przerwał jej Reidel stanowczo — powiedziała pani „rude włosy”, nie myślę się?

— Powiedziałam, owszem.



— Imienia tej kobiety pani nie zna?  
— Nie. Ale widywałam ją wcześniej. Kilka razy. Siada z tyłu i pije całą noc.

— Wiek?

Lawton wzruszyła ramionami.

— Bo ja wiem? Dwadzieścia pięć, coś koło tego.

— Czy w środę wieczorem widziała pani, jak wychodzili?

— No przecież — prychnęła pani Lawton, jakby miała do czynienia z bandą idiotów. — Ze swoim kochasiem, oczywiście. Nie wiedzieliście? A ja myślałam, że właśnie o to wam chodzi.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy, a potem Reidel po prostu wyszedł z domu. Nina szybko się pożegnała i wyszła za nim. A ja za nią. Gliniarz rozmawiał przez telefon, stojąc przy samochodzie.

— No i co? — spytałem.

Nina miała ściągniętą twarz.

— Wyświadczyć mi przysługę — poprosiła. — Wracaj do baru. Sprawdź, czy kelnerka widziała tamtego wieczoru kogoś pasującego do tego opisu. Albo kiedykolwiek indziej. I zadzwoń, gdy tylko się dowiesz.

— Reidel coś ma?

— Nie. Przynajmniej mam nadzieję, że nie. Ale jeśli nie uda się tego szybko opanować, zacznij się gadanie, które może komuś poważnie spać życie.

Reidel zamknął telefon.

— Rozmawiałem z Monroe'em — oznajmił. — Spotka się z nami na miejscu.

Wsiedli do jego samochodu i odjechali.

Ja wróciłem do baru. Było w nim chłodno, ciemno, wnętrze udekorowano sieciami zapewne w przekonaniu, że statek „Mayflower” odegrał główną rolę w amerykańskim rybołówstwie. Sala była długa, lecz wąska. Nic dziwnego, że przychodzili tu ludzie, którzy nie chcieli pić w domu, lecz jednocześnie woleli zachować anonimowość.

Hazel niespiesznie czyściła bar, czy może raczej rozprowadzała po nim brud równą warstwą.

— Znowu się widzimy — powiedziała, gdy tylko mnie dostrzegła. — Jeśli szukasz Lloyda, to jest na zapleczu. Rozmawia

przez telefon. Niewątpliwie o sprawach bezpieczeństwa narodowego.

— Prawdę mówiąc, chciałem zapytać o coś ciebie.

— No to pytaj.

— Jeśli powiem: „szczupła, ładna, ruda” czy z czymś ci się to kojarzy?

— Jasne — skinęła głową. — Mamy tu taką jedną.

— Miła?

— Nie. Wręcz przeciwnie. Dająca do zrozumienia, że „nie jestem jedną z was”.

— Była tu w śróde?

— Może — powiedziała Hazel po chwili. — Tak, całkiem możliwe. Ale siedziała tam, z tyłu. A ja tkwiłam przy barze. Nie mogę być stuprocentowo pewna.

— Nie sądzę, żebyś знаła jej imię?

— Obawiam się, że masz rację. Czasami coś się usłyszy, czasami ludzie podają ci rękę, no wiesz, takie „cześć, jestem Bill”, jakby zmieniało to fakt, że piją sami. Ale jeśli ktoś chce się bawić w towarzystwie, to idzie raczej do któregoś z barów w mieście.

— A ten wie? — zapytałem, wskazując głową drzwi prowadzące na zaplecze.

Nareszcie się uśmiechnęła.

— Może, może... Odgrywa czasem ten numer, wiesz „*mein gościu*”, i poświęca komuś część swego cennego czasu. Zwłaszcza ładnemu, a ona łapała się do tej kategorii. Możesz sam go zapytać.

Poszedłem korytarzem. Drzwi były otwarte. Prowadziły do małego biura. Właściciel siedział wygodnie w fotelu, trzymając nogi na biurku. Rozmawiał przez telefon, przyciskając słuchawkę do ucha i uśmiechając się przy tym bardzo nieładnie. Kiedy mnie zobaczył skrzywił się i zakrył słuchawkę ręką.

— Czego pan chce?

— Chodzi o pańską klientkę. Rude włosy, ładna. Nazwisko?

Okazało się, że owszem, jest kilka możliwości. Za każdym razem wypowiadał się niekorzystnie o orientacji seksualnej pań, po czym oznajmił, że jest bardzo zajęty, że bar nie został

jeszcze otwarty i miło by mu było, gdybym się wyniósł.

— Z przyjemnością — powiedziałem szczerze. — Tak przy okazji... kobieta nie musi być lesbijką, żeby odrzucić pańskie awanse, a gdyby nawet była, szacunek należy się jej także z pana strony.

Spojrzał na mnie, jakbym zaczął nagle mówić w suahili i to ze złym akcentem.

— Dobrze już, dobrze — westchnął. — Życzę dużo szczęścia w życiu.

Wyszedłem na parking i zadzwoniłem do Niny.

— I co? — spytała.

— Stała klientka. Nie wychyla się. Skryta. Hazel nie jest pewna, czy była w barze w środę wieczorem.

— Podali nazwisko? — W jej głosie brzmiał niepokój.

— Tylko imię i szef nie jest wcale pewny. Najwyraźniej próbował ją poderwać raz i drugi, ale mu nie wyszło.

— Co to za imię, Ward?

— Jego zdaniem Julie lub Julia. — W słuchawce zapanowała cisza. — Nina? — powiedziałem niepewnie. — Weź pod uwagę, że ten facet to dureń.

— Oddzwonię.

Połączenie zostało przerwane.

Przez następne cztery godziny w eterze panowała cisza. Zaparkowałem w zabytkowej dzielnicy miasteczka, czas zabiłem śniadaniem i pitymi seryjnie filiżankami kawy. Miejskowa gazeta zamieściła nijaki tekst o Widmarze, łągając fakty dotyczące stanu jego ciała, rozpisując się za to o sukcesach tego lokalnego biznesmena. Za wcześniej było, by wspomniano o zwłokach znalezionych wczoraj wieczorem. Za wcześniej... a może i coś jeszcze? Dwoje przesłuchani rano ludzie nie znali tożsamości człowieka, którego nagie ciało odkryto w lesie parę dni temu. Jasne, nie można powiedzieć, by Diane Lawton wrosła w miasto... ale pracujące w barach kobiety na ogół wiedzą, co jest grane. Nina miała rację, kiedy wczesnym rankiem powiedziała, że w kostnicy spokojnego, sielskiego miasteczka

nagle znalazły się dwa trupy. I proszę, siedząc tak, obserwując przechodzących ludzi, nie miałem jakoś wrażenia, by morderstwa wstrząsnęły obywatelami.

Próbowałem dodzwonić się do Niny, ale mi się nie udało. Nie znałem telefonów Monroe'a i Reidla, zresztą wątpię, czy chcieliby ze mną rozmawiać. Sprawdzając krótką listę zapisanych w aparacie numerów, trafiłem na Johna Zandía... i zawałęm się. Oboje z Niną próbowaliśmy złapać go przez ostatnie pięć miesięcy, jednak nam się nie udało. Zadzwońiłem jednak... z identycznym skutkiem. Mogłem mu zostawić wiadomość, lecz przecież na żadną poprzednią nie odpowiedział. Nadal miałem mieszane uczucia w kwestii kontaktu z panem Ungerem. Czy warto byłoby wspomnieć o nim Zandtowi, sprawdzić, czy przypadkiem nie wpadł gdzieś na to nazwisko? Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, John dużo mówił i choć część tego, co powiedział, brzmiała jak bredzenie szaleńca, ewidentne wydawało się, że dokładnie prześledził historię Niewidzialnych. Może i niewiele by to dało, ale spałbym spokojniej, gdybym wiedział, że pan Unger znany jest nie tylko mnie, lecz komuś jeszcze. Na wypadek, gdyby coś mi się stało.

No więc wysłałem Johnowi krótkiego SMS-a. Dwie minuty później telefon pisnął, ale tylko sygnalizując, że SMS został dostarczony. Nadal nic. Cisza.

— Jasne. Ty też się pieprz — burknąłem pod nosem, przerażając kelnerkę. Następną kawę kupiłem sobie gdzie indziej.

Piłem ją, siedząc na ławeczce naprzeciw niewielkiego parku, rozważając możliwość powrotu do hotelu, kiedy telefon wreszcie zadzwonił. Nie była to jednak Nina i nie był to Zandt.

— Tak? — powiedziałem, prostując się nagle.

— Ward Hopkins?

— Tak.

— Carl Unger. Po pierwsze, chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu Bobby'ego. To był dobry człowiek. Co się stało?

— Został zamordowany.

— Rozumiem. — Głos Ungera pozostał spokojny. — No cóż, porozmawiamy o tym, kiedy się spotkamy. Gdzie jesteś?

— Ty mi powiedz.  
— Nie śledzę twojej komórki, Ward. Pytam dlatego, że chcę z tobą porozmawiać, a wolę nie rozmawiać przez telefon.

— Dlaczego?  
— Śmieszne pytanie w ustach kogoś, kto zajmował się monitoringiem komunikacji osobistej na profesjonalnym poziomie. Słuchaj, Ward, współpracujmy w tej sprawie. Po prostu chcę znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy się spotkać.

— Na przykład Greensboro? — zaproponowałem. — W Karolinie Północnej?

— W porządku — zgodził się natychmiast. — Dasz radę dziś wieczorem? Zdamę gdzieś na siódmą.

— Zadzwoń, kiedy wylądujesz. A przy okazji, co z twoimi włosami? Zdaje mi się, że kiedy widzieliśmy się ostatnio, mocno siwiałeś.

Facet był wyjątkowo cierpliwy.

— Panie Hopkins, nigdy się nie spotkaliśmy. Przyszedłem do firmy rok po pańskim odejściu. Pańskie nazwisko znam wyłącznie dzięki Bobby'emu, jasne? Jeśli uda mi się znaleźć różowy goździk, to mnie pan po nim pozna. Jeśli nie, po prostu wstanę i pomacham.

Przerwałem połączenie, czując się cholernie głupio. Jeśli facet chce mnie zabić, to ma duże szanse na sukces, bo wykazałem się wyjątkową bystrością. Wybrałem Greensboro trochę dlatego, że łatwo tam dolecieć samolotem, ale głównie dlatego, że leżało w innym stanie niż ten, w którym byłam w tej chwili. Miałem nadzieję, że usłyszę w jego głosie coś sugerującego, że wie, że mnie tam akurat nie ma, co byłoby dowodem, że śledzi moją komórkę, jednak niczego takiego nie usłyszałem. Co więcej, Greensboro odległe było od Thornton o co najmniej dwie godziny jazdy, co stanowiło cholerny kłopot. Przypomniałem sobie rozmowę; Unger wiedział, kiedy pracowałem w firmie i czym się zajmowałem. A poza tym, gdyby chciał mnie zastrzelić, mógłby to zrobić równie łatwo w Greensboro jak gdziekolwiek indziej.

Oddzwoniłem do niego.

— Cześć — usłyszałem. — O co chodzi?

— Zmiana planów — oznajmiłem. — Znacznie łatwiej będzie mi dojechać do miasteczka Owensville. Jakies dwie godziny od Greensboro, na północny wschód, w Wirginii. Może być?

— Żaden problem. Ale trochę później. Wpół do dziewiątej, dziewiąta.

Siedziałem w milczeniu, gapiąc się na ulicę z nadzieją, że nie popełniłem poważnego błędu.

A potem znowu zadzwonił telefon. Nina. Wkurzona jak cholera.

## Rozdział czternasty

— Będzie tu za mniej niż godzinę. — Nina prowadziła mnie korytarzem niewielkiego biura szeryfa Thornton. Zatrzymała się na chwilę przed zamkniętymi drzwiami. — Gliniarze próbują zebrać wystarczająco dużo babek do identyfikacji, jednak przy tym kolorze włosów nie jest to najłatwiejsze.

— Zdaje się, że po drodze spotkałem kandydatkę — powiedziałem. Przez zbrojone szkło widziałem dwudziestoparoletnią kobietę siedzącą z opuszczoną głową. — W holu czekała babka parę dziesiątek lat starsza, ważąca ze sto dziesięć kilogramów. Nikt nie pomyli jej z dziewczyną, którą tam masz. I nikt nie uwierzy, że Larry Widmar mógłby mieć na nią ochotę.

— Wiem.

— A już zwłaszcza nie uwierzy w to Diane Lawton.

— Ano tak. I dlatego Julia Gulicks wkrótce zostanie aresztowana.

Kilka kroków dalej znajdowały się nieoznaczone drzwi. Otworzyła je Nina. Weszliśmy do mrocznego pokoju z lustrem weneckim po prawej stronie. Z tyłu stał Reidel oparty o ścianę. On i Nina natychmiast zaczęli rozmawiać.

Przyjrzałem się dokładniej kobiecie, która lada chwila miała stać się pierwszą podejrzaną w sprawie o podwójne morderstwo. Siedziała za prostym stołem z metalu i sklejki. Głowę nadal miała opuszczoną, przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy patrzy na podrapany blat, czy próbuje odczytać z niego

jakaś sekretną wiadomość. Z pewnością był to blat złych wieści, z pewnością był to stół, którego sama obecność mówiła, że wolałbyś znaleźć się w innym miejscu niż to. Nawet w najgorszej restauracji przykryto by go kraciatym obrusem.

Po chwili podniosła głowę. Nie sposób było nie zachwycić się jej włosami, długimi, wijącymi się, w niezwykłym kolorze, naturalnie rudym, lecz z domieszką miękkiej czerni, podobnymi nie do płomienia, ale raczej do nieniosącej tlenu krwi. Cere miała jasną, brzoskwiniową, jakże charakterystyczną dla rudych kobiet, twarz równie charakterystycznie delikatną. Była szczupła, ale nie chuda, miała na sobie elegancką, ciemną garsonkę bizneswoman. Łatwo było wyobrazić sobie, że jest wmieszana w jakiś pomniejszy, lecz skomplikowany korporacyjny kant z rodzaju tych, których normalny człowiek nigdy nie zrozumie. Nie to widziałem poprzedniego wieczoru na tutejszych pustkowiach.

Ale z drugiej strony, jak powiedziałem Hazel: nigdy nie wie się wszystkiego.

— Nie ma prawnika? — spytałem, zdziwiony.

Reidel wzruszył ramionami.

— Powiedziała, że go nie potrzebuje.

— Nie wygląda na kogoś, kto chętnie odwiedza bary.

— Nie — wtrąciła Nina. — Mark Kroeger twierdzi, że praktycznie nie widział jej pijącej. Dwie małe szklaneczki na wieczór, z czego druga niedopita.

— Stara sztuczka alkoholików — zauważył Reidel.

Publicznie wstrzemięźliwi wracają do domu i wyciągają butelkę z kosza na brudną bieliznę w łazience.

— Kim jest ten Kroeger?

— Gość, który był z nią, kiedy znaleziono ciało w Ravnor's Wood.

— Jest tu?

Gliniarz pokręcił głową.

— A więc jesteś całkiem pewny, że zrobiła to ta kobieta stwierdziłem. — I że nie miała współnika. Kogoś, kto pomógł jej przenieść dwa ciężkie przeciw ciała na całkiem sporą odległość.



— Znamy podobne morderstwa popełnione przez jedną osobę ale... dziękuję za tę uwagę.

— Nie widziałem jeszcze kogoś tak rudego jak ona — ciągnąłem. — Jakby doznała poważnej rany głowy. Nie sądzisz, że mogłaby zrobić coś, co jakoś zamaskowałoby cechę aż tak charakterystyczną?

— Jeśli zabiła Widmara pod wpływem impulsu to nie, niekoniecznie.

— Tylko że to nie było tak. We krwi wykryto ślady narkotyku gwałtu. Czy to coś mówi o afekcie? A jeśli ten trup z lasu, z wyciętym ciałem, ma być dziełem jej wysiłków, to teorię o zbrodni w afekcie możesz wyrzucić na śmietnik. Razem z tym, co robiła przed Widmarem. Mam rację?

— Hej — powiedział Reidel spokojnie — przypomnij mi coś. Kto ci pozwolił tu przyjść?

— Ja — odparła natychmiast Nina.

— No to zobaczymy, co Monroe ma na ten temat do powiedzenia.

Nina się odwróciła. Nawet w tym stłumionym świetle sprawiała wrażenie zmęczonej i nieszczęśliwej. Coś musiało pójść zdecydowanie nie tak.

Monroe przyjechał dwadzieścia minut później, zarumieniony i gotów robić dobre wrażenie w telewizji. Nina skłoniła go, by poczekał, aż Diane Lawton przyjrzy się podejrzanej, oraz przekonała do przedłużenia embarga na informacje dla prasy.

Lawton musiała czekać jeszcze czterdzieści minut, bo tyle trwała dyskusja dotycząca osób do identyfikacji. Tylko jedna kobieta miała naturalnie rude włosy, tęga dama, którą widziałem wcześniej. Dwie miały włosy kasztanowate, pozostałe zwykłe, brązowe, no i żadna nie zbliżała się nawet urodą do Julii Gulicks. Nina była twarda. Wreszcie osiągnięto kompromis, w skład którego wchodziła zgoda wszystkich stron na to, by kobiety związały włosy z tyłu.

— Agentka Baynam wykonuje wspaniałą robotę, broniąc swej klientki. — Widać było, że Reidel jest wściekły. — A mnie

zdaje się, że jesteśmy po to, by znaleźć winnego. A może coś mi umknęło?

Monroe poszedł do pokoju przesłuchań namówić Gulicks, by skorzystała z usług adwokata. Odmówiła po raz kolejny. Tłumaczył jej, że ma prawo do profesjonalnej porady prawnej, że skorzystanie z niej nie będzie przecież dowodem jej winy i nie zostanie w ten sposób potraktowane, że jej sytuacja może się znacząco pogorszyć, jeśli nie skorzysta z pomocy zawodowca. Tylko pokręciła głową. Po raz pierwszy usłyszałem jej głos przez interkom.

— Nie zrobiłam nic złego. I nie jestem nawet aresztowana, o ile dobrze rozumiem.

Monroe wrócił do sali.

— Zaczynamy — oznajmił. — Miała szansę.

Wprowadzono jeszcze pięć kobiet i ustawiono je w rzędzie.

Gulicks zajęła miejsce drugie od lewej. Weneckie lustro przysłoniła zasłona.

Dołączyła do nas Diane. Monroe wyjaśnił jej procedurę, przypomniał, że nie powinna zakładać, iż musi kogoś wybrać, a także o tym, że jeśli dokona wyboru, musi możliwie precyzyjnie określić, jak bardzo jest go pewna. Skinęła głową. Z pewnością z rozumiała.

Reidel podniósł zasłonę.

Zrobili co mogli. Światła ustawiono tak, by kolor włosów nie rzucał się zbyt w oczy. Ściągnięcie włosów do tyłu też miało swoje znaczenie, bo zwracało uwagę na rysy twarzy. Wiedziałem, gdzie stoi Gulicks, ale i tak nie od razu ją poznałem.

Lawton powoli obejrzała ustawione w szeregu kobiety, przyglądając się każdej z nich przez kilka sekund. Od lewej do prawej. I z powrotem.

Monroe uważnie wpatrywał się w jej twarz.

— Potrafi pani wskazać którąś z nich? — spytał w końcu.

— Tak.

— Jest pani pewna?

— Na sto procent. Przecież w tamtą środę widziałam ją nie po raz pierwszy.

— Nie chodzi o to, czy widziała pani kogoś w Mayflower, czy nie — wyjaśniła Nina stanowczo. — Środowego wieczoru

czy któregośkolwiek innego. Chodzi o to i tylko o to, kogo widziała pani z Lawrence'em Widmarem tego konkretnego dnia i kto pani zdaniem z nim wyszedł.

— Wiem — powiedziała Lawton. — To ona. Numer drugi.

Monroe skinął głową. Reidel uśmiechnął się od ucha do ucha. Nina wpatrywała się w podłogę.

Lawton zabrano do innego pokoju, by spisać jej formalne zeznanie. Policję z Owensville poproszono o znalezienie Marka Kroegera i przywiezienie go na przesłuchanie w sprawie jego ostatniego spotkania z Gulicks. Monroe miał zdobyć nakaz przeszukania jej mieszkania i samochodu. Dwóch miejscowych gliniarzy wysłano do Mayflower w nadziei, że znajdą kolejnych świadków tego, co działo się tam w środowy wieczór.

Wszystkim zapowiedziano, że mają się zachowywać tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Na razie nic nigdzie nie przeciekło. Wkrótce musi przeciec, a gdy tylko media złapią trop, żaden łańcuch dowodów nie będzie miał znaczenia. Najwyraźniej panie i panowie redaktorzy wraz z przywiązanymi do kanapy widzami są w naszych czasach najbystrzejszymi prawnikami. Przez weneckie lustro widziałem, jak Julia Gulicks zostaje aresztowana jako podejrzana o zamordowanie Lawrence'a Widmara. Jeszcze raz zaproponowano jej skorzystanie z pomocy prawnika i jeszcze raz tę propozycję odrzuciła. Poprosiła za to o szklankę wody.

Reidel siedział przy jednym końcu stołu, Nina przy drugim. Julia była bardzo blada, choć spokojna. Bładość mogła być pozorem, wynikiem oświetlenia pokoju. Spokój wydawał się naturalnym stanem jej ducha. Spokój, a może nawet chłód.

Przesłuchanie prowadził Reidel.

— Czy rozumie pani, dlaczego została aresztowana?

— Macie świadka. Twierdzi, że w środę wieczorem byłam w barze z mężczyzną.

— Naszym zdaniem spotkała pani Widmara w barze Mayflower tego właśnie dnia wieczorem, być może późnym wieczorem. Przez jakiś czas piła pani z nim alkohol i rozmawiała. Wyszliście razem około jedenastej.

— A potem co? — spytała Gulicks.  
— Przepraszam, nie rozumiem.  
— Co miało nastąpić potem?  
— Pani mi to powie.  
— Nie mam pojęcia. Nigdy nie byłam w barze. Nie poznałam tego mężczyzny... przynajmniej póki żył. Wasz świadek się myli.

— Nigdy nie była pani w Mayflower?

— Nie pijam w samotności.

— Tak czy nie?

— Nie.

— I będzie pani przy tym obstawała?

— Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o co panu chodzi.

Do rozmowy wtraciła się Nina:

— Chodzi o to, że pani imię podał nam kierownik baru. Nie jest kimś, kto po prostu tak sobie strzelił, lecz jednym z dwojga świadków. Spiszemy jego zeznania dziś wieczorem. Jeśli dowiecie pani, że nigdy nie była w Mayflower, a dwóch niezależnych świadków potwierdzi, że tam panią widziano, pani sytuacja bardzo się pogorszy. Chodzenie do baru nie jest przecież przyznaniem się do winy! Najlepiej będzie, jeśli postara się pani nie mijać z prawdą w drobnych sprawach. Na tym i każdym kolejnym etapie.

— Jasne. — Julia powoli skinęła głową. — Dziękuję za wytłumaczenie, groźna pani. I potwierdzam: nigdy tam nie byłam.

— Powinna pani uważnie wysłuchać agentki Baynam — powiedział Reidel. — To pani nieformalna obrończyni. Widziałem ciało i osobiście nie daję pani wielkiego kredytu zaufania.

— Ja też je widziałam. Nie wyjaśniliście, dlaczego miałabym kogoś do niego doprowadzić. A potem zadzwonić na policję. A później czekać, aż przyjedzie. Bardzo chciałabym się dowiedzieć, dlaczego miałabym to zrobić.

— Po to, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Lawrence'a Widmara spotkała pani w barze. W którymś momencie podała mu pani w drinku substancję obniżającą poziom samokontroli. Wyszliście razem, wsiedliście do samochodu. Pojechaliście gdzieś, najprawdopodobniej na parking nad Raynor's Wood.

Zamordowała go pani, zaciągnęła ciało na miejsce, w którym je znaleziono. Następnie w nocy, a może następnego dnia rano, uświadomiła sobie pani, że może zaprowadzić tam przyjaciela z pracy pod pozorem romantycznego spotkania, a więc zająć pozycję niewinnego przechodnia przypadkowo znajdującego trupa. Całkiem sprytnie, ale także bardzo głupie.

— Głupie to za słabo powiedziane. — Julia Gulicks patrzyła mu prosto w oczy. — Naćpał się pan czy co? Nigdy nie słyszałam większych bzdur! Chcecie mi postawić zarzuty, bo mam włosy akurat tego, a nie innego koloru?

— Jeszcze nie. Nie musimy. — Reidel wstał. — Mamy trzy dni. A jeśli postaramy się o przedłużenie zatrzymania, to je dostaniemy.

Julia spojrzała na Ninę.

— Ale... nie macie żadnych dowodów!

— Zdobędziemy je. — Reidel przystanął i spojrzął na nią z góry. — A wtedy zaczniemy rozmawiać o ofercie numer dwa.

— Co? — Julia Gulicks zająknęła się niemal niezauważalnie. — O co chodzi?

— O kolejnego martwego mężczyznę. Jak widzę nie wie pani, że go znaleźliśmy.

— Znów nie rozumiem, o czym pan mówi.

— To już się robi nudne, Julio. Nie martw się, prędzej czy później wyjaśnię ci, o co mi chodzi. I jak bardzo sprawa jest poważna.

Julia Gulicks nagle wydała mi się bardzo młoda... i bardzo niepewna siebie, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że wydarzenia tego popołudnia nie znikną, jakby ich nigdy nie było, że przynajmniej jedna osoba w tym pokoju uważa ją za winną i nie spocznie, dopóki nie udowodni, że tak jest.

Wyprostowała się na krześle, i skrzyżowała ręce na piersi.

— Chciałabym porozmawiać z adwokatem.

Zostawiono ją w pokoju, zamknięto drzwi, przed drzwiami postawiono gliniarza. Reidel poszedł szukać adwokata. Zostawił dziewczynę w małym pokoju z paskudnym stołem, żeby się nad wszystkim zastanowiła.

Wyszliśmy z Niną na ulicę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Poza tym miałem ochotę na papierosa. Kiedy nawet na komisarzacie nie można zapalić, to znak, że duch czasu zwycięża. Gdy tylko wyszliśmy, zadzwonił telefon Niny. Odebrała, posłuchała i przerwała połączenie.

— Mają nakaz — powiedziała. — Mieszkanie Gulicks przekopią od sufitu do podłogi.

— Miejmy nadzieję, że nic nie znajdą — powiedziałem.

Nina pokręciła głową. Nie miałem pojęcia, co to może oznaczać. Dochodziła osiemnasta.

— Zaraz będę musiał lecieć. Chcę się tam znaleźć wcześniej, wybrać bezpieczne miejsce, nim ten Unger dojedzie do miasteczka.

— Nie mogę pojechać z tobą.

— Wiem. Wcale się tego nie spodziewałem.

— Chciałabym cię kryć.

— I zrobisz to. Będę słyszał twój głos.

— Powiedz mi, czy zamierzasz być ostrożny.

— Bardzo ostrożny. Będą mnie nazywali Ward „Ostrożny” Hopkins. Będę nowym symbolem ostrożności. Nocne leśne zwierzęta z wielkimi ślepiami będą mnie sobie wskazywać, będą sobie ze mnie kpić, będą obrzucać mnie obelgami, a wszystko przez to, że jestem taki ostrożny.

— Poważnie?

— Jak najbardziej.

— Puść sygnał, kiedy już będziesz na miejscu.

— Jasne. — Uścisnąłem jej dłoń. — O mnie możesz się nie martwić. Wracaj i zrób tam porządek.

— Myślisz, że to ona?

— Nie mam pojęcia. Sądzenie nie należy do moich obowiązków. Jestem tylko cywilem.

— Pamiętasz kobietę, o której ci mówiłam?

— Co z nią?

— Zdaje się, że zasnęłam i nie zdążyłam dokończyć. Półtora roku po tym, jak się zabiła łyżeczką, osiemdziesiąt kilometrów przed Janesville zatrzymano faceta prowadzącego na gazie. Okazało się, że ma w bagażniku narkotyki i broń owinięte w zakrwawiony koc. Zatrzymano go, oskarżono i skazano za morderstwo w Dakocie Północnej.

- I co?
- Zamknęli go za jedno morderstwo w Janesville. Proste i jasne, rabunek i zabójstwo. — Uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu nie było wesołości. — Więc mimo wszystko ona tego nie zrobiła.
- Tego nie — przyznałem. — A reszta?
- Uwolniono ją od zarzutu, z powodu którego stanęła przed sądem. To wystarczy. Ta sprawa powinna...
- Oczywiście, Nino, ale było za późno i to ona popełniła błąd. Powiedz mi coś, skarbie... dlaczego tu jesteś?
- Przecież wiesz.
- Nie. Tak naprawdę niczego już nie wiem. Zostałaś stróżem prawa i porządku z powodu tamtej właśnie sprawy, przynajmniej tak mi się wydaje, no i nadal tkwi ona w twojej głowie. Monroe doskonale o tym wie, a jednak wciąga cię do pracy nad takim właśnie przypadkiem. Dlaczego?
- Żeby coś podobnego nie stało się udziałem innej kobiety.
- Może — przyznałem. — A może chce mieć babkę w śledztwie na wypadek, gdyby ta sprawa zrobiła się medialna i polityczna?
- Spojrzałem na drugą stronę ulicy. Przy krawężniku parkował samochód. Stali przy nim dwaj goście, bez wątpienia dziennikarze. Trzydzieści metrów dalej zobaczyłem białą półciężarówkę bez bocznych szyb; mogła kryć w sobie kamery telewizyjne albo rój dziennikarzy gotowych do ataku.
- Słuchaj — powiedziałem — już mamy przeciek. Za chwilę sprawa będzie znana od wybrzeża do wybrzeża.
- Tym bardziej trzeba się nią zająć.
- W porządku. Chodzi mi tylko o to, żebyś nie dała się w to za bardzo wciągnąć.
- Jasne. Spokojnie. Szukaj numeru jeden. Nie przejmuj się, jeśli przy okazji pogrąży się kogoś niewinnego.
- Nie o to mi chodziło i ty doskonale o tym wiesz. Ja tylko twierdzę, że świat będzie się kręcił jak zawsze.
- Dzięki ci, Yodo — prychnęła Nina. — Doprawdy, bardzo mnie pocieszyłeś. Więc może wzruszysz ramionami i zapomnisz, co spotkało twoich rodziców? Przecież w tej sprawie też nic nie możesz zrobić.

— To nie to samo. Mówimy o rodzinie.

— Każdy jest czyjąś rodziną, Ward. Każdy, wszędzie, zawsze. Nie chodzi tylko o związki krwi. To nie tak. Bo gdyby tak było, wszyscy bylibyśmy Niewidzialnymi. Albo ludzie patrzają na obcych jak na swoich i traktują ich, jakby coś znaczyli, albo cały świat schodzi na psy.

Podniosłem rękę w geście poddania.

— Masz rację, masz rację. Zrobisz to, co chcesz. Moje rady i tak na nic się nikomu nie przydają. Zawiadomię cię, co ze mną, dobrze? Zadzwoń, kiedy skończymy, i wrócę do hotelu najszybciej, jak się da.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Odszedłem. Miałem nieodparte wrażenie, że zmierzam w złym kierunku.

Nim skręciłem za róg, odwróciłem się. Nina nadal stała na chodniku przed posterunkiem. Podniosła rękę i pomachała mi. Na jej nadgarstku coś błysnęło. Też jej pomachałem.

Odczytałem z ruchu jej warg dwa słowa. Odpowiedziałem: „Będę”.

No i pojechałem na spotkanie z tym facetem.



## Rozdział piętnasty

Gdy tylko pani Luchs wyszła z domu, serce Brada wykonało powolny, pracowity obrót, zatrzymując się przy tym na długą chwilę. Matka Karen poruszała się na ogół dostojnie, powoli. Była to jedna z jej cech szczególnych, poza tym, w odróżnieniu od większości rodziców jego przyjaciół, miała lekką nadwagę. Oczywiście trudno było ją uznać za grubą, a te dodatkowe kilka kilogramów sprawiało, że wyglądała znacznie lepiej niż chude, nieszczęsne owadzie ofiary siłowni. Sprawiała wrażenie wystarczająco pewnej siebie, by nie musieć dzień w dzień wlec się na ćwiczenia. Przy czym w jej przypadku „wleczenie się” oznaczało zejście do piwnicy własnego domu.

Teraz jednak szła szybko, stanowczym krokiem. Może nawet odczytał z wyrazu jej twarzy sygnał, że coś nieoczekiwanie wkroczyło w jej uporządkowane, zamożne życie.

A może po prostu na taką chwilę czekał.

Było nieco po czwartej. Brad siedział przy basenie Luchsów, Karen pływała tam i z powrotem, tam i z powrotem. Przepłynęła już czterdzieści długości i zaczynała się chyba męczyć. Była podporą szkolnej drużyny pływackiej i pływanie traktowała poważnie. Nie wiedzieć czemu.

— Karen, przyszła policja — powiedziała jej matka.

Brad natychmiast poczuł się tak, jakby w żołądku miał wylądować kwas akumulatorowy. Karen jednym płynnym ruchem

wyszła z basenu. W kąpiących z niej kropłach wody i naszyjniku z literą „K” błyskały promienie słońca. Wzięła ręcznik.

— Gliniarze? — zdziwiła się. — O co chodzi?

— Nie wiem, kochanie. Ale chcę z tobą porozmawiać.

Parę kroków za mamą trawnik deptało dwóch facetów w sportowych marynarkach. Wyglądali niemal jak bliźniacy, tylko jeden miał wąsy, a drugi był bledszy od wąsatego, jakby wolał się chować przed słońcem. Ten pierwszy pokazał legitymację.

— Detektyw Cassoli — przedstawił się. — Karen Luchs?

— To ja.

— A ty? — Cassoli spojrzał na Brada.

— Jestem Brad Metzger. — Głos mu nie zadrżał. Jest niezłe.

— Proszę, proszę — zdziwił się glina. Wyjął notes, przerzucił kilka kartek, w jedną postukał palcem. — No tak. Bradley M. Pan też jest na naszej liście.

Pani Luchs mocniej zacisnęła skrzyżowane na piersi dłonie.

— O co chodzi?

Gliniarz zignorował ją, lecz grzecznie. Musiał być grzeczny. Miała wielki dom.

— Oboje jesteście przyjaciółmi Petera Vossa?

— Ależ oczywiście — odparła Karen. — Pete? Jasne! Coś się stało?

— Nie wiemy, panno Luchs. Bo nie wiemy, gdzie Pete jest. W sobotę wieczorem nie wrócił do domu. Podobno czasami nocował u przyjaciół... no, to teraz nieważne. W każdy razie wczoraj nie wrócił. Nie zadzwonił. Więc wieczorem jego rodzice się z nami skontaktowali.

— O Boże! — Pani Luchs chwyciła się dłonią za gardło. — Doprawdy?

— Kiedy widzieliście się z nim po raz ostatni?

— W sobotę wieczorem — odparła Karen. Jej głos drżał, była wyraźnie wstrząśnięta. — Mielśmy tu przyjęcie, pewnie już pan o tym wie. Pete na nim był, ale nie do końca. Wyjechał wcześniej.

— Wiecie może dokąd?

Dziewczyna pokręciła głową i spojrzała na Brada.

— Nie mam pojęcia — powiedział Brad. — Rzeczywiście,

widziałem go, ale później jakoś znikł mi z oczu. Kupiliśmy kilka hamburgerów, nawet szukaliśmy go, no wie pan, gdyby był głodny, ale nie znaleźliśmy. Pewnie się ulotnił.

— Mama Petera twierdzi, że na wasze przyjęcie podrzucił go jakiś Andy.

— Owszem — potwierdziła Karen. — Tak. Przyjechali razem. Ale Andy został aż do samego końca. Jak zawsze.

— A potem pojechał do domu?

— On prawie nie pije — wyjaśniła szybko dziewczyna. — A poza tym chyba prowadziła Monica. Tak, jestem tego pewna. Pamiętam. Oczywiście.

— Oczywiście — przytaknął gliniarz. Pisał coś pilnie w notesie. Za to odezwał się drugi detektyw, ten, który do tej pory milczał jak zaklęty.

— Panie Metzger, niektórzy ludzie, z którymi rozmawialiśmy twierdzą, że pan i Pete byliście dobrymi przyjaciółmi. Czy to prawda?

— Tak... chyba można tak powiedzieć. To znaczy Pete przyjaźni się ze wszystkimi... ale... można powiedzieć, że rzeczywiście, jakoś tak się razem trzymamy.

— Wie pan, dokąd pojechał po zabawie?

— Nie mam pojęcia.

— I potem nie miał już pan od niego żadnych informacji?

— Nie. To znaczy... założyłem, że pojechał na jakąś inną imprezę, popił trochę i wczoraj przesypiał kaca. Pewnie zadzwoniłbym do niego dziś wieczorem, może jutro? Nie wiem.

— Czy scharakteryzowałby go pan jako kogoś, kto regularnie używa środków odurzających?

— Peter Voss to miły młody człowiek — wtrąciła pani Luchs. — Jest zawsze bardzo uprzejmy.

— Próbujemy ustalić — tłumaczył Cascoli — czy mógł się wpakować w jakieś kłopoty. Pojechał z kimś, kogo za dobrze nie znał, znalazł się nie tam, gdzie trzeba, coś poszło nie tak...

— To całkiem możliwe. — Nagle wszyscy spojrzeli na Brada. — To znaczy... mówiłem, że Pete jest bardzo przyjacielski. Rozmawia dosłownie z każdym. Właśnie to było u niego takie fajne, ale... no, wie pan, mógł zagadać do kogoś, do kogo nie powinien się odzywać. Wydaje mi się to całkiem możliwe.

— Wie pan może, czy zdarzało się to wcześniej?  
— Nie. — Brad czuł, że pocał mu się oparte na udach dłonie. Skrzyżował ramiona. — Nie. Mówię tylko, wie pan, że to jest możliwe. Ale pewnie siedzi u kogoś, nie?

— Miejmy nadzieję — powiedział gliniarz. — Bo jeśli nie, to jego matka chyba oszaleje.

Zamknął notes, wyjął portfel i wręczył im wizytówki.

— Jeśli się odezwie, natychmiast mnie zawiadomcie, dobrze? — poprosił. — Powiedzcie mu, że jeśli nawet wpadł w kłopoty, w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Chcemy po prostu upewnić jego mamę, że nic złego mu się nie stało.

Brad i Karen skinęli jednocześnie głowami. Pani Luchs zaprowadziła policjantów do domu. Wyglądało to tak, jakby coś dla niej nieśli.

— Nie jest dobrze — powiedziała Karen. — Boże, mam nadzieję, że Pete'owi nic się nie stało.

— Poradzi sobie — pocieszył ją Brad. — Znasz Śpiocha.

— Może powinnam wykonać kilka telefonów? Wiesz, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie widział. — Wzięła leżący na stole telefon, gotowa wciskać klawisze z zaprogramowanymi numerami przyjaciół. — Co o tym sądzisz?

— Gliniarze już to robią.

— Ale możemy poprosić ludzi, żeby się za nim rozglądali. Sprawdzili miejsca, domy, sklepy, w których się pojawiał. Gliny przecież nie wszystko wiedzą.

Brad skinął głową.

— Aha. Czemu nie. To może dobry pomysł.

Karen usiadła po turecku na trawniku. Zaczęła dzwonić pewna, że Pete'a wystarczy znaleźć i że ona jest osobą, która wie, jak to zrobić.

Brad czekał przez potworne dwadzieścia minut. Kiedy skończyła szóstą rozmowę, przypomniał sobie nagle, że ojciec kazał mu coś zrobić. Obiecał, że zadzwoni później, żeby dowiedzieć się, co działała.

Nim doszedł do domu, Karen znów z kimś rozmawiała.

– Wypieprzyli nas!  
– Nie wypieprzyli.  
– Wypieprzyli nas, Lee! Koniec, kropka!  
– A niby jak, Brad? Odpowiedz mi na to pytanie. Opowiedz mi, jak to nas wypieprzyli i dlaczego? Dokładnie.

Stali w kuchni domu Lee. Jak zawsze panował w niej dziwny porządek, jak w pokazowym apartamencie developera. Brad nie pojmował, jakim cudem można utrzymać ją w takim stanie, nawet jeśli nigdy się w niej nie gotuje. Codziennemu życiu towarzyszy przecież codzienny bałagan. Chaos czyha.

Pokręcił głową.

– Wypieprzyli nas — powtórzył cicho.

Na podjeździe stał samochód. On też mógł służyć jako ilustracja słownikowego hasła „czysty”.

– Zniknął facet — tłumaczył cierpliwie Lee. — W takim przypadku gliny zawsze najpierw rozmawiają z przyjaciółmi. Po drugie, to u Karen była impreza, na której widziano go po raz ostatni. Więc musieli do niej przyjść. To wszystko było przewidywalne. Już wkrótce gliny uznają, że zwiął gdzieś i pewnie wróci po jakimś czasie, na razie jednak musimy to wszystko przeczekać.

– Ale on nie wróci. Pamiętaj, on już nie wróci!

– Przecież wiem. Ale jak długo go nie ma, to po prostu go nie ma. I tyle. Był ćpunem z górnej półki. Oni już to wiedzą. Mogę ci powiedzieć, co myślą: założyli, że po prostu się zmył. Wyobraził sobie, że zostanie zawodowym snowboardzistą i wyjechał do Kolorado. Albo zasnął pod jakąś paskudną cizią i obudzi się, kiedy będzie musiał pożyczyć forszę. Teraz muszą się krzątać, bo im patrzą na ręce, ale szybko sobie odpuszczają. Gliniarze są biedni, mieszkają w nędznych małych domkach, nienawidzą ludzi, takich jak ty czy ja.

– Ona nie odpuści. Mama Pete'a nie da sobie siana. Nigdy.

W tej chwili zobaczył ją oczami wyobraźni, tak wyraźnie, że realny świat na chwilę przestał istnieć. Maria Voss była niewysoka, szczupła — to po ojcu Pete odziedziczył wzrost i wagę — miała długie ciemne włosy i wielkie piwne oczy. Wizja trwała, choć krotko, i nagle jej oczy wypełniły się łzami. Wypełniły

tak, jak ocean pełen jest wody. Nigdy nie widział tego w rzeczywistości, teraz wiedział jednak, jak mogłoby to wyglądać. Jej twarz wykrzywił nagle grymas żalu, niemal słyszał krzyk, próbujący wyjść z jej ust.

— Lee, mówię ci, nie jest dobrze.

— Nic się nie zmieniło. Posłuchaj mnie, człowieku. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy dostał kulkę w łeb.

Brad aż się skulił.

— Chryste, to przecież... okrutne.

— Słuchaj, co do ciebie mówię. Musisz zacząć myśleć i o tym, co się zdarzyło, i o tym, co się będzie działo potem. Nie cofniemy czasu, Pete nie zmartwychwstanie, więc żyjmy w świecie, jaki został po jego śmierci. To nie nasza wina.

— Ale to nasza wina!

— Nie zabiliśmy go.

— Zabraliśmy chłopaka ze sobą. Powinniśmy... powinniśmy...

— Co? No co powinniśmy? Co mogliśmy zrobić?

— Nie powinniśmy go tak zostawić.

Hudek pokręcił głową stanowczo, jak człowiek, który albo jest absolutnie pewny swych racji, albo uznaje, że po prostu nie ma wyboru.

— To przecież Hernandez załatwił sprawę tak, jak załatwił. Co się stało, to się nie odstanie. Nic nie mogliśmy zrobić. Przecież Pete nie żył. Widzisz jakiś sens w tym, żebyśmy ginęli razem z nim? Bo przecież tak by się to skończyło.

— No jasne! Hernandez, oczywiście. Nasz dobry kumpel. Zadzwoił może? Dowiedzieliśmy się czegoś o tych tak zwanych naszych przyjaciółach?

— Nie. Ale się dowiemy.

— Mrzonki, Lee. Mrzonki. Dla nich jesteśmy już tylko problemem. Balastem. Mamy przechłapanie.

Hudek położył mu dłonie na ramionach i spojrzał w oczy. Brad nie opuścił wzroku. W spojrzeniu przyjaciela dostrzegł spokój, odwagę, pewność osiągnięcia celu. Zaczął oddychać spokojniej.

— Idź do domu — poradził mu Lee. — Prześpij się. Zwal konia. Pograj na XBOXie. Rób, kurwa, co chcesz, ale na litość boską się uspokój!

Brad posłusznie wrócił do domu. Zasiadł do konsoli, ale dopiero teraz uświadomił sobie, że niemal wszystkie gry w jego kolekcji to strzelanki. A on nie zamierzał teraz strzelać do ludzi. Spróbował wyścigów samochodowych, ale w wyścigach tylko jeździ się w kółko, a jemu i tak już kręciło się w głowie. W końcu położył się do łóżka. Widział z niego tablicę z przypiętymi do niej zdjęciami. Zdjęciami z ostatnich pięciu lat. Pierwsze uporządkowane były schludnie, kolejne porozwieszane byle jak, jedno na drugich, czasami nawet po cztery. Zabawy, co ważniejsze szkolne uroczystości, przypadkowe ujęcia bawiących się radośnie młodych ludzi. Dobrze przespane noce, szczęśliwe dni. Pete też na nich był, oczywiście. Siedzieli razem na tylnym siedzeniu starego samochodu Lee. Stali na tylnym podwórku domu Brada. Wszyscy razem po ważnym meczu. Stali, obejmując się za ramiona, z ustami otwartymi w triumfalnym krzyku.

Osiemnaście miesięcy temu. Jak długie może się wydawać półtora roku?

Zadzwoił telefon. Steve Verkelin, chłopak, który leżał obok Pete'a na parkingu, z ustami zaklejonymi taśmą samoprzylepną. Ledwie łapał oddech.

— Co za gówno, człowieku. Słyszałeś? Właśnie rozmawiałem z mamą Pete'a. Była zupełnie rozbita.

— Słyszałem — powiedział spokojnie Brad. — Od gliniarzy, którzy przyszli do domu Karen. Wiesz, gdzie on może być?

— Nie mam zielonego pojęcia. Nic nie wiem. Nie widziałem go od wieków! Miałem się z nim spotkać u Karen, ale byłem wykończony i w końcu nie przyjechałem.

— Jasne, jasne. On przyjechał. — Bradowi przyświecała jedna myśl: niech się rozejdzie wygodna wersja. — Pojawił się na początku, a potem znikł. Dalej to już chyba nikt nic nie wie.

— Jakieś dziwne gówno.

— Racja.

- Miałem zamiar zadzwonić do Lee, może on coś wie?
- Już z nim rozmawiałem. Znasz Pete'a. Gdzieś tam się pałęta. Prawdopodobnie zgubił ten swój cholerny telefon.
- Jasne. — Na chwilę zapadła cisza. — To co, odbierzemy towar w tym tygodniu? Nawet jeśli Pete się nie pojawi?
- Nie mam pojęcia.
- Hej, pamiętaj, chcę być na bieżąco, dobra? Potrzebuję forsy.

Koniec rozmowy. Swoją drogą rzeczywiście ciekawe, co z najbliższą dostawą. Hernandez, zdaje się, zszedł pod ziemię. A Steve nie był jedynym, który potrzebował pieniędzy. Tylko... czy są w stanie to zrobić. Prowadzić biznes, jakby nic się nie stało? Mimo wszystko?

Jeszcze przez parę chwil leżał na wznak, po czym zdecydował, że nie chce już oglądać zdjęć. Przewrócił się na brzuch, zamknął oczy, wciągając znajomy zapach prześcieradła. Lee miał rację — jak długo gliny niczego nie znajdą, nie ma sprawy. Kiwnął głową, prześcieradło zaszeleściło. Uspokajał się, choć powoli. Znowu przewrócił się na wznak, przez pewien czas gapił się w sufit, w końcu usiadł. Wstał, czując się jeszcze zmęczony ale już nieco wypoczęty, a w dodatku głodny. Postanowił pójść do kuchni po chipsy, w szafce zawsze było kilka paczek. Jakoś tak się pojawiały. Przeszedł galeryjką piętra do schodów. Dziwne, ale chyba został w domu sam, a przecież kiedy przyjechała była i mama, i siostra słuchająca Smash Mouth puszczonego zdecydowanie za głośno. Wszedł do kuchni i zdumiał się, taka była schludna. Sposobem na życie rodziny Metzgerów był przecież kontrolowany chaos, a tymczasem teraz wyglądała jak w domu Lee: czysta jak lza, lodówka błyszczy jak nowa, nic nie leży nawet na kuchennym stole, na którym najczęściej lądowało to wszystko, co w domu nie było przybite albo przyklejone. Otworzył szafkę, w której zazwyczaj znajdowały się chipsy. Była pusta, nikt nie znalazłby w niej nawet kurzu. No tak, wróciły. Do sklepu. Wiosenne porządki skończone. Jasne. Następna szafka także okazała się pusta. Szybko sprawdził inne. To samo. No, zrobiono tu bardzo dokładne wiosenne porządki. Chociaż jest przecież wrzesień. No dobrze, jesienne porządki. Usłyszał jakiś głos, odwrócił się sprawdzić, skąd dochodzi.



Trudno go było opisać, taki cichy chrupot połączony z mlaskaniem. Wyglądało na to, że może z ogródka od tyłu...

Brad wyjrzał przez okno. Nadeszła noc? Pewnie przespał się u siebie, nie zdając sobie z tego sprawy. Chociaż... przecież pięć minut temu był jeszcze dzień. Pamięta, wyglądał przez okno, żeby sprawdzić, czy samochód matki stoi na podjeździe.

Przeszedł szybko do dużego pokoju. Tu też było czysto. Nie-samowicie czysto. Żadnych magazynów, żadnych gazet, żadnych pilotów... a za oknem dzień. Coś tu nie gra, zdecydowanie nie gra, ale nie potrafił powiedzieć co. Więc wrócił do poprzedniego problemu, tego dziwnego, szeleszcząco-mlaszcącego dźwięku, nadal rozlegającego się gdzieś za jego plecami. Nie wydawał się głośniejszy, ale też i nie cichł.

Brad wrócił do kuchni i przez wielkie drzwi wyszedł do ogrodu. Było bardzo ciemno i bardzo zimno. Ani śladu wiatru, za to mnóstwo drzew, wysokich drzew rosnących nawet przy samym domu, niektóre wydawały się wręcz wyrastać z jego wnętrza przez dach. Zdawało mu się, że słyszy strumień płynący gdzieś niedaleko. Czuł także dziwny zapach, cynamon, cukier i coś jeszcze, coś, czego nie był w stanie zidentyfikować. Chodził między drzewami, miał jednak wrażenie, że nigdzie się nie zbliża i donikąd nie dochodzi. Był też problem tych kretów. Pod ziemią biegły ścieżki niczym sieć napuchniętych żył. Poruszały się. Właśnie stąd dobiegał ten dziwny dźwięk, a od ich ruchów sama ziemia stawała się przezroczysta. I tam, w dole, byli także ludzie. Leżeli płasko z zamkniętymi oczami, a wszystkim brakowało jakichś części ciała. Zapach robił się coraz silniejszy. Brad dopiero teraz uświadomił sobie, że to jabłka, może nawet nie tyle same jabłka, ale ciasto z jabłkami. A dokładnie takie cieniutkie ciasteczko od McDonalda, co je podają w opakowaniu z ostrzeżeniem, że zawartość jest cholernie gorąca. Żadne z ciał nie miało nic ani w rękach, ani w ustach, ale ono przecież musiało gdzieś tu być. Czuł jego zapach, kurde, każdy by go poczuł. Tak, każdy — uświadomił sobie Brad i jego serce zmieniło się w lód. Gdyby ktoś się tu teraz pojawił musiałby uświadomić sobie, co się stało.

I nagle kolejny dźwięk: stukanie w szkło. To mama i siostra

wróciły z zakupów. Mama rozpakowywała je w kuchni, siostra stukła w szybę, sygnalizując tym stukaniem, że wróciły, mają fritos i już nie musi szukać ciasta z jabłkami, i lepiej, żeby w ogóle go nie szukał. Próbował jej przekazać, że wszystko w porządku, że jak długo ciastko nie zostanie znalezione, nic nie grozi ani jemu, ani nikomu innemu. Lecz im bardziej starał się wrócić do kuchni, tym mniejsza się stawała, siostra tłukła w szybę coraz mocniej i mocniej, to już nie było stukanie, tylko jakby dźwięk wielkiego dzwonu, w rytmie znajomym, który chyba powinien zrozumieć. Zapach jabłek stał się nieznośny, gęsty, mdlący, a potem...

— O kurwa!

Brad drgnął, poderwał głowę. Zasnął na boku, więc teraz uderzył nią w ścianę. Zaczął macać po łóżku, bo już wiedział, co to za dzwon. Dzwonił jego telefon. Znalazł go na podłodze. Na wyświetlaczu zobaczył „Karen kom”.

— Cześć — powiedział. Otworzył usta i oczy najszerzej jak potrafił. Nadal na pół spał.

Karen nic nie mówiła. Zdaje się, że szlochała.

— Mała, co jest? Co się dzieje?

Kichnęła. Pociągnęła nosem. Usłyszał, jak przelyka głośno.

— O mój Boże — jęknęła. — Znaleźli Pete'a.

## Rozdział szesnasty

Lee siedział na jednej z kanap w dużym pokoju domu rodziców. Policjanci usiedli naprzeciwko niego. Panoramiczne okno za plecami sprawiało, że widział tylko ich dwuwymiarowe sylwetki. Nawet mu to odpowiadało. Dzięki temu wydawali się anonimowi. Zdążył się już domyślić, że ten z wąsami to szef. Niczego więcej nie musiał wiedzieć.

— Chcesz, żebym został?

Ryan Hudek stał w drzwiach. Miał na sobie spodnie khaki i bładoniebieską koszulkę Lacoste. Fakt, że w progach jego domu zjawili się policjanci, nie zaniepokoił go w najmniejszym nawet stopniu. Kiedy powiedzieli, że chcą rozmawiać z jego synem spytał dlaczego, wysłuchał wyjaśnień i grzecznie ich wpuścił... po dokładnym sprawdzeniu ich legitymacji. Lee cieszył się, że ojciec jest w domu. Tego popołudnia czuł się dziwnie młody,

— Nie. Wszystko w porządku — zapewnił.

Ojciec lekko skinął głową.

— Będę w pobliżu — rzucił. — Gdybyś mnie potrzebował.

Wąsaty policjant wpatrywał się w swoje dłonie; czekał, aż kroki Ryana Hudeka ucichną w oddali. Słyszał, jak otwierają się drzwi prowadzące do ogródka za domem, a potem zamykają z cichym trzaskiem. Spojrzał na chłopca.

— W porządku — powiedział. — Przykro mi, że dopadliśmy cię u rodziców, ale w twoim domu nie mogliśmy. Nie było cię tam.

- Jasne. Byłem tu.
- No właśnie. Rozumiem doskonale. Zginął przyjaciel, dobry przyjaciel. Jak też szukałbym wsparcia bliskich, rodziny.
- Lee milczał. Instykt podpowiadał mu, że nie powinien dobrowolnie udzielać odpowiedzi na pytania, które wcale nie są pytaniami.
- Policjant pomilczał chwilę, a potem zaczął od nowa:
- Przykro mi, że przyniosłem złe wieści o Peterze Vossie.
- Niepotrzebnie. Dowiedziałem się o tym jakieś półtorej godziny temu.
- Ktoś do ciebie zadzwonił? Kto?
- Parę osób. Plotki szybko się rozchodzą. Nadal nie mogę w to uwierzyć.
- I nie pamiętasz, kto zadzwonił pierwszy?
- Lee udał, że głęboko się nad tym zastanawia.
- Niestety, nie — powiedział w końcu. — Strasznie to mną wstrząsnęło.
- Oczywiście. Więc... gdzie po raz ostatni widziałeś Petera?
- Pete'a. Nikt nie nazywał go Peter. A jeśli chodzi o pytanie... to chyba w piątek przed południem.
- Policjant spojrzał na niego zdziwiony.
- Nie spotkaliście się u Luchsów?
- Raczej nie. Spóźniłem się. Przypuszczam, że odjechał, zanim przyjechałem.
- A więc dziwiłbyś się, gdyby ktoś powiedział, że widział, jak z nim rozmawiałeś przy tej okazji?
- Nie za bardzo, ale o rozmowie nic nie potrafię powiedzieć. Gadaliśmy ze sobą przy różnych okazjach. Nie starałem się ich zapamiętać. A co, ktoś nas widział?
- Nie.
- Lee wzruszył ramionami.
- No tak. Dziwne pytanie.
- Widzieliście się w piątek. W jakich okolicznościach?
- W centrum handlowym, tuż przed południem. Podzieliliśmy się frytkami, potem gdzieś poszedł. Musiał się z kimś spotkać czy coś. W każdym razie wyglądało na to, że nie chce się spóźnić.

Pierwsza część odpowiedzi była prawdziwa. Rzeczywiście w piątek rano spotkali się w centrum handlowym Belle Isle, to znaczy minęli się w pewnej odległości, wcale nie rozmawiając. Voss był sam, więc nikt nie zaświadczy, że wyglądało to nieco inaczej.

— Czy podczas tego spotkania był może czymś zmartwiony? Zaniepokojony? Roztargniony?

— Nie, raczej nie. To znaczy, Pete zawsze był taki trochę nieobecny. Rozmawialiśmy o imprezie u Karen, tej sobotniej. Miał przyjechać wcześniej, bo potem wybierał się gdzieś, ale nie powiedział gdzie.

Odezwał się drugi policjant:

— Czy sądzisz, że jego śmierć mógł spowodować ktoś, z kim spotkał się po piątkowej zabawie?

Lee zastanawiał się przez chwilę.

— To chyba możliwe. Ale on przecież nic mi o tym nie powiedział.

— I potem już się nie kontaktowaliście?

— Nie.

— Mama Petera twierdzi, że w zeszłym tygodniu jej syn wszedł w posiadanie znacznej ilości pieniędzy. Kupił sobie nowe ubranie, a jej i ojcu drogie prezenty. Wiesz coś o tym?

Hudek pokręcił głową.

— Masz fajny dom w Summer Hills. Podoba mi się.

— Dziękuję.

— Wygląda na drogi.

Brad tylko wzruszył ramionami. Chcesz mi zadać pytanie, to je zadaj.

— Czy twój rozmówca był dobrze poinformowany? To znaczy ten, który pierwszy powiedział ci o Peterze. Kimkolwiek był.

— Nikt nie znał żadnych szczegółów. Wiedzieli tyle, że Pete nie żyje.

Wąsaty niespiesznie przeglądał notatki.

— Ciało znaleziono w górach Santa Ynez, prawie na granicy Parku Narodowego Los Padres. Ukryto je kilkaset metrów od szlaku turystycznego. Ktoś odstrzelił mu większą część głowy, próbował go pogrzebać i spaprał sprawę. Grób nie był wystarczająco głęboki.

— Zawsze tak jest — powiedział z namysłem jego kolega. — Tacy ludzie to na ogół pieprzone lenie.

— Tak czy inaczej, wyczuły je kojoty. Wyciągnęły i można powiedzieć, że doprowadziły do jeszcze gorszego stanu. Na szczęście szybko pojawiły się jakieś dzieciaki na rowerach. Ale i tak widok nie był zbyt przyjemny.

— O tak. Peter był po prostu rozszarpany. Śmierć, upał, kojoty... to nie jest dobra kombinacja.

— Gdybym mógł prosić... — Lee podniósł głos. — Zapomnieliście, panowie, że to był mój przyjaciel?

Wąsaty popatrzył na niego dziwnie.

— Ach, tak! Przykro mi...

— Nie. Wcale nie. Proszę okazać trochę szacunku. Mnie i jemu.

Gliniarz zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Lee nie pozostał mu dłużny. Po długiej, długiej chwili znów odezwał się ten drugi.

— Przepraszam za tę niestosowną brutalność. Niestety, ryzyko zawodowe.

— Tylko nie rozmawiajcie z jego rodzicami tak samo jak ze mną — nie odpuszczał chłopak. — Bo mogą was spotkać poważne przykrości.

Przez moment czuł się niepewnie. Gliniarze jednak wytrącili go z równowagi. Czy wąsaty naprawdę jest szefem? Przez dosłownie sekundę mogło się wydawać, że nie, że to jednak błady.

— Już z nimi rozmawialiśmy. Ale rozumiemy, co masz na myśli.

— No, tak... — mruknął wąsaty. — Jeśli będziemy czegoś potrzebowali, to się z tobą skontaktujemy. Czy mógłbyś sprawdzić na komórce, od kogo była ta pierwsza wiadomość o śmierci Pete'a?

— Jasne. — Lee wyjął z kieszeni telefon, wcisnął przycisk; wzór człowieka, dla którego odpowiedź na takie pytanie nie ma żadnego znaczenia. — No jasne. Brad. Oczywiście.

— Bradley Metzger?

— Tak. Karen zadzwoniła do niego, on zadzwonił do mnie.

— Ponieważ byliście przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi?

— Tak.

Gliniarze wstali jak na musztrze. Lee odprowadził ich do drzwi. Na progu wąsаты się odwrócił.

— Jest jeszcze jedna sprawa, w której możesz nam pomóc. Czy Peter nosił przy sobie telefon komórkowy?

— Zawsze. Dlaczego pytacie?

— Nie możemy go znaleźć. Nie było go ani przy ciebie, ani w domu. Jego mama próbowała zadzwonić, usłyszała sygnał, więc bateria jeszcze się chyba nie wyczerpała. Nie znalazłeś go może u siebie albo coś? Nie wypadł mu z kieszeni?

— Nie. Kiedy widzieliśmy się w piątek miał go przy sobie.

— No cóż, z komórkami tak już jest. Łatwo się gubią. Będziemy szukali.

Gliniarze odeszli. Lee obserwował, jak idą do samochodu. Wyjechali tyłem z podjazdu, skręcili na drogę i znikli. Jednak nie od razu wrócił do domu. Patrzył przed siebie i myślał: Skłamałem gliniarzom. Świat nigdy już nie będzie taki sam.

— Nie byli aż tacy twardzi, prawda? — spytał ktoś.

Lee odwrócił się zaskoczony. Tuż za nim stała jego matka, otulona swym srebrnym szlafrokiem. Nawet nie wiedział, że jest w domu! Nie założyła okularów, oczy miała nieprzytomne, ale wszystko wskazywało na to, że jednak go widzi.

— Doskonale sobie poradziłeś — pochwaliła i przesunęła palcem po jego policzku, króciutko, odwróciła się i odeszła, jeden Bóg wie dokąd.

— To ja.

— Cześć, mała. W porządku?

— No, cóż — westchnęła Karen — mniej więcej. Chyba rozumiesz.

— Jasne. Gdzie jesteś?

— Przy basenie. Tak sobie siedzę. Kiedy wracam do domu, zaraz przychodzi mama i pyta, jak się czuję. Miło z jej strony, ale... wiesz.

— Jasne. Ma się spotkać z mamą Pete'a. Dziś, trochę później.

— Nie wiedziałem, że tak dobrze się znają.

— Wiesz... może nie, ale przecież Pete nie żyje.

Brad skinął głową, chociaż Karen nie mogła tego zobaczyć. Pete nie żyje, szczerą prawdą. To, że już wszyscy wiedzą, w jakichś dziwny sposób czyniło ten fakt łatwiejszym do zniesienia. Przedtem był czymś strasznym, mrocznym, czymś, co trzeba ukrywać za wszelką cenę, zdarzeniem przyćmionym przez zdrowy rozsądek w nadziei, że z czasem samo zblednie i odejdzie w niepamięć, teraz stało się ostre, prawdziwe i rzeczywiste. Cel też stał się jasny: nie dopuścić, by istota tego zdarzenia objawiła się niczym grom z jasnego nieba, załatwiła człowieka na amen.

Lee zadzwonił po rozmowie z gliniarzami, zrelacjonował Bradowi, co im powiedział. Brad — jak Steve — spytał, co z dostawą z tego tygodnia, Lee przyznał się, że nie wie. Hernandez nadal nie odbierał telefonu. Nie wyglądało to za dobrze, ale poczekamy, zobaczymy. Ucieszyła go ta wiadomość, bo uważał, że to najgorsza możliwa chwila na handel narkotykami.

— Jesteś tam?

— Jestem. Zamyśliłem się na chwilę.

— Jasne.

Karen milczała długo, tak długo, że zdaniem Brada chyba postanowiła się rozłączyć. A jednak nie.

— Mogę cię o coś spytać? — odezwała się wreszcie.

— Jasne.

— Nic nie wiesz o tym, co się stało, prawda?

Brad chciał przytaknąć, ale głos mu jakoś nie dopisywał. Kaszlnął, odchrząknął. Spróbował znów i tym razem mu się udało.

— O co ci chodzi?

— O to, że ty, Pete i Lee byliście bliskimi przyjaciółmi. No więc zaczęłam się zastanawiać, czy Pete miał jakiś sekret, coś, o czym wiedzieliście, ale czego obiecaliście nie zdradzić?

— Nie — odparł Brad z ulgą. — Jasne, trzymaliśmy się razem. Jakbyśmy byli krewnymi, no wiesz, jak bracia. Nie, o ile wiem, Pete nie wplątał się w nic takiego znów niezwykłego.

— To dobrze.

Nie wiadomo dlaczego sposób, w jaki wypowiedziała te dwa proste słowa, sprawił, że Brad znów stał się ostrożny. „To



dobrze”... co? To dobrze, że mi powiedziałaś? To dobrze, że mogę ci wierzyć? To dobrze, że właściwie nic się nie stało, to znaczy stało, ale nie będziemy rozmawiali o tym akurat teraz?

— Chodzi o to, że...

— Że co, mała?

— Bo wiesz, na tym moim przyjęciu pojechaliście po hamburgery. Pamiętasz? Spotkaliśmy się wtedy przed domem.

— Mój ognisty aniele, o co chodzi?

— No więc tak sobie myślałam już wcześniej... Kiedy Lee podszedł do ciebie, czy nie powiedział czegoś takiego: „On już idzie” czy „Idzie”, czy coś?

Brad momentalnie stał się bardzo ostrożny.

— Nie pamiętam.

— A ja jestem pewna, że tak właśnie było. Bo potem zegnałam jeszcze przed domem Sarę i Randy'ego, a wy ciągle staliście, jakbyście na kogoś czekali.

— Nie. — Na szczęście mózg mu zaskoczył w ułamku sekundy. — Chodzi o to, że... pamiętasz... paliłem papierosa. A Lee nie zawsze pozwala palić w samochodzie. No więc dopaliłem go, a potem pojechaliśmy.

— Och, teraz rozumiem.

Przez chwilę rozmawiali jeszcze o tym i o owym, i kiedy mieli już kończyć, Karen powiedziała:

— Brad? Myślę, że dorwą tych, którzy to zrobili.

— No... nie wiem.

— Ale ja wiem — powiedziała cicho dziewczyna. — Moim zdaniem tak.

Po telefonie do Brada Lee wyszedł z domu rodziców, wsiadł do samochodu, krążył chwilę po okolicy i wreszcie wrócił do siebie. Przede wszystkim zaparzył kawę. Wypił ją przy nieskazitelnie czystym stole w kuchni. Opierał się pokusie wprowadzenia samochodu do garażu i przeszukania go. Wiedział przecież, że nie ma w nim telefonu Pete'a. Znalazłby go, sprzątając samochód w dniu strzelaniny.

Ale... założywszy, że gliniarz nie kłamał tylko po to, żeby wytrącić go z równowagi, rzeczywiście dziwnie to wyglądało.

Komórka Pete'a była jakby częścią jego ciała. Kazałby wszczepić ją sobie chirurgicznie, gdyby mógł. Musiał ją mieć przy sobie tego wieczoru. Więc gdzie się, do cholery, podziała?

Przecież to bez znaczenia. Najprawdopodobniej wypadła mu z kieszeni gdzieś między parkingiem, gdzie doszło do strzelaniny, i miejscem, w którym pogrzebali nieszczęsnego Pete'a. W końcu po ciemku, w nocy, łatwo było przeoczyć taki drobiazg. No dobrze, niech będzie. I nawet gdyby ktoś znalazł komórkę, co za różnica? Przecież nie wiązała ich z tym, co się stało.

A jednak...

Przez chwilę siedział z opuszczoną głową. To się nie powinno zdarzyć. Tak łatwo było sprawić, żeby to się w ogóle nie zdarzyło. Żeby nie było prawdą.

Odebrał telefon od Hernandeza. Mógł nie odbierać.

Powiedział „tak”. Powinien powiedzieć „nie”.

Mała różnica. Wielka różnica.

To się przecież nie musiało zdarzyć.

Siedział tak przez dobre dziesięć minut. Potem wyszedł, wprowadził samochód do garażu i dokładnie go przeszukał.

Telefonu nie znalazł.

Mył ręce w łazience, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Domyślił się, że to zapewne Brad, że chce go przestraszyć, ale kiedy otworzył drzwi zobaczył znacznie starszego mężczyznę.

— Pan Reynolds? — powiedział, zaskoczony faktem, że na podjeździe nie ma samochodu. — Skąd pan się tu wziął.

Prawnik minął go bez słowa i wszedł do domu jak do siebie.

— Masz mi powiedzieć co im powiedziałeś — zażądał, nie bawiąc się w uprzejmości.

— Komu?

— Policji, Lee. A myślałeś, że komu?

— Dlaczego chce pan wiedzieć?

— Bo moim obowiązkiem jest teraz udzielenie ci pomocy prawnej. Jeśli będziesz jej potrzebował, a w Bogu nadzieja, że nie będziesz.

— Tata pana wynajął?

— Nie.

— Więc kto?

— Lee, muszę znać każde pytanie i każdą odpowiedź. Każdy najmniejszy drobiazg.

Lee dokładnie zrelacjonował rozmowę z dwoma policjantami. Reynolds słuchał, nie przerywając. Im dłużej Lee mówił, tym był poważniejszy.

— Zdajesz sobie sprawę, że stałeś się właśnie współnikiem morderstwa? We dwóch z Metzgerem zarobiliście sobie na solidny wyrok. Nie jesteście już nieletni, chociaż trudno w to uwierzyć. Jeśli powiążą morderstwo z narkotykami i do gry wkroczy DEA\*, to równie dobrze możecie wyrzucić klucz.

\* Drug Enforcement Administration — Administracja Legalnego Obrotu Lekami.

— Skąd mieliby się o tym dowiedzieć?

— A z jakiego to niby powodu zjawiliście się na pustym parkingu daleko od czegokolwiek? Po zmroku? Dlaczego ukryliście ciało?

— Wpadek albo coś takiego. Przestraszyliśmy się.

— Aha. A potem nakłamałeś policjantowi. Bradley też. Jesteś pewien, że nie ma nikogo, kto potwierdziłby, że wy dwaj, oczywiście łącznie z Peterem Vossem, przez ostatnie pół roku handlowaliście prochami w całej dolinie?

Lee próbował przypomnieć sobie tych wszystkich ludzi, którym wręczał paczuszki. Domy, które odwiedził, zabawy, na których witano go entuzjastycznie. Uściski dłoni, piwo na dzień dobry, „Cześć facet, fajnie że wpadłeś” — gównu to będzie warte, gdy nadejdzie czas, ludzie siądą naprzeciwko glin w salonach domów rodziców i uświadomią sobie, że podanie jednego nazwiska ustrzeże ich przed bardzo poważnymi kłopotami.

— Wszystko się spieprzyło — stwierdził cicho.

— Dokładnie — powiedział spokojnie Reynolds. — Trzeba załatwić tę sprawę, im szybciej, tym lepiej. Rozumiesz, правда? Kapujesz, mały, jak kurewsko poważny macie problem?

Lee skinął głową. Był bardzo zmęczony. Mdlilo go. Poradzi z tym sobie i to wkrótce, w to nie wątpił, ale w tej chwili czuł się jak znokautowany bokser, niezdolny podnieść się z maty.

— Kapuję.

— To chodź ze mną. — Reynolds otworzył frontowe drzwi.

Dopiero teraz młody Hudek dostrzegł samochód zaparkowany nie na podjeździe, lecz przy ulicy. Był ciemny, miał nawet przyciemniane szyby. Silnik pracował, bardzo, bardzo cicho.

Zamknął drzwi domu i ruszył za prawnikiem przez podjazd. Drzwiczki otworzył im starszy mężczyzna. W środku znajdowały się dwa rzędy zwróconych ku sobie siedzeń. Wnętrze też było ciemne; pachniało jak coś zrobionego z cieni.

Pośrodku kanapy, przodem do kierunku jazdy, siedział mężczyzna. Mężczyzna z opuszczonego budynku. Ten, któremu przedstawił swój Plan. Facet, z którym, jeśli mówił szczerze, Lee nie chciałby się spotkać.

— Cześć Lee Johnnie — powiedział. — Usiądź, proszę. Musimy porozmawiać.

Lee zawahał się, choć wiedział, że nie ma dokąd pójść. Wsiadł do samochodu i zajął miejsce naprzeciwko mężczyzny. Pan Reynolds zajął miejsce obok. Drzwi zamknęły się cicho i samochód odpłynął od krawężnika niczym liść niesiony delikatnym powiewem wiatru.

— Jak się czujesz, Lee? — zapytał mężczyzna.

— W porządku.

— To świetnie. Może coś wyprowadza cię z równowagi?

— Coś doprowadza mnie do szału, owszem. Dzwonię do Hernandeza od trzech dni. Dlaczego nie odpowiada?

— Bo nie żyje, Lee.

Chłopak spojrział na niego zdumiony. Gniew jakoś z niego wyparował.

— Zginął tego samego dnia co twój przyjaciel. Szukał ludzi, którzy was tak ładnie załatwili, ale wielkich sukcesów nie odniósł. Na szczęście udało nam się ukryć ciało lepiej niż wam ciało Petera Vossa... choć przyznaję, losów jego telefonu komórkowego nie udało się nam ustalić, a jestem przekonany, że policję ten akurat temat bardzo podekscytował.

— Jezu! — westchnął Lee. Nie fatygował się pytaniem, skąd ten człowiek to wszystko wie. Najwyraźniej po prostu wiedział. — No to mamy przechłapano.

— Poważna sprawa, owszem, ale przecież można ją załatwić. Należy patrzeć w przeszłość, zawsze. Utrata Hernandeza

zwolniła stanowisko, na które trzeba kogoś wyznaczyć, a to przecież bardzo ci pomoże w realizacji pomysłu na wiosenne ferie. Wielkiego Planu. Niech żyje Plan! Pożyje... pod warunkiem że uda się nam rozwiązać ten drobny lokalny problem. Co, moim zdaniem, nie powinno sprawić większych kłopotów... pod warunkiem że będziesz współpracował.

— To byłoby dobrze — westchnął Lee. — Nawet bardzo dobrze.

— Nasz klient, nasz pan. — Mężczyzna usiadł wygodnie i patrzył na niego tak długo, że zrobiło się to nieprzyjemne.

— Co? — mruknął Lee. Siedzący naprzeciwko niego mężczyzna miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulkę. Nie sposób było nie zauważyć wysoko na piersi blizny po ranie postrzałowej. A czy ten niewielki ślad poniżej też nie jest pamiątką po postrzale?

— Nadal nie pamiętasz, żebyśmy się wcześniej spotkali?

— Nie. Nie pamiętam.

— No cóż... w każdym razie od tej pory będziemy wreszcie robili prawdziwe interesy. Powinniśmy przedstawić się sobie jak należy.

Wyciągnął rękę. Na nadgarstku nosił luźną miedzianą bransoletkę.

— Miło cię poznać, Lee. Mów mi Paul.

## Rozdział siedemnasty

Jim sądził, że minie to miejsce bez najmniejszego problemu. To, co się zdarzyło, zdarzyło się przecież dawno temu, a w końcu, dzięki ciężkiej pracy, nauczył się myśleć, że dotyczyło kogoś zupełnie innego. Ale niedługo po tym, jak je minął, stwierdził ze zdziwieniem, że jedzie coraz wolniej i wolniej, jakby wyczerpywał mu się akumulator. Zatrzymywał się parę razy, przez dłuższą lub krótszą chwilę siedział w stojącym na poboczu samochodzie. I odjeżdżał. Guzdrał się, jeździł po lasach. W kółko. Wracał do miasta, zataczał coraz mniejsze kółka.

Wreszcie wjechał na parking przy Renee's. Z całą pewnością był głodny. Od wyjazdu z Key West aż do tej pory nic nie jadł. Wysiadł z samochodu i natychmiast odechciało mu się jeść. Od budynku zalatywało mocno fryturą. Chętnie by coś zjadł, ale chyba nic z tego, co tu podawano.

Przez chwilę stał z rękami w kieszeni kurtki, rozkoszując się chłodnym powietrzem z nadzieją, że lekki wiatr rozpędzi gromadzące się w jego głowie chmury, coraz gęstsze i coraz ciemniejsze. Od czasu, gdy wsiadł do furgonetki, sprawy się komplikowały, a od Petersburga zrobiło się naprawdę trudno. Poczul, że wszystko zmierza do jednego określonego celu. Po raz ostatni czuł się tak dawno, bardzo dawno temu.

Co też mam w kieszeni?

Ze zdziwieniem wpatrzył się w paczkę papierosów, którą z niej wyciągnął. Zadziwił się tak bardzo, że przez głowę

przeleciała mu myśl: Gdzieś po drodze zamieniłem się z kimś na kurtki. Ale przecież nie było takiej możliwości, poza tym w kieszeniach znajdowały się przedmioty należące niewątpliwie do niego.

Więc skąd się wzięły papierosy?

Jim od dawna nie palił. Prawdę mówiąc, Jim nie palił w ogóle, za to James owszem. Kiedy był nastolatkiem, kiedy przebywał w innych krajach. W armii wszyscy palili. Kiedy wrócił, też. Z pokojów nauczycielskich dymilo jak z najlepszego komina. No, a potem był jeszcze ten inny okres. Ale później, nie. Kiedy dojechał do Key West rzucił palenie tak po prostu, jak odcina się palec. W końcu człowiek się przyzwyczaja. Żyje może nieco innym rytmem, spokojnym, rozsądnym, jak Jim Westlake.

Tylko że gdzieś po drodze kupił paczkę czerwonych marlboro i w ogóle o tym nie pamiętał.

Schowal ją do kieszeni. Wcale nie miał ochoty na papierosa. Przecież nie palił.

Ale przynajmniej wiedział, że ma co palić.

Przez chwilę, nieoczekiwanie, poczuł się zmęczony i wściekły na siebie. Te przeklęte podziały... czy można rozłożyć winę? To nie ja tylko to, co wypilem. Sędzio, hormony kazały mi zabić. Nie jesteśmy odważni, o nie, a tchórze przecież nie noszą noży.

Oderwał się od samochodu i przeszedł po okolicy. Na razie nie był gotowy do powrotu na drogę.

Papierosy wcale nie były pierwsze. Dzisiejszego ranka, w leżącej pod siedzeniem pasażera torbie znalazł nieduży garnek. Też nie pamiętał, w jakich okolicznościach go kupił. Nie mógł zapłatać się w samochodzie, bo sam go posprzątał, wyrzucając wszystko, co niepotrzebne. Garnek wyglądał na nowy, a nie na coś, co przez lata poniewierało się w pudełku po butach. Nie było w nim jednak niczego tajemniczego czy magicznego, on go po prostu kupił, zupełnie jak ludzie, którzy dopiero kończąc paczkę chipsów orientują się, że choć ją przedtem zamknęli, odłożyli do szafki, to zupełnie nieświadomie wrócili do kuchni, otworzyli i wykończyli. Człowiek czasami uświadamia sobie, że jego ręce potrafią robić coś same z siebie. Jeśli istnieje jakiś

rzeczywisty, ostry podział, to być może właśnie taki? Dusza i ciało zjednoczone w walce ze wspólnym przeciwnikiem — wściekłym umysłem.

Pozbył się tego garnka. Nie potrzebował dwóch.

W okolicy nie było niczego ciekawego i Jim, zanim przeszedł trzecią część przecznicy, był już gotowy, by wsiąść do samochodu i odjechać. Szedł przez plac z tyłu Renee's, kiedy coś usłyszał. Zatrzymał się, odwrócił.

Nie było tu nic do oglądania oprócz mrocznego, zaniedbanego zaplecza fast foodu, typowej przemysłowej konstrukcji, prostokąta z jasnego betonu z zamkniętymi na kłódki metalowymi drzwiami i wielkimi pojemnikami na odpadki, uperfumowanego odorem mięsa, które dawno się zepsuło i które dawno zmyto wodą z węży. Od sąsiedniego biznesu, wulkанизacji, oddzielało Renee's dwuipółmetrowe ogrodzenie z siatki. Wzdłuż budynku biegła alejka prowadząca zapewne do chłodni czy innego ważnego magazynu. Może tam właśnie uprawiano paszteciki z mięsem?

Wydawało się, że to właśnie stamtąd dobiega dźwięk.

Jim usłyszał go po raz drugi. Może to jakieś małe zwierzątko zaplątane gdzieś przy ogrodzeniu. Być może ranne.

Bardzo lubił zwierzęta. Uznał, że powinien to sprawdzić.

Przeszedł przez chodnik, niezbyt szeroki pas popękanego betonu, i wszedł w alejkę. Miała niespełna dziesięć metrów długości, kończyła się murem, którego z tego miejsca nie mógł widzieć. I tak, było tam coś małego, coś rzucającego się, na ogrodzenie.

Podszedł kilka kroków. To coś poruszało się gorączkowo, jakby znalazło się w pułapce, a przecież mogło się odwrócić i uciec!

I jakoś dziwnie wyglądało. Zwierzątko musiało stać na zadnich łapach. Miało ponad metr wysokości.

Jeszcze jeden krok. Jim pochylił się, by sprawdzić, z czym ma do czynienia.

Zobaczył bladą zamazaną twarzyczkę. Dziecko. Dziecko w cienkim ciemnym płaszczku, z gołą głową, rzucające się, skaczące na ogrodzenie. Chwyciło siatkę u samego dołu, szarpało nią z całej siły. Buzię miało bladą, zabrudzoną ziemią.



Ogrodzenie chwiało się na wietrze, choć nie wydawało dźwięku.

Jim cofnął się, chwiejnie wyszedł z alejki, zatrzymał się dopiero na chodniku. Oddychał głęboko. Siatka chwiała się na lekkim wietrze. Poza tym, nic. Niczego tam nie było.

Jak najszybciej wrócił na parking, do miejsca, z którego mógł widzieć samochód. Z jednej kieszeni wyjął paczkę papierosów, z drugiej jednorazową zapalniczkę. I zapalił. Tak po prostu.

Zaciągnął się kilkakrotnie, zakręciło mu się w głowie. Tytoń maskował smród tłuszczu wydobywającego się z systemu wentylacyjnego budynku, zapach oleju, w którym martwi prażyli się, by żywić umierających. Dostawał od niego mdłości. Od wszystkiego dostawał mdłości. Czuł się stary, zużyty, lecz jednocześnie silny, dłonie pulsowały mu mocą, a nie wiedział, jak tej mocy użyć.

## Rozdział osiemnasty

Skończyło się na tym, że to ja wybrałem miejsce, u Lucy na Union Street w Owensville. U Lucy miała tyle indywidualności co byle lotniskowy bar, ale przynajmniej można było tam zapalić, a jedyną alternatywę stanowił bar Dennysa. Dopiero kiedy usiadłem przy stoliku w kącie i spojrzałem na skrzyżowanie uświadomiłem sobie, że to ten sam lokal, w którym spotykali się Gulicks i Kroeger, że stąd wyszli i w lesie za miastem odkryli ciało Laurence'a Widmara. Pomyślałem nawet, że mógłbym spytać barmana, czy ich pamięta, jako cechę charakterystyczną wymieniając słynne rude włosy, jednak zrezygnowałem. Co najwyżej wziąłby mnie za glinę, a na tym wcale mi nie zależało. Nie należy uchodzić za glinę, kiedy chce się spokojnie posiedzieć w barze. To tak, jakby w kącie usiadła teściowa. Uzbrojona. Kto by tego chciał?

Unger zadzwonił natychmiast po wylądowaniu. Dałem mu wskazówki, jak dojechać na miejsce. Potem czekałem kilka godzin, kręcąc palcami młynka na brzuchu i próbując nie wypić za dużo. Po nocy spędzonej na łonie przyrody byłem zmęczony, oszołomiony, miałem także łagodny choć dokuczliwy ból głowy, zrodzony ze świadomości, że wstałem za wcześnie, a do nocy zostało jeszcze bardzo dużo czasu. Wziąłem kilka aspiryn, które mogłem kupić naprzeciwno, regularnie wychodziłem do toalety oblać twarz zimną wodą, lecz pociechy doznawałem niewielkiej i krótkotrwałej. W końcu odpłynąłem; miałem tylko

nadzieję, że moje życie nie pozostanie takie na zawsze, że już stale będę siedział w anonimowym barze, zastanawiając cię, czy nie jedzie tu ktoś, kto bardzo chce mnie zabić. Myślałem też o sprawie, którą próbowała rozwiązać Nina, nie udało mi się jednak niczego wymyślić. Miałem szczerą nadzieję, że zrobiła to Gulicks, bo dzięki temu moglibyśmy znów być razem, i to raczej wcześniej niż później. Co prawda wydawało się to trochę zbyt łatwe — rude włosy, dwa trupy, podejrzana za kratkami — ale cóż, czasami i tak bywa. Osiemdziesiąt pięć procent rozwiązanych spraw o morderstwo wyjaśnia się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Kolejne parę godzin i wspomnienia zaczynają blednąć, ludzie zaczynają się mylić, a życie toczy się dalej, raczej na złe niż na dobre.

Mniej więcej piętnaście po dziewiątej na przeciwległym rogu ulicy zatrzymała się taksówka. Przyjrzałem się mężczyźnie, który wysiadł, zapłacił kierowcy i ruszył w stronę baru. Był niski, z pewnością nie osiągał dobrych wyników w biegach, ale to musiał być właśnie on. No i oczywiście natychmiast ruszył w stronę baru.

Gdy wszedł do środka, dyskretnie się rozejrzał. Byłem jedyną osobą samotną, nieinteresującą się ani nadawanym w telewizji meczem, ani urodą pań, więc nietrudno mnie było rozpoznać. Mimo to nie wyjął z kieszeni rewolweru. Po prostu zatrzymał się przy moim stoliku najzupełniej naturalnie, z opuszczonymi rękami.

— Ward Hopkins?

Ucisnąłem jego rękę, ciepłą i wilgotną. Usiadł naprzeciwko mnie, obejrzawszy przedtem ławkę w niechlujnym barze. Ciemne, rzadziejące włosy przylegały mu do czaszki. Garnitur miał pognieciony. Był mniej więcej w moim wieku, no, może parę lat starszy. Rysy twarzy miał wyjątkowo ostre, jak na kogoś z ponad dwudziestoma kilogramami nadwagi. Czekałem, podczas gdy on bardzo skutecznie przywabiał do siebie kelnerkę i zamówił piwo. Po czym spojrzał wreszcie na mnie, z uśmiechem.

— Jasne, rozumiem — powiedział. — Z takim imieniem i nazwiskiem każdy spodziewa się Dolpha Lungrena. Nie martw się, przywykłem do cudzych drobnych rozczarowań.

— Przystojny z ciebie facet — odparłem. — Nie wierz nikomu, kto by twierdził inaczej.

Unger się roześmiał.

— Dziadunio odpuścił sobie *Stein* kiedy tylko tu przyjechał w latach trzydziestych. Tata dużo mówił o tym, żeby wrócić do oryginalnego nazwiska, ale jakoś nie znalazł na to czasu. Jeśli o mnie chodzi, byłem Ungerem od urodzenia, więc niech tak już zostanie. Ale o tej drugiej połowie pamiętam.

Przyniesiono nam piwo. Facet wypił pół szklanki jednym haustem.

— No, już lepiej — westchnął. — Boże, jak ja nienawidzę latania. — Po pierwsze, co, do cholery, przydarzyło się Bobby'emu? Myślałem, że jest nieśmiertelny!

Nie byłem pewien, od czego zacząć. Nie wiedziałem nawet, czy chcę zacząć.

— Tak się porobiło, Carl — powiedziałem w końcu.

— No, przecież wiem. Nie masz pojęcia, kim jestem, a ja tak sobie wchodzę w wydarzenia, rzucając imię twojego kumpla, jakbyśmy byli kochankami. Zakładam, że sprawdziłeś telefon i dowiedziałeś się, że jestem tym człowiekiem, za którego się podaję, ale nie posunałeś się dalej. To standardowa procedura, oczywiście. Powiem ci też, że owszem, jestem uzbrojony, bo nie mam pojęcia, kim ty jesteś. Zakładam współpracę. Ale jeden z nas musi zacząć mówić. Jeśli chcesz, żebym to był ja, nie ma sprawy.

— Brzmi nieźle.

— No to w porządku. Wiem tyle: w Langley mamy całe skrzydło pełne ludzi, którzy tylko przeczesują eter, próbując odczytać, co też myślą terroryści. O czym doskonale wiesz. Kilka miesięcy temu jeden z tych ludzi z nudów zaczął przyglądać się e-mailowemu spamowi. No więc tak... pamiętasz, kiedy to się zaczęło, kiedy w tym gównie pojawiały się przypadkowe słowa, w temacie lub tekście.

— Oszukiwano tak programy antyspamowe.

— Jasne. Wszyscy tak uważali. Spam ładuje się przypadkowymi słowami, by zmylić filtry działające na zasadzie statystycznej i skłonić je, żeby uznały listy za autentyczne, bo spam najczęściej zawiera słowa „seks”, „pożyczka”, „viagra”, a nie

„bizon”, „truskawka” czy „szczyl”. Ala diabeł tkwi w szczegółach. No więc ten ktoś, dziewczyna, Ramona, zaczęła zbierać i analizować spamy, miliony, dziesiątki milionów spamów. Po prostu nie miała nic lepszego do roboty.

— Potrafię to sobie wyobrazić — powiedziałem. — W końcu kiedyś to była moja robota.

— Początkowo nic z tego nie wychodziło, mieliśmy tylko i wyłącznie przypadkową mieszaninę słów. Więc zaczęła je oddzielać, nadal, z nudów, szukając jakichś związków znaczeniowych. No wiesz, masz na przykład „gospodarz domu”. To może oznaczać gospodarza osobno i dom też, we wszystkich znaczeniach. Czy taki „chodnik”: można chodzić nim po ulicy, po parku, nawet po domu. No i wtedy coś zaczęło się wreszcie układać. — Popatrzył na mnie przenikliwie i powiedział: — Jako pierwsze dostaliśmy się dwa słowa: „Nie” i „Widzialni”.

Moją reakcję dałoby się zauważyć nawet na zatłoczonej szosie ciemną nocą. Prawdę mówiąc, papieros wypadł mi z ust. Unger skinął głową.

— Ano właśnie. Nie były jedyne, wyszło około stu pięćdziesięciu związków frazeologicznych, które mogą mieć jakieś znaczenie, ale ten zdecydowanie wysuwa się na pierwsze miejsce.

— Więc co? — powiedziałem i umilkłem. Prawdę mówiąc, nie potrafiłem ocenić powagi tego wydarzenia. — Jezu Chryste!

— No tak. Powiem ci, że nikt nie zainteresowałby się tymi słowami, gdyby nie to, że pamiętałem, jak Bobby parę miesięcy temu przyszedł do mnie z pytaniem właśnie o Niewidzialnych. Pomyślałem sobie, że to trochę dziwne. Załadowaliśmy do komputera wszystkie najpopularniejsze spamy oraz generatory przypadkowych fraz, rozpracowaliśmy kod i nie znaleźliśmy żadnego powodu, żeby akurat te dwa słowa pojawiały się częściej niż jakiegokolwiek inne. Nic nie poradzisz, wyglądało na to, że ktoś je umieszcza celowo. Więc zacząłem myśleć o spamie, zastanawiać się, co to takiego? Część to oczywiście głupota dla kurzych mózdków, na przykład ci Nigeryjczycy, co to oznajmniają, że mają miliony i wybrali ciebie, żebyś pomógł je zagospodarować. Toż to klasyczny przykład oszustwa skierowany do nieuleczalnych idiotów. Mamy sprzedawców viagry

i lichwiarzy reklamujących się nie wiadomo po co, nieinteresujących się nawet tym, czy mieszkasz we właściwym kraju, bo przecież nic ich to nie kosztuje. Ale są i inni. Zacząłem o nich myśleć, kiedy zobaczyłem niechodzącą już reklamę zdjęć Britney Spears nago. Nie uważasz, że to ciekawe? Kto, u diabła, mógł w to uwierzyć? Przecież w swoim czasie była najlepiej reklamowaną dziewczicą świata, a tu jej gołe fotki w sieci, za zaledwie pięć dziewięćdziesiąt dziewięć dolca? Do kogo ta mowa? A jeśli do nikogo, kto co komu w ten sposób komunikuje? No więc oboje z Ramoną przeczesaliśmy ten normalny spam, już bez analizy. Przyjrzeliliśmy mu się dokładnie. Załadowaliśmy kupę tego do komputera, żeby sprawdzić, co znajdziemy.

— I co znaleźliście?

— Na początku nic. Spis tego, co bezwzględni dranie są skłonni sprzedać zrozpaczonemu frajerom, i tego, od czego face-  
tom ma stanąć. Bab z niemożliwie wielkimi cyckami. Stopni naukowych dla palantów z trudem składających litery w słowa. Seks, seks, seks. Potem moją Ramonę oświeciło, zarezerwowała sobie czas na serwerze kryptografii i tam to wszystko wrzuciła. Przez dobre parę dni niczego się nie dowiadaliśmy, zacząłem myśleć, że te „nie” i „widzialni” to tylko przypadek, jednak trzy tygodnie temu wreszcie trafiliśmy. — Unger dopił piwo. — Fakt, wyglądało to jak prosty spam, reklama gotowych leków na wszystko. Ale... wiesz, co to takiego kod książkowy, prawda?

Skinąłem głową.

— Każde słowo lub litera odpowiadają słowu lub literze znajdującym się w tym samym miejscu w uzgodnionej książce — powiedziałem. — Pierwsze słowo w pierwszym wierszu może być pierwszym słowem pierwszego rozdziału, trzecie w piątym wierszu trzecim w piątym rozdziale i tak dalej.

— Jasne. Istnieją tysiące wariantów. Kiedy zna się książkę, szyfr pada jak neptek, ale jak ją znać, jeśli ktoś czegoś nie powie? Po zbadaniu materiału przez standardowe programy kryptograficzne poddano go badaniu porównawczemu na komputerze sprawdzającym konstrukcje gramatyczne, opierając się na wpisanych kilkuset tysiącach książek. Pewnego wieczoru przeglądałem wyniki. Najczęściej pojawiało się jedno zdanie.

- Jakie mianowicie?
- *Jutro nie czas Niewidzialnych, lecz czas radości.* Wzruszyłem ramionami.
- No dobrze. Masz pan „nie” i masz „widzialnych”. Tylko nadal nie wiemy, o co chodzi.
- Nie wiedzieliśmy. Ale możemy skojarzyć prosty fakt: ten spam puszczoney był tylko raz, jednego dnia dotarł do milionów odbiorców na całym świecie. Było to późnym popołudniem dziesiątego września dwa tysiące pierwszego roku.
- Spojrzałem na niego zdumiony.
- Ano właśnie. Ci ludzie wiedzieli, co ma się stać. Wiedzieli, że Dwie Wieże padną i nie zrobili nic, żeby temu zapobiec. Zawiadomili, że to nie ich robota, ale owszem, pochwalają.
- Boże Świąty!
- Wszyscy zakładają, że spam to po prostu spam, lecz jeden z miliona spamem nie jest. Jeśli wiesz, że to, co chcesz powiedzieć, może zainteresować służby bezpieczeństwa, to najbardziej chcesz uniknąć choćby pozoru tajemniczości. Więc zamiast wysłać wiadomość do określonej osoby, wysyłasz coś, co wygląda na wiadomość zerową do mnóstwa osób. Właściwy odbiorca musi być a) na liście odbiorów i b) znać kod. Wszyscy inni wywalają takie rzeczy do śmieci. On — albo ona — dostaje wiadomość i ją rozumie. Nawet gdybyśmy mieli szczęście, złamali kod, nie zdołalibyśmy dowieść istnienia spisku, bo przecież wiadomość dotarła do tylu ludzi. Najgorsze jest to, że jeśli nawet znajdziemy kogoś, kto napisał „Morderstwo uzgodnionej głowy państwa w środę o czwartej”, w niczym nam to nie pomaga. Bo przecież niczego nam nie mówi. Jak mamy sprawdzić milion odbiorców, z których połowa ma konta na Hotmailu? Nie sposób powiedzieć, do kogo skierowana jest wiadomość, kto jest jej właściwym odbiorcą.
- Więc wysyłają wiadomości jawnie i otwarcie, do kogo chcą, a odbiorca jest chroniony i całkowicie anonimowy.
- Otóż właśnie. Pieprzony koszmar. Te wszystkie e-maile krążyły oczywiście po całej sieci. Udało nam się tyle, że możemy podejrzewać, iż niektóre najnowsze pochodziły z południowej Kalifornii, być może z Los Angeles lub gdzieś z Doliny.

Dopiero wtedy zacząłem się naprawdę denerwować... i szukać kontaktu z Bobbym. Niewątpliwie istnieje system komunikacji o zasadach zmieniających się zbyt szybko, żebyśmy nad nim zapanowali, zwłaszcza jeśli wchodzimy za późno i rozpaczliwie próbujemy się połączyć.

— Jak to „za późno”? W czym połączyć?

Unger zamówił dla nas następne piwo.

— Tego właśnie ciągle nie wiemy. I dlatego przyleciałem do kogoś takiego jak ty, natychmiast, na życzenie. Kody się zmieniają. Kilka razy trafiliśmy, bo dopisało nam szczęście. Tylko że nie da się sprawdzić każdego spamu przez wszystkie książki na świecie, a analiza fenomów i samogłosek nie prowadzi zbyt daleko. Przez dwa ostatnie tygodnie nie zdołaliśmy odszukać niczego sensownego, co może oznaczać, że oni wiedzą o naszych poszukiwaniach. Co z kolei może oznaczać, że mają w agencji człowieka, może nawet ludzi... a to jest coś, o czym wolę nie myśleć.

Przyszła moja kolej.

— No to przemysł sobie coś, Carl. Moja przyjaciółka z FBI została zawieszona, ponieważ poszła trochę za daleko we właściwym kierunku. Tydzień temu ktoś, kto powinien gnić w pierdłu, uciekł z opancerzonego samochodu, właśnie w Kalifornii. Ci ludzie wiedzą, z kim i jak gadać.

— Więc kim są? Co o nich wiesz?

— Rok temu umarli moi rodzice. W Montanie. Wyglądało to tak, jakby zginęli w wypadku samochodowym. Byłem na pogrzebie no i odkryłem coś, co skłoniło mnie, żeby przyjrzeć się sprawie bliżej. Mówiąc dokładnie: zostawioną przez ojca kasetę wideo, na której wspomniał o grupie ludzi nazywających się „Niewidzialni”. Bobby włączył się w sprawę tylko dlatego, że zadzwoniłem i poprosiłem, by znalazł mi kogoś, kto przegra taśmę z magnetycznej na DVD. I na tym powinien był skończyć.

— On nie umiał nie doprowadzić sprawy do końca.

— W każdym razie przekopał się przez kupę papierów i wyszło mu, że w moim rodzinnym miasteczku nie ma żadnych dokumentów świadczących o tym, że się w ogóle urodziłem. Żeby za długo nie gadać: odkryliśmy, iż zostałem nieoficjalnie adoptowany po tym, jak ojciec zabił faceta, który zaatakował



moją matkę. Przypuszczam, że nie zamierzał go zabić, ale to był jeden z bandy ludzi kryjących się w lasach no i tak się to skończyło. Byliśmy dziećmi tego gościa.

— Jak to „dziećmi”?

— Mam brata.

— I o nim nie wiedziałeś? Spotkaliście się?

— Można tak powiedzieć. Należy do Niewidzialnych. To właśnie on uciekł z więzienia. Jest seryjnym mordercą, poza tym trudni się porywaniem ludzi dla innych, tych, których rajcuje zabijanie. Ma swoją teorię, a mianowicie taką, że przed dziesiątkami tysięcy lat ludzkość zaatakował wirus. To przez niego nauczyliśmy się współpracować, stworzyliśmy współczesne społeczeństwo, rezygnując przynajmniej z części naturalnej dla naszego gatunku nienawiści względem samych siebie. Zaczęliśmy tworzyć większe wspólnoty, uprawiać ziemię, jednym słowem wykreowaliśmy współczesny świat. Oni tego nie lubią. Chcą Ziemi takiej, jaką była.

Unger gapił się na mnie zdumiony. Nie oszczędzałem go.

— Jest jeszcze gorzej. Znaleźliśmy dowody na to, że Niewidzialni stali za szeszloroczną strzelaniną w szkole w Evanston w stanie Maine. I nie tylko za nią. To się ciągnie od dłuższego czasu. Gdyby nie znaleziono innych sprawców zamachu w Oklahomie powiedziałbym, że to też ich sprawka. Dla nich nie ma rzeczy niemożliwych. Potrafią wszystko.

Przez kilka sekund Carl siedział zupełnie nieruchomo, po czym wyciągnął rękę i z leżącej na stoliku paczki wyjął papierosa. Pewnie na początku nawet nie wiedział, co robi, to był odruch. Zapalił i dopiero wtedy na mnie spojrzął.

— No tak — mruknął. — To powiem ci teraz, że jest jeszcze jedna sprawa. Jak mówiłem, kody się zmieniły, linia wypłaszczyła i niczego już nie wiedzieliśmy, ale przedtem znaleźliśmy jeszcze jedną frazę, która powtarzała się regularnie. W naprawdę dużych spamach, lecz nie tylko. Na przykład nagranie w systemach telefonicznych trzydziestu miast w Stanach Zjednoczonych.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kartkę na której wydrukowane były dwa słowa: „Dzień Aniołów”.

— Coś ci to mówi? — spytał.

— Nie — odparłem. Poczulem, jak zimny pot spływa mi wzdłuż kręgosłupa. — Ale nie brzmi to pocieszająco.

Wymieniliśmy jeszcze tyle informacji, ile mieliśmy, a było tego niewiele. W pewnej chwili Carl wskazał moją szklankę. Pokręciłem głową.

— Muszę jeszcze usiąść za kierownicą. Już i tak będę musiał jechać bardzo wolno.

— Miałem nadzieję, że dowiem się od ciebie wszystkiego.

— Nie dziś. Muszę z kimś porozmawiać.

— Ona o tym wie?

— A ty skąd wiesz, że to akurat ona, a nie on?

Unger rozłożył ręce w niewinnym geście.

— Wyczytałem to w twoim głosie.

— No więc tak. Ona wie.

— Mogę z nią porozmawiać?

— Nie wiem. Muszę ją o to zapytać.

— Jasne.

Wyjął długopis i na leżącym na stole kawałku papieru zapisał adres.

— Tu się zatrzymam. Days Inn. Pięć przecznic na... aha, na wschód stąd. Pokój dwieście jedenaście. Zakładam, że będę tam do jutra, do dziewiątej trzydzieści. Masz mój numer telefonu, odezwij się. Jeśli będziesz mógł przyjechać, pogadać, zostanę dłużej. Wedle życzenia. Czy jest jeszcze ktoś, o kim powinienem wiedzieć?

— Nie.

— Rozmowa z wami to będzie prawdziwa przyjemność. — Tym razem na twarzy Ungera nie pojawił się półuśmiešek, tak charakterystyczny dla jego fizjonomii. — Mam kiepskie przeczucia w sprawie bezpieczeństwa wewnętrznego. Sądzę, że szykuje się coś naprawdę groźnego, a dla agencji byłoby straszne, gdyby spieprzyła sprawę. Ostatnim razem omal nas za to nie zamordowano.

— Irak trudno uznać za powód do chwały — zauważyłem. Pokręcił głową zirytowany.

— Poradziliśmy sobie całkiem nieźle. Sprawę spieprzyli

goście od pijaru, no i śmieciarka zaczęła sypać śmieciami. Jasne, obrzydliwie to wyglądało, ale takie rzeczy zawsze się zdarzały, tylko teraz mamy kamery cyfrowe i możemy swoje filmiki pokazywać rodzinie. Armia doskonale radziła sobie gdzie indziej. Firma też. Ale media o tym nie wiedzą. Bo i nie powinny. To przecież tajemnica. Puenta jest jedna: jedenasty września jednak się zdarzył, a nie powinien, wywiad w sprawie Irak II był owocem myślenia grupowego ludzi obdarzonych nadmiarem wyobraźni, ktoś musiał dostać baty... kiedy kurz już opadł, a my i tak zrobiliśmy, co chcieliśmy zrobić. Kogo obchodzi, że kontrwywiad armii zredukowano w latach dziewięćdziesiątych niemal do zera? We wszystkich służbach mieliśmy niespełna setkę ludzi mówiących po arabsku! Nikt nie był gotowy na nowy porządek czy też raczej nieporządek świata. Dosłownie nikt. Nie musimy się martwić o bomby atomowe i bataliony żołnierzy, martwimy się o armie, które można upakować w samochodzie osobowym. Terroryzm to nie James Bond, to nie Tom Clancy. Dziś nawet Al-Kaida sprawia wrażenie nieco przestarzałej, teraz to jest po prostu facet z bombą. Chodzi po tych samych ulicach co my. To samo myśli. Różni się od nas tym, że ma bombę. Jediną nadzieją są agenci pracujący jeden na jednego, umiejący wejść w czyjąś głowę. Dowiedzieć się, czy to farmer, czy fanatyk. Dowiedzieć się, jaki jest cel kolejnego ataku. I właśnie takich ludzi wykoszą przede wszystkim, ludzi takich jak Bobby, choć szczerze mówiąc, on akurat nie wypowiedziałby trzech zdań w obcym języku, nawet gdyby zależało od tego jego pieprzone życie. Przepraszam, to akurat nie było szczególnie szczęśliwe określenie. W każdym razie chodzi o to, że odcinają nam fiuty, a potem zastanawiają się, dlaczego nie możemy sikać, a o wiele łatwiej jest walić w CIA niż w jakiegoś głupka, którego nikt nawet nie potrafi znaleźć.

— Którego wy nie potraficie znaleźć. — Miałem ochotę wyjść. — A jeśli chcesz mnie przekonać, że firma zasługuje na pokojową Nagrodę Nobla, to gadasz do niewłaściwego faceta. Pracowałem dla niej, pamiętasz? Jak cała kupa moralnie upośledzonych ludzi. Robiliśmy mnóstwo głupstw przez mnóstwo czasu. Jak myślisz, dlaczego wszyscy tak nas nienawidzą?

— Nie mam pojęcia. Przysięgam na Boga, chcieliśmy dobrze.

— Mogliście bardziej się starać. Jest jedna rzecz, którą powinienś wiedzieć: ci naprawdę źli są już w mieście. Być może byli w nim, nim to miasto zbudowaliśmy.

— O czym ty mówisz?

— Porozmawiam z przyjaciółką — powiedziałem, wstając.  
— Może zobaczymy się jutro.

— Mam nadzieję. Nie martw się, zostanę tu, dopóki mam nadzieję, że nie odjedziesz w mrok. A jeśli mówiłeś prawdę, pomyśl... przyjdzie chwila, kiedy będziesz musiał komuś zaufać. Inaczej twoje życie będzie tylko długim lotem w ciemność.

— Zaufać... powtórzyłem z namysłem. — Zaufanie... Tak, zdaje się, że pamiętam to słowo.

Podaliśmy sobie ręce. Wyszędłem. Przeszedłem przez ulicę i odwróciłem się. Unger nadal siedział w barze, pochylony nad szklanką piwa. Specjalnie zaparkowałem samochód nieco dalej i za labiryntem przecznic i żeby mnie tropić, najpierw trzeba było chyba przewiązać mnie liną. Odjechałem drogą, która mogła prowadzić we wszystkich kierunkach z wyjątkiem tego, w którym naprawdę jechałem.

Wracając do Thornton, całkiem poważnie zastanawiałem się nad tym, co właściwie sędzę o Ungerze. Nie chciałem mu zaufać, nie chciałem wierzyć, że ktoś z legalnej rządowej agencji może nam pomóc, a jednak ufałem mu, przynajmniej do pewnego stopnia. Czy naprawdę domyślił się, że mówiłem o kobiecie tylko słysząc, jak o niej mówiłem? Czy pytał, ilu nas jest z ciekawości, czy też dlatego, że chciał dowiedzieć się czegoś istotnego? Jeśli jest związany z Niewidzialnymi, miało sens, że chce zebrać nas wszystkich do kupy. Prawda?

Problem z paranoją polega na tym, że nie wiadomo, kiedy wziąć na wstrzymanie. Gdy tylko zaczynasz kwestionować coś tak fundamentalnego, jak proste kontakty międzyludzkie, wszystko jest dozwolone. Fakt, że opublikowano wstrząsające zdjęcia tortur irackich więźniów niewiele miał wspólnego z rzeczywistymi wydarzeniami. Wyczyny w Wietnamie opisywano wielokrotnie. Wiemy o obozach dla jeńców wojennych z czasów drugiej wojny światowej. Słyszeliśmy o nabitych na

dzidy głowach w średniowieczu, o rycerzach palonych żywcem pod Agincourt, o wymyślnych sposobach tortur stosowanych zarówno przez Rzymian, jak i Kartagińczyków podczas wojen punickich po to, żeby się nawzajem nastraszyć. Nie ma wojny bez zbrodni i okrucieństw. Sama wojna jest zbrodnią i okrucieństwem, takie to proste i tylko chciwość, nacjonalizm i wiara pozwalają nam udawać, że nie jest tak, tylko inaczej. Jedyną szokującą rzeczą w filmach i zdjęciach jest to, że ktoś zdecydował się je zrobić, utrwalić te zdarzenia, że ktoś uwierzył, iż inni ludzie też chcieliby je obejrzeć. Czy ci ludzie aż tak bardzo różnią się od mordercy kolekcjonującego zdjęcia ofiar? Kosmyki ich włosów? Seryjny zabójca nie mieści się w swojej kulturze, nie czuje z nią łączności do tego stopnia, że zabija na własnej ziemi, podczas gdy większość z nas potrzebuje anonimowości, dalekiego obcego kraju i śmiesznej w gruncie rzeczy wymówki, jaką jest wypowiedzenie wojny.

Ale poza tym... jakie są różnice?

Wywiad USA nie przewidział jedenastego września wcale nie dlatego, że jest niekompetentny. Wszyscy zakładają, że jesteśmy o wiele zdolniejsi od całej reszty świata. Oni nie wygrywają meczy, nam zdarzy się co najwyżej stracić piłkę. Źle. Błąd. Czasami źli faceci wygrywają, bo są tak dobrzy jak my. Siła woli i czystość wiary przewyciężają wielkie różnice w technice. Jeśli jakiś kraj w to nie wierzy, to utkwiał na poziomie wiosennych ferii i gapi się z rozdziawioną gębą na kulturę mokrych podkoszulków. Pierwszą babkę dopiero widzi na horyzoncie.

Po jakimś czasie zaczęło padać.

Była to przynębiająca podróż.

Do Thornton wróciłem nieco po północy. Miasto spało sobie spokojnie w świetle księżyca, płaskim i tajemniczym jak cudzy sen. Przejechałem powoli przed budynkiem, w którym mieścił się urząd szeryfa. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Niny, ale uświadomiłem sobie, że albo jest zbyt zajęta, albo w ogóle jej tu nie ma. Wóz, wyglądający jak samochód dziennikarzy, stał w tym samym miejscu, był jednak pusty. Pewnie

jego ekipa siedzi w środku, a historia Julii Gulicks światło dziennie ujrzy rano. Biała półciężarówka odjechała.

Dotarłem do hotelu. Stał przed nim samochód Reidela i wóz Monroe'a, zaparkowany kilka stanowisk dalej. Wszedłem do środka, myśląc z nadzieją, że jeśli nawet odbywa się nocna konferencja, to nie w pokoju Niny. Bar i restauracja były jednak puste, zamknięte w ten typowo hotelowy sposób sugerujący, że są zamknięte, nigdy, cholera, nie były otwarte i nigdy otwarte nie będą, koniec pieśni. W recepcji i holu nie dostrzegłem nikogo.

Ruszyłem korytarzem, powłócząc nogami. Ciekawe, czy można taktownie powiedzieć glinom, żeby spieprzali do łóżek? Albo powiedzieć im to nietaktownie, jeśli inaczej się nie da. Jeszcze nigdy nie widziałem Niny tak zmordowanej jak dziś. Potrzebowała snu. Ja, prawdę mówiąc, też.

Zapukałem, by ostrzec obecnych o swej obecności, po czym wsunąłem kartę w szczelinę zamka. Cisza, przzerwana tylko trzaśnięciem zamykających się drzwi.

— Nino?

Żadnej odpowiedzi. A więc konferencja odbywa się gdzie indziej. Czy ktoś powiedział mi, w którym pokoju mieszka Monroe? Może warto zwyczajnie pójść spać i zaczekać, aż Nina do mnie dołączy, kiedy znajdzie chwilę czasu? Przeszedłem wąskim korytarzykiem, mijając łazienkę.

Wszedłem do pokoju Niny... i zatrzymałem się, jakbym uderzył w przejrzystą szklaną ścianę.

Początkowo nie widziałem nic. Oprócz krwi.

## Rozdział dziewiętnasty

Wiedziałem, że wydają jakieś dźwięki. Wiedziałem dzięki temu, że czułem straszny ból krtani. Czego nie wiedziałem, to tego, jak głośno krzyczę.

Wyglądało na to, że coś lub kogoś zarżnięto tu piłą łańcuchową. Plamy krwi zdobiły ściany, telewizor, krzesła, narzutę na łóżku, wielkie, wiszące na ścianie lustro. Pokój śmierdzał miedzią i śmiercią, a ciemnej czerwieni było w nim tyle, że niemal przemawiała własnym głosem. Przez chwilę stałem nieruchomo, oszłomiony, jakby ktoś dał mi w łeb. Nie potrafiłem dostrzec, w tym żadnej logiki.

Tak to wszystko wyglądało, że dopiero po pełnej minucie zdałem sobie sprawę, że widzę tylko jedno ciało.

Reidel.

Leżał pod oknem wychodzącym na parking. Ciało było skrzycone, jakby ktoś rzucił nim wystarczająco mocno, by wgnieść ścianę. Stracił połowę skóry na głowie, jego twarz pokrywała gęsta, czerwonobrazowa, lśniąca wilgocią ciecz. Oczy miał co prawda otwarte, ale już nikt nie byłby w stanie niczego z nich wyczytać. Wyglądał, jakby ktoś próbował mu pociąć ubranie maczetą, a potem stracił nad sobą panowanie i zaczął walić w co popadnie. Zakrwawionym ostrzem ciał tapetę tuż obok jego głowy. Znacznie głębsze rany znaczyły szyję, ramiona i pierś po lewej stronie, krew rozlała się na podłodze dobre pół metra od zwłok, w obu kierunkach.

Jedno ciało.

Tylko jedno ciało.

Odwrociłem się i wpadłem do korytarzyka. Kopniakiem otworzyłem drzwi do łazienki, w rękę trzymałem broń. Gdyby mi chuchnąć na palec wskazujący, z pewnością by wypaliła. W porównaniu z resztą pokoju łazienka była wręcz surrealistycznie czysta. I pusta: ani żywych, ani umarłych.

Wróciłem do pokoju i odciągnąłem łóżko od ściany. Może myślałem, że Nina się pod nim ukryła, może nie zdawałem sobie sprawy, że to ja głośno wykrzykuję jej imię, może spodziewałem się, że znajdę tam coś, co kiedyś było nią, upchane kawałek po kawałku. Udało mi się przesunąć je mniej więcej na środek, kiedy za plecami usłyszałem jakiś dźwięk. Odwróciłem się. Na korytarzu stała kobieta w hotelowym uniformie.

Zaczęła wrzeszczeć głośno, jak pasażerski odrzutowiec wznoszący się w powietrze.

— Znajdź agenta Monroe'a! — krzyknąłem. — Znajdź go natychmiast!

Cofnęła się, zachwiała, wyraźnie próbowała uciec. Krzyczała jeszcze głośniej, i ten dźwięk, w połączeniu z wszechobecną krwią sprawiły, że na moment przestałem myśleć, nie zdawałem sobie sprawy, że to przede mną ucieka. Miałem broń, cały pokryty byłem krwią, a po drugiej stronie, pod oknem, leżało coś potwornego. Ja też bym przed sobą uciekał.

Najpierw schowałem pistolet do kieszeni. Udało mi się złapać ją za jedno ramię, potem za drugie i przytrzymać.

— To nie ja — powiedziałem, starając się mówić cicho i spokojnie, no i nie połamać jej kości. Widziałem białka jej oczu, próbowała patrzeć wszędzie, byle nie na mnie. Zbliżyłem twarz do jej twarzy i powtórzyłem nieco głośniej: — To nie ja! A teraz dzwoń po gliny i znajdź agenta specjalnego Monroe'a!

Popchnąłem ją ku drzwiom. Oczywiście uciekła.

Naprawdę próbowałem postępować metodycznie. Wiedziałem, że nie powinienem bałaganić na miejscu zbrodni, ale dość już nabałagałem, a poza tym musiałem wiedzieć. Jeśli Nina miała zostać znaleziona, to właśnie ja powinienem ją znaleźć.

Położyłem się na podłodze. Zajrzałem pod łóżko, właściwie



już tylko po to, żeby się upewnić. Sprawdziłem także małą garderobę w pokoju. Wisiało w niej kilka ubrań Niny. Drzwi do niej zostawiłem otwarte na wypadek, gdyby ciało nagle się zmaterializowało i rozpadło, ociekając krwią. Zjrzałem za wielki telewizor, za zasłony po obu stronach okna. Kilkakrotnie przechodziłem nad ciałem Reidela, widziałem, że coś tu jest nie w porządku, ale nie potrafiłem stwierdzić co. Zresztą w tej chwili miałem ważniejsze problemy.

Wróciłem do łazienki, zupełnie bez sensu. Jeszcze raz ją sobie obejrzałem, otwierając drzwiczki i przesuwając zasłonę prysznicza łokciami, by nie przenieść tu krwi z innego koszmaru.

Niny nie było. Nie było jej nigdzie. Nie potrafiłem zdecydowanie potwierdzić tego faktu. Musiałem gdzieś ją znaleźć i tyle.

Wyskoczyłem na korytarz i pobiegłem w kierunku holu. Po jakichś dziesięciu metrach minąłem Monroe'a. Skręcał w korytarz, nie miał marynarki, wyglądał na starego i zagubionego.

— Co się stało? — spytał.

— Reidel nie żyje.

Rozdziawił usta i w tym momencie już byłem za nim. Po sekundzie znalazłem się na zimnym parkingu. Ganiałem po nim jak szalony, zaglądałem do samochodów. W żadnym z nich nikt nie siedział, nikt nie odjeżdżał, więc najpierw zwolniłem, po czym się zatrzymałem. Poruszały się tylko chmury sunące po niebie.

Nie miałem kogo ścigać, nie zostało nic, co mógłbym zrobić. Cokolwiek się zdarzyło, zdarzyło się i nic nie mogłem na to poradzić. Spóźniłem się.

Z daleka dobiegł dźwięk syren policyjnych radiowozów. Oni też przybywali za późno.

Godzinę później siedziałem na krawężniku, paląc papierosa. Palce, w których go trzymałem, były we krwi. Dżinsy także. Patrzyłem na pokrywający plac rozjeżdżony dziurawy asfalt tylko po to, żeby mój mózg miał coś do roboty. Większość tego czasu spędziłem w pokoju Niny, w końcu poczułem, że dłużej nie wytrzymam. Ledwie powstrzymywana furia miejscowych gliniarzy i ich nieukrywana panika połączyły się jakoś z moją

furią i paniką, czego rezultatem był rozsadzający mi głowę okrutny zimny ból beznadziei.

Owa godzina minęła mi, mierzona w krótkich urywanych odcinkach. Nie zdarzyło się nic sensownego. Czas po prostu uciekał w tempie, jakie sobie wybrał. Widziałem paru gliniarzy łażących tu i tam, gapiących się w ziemię, szukających śladów krwi. Ja już to wszystko zrobiłem.

Usłyszałem, jak otwierają się automatyczne drzwi. Podniosłem głowę. Z hotelu wyszedł Monroe, sam. Hol wypełniony był kłębiącym się tłumem pracowników i gości, oraz oczywiście gliniarzy próbujących skłonić wszystkich, by wrócili do pokoi, na miejsca pracy czy w ogóle wynieśli się gdzieś w diabły, byle zeszli z drogi. Połowa gości sprawiała wrażenie przerażonych, druga połowa miała zdumioną minę ludzi, którzy dostali prawo wejścia na jakiś szczególnie ostry reality show. W tym momencie bardzo chciałem ich wszystkich krzywdzić. Krzywdzić długo i okrutnie.

— Macie coś? — spytałem.

Pokręcił głową.

— Hotel rozwalamy po prostu na kawałki. Poddasza, piwnice, każdy magazynek i pakamerę, jakie da się znaleźć. Tu jej nie ma.

Znów zagapiłem się w ziemię.

— Gliniarze z miasta są albo na miejscu, albo na ulicach — ciągnął Monroe. — Wezwano wszystkich funkcjonariuszy, którzy mają wolne. Szeryfów Owensville, Andley i Smithfield postawiono w stan gotowości. Poinformowałem dwa nasze najbliższe biura terenowe. Ich zespoły już do nas jadą.

— Za późno.

— Nie. Wcale nie. Porwano agenta federalnego. Wiadomo, jak zdecydowanie reagujemy w takich sytuacjach. Dbamy o naszych ludzi. Żeby ją odzyskać, zrobimy wszystko, dosłownie wszystko.

— A gdzie dokładnie macie zamiar zacząć szukać?

— Na trzech głównych wybiegających z Thornton szosach już stoją zapory. Gdy tylko pojawią się agenci, odizolujemy całe miasteczko. Jeśli okaże się to konieczne, przeszukamy wszystkie domy. Znajdziemy Ninę, choćbyśmy mieli rozebrać to miejsce cegła po cegle.

Zakładałem, że facet nie słyszy brzmiącej w jego głosie bohaterkiej rozpacz.

— O której wróciliście do hotelu? — spytałem. — To znaczy, jak długo przedtem, nim znalazłem to, co znalazłem?

— Jakąś godzinę... Może ponad godzinę.

— A więc minęły przeszło dwie godziny. Może być w innym stanie.

— A twoim zdaniem, kim jest ten on?

— A jak myślisz? Ktoś właśnie zaatakował dwóch czołowych śledczych w sprawie ostatnich morderstw. Reidel został poćwiartowany narzędziem identycznym z tym, którego w nich użyto — ciężkim tasakiem. Nie widziałeś, co zrobił ze ścianą? — Już wcześniej uświadomiłem sobie, co było nie tak z ciałem Reidela. — Nie widziałeś, że dłonie nieboszczyka leżą prawie metr od ciała? Masz swojego mordercę. To może być tylko on, nikt inny.

— Julia Gulicks nadal siedzi w celi. A przed celą stoi strażnik.

— No przecież, Monroe! Bo ona tego nie zrobiła! Ta sprawa to dom zbudowany na piasku — bo to Gulicks znalazła ciało — zaledwie lekko utwardzonym przez zeznanie zazdrosnej kobiety z baru, która mogła ją widzieć, ale mogła jej nie widzieć. A zresztą nawet gdyby ona była winna i siłą ducha wyteleportowała się z celi, nie wierzę, by mogła zrobić coś takiego. Reidel był stworzony do walki, a i Nina potrafiła o siebie zadbać. Naprawdę wyobrażasz sobie, że Julia potrafiłaby załatwić ich oboje? Naprawdę? Widzisz to oczami wyobraźni?

— Nie.

— No więc to mężczyzna. W dodatku mężczyzna, który wcześniej dokonywał seryjnych morderstw na poważnie. Gulicks jest niewinna, prawdziwy morderca przeniósł piłkę na naszą połowę, a my nawet nie wiemy, do czego jest zdolny!

Monroe przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Wiedziałem, że zależy mu na Ninie, bardzo mu na niej zależy, ale jednocześnie musiał intensywnie, niemal głośno myśleć o tym, jak się zbłądził, skoro na jego zmianie doszło do porwania agenta, nie wspominając o zarżnięciu gliniarza. Nie miał wyjścia, musiał wysunąć to podejrzenie.

— Przecież to niekoniecznie musiał być zbrodniarz... ale na przykład on.

— Jaki „on”?

— Twój brat.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— A niby czemu miałyby zabijać miejscowych? Poza tym, kiedy zginął ten niezidentyfikowany gość, nadal siedział w Pelican Bay.

— Przecież wiem. Ale mogło być i tak, że Gulicks jest morderczynią z Thornton, a twój brat wytropił was oboje. Nina postrzeliła go przecież wtedy, w lasach, a nie minął nawet rok. Może po nią wrócił? Chciał ją porwać?

To mi nie przyszło do głowy.

— Odcięcie dłoni to tylko przypadek, co? Nie sądzę. I powiem ci jedno: módl się, żeby to nie był Paul. Bo jeśli to on, wszystko jest możliwe.

— Tak, oczywiście, masz rację. Po prostu nie wiem, co można zrobić. Snuję przypuszczenia.

— I rzeczywiście w hotelu nikt nic nie widział? Nikt z recepcji, z obsługi pokoi, żaden z późno wracających gości? Ktoś wszedł do jednego z pokoi, przerobił go na rzeźnię, wywiózł Ninę... i nikt niczego nie widział ani nie słyszał?

— Nadal przesłuchujemy gości, ale to tylko bicie piany. Obsługa pokoi pracuje do wpół do jedenastej. Przez ostatnie trzy godziny w recepcji siedziała dziewczyna, którą przeraziłeś na śmierć. Wieczór spędziła w biurze za recepcją — standardowa praktyka, przygotowanie do następnego dnia. Wychodziła tylko wtedy, kiedy słyszała dzwonek. Łatwo było przejść niezauważonym. A tylne wyjście...

— Nina była nieprzytomna. Bez najmniejszych wątpliwości.

— Albo... — Monroe odwrócił wzrok.

— Nie! — zaprotestowałem gwałtownie. — Nieprzytomna.

— Wstałem, roztrzęsiony. Po prostu musiałem zacząć działać.

— Wynoszę się stąd — oznajmiłem.

— Co masz zamiar zrobić?

— To, co powinienem zrobić godzinę temu. Wybrać się na poszukiwania. Jeśli nie ma jej tu, to musi być gdzieś indziej. — Wyciągnąłem z kieszeni jakiś strzępek papieru, zapisałem na

nim numer mojego telefonu komórkowego. — Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiesz. Czegokolwiek!

— Oczywiście. — Przyjrzał mi się poważnie, wręcz groźnie. — I wzajemnie. Nie oszukuj się, nie załatwisz tego sam.

— Naprawdę wierzysz, że ci to obiecuję?

— Do głowy mi to nie przyszło. Ale... kiedy go znajdziesz... chcę tam być.

— Zabiję go. Nie powstrzymasz mnie.

— Czy ja wspominałem coś o powstrzymywaniu?

Jeździłem po mieście tu i tam, za to bardzo szybko. Opuściłem szyby, słuchałem wycia syren. Przyszło mi do głowy, że może warto byłoby sprawdzić miejsca, gdzie znaleziono dwa poprzednie ciała, ale szosa i ścieżka w Raynor's Wood były puste, a na miejsce drugiej zbrodni nie udało mi się trafić, bo poprzednio nie zwracałem uwagi na drogę. Podzieliłem się tym pomysłem z Monroe'em. Obiecał, że zaraz kogoś tam wyśle.

No i wciąż jeździłem, coraz szybciej i szybciej. Przeszukiwałem miasto kwartałami. Mijałem radiowozy przemykające w różnych kierunkach, lecz żaden gliniarz nie zwrócił na mnie uwagi i nie próbował mnie zatrzymać, choć pędziłem jak szaleniak i — gdyby raczyli zauważyć — cały pokryty byłam krwią.

Przeszukałem miasto, jadąc w jedną stronę, potem pojechałem w drugą i znalazłem się przed posterunkiem policji. Zatrzymałem się, powodowany wyłącznie impulsem. Wysiadłem z samochodu. Dopiero na schodach prowadzących do wejścia uświadomiłem sobie, o co mi chodzi.

W środku było ciemno i bardzo spokojnie. Za biurkiem siedział jeden funkcjonariusz, sprawiający wrażenie spiętego. Na szczęście był jednym z tych, którzy widzieli mnie, kiedy dzisiejszego popołudnia wchodziłem tu i wychodziłem.

— Proszę pana, wszystko w porządku? Czy coś się stało?

— Nie — powiedziałem niecierpliwie. — Jadę prosto z miejsca zabójstwa Reidla. Gdzie Gulicks?

— W areszcie. Nie wolno panu tam wchodzić.

— Owszem, wolno. Proszę zadzwonić do agenta specjalnego Monroe'a. Nazywam się Ward Hopkins.

Minąłem go, jakby nie istniał. Przeszedłem na tyły budynku, minąłem pokój przesłuchań, ten z dzisiejszego popołudnia. Na końcu korytarza znajdował się znak informujący, że tu znajduje się areszt dobowy: troje ciężkich, ponurych drzwi, jedno po drugich. Przed środkowymi stał kolejny spięty glina, oczywiście uzbrojony.

— Otwórz drzwi — poleciłem.

— Nie zrobię tego, proszę pana.

Stałem w miejscu, w którym przez szczelinę w drzwiach mogłem widzieć wnętrze celi. Była mała, najwyżej trzy metry na trzy, i ciemna, światło docierało do niej wyłącznie z korytarza. Całe wyposażenie stanowiła wąska prycza przy jednej ścianie, zlew i funkcjonalna metalowa toaleta przy drugiej oraz stojące pomiędzy nimi, oparte o ścianę krzesło.

Julia Gulicks siedziała na nim, sztywno wyprostowana, z opuszczoną głową. Nie wiem, czy mnie dostrzegła, ale w tej właśnie chwili podniosła głowę. Twarz miała bladą, oczy szeroko otwarte.

Spojrzała wprost na mnie. I coś w jej twarzy się zmieniło.

Nie sądzę, by można to było nazwać uśmiechem ale... jej usta poruszyły się tak jakoś dziwnie.

— Proszę pana... — W korytarzu pojawił się gliniarz zza biurka. Szedł szybko — Musi pan wyjść. Jak najszybciej.

— Chcę z nią porozmawiać.

Julia nadal patrzyła mi prosto w oczy.

— To niemożliwe, panie Hopkins. Przed chwilą skontaktowałem się z agentem Monroe'em. Powiedział, żeby pana nie aresztować, tylko wyprowadzić stąd w cholerę. Natychmiast. — Położył mi dłoń na ramieniu. — Nie chciałbym...

Strząsnąłem jego rękę. Strażnik obserwował mnie uważnie.

— No dobrze, odejść — mruknąłem.

Gliniarz prawie biegiem wyprowadził mnie na korytarz. Sprawiał wrażenie wkurzonego jak jasna cholera. Wiedziałem, że drugi raz nie uda mi się wykręcić tego numeru. Który i tak nic mi nie dał.

Tylko...

Spojrzenie, którym obrzuciła mnie ta kobieta, nie było pozbawione znaczenia. Nie uśmiecha się w ten sposób ktoś, komu nie chodzi po głowie coś istotnego. Julia musiała wiedzieć, że zdarzyły się w mieście rzeczy niezwykle, na wieść o śmierci Reidela posterunek musiał ogarnąć chaos. Przez te drzwi mogła usłyszeć rozmowy, poznać jakieś szczegóły. Czyżby na nie zareagowała? Na wiadomość, że policjant, który pomiałał nią tego właśnie dnia, został zamordowany?

Stałem na chodniku. Wiedziałem, że gliniarz ciągle gapi się na mnie zza biurka. Ze spotkania z Ungerem do hotelu wracałem strasznie zmęczony, a teraz byłem tak zmordowany, że miałem poważne kłopoty z myśleniem.

Usiadłem ciężko na schodach.

Założenie czy nadzieja: Nina żyje. Jeśli mieli zginąć oboje, zabójcy najłatwiej byłoby załatwić to w hotelowym pokoju.

A więc dlaczego ktoś miały załatwić Reidela i zostawić ją przy życiu?

Być może oryginalny plan zakładał, że oboje nie wyjdą z tego cało, a potem komuś przyszedł do głowy lepszy pomysł: załatwić tylko policjanta, a ją porwać. Albo Nina miała zostać porwana, porywacz nie spodziewał się obecności policjanta, który zginął, bo znalazł się w złym czasie w złym miejscu, albo też był przygotowany na sytuację, w której ktoś zniknie. Tak czy inaczej udało mu się zrobić, co chciał zrobić.

No więc załóżmy, że Nina była celem. Co to może oznaczać? I na co wskazuje?

Wszyscy zakładali, że w Thornton szaleje morderca. Z jakiegoś ukrytego punktu obserwacyjnego śledził Ninę zajęta śledztwem, uznał, że zagraża jego bezpieczeństwu albo że nieźle by było zająć się właśnie nią. Ten ostatni pomysł wcale mi się nie podobał, ale dzięki Bogu miał słaby punkt, a mianowicie całkowitą zmianę *modus operandi* i typu ofiar — od cichego zabójstwa dwóch mężczyzn w średnim wieku do porwania uzbrojonej agentki federalnej.

Więc rozważmy pomysł, że był to jednak ktoś inny.

Sugestia Monroe'a, że mógł to być mój brat Paul, wstrząsnęła mną, jednak wydawała się nie trzymać kupy. To prawda, brat był zdolny przeprowadzić tę akcję, zarówno pod względem

moralnym, jak i fizycznym. Tylko że jakoś go w tej roli nie widziałem. Po części dlatego, iż moim zdaniem zostałyby w tym pokoju i czekał na mnie, najważniejszy jednak był ten prosty fakt, że jeśli to rzeczywiście on się tym zajął, to już nigdy nie zobaczę Niny, cokolwiek bym zrobił.

Jeśli nie on, to kto? Jacyś inni agenci Niewidzialnych? Oni z pewnością dysponowali wystarczającą liczbą ludzi, zdolnych zabijać policjantów obojętnie, bez wyrzutów sumienia. Pół roku temu, w miejscu publicznym, na moich oczach jeden z nich wpakował cały magazynek w pierś Charlesa Monroe'a, na własne oczy widziałem bardzo drogie osiedle, gdzie w ogrodach grzebano ciała ofiar. Ci ludzie nie znali ograniczeń cywilizowanego świata.

Nagle coś przyszło mi do głowy.

Nie miałem żadnych problemów z wyjazdem z Thornton. Zastanawiałem się, jakie trzy drogi obstawiono, ale bez problemu znalazłem taką, przy której nie było nikogo. Wcisnąłem gaz i popędziłem do Owensville. Wyjeżdżając na główną szosę, zwolniłem, bo pojawili się gliniarze — alarm Monroe'a okazał się skuteczny. Znalazłem Day's Inn, zmusiłem się, by wejść do środka bez pośpiechu, tak po prostu, zwyczajnie.

Trzecia rano i proszę! Ktoś jednak pełnił dyżur w recepcji! Facet drzemał, bez wątpienia, ale jednak tkwił na posterunku. Może gdyby hotel w Thornton stosował podobną politykę, Nina nadal byłaby w swoim pokoju, a ja byłbym z nią.

— Mieszkam w dwieście jedenaście — powiedziałem, udając zmęczonego i nieco pijanego. — Zgubiłem gdzieś klucz. Może mi pan wydać duplikat?

— Niestety nie, proszę pana. Nie widziałem, jak się pan wprowadza. Muszę prosić o jakiś dowód tożsamości.

Nie zatrzymałem się, ale udawałem, że pracowicie grzebię w kieszeni.

— Ooo... już nic. Już go mam.

— Dobranoc, proszę pana.



Wbiegłem po schodach, przeszedłem korytarzem i znalazłem pokój dwieście jedenaście. Zapukałem do drzwi, włożyłem rękę do kieszeni marynarki.

Zero reakcji. Zapukałem ponownie, tym razem mocniej. Przyłożyłem ucho do drzwi. Niczego nie usłyszałem. Nagle zrobiło mi się zimno.

— Carl? To ja, Ward.

Nic. Odsunąłem się o krok i wymierzyłem drzwicom solidnego kopniaka. Chyba go nawet nie odczuły. Drugi, mocniejszy kop nie zmienił sytuacji. Nie wiem, jak radzić sobie z zamkami na kartę magnetyczną, a nie byłem aż tak głupi, żeby próbować go przestrzelić.

Zbiegłem do recepcji.

— Są problemy z tym kluczem — oznajmiłem. — Nie działa. Potrzebuję innego.

— Przecież mówiłem panu, że będzie potrzebny dowód tożsamości.

Wyciągnąłem pistolet.

— Ten panu wystarczy? — Zauważyłem ruch lewej ręki. — Nie sięgaj po telefon — ostrzegłem. — Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa w Thornton.

— Jest pan gliniarzem?

— Nie, FBI.

— Od tego trzeba było zacząć. — Upojony wizją awansu na wzór cnót obywatelskich Owensville recepcjonista stał się zupełnie innym człowiekiem. Jego palce zatańczyły na klawiaturze. — Dwieście jedenaście?

— Tak. Carl Unger.

Facet zmarszczył brwi.

— No... nie.

— Ja naprawdę muszę dostać się do tego pokoju.

Wziął czystą kartę z wielu leżących na stosie, ale mi jej nie dał. Wskoczył zza lady. Najwyraźniej chciał pójść ze mną. Nie miałem ani czasu ani ochoty dać mu w pysk, więc posłusznie się na to zgodziłem. Po schodach biegł lekko, właściwe drzwi znalazł natychmiast. Przesunął kartę przez szczelinę zamka, odblokował go.

Wszedłem do środka. Pokój był pusty, łóżko zasłane, łazienka nienagannie wysprzątana, toaleta odkażona.

Zakląłem i napadłem na faceta, którego jedynym zadaniem było przecież ujeżdżanie biurka.

— Mów! — warknąłem.

— Pan Unger dokonał rezerwacji telefonicznej dziś, późnym popołudniem. Nieco przed dziesiątą wieczorem odwołał ją, także przez telefon. Trochę się spóźnił, musiał zapłacić, ale praktycznie wymeldował się, nie wchodząc nawet do naszego hotelu.

Opadłem na łóżko bezwładnie jak worek piasku. Byłem tak wściekły... i czułem się tak wielkim durniem, że zwyczajnie odjęło mi głos. Unger znikł mi z oczu zwyczajnie, po prostu, bez najmniejszego wysiłku. Zarezerwował pokój w hotelu, żeby wyglądało, iż jest osiągalny na miejscu, do którego mógłby ściągnąć mnie i Ninę rano, gdyby dzisiejszy pomysł nie wypalił.

Ale wypalił. A Carl Unger znikł. Znikła też Nina.

Zostałem tylko ja.

Wróciłem do Thornton. Podjechałem na parking Holiday Inn, zastawiony policyjnymi radiowozami z dodatkiem dwóch wozów transmisyjnych telewizji. Nocni gapie stali murem na chodniku. Przejechałem obok, nie zwracając na nich uwagi. Nie miałem tu nic do roboty.

Pojechałem do miejsca, które tego wieczoru raz już odwiedziłem — parking nad Raynor's Wood. Siedziałem w samochodzie z otwartymi oczami, przysłuchując się odgłosom lasu. Nina ciągle była obecna w moich myślach, serce coraz straszniej ścisnęło mi się w piersi. Objaw paniki.

— Co mogę zrobić, Bobby? Jak mam ją znaleźć?

Zadałem to pytanie, zanim uświadomiłem sobie, że zamierzam je zadać. Odpowiedzią była cisza. Akt wypowiedzenia pytania był z samej swej natury głupi, jednak nie była to najlepsza chwila na rozważanie oczywistego faktu: drodzy nam ludzie mogą być martwi, martwi raz na zawsze.

Coś kazało mi wcisnąć przycisk szybkiego wybierania telefonu Niny. Natychmiast odezwała się poczta głosowa. Wiedziałem, że tak będzie, Monroe już próbował zlokalizować jej telefon po sygnałach do sieci i nic z tego nie wyszło, ponieważ był

wyłączony. Zwolennicy konspiracyjnej teorii wszystkiego twierdzą, że każdego można namierzyć w każdej chwili. Niestety, nie mają racji.

Do zrobienia pozostało mi tylko jedno. Zadzwoiłem pod kolejny, ostatni na mojej liście numer. Nikt nie odpowiedział. Nie zraziłem się. Dzwoniłem co pięć minut i wreszcie o siódmej zero trzy, po pięciu miesiącach, usłyszałem ten głos.

— Czego, do diabła, chcesz, Ward? Dostałem SMS-a, oczywiście. Nie rozpoznaję faceta z nazwiska.

— John, muszę z tobą porozmawiać.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Mają Ninę.

Długa chwila milczenia i wreszcie usłyszałem:

— Kto?

— Przecież wiesz. Jest ich.

— A ty gdzie jesteś?

— Thornton w Wirginii. Przyjedź jak najszybciej.

## Rozdział dwudziesty

- Interes kręci się jak zwykle. Robimy co robimy.
- Człowieku, to ci się tylko śni! Nikt do mnie nie zadzwonił od dobrych dwudziestu czterech godzin. Z tych, o których wiedziałem, odwołano w tym tygodniu dwie balangi. Rodzice mają pietra, mówię ci, straszno, a jeszcze gliniarze szarpią ludzi na prawo i lewo. To nie jest atmosfera do zabawy, Lee. Wszyscy siedzą w domu i oglądają telewizję.

Była za dwadzieścia dziewięć rano. Siedzieli w samochodzie Lee Johna na parkingu Starbucksa, tego z wczorajszego wieczoru, wieczoru śmierci Pete'a, i znów pili potężne waniliowe koktajle mleczne. Tym razem wydawały im się mdłe, zbyt słodkie. Ich spotkanie było pomysłem Lee. Wymyślił sobie teorię, że powinni wrócić do miejsc, odwiedzanych tamtego pamiętnego wieczoru, żeby choć trochę namieszać w głowach ludziom, którzy mogliby ich zapamiętać — obsłudze i klientom — założywszy, że w ogóle ktoś ich zapamiętał. Niech raczej zostanie im w głowie obraz dwóch sympatycznych młodych ludzi, doskonale dopasowanych do świata, a nie dwóch wykończonych facetów z obłędem w oczach, którzy właśnie pochowali swojego najlepszego przyjaciela. Brad nie wiedział, czy ma to sens, czy nie, jego zdaniem próby przechytrzenia gliniarzy podejmować mógł tylko ktoś znacznie bardziej doświadczony od niego. Pewność siebie Hudeka zaczynała go martwić. Od spotkania w cztery oczy z tym Paulem zaczął jakby ignorować rzeczywistość.

— Nie zdawali sobie sprawy, że to będzie trudne?  
— Oczywiście — odparł Lee. — Ale chodzi o obrót. Pieniądze wchodzą, pieniądze wychodzą. Mają kupę piguł, a one nie są ważne wiecznie.

Brad miał nieodparte wrażenie, że to po prostu głupie gadanie.

— Może powinienem sprawdzić, co u Matta i Deny? — powiedział bez przekonania. — Oni prawie nie znali Pete'a.

Być może nadal się bawią.

Hudek pokręcił głową.

— Nie Reynoldsowie. Nie ma mowy.

— Dlaczego?

— Bo nie.

— No nie, Lee, tu mnie masz. Zwróć prochy przyjacielom, wyjaśnij im, że jakiś cholerny naprany facet z prowincji odstrzelił Śpiochowi łeb i że rynek przestał być taki chłonny.

Hudek przyjrzał mu się uważnie.

— Z tobą wszystko w porządku?

— Nie, Lee, nie wszystko ze mną w porządku. Brakuje mi Pete'a. Cholernie za nim tęsknię.

— Wiem. Ja też.

Brad wcale nie był pewien, że w to wierzy. Miał nieodparte wrażenie, że we wszechświecie Johnny'ego Lee Pete stał się problemem, którego rozwiązanie da się kupić.

— Wczoraj wieczorem jego mama dzwoniła do mojej mamy. Pytała, czy coś wie.

— Wydzwania do wszystkich.

— Mnie nie obchodzi pieprzona ogólna sytuacja, człowieku, rozumiesz? Dziś nie obchodzisz mnie ty, nie obchodzi mnie Steve, nie obchodzi mnie jakiś Arabus na ulicy Bagdadu. Mówię o sobie! Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mojej mamy. Potem mama przyszła do mojego pokoju i... gównno, człowieku, wiesz o co chodzi. Nie jest dobrze.

— Nie martw się. Będzie.

— Wcale nie jestem tego pewien, Lee. — Brad zawahał się.  
— Poprzedniego wieczoru dzwoniła Karen.

— Pieprzysz ją, więc musisz słuchać jej gadania. Transakcja wiązana. Spróbuj jakoś sobie z tym poradzić.

— Nie o to mi chodziło.

- Domyśliłem się. To był żart.
- Twoim zdaniem śmieszny?
- O czym ty właściwie mówisz, Brad? Brzmi mądrze, ale je nie potrafię, kurwa, czytać w myślach.
- Pytała mnie o różne rzeczy.
- Jakie, na przykład?
- Kiedy znaleziono ciało Pete'a zadzwoniła i pogadaliśmy o różnych sprawach, no wiesz, o tym, o owym i jakie to wszystko jest popieprzone. A potem nagle spytała, czy wiem coś o tej sprawie i co się z nim mogło stać.
- Co powiedziałaś?
- Że nic nie wiem, oczywiście. Ale... ale Karen coś słyszała. Wtedy, na imprezie, czekałem na ciebie no i podeszła, pamiętasz? A potem ty się pojawiłaś, powiedziałaś coś w rodzaju: „Będzie tu zaraz”, czy może „za minutkę” albo coś takiego. Ja tego dokładnie nie pamiętam, ale ona z pewnością tak. Wie, że na kogoś czekaliśmy. Podejrzewa, że na Pete'a.
- Chryste! Dlaczego nie powiedziałaś, że chodzi o Jeda, Matta czy Grega?
- Bo nie myślałem wystarczająco szybko, okej? Powiedziałem, że pojechaliśmy po hamburgery sami. Przecież wróciliśmy sami, co widział każdy, kto pofatygowałby się spojrzeć w naszą stronę. Więc po co wciągać w to innych? Zwłaszcza jeśli powiedzą, że my nie, skąd, nigdzie nie wyjeżdżaliśmy.
- Racja, słusznie. Więc co ona wczoraj mówiła? Dokładnie?
- Właściwie nic... może tylko, że ma nadzieję, że jeśli ktoś coś o tym wie, to zgłosi się do gliniarzy. Jej zdaniem policja podeszła do sprawy bardzo poważnie. Twierdzi, że na dłuższą metę niech lepiej każdy, kto coś wie o sprawie, powie o tym jak najszybciej, nawet gdyby z początku niefajnie to wyglądało.
- I to niby miało być skierowane do ciebie?
- Chyba tak. Ale powiedziałem tylko: „Jasne, oczywiście” i dalej już o tym nie rozmawialiśmy. Mówię ci, zdenerwowałem się jak cholera. I poczułem... winny.
- Nie jesteś winny i ja też nie jestem. Karen robi po prostu to, co uważa za słuszne. Nasi przyjaciele już wkrótce załatwią sprawę, dziewczyna zrozumie, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego i znów wszystko będzie w porządku.

— Będzie w porządku, nawet jeśli przyznamy, że nie jesteśmy w stanie sprzedać ich prochów?

— Rzec nie w prochach, Brad. Im chodzi o coś innego. Na razie nie znam szczegółów, ale wiem, że coś się zbliża. Coś wielkiego. Ci faceci mają powiązania. Są jak mafia czy coś, ale nie włoska, kolumbijska i w ogóle. To biali faceci. Zaplanowali duży numer, w którym mamy im pomóc. To teraz nie będzie miało żadnego znaczenia.

— O Pete'a tu chodzi! Śpioch Pete zawsze będzie miał znaczenie.

— Jasne, oczywiście — powiedział Lee i Brad uswiadomił sobie nagle, że on już pewnie nie pamięta, o kim mowa.

Odezwał się pager. Lee spojrzął na wyświetlacz i odczytał wiadomość.

— To oni. Czas w drogę.

Było coś wręcz surrealistycznego w odwiedzinach w wielkim fast foodzie centrum handlowego Belle Isle. Brad znał to miejsce bardzo dobrze. W ciągu ostatnich pięciu lat pożarł tu niezliczoną ilość taquitas i kanapek z jajkiem, wypił hektolitry coli i koktajli owocowych. Tu włóczył się z kumplami, potem z Pete'em, ostatnio tylko z Karen. Pewnie gdyby zajrzał głęboko w przeszłość, zobaczyłby samego siebie w towarzystwie mamy, taty i siostry robiących tu nudne zakupy. Na ogół udawało mu się od nich wykręcić. Ze łzami w oczach błagał, żeby pozwolili mu uniknąć katuszy, posiedzieć przy koktajlu czekoladowym, a oni zazwyczaj się zgadzali.

Tak wcześniej rano sklepy dopiero otwierano. Większość stolików była pusta, choć siedziało już parę pań, gospodyń domowych odprawiających poranne plotki przy kawie, oraz kilka potwornych grubasów nad resztkami hamburgerów w ilości wystarczającej do wyżywienia niewielkiej rodziny. Frytki zwisały im z pysków niczym nogi nie do końca pożartych wielkich owadów.

I był też facet. W swej *splendid isolation* zajmował miejsce przy stoliku stojącym pośrodku mnóstwa stolików. Zaskoczyło to Brada, ale nie na długo, wystarczyło, że się rozejrzał. W sporej

odległości od tego ze środka, w różnych miejscach na obrzeżu części jadalnej siedzieli przy identycznych stolikach trzej inni goście i nie wyglądało na to, żeby przyszli tu polować na przecone kalendarze ze zwierzętami w Waldenbooks. Żaden z nich nie jadł ani nie pił. Wszyscy przyglądali się jemu i Lee. Obojętnie... no, prawie obojętnie. Mieli od czterdziestki do tuż po dwudziestce, najgroźniej patrzył na nich ten najmłodszy. Roztaczał wokół siebie atmosferę, która Bradowi wyjątkowo się nie podobała.

Lee miał ze sobą torbę z prochami. To też mu się nie podobało... ale takie było polecenie, które przyszło na pager. W każdym razie podszedł prosto do środkowego stolika i wykonał gest, jakby miał tę torbę oddać. Facet zaprzeczył jednym, krótkim, szybkim ruchem głowy.

— Za chwilę — powiedział. — Siadaj.

Obaj usiedli naprzeciw niego. Śmieszna rzecz ale Hudek opisywał gościa, jakby był słynnym aktorem albo co, w każdym razie kimś, kogo zauważa się nawet w zatłoczonym pokoju. Tymczasem zdaniem Brada wtopiłby się w tło w każdym miejscu i sytuacji.

— Brad, tak?

— Owszem.

— Miło cię poznać. Jestem Paul.

— W porządku — powiedział Brad, myśląc: Coś jest z tobą nie tak, człowieku.

Tymczasem Paul zwrócił całą swą uwagę na Hudeka.

— Sprzedaż nie całkiem ci wychodzi, co?

— Robimy, co w naszej mocy, ale... po śmierci Pete'a... to po prostu nie jest właściwy czas.

— Z pewnością nie sprzedajesz tylko najlepszym przyjaciołom?

— Oczywiście, że nie. Ale pracujemy w zamkniętych enklawach. Dla ludzi z klasą. Słuchaj, jeśli chcesz, możemy dalej próbować.

— Nie martw się. Straty w Dolinie to zarobek w zachodnim Hollywood. Po prostu przesuniemy towar stąd tam.

Hudekowi sprawiło to przykrość. Stało się coś, co z pewnością nie służyło jego awansowi, którym już zaczynał się cieszyć.



— Przykro mi — powiedział. — Sprawy się popieprzyły, ale to chwilowe.

— Nie sądzę, by było to szczególnie ważne. I by dotyczyło twego Wielkiego Planu. — Spojrzał na Brada. — Mam do ciebie ogromną prośbę: mógłbyś przynieść mi espresso?

W pierwszym odruchu Brad zamierzał powiedzieć „nie” i „nie jestem niczym kelnerem”. Tylko że w przypadku tego faceta jakoś się tym kelnerem było. A poza tym, gdy tylko otworzył usta — oniemiał. Skrzywił się. Zaburczało mu w brzuchu.

Facet imieniem Paul przyjrzał mu się uważnie.

— Nie czujesz się najlepiej, prawda? — spytał.

— Od paru dni boli mnie brzuch. — Brad nagle poczuł mdłości. — Jakoś nie mogę sobie z tym poradzić.

— Żyjesz w wielkim napięciu.

— Mało powiedziane.

— Co na to bierzesz?

— No... wiesz... — Brad poczuł się niezręcznie. Jego mama pakowała w niego najsmakowitsze kąski z domowej apteki. — Tak w ogóle... lekarstwa...

— Proponowałbym zioła. Na przykład scutelarię.

Brad skinął głową. Już się nie złościł. Co mu tam, pójdzie po tę kawę. Gość ma w sobie coś... i to coś się liczy. Lee też chciał być taki i po trosze nawet mu się udawało, ale ten gość miał tego czegoś trylion razy więcej. Był samcem alfa samców alfa. Jeśli wydał polecenie, wykonywało się to polecenie, tak po prostu.

Tak więc podszedł do stoiska, przy którym nie było kolejki. Zamówił kawę, obsługująca go kobieta uruchomiła ekspres, a on zerknął przez ramię na Lee. Rozmawiał z tym facetem i wyglądało to na poważną konwersację. Pewnie gadali o Planie, czymkolwiek miało być to gównno. Wiosenne ferie? A to co znowu? W tej chwili jednak nic go to nie obchodziło. Najlepiej, żeby to spotkanie wreszcie się skończyło — mógłby pojechać do Karen i odetchnąć. Kiedy był u niej, sprawy wydawały się jakies prostsze, łatwiejsze do ogarnięcia. Zauważył, że dwaj mężczyźni, których dostrzegł wcześniej, znikli w jakiś tajemniczy sposób. Pozostał tylko ten najmłodszy. Sprawiał wrażenie

pewnego siebie do tego stopnia, że chyba tęsknił za okazją, by komuś zrobić krzywdę. Brad nie mógł się nie zastanowić, w czym, do diabła, mogą we dwóch pomóc ludziom takim jak oni. Nic mu do głowy nie przyszło, więc zaczął podejrzewać, że nie pomocników szukają, lecz mięsa armatniego. Kogoś, kogo mogą wysłać, kiedy handel zapowiada się niebezpiecznie, tak jak zeszłego wieczoru. Narkotyki są dokładnie jak przemysł filmowy, na temat którego ojciec Brada wszczepiał mu od najmłodszejszego dzieciństwa zdrowy sceptycyzm. Jako zaprawiony w bojach prawnik, specjalizujący się w show-biznesie, wiedział, co mówi. Ludzie wydają się zakładać, że każdy ma swoje miejsce w plejadzie gwiazd, miejsce, które czeka tylko na niego, a jedyne, co muszą zrobić, to wykorzystać okazję, no i jeszcze pogadać o tym, jak to pragną wspiąć się na szczyt, i całe to gównu. W rzeczywistości oba te przemysły są niczym groźne drapieżniki czyhające na człowieka z jego naiwnymi nadziejami i pragnieniami jak na smaczny kęs w sosie z głupoty i chciwości. Mógł mieć tylko nadzieję, że Lee to pojmie, wcześniej czy później. Brad niby mógł go uprzedzić, uprzedzić zdarzenia, ale z Lee Johnem był ten problem, że on tak naprawdę nie liczył się z niczym zdaniem, jeśli nie było to jego zdanie. Wrócił do stolika, ostrożnie niosąc mały kubek. Dotarł na miejsce, gdy Lee akurat z przekonaniem kiwał głową.

— Będzie jak chcesz — obiecał Paulowi.

— Znasz ten wielki sklep sportowy na piętrze, przy windzie? Zapomniałem, jak się nazywa.

Lee go znał, oczywiście. Od lat kupował tam z przyjaciółmi to i owo.

— Serious — powiedział. — Jasna sprawa.

Paul wziął kawę.

— Właśnie — przytaknął. — Na tylnej ścianie jest stelaż na torby. Powieś na nim swoją. Tam z tyłu, gdzie nikt jej nie zauważy. Jeden z naszych ludzi weźmie ją za małą chwilę.

Brad spojrzął na niego zdziwiony.

— Czy to nie jest zbyt ryzykowne?

— Nie rankiem takiego zwykłego dnia jak ten. I nikt nie interesuje się torbą z zeszłego roku. Żaden z waszych książąt z Doliny nie da się zabić, byle przytulić ją do piersi, racja?

Mówiąc te słowa, Paul mrugnął i podniósł kubek do ust. Wypił kawę jednym łykiem. Brad aż się skrzywił. Widział, jak nalewano ją wrzącą i nawet zdziwiło go, że kubek się nie roztopił.

Nagle facet znieruchomiał, nie odejmując kubka od warg. Na coś patrzył. Brad i Lee odwrócili się jednocześnie.

Na ścianie przed Branigan's Irish Bar wisiał wielki ekran telewizyjny. Sam pub miał otworzyć swe podwoje dopiero za kilka godzin, lecz telewizję włączono, choć z wyciszonym dźwiękiem, bo przecież reklamy to reklamy, chętnych do ich oglądania nigdy nie brakuje. Nastawiona była na CNN. Grupka gliniarzy stała w miejscu przypominającym hotelowy parking. No tak, widać było nawet logo Holiday Inn. Jedna z telewizyjnych małp, które zwykle wysyła się do takich newsów, gadała coś ponuro do mikrofonu. Wyglądało na to, że ktoś gdzieś zginął. Dla Brada idea czyjejś śmierci nie była już tak abstrakcyjna jak kiedyś.

Lee odwrócił się i spojrzał na Paula.

— Pogadamy później, dobrze? — powiedział.

Paul skinął głową, nie odrywając nieruchomego spojrzenia od ekranu. Ani mrugnął. Wyglądało, jakby o nich zapomniał, jakby już ich tu nie było. Lee chyba chciał mu uściśnąć rękę, jakoś zaakcentować ich braterstwo, ale gość po prostu przestał zwracać na nich uwagę. Na dobre.

— Później — powtórzył i znów nie doczekał się reakcji.

Obaj z Bradem przeszli do windy. Pojechali na piętro, gdzie znajdował się sklep Serious About Sport. Brad natychmiast podszedł do stanowiska sprzedawców i rozpoczął rozmowę na temat skomplikowanych tajników jazdy na desce, sprawiając im wielką przyjemność. Oto mieli szansę wykazać się całą głębią swych płytkich intelekciów.

Pokazywali mu trzecią deskę, gdy pojawił się Lee, już bez torby.

— Lecimy — rzucił cicho.

Brad wzruszył ramionami na użytek sprzedawców, odwrócił się i wyszedł.

— Coś jak z filmów płaszcza i szpady, nie? — powiedział. — Dlaczego nie mogliśmy po prostu zostawić mu torby tam, gdzie rozmawialiśmy?

— Widocznie ma swoje powody. — Lee zachowywał olimpijski spokój.

I pewnie nie musiał ci ich nawet wyjawiać, pomyślał Brad. Otworzył drzwi prowadzące na rozgrzany słońcem parking. Bo teraz chcesz robić tylko to, co on każe ci zrobić. Ciekawe, co sobie myślisz? Co chcesz kupić? Ciekawe, czy ja coś będę z tego miał. A jeśli tak, to jak niewiele?

— Co teraz? — spytał głośno.

— Cisza, spoko. Dziś po południu gliny dostaną cynk. W piątek, dzień przed party u Karen, Pete Voss umówił się z paroma gówniarzami z prowincji. Mały handelek na tysiąc doliców, za które zginął w sobotę. Gówniarze już są ustawieni i gotowi.

— Dlaczego gliny mają w to uwierzyć?

— Dlatego, że jest w tym trochę prawdy. Dlatego, że dowiedzą się, gdzie leży ciało Hernandeza, czyli współnika Pete'a, zabitego podczas transakcji. Wszystko ładnie zapakowane i przewiązane wstążką.

Bradowi nie wydało się to takie wspaniałe.

— To co? Mama Pete'a dowie się, że jej syna zabito, kiedy sprzedawał narkotyki?

— No... przecież tak właśnie było. Nie pamiętasz?

— A może sprzedać to jako wypadek albo coś?

— Nie. Na to jest już za późno. Gdyby tak było, nie pogrzebałby go nikt... oprócz przyjaciół.

— Nieprawda, Lee. To...

— Brad, załatwiłem ci właśnie kartę wyjścia z więzienia. Nie możesz marudzić, że ci się jej kolor nie podoba.

— Ile nas to będzie kosztować?

— Nic.

Brad tylko pokręcił głową.

Podrzucano go do domu. Tam wsiadł do swojego samochodu, odsunął dach i ruszył przed siebie wprost w jasny poranek.

Podjechał do domu Luchsów. Samochodu Karen nie było na podjeździe. Po drodze próbował się do niej dodzwonić, ale albo słyszał sygnał „zajęte”, albo odzywała się poczta głosowa.

Pomyślał, że mógłby po prostu zawrócić i odjechać, tylko że kiepsko by to wyglądało, a samochód mogła przecież oddać do warsztatu.

Zadzzwonił do drzwi. Otworzyła mu pani Luchs. Sprawiała wrażenie przybitej.

— Dzień dobry, Bradley — powiedziała.

— Dzień dobry. Zostałem Karen?

— Poszła do apteki. Zostawiła ci wiadomość.

Podziękował jej i odszedł. Liścik przeczytał w samochodzie. Zwykła kartka w zaklejonej kopercie.

*B...*

*Mama powiedziała ci pewnie, że poszłam do sklepu, ale to nieprawda. Powiedziałam jej tak, bo chciałam wyrwać się z domu. Dużo ostatnio myślałam, właściwie cały czas. Musimy porozmawiać. Wiem, co powiedziałaś, ale też wiem, co słyszałam. Pani Voss dzwoni bez przerwy, pyta mamę, jak to było na naszej zabawie, kiedy Pete'a widziano po raz ostatni, jakby to była wina mamy, czy coś i to zaczyna do niej docierać. Poza tym jeśli ktoś coś wie, to po prostu nie w porządku, że nie powiedział policji. Moim zdaniem ty i Lee wiecie, gdzie był tego wieczoru Pete. On zasłużył na to, żeby złapać jego morderców. Zajrzałam w głęb serca i sądzę, że mogę powiedzieć coś policjantom. Przedtem powinniśmy jednak porozmawiać.*

*Znajdę jakieś spokojne miejsce, żeby jeszcze to przemyśleć. Proszę, znajdź mnie.*

*Kocham cię K x.*

Brad skończył czytać i patrzył na kartkę dobre dziesięć sekund, coraz bardziej nie rozumiejąc, co się stało. Jak w transie sięgnął po komórkę, wcisnął klawisz szybkiego wybierania numeru dziewczyny. Usłyszał sygnał, tym razem nie był to sygnał „zajęte”, a potem włączyła się poczta głosowa.

Rzucił telefon na siedzenie pasażera, wycofał się z parkingu i ruszył przed siebie z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Rozpoczął poszukiwania. Szukał długo. Zbielały

kostki jego zaciśniętych na kierownicy palców. Modlił się do bogów, w których nigdy nie wierzył. I ze wszystkich sił próbował powstrzymać się od płaczu.

Po godzinie, a raczej półtorej, osiągnął przedziwny stan umysłu, który można było nazwać czyścem dla ubogich. Głowa bolała go od słońca i nadmiaru myśli. Przeszukał wszystkie miejsca, każde, które przyszło mu do głowy. Odwiedził wszystkie centra handlowe z wyjątkiem Belle Isle, bo wiedział, że Karen tam nie ma. Przejechał przez wzgórza do Santa Monica, bo wiedział, że są tam miejsca, które Karen odwiedzała z przyjaciółmi, kilkakrotnie przejechał promenadą Trzeciej Ulicy, odwiedził nawet molo, bo kiedyś umówili się tam na randkę. Dzwonił do siebie do domu, sprawdzał, czy się tam nie pojawiła, czy nie siedzi na przykład na ławeczce w ogródku. Obdzwonił wszystkich jej przyjaciół, których numery telefonów znał, a ponieważ większości z nich dostarczał prochów, było tych numerów całkiem sporo. Nikt nic o Karen nie wiedział. Parę osób spytało go nawet, czy ma coś do opylenia, ale na to było już, cholera, za późno.

A ona nadal nie odbierała.

Brad nie miał zielonego pojęcia, co robić. Pojechał wreszcie przez Universal City do Doliny — tylko dlatego, że nic innego nie wpadło mu do głowy. Gdyby spróbował na serio, gdyby się naprawdę do tego przyłożył, może uwierzyłyby, że ich ścieżki skrzyżowały się wcześniej, że wjechała na parking Belle Isle dokładnie w chwili, gdy oni z niego wyjeżdżali, że może siedzi w galerii nawet teraz i na niego czeka. W końcu spędzili tam przecież sporo czasu. Może uważała, że to „ich miejsce”. Może nim było. Nie potrafił powiedzieć. Tego rodzaju decyzje zawsze podejmują dziewczyny.

Jechał powoli, nic nie mógł na to poradzić. Nawet szczególnie się nie spieszył. Jeśli tam jej nie znajdzie... co ma zrobić?

Nie wiedział.

Czy któreś z nich kiedyś napisało to wielkie słowo na „K”? Powierzyło je papierowi? Miał nieodparte wrażenie, że jednak nie. Obracał w pamięci słowa liściku coraz bardziej upewniając

się, że Karen rzeczywiście chce najpierw porozmawiać z nim, a dopiero później z glinami. Znał ją i ufał jej. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nieważne, czy była przedtem z Lee Johnem, czy nie. Nie przywiązywał do tego wagi, chyba tylko o tyle, że żaden facet nie lubi, by inny był tam, gdzie on teraz bywa. Ważne jest tylko to, że ją kocha. I że ona kocha jego. Porozmawiają, rozważą wszystko i z pewnością uda mu się przekonać Karen, że nie ma sprawy, że jeszcze dziś wieczorem gliny dostaną to, czego chcą, i wszystko znów będzie takie, jak było. Brad przekroczył pewną granicę. Nic go nie obchodziło, czy Pete wyjdzie z tej sprawy czysty, czy wręcz przeciwnie. W końcu rzeczywiście zajmował się handlem narkotykami. Zapłacił za to dużą, zbyt dużą cenę, co nie oznaczało przecieź, że ci, co nadal żyją, też mają płacić. Wiedział, że wyjdzie z tego starszy, mądrzejszy i o wiele mniej radosny, jednak z tą wiedzą mógł żyć. Los zwyczajnie mówił mu, że czas najwyższy znaleźć pracę polegającą na czymś innym niż sprzedawanie nielegalnych substancji. Nie wątpił, że Karen zechce mu pomóc. Wszystko jest w porządku. Karty łatwo da się trzymać przy orderach.

Pod warunkiem, że dotrze do niej przed gliniarzami.

Zwalniał i zwalniał, wreszcie praktycznie stanął w korku. Udało mu się nie stracić zdrowego rozsądku z powodu opóźnienia tylko dlatego, że zaczął myśleć o różnych innych rzeczach, czasami po raz chyba trzydziesty piąty. Najwyraźniej Karen nic mamie nie powiedziała, bo gdyby powiedziała, jego rozmowy z Luchsami wyglądałyby zupełnie inaczej. Owszem, miała wielu przyjaciół, ale głęboko wierzył, że nie gadałaby z nimi o czymś takim, przecieź byli teraz najlepszymi przyjaciółmi. Nie udało mu się złapać jej przez telefon, więc pewnie pojechała gdzieś wszystko sobie przemyśleć i zwyczajnie go wyłączyła. No, coś takiego. Chociaż, po prawdzie, nie miało to wielkiego sensu... czy ta myśl nie nawiedziła go przypadkiem po raz trzeci? Bo przecieź jeśli chciała pogadać, powinna zostawić komórkę włączoną. Wyładowanie baterii? Nie bardzo prawdopodobne.

Może jest poza zasięgiem?

O, do diabła, o tym nie pomyślał. Mogła przecieź pojechać

w góry Santa Monica, może jedzie szosą prowadzącą przez któryś z parków narodowych, Malibu lub Topanga. Podobało się jej tam, bardzo podobało. Co właściwie napisała w liście?

*Znajdę jakieś spokojne miejsce....*

Chryste! A on jedzie w przeciwną stronę.

Brad wychylił się z samochodu. Korek rozładowywał się powoli, samochody ruszały, nawet nabierały szybkości. Miał ochotę jechać dalej, do Doliny i galerii, który to pomysł nabrał własności wręcz magicznych; także dlatego, że mogłby sprawdzić, czy torba zostawiona w Serious About Sport została już odebrana. Nie podobało mu się, że może tak sobie wisieć na stojaku, choć nigdy jej nie dotknął i nie było sposobu, żeby ją z nim powiązać. Miał wielką ochotę wracać, bo nowy pomysł wydawał się równie atrakcyjny.

Na razie nie mógł zawrócić. Decyzję podejmie, kiedy dojedzie do jakiegoś skrzyżowania.

Jadące przed nim samochody zjeżdżały na lewy pas. Prawy widocznie został zamknięty. No i dobrze. Minie zator, będzie mógł pojechać szybciej.

Góry? Galeria. Góry? Galeria? Być może nadal jazda do galerii miała więcej sensu, ale do galerii zdąży, zawsze może zawrócić, jeśli druga możliwość nie wypali.

Dostrzegł migające wolno światła. Policyjny radiowóz. Przyzwyczał się już do przyspieszonego bicia serca spowodowanego takim widokiem, do tego stopnia, że nie od razu zorientował się, że na prawym pasie stoją dwa radiowozy. A także karetka.

I nagle Brad zrównał się ze stojącymi z boku wozami. Mijał je powoli, leniwy blask migających świateł padał i na niego.

W słup na poboczu drogi uderzył samochód. Bok miał poważnie uszkodzony, z maski nie zostało prawie nic, przedniej szyby właściwie nie było, a jej resztki płamila ciemna czerwień.

Samochodem tym było śliczne nowe bmw w kolorze jaskrawego błękitu.

Ktoś za nim niecierpliwie wcisnął klakson. Nie pomogło. Zdjął stopę z pedału gazu. Tu kończyła się jego podróż.

Bo tym bmw jeździła Karen.



## Rozdział dwudziesty pierwszy

W mrocznym pokoju powietrze jest ciepłe, nieruchome. Pokój ten znajduje się na poddaszu drewnianego domu, kłębki kurzu wiszą na deskach ścian, wirują w promieniach słońca. Drzwi na korytarz są otwarte. Bije z niego stłumiony blask, przenikający przez okno, brudne, przysłonięte roletą podpartą wąską deską, z jednej strony nierówną, jakby złamano ją siłą i to niemalą.

Drzwi pomalowano na białe, pokój też. Czas i przymgłone światło sprawiają, że ściany wydają się jej raczej sine jak ciężkie burzowe chmury napływające znad morza, nadal dalekie lecz zbliżające się nieubłaganie. Mimo rozmiaru pokój nie wydaje się przestrzenią rządzącą się własnymi prawami. Ma się wrażenie, że podłogi, nawet ściany domu są tylko elementami arbitralnego podziału szerszej przestrzeni rozciągającej się, być może, poza granice budynku, choć nie aż tak daleko, by dosięgnąć drzew rosnących, jak się jej wydawało, w pobliżu. Słyszała dobiegające stamtąd dźwięki, pohukiwania, szumy, szmery, tak dalekie jednak, tak stłumione, że wydawały się wręcz nierealne i w żaden sposób nie świadczyły o istnieniu rzeczywistego świata.

Podłogę przykrywa stara brudna wykładzina, na której poniewierają się jakieś śmiecie: kawałki szkła, okruchy gipsu, który odpadł ze ścian, stłuczone lustro, także liście. Nie bardzo wiadomo, jak dostały się tu liście, dwa wielkie okna we frontowej ścianie są zamknięte i najwyraźniej całe. Ale z drugiej

strony nie widać przez nie światła, więc tak naprawdę trudno powiedzieć. Na podłodze koło ściany leży abażur. Jego jaskrawa barwa w jakże charakterystycznych dla lat siedemdziesiątych odcieniach fioletu, mocno już spłowiałych, miała niegdyś podkreślać kolory wykładziny, która także zdążyła wypłowieć.

Z boku drewniane krzesło. Ustawione tyłem do drzwi, pod kątem do ścian. Ciemnozielone obicie. Nie zwracaloby niczyjej uwagi, gdyby nie to, że jest w tym pokoju jedynym przedmiotem całym, kompletnym, z wyjątkiem wciśniętego w kąt wąskiego łóżka. Stoi nie całkiem pośrodku pokoju, wygląda na to, że umyślnie ustawiono je tak, żeby zostawić więcej miejsca przed nim niż za nim. Zupełnie jakby na coś czekało. Czy ktoś siadał tu, by czemuś się przyglądać, czy też ustawiono je, by przyglądać się siedzącemu?

I dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że na krzesle ktoś siedzi.

Kobieta. Odwróciła twarz. Siedzi bardzo niewygodnie, wyprostowana, z ugiętymi kolanami. Nina podchodzi do niej od przodu, ostrożnie, cicho. Chce sprawdzić, kim ta kobieta jest.

Prawie bez zdziwienia przyjmuje fakt, że jest nią.

Widzi samą siebie, nieco szczuplejszą, niż się sobie wydawała, blada, zmęczona. Oczy ma otwarte, nieruchomym spojrzeniem wpatruje się w róg pokoju. Mija chwila, niemal niezauważenie porusza się powieka prawego oka. Drży coraz wyraźniej, aż ruch ten staje się czymś w rodzaju tiku.

Tak, oczywiście. Próbuje mrugnąć, powiedzieć: „Cześć, wiem że tu jesteś, nie ma sprawy, w porządku”. Ale Nina wie, że nic nie jest w porządku.

Nagle znajduje się w swoim ciele. To ona siedzi na krzesle.

Atmosfera staje się jeszcze bardziej duszna, jeszcze cięższa. Nina nie może się poruszyć. Stopy ma zimne. Sama sobie wydaje się nieznośnie ciężka, nieruchawa. Ma skurcze. Wcale nie patrzy na podłogę w rogu pokoju, nie, raczej na ścianę, odrobinnę wyżej. Coś tam się porusza... może ptak? Nie, to ręka. Jakby machała, palce kurczą się i prostują powoli, może próbuje po coś sięgnąć, a może szuka swojego miejsca w przestrzeni, przy

ścianie, dwadzieścia centymetrów od podłogi. Zamyka się i otwiera, bezgłośnie, błada.

Nieruchomieje.

Obraca się lekko, jakby słuchała.

Nina też słyszy ten dźwięk. Drzwi najpierw otwierają się, potem zamykają. Ciężkie drzwi, te wejściowe. Do domu.

Nie, nikt nie wychodzi. Wręcz przeciwnie.

Wchodzi.

Ktoś idzie. Ciężkimi krokami. Dudnią głośno; ten dźwięk także wydaje się bardzo dziwny. Z każdym krokiem Nina odzyskuje przytomność... a jednocześnie traci wzrok. To, co dostrzegła wcześniej, nawet sam pokój, to tylko zlepek obrazów widzianych mgliście okiem wyobraźni. Ręka na ścianie porusza się jeszcze, prawie niezauważalnie, potem jest już tylko ciemność.

Walczy, próbuje odróżnić to, co ma jakiś sens, od tego, co sensu nie ma. Udaje jej się ustalić jedno:

To, na co patrzyła, to tylko wspomnienie miejsca, w którym nie była, a raczej nie pamięta, żeby była. Albo straciła zdolność widzenia, albo ma zawiązane oczy. Do czegoś ją przywiązano. Stopy ma bose.

I czuje straszne mdłości.

Próbuje oddychać normalnie. On jest blisko, co dowodzi, że pokój jest mniejszy, niż się jej wydawało lub może znajduje się w zupełnie innym miejscu. Być może znów straciła przytomność.

On milczy. Nie chce z nią rozmawiać. Nina wie dlaczego; są tacy, dla których rozmowa z ofiarą jest dowodem jej rzeczywistego istnienia, a tej rzeczywistości nie chcą zaakceptować.

— Jestem przytomna — mówi. W każdym razie próbuje powiedzieć. Bo w tej chwili bełkocze, sylaba po sylabie. Dopiero po kilku próbach to proste zdanie staje się zrozumiałe.

Nie ma odpowiedzi.

Zakłada, że podszedł do niej „on”. Mężczyźni pachną inaczej niż kobiety, niezależnie od tego, jak bardzo o siebie dbają, za dużo jest jednak w jego zapachu kurzu, pyłu i brudu, by

mogła to stwierdzić z całą pewnością. Czuje dłonie... jego, jej, czyjeś... ale natychmiast uświadamia sobie, że to nic wielkiego, że chodzi tylko o sprawdzenie, czy jest dobrze związana. Mężczyzna zaciska węzeł z tyłu jej głowy. Cieszy się, bo to potwierdza, że zasłonięto jej oczy. Niemilo mieć zasłonięte oczy, ale ślepotą jest o wiele gorsza. Nie jest tak, że niczego nie widzi, ale to, co widzi, jest jak cienie o północy, jak sadza padająca na całkowitą, absolutną czerń. A on zatrzymuje się, owszem, przy jej lewym łokciu. Przytrzymuje ją za łokieć przez chwilę. Zaciśnięty palec wskazujący i kciuk. Ma niesamowitą siłę. Musi być wielkim facetem. Nie można go sobie wyobrazić. Pojawił się w hotelowym pokoju niczym fala przypląwu, uderzająca stojący na plaży domek. Dostrzegła jedynie ruch, potem była już tylko ciemność. Nie ma pojęcia, co się stało później, ale jest wystarczająco sprytna, by zrozumieć, że raczej nic dobrego, przynajmniej dla niej. Liczyć może tylko na jedno: nadal żyje. Żyje teraz, w tej krótkiej chwili, i na to tylko może liczyć. Tylko na tym może budować.

— Nazywam się Nina Baynam — mówi.

On jakby nieco się odsuwa. Wyczuwa, że stoi blisko i przygląda się jej z góry.

Nina jest w bardzo niewygodnej pozycji. Leży na plecach, ręce ma związane za głowę, uda chyba opadają, a w dodatku nogi są zgięte w kolanach.

— Stopy mi marzną.

Milczenie. Postanawia, że nie będzie nic mówiła, przynajmniej przez jakiś czas. Nie czuje się w pełni przytomna. Zapewne dostała cios w głowę, a potem może nawet podano jej narkotyki. Nie miała doświadczenia z rohypnolem, nie знаła jego efektów, podejrzewała jednak, że dostała coś znacznie silniejszego. Nadal dzieje się z nią coś dziwnego. Nie może pozbyć się wrażenia, że jest w pokoju na piętrze, że siedzi na krześle, choć w tej chwili wydaje się to przecież bardzo nieprawdopodobne. Chociaż... mogło się to zdarzyć wcześniej. Jeśli w ogóle się zdarzyło.

Mówi, ale nikt jej nie odpowiada, więc na razie lepiej być cicho. Dzięki temu, być może, on nie poda jej narkotyków.

Mężczyzna oddala się od niej, siada, w każdym razie brzmi to tak, jakby siadał na czymś miękkim, czymś, co ugięło się pod ciężarem jego ciała. Przez chwilę panuje cisza, choć z zewnątrz dobiegają jakieś dźwięki. Początkowo, kiedy dopiero zaczęła odzyskiwać przytomność, nie potrafiła ich zidentyfikować, myślała, że dochodzą z lasu. Ale nie. Choć nadal nie wie, skąd się biorą, woli się nad tym nie zastanawiać. Najpierw musi jakoś uporządkować myśli. Nie może formułować fałszywych przesłanek i działać według wyciągniętych z nich wniosków. Znajduje się w sytuacji, w której nie wolno jej popełniać błędów.

Nagle rozlega się inny dźwięk, szokująco głośny.

To dzwonek telefonu komórkowego, wręcz surrealistycznie prozaiczny. Rozpoznaje nawet melodyjkę, firmową, z tych co to stały się kosmicznym tłem współczesnego modernistycznego życia.

Telefon dzwoni, dzwoni, a potem milknie.

Wkrótce słyszy cichy trzask. Ktoś wstaje z krzesła. Nina sztywnieje. Zastanawia się, czy nie powinna jednak odezwać się, spróbować nawiązać nić porozumienia. Nie prosić, nie. Na to za wcześnie.

Mężczyzna pochodzi bliżej. Słysząc jego oddech.

— Otwórz usta.

Głos ma cichy, spokojny. I głęboki, niewątpliwie męski. Jego wieku nie da się określić. Co do płci nie ma wątpliwości.

Nie chce otwierać ust. To ostatnie, czego by chciała. Zaciska wargi. Wie, że to przede wszystkim reakcja kogoś bezradnego, chcącego sobie z tą bezradnością poradzić. Nic jej to nie obchodzi. Przecież nie ma nic więcej.

— Otwórz usta.

Bardzo boi się tego, co on może jej zrobić, znacznie bardziej niż tego, co zdarzy się, jeśli nadal będzie odmawiała. Jeśli naprawdę chce, żeby otworzyła usta, to zmusi ją do ich otwarcia. Do tego wystarczy zwykły młotek. Szybki i skuteczny.

Otwiera usta.

Czuje w nich coś. Coś suchego, jakby nigdy nie znało wody. Mężczyzna zawiązuje jej węzeł za głową i dopiero wtedy Nina

orientuje się, że to knebel. Przelyka, a przynajmniej usiłuje przelknąć. Już wie, że będzie jej teraz znacznie bardziej niewygodnie.

Dziesięć minut później mężczyzna odchodzi. Ona słyszy, jak otwiera drzwi i jak je zamyka. I ten dźwięk jest jakiś szczególny.

Już się na siebie nie gniewa. Może i mogła udawać, że wciąż jest nieprzytomna, ale on i tak podjąłby pewnie zaplanowane środki ostrożności. Właściwie dziwne, że nie zrobił tego wcześniej. Alternatywa: albo nie spodziewał się, że narkotyk przestanie działać tak szybko, co było zapewne dobrą nowiną, albo robił to wcześniej i wie, że osoby nieprzytomne dławią się czasami, jeśli zatyka im się usta kneblem.

To byłaby ta zła nowina.

Tak czy owak, knebel nie jest jej błędem. Może. No i fajnie. Zarobiła punkt. Co jeszcze wie?

Wie, że Reidel jest co najmniej ranny, zapewne nie żyje. To źle. I że porywacz był w stanie wtargnąć do hotelu oraz wyprowadzić ją z niego niezauważony. To też źle.

Próbuje zorientować się jakoś w przebiegu wydarzeń. Założmy, że była nieprzytomna przez kilka godzin, choć chyba trwało to dłużej. W miarę jak dochodziła do siebie, coraz lepiej zdawała sobie sprawę z upływu czasu. Przypomina sobie zdarzenia pochodzące nie ze snu, lecz fragmentarycznych, poszatkowanych wspomnień. W tym wspomnienie sprzed roku, kiedy to w ciemnościach nocy, w osiedlu leżącym w górach Montany, mężczyzna osaczył ją i niemal zabił. Odsuwa te wspomnienia, wie jednak tyle, że jest tu przynajmniej od paru godzin. Nikt nie przybył jej na odsiecz. Zła nowina. Podwójnie zła, bo porywacz ma szansę umknąć pogoni, być bardzo daleko.

Złych nowin jest prawdopodobnie znacznie więcej. Ale i tych wystarczy, przynajmniej na razie. W ogóle jest źle. Tylko że...

Warda tam nie było. Nie było go w jej pokoju hotelowym, więc pewnie nic mu się nie stało.

To dobrze.

Chyba że...

Nina czuje, jak skręca się jej żołądek. Bo jeśli spotkanie Warda było ukartowaną z góry zmyłką, jeśli miało za zadanie wyłącznie ich rozdzielić, to stos tego, co złe, sięga nieba. Jeśli nie porwał jej morderca z Thornton, jak zakładała, to może... może... był to Niewidzialny?

I wtedy Ward...

Ward leży martwy w pokoju hotelowym, na wznak, w poprzek łóżka. Albo gdzieś w ciemnej alejce, i jego ciało kryją torby ze śmieciami. Albo na siedzeniu samochodu, bezwładny, z mózgiem rozpryskanym na szybie, twarz blada jak wosk...

Nie!

Nie! Napięła wszystkie mięśnie, obróciła je przeciw krępującym ją siłom z całej siły, w każdym możliwym kierunku. Więzy nawet się nie napięły, ból był jednak wystarczająco silny, by wyrwać z marazmu umysł, gotów stoczyć się w mroczną studnię niepamięci.

Uznała, że najlepiej będzie, jeśli teraz się uspokoi, wyciszy, przestanie myśleć. Złego nie pokonasz tym, że o nim myślisz. I nie pokonasz tym, że o nim nie myślisz.

Trzeba po prostu pomyśleć o czymś innym.

Więc odrywa się od rzeczywistości, ucieka od niej jak najdalej potrafi, jednak wkrótce zdaje sobie sprawę, że coś tkwi w jej głowie. Coś się w niej pojawiło, coś w niej zamieszkało; uczucie, uczucie, przed którym broniła się niemal przez całe życie. Na razie to tylko nieśmiały przybysz z prowincji, wie, że ma jeszcze dużo do zrobienia, że, by czegoś dokonać, musi pograć się w niej głębiej, nabrać siły. Ale już tu jest.

Nina próbuje oddychać równo i głęboko. To pomaga, niewiele, ale zawsze coś. Próbuje też zaakceptować okrutny fakt: boi się.

Bardzo się boi.

## Rozdział dwudziesty drugi

Siedziałem w samochodzie na parkingu Mayflower, paląc papierosa za papierosem. Gdy wracałem, minąłem Holliday Inn, gdzie aż roilo się od bardzo zapracowanych mężczyzn i kobiet w wiatrówkach z napisem FBI na plecach. Radiowozy parkowały wzdłuż ulicy długim rzędem, wkrótce miało pojawić się tylu dziennikarzy, że spokojnie mogliby obsłużyć olimpiadę. Tym, co się zdarzyło, zajęli się obywatele świata, którego nie potrafiłem zrozumieć i któremu nie ufałem. Nie zbliżyłbym się do Monroe'a, nawet gdybym chciał. Gdybym chciał, miałem jego numer telefonu. Na razie zostałem sam w samochodzie na parkingu jakiegoś idiotycznego baru.

Nad ranem próbowałem się przespać. Wyglądało to trochę jak zdrada, ale jak miałem wykorzystać stan świadomości? Mój mózg szarpał się gwałtownie jak samolot, w którym skończyło się paliwo. Wcale mu nie pomogło te czterdzieści minut drzemki. Po prostu stale przemierzał tę samą ścieżkę, jakby z ciągłych powtórzeń dało się czerpać pociechę. Nie dało. Nie, kiedy bez końca zadawałem sobie pytanie: Czy pomogłem porywaczowi, dając wywabić się z Thornton? Przecież mogłem być bliżej Niny. I jakiego faceta wysłał się, by zrobić to, co zrobił w tym zwykłym hotelowym pokoju? Co jeszcze może zrobić? Jeszcze gorsza była świadomość, że powinienem wrócić do Niny, że po gorącej wymianie zdań przed posterunkiem policji powinienem wrócić, pocałować ją, pożegnać się z nią zwyczajnie, normalnie. Przeszedłbym jakieś dziesięć kroków. Teraz będę musiał iść znacznie dłużej.



No i tak, oczywiście, próbowałem dodzwonić się do Ungera. Gdy tylko będę miał okazję, to wyślę dupkowi e-maila. Mogę się pocieszyć, strasząc go na odległość, fajna sprawa, ale równie dobrze mógłbym szczekać na księżyc.

— Jezu... wszystko w porządku?

Omam nie skręciłem sobie karku, odwracając się w kierunku, z którego dobiegł głos. Ktoś stał obok samochodu. Szyby zaparowały, nie wiedziałem kto to, dopóki nie otworzyłem drzwi.

Hazel przyjrzała mi się uważnie.

— No, nie całkiem — wybąkałem.

— Ma to coś wspólnego z tym, co zdarzyło się w Holiday Inn?

Na to pytanie nie musiałem odpowiadać. Wyraz mojej twarzy mówił wszystko.

— Dziś rano dostałam klucze — powiedziała. — Chodź do środka.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem za nią.

W środku przejrzałem się we wbudowanym w ścianę lustrze. Hazel miała prawo do wątpliwości. Wyglądałem kiepsko. Poszedłem do łazienki i umyłem ręce i twarz. Obląłem głowę zimną wodą, bo musiałem jakoś zachować przytomność. Na ślady krwi na ubraniu nie mogłem niestety nic poradzić i na wszelki wypadek już nie patrzyłem w lustro. Bałem się, że nie rozpoznam widocznego w nim stworzenia.

Kiedy wyszedłem, kawa już na mnie czekała.

— Jest bardzo słodka — uprzedziła mnie Karen. — Radzę, żebyś wypił taką, jaka jest, czy to lubisz, czy nie.

Posłuchałem jej. Smak gorącej kawy przepłynął z ust aż do serca. Co najmniej przez chwilę czułem się lepiej.

— Była twoją przyjaciółką?

— Jest — odparłem. — Nadal jest.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Wiesz może, o co jej chodzi?

— Nie.

— O faceta, który zabił tu dwóch ludzi?

— Nie sądzę.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę.

— Nie jesteś gliniarzem. Nie pracujesz dla FBI.

— Racja.

Skinęła głową. Zmarszczyła brwi. Spojrzała gdzieś, poza moje ramię.

— Lloyd nie mógł zdążyć przed lunchem. A poza tym to nie jego wóz.

Odwrociłem się. Na parking wjechał czarny samochód. Okrążył go powoli, po czym zaparkował, nawet blisko mojego. Wyjąłem pistolet. Sprawdziłem, czy jest odbezpieczony.

— Zostań — poleciłem. — I z dala od okien.

Wyszedłem, trzymając rękę opuszczoną, ukrytą za plecami. Do samochodu szedłem po łuku, do tyłu. Miałem nadzieję, że jeśli ktoś chce mnie zastrzelić, to przynajmniej odrobinę mu to utrudnię. Zatrzymałem się jakieś pięć metrów od niego.

Silnik ucichł. Otworzyły się drzwi, kierowca wysiadł i podszedł do mnie. Włosy miał krótko ostrzyżone. Spojrzał na mnie raz, bystro, uważnie.

John Zandt.

— Cześć, Ward. Kiepsko wyglądasz.

— I kiepsko się czuję. — Podszedłem do niego i wyciągnąłem rękę. Mógł ją uścisnąć... mógł nie. — Miło cię widzieć, John.

John skinął głową. I uścisnął moją rękę.

— Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem ale... miło cię widzieć.

Usiedliśmy przy stoliku za barem. Hazel zaparzyła kawę. Chciała zrobić nam coś do jedzenia albo coś zamówić. Obaj odmówiliśmy. Przynajmniej ja nie wyobrażałem sobie, żebym mógł coś kiedykolwiek zjeść.

— Mów — powiedział.

Opowiedziałem mu wszystko, co pamiętałem: jak Monroe pojawił się w Sheffer, co słyszałem i czego dowiedziałem się od Niny o śledztwie. Mówiłem o Ungerze próbującym skontaktować się ze mną albo z Bobbym. O tym, o czym rozmawialiśmy

w barze w Owensville. Powiedziałem mu, co ujrzałem w twarzy Julii Gulicks, kiedy nad ranem obserwowałem ją przez judasza i jak wyglądało ciało Reidela, i o dwóch innych ciałach znalezionych w lasach niedaleko Thornton.

John słuchał, wpatrzony w podłogę, z rękami splecionymi na stole. Kiedy skończyłem, milczał przez długą chwilę, po czym spojrzał mi w oczy.

— Rozważyłeś możliwość, że Unger nie jest częścią tego, co się stało?

— Na razie nie. Ale rozważę, jeśli mnie do tego skłonisz.

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego z tobą rozmawiał... jeśli jest kimś w rodzaju zwiadowcy Niewidzialnych.

— Żeby zdobyć zaufanie.

— Po co udzielał ci informacji, których wcześniej nie znałeś? Jeśli chodzi o spam, brzmi to dość rozsądnie. Podejrzewam, że używają go też jako czegoś w rodzaju sieci w przekonaniu, że jeśli ktoś jest wystarczająco głupi, żeby odpowiedzieć na ogłoszenie, jest szansa, że jeśli obieca mu się jakieś wielkie pieniądze, pójdzie na spotkanie w ciemnej alejce, nikogo o tym nie uprzedzając. Tak czy inaczej wygląda na to, że Unger przekazywał ci fakty, bo chciał cię otworzyć. Gdyby chciał coś z ciebie wyciągnąć, to by to zrobił od razu, w barze, i do diabła, z konsekwencjami. A ty uważasz go za zwykłego, normalnego faceta, tak?

— Sprawiał wrażenie zwykłego, normalnego faceta. Taki, wiesz, standardowy facecik z firmy, choć może tylko przekonująco udawał, diabli go wiedzą. Ocena charakteru to nie nauka, przynajmniej na razie.

— A kiedy ostatni raz pomyliłeś się w ocenie charakteru?

Przemyślałem sobie to pytanie i po dłuższej chwili odpowiedziałem szczerze:

— Nie pamiętam.

— No właśnie. Z tego, co ja wiem, twoje przypuszczenia na ogół są sensowne.

— Może. Ale to ty występujesz przed ławą przysięgłych. O co ci chodzi?

— Ungera obciąża tylko jedno: porwanie Niny. Żaden dowód, porywacz mógł was obserwować i wybrać chwilę, kiedy akurat byłeś daleko i nie mogłeś mu przeszkodzić. Być może

możemy nawet mówić o przypadku. Sądząc po tym, jak się zachował w tamtej chwili, pewnie go nawet nie obchodziło, czy jesteś, czy cię nie ma. Mówimy o kimś, kto zna się na rzeczy... i jest szalony. Może nawet sprawiło mu radość, że mógł i ciebie wypieprzyć.

— Co prowadzi do faktu, o którym jeszcze nie wspomniałem — Paul uciekł.

Nie wiem, czego spodziewałem się, przekazując tę rewelację Johnowi. Że nie zrozumie, że się wścieknie, wypadnie na parking? A on tylko najpierw skinął głową, a potem nią pokręcił.

— Spodziewałem się, że ta nowina unieszczęśliwi cię tak, jak unieszczęśliwiła mnie — powiedziałem. — Ale chyba ucieszyłeś się, że będziesz miał kolejną szansę, żeby go zabić. Mam rację?

— Może na to nie wyglądasz, ale niegłupi z ciebie facet.

— Nie martwi cię, że mogą wydostać kogoś pokroju Paula pstryknięciem palców i wpuścić federalnych w maliny tak, że tylko bezradnie drapią się po głowach?

— Jakoś mnie to nie zaskakuje. Ostatni rok spędziłem, gromadząc informacje o tych ludziach. Wiem o nich rzeczy, w które nigdy byś nie uwierzył.

— John, oszczędź mi tej twojej pieprzonej gadki z zaświatów, dobrze? Nie jestem w nastroju. Jeśli twoim zdaniem Niewidzialni to kosmici i przybyli zza Pasa Oriona, zatrzymaj to dla siebie. Już i tak się ich boję, nie muszą mieć macek.

— Mówimy o ludziach, Ward. I to właśnie jest najgorsze. Próbowalesz dodzwonić się do Ungera po wczorajszym wieczorze?

— Jasne, że tak.

— Nie daje znaku życia?

— Włącza się poczta głosowa.

— Wysłałeś mu e-maila?

Pokręciłem głową.

— Moim zdaniem to nie byłby zły pomysł.

— Dlaczego?

— Jeśli jest jednym z nich, niczego nie tracimy. Jeśli nie jest, możemy wiele zyskać.

— Nie wydaje mi się, żeby on coś wiedział, John.

— Wie o nich, zna nazwę. Co znaczy, że pod względem wiedzy jest w naszym kręgu czwarty. Być może dotyczy to całych Stanów Zjednoczonych. Więc może być użyteczny, zwłaszcza jeśli Monroe nie jest gotów wystąpić przeciwko nim. Unger już w tym tkwi i prawdopodobnie wie więcej, niż powiedział. Ma poparcie rządu. A jeśli jest jednym ze złych facetów, to zwróć się do niego z prośbą o pomoc z nas większych głupców, niż jesteśmy.

— Jasne. Jedziemy do Starbucksa. Tam jest bezprzewodowy Internet.

— To tu jest Starbucks?

— Starbucks jest wszędzie, John. Gdzieś ty się, do cholery, podziewał? Całe miasta buduje się tylko po to, żeby mieć klientów na te wszystkie kawy. No już, nie ma co tu siedzieć. Jedziemy.

Poszedłem szybko na zaplecze i podziękowałem Hazel. Chciałem jej zapłacić, ale się nie zgodziła. Życzyła mi szczęścia, obiecała, że będzie się modliła za mojego przyjaciela, byle tylko nic mu się nie stało. Pomyślałem, że jeśli Lloyd w ogóle umie myśleć, to spróbuje ją poderwać, zanim będzie za późno.

Najpierw zadzwoniłem do Monroe'a i upewniłem się, że FBI nie poczyniła żadnego liczącego się postępu w śledztwie. Sam Monroe wydawał się wstrząśnięty, wyczerpany i wściekły; nie-trudno było stwierdzić, że naprawdę robi, co w jego mocy.

Wzięliśmy samochód Johna. Pojechaliśmy do starej dzielnicy i zaparkowaliśmy tuż przy kawiarni. Okazała się pełna ludzi, a wszyscy wyglądali na dziennikarzy. Wielki, siwy facet siedział przy oknie, przyglądając się światu zmęczonymi oczami. Na szczęście sygnał był wystarczająco mocny, żebyśmy mogli połączyć się z Internetem wprost z samochodu. Wysłałem list do Ungera, opisałem w nim, co się stało, i poprosiłem, żeby wziął dupę w troki i jakoś się ze mną skontaktował. Nadal podejrzewałem, że może mieć coś wspólnego z porwaniem Niny, ale John myślał niegłupio: nie mamy nic do stracenia. Kiedy skończyłem, zerknąłem na niego i zobaczyłem, że w napięciu wpatruje się w ekran swojego komputera.

— Masz problem? — spytałem.  
— Sam nie wiem — mruknął. — Mógłbyś coś sprawdzić?  
Odczytał mi adres www. Wpisałem go do swojej przeglądarki.

Otworzyła się kiepsko zrobiona strona z drukiem o wszystkich możliwych krojach czcionki i we wszystkich możliwych kolorach. Miało tu być także sporo zdjęć, ale zostały po nich wyłącznie ramki.

— O co chodzi? — zainteresowałem się. — I kto to taki Oz Turner?

— Brak obrazków... czy to z powodu słabego sygnału?

Spróbowałem kilku sztuczek i pokręciłem głową.

— Nie. Mają swoje miejsce w kodzie. Wygląda na to, że same dały nogę z serwera.

John zamknął laptopa. Wyjął z kieszeni telefon, wybrał numer. Ktoś odebrał, kazał poprosić Oza Turnera. Najwyraźniej odpowiedziano mu, że nie przyszedł jeszcze do pracy. Zandt zostawił — dość stanowczo i z groźbami — informację, że gość ma do niego zadzwonić, gdy tylko się pojawi, i mają mu przekazać tę informację od razu, „albo” ...! Zamknął telefon. Był ponury.

— O co tu chodzi? — nie wytrzymałem.

— Mam nadzieję, że o nic — usłyszałem w odpowiedzi. — No, jedziemy.

— A niby dokąd? Już sobie pojeździłem. Uwierz mi, facet nie siedzi na rogu ulicy, zając kanapkę.

— Myślisz, że nie wiem? Nie możemy jej szukać. Nie mamy zielonego pojęcia, gdzie on jest, zakładając, że to „on”, a nie na przykład grupa ludzi. Brak nam jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Więc... poszukamy czegoś innego.

Czekałem, żeby powiedział mi, czego i gdzie, ale John chyba już skończył. Widziałem, że wpatruje się w coś przez przednią szybę. Zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej dzieci z miejscowego gimnazjum właśnie wybiegły na duży trawnik w obrębie ogrodzenia. Miały przerwę, więc bawiły się, zabijając czas, co jest przecież przywilejem młodych.

— John?

Nie słyszał. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że wśród tych dzieciaków szuka swojej córki Karen, porwanej przez

Sprawiedliwego piętnastego maja dwutysięcznego roku, dziewczynki, której nigdy nie znaleziono... nie w jednym kawałku. Gdyby nie została zamordowana, miałyby dziś dziewiętnaście lat. Te dzieciaki miały szesnaście, siedemnaście, więc jej byśmy dziś wśród nich nie zobaczyli, chyba że po prostu zatrzymano by ją w szkole, póki nie napisze dobrze klasówki, nie przedyskutuje z nauczycielką stylu kostiumów do szkolnej inscenizacji Szekspira, póki przez te parę lat nie pomoże uczniowi nie tak bystremu, jak bystra była ona. Bo ona była pod każdym względem i w każdym uczynku doskonała. Miała do tego prawo. Nie żyła. — Jasne — powiedział. Wrzucił bieg. Minęliśmy szkołę bez słowa.

John powiedział mi, dokąd chce jechać, więc doprowadziłem go do ostatniego miejsca, które pamiętałem. Tu Zandt znowu złapał za telefon, zadzwonił do biura szeryfa w Thornton i udął agenta FBI. Kiedyś pracował w policji, był detektywem wydziału zabójstw w Los Angeles, znał język i zwyczaje glin lepiej ode mnie, a jednak zdziwiło mnie, że tak łatwo wszedł w rolę.

— Chyba często to robiłeś, co?

Nie odpowiedział. Po prostu jechał na północny zachód. Wjechaliśmy wreszcie na prostą drogę prowadzącą przez podmokły las. Widok stawał się coraz bardziej znajomy.

— Co my tu właściwie robimy? — spytałem.

— Chodzi o to, co mi powiedziałeś, kiedy mówiłeś o drugiej ofierze. Jakie były wyniki sekcji zwłok?

— Wiem tylko tyle, ile widziałem na własne oczy tego pamiętnego wieczoru. Byłem tam zaledwie tolerowany, szczerze mówiąc, robili mi łaskę. Następnego dnia Nina nie miała szansy ze mną pogadać, bo wypłynęła sprawa Gulicks. Badania pewnie nie wróciły jeszcze z laboratorium. Najpierw zechcą sprawdzić to, co zostało z Reidela.

Obok drogi pojawiło się pasmo żwiru. Wydało mi się znajome, więc powiedziałem, że zbliżamy się do celu. Sto metrów dalej kazałem Johnowi zatrzymać samochód. Wysiadłem i spojrzałem na las.

— To tu — powiedziałem. — To jest właściwe miejsce.  
John też wysiadł. Otworzył bagażnik i zaczął w nim grzebać. Ja tymczasem obejrzałem się na drogę, którą przyjechalśmy.  
— Posłuchaj, kiedy jechaliśmy... nic nie zwróciło twojej uwagi?  
— Właściwie nie. Tyle że jakoś nie bolało mnie serce, kiedy opuszczaliśmy to miasteczko.  
— Nikt nas nie zatrzymał.  
Znowu zadzwoniłem do Monroe'a. Nie miał ani czasu, ani ochoty rozmawiać, jednak nie popuściłem, póki nie zrozumiał, o czym mówię. Jeśli miasto miało być odcięte od świata, to najwyraźniej ktoś coś spaprał. W końcu to on przerwał rozmowę.  
Zandt zatrzaskał bagażnik. Na ramieniu miał płócienną torbę.  
— Co w niej masz? — spytałem.  
— Narzędzia. No, to dokąd idziemy?  
Ruszyliśmy w las. Prawie natychmiast zaczęliśmy grzeznąć w błocie, a padający wczoraj deszcz sprawił, że teren stał się jeszcze bardziej podmokły. Nie byłem przesadnie pewny, czy zmierzamy we właściwym kierunku, lecz gdy zaczęły we mnie kwitnąć poważne wątpliwości, w dali dostrzegłem rozpiętą między drzewami policyjną taśmę. Doszliśmy do miejsca, w którym nad wąskim kanałem przerzucono deski, coś w rodzaju mostka na maleńką wysepkę. Jedna z desek była pęknięta, ale przedostaliśmy się na drugą stronę bez większych problemów.  
John stał przez chwilę, rozglądając się dokoła.  
— Koszula była tam — oznajmiłem, wskazując palcem właściwe miejsce. Poprowadziłem go dalej, pokazałem mu to, co pokazywałem innym przedwczoraj wieczorem. — Trudno to sobie teraz wyobrazić — przyznałem — ale wtedy wszystko wydawało mi się jasne.  
John skinął głową.  
— Wierzę ci. I co, wisiała na tych gałęziach?  
— Jasne. Skierowana w tę stronę.  
John spojrział na przeciwległy kraniec wysepki. Dalej widać było tylko drzewa okupujące zbocze wzgórza. A jeszcze dalej las chyba się przerzedzał.



— A co jest tam?  
— O ile dobrze pamiętam, ktoś mówił, że jakieś małe miasteczko.

— I gliniarze sprawdzili wszystkie możliwe wyjścia?  
— Zakładam, że tak... ale, jak mówiłem, wczoraj nie dowiedziałem się niczego. Tylko że jeśli nie zrobili tego wtedy albo najpóźniej następnego dnia, nic już nie zrobią. Teraz mają ważniejsze zajęcia. John, powiedz mi — ale tak serio — co my tu właściwie robimy? Nie obchodzi mnie, jak trup dostał się tu, kiedy jeszcze żył. Mnie obchodzi Nina. Czuję się tak, jakby oblażyły mnie pająki.

— Wiem, wiem. Pocieszę cię: miałeś rację. Ta koszula nie pojawiła się przypadkiem. Morderca chciał coś udowodnić. Dlaczego właśnie tu?

Podszedł do miejsca, w którym znaleziono obdartego z ciała trupa. Teren oczyszczono z poszycia, podłoże było nierówne, bo z różnych miejsc pobrano próbki do analizy w płonnej nadziei, iż wykaże to, gdzie znajdowało się wcześniej ciało, zanim je tu przewieziono.

Przeglądałem się Johnowi. Zdjął torbę z ramienia i rozsunął, długi zamek błyskawiczny.

— Masz jakąś teorię?

Zandt wyciągnął z torby saperkę.

— Człowieku, jeśli spieprzymy im miejsce zbrodni, pójdziemy siedzieć!

Zaczął kopać.

Ziemia była bardzo miękka. Wystarczyło piętnaście minut, żeby spieprzyć wszystko dokoła.

— No, pięknie — westchnąłem. — Pod warstwą błota odkryłeś jeszcze kilka warstw błota. Wynoszę się stąd. Tracimy czas i...

— ...i Nina jest gdzieś tam, co? — Nadal kopał jak maszyna.  
— Nie pojmujesz, że ja to rozumiem? Przyjechałem z daleka. Uwierz mi, nie dla ciebie.

— Jeśli to taki dobry pomysł, dlaczego gliniarze nie spróbowali?

— Bo nie mieli powodu.

— A my mamy? Gdyby ziemia wyglądała tak, jakby ktoś ją ostatnio poruszył, to przecież by się nią zainteresowali. Nie zainteresowali się, więc to nie mogło wyglądać akurat tak.

John wyprostował się, popatrzył na mnie i pewnie zrozumiał, że w następnej chwili mogę odwrócić się i po prostu odejść. Przemówił bardzo cierpliwie:

— Tak właśnie wygląda śledztwo, Ward. Robisz, co jesteś w stanie zrobić, i masz nadzieję, że w końcu zaprowadzi cię to tam, dokąd chciałbyś dotrzeć. Jeśli masz zamiar odejść, to odejdz i już. Bo jeśli nie odejdziesz, to albo będziesz stał jak słup, zamartwiając się do szaleństwa sprawami, na które nie masz w tej chwili najmniejszego wpływu, albo złapiesz za drugą saperkę i pomożesz mi kopać!

Zaskoczył mnie i wyprowadził z równowagi.

— Masz tam jeszcze jedną?

Znów zaczął kopać.

— Oczywiście.

— A po co ci dwie łopaty?

— Ja wszystko mam podwójne. Dwie łopaty, dwa aparaty, po dwa z najpopularniejszych rodzajów broni. Mam dwie mapy, dwa laptopy i nie powiem ci, ile kompletów dokumentów.

— Zapytałem „dlaczego”. Nie prosiłem o protokół inwentaryzacji.

— Dlatego, że kiedy jesteś całkiem sam, nie możesz sobie pozwolić na jedno: nie wolno ci nie mieć tego, czego potrzebujesz. Więc masz po dwie sztuki wszystkiego tylko z tego powodu, że jesteś sam.

Mowa ciała, sposób, w jaki się garbił, linia ramion mówiły o tym, że za dużo czasu spędził samotnie w samochodzie, że za często siedział na krześle w cichym pokoju taniego motelu, że nie spał i noce aż do samego ranka spędzał pogrążony w myślach. Nie znałem go zbyt dobrze, lecz mimo to wiedziałem, że się zmienił, jakby sięgnął w głąb swojej duszy i wyrzucił z niej wszystko, co mogłoby przeszkodzić mu w dotarciu tam, dokąd chciał dotrzeć. Był jednoosobowym patroliem na terenie nieprzyjaciela, samotnym najemnikiem walczącym o własną, straconą sprawę.

— Nie musisz kryć się przed całym światem — powiedziałem.

— A ty jak spędziłeś ostatnie sześć miesięcy?

— Ukrywałem się. W wynajętej chacie, niedaleko miejsca, gdzie widzieliśmy się po raz ostatni.

— Przypuszczałem, że to będzie coś takiego. Chciałbyś mieć za sąsiada kogoś takiego jak ja, trzykrotnego mordercę?

— Myślałem, że tylko dwukrotnego.

— Pamiętasz Dravecky'ego, tego dewelopera?

— Sprzedałeś mu się za informacje, gdzie może być Paul?

— Nic z tych rzeczy. On tylko tak myślał. Wróciłem po niego.

— I go zabiłeś?

— To był bardzo zły człowiek.

— Nie jestem pewien, czy akurat ty masz prawo wygłaszać takie opinie.

— Moim zdaniem mam. — Zandt wyprostował się i spojrzał mi w oczy. — I nie zabiłem trzech ludzi — doszło jeszcze czterech.

— Jezu, John, dlaczego nie zgłosisz akcesu do Niewidzialnych? Z pewnością już się kwalifikujesz, nie sądzisz? Siedem morderstw? Niezły wynik.

— Zabijałem Niewidzialnych, Ward. Załatwiłem Dravecky'ego, dzięki czemu zdobyłem mnóstwo jego materiałów komputerowych. Ci czterej byli w organizacji, plus ktoś bardzo zły. Tak, po prostu „zły”, zabójca i szaleniec tak bogaty, że prawo nie śmiało go tknąć. Więc ja załatwiłem sprawę. I może załatwię jeszcze kilka.

— Pewnie teraz bardzo chcą cię zabić, co?

— Właśnie o to mi chodzi. Lepiej dla ciebie, żebyś trzymał się ode mnie z daleka.

— A mimo to próbowałem się z tobą skontaktować.

— Tak. Wiem o tym od kobiety, z którą żyłem. Zadzwoił człowiek, który nie zabił mordercy mojej córki. Są dni, kiedy po prostu nie ma się ochoty na takie rozmowy.

Wrócił do kopania. Odetchnąłem kilka razy równo, głęboko, no i poszedłem po drugą saperkę. Pracowaliśmy dalsze dwadzieścia minut, na miejscu zbrodni narobiliśmy jeszcze

większego bałaganu i nie odkryliśmy niczego. Błoto było coraz bardziej wilgotne, lepkie i ciężkie. Coraz trudniej było kopać. Przerwałem dzieło rzezi na krajobrazie. John także.

— Tu nic nie ma — stwierdził.

To mi przypomniało dzień, w którym po długim marszu, na płaskowyżu leżącym na południe od Yakimy, znaleźliśmy chatę będącą magazynem trupów i używaną w tym charakterze od bardzo wielu lat. To John mnie tam zabrał. Dostał cynk, w który nie uwierzyłbym nawet za pieniądze, ale ja nas tam doprowadziłem. Jestem uparty z powodu lenistwa, bo trzymanie się raz podjętej decyzji oszczędza człowiekowi kłopotu podejmowania innej. W tej chwili było mi ciepło, mimo panującego chłodu, a rytmiczne ruchy łopata pomagały o niczym nie myśleć.

Odsunąłem się o jakieś dwa metry i wziąłem do roboty. Po chwili John też zaczął kopać nową dziurę.

— Ward — powiedział nagle. — Podejdź, proszę.

Staliśmy prawie pięć metrów od siebie. Kopaliśmy od przeszło godziny. Podszedłem do Johna. Czemu nie?

John stał mniej więcej trzy metry od miejsca, w którym zaczął pracę, na krawędzi dziury na jakieś pół metra głębokiej. Na dnie już zebrało się kilka centymetrów wody. Mimo to wiadać było, że coś tam jest.

Pochyliłem się, przyjrzałem temu czemuś, a potem spojrzałem na Zandía.

— A co to takiego, do diabła?

I znów wzięliśmy się do roboty, tym razem znacznie energiczniej. Woda przeciekała do wykopu niemal tak szybko, jak ją wyczerpywaliśmy, ale już po kilku minutach jasne było, że nasze znalezisko nie jest wcale małe. John wyciągnął z torby dwie małe łopatki. Kolejne dziesięć minut poświęciliśmy na usuwanie z niego osadu.

I wreszcie natura naszego odkrycia ujawniła się w całej pełni. Gapiliśmy się na nie zdumieni.

— Czy to jest to, o czym myślę? — spytałem niepewnie.

— Tak. — John skinął głową. — Fragment szkieletu, żebra...

— Jezu! Ludzkie?

— Na to wygląda.

Oceniłem położenie ciała po pozycji oczyszczonych fragmentów siedmiu żeber. Zacząłem kopać łopatką od zwłok na odległość ponad pół metra.

— Co robisz?

Nie odpowiedziałem. Pracowałem, dopóki nie znalazłem najpierw ramienia, a potem przedramienia. Przedramię kończyło się ostrymi kawałkami kości.

Nie było dłoni.

— No tak — mruknąłem. — No tak...

Zandt zrozumiał wreszcie, o co chodzi. Wstaliśmy obaj.

— Chryste, John... co tu się dzieje?

— Nie mam pojęcia. Ale zauważ, że niczego nie czujemy. Nie ma żadnego zapachu. Widzisz kolor kości, ich strukturę?

— Mają brązowe plamy. Sprawiają wrażenie porowatych. Co znaczy, że leżą w ziemi od dłuższego czasu, prawda?

— Dziesięć, dwanaście lat, może nawet dłużej. Ile lat ma podejrzana w sprawie dwóch innym morderstw. No, ta ruda?

— Dwadzieścia pięć.

Przez chwilę milczeliśmy, licząc w myśli.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Lee siedział w kuchni tak czystej, że czystsza już być nie mogła. Jego dom zawsze utrzymany był w nieskazitelnym porządku — wiedział, że czasami przerażało to Brada — i nic dziwnego. Poświęcał dużo czasu na sprzątanie. Niemal od razu zorientował się, że nie ma innego wyjścia. Przez całe życie miał pokojówkę, czasami kilka pokojówek, nigdy nie widział, by matka robiła coś trudniejszego niż splukanie kieliszka po martini, a i to zdarzało się rzadko, tylko w wyjątkowych sytuacjach. A on nie chciał zatrudniać gosposi. Przecież miał zaledwie dwadzieścia lat, byłoby to po prostu śmieszne. Nie wspominając o tym, że czasami przechowywał w domu towar i ostatnie, czego by chciał, to wścibska Meksykanka, znajdująca coś, czego nie powinna znaleźć, przekonana, że może zawrzeć układ z policją: informacje za prawo legalnego pobytu.

No więc sprzątał sam. Wkrótce przekonał się, że nieźle mu to wychodzi. A nawet, że jest w tym dobry. Wydawało mu się to trochę pedalskie, zgoda, ale jak coś zrobiłeś sam, to przynajmniej wiedziałeś, że jest zrobione. Więc teraz, kiedy tylko chciał sobie coś przemyśleć, brał się za sprzątanie. To był jego wstydlivy sekret. Pewnie każdy ma jakiś wstydlivy sekret.

W domu panowała absolutna cisza. To też mu się podobało. Wielu jego przyjaciół, ich rodzice, a przede wszystkim młodsze siostry, nie mogli żyć bez akustycznej tapety. Telewizor musiał być włączony albo radio, a jeśli nie, to każdy coś do każdego

gadał. Niech się co chce dzieje, choćby byle co. Lee nie należał do tej gromady, tak samo jak nie ćpał przed wyjściem na dobrą imprezę. Od czasu do czasu brał trochę koki, po prostu po to, żeby pokazać, że nie ma nic przeciwko temu. Poza tym trzymał się z daleka od narkotyków i pozostawał czysty. W życiu liczy się przede wszystkim bystrość. Trzeba nad sobą panować. Trzeba mieć jasno określoną hierarchię wartości.

Kurczę, ale mu ulży, kiedy skończy się wreszcie sprawa Pete'a. Znów zacznie się liczenie zysków, a to, co się zdarzyło, odejdzie w przeszłość, zostawiając po sobie wyłącznie świadomość, że tamtego wieczoru udało mu się zbliżyć do ludzi naprawdę ważnych, no i, przez szczęśliwy przypadek, pozbyć się Hernandeza. Miał powód do radości... więc co powinien teraz zrobić? Może zadzwonić do Brada, choć dziś rano facet wydawał się wyjątkowo kłapnięty. Problemy ze zbliżeniem się do ludzi, w szczególności do babek... czy to daje im prawo do kołysania twoją łodzią? Najpierw łodzią, a potem światem?

Lee pomyślał, że dobrze zrobi, jeśli weźmie kartkę i zapisze sobie, o czym warto porozmawiać z Paulem przy następnym spotkaniu. Powinien poważnie zająć się Planem teraz, kiedy wszystko powoli wraca do normy. Wstał, żeby wyjąć ją z drugiej szuflady po prawej stronie, pod sztukami — w tym domu wszystko miało swoje miejsce — kiedy usłyszał samochód jadący szybko drogą i z całą pewnością będący coraz bliżej.

Rozpoznał ten samochód.

A on tymczasem zatrzymał się w poślizgu na podjeździe. Wyskoczył z niego Brad, zupełnie nieprzytomny. Z trudem trzymał się na nogach. Wrzeszczał coś niezrozumiale i szedł do frontowych drzwi.

Hudek niemal do nich podbiegł. I zdążył je otworzyć, zanim Brad narobił hałasu. Jego twarz była czarna i mokra, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

— Ty skurwielu! — krzyknął. — Ty cholerny skurwielu!

Wpadł do środka jak pocisk i natychmiast się na niego rzucił. Dostał szau. Atakował niczym tygrys naprany jak stodoła. Nie zawsze się o tym pamiętało, ale miał nad Lee Johnem przewagę przeszło pięciu centymetrów wzrostu i jakieś pięć do

dziesięciu procent więcej siły. Cały czas wrzeszczał ochryplym głosem; nie sposób było zrozumieć, o co mu chodzi.

Lee zatoczył się, cofnął na korytarz i upadł na wznak. Brad mógł sobie oszaleć, ale to go nie powstrzymywało od okładania przeciwnika po twarzy, szyi i piersiach. Próbował odplacać mu pięknym za nadobne, próbował odepchnąć go kolanami, przewrócić się na bok, wstać, zacząć od nowa w nieco korzystniejszej sytuacji. Bał się też, że Brad lada chwila roztrzaska mu głowę o podłogę, czego próbował z entuzjazmem autentycznego szaleńca.

Mimo to zdołał wykrztusić jedno zdanie, z wysiłkiem wymawiając słowo po słowie:

— Brad... kurwa... o co chodzi?!

Przyjaciel nie zamierzał mu niczego tłumaczyć. Chciał go tylko poważnie uszkodzić, tu i teraz.

Lee wreszcie zadał Bradowi cios wystarczająco silny i nieco się odsunął, wprowadzając na króciutką chwilę, ale dała się wykorzystać. Pchnął go w bok, znów kopnął i mocno uderzył przedramieniem. Brad walnął głową w ścianę i to wystarczyło, by Hudek zdążył zerwać się na równe nogi. Miał nadzieję, że dzięki temu zyska chwilę, oprzytomnieje, ale Brad znów rzucił się na niego bez słowa.

Cokolwiek tu się działo, sprawa była poważna. Lee John pobiegł w głąb domu. Wbiegł do salonu i zobaczył, że drzwi na taras są otwarte. Nigdy nie próbował przejść przez tylne ogrodzenie domu, zapewne śmiertelnie wystraszyłby sąsiadów, którzy mieli go za sympatycznego młodego człowieka, ale pewnie będą musieli jakoś poradzić sobie z tym, że żyli złudzeniami...

Brad pojawił się znikąd, zaatakował go z boku, przewrócił na samym środku pokoju. I znów zadawał potężne ciosy, może coraz mniej dokładne, lecz nadal bardzo bolesne.

Lee znów zdołał się odtoczyć. Teraz już wiedział z całą pewnością, jeśli będzie uciekał po prostej, kumpel zawsze go dopadnie. Więc skręcił w stronę kuchni. Wciąż wrzeszczał na Brada, wciąż próbował się dowiedzieć, o co tu, do kurwy nędzy, chodzi.

I wtedy dostrzegł błysk w jego oczach, znów usłyszał ten przerażający charkot. Tu nie ma miejsca na negocjacje. Żarty



dawno się skończyły. Ktoś próbuje go załatwić. Załatwić na dobre.

Skręcił za róg, przebiegł kolejnym korytarzem. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi, znalazł się w garażu na dwa samochody. Słyszał zbliżający się pościg, lecz wiedział też, że jeśli nie straci głowy, jeśli zdoła dostać się do magazynku...

Udało się! Otworzył szufladę, wyjął pistolet, odwrócił się i wymierzył broń wprost w głowę Brada.

Brad zatrzymał się, zawahał. Jeszcze przez chwilę wydawało się, że zaatakuje tak czy inaczej i niech diabli wezmą śmiertelnoścą broń.

Lee dyszał ciężko.

— Człowieku, co do kurwy nędzy? — wysapał.

Jego przyjaciel był obrazem nędzy i rozpacz. Z nosa aż do ust wisiał mu wielki glut. Chyba nie zdawał sobie z tego sprawy, albo nic go to nie obchodziło.

— Zabiłeś ją — powiedział chrapliwie, niemal niezrozumiale.

— O czym ty, do cholery, mówisz?

— Nie pieprz! Nie łzyj! Zabiłeś ją! Albo pozwoliłeś zabić!

Lee nie opuszczał dłoni. Pistolet nadal wymierzony był w twarz Brada. Dzielili ich niespełna dwa metry. W przypadku zagrożenia będzie musiał strzelać bardzo szybko.

— Słuchaj, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Kogo zabiłem? Kto nie żyje?

— Przecież wiesz, o kim mówię... Ka...

Brad skrzywił się, próbował coś powiedzieć, ale nie potrafił, jęknął i wreszcie zdołał wypowiedzieć to jedno zrozumiałe imię. Przyjaciel spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Karen? Karen nie żyje?

— Oczywiście, że nie żyje, ty chuju! A co, myślałeś, że dadzą jej przeżyć? A może ci nie powiedzieli, co mają zamiar zrobić?

— Człowieku, uspokój się i wyjaśnij mi, o czym mówisz, bo na razie za cholere nie kumam.

Brad przeciągnął dłonią po oczach, wycierając łzy. Głośno pociągnął nosem. Z jednej dziurki popłynął strumyk krwi.

— Powiedziałeś im.  
— Co im miałem powiedzieć?  
— Powiedziałeś im, że... że Karen zadaje pytania. I uważa, że wiemy coś o tym, co przydarzyło się Pete'owi.

Lee John otworzył usta, lecz zamknął je bez słowa. Oskarżonemu udowodniono winę. Brad lekko skinął głową.

— Wiedziałem. Wydałeś ją. Bałeś się, że chlapnie, że nam zagrozi, więc ją wydałeś.

Lee oblizał wargi. Ostrożnie dobierał słowa.

— Powiem ci uczciwie, przyjacielu, że tak, wspomniałem o tym Paulowi. To znaczy wspomniałem mu o sytuacji. Kiedy ty kupowałeś kawę. Sądziłem, że powinien wiedzieć, to wszystko. Ale powiedziałem, że to nie problem, że dziewczyna nie zrobi nic, co mogłoby ci zaszkodzić. On na to, że to dobrze, że do wieczora wszystko będzie w porządku, więc mam się nie przejmować, sprawa jest pod kontrolą.

— Co za gówno! Nawet gdyby podsunąć glinom jakąś inną historię, to co by to zmieniło? Jeśli dowiedzieliby się od Karen, że kłamaliśmy, to i tak by po nas przyszli. Przyszli by po nas i ta druga historyjka sypnęłaby się w kilka sekund. Ty o tym wiedziałeś, on o tym wiedział, więc zabiliście ją, żeby nie gadała.

— Przecież... ja nic nie zrobiłem.

— Wiesz, jak zginęła? Zabili ją w dzień, przy ludziach, na pierdolonej ulicy. Jakiś facet uderzył wielkim humvee w jej samochód i spokojnie sobie odjechał. Głowę miała zmiażdżoną na opłatek, wiesz? Wyrwało jej ramię! Pieprzone ramię, Lee!

— Brad, posłuchaj mnie, na litość boską! Nie mam z tym nic wspólnego. Nic temu facetowi nie powiedziałem, po prostu przekazałem informacje. A w ogóle, skąd możesz wiedzieć, że to ich sprawka? To przecież mógł być wypadek. Przyszło ci to do głowy?

— Jasne, oczywiście. Nie rób ze mnie idioty, dobrze?

— Wcale nie chodziło mi o to, żeby zrobili jej krzywdę.

— Nie wierzę ci. Zresztą, to nie ma przecież żadnego znaczenia. Zginęła przez ciebie. Ty ją zabiłeś, czy tego chciałeś, czy nie.

— To nie moja wina!  
— A czy ty kiedykolwiek byłeś czemuś winny? O kurwa, chłopie, masz problem, wielki problem. O co ci chodzi? Nie mogłeś znieść, że była ze mną, nie z tobą, czy co?

Hudek roześmiał się głośno.

— Co? Człowieku, nic mnie to nie obchodzi!

— A właśnie, że obchodzi. Obchodzi, skurwysynu. Od kiedy zacząłem się z nią widywać, zachowujesz się jak ostatni dupek. Powiedziałeś mi, że ją pieprzyłeś. Rozpuszczałeś plotki. Jasne, myślałeś, że zaczniesz gadać i z tego powodu chciałeś się jej pozbyć, ale było w tym też coś osobistego, nie? Po prostu przyznaj się, skurwielu.

Lee nagle zakręciło się w głowie.

— Chciałem się od niej odczepić, ty głupku! Pieprzona lalka z lodu! Nie wypieprzyłaby faceta, gdyby od tego zależało jej życie!

Brad nagle się uspokoił. Wyglądało to bardzo, bardzo groźnie.

— Już nie żyjesz — powiedział cicho, bez nacisku.

Widać było, jak napina mięśnie, jak gromadzi energię, aż jego ciało zdaje się niemal eksplodować. Jak napinają się ścięgna szyi. Lee wiedział, że gdyby został zaatakowany w tej chwili, musiałby umrzeć.

— Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił — ostrzegł. Trzymał broń pewną ręką. Żałował tylko, że nie pamięta, ile strzałów oddał wtedy, na parkingu. — Nie zmuszaj mnie, żebym to, kurwa, zrobił!

— Kochałem ją. — Głos Brada był niewiarygodnie, wręcz przerażająco czuły. — Tego nigdy nie zrozumiesz, bo masz nasrane w głowie. — Kochałem Karen. A ty mi ją zabiłeś.

— Słuchaj, musimy...

Nie dokończył, bo Brad skoczył na niego jak tygrys.

Lee nacisnął spust, tak jak to robią w telewizji, dwukrotnie, raz za razem. Pif-paf.

W zamkniętej przestrzeni huk strzałów był ogłuszający, lufa mierzyła wprost w twarz ofiary i nie odchyliła się o więcej niż stopień. Brad wpadł na niego jak czołg, cisnął nim o ścianę. Obaj uderzyli w nią głowami z wielką siłą i upadli. Hudek walczył, by wydostać się spod ciała, wydawało mu się koszmarnie

obrzydliwe to, że leży na nim mężczyzna... lecz nagle zorientował się, że nie ma krwi. A przeciwnik poruszał się nie w drgawkach bynajmniej, lecz odpychając go co najmniej tak mocno, jak on odpychał jego.

Oderwali się w końcu od siebie. Siedzieli na betonowej podłodze. Dzieliło ich kilka metrów. Na policzku Brada widać było ciemną smugę taką, jaką mogłaby pozostawić sadza. Lee gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Nadal miał broń w ręku.

I nagle Brad się roześmiał. Cichym, przerażającym śmiechem. Tak mógłby brzmieć chichot chorego umysłu szarpanego huraganem szaleństwa.

— Ślepaki — chichotał. — To były pieprzone ślepaki!

Lee bezmyślnie gapił się na pistolet.

## Rozdział dwudziesty czwarty

— Jeszcze nie wiemy, kim jest druga ofiara — powiedział Monroe. — Nie zgłoszono zaginięcia, a przynajmniej nic o tym nie wiemy. Pokazaliśmy zdjęcie, nikt jej nie rozpoznał. W kieszeniach nie było żadnego dowodu tożsamości, brakowało tatuaży, znaków szczególnych, odciski palców nic nie dały. Podobnie jak ubrania; laboratorium nie znalazło niczego, co mogłoby nam powiedzieć, gdzie ciało trzymane było bezpośrednio po śmierci. Albo facet po prostu tędy przejeżdżał skądś dokądś, albo mieszka w którymś z pobliskich miasteczek, albo spadł na tę wysepkę wprost z nieba.

— Pokazywaliście fotografię w Mayflower?

— Wczoraj po południu. Ale ludzie nie są dobrzy w rozpoznawaniu twarzy zmarłych. Z pewnością facet nie wywarł takiego wrażenia jak Widmar.

Siedzieliśmy w recepcji Holiday Inn. Poranny tłum zdążył się już rozproszyć. Technicy odjechali, miejscowi gliniarze wzięli się za swoją robotę, a choć po parkingu kręciło się jeszcze paru dziennikarzy, większość zdecydowała, że nie warto poświęcać czasu zwietrzałym newsom, więc rozjechała się, by znaleźć miejsce bardziej odpowiednie do złożenia bagaży oraz flirtów, tak miło zabijających czas oczekiwania na coś nowego i smakowitego. Zostało kilku agentów FBI, ale oni schowali się w tymczasowym centrum dowodzenia, mieszczącym się w centrum biznesowym. Tylko obsługi hotelowej nie brakowało; radosne głosy brzmiały dziwnie tego akurat dnia, jakby wesołe

powitania i szerokie uśmiechy mogły jakoś usunąć w cień to, co zdarzyło się w jednym z pokoi. Mimo to większość gości chyba się wyprowadziła.

Monroe zgodził się poświęcić mi dziesięć minut. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż ja się czułem. Nie zmienił ubrania od czasu, kiedy rano kazałem recepcjoniście wyrwać go z łóżka. Miałem wrażenie, że było to sto lat temu, a ja nie musiałem przechodzić przez to, przez co przechodził on. Zamówił termos kawy i pił ją systematycznie, jak robot. Tylko bardziej wyczuwalne niż widzialne mechaniczne ruchy wskazywały, że już nie czuje smaku.

— Znajdziemy ją, Ward — powiedział z przekonaniem. — Uwierz mi, znajdziemy.

— Nie wiesz nawet, kto ją porwał.

Kubek powędrował do ust i wrócił na stół.

— Macie przynajmniej jakiś trop?

— Zaczęliśmy przeszukiwać domy. Jeśli Nina jest w mieście lub okolicy, musi być w jakimś budynku, domu, mieszkaniu. Znajdziemy ją. Porywacz musi ją gdzieś trzymać.

— A porywaczem nie jest Julia Gulicks, to pewne.

— Nie powinieneś się z nią spotykać wczoraj wieczorem.

— Musiałem sprawdzić, czy tam jest. A przy okazji zobaczyłem coś interesującego.

— Co?

— Musiała wiedzieć, co zaszło. Gliniarze na posterunku byli tak przerażeni, że wyczuła to przez mur. A na mnie patrzyła przez judasza. Nie potrafię zrozumieć sensu tego spojrzenia.

— Popelniła dwa morderstwa. Ostatnie dwa tygodnie spędziła, wyrzynając kawałki ciała ze zwłok. Kto wie, co się teraz dzieje w jej głowie?

— Znalaziono coś w jej mieszkaniu?

— Przeszukanie jest w toku.

— To znaczy, że niczego nie znaleziono. Nie ma piwnicy, w której mogłaby trzymać trupa. Nie znaleźliście kawałków ludzkiego ciała. Ani nawet tasaka białego w stopień schodów.

— Więc najwyraźniej zrobiła to gdzieś indziej.

— Słyszałeś może, żeby jakaś kobieta zrobiła coś podobnego? Znasz taki przypadek choćby z historii?

— Wiem, co sądziła o tym Nina. Nie musisz odwalać za nią jej roboty.

— Dlaczego ją tu ściągnąłeś?

Monroe zawahał się na ułamek sekundy. Pochyliłem się ku niemu.

— Czegoś tu nie rozumiem, Charles. Ona mi to tłumaczyła, a ja nadal nie pojmuję, więc może ty lepiej sobie poradzisz. Słyszałeś o tej sprawie z Janesville, Nina była wtedy dzieckiem, więc musisz wiedzieć, że to dla niej niełatwe. To teraz powiedz mi, czemu wybrałeś właśnie tę sprawę, żeby wywlec nas na szeroki świat?

Agent chciał coś powiedzieć, lecz ja wkurzyłem się nagle tak bardzo, że nie miałem ochoty go słuchać.

— Szeroki świat, w którym nagle, po zaledwie trzech dniach, zostaje porwana z hotelowego pokoju przez kogoś, kto przy okazji zarzyna gliniarza. Wyjaśnij mi to, proszę... i niech to będzie krótkie wyjaśnienie. I proste.

Monroe pokręcił głową. Przez chwilę było mi go żal. Przecież nie mógł zmienić tego, co się stało. Mógł tylko czekać na wyniki przeszukania.

Wyrzwał przez wielkie okno na parking. Powoli robiło się ciemno, zaczęło padać. Miałem nadzieję, że Nina, gdziekolwiek jest, słyszy deszcz i że czerpie z tego odwagę; że dźwięk padających kropeł pomaga jej czuć upływający czas i wie, że jeśli upłynie go jeszcze trochę, pojawię się z odsieczą.

— Jest najlepszym śledczym, z jakim kiedykolwiek pracowałem — powiedział w końcu. — Praktycznie wlokła mnie za sobą. Ja zajmowałem się sprawami formalnymi i kontaktami z lokalnymi funkcjonariuszami, ona łapała przestępców. Wiesz, co za burdel zrobił się pod koniec sprawy Aileen Wuornos: petycje, programy dokumentalne i w ogóle wszystko, co możliwe i niemożliwe. Chciałem mieć pewność, że gdyby media zainteresowały się tą sprawą, wszystko mielibyśmy związane na ostatni guzik. Inaczej Nina protestowałaby pod niebiosa, gdybyśmy posadzili przed ławą przysięgłych babkę z łapanki.

— A teraz Reidel nie żyje, Nina znikła, a sprawa nie ma sensu.

— Nadal ma.

Pokręciłem głową.

— Dzieje się tu coś, czego nikt z nas nie rozumie. Nie wiem, czy ma to jakiś związek z Niną, a akurat teraz powinienem myśleć tylko o tym.

Sięgnąłem do torby, którą położyłem obok krzesła. Wyjąłem z niej szereg kolorowych odbitek wydrukowanych ze zdjęć, które zrobiłem aparatem cyfrowym dziś po południu. Pokazałem mu pierwsze.

— Poznajesz? — spytałem.

Zmarszczył brwi.

— Wygląda to jak miejsce drugiej zbrodni.

— Słusznie. — Wyłożyłem drugą odbitkę. — A to ujęcie z wyspy w stronę, z której się na nią wchodzi. Zrobione z miejsca, gdzie wisiała koszula.

— Nie widzę tu nic inte...

Trzecie zdjęcie.

— Teraz wygląda to tak.

Gapił się na zdjęcie ze zdumieniem na twarzy.

— Co tam się, cholera, stało?

— Wszedłem z łopata.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Żartujesz! To musi być jakieś inne miejsce. Przecież nie mogłeś tego zrobić.

— Mogłem i zrobiłem.

— Nie wierzę. Nie potrafię w to uwierzyć!

— A powinienes. Koszula musiała coś oznaczać. Ale ty tylko rozejrzałeś się i uznałeś, że tu się niczego nie znajdzie. — Wyłożyłem kolejne zdjęcie. — Nie widziałeś wszystkiego — uprzedziłem.

— Przecież to tylko błoto, Ward — powiedział stłumionym i chyba już przerażonym głosem. — I całkowicie zniszczone miejsce zbrodni.

— A dokładniej?

Wbrew sobie pochylił się i jeszcze raz obejrzał zdjęcie, tym razem dokładnie.



— W tej dziurze coś jest.

Wyłożyłem następne cztery.

Przyglądał im się uważnie, po kolei, obrócił je najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Mrugał szybko, raz za razem.

— Chryste — szepnęła. Ponownie przebiegł wzrokiem po fotografiach, tam i z powrotem. — Nie ma ręki.

Zerwał się na równe nogi tak energicznie, jakby chciał pędzić w trzech kierunkach naraz.

— Powinieneś powiedzieć... — bełkotał. — Powinniśmy zrobić to jak należy. Wezwać fachowców. Spieprzyłeś sprawę, Ward. Spieprzyłeś sprawę.

— Jeśli ma to coś wspólnego z miejscem ukrycia Niny, to nie będę czekał wieki, aż ktoś coś zrobi jak należy. A przy okazji, mam ci coś jeszcze do pokazania. Tylko musimy wyjść.

— Ale ja...

— Monroe, teraz ty oficjalnie ścigasz króliczka. Chodź ze mną, albo pojedę do miasta, znajdę najgłupszego dziennikarza i opowiem mu, co wiem.

Nie oglądając się, podszedłem do drzwi. Monroe dogonił mnie, nim wyszliśmy na chodnik. Nie patrząc na niego, poszedłem do samochodu.

— Wsiadaj — poleciłem mu, otwierając drzwiczki.

Posłuchał. Zatrzasnął drzwiczki, ja włączyłem silnik.

— Co ty wyprawiasz?

Nagle usłyszał trzask otwierających się tylnych drzwiczek. Ktoś wsiadł. Monroe odwrócił się na siedzeniu. Patrzył na Zandta jak na rogatego diabła, serwującego hot dogi.

— Cześć, Charles — powiedział wesoło John. — Dawno się nie widzieliśmy.

Zablokowałem drzwi centralnym zamkiem i przez kwietnik wyjechałem na ulicę.

Zaczęło bardziej padać, więc na ulicy musiałem opanować kilka nieprzyjemnych poślizgów. Na szczęście odwróciło to uwagę Monroe'a, siedzącego obok mnie, zbyt zajętego zapieraniem się rękami i nogami. Tymczasem Zandt spokojnie sięgnął nad oparciem do jego kieszeni, zabrał mu broń i telefon komórkowy.

Monroe przede wszystkim zapiął pas.

— Nie wiem, co chcesz zrobić — wykrztusił — ale z pewnością to kiepski pomysł.

— Wręcz przeciwnie — odparłem. — Nie przypuszczam, żebyś się ucieszył, to twój problem. Masz dziesięć minut, żeby pogodzić się z tym, co cię czeka.

— Oddajcie mi broń!

— Mowy nie ma — powiedział John. — Ale... trzymaj. — I rzucił mu coś na kolana.

— A co to takiego?

— Ty mi powiedz.

Agent ostrożnie wziął to coś w palce. Przedmiot przypominał krótki, zakrzywiony patyk, ale nie trzeba było być kryminologiem, by stwierdzić, że nie jest patykiem.

— Skąd to wzięłeś?

— Ward nie pokazał ci zdjęć?

— Chryste — westchnął Monroe. — Więc nie tylko spieprzyliście miejsce zbrodni, ale jeszcze sprofanowaliście ciało! A może straciliście kontakt z rzeczywistością do tego stopnia, że niczego już nie pojmujecie?

John nie zwracał na niego uwagi.

— Karb kulszowy miednicy dowodzi, że to ciało kobiety. Tego rodzaju rzeczy nie da się dokładnie datować. Przyjaciół stwierdził przy mnie, że mógłby powiedzieć coś więcej, gdyby zobaczył to na miejscu i że zrobiliśmy głupotę, więc w tym przypadku masz sojusznika. Jednak, przynajmniej jego zdaniem, kość nie osiągnęłaby tego stanu przed upływem piętnastu lat, plus minus kilka.

— Powtórz, bo nie rozumiem.

— Nie muszę powtarzać. Rozumiesz. Kość została wykopana z ziemi w miejscu uznanym na podstawie znalezionych tam śladów za miejsce morderstwa, które popełnić miała osoba przetrzymywana w tej chwili w areszcie w Thornton. A to ciało pogrzebano, kiedy twój jedyny podejrzany miał od ośmiu do dwunastu lat.

Monroe przyglądał się kawałkowi kości.

— Zakładając, że uwierzę w to wszystko na słowo.

— A dlaczego mielibyśmy kłamać? — spytałem, pokonując

zakręt, za którym droga prowadziła przez grzbiet wzgórza, obok szkoły, do centrum tego, co uchodziło tu za miasteczko. — Nic mnie nie obchodzi twój morderca, chyba że jego osoba ma jakiś związek z porwaniem Niny. A Nina od początku wiedziała, co jest grane. Powiedziała, że to nie kobieta zabiła tych dwóch mężczyzn. I biorąc pod uwagę przedstawiony dowód, zapewne miała rację.

Monroe potarł czoło obiema dłońmi.

— Więc dlaczego siedzę z wami w tym samochodzie? Dlaczego nie mogliśmy przeprowadzić rozmowy w hotelu?

— To część szkolenia. Ustawi ci łeb we właściwym kierunku, żebyś wreszcie zaczął myśleć — nie wytrzymałem. — Zaraz zrobimy coś bardzo niewłaściwego, a ty nam pomożesz. John chce porozmawiać z Julią Gulicks.

— Nie zgadzam się! Nie ma mowy!

Oczywiście spodziewałem się, że powie „nie”, ale zaskoczyło mnie jego zaciętrzewienie. Oczekiwałem, że na widok kości oprzytomnieje, zdecyduje się zrobić kolejny krok w kierunku, który był najoczywściej w świecie właściwy.

— Za trzy minuty będziemy pod biurem szeryfa — powiedziałem. — Myśl szybciej, jeśli nie chcesz, żebyśmy marnowali czas. O ile rozumiem, nawet ty musisz przyznać, że John był dobrym detektywem wydziału zabójstw. Słyszałem nawet, że dawno, dawno temu rozwiązał dla ciebie jakąś sprawę. Więc w czym problem?

— Daj spokój, Ward. On już nie jest policjantem. Szukają go za zabójstwa, jest wyjątkowo niebezpieczny i jeśli chce się zbliżyć do Gulicks, to po moim trupie!

— Posłuchaj... — umilkłem. Usłyszałem dziwny, melodyjny dźwięk. Nie od razu zorientowałem się, co oznacza, słyszałem go dawno temu, a i przedtem dość rzadko.

Nagle sobie przypomniałem. Zjechałem na pobocze, niemal wpadając w poślizg. Wyrwałem z kieszeni telefon komórkowy i spojrzałem na numer telefonu na wyświetlaczu.

Nie. To nie była Nina.

— To Unger — powiedziałem głośno, czując się tak, jakbym właśnie miał zamiar zrobić krok w przepaść.

— Rozmawiaj na dworze — polecił John.

Wysiadłem z samochodu wprost na padający deszcz.

— Ward? — usłyszałem. — Tu Carl.

Przez chwilę nie mogłem wykrztusić słowa. Co ja tu w ogóle robię?

— Ward? Jesteś tam?

— Jestem, jestem.

— Twoja przyjaciółka, agentka Baynam. Masz jakieś informacje?

— Skąd wiedziałeś, że to o niej ci opowiadałem?

— Stał, że zaraz po wyjściu z baru zacząłem telefonować.

Pożałowałem, że nie stoi przede mną.

— Naraziłeś ją na niebezpieczeństwo. Być może nawet zabiłeś.

— Musiałem podjąć to ryzyko. Uwierz mi, dla mnie to nie zabawa. Twoje prywatne sprawy nic w tej chwili nie znaczą. Wczoraj wieczorem nie powiedziałaś mi wszystkiego. No, to zrobiłem, co musiałem zrobić.

— Coś na tym zyskałeś?

— Nic. Nadal nie wiem, w czym rzecz. Jestem w Langley. Mógłbym do ciebie przyjechać? Góra za dwie godziny. Musimy porozmawiać. Może będę w stanie pomóc?

Przerwałem rozmowę bez słowa.

Podchodziłem do samochodu, spodziewając się wrzasków i awantury. Ale powitała mnie niesamowita cisza. Monroe chował do kieszeni pistolet i telefon komórkowy.

— I co? — spytał John.

— Od wczorajszego wieczoru Unger słał nasze nazwiska w eter na prawo i lewo, ale to było już po fakcie. Kiedy wracałem do hotelu, krew Reidela wysychała. Wszystko zależy od tego, czy facet łączy, a tego nie da się ustalić przez telefon. Chce przyjechać, pogadać.

— I?

— Albo przyjedzie, albo nie przyjedzie. — Z całej siły uderzyłem w kierownicę obiema pięściami. Nie potrafiłem otrząsnąć się, oprzytomnieć, pozbyć głupiej nadziei, że być może dzwoniła do mnie Nina. — O cholera! Nie mam pojęcia, co z tym teraz zrobić. Nie wiem, kto co robi.

— Jedź na posterunek — polecił John.

Spojrzałem na agenta.

— Pozwolisz mi z nią porozmawiać?

Monroe nie odpowiedział. Siedział wpatrzony w mrok rozciągający się za samochodową szybą; w świetle ulicznych lamp jego twarz wydawała się wyjątkowo blada.

Weisnąłem gaz. Mieliśmy do przejechania jeszcze kilkaset metrów.

Za biurkiem siedział gliniarz, przez którego przepchnąłem się podczas poprzedniej wizyty. Widząc mnie, poderwał się na równe nogi... i nagle zauważył agenta.

— Proszę pana, to ten facet...

— Wiem — przerwał mu Monroe. — Czy pokój przesłuchań jest wolny?

— W tej chwili tak, oczywiście.

— Przeprowadźcie tam Gulicks.

Wraz z Johnem wyszliśmy za nim do wewnętrznego korytarza.

— Chcesz zaczekać na nią w środku? — spytał Zandta Monroe. Owszem, różnie można było o nim mówić, ale gdy zmieniały się okoliczności, natychmiast się do nich dostosowywał.

— Nie. Chcę ją sobie najpierw obejrzeć.

Poszliśmy za nim do pokoju obserwacyjnego. Czekaliśmy dziesięć minut, podczas których John przeglądał protokoły z poprzednich przesłuchań. Nagle usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi. Dwaj policjanci wprowadzili Julię Gulicks do sali przesłuchań. Usiadła. Jeden stanął po jej lewej stronie, drugi przed zamkniętymi drzwiami.

Julia siedziała pośrodku dłuższego boku stołu, dokładnie tak, jak tamtego pamiętnego popołudnia podczas rozmowy ze mną. Twarz miała tak bladą, że wydawała się wręcz doskonale biała. Dłonie, które położyła na blacie stołu, jedna na drugiej, lekko drżały. Potrafiła jednak to drżenie opanować. Spojrzała wprost w weneckie lustro. Lekko przechyliła głowę.

Obserwowałem Johna przyglądającego się Gulicks. Stał, opierając łokieć jednej ręki na dłoni drugiej, przytykając

wyprostowany palec wskazujący do nosa. Nie wiem, jak długo na niego patrzyłem, ale wiem, że ani razu nie mrugnął.

— Nadal nie ma adwokata?

— Nie ma — przytaknął Monroe. — Poprosiła o przydzielenie obrońcy, więc go jej przydzieliłem. Nie chce z nim rozmawiać.

— Odwiedzała ją rodzina? Może przyjaciele?

— Nikt jej nie odwiedził. Wczoraj późnym popołudniem przesłuchaliśmy jej jakby chłopaka. Nie chciał z nią rozmawiać. Twierdzi, że nigdy nie mówiła o rodzinie. Nie spieprz tego, człowieku.

Zandt wyszedł. Niespełna minutę później patrzyliśmy, jak gliniarz otwiera drzwi i wpuszcza go do sali przesłuchań. John kazał mu wyjść na korytarz. Czekał, aż w sali pozostali tylko on i podejrzana, po czym usiadł przy krótszym boku stołu.

Julia nie od razu odwróciła głowę i na niego spojrzała.

— Całkiem przystojny jesteś — powiedziała w końcu.

— Dziękuję. Od dawna nikt nie prawił mi komplementów.

— Współczuję.

— Jakoś sobie z tym poradzę. A pani?

— A ja co?

— Poradzi sobie pani? Bez wsparcia rodziny i w ogóle kogoś, kto przyszedłby, spytał, co słyhać?

— Oczywiście. Nie mam rodzeństwa. A rodzice od dawna nie żyją.

— Przykre.

— Zależy, jak na to patrzeć.

— Wychowała się pani w Boulder, prawda?

— Bogato.

— Przeniosła się pani do Thornton sześć lat temu?

— Pięknie tu, prawda?

— Co prawda niewiele miałem czasu, by przyjrzeć się okolicy, ale nie wydaje mi się.

— Och... a te wspaniałe lasy? I śliczne małe domki?

— Nigdy nie myliłem tego, co malownicze, z tym, co dobre.

Julia się uśmiechnęła.

— Więc może przystojniak nie musi być głupcem? Tu wszystko odwrócone jest do góry nogami.

— Pani wie, że wpadła po uszy w kłopoty i nie próbuje bronić się niepoczytalnością czy czymś w tym rodzaju?

— To byłby idiotyczny pomysł.

— Ktoś mógłby sądzić, że coś takiego mu pomoże. Ale ja tak sobie myślę, że próbuje pani robić ze mnie durnia.

— Następnym razem bardziej się postaram.

— Chciałbym pani pokazać pewną rzecz. — John sięgnął do kieszeni, wyjął z niej coś i położył pośrodku stołu.

Stałem blisko Monroe'a, więc usłyszałem, jak wzdycha.

— Chryste — powiedział zduszonym głosem. — Nie wierzę. Nie wierzę w to, co robi ten człowiek.

Moim zdaniem John podchodził do sprawy we właściwy sposób. Gulicks zachowywała się i mówiła całkiem inaczej niż wtedy, gdy przez tę samą szybę obserwowałem ją po raz pierwszy. Głębokie cienie pod oczami świadczyły o tym, że ostatnio nie spała. A w jej oczach czaił się mrok.

Spojrzała na leżący na stole przedmiot.

— Już jadłam — powiedziała uprzejmie.

— Wie pani, co to jest?

— Kość.

— A dokładnie żebro. Kobiece żebro. Jak pani sądzi, skąd je wzięłem?

— Ze swojej kolekcji?

— Z lasów na północny zachód od miasta. Parę dni temu znaleziono tam ciało. Znam ludzi, którzy chcą panią obciążyć winą za to morderstwo, a także za zamordowanie Lawrence'a Widmara. O ile mogłem się zorientować z protokołów, detektyw Reidel już rozmawiał z panią krótko na ten temat.

Gulicks w milczeniu wpatrywała się w kość.

— Ale to nie jest kość tej ofiary — ciągnął John. — Ponieważ ofiara była mężczyzną. Kobietę pogrzebano pół metra pod ziemią.

— Więc skąd to coś? Proszę uprzejmie oświecić mnie w tej sprawie.

— Pamięta pani agentkę Baynam?

— Oczywiście. Miła kobieta.

— To prawda.

— Pieprzył ją pan.

Nie wiem, jak to wyglądało w sali przesłuchań, ale tu, gdzie stałem z Monroe'em, powiało chłodem. Nie przez Johna. Przez Julię.

A ona uśmiechnęła się promiennie.

— A więc tak? Muszę powiedzieć, że sprawiała wrażenie cholernie twardej, ale może akurat to jest w pańskim stylu.

— Nie, Julio. — John nie dał się wyprowadzić z równowagi. — Ty jesteś bardziej w moim typie. Nic nie odpowiada mi bardziej niż kobiety, które przez cały dzień zaciskają dłonie, aż bieleją im kostki palców, wieczory zaś spędzają, siedząc w ciemności. Kobiety jak ta, siedząca teraz przede mną, splatająca ręce, żeby nikt nie wiedział, jak bardzo potrzebuje się napić. No, wiesz, takie dreszczyki... nie masz pojęcia, jak to rajcuje mężczyznę.

Twarz Gulicks zmieniła się w nieruchomą maskę. Nie było w niej gniewu, nie było cierpienia. Po prostu maska.

— Przegrywają ci, co chcą przegrać — powiedziała nagle, głosem o dobre ćwierć oktawy niższym niż przedtem. — Wszyscy o tym wiedzą.

— O agentce Baynam wspomniałem tylko dlatego — mówił John tym samym tonem swobodnej rozmowy — że wezwano ją do ważniejszych zadań. Dla ciebie to zła nowina. Bo ona wierzyła głęboko, że jesteś niewinna. Inni nie, wręcz przeciwnie. Na przykład detektyw Reidel.

— On nie żyje, więc co to za różnica?

— Skąd wiesz, że nie żyje?

— Wszyscy o tym mówią. Nie mam tu nic do roboty... ale co słyszę, to słyszę. Zawsze przyglądałam się rzeczywistości. Chcesz wiedzieć, który zastępca zdradza żonę? Który bierze za niewystawienie mandatu za przekroczenie prędkości? Chcesz wiedzieć, co myślą o moich cyckach? Bo oni naprawdę o nich myślą! Interesują ich piersi morderczyni, która nie miała okazji wziąć prysznicza od czterdziestu ośmiu godzin. Tak czy inaczej to, jakby nie było, cycki, nie? CYCKI! Mężczyźni zawsze są tacy, a nie inni, nie? A w ogóle to panuje opinia, że są za małe.

— I kobiety potrafią popęlniać złe uczynki.

— Nie — powiedziała Gulicks. Po raz pierwszy robiła wrażenie ożywionej, wytraconej z równowagi. — Zemsta jest jak rykoszet. Nie liczy się.



- A ty na kim się mścisz?
- Mówiłam ogólnie. Bez odniesień osobistych.
- Doprawdy? Brzmiało to bardzo osobiście.
- Julia zdążyła się już uspokoić.
- Jeśli o mnie chodzi, nie ma nic osobistego i być nie może. Nie mam żadnych zdolności. Jeśli nie wierzysz, spytaj mojego szefa. Wychodzi to raz za razem w ocenie pracownika. Pilna, pracowita, ale nie chciałbyś, żeby siedziała koło ciebie na firmowym przyjęciu. I tak dalej, i tak dalej.
- Nie dotyczy to chyba Marka Kroegera? Bo on się z tobą spotykał, prawda? Nie od dziś?
- A owszem, tak.
- Poszedł z tobą na spacer do lasu?
- Poszedł.
- Julio, czy ty kogoś kryjesz?
- Co podsunęło panu tę myśl?
- Bo ja wcale nie jestem pewien, czy zabiłaś tych ludzi. Może zrobił to ktoś inny? I ma to coś wspólnego z trzecim ciałem? No więc zastanawiam się, czy go nie kryjesz z jakichś tylko tobie znanych powodów.
- Cóż, myli się pan.
- W czym?
- We wszystkim.
- Naprawdę? Okropne. — Nawet przez interkom słyhać było w głosie Johna autentyczną irytację. — Może i jestem przygłup, jakoś mi to nie przeszkadza. Ale żeby mi się mylić we wszystkim? Niedobrze, oj, niedobrze.
- Ja coś o tobie wiem. — Julia uśmiechnęła się, nie odrywając spojrzenia od stołu. — Powinieneś spojrzeć mi w oczy i powiedzieć prawdę.
- Co takiego?
- Gulicks milczała przez chwilę, po czym spojrzała Johnowi wprost w oczy.
- Czuwałeś — powiedziała.
- Nie bardzo rozumiem.
- Przesączają się, potem przestają. Dopiero gdy wyschną wiesz, że odeszli.
- O czym ty mówisz?

Powoli podniosła dłoń i wymierzyła w niego wskazujący palec.

— Morderca — powiedziała. — Jesteś mordercą.

Monroe spojrział na mnie. Ja na niego. Ale Zandt nie wydawał się szczególnie poruszony.

— Dlaczego myślisz, że zabijałem ludzi?

— Zaprzeczasz?

— Nie. Zadaję ci pytanie.

— Przecież to oczywiste. Ta plama nigdy się nie spierze.

John oparł łokcie na stole. Był przyjacielski, swobodny, odprężony.

— Widzę wyraźnie, że chcesz mi coś powiedzieć, Julio. Bardzo chciałbym cię zrozumieć. Dokładnie, tak żeby między nami nie było żadnych nieporozumień. Uważam, że powinnaś ułatwić mi życie. Zrobisz to dla mnie? Proszę.

— Oczywiście. — I Julia Gulicks, powoli, wyraźnie, powiedziała: — Zabiłam ich.

John skrzywił się lekko.

— Proszę powtórzyć.

— Zabiłam Larry'ego w lesie. Zabrałam go na spacer, pokazałam mu te swoje maleńkie cycki na tyle, żeby sądził, że sprawę ma załatwioną. Nie myślał trzeźwo, bo podałam mu środek, który kupiłam przez Internet. Zaznaczam, że nie była to viagra.

— Jeśli zabiłaś go w Raynor's Wood, to jakim cudem na ciele nie było śladów krwi?

— Bo zrobiłam to nad strumieniem. Runął wprost do wody. Sądziłam, że czysty będzie wyglądał lepiej. Nie uważasz, że miałam rację?

— Dlaczego rozebrałaś ciało?

— Żeby faceta upokorzyć. Straszny był z niego fiut. Widziałam, jak bezczelnie zostawia jakąś babkę, żeby spróbować ze mną. Kim był ten drugi, nie wiem, przepraszam. Poderwałam go na przystanku autobusowym w Owensville, dwa tygodnie temu. Chciałam nabrać doświadczenia, a facet okazał się... mogę to powiedzieć teraz, z perspektywy czasu... za ciężki. Za trudny. Z Lanym poszło znacznie łatwiej.

John udawał, że nie jest tak zaskoczony, jak zaskoczeni byliśmy ja i Monroe, i trzeba przyznać, że robił to dobrze.

— Pewna informacja o tej drugiej ofercie nie została podana mediom — powiedział spokojnie. — Może zechcesz mi zdradzić, o co chodzi?

— Trudno powiedzieć. Sporo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni miałam w rękach gazetę, ale... czy ma to coś wspólnego z brakiem całkiem sporych kawalków ciała? Coś okropnego, prawda? No, ale inaczej bym go stamtąd nie wyciągnęła. Jestem pewna, że istnieją prostsze sposoby, lecz, niestety, nie znalazłam ich w poradnikach „Zrób to sam”.

— Zdajesz sobie sprawę, że prowadzimy tę rozmowę w obecności świadków?

— Tak przypuszczałam. — Julia spojrzała na taflę szkła, dla niej będącą lustrem, i pomachała. — Cześć, chłopaki!

— Przyznaje się pani do zamordowania tych dwóch mężczyzn?

— Wolę myśleć, że po prostu wam o nich opowiedziałam. Nie mam powodu, by odczuwać wyrzuty sumienia. Pomijając fakt, że okazałam się niezbyt dobra w tych sprawach. Dwóch to przecież mało. Zwłaszcza jeśli pomyśli się o tych wszystkich kobietach umierających w każdej chwili, dosłownie wszędzie, nawet po sąsiedzku. Cholernie mnie to wkurza.

— Dlaczego mówisz mi to wszystko?

— Bo jesteś taki fajny, niech cię diabli wezmą. A poza tym dotarłeś do mnie, taki dobry — zły glina w jednej osobie.

— Doprawdy?

— Jasne. I zalatujesz dokładnie jak ja.

— Julio, naprawdę by mi pomogło, gdybyś ograniczyła się do prostych zdań oznajmujących.

— Nie — powiedział Gulicks. — Nie, nie, nie.

— Chcesz o tym rozmawiać. Moim zdaniem, przynajmniej w tej chwili, tylko o tym chcesz rozmawiać. A przynajmniej wyjaśnić, o co chodzi z tymi dłońmi.

— Pieprz się — krzyknęła rozgniewana i zraniona. — Nie wiem. Ty mi powiedz. Ty się dowiedz, o co chodzi.

John patrzył na nią spokojnie, poważnie.

— A jeśli wcale mnie to nie obchodzi?

Zaatakowała go. Skoczyła jak tygrysica.

Gliniarze z korytarza powstrzymali ją po jakichś dwudziestu

sekundach. Wykorzystała je w pełni. Cicha, skupiona, skoncentrowana. Pięści, łokcie, paznokcie.

John zniósł ten atak spokojnie. Nie podniósł nawet rąk ze stołu. Wiedział, że nie może zostawić żadnych znaków na jej ciele, nie w tym miejscu, nie teraz, nie przypadkiem lub w jakichkolwiek innych okolicznościach, nawet w samoobronie.

Zrezygnowała, gdy unieruchomili ją zastępcy szeryfa. Wydawała dźwięki, których nie potrafiłem zdefiniować, coś pomiędzy wrzaskiem i histerycznym śmiechem — trzech wielkich facetów miało problem z wyprowadzeniem jej z sali przesłuchań.

Monroe został na posterunku. Załatwił pozwolenie na aresztowanie Julii Gulicks na kolejne trzy dni, tym razem pod oficjalnym zarzutem podwójnego zabójstwa. John i ja wyszliśmy z budynku. Na chodniku poczęstowałem go papierosem. Wziął i przez chwilę paliliśmy w milczeniu.

— I gdzie teraz jesteście? — przerwałem milczenie.

John przeciągnął dłonią po twarzy, nieświadomie rozmazując krew ciągle sączącą się z długiego zadrapania na czole. Spojrzał na nią i powiedział:

— Nie mam zielonego pojęcia.

## Rozdział dwudziesty piąty

Za kierownicą siedział Lee. Musiał, bo Brada głowa bolała tak, że o prowadzeniu nie mogło być mowy, decyzja podjęta, jest jak zawsze: Lee prowadzi, Lee przewodzi. Ulice wydawały się dziwnie puste, jakby oczyszczono je, by mogli szybciej dojechać na miejsce. Obaj chłopcy mieli na twarzach błyszczące pręgi, pamiątki po niedawnej bójce i ciosach, które trafiły w cel. Hudek próbował ukryć jakiś ten fakt, miał jednak wrażenie, że przyjaciel złamał mu co najmniej kilka żeber, poza tym na jedno ucho słyszał raczej kiepsko. Brad zmył z twarzy smugę pozostałą po wystrzale, krew spod nosa też, mimo to wyglądał, jakby go wkręciło w magiel.

Nie rozmawiali. Nie zamienili ani słowa od chwili, gdy Lee zadzwonił i dostał informację, dokąd mają jechać. Bo i nie było o czym rozmawiać. Hudek wyjaśnił przecież Bradowi na wszelkie możliwe mu sposoby, że nie chodziło mu o to, by ci ludzie skrzywdzili Karen. Przeprosił za swoje wcześniejsze przykre słowa. Brad nie reagował. W głowie miał wielką pustą przestrzeń. W którymś momencie zadzwonił telefon, ale wyświetlił się numer jego rodziców, więc go po prostu wyłączył. W końcu będzie musiał stawić im czoło, tak jak stawił czoło Luchsom, będzie musiał znaleźć w sobie wystarczająco dużo siły, by przekonująco kłamać, twierdzić, że Karen zginęła przypadkiem, to się zdarza, iluz kierowców pozostawia za sobą trupy i ucieka,

los skrócił młode życie, ble, ble, ble. Czy będzie w stanie to zrobić? Czy zdoła wypowiedzieć fałszywe świadectwo przeciw jej pamięci, odwrócić się do niej plecami, oddalać się od niej każdym kłamstwem? Nie wiedział. Tylko czas mógł przynieść odpowiedź na to pytanie.

Na razie mieli pilniejsze sprawy do załatwienia.

Byli ludzie, którzy muszą się dowiedzieć, że ci szczególnie dwaj chłopcy z Doliny nie dadzą sobie wciskać gówna, nie przyjmą go z pokorą. Muszą się nauczyć, że bogaci i uprzywilejowani niekoniecznie są słabi i głupi, że młodość nie oznacza braku sił i woli. Muszą poznać prostą prawdę: to, co uczyniło szkolny rocznik 2003 niewyciężonym w każdym sporcie, da się przenieść w rzeczywisty świat, przekuć w oręż zwycięski w dorosłym życiu, a orężem tym włada pewna siebie, niepokonana ręka.

Lee i Brad mieli im przekazać tę właśnie lekcję. Jechali na spotkanie, mieli pistolet. Naładowany ostrą amunicją. Brad dopilnował tego osobiście.

Wjechali wprost na parking za budynkiem na skrzyżowaniu Roscoe i Sennoa. Zatrzymali się blisko miejsca, gdzie poprzednim razem rozłożono brezent. To tam schowali się Pete i Steve, tam ich związano i zakneblowano.

— Powiniennem wcześniej o tym pomyśleć — powiedział Brad, nie wyjmując z ust kolejnego papierosa. — Co to za ludzie, że są do tego zdolni. — Wysiedli z samochodu. — Nadal nie podoba mi się, że tu wyznaczył nam spotkanie.

— Nie zgodził się na inne miejsce. — Lee westchnął ciężko. — Naprawdę chcemy to zrobić?

Na krótką chwilę świat przed oczami Brada się rozmazał. Pamiętał, że kiedy przyjechali tu poprzednim razem, zadał mniej więcej to samo pytanie, wieczorem, który wcale nie wydawał się tak odległy. Pomyślał o małym „K” na czyjejś szyi i o tym, że będzie musiał jakoś znieść, gdy w którymś momencie będą chcieli zwrócić mu ten wisiołek.

— Tak, chcemy — powiedział głośno.

— Ale... jeśli będzie ich tam kilku, gramy spokojnie, próbujemy zyskać na czasie, pokazujemy, że wiemy, co jest grane. Powiedz mi, że będziesz przestrzegał reguł.

— Chodźmy, człowieku. Ty nie chcesz umrzeć i ja nie chcę umrzeć... tylko usłyszeć, co ten dupek ma do powiedzenia.

Podeszli do drzwi w bocznej ścianie budynku. Lee nacisnął klamkę. Nie były zamknięte.

Brad wszedł za nim do środka. Ruszył cicho przez wielką salę, potem korytarzem i wreszcie znalazł się w sali, tej jeszcze większej.

W odróżnieniu od poprzedniej wizyty, tym razem oświetlona była przez silne, podwieszane lampy. Teraz, kiedy można mu się było przyjrzeć, wewnątrz nie wyglądało jak pusty magazyn, przypominało raczej biuro firmy zaawansowanych technologii. Przy jednej ze ścian stały rzędy stołów, komputery i ciekłokrystaliczne monitory, było coś, co podejrzenie przypominało serwer Internetu, a także kilka telewizorów i duża liczba telefonów komórkowych. Telewizory i komputery wyłączono. Podłogę zaścielały kable.

Ktoś wychodził.

Przy jednym ze stołów stał mężczyzna, z którym mieli się spotkać. Nie od razu na nich spojrzał, zajęty był pakowaniem CD z danymi do dużej, przewieszanej przez ramię torby.

Obaj podeszli do niego szybkim krokiem. Zatrzymali się.

Paul wreszcie na nich spojrzał.

— Cześć, chłopaki — powiedział. — Co was gnębi?

Brad myślał nawet, że kiedy go zobaczy, rzuci się na niego, tak jak rzucił się na Lee Johna, w mgnieniu oka uświadomił sobie jednak, że popełniłby błąd. Było w tym człowieku coś, co zaprzeczało samej idei ataku.

— Jesteś sam? — spytał Lee.

— Zupełnie sam. Mam sporo roboty, więc proszę, od razu przejdźcie do rzeczy.

Brad nie miał zamiaru dłużej czekać.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— A co takiego zrobiłem?

— Zabiłeś ją.

— Kogo zabiłem? Proszę, żebyś mi to jakoś przybliżył.

— Nie pieprz, człowieku — wtrącił Lee i dalej mówił tak,

jak to uzgodnili: — Słuchaj, chcemy, żeby tu panował pokój. Rozumiemy, że masz swoje plany i w ogóle. Nie ma sprawy. Po prostu powiedz nam, co się dzieje. Chcemy wiedzieć, nic więcej.

Facet skończył pakowanie torby, zapiał ją i postawił na podłodze. Skrzyżował ramiona na piersi. Patrzył im wprost w oczy.

— Powiedz mi, o co ci chodzi, Lee.

— Dziś rano dowiedzieliście się, że dziewczyna Brada opowiada różne rzeczy i może nam utrudnić życie. Od ciebie usłyszałem, że to nie problem. Parę godzin później pojechała na rozmowę z gliniarzami. Znikąd pojawił się ciężki wóz. Staranował jej samochód. Zginęła.

— Przykro mi to słyszeć. — Paul spojrzął na Brada. — Z pewnością czujesz się teraz bardzo samotny.

— Pieprz się — warknął Brad. Drżał. Może dać sobie siana i rzucić się jednak na tego gościa?

— Poczekaj. — Lee położył dłoń na jego ramieniu. Spojrzął na Paula. — Wiesz, pobiliśmy się nie na żarty, bo on myśli, że wydałem ci jego dziewczynę umyślnie, a mnie wcale nie o to chodziło. Poniosło nas obu i... — Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął pistolet. Pokazał go mężczyźnie. — Poznajesz? — spytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wiesz, tyle tego widuję...

— Dostałem go od Hernandeza tego dnia, kiedy zginął Pete. Potem wróciłem do domu i schowałem. Wystrzeliłem dziś po południu, dwukrotnie. I coś się stało?

— Aż trzęsę się z ciekawości, Lee.

— Pistolet wypalił ślepakami.

— Dziwne. Ciekawe, co też strzeliło do głowy temu Hernandezowi.

— Pieprzysz. Wątpię, by kiedykolwiek zrobił coś, czego nie kazałeś mu zrobić.

— Więc... co chcesz powiedzieć? Jaką masz teorię? Chcę, żebyś sam poskładał wszystko do kupy, Lee. Mam wrażenie, że już to zrobiłeś.

— Od momentu śmierci Pete'a wszystko było ustawione — wtrącił Brad drewnianym głosem. — Wysłaliśmy nas na z góry



spieprzony deal, ale nie ufałeś nam na tyle, żebyśmy dostali ostrą amunicję. Pete zginął, Hernandez wykorzystał sytuację i z premedytacją zrobił z nas winnych, bo ukryliśmy ciało. Potem już miałeś nas w garści.

Paul skinął głową.

— Bardzo dobrze — pochwalił.

Hudek patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy i Brad, niemal z radością, uświadomił sobie, że zapewne po raz pierwszy w życiu jego przyjaciel wpadł w nieopanowany gniew.

— Czy to prawda?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

— Oczywiście, to prawda — powiedział.

Zapadła długa chwila milczenia.

— A więc przechodzisz do historii — powiedział cicho Lee John. Powoli podniósł broń, aż lufa znalazła się na poziomie głowy przeciwnika. — Już... cię... nie... ma...

— Zastrzelisz mnie?

— Właśnie to mam zamiar zrobić.

— Mimo iż jesteś świadomy tego, że są ludzie wiedzący, kim jesteś i gdzie mieszkasz, ludzie, którzy nie zawahają się zabić każdego, z kim choćby rozmawiałeś?

— Nic mnie to nie obchodzi. Bawiłeś się nami, człowieku, wykołowałeś nas koncertowo. Pete zginął przez ciebie, potem zabiłeś Karen. Pieprzysz nam w głowach od pierwszej minuty. I za to zginiesz.

— Doskonale! — ucieszył się Paul. — Wiedziałem, że jesteś do tego zdolny.

Hudek się zaczerwienił.

— Tylko nie traktuj mnie jak gówniarza. Nie próbuj!

— Gdzież tam, Lee. Jestem wręcz zachwycony.

Hudek zerknął na Brada i w jego spojrzeniu Brad odczytał prawdę: Paul zdołał jakoś otworzyć kłapę, przez którą można było wejść do jego umysłu, kłapę, która w innych okolicznościach mogłaby na zawsze pozostać zamknięta. Czy Lee Johna wydawały się jednocześnie ciemne i błyszczące, przyjaciel znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że w ostatnich chwilach życia stojący przed nimi facet dowie się przynajmniej jednego: jeśli młody Hudek mówi, że coś robi, to robi i koniec.

Lee uniósł lewą dłoń i podparł nią prawą. Lufa nie drżała.

— Żegnaj, dupku.

Brad zmrucił oczy, bo widok nie miał być szczególnie przyjemny. I nagle rozległ się czyjś głos.

— Nie, kochanie. Tego nie zrobisz.

Słowa te wypowiedziała kobieta. Hudek odwrócił się powoli, jakby musiał przezwyciężyć opór silnego wiatru, jakby już zdawał sobie sprawę z tego, że po tym, co zobaczy za chwilę, nic nie będzie takie jak przedtem.

Z tyłu sali, kilka metrów od drzwi, stała jego matka. I — tuż obok niej — ojciec.

Pani Hudek sprawiała wrażenie spokojnej, nawet pogodnej. Twarz jej męża była nieco bardziej nieprzenikniona.

— Mama? — Głos Lee był cichy, niepewny i bardzo, bardzo dziecinny. — Tata? Co tu robicie?

— Opuść broń, synu. Na razie nie będzie ci potrzebna.

Ta prośba jakoś do Lee Johna nie dotarła. Nie odbiła się echem w jego głowie. Więc nie opuścił dłoni.

Tymczasem Brad stał nieruchomo. Niby wiedział, że nie śni, ale cholernie trudno mu było w to uwierzyć. Pan i pani Hudek pojawili się jakby znikąd. Może mimo wszystko Karen jednak żyje? Może ma fajną pracę w telewizji, może się z nią ożenił, może nie widział Johna Lee od lat, może obudzi się z niegroźnym kacem i wyjoguje go rankiem, nim zaczną się nowy wspaniały dzień.

Lee powoli opuszczał rękę.

— Co tu się dzieje?

Lisa Hudek podeszła do syna. Blisko.

— Wiedzieliśmy, że trudno ci będzie to wszystko ogarnąć, a nie chcieliśmy, żebyś zrobił jakieś głupstwo.

— To wy... wy wiecie, że ci ludzie zabili Karen?

— Tak. Zdajemy sobie z tego sprawę.

— Ale... skąd się tu wzięliście? Skąd wiecie... dlaczego tu przyszlście?

Lisa wyjęła mu pistolet z ręki i oddała go Paulowi. Potem przemówiła do syna:

— Jesteśmy tu, żeby się z tobą pożegnać. Ruszasz w drogę. Życzymy ci szczęścia.

- W drogę?
- Tak — przytaknął Ryan Hudek, a w jego głosie brzmiała rezygnacja. — Czekaliśmy na to od dawna.
- Brad uznał nagle, że ma coś do powiedzenia.
- Ludzie, nie wiem, o co wam chodzi. — Wskazał Paula. — Ale... ten facet stąd nie wyjdzie.
- Lisa spojrzała na niego, jakby był czyścicielem basenu, czymś w rodzaju elementu domowego krajobrazu, stałego do tego stopnia, że nie sposób wywalić go z roboty, choć wykonuje ją kiepsko.
- Bradley, zostaw tę sprawę nam, dobrze? — poprosiła z westchnieniem.
- Nie mogę, pani Hudek. Po prostu nie mogę. Niezależnie od tego, co to za sprawa.
- Zaczyna mi brakować czasu — odezwał się Paul. — A wy, kochani, musicie szybko wrócić do domu. I przygotować się. Już wkrótce zaczynamy przedstawienie.
- Na co się przygotować? — spytał Lee.
- Paul pokręcił głową.
- Nie chodzi o ciebie, tylko o twoich rodziców. Zaszaleli sobie na Rodeo. Utknęli w korkach. — Puścił oko do Brada. — Wiesz, jak to bywa.
- Dlaczego pojechali na zakupy? Dlaczego mieli utknąć w korkach?
- Bo dzięki temu nie mogli oglądać wiadomości w telewizji ani w żaden sposób dowiedzieć się o tym, co się stało. Kiedy dojadą do domu bardzo się zdziwią, widząc stojące przed nim policyjne radiowozy.
- A co się stało?
- Paul pochylił się i włączył jeden ze stojących na stołach telewizorów. Przez chwilę surfował po kanałach, aż znalazł program informacyjny 24/7.
- Lee i Brad zapatrzyli się w ekran. Widzieli na nim pokazywany z zewnątrz budynek, który znali tak dobrze, że aż dziwne, ile czasu zajęło im jego rozpoznanie, choć przecież odwiedzili go dziś rano. Duży gmach zaprojektowany tak, by dobrze prezentował się wyłącznie od środka.
- To Belle Isle? — spytał Lee.

Telewizja miała czas przygotować ruchome nagranie tła, które pokazywała w zbliżeniu lub panoramie, w miarę jak napływały nowe informacje. Komentatorzy niewiele mieli do powiedzenia. Półtorej godziny temu na piętrze galerii Belle Isle wybuchła niewielka bomba. Strażacy z łatwością opanowali pożar. Zniszczony został sklep sportowy Serious About Sport i dwa inne, przylegające do niego z obu stron, są ranni od odłamków szkła. Nikt nie zginął; sprzedawców oraz kilku klientów przewieziono do szpitala, gdzie opatrzono im powierzchowne rany oraz udzielono pomocy osobom zatrutym dymem.

Prezenter przeszedł do szczegółów. Opowiadał teraz, jak policyjni kryminalodzy ustalali okoliczności zdarzenia. Ich zdaniem ładunek zapalający podłożono w sklepie rano. Ukryty był w zwykłej płóciennej torbie, takiej, jaką nosi się na ramieniu. Nagranie ze sklepowych kamer ochrony ujawniło podejrzanego. W tej chwili jego tożsamość jest potwierdzana przed ujawnieniem jej prasie.

Na ekranie pojawiła się stopklatka. Ciemna, zamazana, ujęcie z góry i z przodu. Młody człowiek wieszający torbę na stojaku, kryjący się przed wzrokiem obsługi i klientów, niezdający sobie sprawy z tego, że widzą go aż dwie kamery systemu bezpieczeństwa.

Tym młody człowiekiem był Lee John Hudek. Lecz... nagle jakoś się zmienił. Tak po prostu. Nie był już takim sobie Lee, lecz kimś o wiele większym.

— Przecież w tej torbie były narkotyki — wyjąkał.

Paul wyłączył telewizor.

— Ależ oczywiście — przyznał. — Ale w sąsiedniej już nie. Myśmy ją tam podłożyli, znacznie ostrożniej. Poprzedniego dnia wieczorem. Wkrótce dziennikarze pojawią się także przed twoim domem, Lee. Być może już tam są. Nie przeoczą samochodu Brada. Pomyślą oczywiście, że on też jest w to zamieszany. Raczej prędzej niż później przyjdzie im do głowy, by przeszukać dom Metzgerów. A to oznacza, że w krzakach, w końcu ogrodu, znajdują komórkę Petera Vossa.

— Ale przecież gliniarze dowiedzieli się...

— Szczerze mówiąc, jeszcze do tego nie doszliśmy.

Brad gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Czuł, jak zamazują mu wszystkie komórki ciała po kolei.

— Wiem, że to dla ciebie trudna chwila, Bradley — powiedział cicho Ryan Hudek. — Doskonale zdajemy sobie tego sprawę. Niestety, postęp wymaga poświęcenia.

— Ale... przecież jesteście jego rodziną! Pozwolicie na to? Na zawsze zostaniecie matką i ojcem chłopaka, który zrobił coś takiego!

Pani Hudek się uśmiechnęła.

— Och, przypuszczam, że winnych będzie aż za wielu. Społeczeństwo. Gry komputerowe. Węglowodany, rodzina Bushów, Bin Laden, nawet biedny stary Charlton Heston. Nigdy my. Nigdy my. Tylko ci, którzy wiedzą, oddadzą nam, co należne.

— „Nam” to znaczy komu? — spytał Brad.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Wiecie co? — wtrącił Lee, który milczał od dłuższego czasu. — On nie jest tu jedyną osobą, która nie ma pojęcia, o co chodzi.

Odpowiedział mu Paul:

— Liczy się tylko jedno: twoje dawne życie dobiegło końca. Mała strata, krótki żal, bo zmierzałeś donikąd. Twój „Plan” na wiosenne ferie był najnaiwniejszym z nonsensów, jakie zdarzyło mi się słyszeć. Znajdziemy ci miejsce, gdzie będziesz bardziej użyteczny.

Lee unikał jego spojrzenia. Opuścił wzrok na podłogę.

— Już się kiedyś spotkaliśmy, prawda? — spytał. — Kiedy? Kiedy to było?

— Dawno, dawno temu. Musiałeś się dowiedzieć, że możesz iść tylko jedną drogą. A przy okazji dowiodłeś, że jesteś naszym człowiekiem. Nadajesz się.

— Do czego?

— Odbędziemy wspólną podróż. Wyjaśnię ci po drodze.

— Przepraszam bardzo, ale... czy ja tu gdzieś pasuję? — nie wytrzymał Brad.

Mężczyzna spojrział na niego obojętnie

— Nie, nie pasujesz — powiedział spokojnie, uniósł broń szybkim, płynnym ruchem i strzelił mu wprost w środek czoła.

Chłopak cofnął się o krok. Nogi splątały mu się jak pijanemu i powoli opadł na podłogę. Przez chwilę wydawało się, że próbuje wstać, że może mu się to nawet uda, ale tylko przewrócił się na bok. Powoli przebierał nogami, obracając się w kółko, pozostawiając po sobie ślad pienistej czerwieni.

W głowie wybuchały mu barwy, światła, wspomnienia. Miejsce i czas zderzyły się ze sobą, tworząc skompresowaną wieczność, wirującą wokół własnej osi. Wydawało mu się, że jest przytomny, było mu ciepło, wszystko się ułoży, będzie dobrze, może nawet lepiej. Już prawie rozumiał, że to był tylko sen, przykry, nieprzyjemny. Słyszał głos odbijający się echem wewnątrz jego czaszki. Znajomy głos. Otworzył usta, może chciał wypowiedzieć jej imię, a może tylko „cześć”.

Paul strzelił po raz drugi. Ciało znieruchomiało.

Zapadła cisza. Umiłkły nawet echa wystrzału.

— O rany — powiedział cicho Lee.

Na rodzicach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, choć przecież przyrządzali Bradowi lemoniadę, od kiedy był w stanie sam utrzymać szklankę. Ich syn spojrzał beznamiętnie na martwe ciało przyjaciela. Przypuszczał, że jest w szoku czy coś takiego, zaskoczyło go jednak, że tak niewiele czuje. Brad zawsze był trochę słaby, to znaczy, słaby na umyśle. W szkole był fizycznie silniejszy, zapewne nawet nieco sprytniejszy, a w każdym razie byłby, gdyby zdawał sobie sprawę ze swoich możliwości. A także o wiele przystojniejszy. A jednak po prostu dryfował przez życie. Nie miał pojęcia, że na tym świecie są miejsca, które warto odwiedzić, i cele, które warto osiągnąć. Czy starczyłoby mu siły i determinacji, by sięgnąć po broń, gdyby ktoś go zaatakował? Zapewne nie. Choć przecież dziś próbował go zabić, więc kto wie. Tak czy inaczej, pieprzyć go!

— Tak będzie dla niego lepiej — orzekł autorytatywnie Paul. — Jeszcze trochę, a zszedłby na psy.

Lee skinął głową.

— Skoro tak twierdzisz...

Przesunął dłońmi po włosach. Szczerze mówiąc, czuł się więcej niż dobrze. Przeżył kilka mrocznych dni, okropnych

przez wszystkie te kłopoty i napięcie wynikające z niemożności dostrzeżenia jasnej, prostej drogi w przyszłość. Teraz wszystko wydawało się prostsze. Trzeba tylko przejść przez zaledwie jedno drzwi.

— I co teraz? — spytał.

— Tak długo na to czekaliśmy. — Mama przesunęła palcem po jego policzku dokładnie tak, jak zrobiła to, kiedy policjanci wyszli z ich domu. Oczy miała czyste, jasne. — Będziemy z ciebie bardzo dumni.

## Część III

# Ten

*Najpowszechniejszym i najpoważniejszym  
błędem współczesności jest przekonanie,  
że to, co minęło, nie istnieje.*

Clarke Ashton Smith  
*The Black Book of Clarke Ashton Smith*



## Rozdział dwudziesty szósty

Wreszcie Jim spróbował coś zjeść. Znów zaparkował przed Renee's. Sprawdził alejkę od zaplecza. Oczywiście nie znalazł ani śladu dziecka. Nigdy go tam nie było.

Zamówił śniadanie Hearty-Ho, usiadł przy stoliku najbliższym okna, a kiedy przyniesiono mu jedzenie, dobrze mu się przyjrzał. Wyglądało dokładnie tak jak na zdjęciu w menu, a śmierdziało przeraźliwie. Mimo wszystko spróbował, przeżuł kilka kęsów, zerwał się na równe nogi, sztywnym krokiem poszedł do toalety i zwymiotował.

Wytarł usta rękawem, wrócił do stolika, usiadł. Nie miał zamiaru jeść więcej. Sam zapach sprawiał, że musiał odwrócić głowę. Chyba tylko on miał ten problem. Paru kierowców ciężarówek oraz miejscowe ranne ptaszki zajadali, jakby dziś miał się skończyć świat. Jim był tak głodny, że niemal nie mógł rozsądnie myśleć. Ale nie tylko o to chodziło. James nigdy nie był najlepszy w jasnym, spójnym rozumowaniu. Od tego był Jim. James w zasadzie pozostał siedemnastoletnim chłopcem i, szczerze mówiąc, przeważnie robił to, na co akurat miał ochotę. W każdym razie gdziekolwiek Jim spojrział w tej chwili, cokolwiek zobaczył, miał kłopoty z określeniem, czy to coś da się zjeść, czy zjeść się nie da. To gówno, które mu podano, oczywiście nie nadawało się do jedzenia. Potrzebował czegoś, ale z pewnością nie tego.

Jim wiedział, o czym myśli James. Myślał o tym od dwóch dni. Nie potrzebował niczego wielkiego, ot, coś na uspokojenie żołądka. A skoro już upadłeś tak nisko, to niby dlaczego nie...

— Nie. Nie ma mowy.  
Dopił kawę, zapłacił i wyszedł.

Samochód ruszył.

Tym razem Nina była na to przygotowana. Za pierwszym razem leżała zwinięta w kłębek i prawie spała. Choć... słowo sen nie całkiem pasowało do rzeczywistości, było raczej tak, jakby trwała w stanie zawieszenia, w tęym, mrocznym strachu znacznie lepszym niż czuwanie. Słyszała, choć nie do końca była tego świadoma, trzask otwieranych drzwi, brzącający metalicznie brzęk i warkot uruchomionego silnika. Nim zdążyła jakoś to sobie poukładać, samochód ruszył ostro. Spadła na podłogę, gdzie niewiele było miejsca, a po drodze jeszcze uderzyła się w głowę. Krzyknęła z bólu, bo nogę miała wykręconą tak, że lada chwila mogła skrócić kolano, ale ciągle była zakneblowana i ten krzyk utkwiał w jej gardle, nie wydostając się na zewnątrz. Potem mogła już tylko czekać, próbować zapomnieć o cierpieniu, obrócić się nieco, zmienić pozycję, żeby nie bolało tak strasznie. Kierowca zatrzymał się wreszcie i chyba uświadomił sobie, co się stało. Brutalnie rzucił ją na łóżko, stół czy cokolwiek to było. Na łagodności mu nie zależało. Traktował ją jak rzecz.

Ból kolana prześladował ją bardzo długo, lecz gorsze było dokuczliwe uczucie mdłości, gnębiące ją przy nagłych zmianach kierunków, których nie była w stanie przewidzieć — albo zakręty, albo spaliny wpadały do środka. Oczekiwała, że lada chwila zwymiotuje ale do tego na szczęście nie doszło. Po prostu leżała. Leżała, leżała, leżała. Czuła się tak źle, że zaprzestała swojej ulubionej gry: przypominania sobie składników idiotycznej sałatki, którą Ward próbował zrobić w Sheffer, wyobrażania sobie, że tym razem zjadła jej więcej, że zjadła wszystko, byle tylko zrobić mu przyjemność. Zamiast tego zaczęła sobie wyobrażać, że siedzą razem, że z nim rozmawia, na brzegu jeziora, przed chatą, ich chatą... aż wreszcie zdała sobie sprawę, że to się już nigdy nie zdarzy, i pogrążyła się w smutku tak wielkim, że zaprzestała gier.

Tym razem, kiedy usłyszała, że wsiada do furgonetki, była gotowa. Nie wątpiła już, że podróżują właśnie furgonetką, sądząc po dźwięku silnika, starym volkswagenem camperem. Poddała się bezwładności, która przesunęła ją do tyłu, gdy samochód ruszał, przygotowała się na ruch w przód, gdy ustabilizował prędkość. Wyszło doskonale. Zawsze szybko się uczyła

Camper jechał z równą prędkością przez pewien czas, może nawet dwadzieścia minut. Potem znów się zatrzymał. Silnik ucichł. Przednie drzwi otworzyły się i zamknęły.

Czyżby on znów się dokądś wybierał?

Nie. Zgrzytnęły boczne, przesuwne drzwi. Odetchnęła przedziwnie świeżym, ożywczym powietrzem. Usłyszała śpiew ptaków. Czyżby wyjechali z miasta? Dlaczego? Co teraz będzie?

Samochód zakołysał się, kierowca wszedł do środka, boczne drzwi znów zgrzytnęły, zamknęły się.

Był blisko. Nina czuła napięcie w całym ciele. Co robi na początek? I gdzie to zrobi?

— Nie bój się.

Jasne, pomyślała. Zabawne, jak magicznie działają te trzy słowa. Całkiem jak inne, również trzy: „Nie jestem pijany”.

Próbowała odezwać się mimo knebla, miała nadzieję, że zostanie zrozumiana.

— Nie, nie pozwolę, żebyś coś widziała lub coś mówiła. Prędzej czy później powiedziałaś coś niepotrzebnego. Już popełniłem błędy. W hotelu było kiepsko, wiem, że Przewidujący Chłopak każe mi za to zapłacić. Ale... słuchaj, po prostu leż. Cicho. Wszystko będzie dobrze.

Nina miała wątpliwości. Poważne wątpliwości. Facet nie mówił do niej, tylko do siebie. A kiedy upewniaś się co do własnych intencji, to potem łatwo wybaczasz samemu sobie, że sam sobie nałgałeś.

Niemniej leżała. Cicho. Gdy zaczął mówić, słuchała go uważnie. Opowiadał powoli, z wahaniem, jak ktoś, kto od dawna nie miał słuchaczy, od dawna sam był swoim słuchaczem.

W gimnazjum miał nauczyciela, który powiedział coś, co najwyraźniej utkwiło mu w pamięci. Otóż próbował on

udowodnić jakąś tezę (James dawno zdążył zapomnieć, o co chodziło, pozostało mu tylko wspomnienie ciepłego popołudnia, takiego, kiedy to ostatnią rzeczą, jakiej chcą uczniowie, jest słuchanie kogoś) zboczył z tropu i zaczął rozważania na temat: jak to ta sama różnica może reprezentować różne typy różnic. Choć nie brzmiało to obiecująco ani nawet zrozumiale, jego słowa przeniknęły jakoś do świadomości chłopca, który skupił się na chwilę i usłyszał następne pytanie:

— Na przykład jaka jest różnica między dwa i trzy?

Przez chwilę panowała cisza, przerywana wyłącznie bzyzczeniem niechlujnej muchy, objijającej się o okno biegnące przez całą szerokość klasy.

Któryś z uczniów, a raczej któraś z uczennic, pospieszyła wreszcie z pomocą.

— Jeden.

— Oczywiście. — Nauczyciel energicznie skinął głową. — Różnica między tymi dwoma cyframi wynosi jeden i w zasadzie tylko tyle można o tym powiedzieć. A teraz odpowiedzcie mi na następujące pytanie: jaka jest różnica między jeden i dwa?

Ktoś, najprawdopodobniej ta sama dziewczynka i po równie długiej przerwie, powiedział Jeden”. Pan profesor przytaknął jak poprzednio, ale uśmiechał się przy tym swoim zawadiackim uśmiezkiem, mającym świadczyć, iż ma asa w rękawie, dzięki niemu dowiecie się, że jest fajny jak wszyscy diabli, że jest waszym dobrym panem Chipsem, a tymczasem spowodowało to tylko pojawienie się niesprecyzowanego do końca marzenia, by dostać ataku serca tu i teraz.

— To też prawda — przyznał radośnie. — A teraz pomyślcie. Różnica między dwa i trzy to tylko dowód, że macie czegoś więcej, niż mieliście. Trzy dolce w kieszeni to trochę lepiej niż dwa, nie? Trzy nieodrobione prace domowe to jednak gorzej niż dwie.

Nikt się nie roześmiał, chyba tylko jedna dziewczynka zaledwie się uśmiechnęła. Dziewczynki są grzeczniejsze od chłopców. A jeśli nie, to z pewnością lepiej udają.

— Nazywa się to „różnicą ilościową”. Trochę lepiej, trochę gorzej, zależy od tego, kto liczy i jak. Nic wielkiego, prawda?

Tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Spojrzał przez

okno w dal, miał minę człowieka liczącego lata dzielące go od emerytury i stwierdzającego z żalem, że jest ich za dużo. Niemniej dzielnie parł naprzód:

— Różnica między jeden a dwa jest jednak znacznie ważniejsza. To różnica między mieć coś i mieć dużo, między czymś wyjątkowym a powszechnym. Jeśli ktoś twierdzi, że istnieją dwaj bogowie, a ktoś inny, facet, dziewczyna, obojętne, powie, że jest ich trzech albo pięciu, nikogo to nie poruszy.

Można powiedzieć, że wszyscy politeiści grają w tej samej drużynie. Ale kiedy monoteiści zderzą się z politeistami, najlepiej zrobiecie, szukając głębokiej dziury w ziemi. Jeden prawdziwy Bóg przeciw kupie dziwaczych pogańskich bożków? To jest już fundamentalna różnica. Kłaki fruują w powietrzu. Sypiasz z jednym facetem albo sypiasz z dwoma. To jednak jest znacząca różnica, prawda? Rozumiecie, o czym mówię?

Nikt nie rozumiał, a przynajmniej nie aż tak dobrze, żeby się do tego przyznać. Mucha bzycała. Ucichła na chwilę, ale szybko wróciła do pracy, na swój własny muszy sposób.

— W ten sposób dochodzimy do czegoś znacznie ważniejszego — ciągnął nauczyciel. — Do różnicy między zero a jeden. I znów... spokojnie, Karla, tym razem ja zajmę się matematyką, za to mi płacą fortunę... pozornie mamy różnicę wynoszącą jeden. Masz zero, dodajesz jeden, masz jeden. Racja?

James przyglądał mu się teraz badawczo. Sens tych słów powoli przesączał się do jego umysłu, zupełnie jakby uważnie słuchał całej przemowy faceta. Było to dla niego nowe doświadczenie. Dziwne, jakby go coś do słuchania zmusiło.

— W rzeczywistości jednak — nauczyciel uniósł w górę palec — wcale nie chodzi o tę jedynekę! To nie jedyńka! Mówimy tak dla matematycznej wygody, ale tak naprawdę od świata cyfr i liczb przechodzimy w tym momencie do świata liczb, do czegoś, co filozofowie nazywają „ontologią”. Już nie rozmawiamy o działaniach matematycznych, o ilości, lecz o jakości. Zaczynamy dyskusję o istocie świata.

— Co? — zdziwił się ktoś. — O czym pan mówi?

— O wielu możliwościach. Chcecie przykładu? Mieć jedno dziecko i mieć bliźniaki to w końcu niewielka różnica...

— Tak pan sądzi? — przerwała mu któraś z uczennic, bardzo oburzona.

— Nie, nie, ja mówię tylko o okolicznościach — natychmiast poprawił się nauczyciel. — Jedno czy dwoje dzieci to kwestia stopnia trudności, wzrastają koszty, są wszystkie te kwestie praktyczne, wózki i tak dalej... ale być w ciąży albo nie być w ciąży, to naprawdę zmienia życie. To różnica między byciem kobietą a byciem matką. Kiedy zero zmienia się w jedynekę, wszechświat wywija koziołka, życie się zmienia. Rozumiesz?

— No tak — mruknęła dziewczynka. Albo się uspokoiła, albo znów zapadła w drzemkę.

Na tym jednak przemowa się nie skończyła.

— Rozumiecie, o czym mowa, moi kochani? Dochodzimy do pointy. Jest Bóg albo nie ma Boga. Żyjemy lub nie żyjemy. Życie albo śmierć.

— Prawda lub fałsz — powiedział James cicho.

— Doskonale, James! — krzyknął zachwycony nauczyciel. Dopiero teraz chłopak zdał sobie sprawę z tego, że to on wymówił te słowa. — Dziękuję... a już myślałem, że zapadłeś w śpiączkę. Zero, jeden. Włączone, wyłączone. Prawda, fałsz. Coś się nie zdarzyło i świat poszedł swoją drogą, ale jeśli coś się zdarzyło, wybrał inną. Różnica między zerem i jedyneką to jak zmiana rzeczywistości. Bierzesz w swoje ręce świat, zmieniasz go na zawsze.

James patrzył na niego zachwycony. Rozumiał. A potem rozległ się dzwonek i klasa błyskawicznie opustoszała.

Mężczyzna umilkł. Milczał, jakby rozpamiętywał wspomnienia. Coś w sposobie opowieści powiedziało Ninie, że nie rozmawiał o tym od bardzo dawna.

— Każdy pamięta swój pierwszy raz — powiedział w końcu. — Dla mnie to była Karla. Tylko nie myśl sobie, że nie lubię kobiet. Lubię, tyle że nie wszystkie. Niewiele. Ale z niektórymi dobrze mi się układa. Miałem żonę. Miałem... żonę. Chodzi o to, że jest wspaniale, kiedy kobieta robi coś dla mnie ale to nieczęsto się zdarza. Musi być wyjątkowa. Martwiło mnie, że

różni faceci będą sobie oglądali kelnerkę czy kogoś w tym rodzaju, będą gadali, że dziewczyna jest ostra, a ja widzę, że ma miłą buzię, fajne cycki czy dupcię, czy coś, cokolwiek uważają za takie wspaniałe i to mniej więcej wszystko. To trochę tak, jakby ktoś proponował ci sandwicza, a ty sobie myślisz: jasne, chlebek świeży, skórka chrupiąca, szyneczka i serek w przyzwoicie grubych warstwach, no i ta odrobina zmielonego pieprzu dla smaku... tylko że wcale nie masz na niego ochoty. Nie w tym rzecz, żebym nie lubił sandwiczów. Wręcz przeciwnie. Tylko że tego akurat nie chcę i już. To takie proste. A potem widzisz taką, którą aż byś schrupał. Musisz ją mieć. Tę ze skrzydłami! I zawsze kończy się źle. — Westchnął ciężko. — Jestem głodny — przyznał. — Bardzo, bardzo się staram. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, ale byłoby źle, gdybym zaczął.

Nina nie miała pojęcia, o czym ten facet gada. Była niebezpiecznie odwodniona, miała ogromne problemy z koncentracją. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że trudno być czujnym, kiedy człowiek musi się cały czas pilnować, bo rozmówcy może wpaść do głowy pomysł, by podkreślić jakiś istotny punkt wywodu za pomocą noża zdzierającego skórę, wbitego pod paznokcie, może nawet w oko. Nie miała zamiaru wypowiadać wojny jego słowom. Wiele godzin spędziła, rozmawiając z psychopatami i jeśli dzieliła cię od nich gruba płyta zbrojonego szkła, bywało to nawet fascynujące, choć większość z nich zjeżdżała w przepaść tą samą wąską dróżką, chore stado samo pędzące do krwawej jatki. Ci ludzie nigdy nie wyzwolili się od własnej wizji dzieciństwa, pewni, że było ono tak ważne, tak znaczące jak niczyje inne. Automatyczny tik zapamiętanych na zawsze krzywd i niepowodzeń. Kręcili się wokół jakiegoś ważnego dla nich zdarzenia jak wściekle psy przywiązane do słupa, niezdolni zrozumieć, że poza ich wyobrażeniami istnieje rzeczywisty świat, a w tym świecie było to tylko nieważne zdarzenie, zagubione już w oceanie czasu. To zdarzenie było dla ich umysłów niczym bicie serca dla ciała.

Mężczyzna umilkł na chwilę. Nina poczuła zapach wysuszonego tytoniu.

— Już jest bardzo źle — powiedział, a samo brzmienie jego

głosu świadczyło, że przegrywa bitwę. Usłyszała trzask zapalki. Zapalił papierosa. Nie miała nic przeciwko temu. Papieros przypomniał jej Warda.

Zbliżył się. Zamarła. Zawahał się chyba, a potem poczuła jego dłonie na głowie. Jeden szybki ruch... i opaska na oczach znikła.

Wzrok Niny długo dostosowywał się do światła, mimo że wewnątrz furgonetki oświetlone było bardzo słabo. Przed sobą widziała drzewa, a pomiędzy drzewami i nią mężczyznę. Nie-młodego. Mocno zbudowanego. Miał smutne oczy. Ale litował się nie nad nią, lecz nad sobą.

Zamrugła, obiegła wzrokiem wewnątrz furgonetki. Było małe, pozbawione okien. Dostrzegła kilka zardzewiałych zadrapań po wewnętrznej stronie drzwi. Krótkie, równoległe linie. Zupełnie, jakby ktoś wydrapał je paznokciami, rozpaczliwie próbując uciec.

Być może niejeden więzień próbował?

Powoli, z wahaniem, mężczyzna znów zaczął mówić. Zdjął jej opaskę, owszem, ale ani razu nie ośmielił się spojrzeć Ninie w oczy.

— Pamięta się ostatni raz — powiedział i zawahał się na moment — ale większość z was wspomina ten pierwszy. Kiedy od zera przechodzimy do jedności. To jak pierwsze piwo albo gdy pierwszy raz leżysz obok dziewczyny, już po wszystkim, niepewny siebie, nadal podekscytowany, trochę zmęczony, ona jakby dzięki temu dorosła, ty czujesz się młodszy i mniej ważny, niż byłeś zaledwie kilka godzin temu. Przewidziałeś, jak będzie wyglądać ta noc, stoczyłeś najważniejsze bitwy w podboju nieznanych ci do tej pory wzgórz dorosłości. Nie jesteś pewien, dokąd idziesz i po co, więc po prostu przesz przed siebie. Jak wszyscy. Zaczyna się od alkoholu. Uświadamiasz sobie, że dorośli piją to, czego tobie pić nie wolno, a ten jeden czy drugi łyk, który trafił ci się w domu, smakuje dziwnie. Więc myślisz sobie: właśnie o to chodzi, jest w tym coś dorosłego, wspaniałego i łykasz to świństwo, nawet jeśli ci nie smakuje. Bo to takie wyrafinowane, takie niedziecinne. I nagle któryś



z uczniów dokonuje filogenetycznego przeskoku, wyprzedza cię o miesiące. Wszyscy plotkują o tym na korytarzach ściszonymi głosami, z zazdrością: weekendowa prywatka, starsi chłopcy mają sześciopak, kolega z klasy wypija trzy puszki, nie rzyga, a nawet całuje dziewczynę...

No, z tym całowaniem to oczywiście łągarstwo. Młodzi chłopcy zawsze posuwają się o kłamstwo za daleko, dorośli chłopcy oczywiście też. Reszta jest jednak prawdą, a tożsamość tego odważnego nikogo by nie zdumiała.

Przewidujący.

W każdej klasie jest ktoś taki. Ktoś, kto zawsze pierwszy dociera do celu, pozostawia swoje śmieci na szczycie z trudem zdobytej przez siebie góry, idzie sobie tylko znanym skrótem do dorosłości, zostawiając po sobie echo swojego głosu.

Skoro on przełamał lody, to przecież wszyscy mogą iść wytyczoną przez niego ścieżką. Musi przyjść wreszcie taki wieczór, kiedy spotykasz się z kumplami przed barem, jednemu z nich nie sprawdzają wieku i nagle trzymacie w ręku duże chłodne szklanki, nagle jest zupełnie inaczej niż wtedy, gdy latem zeszłego roku upiłeś łyżeczek z ciepłej butelki w domu, na trawniku, więc pijesz, piana, metaliczny posmak, coś, co mogłoby wyciec z maszyny, ale przecież wiesz, że to piwo, więc pracowicie opróżniasz szklankę, którą za zaledwie kilka lat pochłoniesz kilkoma łykami, nawet o tym nie myśląc. Nie wiesz, że zegar ruszył.

Wyciągnąłeś pierwszą z magicznych kart. Piwo cię zaczarowało. Z dnia na dzień awansowałeś do grona twardzieli chlejących piwsko, czujących się w jego oceanie jak ryba w wodzie. Jezu Chryste, sam czasami przed sobą przyznajesz, że jesteś tylko krok od nałogu, że jednak przesadzasz, choć piwo smakuje jak mydliny, jest, prawdę mówiąc, kwaśne, choć się do tej prawdy nie przyznasz, nawet przed sobą, przecież nikt nic nie mówi, a ty nie chcesz wyjść na mięczaka... zwłaszcza teraz, kiedy udowodniłeś, że przecież nie jesteś mięczakiem.

Tymczasem Przewidujący, którego uznania szukają wszyscy (i którego trochę się boją i więcej niż trochę nienawidzą), z uśmiechem na ustach przekracza kolejne granice. Regularnie pali papierosy, skrycie wsuwa łapę pod bluzkę ładnej dziewczyny, a

wreszcie, w końcu, robi to. Coś wielkiego, Superpuchar dorosłości, wydarzenie oddzielające mężczyzn od chłopców, tych, co pracują, i tych, co biorą, kwalifikujące do rzadkiej kategorii VIP-ów dorosłości, umieszczające ich za ogrodzeniem doświadczenia, oświetlonych działaniem, wspanialszych i twardszych w stopniu, którego nigdy nie osiągniesz, nie poczujesz, niezależnie od tego, co będziesz robił do końca życia.

Ty jednak tego nie rozumiesz, przynajmniej na razie. Żyjesz na kredyt, a na kredyt trzeba zarobić. Więc pewnego popołudnia zaczynasz palić (i nienawidzisz papierosów albo i nie), nie mając pojęcia, że za ten jakże mały krok w niewłaściwym kierunku zapłacisz dziesiątkami tysięcy dolców, dziesiątkami przerw na kawę spędzonych na chłodzie i deszczu z innymi pariasami, a wreszcie i życiem. I w końcu, w takich czy innych okolicznościach, udaje ci się położyć dłoń na zaskakująco ciepłej, miękkiej dziewczęcej piersi. Nie wierzysz, że do tego doszło, to jakby wbrew nadziejom, wbrew oczekiwaniom pozwolono ci popieścić małe, łyse, mityczne stworzenie w jego gnieździe. Nie wiesz, co zrobić, sytuacja nie narzuca przecież żadnego logicznego następnego kroku, ale... co ma się stać, to się stanie. W końcu będziesz się oczywiście pieprzył, zawstydzające doświadczenie, lecz szybko się kończy, i jesteś po drugiej stronie wzgórza. Niewiele masz już do zrobienia, zaliczyłeś dwa może najważniejsze wydarzenia w życiu.

Prędzej czy później sam zaczniesz stawiać przed sobą cele, w końcu trzeba coś robić, żeby czas płynął. Mogą być nieokreślone, choć obliczone na pokaz, niech wszyscy widzą wielki samochód, wielki dom, ważną pracę, a mogą być szczegółowe i przede wszystkim prywatne. Ręka zaznaczająca na liście osiągnięcie każdego z nich może i wygląda na twoją, w rzeczywistości jest jednak młodsza od ciebie. To ona sięgnęła po pierwszego papierosa, to ona gładziła pierś dziewczyny, chłodnej i znużonej, święcie przekonanej, że na twoim miejscu powinien być ktoś inny. To ona podciągała kołdrę pod brodę, gdy kładłeś się spać w domu rodziców nad ranem, po tej nocy, kiedy kochałeś się po raz pierwszy. Ziemia wirowała, wiedziałeś, że świat się zmienił, zastanawiałeś się nawet, dlaczego tej zmiany nie czujesz, może zrobiłeś coś źle albo gorzej, nie całkiem dobrze.

Dlaczego sama idea jest o tyle donioślejsza, dlaczego wydaje się o tyle wspanialsza niż to, co się rzeczywiście zdarza?

Dłoń to klucz. Jeśli już przyglądasz się cudzym ręką, to skup uwagę i wzrok. Dowiesz cię, kim ich właściciel jest, był i co zrobił. Dłonie, które coś robią. Działają. Opanuj czyjąś dłoń, a zavlądniesz jej właścicielem.

Zapalenie pierwszego papierosa może być wyrokiem śmierci, jednak papieros to nie wyjątek. Za pierwszym razem nawet ci się to podobało, ale też i wiedziałeś, że nie zgłębiłeś tajemnicy. Gdzieś zawsze kryje się coś więcej, zawsze znaleźć można coś, co pogodzi ideał z rzeczywistością, co świat, który sobie wyobrażasz, dopasuje do świata takiego, jakim jest.

Większość mężczyzn przyjmie to wyzwanie, upora się z nim w sposób wypróbowany przez stulecia. Zawsze i na zawsze będą szli szlakiem wyznaczonym przez Przewidującego. Bo on jak zwykle pierwszy dokonał przedostatniego dzieła życia. Dziewczyna zaszła w ciążę. W ten sposób skończyły się przewidywania i nadzieje, zastąpione jakże dorosłymi rozkoszami zarabiania na życie, zbijania regałów, siedzenia na tylnym gan-ku z puszką piwa (smakującego już jak woda) w garści i gapienia się na ogródek w takim skupieniu, jakby najważniejszą tajemnicą świata było zrozumienie, po jaką cholere w ogóle nadchodzi następny dzień.

Nasz Przewidujący jest też często pierwszym, który dokonuje pełnego obiegnięcia, przekracza najdalszy horyzont, umiera... ale tego w szkole nie uczą. W szkole pierwszy był zawsze ten lepszy, dopiero życie uczy cię, że lepiej trzymać się z tyłu stawki. Zresztą w pewien sposób ten chłopak nigdy nie umiera, nawet kiedy znajdują go na bocznej drodze, wplątanego we wrak samochodu, który prowadził po pijaku. Pozostaje nieśmiertelny, ciemne nasionko ukryte głęboko w skorupce twojej stałej, niezmiennej opinii o samym sobie. To dzięki niemu rozumiałeś, że nie jesteś nikim wyjątkowym i nigdy nie zajmiesz pierwszego miejsca w wyścigu, o którym ktokolwiek będzie cokolwiek wiedział. Odszedł, lecz znów się z nim spotkasz. Będzie starszy, będzie wymizerowany, pewnego dnia uświadomisz sobie jednak, że sporo z tego, co robiłeś na swój

rachunek, zrobione było w rzeczywistości na jego rachunek. On zawsze będzie o krok przed tobą, a zna cię lepiej, niż ty znasz samego siebie. On pociąga za sznurki, ty tańczysz, jak ci zagra. Prowadzi cię mroczną aleją, stawia przed tobą cele, których osiągnięcie wymaga wysiłku.

A kiedy wykonasz już swą robotę, kiedy dysząc ciężko, staniesz ciemną nocą naprzeciwko lustra odbijającego świat, z którego nie ma przecież drogi ucieczki, z tego lustra spojrzysz na siebie jego twarz.

Telefon zadzwonił nagle, przerywając mu w pół zdania. Nie odebrał. Już raz tak było tego dnia... a może nocy, Nina nie była w stanie rozpoznać, czy na świecie jest jasno, czy też panuje mrok. Żyła w ciemności. Dźwięk ten przypominał, że gdzieś w furgonetce powinien być jej telefon. Wyłączony, owszem, a ona była skrupowana, więc jak mogła z niego skorzystać? Ale o nim nie zapomniała.

Przez kilka minut panowała cisza.

I znów rozległ się dzwonek. Tym razem mężczyzna odebrał. Powiedział tylko „w porządku”.

Na tym się skończyło.

Zapalił kolejnego papierosa. Nina natychmiast wyczuła, że w atmosferze zaszła znacząca zmiana.

— No cóż, przyjeżdża — powiedział mężczyzna. Zmienił się, znowu był twardzielem. — Wywołaliśmy diabła z piekła rodem. Sam Przewidujący objawi się nam w ludzkim ciele. A więc... muszę to jednak zrobić.

Nina próbowała coś powiedzieć. Cokolwiek, ale z powodu knebla tylko bełkotała. Porywacz szybko zawiązał jej opaskę na oczach i świat znów pogrążył się w mroku.

Wstał i przeszedł obok niej, a furgonetka zakołysała się lekko. Nina usłyszała nad głową zgrzyt, być może wysuwanej szuflady. Potem były jeszcze cichsze, trudniejsze do zidentyfikowania dźwięki, a jeszcze potem przesunął się przed nią. Usłyszała suchy, drażniący dźwięk.

Może ktoś zrobił zdjęcie polaroidem?

Trzask, jakby coś gdzieś położono. Mężczyzna był tuż przy

niej. Wziął ją za prawą rękę, słyszała, jak oddycha szybko, ciężko. Nie czuła się bezpiecznie.

Coś zaciśnięto wysoko na jej ramieniu. Próbowwała kopać, a przynajmniej jakoś się odsunąć. Nagle coś wstrząsająco ostrogo ukuło ją w żyłę pod łokciem. Zesztywniała, przerażona.

A on dyszał, płytko i szybko.

To ostre coś pozostało w jej ciele przez kilka minut, pięć, może nawet dziesięć. Potem znikło.

Mężczyzna znieruchomiał na długą chwilę. Stał nad nią, jakby rozważał ostatnią szansę niezrobienia jej krzywdy. Potem odszedł.

I co teraz? Co zamierza zrobić?

Usłyszała, że wyjmuje coś z szafki. Nie wiedziała, czy to noże, czy jednak nie. Brzęk, zgrzyt jakby coś wkręcano, syk czegoś, co pachniało jak gaz. Trzask, jakby zapalki, lecz tym razem nie towarzyszył mu zapach papierosowego tytoniu.

Robiła wszystko, by myśleć o czymś, o czymkolwiek, byle nie o tym, co się dzieje. Wróciła pamięcią nad jezioro. Widziała lśniąca ciemną toń pod zachmurzonym niebem, wierzyła, że gdyby tylko obudziła się ze złego snu, odwróciła głowę, zobaczyłaby siedzącego tuż obok Warda, uśmiechającego się tym jego charakterystycznym kpiącym uśmiechem, rozbawionego, że płakała przez sen.

Tam nie może dotrzeć. Za daleko.

Musi zostać tu, w furgonetce, z tym mężczyzną. Nie może pozwolić sobie na to, by nie rozumieć, co on robi. Nawet nie bardzo przeszkadzał jej dźwięk krwi spływającej do metalowego, sądząc z odgłosu, naczynia, tylko że wytoczył jej tak wiele, iż poczuła mdłości. Jakoś jej wytrzymała.

Gorzej było, gdy zaczął tę krew gotować.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Spałem źle, choć usilnie starałem się zasnąć, bo nie znałem innego sposobu, by przyspieszyć nadejście dnia. Wynajęcie pokoju w Holiday Inn okazało się najłatwiejszą rzeczą na świecie. Leżałem na długim, twardym łóżku, gapilem się w sufit, życząc sobie tylko, żeby znikł gdzieś w przestrzeni i pozwolił mi unieść się daleko, wysoko, tam gdzie głowa nie bolałaby mnie z poczucia pustki. Nie miał na to ochoty i może ja też nie miałem. Czas nieświadomości tylko oddaliłby mnie od Niny, czas odbiera barwy rzeczywistości niczym wiatr zwiewający jesienne liście. Nieco po drugiej nad ranem wstałem, wyjąłem z kieszeni telefon, znów wybrałem ten numer. Nic z tego. Operator znów przekierował mnie na pocztę głosową.

Nad ranem musiałem jednak zapaść co najmniej w drzemkę, bo nagle znalazłem się w miejscach, które nie były Thornton. Przez jakiś czas stałem na groźnym dla zdrowia, a nawet życia tarasie domu Niny w Malibu, czekając, aż do mnie dołączy. Nie przyszła, a kiedy wszedłem do środka stwierdziłem, że nagle znalazłem się w domu rodziców, tym, w którym dorastałem, odległym o setki kilometrów od Los Angeles, stojącym w Hunter's Rock. Był zimny, pusty, zaniedbany, na suficie w rogach i nawet na ścianach pojawiły się wilgotne plamy. W pokoju stało łóżko, był tu też telefon na stoliku obok niego, ale uparcie milczał. Czekałem, myśląc sobie, że przynajmniej mama do mnie zadzwoni. Potem jakiś czas spacerowałem wśród drzew, nie tych małych, gęsto rosnących w okolicy, lecz po

prawdziwych, głębokich lasach jak te, które otaczały Sheffer. Niedawno padał tu śnieg, za ich pniami powstały małe zaspasy i zaspasy te potrafiły myśleć, znały moje imię, lecz żadna z nich nie chciała ze mną rozmawiać. Tylko mnie obserwowały, bez wrogości. A ja brnąłem w las głębiej i głębiej.

Znalazłem się wreszcie na kanapie w mieszkaniu w Seattle. Zajmowałem je przez jakiś czas, dziesięć lat temu. Szóste piętro, widok na zatokę Elliot — było to jedno z najprzyjemniejszych miejsc, w jakich dane mi było żyć. Mieszkałem tam z kobietą; był to najdłuższy tego rodzaju związek w moim życiu. Przez niemal cały czas ta kobieta był zimną profesjonalistką, zawsze osiągała to, co chciała osiągnąć, istny postrach leniwych pesymistów. Nazwałem ją Hope „nadzieja”. Częściowo dlatego, że bardzo przypominała aktorkę grającą postać o tym imieniu w jakimś serialu, ale przede wszystkim z tego powodu, że wydawała się pełna nadziei. A także pewności, że świat jest miejscem dobrym, sensownym, że istnieje po to, by przyzwocić się na nim żyło ludziom rozsądnym i uczciwym, że już dopilnuje, by w ostatecznym rozrachunku wygrywali właśnie oni.

Ale od czasu do czasu coś w niej pękało. Widziałem, jak w barze patrzy w przestrzeń albo na ręce, za to omija wzrokiem telewizor. Jak porusza się nerwowo, spięta, jakby przestraszona, a oczy ma rozszerzone. Gdy tylko zauważałem te objawy, natychmiast pytałem ją, czy o czymś myśli, czymś się niepokoi, a ona odpowiadała, że nie i nadal popijała piwo, chichotała przy Chandlerze, zajadała chipsy... najważniejsze danie barowe.

Bywało jednak, że później, ni w pięć, ni w dziewięć, pytała: „Czy wszystko będzie w porządku?”.

— To znaczy co?

— No... wszystko — tłumaczyła spokojnie. Jestem pewien, że nie pamiętała, jak często wcześniej o tym rozmawialiśmy, używając niemal takich samych słów. — Czy wszystko będzie w porządku?

Oczywiście mówiłem, że tak, przytulałem ją, pilnowałem, żebyśmy wrócili do rzeczy zwykłych i przyziemnych... i rannym następnego dnia słyszałem, jak śpiewa pod prysznicem. Miała głos rechocącej żaby, ale i tak byłem zachwycony.

Wytrzymaliśmy ze sobą dziesięć miesięcy. Potem, powoli, zaczęliśmy się od siebie oddalać. Nie skończyliśmy dobrze, ani dla nas, ani dla świata w ogólności.

Bo na świecie nic nigdy nie jest w porządku. Ale cieszę się, że wtedy o tym nie wiedziałem i nigdy jej tego nie powiedziałem.

Obudziłem się o piątej rano przekonany, że słyszałem kogoś w łazience. Prawie spadłem z łóżka, niepewnym krokiem powlokłem się sprawdzić, skąd dochodzi dźwięk. Ale nikogo tam nie było. Śpiew, który — jak mi się zdawało — słyszałem, musiał dochodzić z innego pokoju, a może nawet z innego czasu. Wiedziałem, że nie warto wracać do łóżka, więc posłałem chwilę pod prysznicem.

Wymiana informacji w obrębie hotelu jest wyjątkowo efektywna. Kiedy zjawiłem się w kawiarni na długo przed oficjalną godziną otwarcia, krzątający się wszędzie ludzie błyskawicznie wyposażyli mnie w filiżankę kawy. Prawdopodobnie nie podziękowałem im tak, jak na to zasłużyli. Nie byłem jeszcze gotów przyjąć współczucia oferowanego nieszczęśliwcom, w obliczu prostej uprzejmości przemawiałem wyłącznie monosylabami. W każdym razie wziąłem kawę i wyszedłem na chodnik przed hotelem.

Parking był właściwie pusty, wyglądał wręcz jak morze zimą — lodowaty, szary płaski, nieruchomy. Przyglądałem się mu i marzyłem, by zobaczyć Ninę, przywołać ją siłą woli. Wiedziałem, że jeśli jej nie znajdę, nic już nie będzie takie jak przedtem.

I wiedziałem też, że czas ucieka.

— Raz już skłoniłeś ją do zwierzeń — powiedziałem. — Zawsze możesz spróbować. Po raz drugi.

— Nie sądzę — odparł John, kręcąc głową.

Nadal stałem na parkingu. Znalazł mnie tu jakieś dziesięć minut temu. Wypiłem mnóstwo kawy, wypaliłem kilka papierosów. Ożyłem, choć niekoniecznie w najlepszym sensie tego słowa. Ranek był rześki, zimny, temperatura z dnia na dzień spadła o ładnych parę stopni. Gdybyśmy dzisiaj mieli kopać w lesie, to ziemię rozbijalibyśmy łomami.



— Nie wiem, po co mielibyśmy się starać — dodał Zandt. — To nie ta dziewczyna porwała Ninę.

— Kiedyś ktoś powiedział mi, że śledztwo polega na parciu we wszystkich możliwych kierunkach w nadziei, że któryś doprowadzi cię do celu. Sekunda, chwileczkę... czy to nie byłeś ty? Czy to nie było wczoraj?

— Masz pojęcie, że jesteś cholernie irytujący?

— Ktoś cały czas próbuje mnie zabić, więc pewnie masz rację. To dlatego. John...

— Monroe nie pozwoli mi na kolejne przesłuchanie.

— A niby czemu nie? Wydobyłeś od niej przyznanie się do winy. Reidelowi to się nie udało. Nie udało się także Ninie.

— Niczego z niej nie wydobyłem. Postanowiła powiedzieć mi coś, co może być prawdą, a może nią nie być. Z jakichś własnych niepojętych powodów. A potem przestała mówić. Widziałeś to na własne oczy. Mogłem siedzieć z nią tydzień i niczego bym nie wyciągnął.

Spojrzałem w bok, rozczarowany i rozgniewany.

— Więc co jeszcze możemy zrobić?

— Niny pewnie już nie ma w Thornton. Dlaczego porywacz miałby ją przetrzymywać właśnie tu?

— Ponieważ tu mieszka.

— Jeśli założymy, że to miejscowy szaleniec, zgoda. Tylko że w areszcie już siedzi ktoś, kto przyznał się do dokonania morderstw, Ward. A jeśli nasza sprawa ma coś wspólnego z Niewidzialnymi, to Nina jest teraz setki kilometrów stąd. Sam wiesz, więc nie ma co gadać. — Spojrzał na mnie poważnie. Niczego nie ukrywał, miał zamiar poszerzyć temat. — Musisz także przygotować się na ewentualność, że Nina...

— Nie waż się kończyć, cholera! — Nie byłem w stanie dłużej powstrzymać gniewu. — Wiem o tym aż za dobrze! Wystarczy, że zamknę oczy i już widzę ją martwą. Ale jeśli tego nie poczuje, jeśli się o tym nie dowiem, dla mnie ona nadal żyje.

— Stary, ja tylko próbuję...

— Nie jesteś jedynym facetem, który stracił kogoś bliskiego, wiesz? Zejdź z tego swojego pieprzonego piedestału.

— O co ci chodzi, człowieku?

— O to, że patrzysz z góry na mnie i resztę świata, bo uważasz się za moralnie lepszego, w końcu straciłeś córkę, nie? Rozumiem, to straszne, doprawdy okropne, bardzo mi przykro, że zrobił to mój brat, ale Niewidzialni zabili moich rodziców, pamiętasz? Zmarnowali mi życie, odebrali wszystko, co miałem, więc nie dopuszczę, by odszedł ktoś jeszcze. Nina żyje, póki nie będę miał innej możliwości niż uznanie jej za zmarłą. Możesz ją spokojnie uśmiercić w wyobraźni, jeśli ci to odpowiada, ale niech mnie diabli, jeśli ja to zrobię!

John zacisnął usta i odwrócił wzrok, a potem szybkim krokiem poszedł z powrotem do hotelu. Miałem akurat tyle czasu, by wypalić papierosa i trochę się uspokoić, bo po chwili znów pojawił się na parkingu.

— Straszne tam zamieszanie — powiedział. Pokazał mi kartkę, którą trzymał w ręku. — Biegną naraz w trzech kierunkach: seryjny zabójca, morderca gliniarzy, porywacz, a pojęcia o niczym nie mają. W dodatku wczoraj ktoś podłożył niegroźną bombę w centrum handlowym w Los Angeles, co jeszcze bardziej ich wkurzyło.

— Bombę?

— Nic groźnego. Jakiś dzieciak zabawiał się kawałkiem rury z gwoździami zamiast rewolwerem. Zostawmy ten temat. Są ważniejsze sprawy. Okazuje się, że Monroe wyjechał z hotelu dziś, bardzo wczesnym rano. Nie powiedzieli mi dokąd.

— Więc zadzwonię do niego na komórkę. — Wzruszyłem ramionami. — Niewielki wysiłek. Nie musiałeś przeszkadzać federalnym.

— Przecież nie poszedłem tam dla Monroe'a. Chodziło mi o coś innego.

— Doprawdy? — spojrzałem na niego podejrzliwie. — Ciekawe, co?

Dom stał po drugiej stronie starej części miasta, oddalony od niej o jakieś dwie przecznice. Krótki spacer od Starbucks, lecz nawet mimo to nie wyglądał najlepiej. Objął go jakiś program renowacji starych budynków biurowych, lecz nie

przetrwiał poza wczesne lata dziewięćdziesiąte. Podjechaliśmy tam tuż po ósmej, odczekaliśmy dziesięć minut. Nie dostrzegliśmy żadnego gliniarza.

— Chyba jednak powinni kogoś tu postawić — zauważyłem.

— Podejrzewam, że są bardzo zajęci — odparł Zandt.

Wysiadaliśmy z samochodu, gdy zadzwonił telefon Johna.

Przyjął rozmowę, słuchał uważnie.

— Nie — powiedział cicho. — To nie ja. — I po chwili: — Im dalej, tym lepiej. Tylko nie mów nic miejscowym gliniarzom. Nawet się z nimi nie kontaktuj. I nie wracaj do domu ani do pracy, chyba że przedtem się z tobą skontaktuję.

Zakończył rozmowę. Wyglądał przez okno, przygryzając wargi.

— Kto dzwonił?

— Chodzi o stronę, z której zginęły zdjęcia. Prowadzi ją Oz Turner. Zdjęć nie ma, bo wyczyszczono mu serwer. Wczoraj w jego biurze pojawił się jakiś podejrzenie wyglądający Latynos. Na szczęście Oz miał właśnie atak paranoi i nie poszedł do pracy. Noc spędził u kumpla. Dzisiaj rano wrócił do domu. Drzwi od tyłu znikły razem ze wszystkimi jego aktami i komputerem na dokładkę.

— Kim jest ten facet? I o co chodzi z jego zdjęciami?

— Sprawa Niewidzialnych. Można powiedzieć, że takie podstawowe informacje.

— Jak bardzo podstawowe?

— Tak, że uważasz je za fantastyczne gówno.

— Jasne. W takim razie nie chcę o niczym słyszeć.

Do mieszkania Julii Gulicks prowadziła osobna klatka schodowa, biegnąca przy bocznej ścianie budynku. Drzwi zaklejono policyjną taśmą i oblepiono plakietkami z napisem „WSTĘP WZBRONIONY”.

— Monroe twierdził, że już to przerobili — zauważyłem.

— Racja. Miejscowi gliniarze przeprowadzili przeszukanie, ale chodziło im tylko o dowody bezpośrednie. Od wczorajszego ranka priorytety mocno się zmieniły.

Zająłem się obserwacją ulicy, a Zandt tymczasem przeciął scyzorykiem taśmę, po czym wyjął z kieszeni kółko z jakimiś precyzyjnymi metalowymi narzędziami. Otworzył drzwi w

zaledwie parę minut. Wślizgnęliśmy się do środka i zamknęliśmy je za sobą.

Nie było to duże mieszkanie. Drzwi otwierały się na salon z wnęką kuchenną przy przeciwległej ścianie. Pozostałe ściany zabudowane zostały półkami na książki, a długi drewniany stół służył najwyraźniej i do jedzenia, i do pracy. Dwoje drzwi prowadziło do łazienki oraz sypialni. Sypialnia była mała, wystarczyło w niej miejsca zaledwie na duże podwójne łóżko. W tej ograniczonej przestrzeni nawet drzwi szafek nie otwierały się do końca. I wszędzie widać było ślady metodycznej rewizji.

Obejrzelśmy sobie to wszystko. Wróciliśmy do salonu po niespełna minucie.

— No i co?

— Tylko to, że niczego się tu nie dowiemy — powiedziałem. — Gliniarze byli bardzo systematyczni. Poza tym koroner stwierdził, że zwłoki leżały gdzieś przez jakiś czas, nim zaczęła odkrawać ciało. Zmieściłbyś je tutaj?

— Na podłodze w salonie. Na stole, w jej łóżku, mogłaby nawet przy nim spać. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie zasad, rządzących życiem szaleńców.

— Założywszy, że ona to zrobiła. Nina była innego zdania.

— Nina się myliła.

— Chciałbym zobaczyć, jak jej to mówisz w oczy. — Podszedłem do ściany, przy której stały półki, i postukałem w nią kostkami palców. Usłyszałem płytki, płaski dźwięk. — Tania ścianka działowa — zauważyłem, jakby nie było to oczywiste. — Nie chciałbym nikogo tu zabijać, ochrona dźwiękoszczelna wydaje mi się problematyczna. Ale oczywiście nie jestem ekspertem.

— Podobno podała coś Widmarowi. Temu drugiemu pewnie też.

— Ale Widmara nie zabiła tutaj, prawda? Co jest, być może, potwierdzeniem mojej teorii. Weź pod uwagę, że jeśli ktoś nie jest całkiem nieprzytomny, zawsze może w którymś momencie krzyknąć, sąsiedzi dzwonią po gliniarzy, rozumiesz, piekło na ziemi. Zakładając, że to ona załatwiła facetów, jest gdzieś jakieś miejsce, którym bardziej powinniśmy się zainteresować.

- I może nawet wiesz, gdzie?
- Nie.
- No, to zaczynamy szukać.

Zandt poszedł do sypialni, ja szybko rozejrzałem się po salonie i kuchni. Zajrzałem do szuflad, do szafek kuchennych. Znalazłem tylko kilka przyzwoitej jakości sztuczków i jedzenie w puszkach przed upływem terminu ważności. Zaglądałem na szafki i pod szafki, znalazłem tylko kurz i trzy gumki recepturki. Przesuwałem meble, zaglądałem, gdzie się dało. Nic ciekawego. Sprawdziłem książki, kartkowałem je, próbowałem coś z ich wytrząsnąć, odwracałem nawet najmniejszy wazonik i inne dekoracyjne gadżety. Jedyne mój sukces to cztery spinacze, siedem formularzy subskrypcji pism ilustrowanych, służących za zakładki, zapinka złamanej broszki. Książki niczym się nie wyróżniały: popularne powieści w kieszonkowych wydaniach, nieczytane podręczniki o tym, jak odnieść sukces w biznesie i/lub jak stracić na wadze, i/lub jak wygrać w życiu w ogólności, każda z nich z fotografią łysiejącego oszusta na tylnej okładce, bardzo podobnego do wszystkich innych. Był też podręcznik *Windows dla opornych* i dwie fachowe książki o prowadzeniu księgowości dla dużych firm. W dolnej szufladzie znajdowało się małe drewniane pudełko wypełnione fotografiami, na których ludzie wyglądali jak wszyscy inni i niczym się nie wyróżniali. Na niektórych była Julia, na niektórych jej nie było. Usiadłem na kanapie. Czekałem, aż John skończy z łaźnią.

No i oczywiście niczego nie znalazł.

— Niczego nie znalazłem — przyznał.

— Nie mamy oczywiście pojęcia, co już zabrali gliniarze — zauważyłem.

— Nie znalazłem ani notesu z adresami, ani dziennika. Pokreśliłem głową.

— Ja też. Tylko to.

Przez kilka chwil przeglądaliśmy fotografie. Najlepszym możliwym dowodem na to, że nie jesteś kimś innym, to oglądać życie innych na obrazkach. Wszystkie są tak identyczne, jakby były swoimi własnymi kopiami. Czerwonookie kobiety, każda z trwałą, faceci o spoconych twarzach, wszyscy z kuflem w dłoni, starzy, lekko speszzeni ludzie, a wszyscy uśmiechający

się niepewnie, jakby w każdej chwili mogła ich spotkać jakaś krzywda. Szybko straciłem zainteresowanie, ogarnęły mnie złe wspomnienia i złe myśli, zastanawiałem się, czy jest gdzieś choć jedna fotografia moja i Niny, czy też może nie odcisnęliśmy na rzeczywistości nawet tak drobnego śladu.

— Spójrz na to.

Popatrzyłem na zdjęcie, które trzymał w ręku John. Niezwykle, ale nie było na nim żadnej ludzkiej postaci. Przedstawiało fragment lasu w chmurny dzień.

— I...? — zdziwiłem się.

— Czy przypadkiem nie tu znaleziono drugie ciało?

— Mamy las, więc może? Ale ja nie sądzę, żeby to było to samo miejsce. Drzewa wyglądają jakoś inaczej.

— Przyjrzyj się odcieniom. To zdjęcie albo wystawiono na dłuższe działanie promieni słonecznych, albo jest starsze od większości tych tutaj.

Miał rację. Przyjrzałem mu się, obróciłem je.

— Da się odtworzyć datę z tych nadruków?

— Warto spróbować. — Zandt wstał. — Nic tu nie działyśmy. Telefony mogę załatwić po drodze.

— I co teraz?

— Porozmawiamy z nią jeszcze raz.

— Powiedziałeś, zdaje się, że to nie ma sensu.

— Teraz może już mieć. Jeśli jest to fotografia miejsca zbrodni, może wskazywać na motyw przed czynem. Jeśli napad na mnie i jej szalone zachowanie ma być podstawą obrony opartej na niepoczytalności, kogoś to zabił. Może uda nam się jakoś nią wstrząsnąć.

— Nie wydaje mi się, żeby była to nasza tajna broń. Ciągle nie wiem, czy to jest to samo miejsce.

— Nam to nie robi różnicy. „Może” całkiem wystarczy. — John odwrócił się i stanął w otwartych drzwiach. — Jeśli strzelasz wystarczająco dobrze, możesz używać kul zrobionych z niczego.

— W tej chwili jej tu nie ma — powiedział siedzący za biurkiem gliniarz, jeden z tych, którzy pomagali rozdzielić Gulicks

i Zandta. Na nasz widok natychmiast przybrał postawę defensywną.

— A gdzie jest?

— W szpitalu.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

— Dlaczego?

— Panowie, doprawdy nie powinienem...

Do rozmowy wtrącił się John.

— Ty nawaliłeś? — warknął. Zachowywał się zupełnie tak, jakby miał na posterunku swoją szafkę i regularnie prowadził tu poranne odprawy.

— Nie, szefie, nie, nic z tych rzeczy. — Policjant nagle oprzytomniał i zależało mu już tylko na tym, żeby udzielić nam wszystkich możliwych informacji. — Chryste, mówiłem przecież... to znaczy postępowałem według regulaminu. Sprawdziłem o czwartej. Spała. Wszystko było jak trzeba.

— A potem co?

Glina westchnął ciężko. W ogóle szybko oddychał.

— Trochę później próbowała się zabić.

— Jak?

— Weszła na łóżko, założyła ręce za plecy i skoczyła na podłogę. Na główkę. Oni twierdzą, że zrobiła to trzy razy. W absolutnej ciszy!

— Wspaniale — westchnął Zandt. Był wyraźnie wkurzony. — Pierwszy dobry argument za niepoczytalnością.

— Nie ma mowy — zaprotestował glina. Stanowczo. — Stać cię, żeby zrobić coś takiego, człowieku? Dwa razy? Trzy, do jasnej cholery? Ja bym nie potrafił. Ona chciała umrzeć. Jak cholera. Chciała stąd zniknąć. Jak się da.

— Co z nią?

— Mniej więcej to samo, co w tych okolicznościach byłoby ze mną lub z tobą. Czyli nie najlepiej.

Odwrócił się, bo zadzwonił telefon. Odeszliśmy od biurka. Potarłem twarz dłońmi tak energicznie, jakbym chciał sprawdzić, czy głowę nadal mam na miejscu.

— No to tyle, jeśli chodzi o twój nowy plan — powiedziałem. — I co teraz?

Na odmianę to John sprawiał wrażenie zagubionego.

— Szpital. Chyba... chociaż zakładam, że Monroe tam poleciał z samego rana. Zapewne oznacza to, że długo będziemy czekali, nim przyjdzie do siebie. Zapewne nawet nie może mówić.

— Musi. Bo jeśli nie... —przerwałem, odetchnąłem głęboko i zacząłem od nowa. — John, pogubiliśmy się. Cała ta sprawa wyrwała nam się spod kontroli.

Zadzwoił mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz z nadzieją, że to Monroe, ale nie.

— Unger — powiedziałem do Zandta. — Czego chcesz, Carl?

— Gdzie jesteś?

— W Thornton.

— A ja blisko. Chciałbym z tobą pogadać.

Minęły czasy, kiedy zastanawiałem się, czy Unger jest Niedziedzicznym, czy może nie jest. Jeśli był, co mi tam. Załatwimy go albo ja, albo John, albo on załatwi nas obu.

— Zgoda — powiedziałem do telefonu. — Muszę jeszcze gdzieś pojechać, ale wrócę za jakąś godzinę. Spotkajmy się w barze, w Mayflower. To przy drodze do Owensville.

— Załatwione.

— Jeszcze jedno, przyjacielu. Lepiej byłoby dla ciebie, gdyby okazało się, że jesteś w porządku, bo jeśli nie, zginiesz tu i teraz. Zabijemy cię, możesz na to liczyć.

Przerwałem rozmowę i schowałem telefon. John i gliniarz zza biurka gapili się na mnie, wyraźnie zdumieni. Wzruszyłem ramionami.

— Po prostu chciałem się upewnić, czy wszyscy wiemy, na czym stoimy — powiedziałem.



## Rozdział dwudziesty ósmy

Bardzo wczesnym rankiem wylądowali w Huntsville, w Alabamie. Wyszli z lotniska na parking, gdzie już czekały na nich trzy samochody z włączonymi silnikami. Drzwiczki pierwszego z nich otworzyły się na ich powitanie i wysiadł z niego jakiś facet, zaledwie dwudziestoparoletni, sprawiający wrażenie pewnego siebie. Lee już go wcześniej widział, może wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał Paula, a może należał do facetów, którzy poprzedniego ranka otoczyli bar, nie był tego całkiem pewien.

Paul usiadł na tylnym siedzeniu, Lee zajął miejsce przy nim. Chłopak zasiadł naprzeciwko, obok gościa, starszego, szczupłego, o zimnych, choć tu sprawiających wrażenie niebieskich, oczach.

Gość skinął głową, witając Paula i dodał:

– Cześć, Lee. Dobrze cię widzieć wśród nas.

Wyjechali z parkingu jeden za drugim i ruszyli luźną kawałką. Nie tak dokładnie jeden za drugim, oczywiście. Trzy wielkie limuzyny jadące szybko, szeregiem, tylko wzbudziłyby zainteresowanie. Kierowcy pilnowali jednak, by dzieliło ich najwyżej kilka wozów. Lee był jednak świadom, że ci ludzie nie są przesadnie ostrożni. Gdyby to od niego zależało, postarałby się o wozy różnych marek, kolorów i tak dalej, poza tym załatwiłby, żeby na miejsce, jakiegokolwiek i gdziekolwiek wyznaczone, podjeżdżały z różnych kierunków. A ci ludzie zachowywali się tak, jakby nic ich nie obchodziło.

Pojechali dwieście trzydziestką jedynką, a potem na północ, do Tennessee, i skręcili na wschód. Lee wyglądał przez okno. Był zmęczony. Do Los Angeles i tak dotarł z kilkoma przerwami, nie wspominając o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia i pozostawiło go pod, nazwijmy to tak, potężnym wrażeniem. Brad nie żył, on zaś siedział w samochodzie, w towarzystwie człowieka, który go zabił. Zabił także Karen, choć w tym przypadku mógł wynająć opłaconych twardzieli

Można powiedzieć, że było to raczej niesamowite.

Dwaj inni faceci z ich samochodów przede wszystkim zajęci byli rozmawianiem przez telefony komórkowe. Używali czegoś w rodzaju kodu. Paul zadzwonił tylko raz i spokojnie stwierdził, że zaraz będzie na miejscu. Lee nic z tego rozumiał, nie wiedział, jak ma rozmawiać, ale niezbyt go to interesowało. Jechał tam, dokąd jechali inni. Dojedzie tam, dokąd dojadą inni, gdziekolwiek to jest. Zrobi to, co zrobią inni.

W końcu wszystko będzie przecież jasne i oczywiste.

Tak przynajmniej zakładał.

Po jakichś dwóch godzinach zjechali z szosy, skręcając w coraz mniejsze, coraz bardziej kręte dróżki. Wreszcie podjechali pod zrujnowany dom, stojący na granicy lasu, z przodu ozdobiony ruiną podwórza zarośniętego niechlujną, wysoką trawą i ogrodzeniem zamkniętym pasem zardzewiałych wraków. Samochody stanęły jeden za drugim. Wszyscy wysiedli.

W dwóch pozostałych autach jechało po pięć osób. Wszyscy nosili garnitury i płaszcze, i wszyscy zachowywali się jak żołnierze. Wraz z Paulem oraz dwoma gośćmi ruszyli w stronę domu wyglądającego tak, jakby ktoś pomysłowy, lecz z nieco pochrzanionym łbem, poskładał go do kupy z materiałów znalezionych wyłącznie na śmietniku. Lee poszedł w krzaki się wysikać, potem wrócił, oparł się o jeden z wozów i czekał.

Piętnaście minut później wszyscy wyszli i każdy coś niósł: jedni drewniane pudła na krótkich noszach, inni bez wątplenia ciężkie torby. Na niczym nie było żadnych znaków i nic nie wyglądało na towar, który trafił w to przedziwne miejsce w jakiś zwykły, prosty sposób. Całość załadowano do bagażników,

tragarze wsiedli do środka, silniki zagrały niemal jednocześnie. Samochody powtórzyły trasę, wróciły na szosę i jechały nią, jak gdyby nigdy nic, w odległości niemal kilometra pierwszy od ostatniego, wszystkie oddzielone od siebie zwykłymi lokalnymi wozami, jak poprzednio. Przez pewien czas zmierzali na wschód, potem skręcili na północ, do Kentucky. Podobna procedura powtórzyła się niedaleko granicy stanu: pierwszy samochód zjechał z szosy, dwa pojechały za nim bocznymi drogami. Tym razem dom wyglądał znacznie bardziej elegancko: spory, kolonialny, z kolumnkami przez dwie kondygnacje, z malowniczym jeziorkiem od frontu, pewny siebie w otoczeniu wymankiowanego trawnika. Samochody znów się zatrzymały, ludzie znów wysiedli, Tym razem Lee czekał dwadzieścia pięć minut, przyglądając się dwóm jeżdżącym konno dziewczynom, kłusującym wokół łąki. W porannym słońcu ich jasne końskie ogony podskakiwały w górę i w dół, w górę i w dół... Dziewczyny nie patrzyły na niego, jakby go w ogóle nie zauważyły. Jakby nie podjechały żadne samochody.

Pojawiła się załoga, jak zwykle w komplecie i jak zwykle z ładunkiem. Tym razem nie było go tak dużo, za to najwyraźniej wymagał traktowania ze znacznie większą ostrożnością. Potem nastąpił jeszcze jeden krótki przystanek, tym razem przy opuszczonej stacji benzynowej. Ktoś ukrył za zabudowaniami dwie niewielkie kanciaste paczki. Spowodowało to pewną zmianę: dwaj mężczyźni z ich limuzyny przesiedli się do dwóch innych, zostawiając Paula i Lee samych, rzecz jasna oprócz kierowcy. Słońce zdążyło już znaleźć się w zenicie.

Wkrótce minęli granice Wirginii.

Paul wpatrywał się w przestrzeń, jakby medytował albo coś. Nie poruszył się od pół godziny, nawet mięsień mu nie drgnął. Powoli stawało się to dziwaczne i nawet trochę przerażające. Lee był doskonale wyćwiczony w sztuce milczenia, jeśli nie zadaje się pytań — Hudekowie byli zwolennikami staroświeckich wartości — nie miał więc zamiaru wkurzać towarzysza podróży. A poza tym pamiętał pewne przyjęcie u Metzgerów, kawał czasu minęło, w każdym razie spotkał tam jakiegoś

scenarzystę, klienta pana domu. Nazywał się Nic Golson. Nic Golson... cały czas powtarzał, że nazywa się Nic Golson... rozpuszczał nazwisko w jakiś dziwny sposób, jakby spodziewał się, że dzięki temu łatwiej będzie każdemu je zapamiętać. Co też, jak dzień dzisiejszy wykazał, odniosło pewien skutek. Wygłosił on taką mianowicie teorię, że jeśli uczestniczysz w Ważnym Spotkaniu, to zamiast rozpuszczać jęzor i gadać jak najęty, zamiast przekonywać wszystkich obecnych, jaki to jesteś przyjacielski i jaki uczynny, lepiej wyjdiesz na swoje, trzymając głowę na kłódkę i udając zamyślonego. Każdy może być uczynny, każdy może być przyjacielski, a ty? W ten sposób człowiek jest zmuszony do wystąpienia przed szereg, awansuje w łańcuchu pokarmowym, staje się kimś, z kim trzeba się liczyć. W każdym razie tak twierdził ten gościu, choć Lee dostrzegł, że wychodzi z kieszeniami wypchanymi jedzeniem.

Lee próbował nowego sposobu przez sześć miesięcy i okazało się, że owszem, działa. Mnóstwo ludzi da się skłonić do tego, żeby zrobili to, co chcesz, jeśli podsuniesz im pomysł na zrobienie czegoś innego. Ale po godzinie jazdy, podczas której nie padło ani jedno słowo, to on wreszcie się zламаł.

— To co, w Los Angeles szukają mnie gliniarze? — spytał. Paul odwrócił bardzo powoli głowę.

— Wyobrażam sobie — powiedział spokojnie.

— Wiecie, ludzie, mogliście po prostu zapytać, czy z wami pojadę. Czy pomogę załatwić sprawę.

— Sprawę?

— Tak. Cokolwiek. Nie trzeba było robić całego tego gówna. Pograżyliście mnie tam, w domu.

— A co by było, gdybyś odmówił?

— Przecież znacie moich starych. A tak przy okazji, to może bym się dowiedział, jakim cudem? Skąd się znacie?

— Przyjaciele z dawnych czasów.

— No więc oni by mnie do tego namówili, nie? Czy oni wiedzieli, że masz zamiar zrobić mi całe to świństwo?

Tym razem Paul nie odpowiedział bezpośrednio na pytanie.

— Na mężczyzn w twoim wieku bardzo trudno jest wywrzeć wpływ. Potrzebne jest *force majeure*.

— Każdy spodziewa się, że masz towaru od pyty. Nigdy w życiu nie widziałem tylu skrzyń i toreb, a opiekują się nimi ludzie wyglądający bardzo, bardzo poważnie. — Lee zauważył, że facet lekko się uśmiecha. — Chodzi mi o to, jaką ja, kurwa, robię różnicę!

— Nie martw się, będziesz najważniejszy.

— A może mógłbyś mi powiedzieć, o co chodzi?

— A jak myślisz?

— Masz nagrany naprawdę duży deal. Jakiś festiwal czy coś. No więc zbierasz, co da się zebrać...

— Lee, tu nie chodzi o narkotyki. Spróbuj pomyśleć bardziej perspektywicznie.

— Zakładałem, że wy, faceci, zajmujecie się wyłącznie narkotykami.

— Przez ostatnie kilka dziesięcioleci były użyteczne, to wszystko. Tworzą forszę, a o wiele łatwiej zdobywać je w ten sposób niż kopać.

— Kopać? — Lee próbował poukładać sobie jakoś te sprawy. — Więc nie chodzi o prochy?

— Chodzi o dawne czasy i nowy porządek. O bardziej osobistą formę przełomu. Przeniesienie walki bliżej domu.

— Jasne. Ty znów, no... pieprzysz. Po prostu pieprzysz, człowieku, a ja nic z tego nie rozumiem.

— Nie ma sprawy. Z pewnością przeżyjesz.

Lee zastanawiał się przez chwilę, a potem nagle złapał klamkę i otworzył drzwi. Szeroko.

Nie miał zamiaru skakać, samochód jechał ponad sto dziesięć, ale przynajmniej osiągnął zamierzony efekt. Limuzyna zatoczyła się po drodze, kierowca próbował zrównoważyć efekt aerodynamiczny. Paul, jak zwykle spokojnie, wyciągnął rękę i zatrasnął drzwiczki.

— Nie rób tego — powiedział.

— Więc nie traktuj mnie jak dziecko.

— Szczerze mówiąc, dobrze zrobisz, jeśli będziesz na mnie patrzył, jako swego rodzaju ojca... choć takiego, który spali ci serce na popiół, jeśli tylko spróbujesz coś mu spieprzyć po drodze. — Nagle Paul uśmiechnął się szeroko. — Czy wypowiedziałem się wystarczająco jasno?

Mimo iż jego głos był spokojny, nawet przyjacielski, chłopak poczuł, jak przechodzą go ciarki.

— Jasne, jasne. Ale tatę mam własnego, dziękuję.

Paul skinął głową i znów tak ot, po prostu, fajnie siedzieli się z nim w samochodzie.

— No jasne — przyznał. — Posłuchaj Lee, opowiem ci coś, opowiem fragmencik tego, dlaczego jedziemy właśnie tam. Kiedy byłem bardzo, bardzo malutki mieszkałem w północnej Kalifornii. Tata był ważnym człowiekiem. Nie tak bogatym, jak twój ojciec, ale za to ważnym, owszem. No i tak sobie, pewnego dnia, grupa mężczyzn i kobiet podeszła do domu, w którym mieszkał. Zabili go. Mnie porwali, trzymali przez jakiś czas, ale potem pomyśleli sobie, że już tego dziecka tak bardzo nie lubią, więc po prostu zostawili mnie na rogu ulicy.

— Kurde, człowieku, ale gadka.

Paul skinął głową.

— Dziękuję ci, Lee. Masz oczywiście rację. Na szczęście udało mi się przeżyć, przede wszystkim dlatego, że poznałem grupę ludzi. Mieliliśmy wspólne zainteresowania, ale tak naprawdę chodziło o rzeczy o wiele ważniejsze. Byłem w stanie podrzucić im parę pomysłów. Są jak rodzina. Twój rodzice do niej należą. Ty też. Naprawdę kiedyś już się spotkaliśmy, chociaż rzeczywiście możesz tego nie pamiętać. Bo to było niedługo po twoich narodzinach, a potem drugi raz, kiedy miałeś trzy lata.

Sięgnął do kieszeni marynarki i coś z niej wyjął. Lee miał wrażenie, że przedmiot czekał na tę właśnie chwilę i tylko zastanawiał się, jakim cudem wyjrzał na światło dzienne tak gładko. Było to zdjęcie przedstawiające jego ojca i matkę znacznie młodszych, stojących na trawniku w towarzystwie mężczyzn. Był nim Paul, wyglądający zaledwie na dwudziestkę. Trzymał za rękę Lee, ledwie uczącego się wówczas chodzić dzieciaka.

— To ja?

— I już jesteś częścią drużyny.

— Jakiej drużyny?

— Dbamy o siebie nawzajem, troszczymy się o swoje interesy. Czasami spieramy się, jak to w rodzinie, ale we wszystkich

ważnych sprawach zawsze stoimy po tej samej stronie. W tej chwili jesteśmy silni, jednak zawsze są przeciwnicy. Szczególnie jeden człowiek nie jest dla nas dobry. Zabił kilka osób z naszej rodziny.

— No, to powinniśmy faceta zdeptać.

Paul uśmiechnął się pogodnie.

— Być może to właśnie zrobimy. Dobry z ciebie chłopak, Lee. Dobrze cię wychowano. Jak ci idzie ze starym?

— No... całkiem. Wcale nie jest taki zły. Ma poczucie humoru.

Ku zaskoczeniu młodego Hudeka Paul roześmiał się, choć chyba wbrew sobie i swojej naturze. Lee też się uśmiechnął, zadowolony, że ich stosunki stają się bardziej... na luzie.

— Racja, racja — przytaknął po chwili Paul. — Powiedz szczerze, nigdy nie myślałeś tak naprawdę o tym, jak się nazywasz?

— Hudek? A co w nim dziwnego?

— Chodzi mi o resztę.

Chłopak znów spojrzał na niego dziwnie.

— A po co?

— Jak masz na imię?

— Lee John.

— Racja. Więc powiedz mi, jak się nazywasz.

— Nazywam się Lee John.

Paul po prostu obserwował go, czekał, wreszcie pokręcił głową. Jego głos znów był zimny jak lód.

— Jezu! Wy, dzieciaki, naprawdę gówno wiecie.

I wreszcie zwolnili.

Przez pół godziny jechali płaską drogą, przecinającą kilometr za kilometrem niski gęsty las. Telefon Paula dał sygnał; zdaje się, że dzwoniło z pierwszego samochodu. Zgodził się na cokolwiek miał się zgodzić i wkrótce wszystkie trzy wozy zjechały na pobocze, tuż przed zakrętem. Paul wysiadł, Lee za nim.

Drzwiczki wszystkich samochodów były otwarte. Nadszedł kolejny czas niewytłumaczalnego dla chłopaka oczekiwania, podczas którego uświadomił sobie nagle dziwną rzecz.

Zmienił się ludzie.

Przyglądał im się z szeroko otwartymi ustami. Wszystko wyglądało inaczej! W grupie znalazły się nawet dwie kobiety! Nie, ich w ogóle nie było w samochodzie, nigdy, wcale...

...chyba że?

Nagle rozpoznał młodego faceta, który otwierał mu drzwiczki na lotnisku Huntsville. Chłopak miał teraz na sobie bluzę z kapturem, rozwiązane, rozdeptane sportowe buty i dżinsy z krokiem w kolanach, a do kompletu mały czerwony plecak. Mijał Lee, idąc po swoje rzeczy do bagażnika; wyglądał jak personifikacja modelu nastolatka spotykanego przed każdym centrum handlowym kontynentalnej Ameryki, wyposażonego w deskę i garb głoszący wszem wobec: jestem za fajny, żeby dla kogokolwiek maszerować wyprostowany.

Lee rozglądał się i wreszcie, wreszcie zaczynał rozpoznawać jakieś, nie całkiem inne niż poprzednio, osoby. Smukły facet, który początkowo siedział w ich samochodzie, teraz miał na sobie strój gliniarza dobrany tak perfekcyjnie, że chłopakowi na jego widok aż drgnęło serce. Było wśród nich dwóch komwojażerów w wygniecionych garniturach i kilku mechaników w zatłuszczonych kombinezonach. Ostatni z nich brudził sobie właśnie ręce w stojących w bagażniku, otwartych puszkach smaru. Pierwsza kobieta, którą zobaczył, ubrana była od stóp do głów w ciuchy z Banana Republic plus obszerny, miękki sweter. Włosy miała zawiązane poprzednio tak ciasno, że, do diabła, nie zorientował się nawet, że ma do czynienia z babką! Na jego oczach wyjęła spinki i potrząsnęła głową. Kiedy skończyła, miał przed sobą uroczą dziewczynę, pchającą drogi wózek ulicą eleganckiego miasteczka w drodze na bezkofeinowe latte z podobnymi do niej jak krople wody przyjaciółkami. Jeśli się skusi, okaże słabą wolę, to pozwoli sobie na odtłuszczoną bułeczkę na ciepło i będzie płakała z tego powodu aż do wieczora. Uśmiechnęła się krótko gdzieś, w przestrzeń, jakby ćwiczyła rolę, po czym natychmiast spowaźniała.

Druga kobieta miała na sobie bladozielony strój mogący świadczyć o tym, że pracuje w sklepie spożywczym.

I wszyscy coś nieśli. Walizki. Wielkie ręczne torby. Skrzynki z narzędziami. Duże prostokątne kartony z logo UPS. Torby listonoszy.



Po zaledwie paru minutach wszystkie drzwiczki oraz wszystkie klapy bagażników były zamknięte. Dwa samochody cofnęły się i wykonały zgrabne zwroty. Odjechały szybko w kierunku, z którego przybyły, zostawiając na drodze ludzi stojących lub kręcących się tu i tam, wyglądających jeszcze dziwniej bez wozów dających im jakiś kontekst, przypominających i uświadamiających, skąd się wzięli. Można by pomyśleć, że to obcy postanowili zwrócić przypadkową część porwanych w ostatnich latach Ziemiaków, więc po prostu wysadzili ich na jakiejś, prowadzącej znikąd donikąd dróżkę.

Lee obserwował spacerującego między nimi Paula, zamieniającego z każdym kilka słów. Niektórzy kiwali głowami, paru uścisnęła dłoń. Właścicielka domu uśmiechnęła się podczas rozmowy i tym razem wyglądało to o wiele naturalniej.

A potem, choć nie dał nikomu wyraźnego znaku, nie przekazał polecenia, ludzie zaczęli znikać w lesie. Najpierw szli razem, grupą, potem podzielili się na dwójki i trójki. Szli gdzieś, Lee nie miał pojęcia gdzie, jakby mieli objawić się tam z różnych miejsc i w różnym czasie.

Paul odwrócił się i gestem polecił chłopcu, by wsiadł do samochodu.

Na miejsce dojechali dwadzieścia minut później. Nie było to miejsce wielkie, ot, takie, które znajdziesz wszędzie. Podjeżdżasz, tankujesz benzynę, kupujesz kawę i odjeżdżasz, dziękując swoim szczęśliwym gwiazdom, że umieściły cię tam, gdzie parada w dzień Halloween nie jest najważniejszym wydarzeniem wszechświata. Samochód przemknął kilkoma krzyżującymi się dróżkami wśród drewnianych domków i wreszcie wjechał do czegoś, co zapewne można byłoby nazwać centrum. Stare budynki. Komisariat policji. Przedszkole. Starbucks.

To i owo.

Lee z zainteresowaniem patrzył przez okno. Nie wyglądało mu to na miejsce, w którym mogłoby się wydarzyć coś interesującego. W każdym razie nie zgodnie z jego systemem wartości.

— Jezu — jęknął. — Co za kupa gówna.

— Jesteś bardzo niesprawiedliwy, Lee.  
— To musisz widzieć co innego niż ja.  
— Widzę domy ludzi ciężko pracujących, wgapionych w telewizję, kupujących tyle, na ile ich stać, a nawet znacznie więcej. Handel i usługi przeżywają w tej chwili dobre chwile. Podobnie jak wielkie czasy przeżywała historia... oczywiście z kilkoma mrocznymi fragmentami. To miejsce znacznie ciekawsze, niż może się wydawać. A także znacznie starsze.

— Niech ci będzie. W każdym razie to tak czy inaczej kupa gówna.

— Ludzie tu żyją, Lee. Prawdziwi ludzie. Prawdziwi Amerykanie. Tak o sobie myślą. Małe miasta to kręgosłup tego kraju.

— Sto lat temu może i tak było, ale teraz? Teraz liczą się tylko metropolie, bracie.

— Zdaje się, że tak właśnie sądzi bardzo wielu ludzi.

Samochód minął Holiday Inn. Paul polecił kierowcy, by podjechał bliżej krawężnika i zwolnił. Chłopaka to zainteresowało. Wydawało mu się, że rozpoznał hotel z telewizji, kiedy Paul włączył CNN w Belle Isle. Przy wejściu stało kilka policyjnych samochodów, plus parę anonimowo wyglądających zwykłych samochodów osobowych. Potem zauważył jeszcze faceta w niebieskiej wiatrówce z literami FBI na plecach.

— Hej, czy my naprawdę chcemy tu być? — spytał nerwowo.

— Później, być może. — Paul kazał kierowcy przyspieszyć.

Skręcili w lewo, w ten sposób wyjeżdżając z miasteczka. Po pewnym czasie wjechali w wąską dróżkę, szerokim łukiem okrążającą las. Prowadziła do maleńkiego miasteczka Dryford. Niewielka grupka domów, mimo całkiem przyzwoitej wielkości, świadczyła o tym, że przeżyły czas swej chwały o dobre pięćdziesiąt lat.

Skręt, kilkaset metrów zjazdu i droga nagle kończyła się bramą. Kierowca wysiadł, żeby ją otworzyć. Lee widział wielki dziedziniec po drugiej stronie ogrodzenia, gęsto zarośnięty trawą. Daleko, wśród jej wiechci, ukryty za drzewami, którym pozwolono rozrosnąć się we wszystkich możliwych kierunkach, stał dom, nieco większy niż ten z „miasteczka” i jak one powoli się rozpadający. Kierowca wrócił za kółko i wprowadził auto na

teren posiadłości. Szybko stało się jasne, że od ładnych paru lat nikt tu nie mieszkał. Z frontowej ściany domu sypały się deski, z dachu wiatr pozrywał gonty, a szklane okna, choć niepopękane, sprawiały wrażenie, jakby więziły wewnątrz kłęby mgły. Przed domem stała stara biała furgonetka volkswagen i też wydawało się, że może stać tu od dawna, choć pewnie nie od aż tak dawna jak reszta.

— I ujrzeni konia białego — powiedział Paul jakby do siebie.

Wysiedli z samochodu. Zbliżali się do furgonetki, kiedy jej drzwi się otworzyły. W środku było ciemno. Mężczyzna, który wysiadł, zasunął drzwi prawie do końca. Był wysoki, sprawiał wrażenie starego... co najmniej przez siwiznę i zaokrąglone plecy. Był jednak mocno zbudowany i najwyraźniej silny. Taki facet z *Autostopowicza* plus jakieś dwadzieścia lat.

— Cześć, James — powiedział Paul cichym głosem bez wyrazu. — Ufałem ci.

— To był wypadek — zapewnił mężczyzna. — Minęło dużo czasu, straciłem wprawę. Sprawy wymknęły się spod kontroli.

— Może jesteś na to za stary?

— Być może tak, owszem. Powinieneś zaangażować kogoś ze swoich młodych zombich. — Mężczyzna spojrzał na Lee, a on ze zdumieniem stwierdził, że ze spojrzeniem tym napłynęło gwałtowne uczucie strachu. Kiedy na ciebie patrzył, facet wcale nie wydawał się taki stary. Nic z tych rzeczy. — To nie ten sam, co?

— Nie — przyznał Paul. — Oto nasz nowy, specjalny przyjaciel. — Podniósł głowę, jakby węszył. — Przygotowywałeś sobie coś do jedzenia?

— Ze mną wszystko byłoby w porządku... gdybyście się nie pojawili.

— Nie, James, nie byłoby w porządku. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy tej nocy, kiedy cię uratowałem? Jesteś, kim jesteś. Wiesz o tym doskonale. I doskonale wiesz o tym, że coś nigdy nie zmienia się w nic.

Starszy mężczyzna przez cały czas przyglądał się Paulowi, jakby pokornie słuchał uwag, których treść znał przecież przez całe życie.

— Oczywiście — przyznał w końcu. — Miałaś rację, coś rzeczywiście nigdy nie zmienia się w nic.

Paul podszedł do furgonetki i odsunął boczne drzwi. Lee poszedł za nim zaciekawiony. Staremu chyba nie podobało się, co robią, najwyraźniej jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie może im w żaden sposób przeszkodzić. Bliżej volkswagena chłopak też poczuł jakiś zapach, podobny do zapachu ziemi, tylko jakby nieco słodszy. Nie wiedział, czy stary gotuje coś w samochodzie, czy nie, lecz pomyślał, że chociaż jest głodny, to gdyby mu zaproponowano coś do jedzenia, z pewnością by odmówił.

Nagle zdał sobie sprawę, że w samochodzie ktoś jest. W najdalszym kącie z tyłu, w niewygodnej pozycji, leżała wysoka chuda kobieta. Była związana i miała zasłonięte oczy.

Lee poczuł się niepewnie, zażenowany. Nie wyglądało to najlepiej. Zupełnie jak jakaś lecąca powtórka autentycznego wydarzenia z kablówki, z paskiem ostrzegającym widza przed gwałtownymi scenami.

Paul wszedł do furgonetki i przykucnął obok dziewczyny. Przede wszystkim zdjął jej opaskę z oczu. Chłopak stał wystarczająco blisko, by widzieć, że na jego widok oczy dziewczyny się rozszerzają.

— Cześć, Nino — powiedział Paul. — Pamiętasz mnie?

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Szpital wyglądał, jakby otwarto go z pompą dziesięć lat temu i natychmiast o nim zapomniano. Zaprojektował go ku chwale potomności architekt wyposażony w dobrą, precyzyjną ekierkę. Musiał mocno nakopać sobie w tyłek, gdy stwierdził, że zapomniał o oknach i ludziach, którzy od czasu do czasu będą musieli spędzić jakiś czas w środku. Hol śmierdział chemikaliami i rozbrzmiewał echem skrzypienia gumy po linoleum. Ściany obwieszane były mnóstwem małych plakatów o treści albo śmiertelnie nudnej, albo złowieszczo groźnej. Nie lubię szpitali. W całym moim życiu z pobytu w szpitalu nie wynikło jeszcze nic dobrego. Idziesz tam, żeby dowiedzieć się, że już jesteś chory, albo za chwilę zachorujesz.

No i oczywiście idziesz tam, żeby umrzeć.

Pierwszy rzut oka na Julię Gulicks potwierdzał, że zamierza zrobić to ostatnie. Przeszliśmy długim, szarym korytarzem na górnym piętrze do znajdującej się prawie na końcu izolatki. Drzwi pilnował policjant, ale w małym kwadratowym okienku nad jego głową widzieliśmy dziewczynę leżącą na łóżku, nieruchomą jak model pasma górskiego, zrobiony z kawałków drewna i płótna. Niemal cała jej twarz owinięta była bandażami. Potwierdzeniem, że mamy do czynienia właśnie z nią, były rozrzucone na poduszce rude włosy, ale nawet one były teraz rzadkie i matowe, jakby jej życie odlatywało gdzieś daleko.

Nim gliniarz dostał szansę powiedzenia nam, że mamy się stąd wynosić w cholere, usłyszeliśmy kroki zmierzające do nas z drugiego końca korytarza.

— A wy co tu robicie?

Monroe, oczywiście, to nie mógł być nikt inny. Trzymał w ręku kubek z kawą. Pamiętałem, jak Nina mówiła mi kiedyś, że nic, tylko piły kawę. Niewiele mi pomogło to wspomnienie.

John pokazał mu fotografię.

— To — powiedział po prostu.

— Czyli właściwie co?

— Naszym zdaniem to zdjęcie lasu, gdzie znaleźliście drugie ciało.

— Skąd je macie?

— Z jej mieszkania. Po drodze do szpitala znalazłem kogoś, kto obejrzał sobie kod produktu na papierze. Zdjęcie zrobiono pięć lat temu. Mamy do czynienia z premedytacją, Monroe. Wsad! I sprawę masz zamkniętą.

Monroe potrząsnął głową.

— Ja tam widzę tylko pejzaż, nic więcej.

— Chcę...

— Ona niczego nie zobaczy, Zandt. Czyś ty jej się w ogóle przyjrzał? Na oczach ma opatrunek z gazy, ale nawet gdyby go nie miała, niczego by to nie zmieniło. Poważne stłuczenie czaszki i potężne uszkodzenia płatów czołowych. Założono dreny, a resztę utrzymano przy życiu, ale, jak na razie, medycyna może zrobić tylko to, nic więcej.

— Jeśli o mnie chodzi, to niczego nie musi widzieć — nalegał John. — Wystarczy, żeby słyszała. Chcę tylko porozmawiać.

— Nie chce słuchać. Jej kolejnym wielkim dziełem w życiu będzie śmierć.

Mimo to po chwili milczenia Monroe cofnął się o krok.

— Gdyby tu był ktokolwiek mówiący w jej imieniu — powiedział poważnie — nie pozwoliłbym się wam do niej odezwać.

— Moim zdaniem ona chce kontaktu — zapewnił go John.

Monroe stanął w nogach łóżka, ja z tyłu, prawie przy ścianie. Gulicks podłączona była do różnych skomplikowanych

urządzeń. Zapewne wszystkie one miały dodawać odwagi, ale gdyby ktoś spytał mnie o zdanie, tobym mu powiedział, że nie dodają. Podłączenie do maszyny nigdy nie oznacza, że wszystko jest fajnie i w porządku. Wiedzą to nawet pacjenci pogrążeni w śpiączce.

John przysiadł na łóżku.

Mogło się wydawać, że chora wyczuła ruch materaca. Poruszyła głową, bardzo nieznacznie. Otworzyła usta z wyraźnym „plum”, tak jak rozklejają się zlepione wargi.

— Julia?

Zacisnęła usta i odwróciła głowę w przeciwną stronę.

— To ja rozmawiałem z tobą poprzedniego dnia. W komisariacie. Poznajesz mój głos?

Milczenie.

— Julio... dlaczego to zrobiłaś?

Nie spodziewałem się, że zada właśnie to pytanie. Monroe też, przynajmniej sądząc z wyrazu jego twarzy. Każdy zawsze robi jakieś założenia. Zachowała się jak wariatka, więc jest wariatką. Albo jest winna jak diabli i może nie chcieć stanąć przed sądem.

A może nie?

Odwróciła głowę w stronę Zandta. Nagle jej język poruszył się w ustach nieco za szybko. John pochylił się i sięgnął po szklanekę wody. Pozwolił jej wypić kilka kropel. Jeszcze przez chwilę jakby pomlaskiwała, a potem się uspokoila.

— Łódź z wioślami — powiedziała wyraźnie. — Pingwin w bankowym holu. Do niczego mieszanka, potrzebujesz więcej masła.

Zapatrzyłem się we własne buty. Nie słowa były najgorsze, raczej sposób, w jaki poruszał się jej język. Był zbyt swobodny, zbyt autonomiczny. Wyglądał jak szczur, który koniecznie chce uciec z tonącego statku.

John nie ustawał. Pytał, czy pamięta zdjęcia przechowywane w pudełku w jej mieszkaniu. Pytał, czy pamięta, jak zrobiła zdjęcie lasów niedaleko Thornton, a jeśli tak, to kiedy to mogło być. Pytał, czy trzyma to zdjęcie przypięte do ściany i dlaczego.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Niewiele było dowodów na to, że nie usnęła. Jeśli nie spała, jej mózg zawędrował gdzieś i

zabłądził w podziemnych korytarzach. Nie wiedziałem, jakie skutki wywołują rany głowy, nie wiedziałem, czy te skutki wywołują na zawsze, ale coś mi mówiło, że Julia się oddala i już nigdy się nie zbliży. Zapewne gdybym był wdową po Lawrence Widmarze, tobym się ostro wkurzył; człowiek potrzebuje kogoś, na kogo mógłby zwalić winę, po kim mógłby się przejechać. A Gulicks była już poza dobrem, jak i poza złem.

— To jest tu — powiedziała nagle.

Poderwałem głowę. Te trzy słowa nie miały wprawdzie żadnego sensu, ale były pierwszymi wypowiedzianymi od przeszło dziesięciu minut.

— Co to jest „to”? — spytał John, pochylając się do przodu. Teraz łatwiej ją było zrozumieć.

— Jest tu. Jest.

— Kto ma być? — wtrącił się do rozmowy Monroe.

— Gdzie jestem?

John podniósł rękę, sygnalizując, by agent nie wtrącał się i nie przeszkadzał jej w odpowiedziach.

— Jesteś w szpitalu, Julio.

— Czy ja się rodzę?

— Nie.

— Czy wspomniałeś coś o fotografii?

— Znaleźliśmy zdjęcie przedstawiające jakiś las. Pamiętasz, jak je robiłaś?

— Jest mnóstwo lasów. Od zawsze. Nawet kiedy byłam małą, małą dziewczynką.

— Dlaczego zrobiłaś to zdjęcie, Julio?

— Jakie zdjęcie?

— Zdjęcie lasu.

— Zrobić wspomnienie. Racja? Racja? Racja? Cudowny.

— Nie rozumiem tego, co mówisz.

— Jedziesz kiedyś do Disneyworld?

— Tak — przyznał John. — Byłem w Disneyworldzie dawno temu.

— Nikt nie chciał mnie zawieźć, kiedy byłam mała. Pojechałam sama, dorosła. To inaczej.

— Nie.

— Nikt nie powinien zabierać sam siebie do Disneyworldu.



- Julio...
- Srasz na mnie? Wszystko potwornie śmierdzi. — Jej język znów zaczął się poruszać, dolna szczęka drgała. — Och, jakie to złe.
- Julio, dlaczego? Dlaczego ich zabiłaś?
- Pomyliłam się, nie zrozumiałam, zgoda? Nic nie pomaga. Pieprzona, pieprzona robota. — Nagle jej głos opadł niemal o oktawę. — Dwanaście kroków do piekła, czarnuchu!
- Wybuchnęła śmiechem, wygięła szyję i nagle się rozkaszała.
- Monroe wcisnęła przycisk wzywający pomoc, John szybko obrócił dziewczynę na bok. Niemał w jednej chwili w pokoju zaroilo się od personelu medycznego. Nas wyrzucono na korytarz.
- Czekaliśmy w milczeniu, a ludzie w środku robili, co mieli do zrobienia. Po półgodzinie zaczęli wychodzić, przy łóżku została tylko pielęgniarka. Jako ostatnia z białych fartuchów pojawiła się kobieta. Zatrzasnęła za sobą drzwi, patrząc na nas nieprzyjaźnie.
- Powiedziałam panu, że nie wolno z nią rozmawiać...
- Jest podejrzana o dwa morderstwa — przerwał jej Monroe.
- To wasz problem — warknęła lekarka. — Ta kobieta umiera. Uszkodzenia mózgu sięgnęły autonomicznego systemu nerwowego. To część kontrolująca rzeczy, których zazwyczaj nie musimy świadomie kontrolować, na przykład oddychanie. Nie obchodzi mnie, co kiedyś mogła, a czego nie mogła zrobić. Nie macie prawa przyspieszać jej śmierci. Jeszcze raz zakłóćcie spokój pacjentki, a wezwę policję.
- Proszę pani... — wtrącił nieśmiało ciągle siedzący na krzeselku mundurowy — to znaczy... ja... ja jestem policjantem.
- Więc starszego policjanta — prychnęła lekarka i odeszła. Znikała powoli w perspektywie korytarza.
- Wtedy wreszcie Monroe zwrócił się do Zandta:
- I co? Warto było?
- Zrobiła zdjęcie. Zabiła tych mężczyzn dlatego, że coś zdarzyło się dawno, dawno temu. Coś, co skłoniło ją do wykonania fotografii, swego rodzaju referencji na przyszłość. Widziała, jak coś się tam zdarzyło.

— Widziała tego, który zabił odnalezioną przez nas ofiarę, kimkolwiek była — wtrąciłem się do rozmowy. — I jest jedyną osobą, która mogłaby nam powiedzieć, kto to był.

— Było to ciało kobiety — stwierdził agent. — Czterdzieści kilka lat. Wczoraj wieczorem wydobyto resztę szkieletu. Znaleźliśmy też znaki świadczące o tym, że zdarzyło się to mniej więcej w czasie, który wskazaliście. Więc kim jest ta kobieta? Kto ją zabił?

— Nie mam pojęcia — przyznałem. — Ale moim zdaniem istnieje szansa pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, że ta sama osoba porwała Ninę.

— A jeśli to nie on, to kto?

— Duchy — prychnąłem gorzko. — Ludzie, w których nie wierzycie i których nikt nigdy nie znajdzie.

Wyszliśmy ze szpitala. Monroe miał niewątpliwie wrażenie, że nie warto tam czekać, a ja się z nim zgadzałem. Julia nie robiła na mnie wrażenia kogoś, kto mógłby jeszcze raz powiedzieć coś sensownego.

John ruszył prosto do mojego samochodu, ja zostałem trochę z tyłu, chcąc zamienić jeszcze kilka słów z Charlesem. Zdumiewało mnie, jak wyglądał. Widziałem go już zmęczonego, teraz jednak sprawiał wrażenie pokonanego.

— Musisz coś znaleźć, Charles — powiedziałem cicho.

— Robię wszystko, co w mojej mocy.

— Mam nadzieję. Zaczyna nam brakować czasu. A jeśli nie znajdzie Niny, twoje życie nie będzie warte nic. Zero.

Zostawiłem go tak i poszedłem do samochodu. Nim wsiałem, jeszcze raz wcisnąłem przycisk łączący mnie z numerem Niny.

Nic. Jak zwykle. A gdziekolwiek jest ten telefon, włączony lub nie, prędzej czy później baterie się rozładują.

## Rozdział trzydziesty

Piwnica była gorsza od furgonetki. Nina doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że osiągnęła dużo, skoro uważa volkswagena za miłe miejsce. Ale on przynajmniej jechał. Zawsze istniała możliwość, że zabiorą ją gdzieś i wypuszczą, wyrzucą w dzikiej części lasu, wypchną z jadącego samochodu. Nie były to wyjścia idealne, stanowiły jednak drzwi do innej rzeczywistości... jeśli okazałeś się wystarczająco silny i jeśli dopisało ci szczęście. Być może złapana na wędkę ryba myśli podobnie aż do samego końca, do chwili, kiedy dostanie ostateczny cios w tył głowy, ale gdy trafiasz do piwnicy i leżysz skrępowana na podłodze, trudno wyobrazić sobie, że siła i szczęście znajdują się akurat gdzieś w pobliżu. Zamiast nich jest wilgoć, chłód i bezlitosne wrażenie przebywania pod ziemią.

W siedzeniu pod ziemią nie ma niczego optymistycznego. Pod ziemię trafiasz po to, żeby umrzeć.

Wiedziała, że piwnica ma niespełna dziesięć metrów kwadratowych. Udało się jej dostrzec to i owo, kiedy sprowadzano ją na dół drewnianymi schodami. Rozglądała się najszybciej, jak potrafiła, nim zatrzaśnięto drzwi i pomieszczenie znów pograżyło się w mroku. Natychmiast zamknęła oczy, by nie dać się zwieść cieniem. Wyczuwała otaczającą ją przestrzeń, wyobraziła sobie, gdzie znajdują się podpory, myślała o tym, jak mogłaby dotrzeć do schodów; wszystko to całkiem możliwe,

pod warunkiem że nie leży się na wznak ze związanymi rękami i nogami. Próbowwała utrzymać te myśli w pamięci, wyciągnąć z nich wnioski, ale nie spała od bardzo dawna i wyraźnie słyszała, jak dzwoni jej w uszach. Była wykończona. Utrata pół litra, może nawet litra krwi nie pomogła, nie powinna jednak spowodować mdłości, a właśnie one zaatakowały pięć minut temu. Nie wiedziała, jakich szkód dokonać mogą spaliny, jakichś jednak z całą pewnością dokonały.

Nina wiedziała, że musi być przytomna. Facet, który ją porwał, w jakiś sposób spartolił robotę. Słyszała, jak Paul mówi do niego „James”. Jego zdaniem James zrobił coś innego albo zamiast porwania, albo oprócz niego. Co takiego? Zapewne nie chodziło o morderstwo, bo inaczej Paul zabiłby ją tu i teraz. Nie należał do ludzi, którzy utrzymują przy życiu innych ludzi dla samej przyjemności. Raczej wręcz przeciwnie.

Nie było to dobre pytanie do zadania samej sobie, a jednak je zadała: dlaczego żyje, skoro powinna nie żyć? Co może spróbować zrobić, by tak pozostało...

I nagle coś sobie przypomniała. Jeszcze w samochodzie uświadomiła sobie, że prawdopodobnie ma przy sobie telefon komórkowy. Pamiętała, że wyłączyła go przed spotkaniem z Reidelem, baterie powinny więc nadal działać. Miejmy nadzieję. W furgonetce była po prostu zbyt ciasno związana i nafaszerowana środkami uspokajającymi, by choćby marzyć o znalezieniu komórki. Tu, w piwnicy, mogło być trochę inaczej.

Jeśli się pospieszy.

Przecież nie musi nawet dzwonić. Jeśli siedzą na jej sygnale albo jeśli Ward spróbuje zadzwonić i jakimś cudem uda mu się połączyć...

Nina wygięła kark, odwróciła głowę na zakurzonych, najeżonych drzazgami deskach podłogi. Wraz z nią do piwnicy trafiła wielka torba jej porywacza z furgonetki, lecz w środku właściwie nie zostało nic. Zdaje się, że rzucono ją przy ścianie. Do pokoju hotelowego weszła w kurtce. Telefon trzymała głęboko w wewnętrznej kieszeni. Kurtka powinna być w torbie.

Długo nie mogła robić niczego oprócz znoszenia niewygód. Teraz miała wreszcie przed sobą cel. I to całkiem sensowny. Musi zdobyć telefon. No i oczywiście nie umrzeć.

Pierwszym i najsensowniejszym sposobem byłoby rzecz jasna usiąść. Siedząc, mogłaby przesuwać się po podłodze w kierunku torby. Metoda z pewnością nie najszybsza na świecie, za to dająca jej przynajmniej odrobinę kontroli.

Przez pięć minut kręciła się i wierciła, zanim wreszcie jakimś cudem usiadła. Potem musiała zorientować się co do kierunku i wyznaczyć właściwy stopami. Wreszcie zaczęła się przesuwać.

Udało jej się. No, mniej więcej. I szło powoli. Podłoga była bardzo nierówna, tu i tam coś na niej leżało. Wpadała na wszelkiego rodzaju przeszkody, po czym zmuszona była je pracowicie okrążyć.

Udawano się jej, choć z trudem, i wreszcie dotknęła metalowej ściany. Obróciła się i spróbowała sięgnąć w bok. Coś zaszeleściło.

Torba.

I co teraz? Nie użyje przecież ani rąk, ani nóg, a kurtka może znajdować się gdzieś głęboko. I jest, co tu ukrywać, gruba. Ward kupił ją dla niej, by nie zmarzła podczas zbliżającej się wielkimi krokami zimy północnego Pacyfiku. Nie ma mowy, nie uda się wyciągnąć telefonu tak po prostu. Ale gdyby przycisnęła torbę...

Nagle Nina usłyszała stuk kroków.

Natychmiast przewróciła się na bok, wyprostowała i przetoczyła. Nie ważne było, na co wpadnie po drodze, musi znaleźć się tam, gdzie leżała. Nie może, po prostu nie może pozwolić, żeby domyślili się, po co jej ta torba.

Dała radę, mimo bolesnych starć ze wszystkimi znajdującymi się po drodze niewidzialnymi przeszkodami. Coś unieruchomiło jej nadgarstek i musiała mocno szarpnąć, żeby go uwolnić. Była obolała, z trudem oddychała, ale wróciła na miejsce, od którego zaczęła. Była pewna, że leży na wznak. Udało się jej jakoś kontrolować szybki oddech.

Usłyszała trzask otwieranych drzwi. Uniosła głowę, nadal

robiąc wszystko, by nie dyszeć. Zobaczyła dwóch mężczyzn stojących w wejściu. Sprawiedliwego i tego drugiego, starszego. Miała wrażenie, że gdzieś, znacznie dalej, stoi trzecia osoba, chłopak.

Czyżby miał jej pomóc? W twarzy dzieciaka było coś, jakiś wyraz świadczący dobitnie o tym, że przekroczył granice świata, który rozumie. Czy mogłaby wzbudzić w nim jakiś odruch, odegrać przed nim starszą siostrę? Jasne, Nino, możesz sobie marzyć do woli. Ale... w jakim wieku może być jego matka? Może zamiast starszej siostry odegrać bezradną mamusię? Taką słodką, zawsze z gorącym ciastem? Czy to by pomogło?

Tylko że kiedy dwaj mężczyźni zaczęli schodzić po schodach, ten najmłodszy został, a potem odwrócił się i znikł w czeluściach domu.

Gdy znaleźli się na dole, Paul wcale nie skierował się do Niny, tylko odszedł na bok. Przykucnął i zabrał się za coś wyglądającego na inspekcję podłogi. Przyglądał się jej i od czasu do czasu przeciągał palcem po ziemi.

— Nie myśl sobie tylko — powiedział do starszego — że przez nasze wygórowane ambicje znów coś się nam może nie udać, że powstaną jakieś problemy. Po raz kolejny nie dzięki tobie. — Wstał i podszedł do Niny. Patrzył na nią z góry. — Równie dobrze możemy zatrzymać naszą agentkę, przynajmniej na razie. Przyjdzie czas, kiedy nie będzie to oczywiście potrzebne. Wezwę cię wtedy i jeśli każę ci ją zabić, wykonasz moje polecenie natychmiast. Żadnych zabaw i rozrywek. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

Mężczyzna skinął głową.

— Miał zamordować nas oboje — powiedziała cicho Nina. — Nie zaprzeczysz, prawda? Pomylił Reidela z Wardem i Reidela zabił, ale mnie zachciało mu się zabrać dla siebie.

Paul zrobił jeszcze krok. Stał teraz nad dziewczyną.

— Jesteś bystra, agentko Baynam. Bystra i bardzo mądra. A jednak się mylisz. James miał cię zabić, zgoda. Ward nie był jednak jego drugim celem.

— A kto był?

— Pozostawię to jako ćwiczenie dla studentki.

— Jesteś szaleńcem.

Nie. I nie jestem człowiekiem związanym, uwięzionym w piwnicy, śmierdzącym zastarzałym potem i strachem, założę się więc chętnie, że dziewięciu na dziesięciu właściciele kotów wolałoby moją rzeczywistość od twojej.

Mężczyźni wyszli zaraz po tej rozmowie. Nina słyszała, jak trzaskają drzwi samochodu i volkswagen rusza. Postanowiła poczekać, nim podejmie drugą próbę dostania się do telefonu, musiała się przecież upewnić, że wszyscy wyszli. Na razie próbowała uspokoić myśli, sprawdzić, czy może nauczyć się czegoś z tego, co powiedział Paul. Czytała kiedyś klasyczną pracę z lat trzydziestych, w której opisywano psychopatę jako „maszynę refleksyjną”, zdolną naśladować ludzkie zachowania tak perfekcyjnie, że w istocie niemożliwe wydaje się określenie, co jest w niej nierzeczywiste. Coś takiego można dostrzec w oczach mężczyzn kończących bójką wizytę w barze. Jeśli mija się ktoś takiego wczesnym wieczorem tego samego dnia — załżywszy, że jesteś wystarczająco nieostrożny, by na niego spojrzeć, co wydaje się bardzo kiepskim pomysłem — widzi się na jego twarzy niepokój, jest nieruchoma, ukryta pod maską fałszywej serdeczności. Ci milczący to zazwyczaj mizantropi, czasami pogrążeni w depresji, a być może po prostu alkoholicy, oddający się z zapalem nałogowi. Ci naprawdę niebezpieczni mają wyrachowany, gorączkowy wdzięk, niczym zamazane znaki na monitorze komputera, zawsze próbującego dojść do rozwiązania jakiegoś istotnego procesu, nigdy niegodzącego się na żadne rozwiązanie. W rezultacie otrzymujemy stabilną osobowość, z którą czasem możemy się porozumieć. Nie ma jednak czegoś takiego we wnętrzu tego rodzaju mężczyzny. To ładunki przemocy czekające na możliwość wyzwolenia, demoniczny wiatr rzucający ludzką powłoką.

Prawdziwie szaleni są czymś jeszcze innym. U nich istnieje coś w środku, trudno tylko określić, co to takiego. „Model refleksyjny” doktora Cleckleya stawiał pytanie: co takiego dokonuje impersonacji. Czym jest maszyna i co robi, kiedy nie impersonalizuje ludzi? Jakie są jej normalne reakcje? Skąd przybywa? Czego chce?

Czy mówimy w istocie o czymś wyjątkowym dla każdej poszczególnej osoby, czy też istnieje może ta sama rzecz, ta sama

demoniczna substancja lub szalony duch spoglądający przez oczy ich wszystkich? Cały trening Niny i cała jej dusza twierdziły inaczej: mamy do czynienia z „uszkodzonymi” istotami ludzkimi, manifestującymi psychozy i patologie.

Ale kiedy z góry patrzy na ciebie ktoś taki jak Paul, wtedy... wtedy człowiek zaczyna się zastanawiać.

Właśnie zdecydowała, że nie stać jej na dłuższe czekanie kiedy usłyszała trzask otwieranych drzwi i zobaczyła pasemko światła. Sytuacja była beznadziejna. Nie wszyscy wyjechali.

Ciężkie kroki coraz głośniejsz stukwały o kolejne stopnie. To mógł być tylko James, ten który ściągnął jej krew. Zatrzymał się na ostatnim stopniu, usiadł i przez długi czas milczał, paląc papierosa.

— I co teraz? — spytała Nina martwym głosem. — Czekaemy, aż szef każe ci mnie zabić?

— Nie jest moim szefem. A ja nie jestem James.

— Sam cię tak nazywa.

— Ja się nazywam Jim Westlake. Robię zdjęcia.

— Mój ojciec był fotografem. — Nina oczywiście kłamała jak z nut. — Czym się zajmujesz?

Mężczyzna zawahał się, po czym wstał i podszedł do torby. Wyjął z niej kurtkę dziewczyny i położył ją na ziemi, tuż obok niej. Podchodzące do gardła serce omal jej nie uduśliło.

Cel miała tuż przed sobą. Wspaniała nowina. Ale leżał na podłodze. Można go było na przykład kopnąć. Telefon mógł wypaść z kieszeni, zostać odkryty. Ale gdyby go zdobyła... lub sprawiła, by znalazł się blisko niej...

— Zimno mi — powiedziała. — Ta podłoga jest taka lodowata.

Wydawało się, że mężczyzna jej nie słyszy. Wyprostował się, trzymając w dłoni małe pudełko podobne do tego, w jakie pakowało się kiedyś dziecinne buty. Usiadł na ostatnim stopniu schodów i je otworzył. Grzebał w nim, jakby zapomniał, że Nina leży tuż obok niego. Potem, nawet na nią nie patrząc, podsunął jej pod oczy kilka zajęć. Nina nie widziała za dużo, właściwie tylko tyle, że przedstawiają kobiety i dziewczęta w



różnym wieku i zrobione były gdzieś, gdzie nie brakuje słońca.

— Nic nie zrobiłem — powiedział mężczyzna. — Żadnego z nich, żadnego od lat. Zawsze mieszkalem przy... zaraz...

Szybko przekładał zdjęcia, wreszcie znalazł to właściwe.

— Popatrz.

Trzymał je tak blisko jej twarzy, że z trudem rozszyfrowała, co przedstawia. Dwie małe dziewczynki mające może cztery, może pięć lat. Uśmiechnięte.

— Ładne — powiedziała Nina.

— Moje sąsiadki.

— Naprawdę? Mieszkasz obok nich?

— Nie. Ale nie mieszkalem tam od bardzo dawna.

— Jak to jest, że możesz tak po prostu wejść do środka?

— To nadal moje, ale... mieszkalem tu z żoną.

— Jesteś żonaty?

— Już nie.

Nina otworzyła usta, żeby zadać kolejne pytanie, lecz po chwili powoli je zamknęła. To nie ona tu rządzi. Nie przesłuchuje oskarżonego czekającego na proces. Więc milczała.

Ciszę przerwał mężczyzna:

— Spotkaliśmy się, kiedy wyszedłem z wojska. Przez kilka lat przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Objechaliśmy chyba cały kraj. Wreszcie znaleźliśmy to miejsce. Spodobało się nam.

Zrobiłem uprawnienia nauczycielskie. Zawsze byłem dobry w liczbach. Uczylem matematyki. Ale...

I znów zamilkł na długo. A potem kontynuował:

— Za granicą wszystko zawsze było ze mną w porządku. W wojsku mogłem... ale nie zrobiłem. Potem jakoś... mieszkalem tu trochę, długo, i już nie byłem taki jak kiedyś. Zrobiło się coś złego. Głowa nie chciała dodawać jak trzeba. Sumy znowu się myliły.

Nina nie wytrzymała.

— Co? Próbujesz powiedzieć, że wszystkiemu winne jest Thornton? Miasto zmusiło cię, żebyś robił to, co robiłeś? Przyjmij moją dobrą radę, taka obrona nie ma sensu.

— Nic mnie to nie obchodzi. Bardzo długo byłem jak inni. Wiedziałem, że będę zły, jeśli tylko sobie na to pozwolę. Ale ja

nie chciałem musieć tego robić. Robiłem... robiłem, co mogłem. A potem... — oparł głowę na dłoniach — ...studentka. W szkole. Przypominała mi Karłę. I to mi wystarczyło. Wyglądała jak Karła. Nic więcej. „Bam!”. Tak po prostu.

— Kto to jest Karła? Twoja żona?

— Żona miała na imię Laurie. Nie słyszałaś, co mówię?

— Przepraszam. Więc kim jest Karła?

— Dziewczyną, którą znałem dawno temu. W szkole. Moja pierwsza.

— Pierwsza dziewczyna, z którą się kochałeś?

— Tak.

— Ale nie o tym mówisz?

— Nie.

— Zabiłeś ją?

— Tak.

Opowiedział Ninie o tej dziewczynie, tej Karli. Pamiętał jej twarz z najdrobniejszymi, gorzkimi szczegółami. Pamiętał, jak poruszała się, jak chodziła. Doskonale potrafił także przypomnieć sobie przygotowania, przygotowania wymazywane w głowie, podczas gdy on myślał o czymś innym i robił coś zupełnie innego, najzupełniej normalnego. Przypomniawszy sobie, jak już po wszystkim siedział nad rzeką, przy brzegu, gdzie tak często bawił się jako dziecko. Noc była ciemna i zimna, przez cały czas opłuwała ziemię deszczem. Siedział na kupce skamieniałego błota, a obok niego leżała oderwana ręka. Światła nie było, tylko gdzieś w dali błyskało kilka punkcików, okna domów stojących po drugiej stronie wody. Jeśli się od nich odwróciłeś, spojrzawszy w drugą stronę, wsłuchałeś w szum wiatru, łatwo było ci uwierzyć, że świat znikł, że we właściwym czasie wróciłeś do miejsca, gdzie wszystko, co teraz dla ciebie cenne, kiedyś dopiero się objawi, a mężczyźni i chłopcy mają prawo być wolni, być sobą. Szczegóły tego, czego dokonał, zaczynały się powoli zacierać, zupełnie nie interesował go sposób porwania (ale to wróci z wielką siłą). Przez chwilę wierzył, że siedzi na jednej tylko części stworzenia i trudno było mu pojąć, jak można narzucać mu odpowiedzialność także za tę drugą. Gdy odwrócił się i znów spojrzął na światła, wiedział, że już go nie widzą, wiedział, że gdyby zapukał do ich drzwi, mieszkańcy ani

by go nie dostrzegli, ani nie usłyszeli. Ich życie było teraz dla niego zamknięte. Nie miał dokąd pójść. Po prostu siedział na deszczu, słuchał odgłosów natury, aż zrobiło się za zimno, więc przeszedł długi kilometr do domu, zjadł kawałek zimnego kurczaka i poszedł spać.

Potem nic takiego nie zdarzyło się bardzo, bardzo długo. Być może w tym miejscu nastąpiłby koniec, jedna sprawa, prawdziwa, lecz przecież unikalna. Tak się jednak nie stało. Karla była pierwsza. Ale z całą, całą pewnością nie ostatnia.

Próbował. Zaciągnął się do wojska. Kiedy musiał, wędrował po całym kraju i wreszcie znalazł dla siebie kąt i pracę w małym miasteczku. Towarzyszyła mu żona i dziecko.

Było za późno. Było za późno od zawsze.

— Tak czy inaczej, to była głupia dziewczyna. Ta, która wyglądała jak Karla. Tępa, po prostu tępa. Ludzie byli szczęśliwi, wierząc, że gdzieś uciekła, pojechała do Kalifornii jak wszystkie one, leniwe dziwki.

— To było dawno temu, prawda?

— Piętnaście lat — powiedział mężczyzna. — Bo to się nie zdarzało często. Nie dopuściłem do tego. I nie ruszałem kobiet z Thornton i Dryford. Raz była kelnerka z Owensville. Są teraz w lesie. Nikt nigdy ich nie znajdzie. Ale kiedy już zacząłem... myślałem, że będę umiał to kontrolować. Źle robiłem, oczywiście, ale przynajmniej było to pod kontrolą.

— Twoja żona nie wiedziała? Nie podejrzewała?

— Odeszła — powiedział mężczyzna po kolejnej chwili milczenia.

— Naprawdę?

— Nie — przyznał, odwracając głowę.

— Naprawdę?

I znowu to spojrzenie.

— Nie.

Mężczyzna nagle spojrział w górę i zmrużył oczy.

— Słyszałaś coś?

— Niczego nie słyszałam. — A ty? Jak ci się zdaje, co słyszałaś?

Pokręcił głową.

— Czasami, kiedy mieliśmy w nocy burzę, tak strasznie się denerwowała.

— Twoja żona?

— Słyszała grzmoty i wydawało jej się, że to niebiosa krzyczą. Myślała, że noc jest zła, że szuka kogoś, żeby jej zrobić krzywdę. Powtarzałem, że to nie tak, że to tylko dzieci hałasują podczas zabawy. Mówiłem jej: gromy to tylko hałaśliwa zabawa niebios, nic więcej.

Znowu zamilkł i Nina zorientowała się, że płacze.

— Jim — powiedziała cicho, łagodnie — naprawdę, jest mi bardzo zimno. Nie czuję się dobrze. Czy mógłbyś... czy mogłabym narzucić kurtkę? Przykryj mnie nią. Zrobi mi się trochę cieplej. Jemu to z pewnością nie będzie przeszkadzało.

Ale on nadal nic nie słyszał i Nina nagle wyobraziła sobie, że uderza go metalowym prętem w głowę. Żadne z nich nie słyszało nic oprócz bełkotu we własnych głowach. Gadali i gadali, ale żadne słowo jednego nie docierało do drugiego.

— Straciłem... to wszystko dotarło po prostu do jednego punktu w przestrzeni — powiedział stary mężczyzna zdławionym głosem. — Rozumiesz, prawda?

— Nie — odparła Nina zimno. — I nigdy nie zrozumieć.

Nieco później wrócił Paul. Nina słyszała trzask drzwiczek i kroki zbliżające się do domu. Dwie osoby. Ktoś podszedł do drzwi i je otworzył. Zdążyła nawet pomyśleć, że tym razem jej czas się skończył. Ale po wejściu do piwnicy Paul pochylił się i pomógł jej najpierw uklęknąć, potem wstać.

— Mam zamiar zabrać cię ze sobą — powiedział, po raz kolejny zakładając jej knebel. — Nie mam czasu na podziwianie twoich wspaniałych myśli. Przykro mi, jeśli w jakiś sposób pozbawiam cię poczucia wielkości.

— Jej jest zimno — powiedział nagle Jim/James. Nie patrzył na nich, Nina to dostrzegła. Palił kolejnego papierosa i wydawał się skupiony na tej czynności. Nie była nawet pewna, czy mówi do Paula, czy do niej. Mimo to Paul podniósł z ziemi jej kurtkę, tę, którą dostała od Warda całe życie temu i przykrył nią jej ramiona.

— Lepiej? — spytał.

Nina skinęła głową, nie kryjąc wdzięczności. Tak pięknie nie zachowywała się nigdy w życiu. Po lewej czuła lekki ciężar, od telefonu dzieliły ją centymetry. Musi teraz tylko znaleźć przycisk „ON” i włączyć go przez materiał, a potem wystarczy już jeden przycisk szybkiego wybierania. I koniec. Z pewnością niełatwe to, ale i nie niemożliwe do wykonania. Ward nie musi nawet słyszeć jej głosu, dowie się wszystkiego z numeru, który pojawi się na wyświetlaczu...

— Och, byłbym zapomniiał — mruknął Paul, jakby do siebie.

Sięgnął do kieszeni jej kurtki i wyjął z niej telefon komórkowy. Robiąc to, obserwował twarz Niny i choć bardzo chciała, nie udało jej się uniknąć miazdzącego rozczarowania.

— Nie bierz mnie za kompletnego durnia.

Niesiona na schody ku niepewnemu światłu, zrozpaczona Nina musiała przyznać, że zawsze wyprzedza ją o krok, że wyprzedzali ją oni wszyscy.

I może tak już musi być?

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy z Johnem wjechaliśmy na parking Mayflower, Unger już na nas czekał, na samym śródeczku. Ubrany był lepiej, niż kiedy widziałem go ostatnio, w niewątpliwie drogi czarny garnitur i poważny ciemny krawat. Sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka. Podeszliśmy do niego.

— Jesteście punktualni — uśmiechnął się na nasz widok. Głos miał równie elegancki co strój.

— Jak się tu dostałeś?

— Taksówką. Nie lubię prowadzić.

— Naprawdę?

— To niebezpieczne.

— Gorsze od latania?

— Piloci odebrali odpowiednie wykształcenie. Ja, nie. — Spojrzał na Johna. — Jestem Carl Unger — przedstawił się uprzejmie.

— John Zandt.

— Wiem, kim jesteś.

John zmarszczył brwi.

— Co masz na myśli?

— Kilka spraw jednocześnie. — Unger spojrzął na Mayflower. — Może wejdziemy do środka? — zaproponował. — Strasznie tu zimno.

Lokal właśnie otwarto i Hazel nie przyszła jeszcze do pracy. Zastępowała ją dziewczyna o platynowoblond włosach, z tatuażem i kolczykiem w języku. Zaangażowanie w rzeczywistość. Głębia. Założyłem, że to Gretchen, wytrzymująca obecnie

ciężar uczuć Lloyda. Musi go lubić. Nawet namówienie jej, by nalala kawę z dzbanka szło jak po grudzie.

Usiedliśmy we wnęce z tyłu sali. Unger położył ręce na stole i spojrzął na mnie.

— Nie znaleziono żadnego śladu, przyjacielu? — spytał.

— Żadnego.

— Bardzo mi przykro to słyszeć. Prawdę mówiąc, przyjechałem tu jednak, by przedyskutować inne tematy.

Położył na stole arkusz papieru. Przeczytaliśmy go razem z Johnem.

OTO NASZ DZIEŃ. JESTEŚMY W AMERYCE, ALE NIE JESTEŚMY AMERYKANAMI. JESTEŚMY W EUROPIE. NIE JESTEŚMY EUROPEJCZYKAMI. NIE JESTEŚMY AZJATAMI, ARABAMI, AFRYKANAMI, NIE JESTEŚMY CHRZEŚCIJANAMI, MUZUŁMANAMI, ŻYDAMI. JESTEŚMY PRAWDZIWYMI LUDŹMI. NADSZEDŁ CZAS, ŻEBY ICH NAUCZYĆ.

— Kolejny kodowany spam?

— Wysłany dzisiaj o szóstej rano. Kodowany książkowo, Koranem, ni mniej, ni więcej.

— Mesjanizm. I co z tego? Carl, będę tak uczciwy wobec ciebie tak, jak ty jesteś uczciwy wobec mnie: Nina jest dla mnie priorytetem.

— Wczoraj po południu w sklepie sportowym jednego z centrów Kalifornii wybuchła bomba.

— Słyszeliśmy. I co z tego?

— Mieli podejrzanego na wideo, ale znikł. Bogaty dzieciak z Valley. Nazywa się Lee John Hudek.

— Hudek? — John spojrzął na niego nieruchomym spojrzeniem.

— Rozumiem, że to nazwisko coś dla ciebie znaczy?

— Ryan, nie Lee John. Ryan Hudek figuruje w papierach, wyniesionych przeze mnie z domu handlarza nieruchomości nazwiskiem Dravecky.

— Którego zabiłeś?  
Zandt wyglądał na, zaskoczonego.  
— Skąd to wiesz? Jak się dowiedziałeś?  
— Nie wiedziałem na pewno. To było oparte na mocnych faktach przypuszczenie. Niewielu innych ludzi straciło życie w podejrzanych okolicznościach, mężczyzn, których nazwiska spotykałem w określonym kontekście. Wysunąłem stąd teorię, że ulicami spaceruje gość walący po łbach ludzi, których ma za co starszych Niewidzialnych. Racja?

John nawet nie odpowiedział.

Teraz na mnie przyszła kolej, by przyjrzeć się podejrzliwie Ungerowi.

— Wygląda mi na to, że wiesz cholernie dużo więcej, niż raczyłeś mi przekazać przy ostatnim spotkaniu.

— Moim zadaniem jest zbieranie informacji, a nie przekazywanie ich. Tylko trzynaście osób na świecie zna w tej chwili wszystkie szczegóły dotyczące tej sprawy. Innym nie ufamy. Zwłaszcza ja. Mój ojciec i dziadek zginęli z powodu takiej właśnie sprawy.

— Kto to jest „my”? Jeśli CIA wie... — zacząłem.

— Nie chodzi o firmę — przerwał mi Unger. — Tak jak FBI jest spenetrowana do tego stopnia, że praktycznie bezużyteczna.

— W porządku. No to w końcu, o kim mowa? — spytałem zirytowany. — Carl, pójdzie nam znacznie szybciej, jeśli przestaniesz odpowiadać wyłącznie na pytania.

— Dojdę do tego — odpowiedział Unger i zwrócił się do Zandt: — Od dłuższego czasu chciałem z tobą pogadać, ale niełatwo cię złapać.

— Mnie tego nie musisz mówić — mruknąłem.

John wcale jeszcze nie popadł w entuzjazm. Nie emanował otwartością.

— Dlaczego chciałeś ze mną porozmawiać? — spytał.

— Najpierw spraw, żebym ci zaufał — zaproponował Unger. — Wiem tylko tyle, że jesteś przyjacielem Warda, że byłeś kiedyś dobrym detektywem wydziału zabójstw, a teraz jesteś człowiekiem niebezpiecznym, jeśli podejść do ciebie od niewłaściwej strony. Widziałem raport z sekcji Dravecky'ego.



Zandt wahał się przez chwilę, ale w końcu wyjął z kieszeni dwie plastikowe torebki. Wyglądały jak te, w które specjaliści od badania miejsca zbrodni chowają różne znajdowane drobiazgi. W obu były niewielkie, niczym niezwracające uwagi przedmioty. Wziąłem jedną z nich. W środku zobaczyłem coś, co mogło być kawałkiem ziemi, choć dostrzegłem też kilka pasemek intensywnej barwy, błękitnych i zielonych.

— To kamienne budowle z Nowej Anglii — objaśnił ich Zandt. — Na ogół nazywa się je piwnicami ziemnymi. Zawartość obu torebek pochodzi z jednej z nich, z Massachusetts.

— Ma coś wspólnego z tym Ozem Turnerem? — spytałem. Skinął głową.

— Skłoniłem go, żeby zaprosił mnie do pierwszej odkrytej w hrabstwie Webster. Najpierw ją odkryto, potem na bardzo długo zapomniano, więc nie została zniszczona tak bardzo jak inne. Część zdjęć, które w tajemniczy sposób znikły z serwera, to te, które wtedy zrobiłem. Kiedy spotkałem się z moim kontaktem w Richmondzie, żeby pogadać o kości, którą znaleźliśmy w tutejszych lasach, poprosiłem go przy okazji, żeby powiedział mi wszystko o zawartości tych torebek.

Obejrzałem drugą z nich.

— A to odłamek kości — zauważyłem.

— Owszem. Odłamek kości czaszki. — John spojrzął na Ungera. — Czy możesz mi powiedzieć, co jest w tej pierwszej?

— Mały kawałek miedzi — odparł natychmiast Unger. — Wykopany w rejonie Wielkich Jezior kilka tysięcy lat przed narodzinami Chrystusa.

— O mój Boże! — jęknąłem. — Ty też?

John mnie zignorował.

— Owszem — przytaknął. — Kość jest także bardzo, bardzo stara. Ludzka. Nie miałem czasu zrobić analizy węglowej izotopem C-czternaście.

Zacząłem się czuć jak klasowy idiota i wcale mi się to nie spodobало.

— To co robią te cuda w piwnicy? — spytałem.

— Nie ma mowy o żadnej piwnicy — odparł Unger. — Coś takiego nigdy nie istniało. To starożytne stanowiska pogrzebowe.

— Starożytne, czyli jakie?

— Niektóre mają pięć, sześć wieków, inne kilka tysięcy lat i więcej. Składano w nich na wieczny spoczynek najważniejszych przywódców Niewidzialnych.

— Co?

— Nie sądzę, żeby było to aż takie proste — powiedział Zandt. — Moim zdaniem chowano tam także wrogów. To coś w rodzaju kolekcji, może eksponatu? W każdym razie dzieło sztuki. Morderca mógł wreszcie spocząć wśród pamiątek ofiar całego swego życia zabójcy. — Spojrzał na mnie. — Pamiętasz miejsce, które znaleźliśmy, te na południe od Yakimy? To było właśnie coś podobnego. A w specjalistycznym piśmie trafiłem na wzmiankę o miejscu pochówku w Niemczech: kolekcja ciał pogrzebanych jakieś dziesięć tysięcy lat temu, ułożonych w jakimś porządku. Całkiem możliwe, że nawet najmniejsze, najmniej ważne stare pochówki mają cechę wspólną: zamiast, o czym przekonani są archeologowie, wodza, pochowanego ze sługami, zapewniającymi mu komfortowe życie po życiu, mamy po prostu groby masowych morderców i ich ofiar.

— Po co to robili? — nie ustępowałem. — Znaczyli swoje terytorium? Grzebiemy tu naszych zmarłych, więc to nasze miejsce?

— Prawdopodobnie, ale nie tylko o to chodzi — odezwał się Unger — Jeśli zbadasz rozmieszczenie stanowisk w Nowej Anglii zauważysz, że wyznaczają pewien określony obszar.

— Sądziłeś, że tworzą coś w rodzaju pól sił wokół swych twierdzy? Mur krwi?

— To całkiem możliwe.

— Kpisz sobie ze mnie?

— O ile wiem, seryjni mordercy w naszych czasach uprawiają podobne rytuały. Zwyczajnie, pomysł podniesiony do rangi sposobu życia.

— A teraz ty spraw, żebym ci uwierzył — powiedział John do Ungera. — Byłem pewny, że jestem jedyną osobą na świecie, znającą różne zwyczaje i sekrety Niewidzialnych. Jeśli się mylę, powiedz mi, co ci się zdaje, że wiesz.

— W porządku. Ale musisz wysłuchać tego, co ci powiem, bo nie mam czasu podawać numeru rozdziału i wersu czy

jakichś nudnych dowodów. I uwierzyć, że mówię samą prawdę i tylko prawdę. Podparłem głowę ręką. Chce facet, niech gada.

— Wersja skrócona — zaczął Unger, zapalając jednego z moich papierosów. — Jak niewątpliwie wiesz, ostatnie zlodowacenie skończyło się przed jedenastotysięcznym rokiem przed naszą erą. Koniec wielkich mrozów na naszej planecie, można znowu wygodnie żyć, rasa ludzka może sobie wreszcie pozwolić na luksus kultury. Przez kolejne pięć tysięcy lat wykuwaliśmy sobie świat, jaki się nam podobał. Zaczęliśmy bawić się w uprawę roli. Pojawił się handel, komunikacja, przegoniiliśmy neandertalczyka na dobre. To dlatego znajdujesz różne fragmenty kultury ludzkiej w różnych, przypadkowych miejscach na całej ziemi. Nie mówimy o wyjątkach, lecz naszym normalnym rozwoju, początkach globalnej cywilizacji. Każda światowa kultura piastuje legendy o swojej niewinnej przeszłości: ogrody Raju, Dilmunt, Aiyriana Vaeyo, czas przodków. Ale zawsze istnieli mężczyźni i kobiety po prostu inni, i to oni zbrali się powoli wokół tych, których zaczęto nazywać Niewidzialnymi. Rośli w siłę. Około sześciu tysięcy lat przed Chrystusem postanowili zaatakować globalne centra kultury. Ambicje mieli zdumiewające. Powiedzieli sobie: „Nienawidzimy nowego porządku świata, więc go rozpieprzymy”. Zajął im to jakieś pięćset lat i zdarzyło się na całej planecie. Najeżdżali po prostu jeden ład po drugim niczym zabójcze mrówki.

— Zdobyli cały świat?

— Nie. Im nie chodziło o dominację. Po prostu wybijali wrogów do nogi i szli dalej. W przypadku Niewidzialnych liczy się jedno: oni nigdy, przenigdy nie przestaną... a weź pod uwagę, że każdego z tych ludzi indywidualnie można traktować jako chorego ponad wszelkie wyobrażenie. Chcesz wiedzieć, jak wyglądała ostatnia bitwa z Niewidzialnymi? To weź Hieronima Boscha i pomnóż go przez holocaust. Palili miasta i ziemie tak skutecznie i budząc takie przerażenie, że czasy te dały każdej pojedynczej kulturze wyobrażenie piekła. Odwrot, upadek tysięcy lat cywilizacji był tak potworny, że wspomnienie o nim uległo w końcu konwergencji z innymi kończącymi epoki wydarzeniami, jak potop i koniec ostatniej epoki lodowcowej,

poprzednie straszne wydarzenie w naszych dziejach. Dlatego legenda Atlantydy kończy się powodzią... a skoro przy tym jesteśmy, nie zapomnij o arce Noego. Przy okazji Atlantyde przesunięto omyłkowo na jedenaście tysięcy sześćset lat przed naszą erą, gdy poziom wody morskiej wzrósł katastrofalnie na całej naszej planecie. Ale to jeszcze nie wszystko, mamy przecież aktywność wulkaniczną i trwające tysiąclecia upadki asteroid (pozdrowienia Sodomo i Gomoro). Z tego wszystkiego, z tej mieszanki tworzy się miszmasz mitów kłęski obejmujących całą epokę. Zwycięstwa Niewidzialnych — kłęski ludzkości — wydawały się jednocześnie tak straszne i tak decydujące, że zaczęto w nich widzieć dzieło Boże, karę za popełniane przez nas grzechy. Przez ostatnie osiem tysięcy lat świat podźwignął się jakoś z tej apokalipsy. Trzy, cztery tysiące lat temu znów stanęliśmy jakoś na nogach, oni zaś znikli w cieniu. W *Timosie*, pierwszym zapisanym micie o „starej wersji” Atlantydy, Platon mówi o „górskiej miedzi”. Twierdzi, że pokrywała ściany miasta, że na zrobionych z niej kolumnach zapisywano prawa. Zupełnie jakby była to cecha charakterystyczna, definiująca. A dlaczego?

— Prehistoryczne kopalnie miedzi nad Wielkimi Jeziorami — przypomni! John.

— Dokładnie. To mylne odniesienie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Niewidzialni stworzyli kopalnie w Stanach Zjednoczonych, krainie, którą uznali za własną. Fakt prawdziwy, epoka zła, ponieważ Platon pisał mniej więcej czterysta lat przed Chrystusem, kilka tysięcy po rozpoczęciu eksploatacji tutejszych kopalń i całe pięć tysięcy lat po wojnie. Dwa pomieszone ze sobą fakty, bo fakty już zaczęły się mieszać. Daj spokój, Ward, wszystko masz podane jak na talerzu. Jak się nazywa ten kawał wody, utrzymujący bezpieczny dystans pomiędzy Europą a krainą Niewidzialnych? Atlantyck!

— To przypadek. Albo...

— Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Większość mitów świata, łącznie z tymi o wampirach, wilkołakach i demonach to próba zrozumienia tej nieustannej walki, to przypomnienie nam, iż są ludzie, którzy będą nas atakowali nocami i tropili w dzień, kierowani jedną tylko żądzą: zabić. Chrystus nie

wypędzał demonów, nie dosłownie, to po prostu biblijna przenośnia obrazująca fakt, że Kościół powstał, by najdosłowniej trzymać Niewidzialnych w ryzach, by zbudować zaporę przed prawdziwymi demonami, ludźmi, którzy są przeciwnikami ludzkości.

Umilkł, a ja próbowałem jakoś to wszystko uporządkować.

— No i wychodzi na to, że jednak nie pracujesz dla CIA — powiedziałem wreszcie.

— Mylisz się. Pracuję. Równie dobry sposób, jak każdy inny, by wkręcić się w podziemny świat. Ale to tylko przykrywka, rozumiesz? Pracuję dla masonów. Nieoficjalnie jestem łącznikiem z Bohemian Grove Organization i od czasu do czasu próbuję utrzymać pokój z jezuitami. Zasadą i celem wszystkich tych grup, nawet Bilderberg\* — choć dziś są rzeczywiście globalistycznym śmieciem i do pewnego stopnia rządzą całym światem za jego plecami — jest stabilizacja. Ale najważniejsze jest to, że te organizacje nawet nie wiedzą, po co istnieją. Wszyscy myślą sobie, że każdemu zależy tylko na władzy i forsie, ale połączone rezultaty ich działań wraz z punktem wyjścia całej struktury tworzą barierę, mającą chronić przed Niewidzialnymi.

\* Grupa Bilderberg lub Klub Bilderg — nieformalne międzynarodowe stowarzyszenie wpływowych osób ze świata polityki, biznesu i przemytu.

— Nawet faceci działający w konspiracji nie mają pojęcia, czym naprawdę jest ta konspiracja? — Pokręciłem głową. — Wspaniale.

— Nie wiedzą, bo nie muszą wiedzieć. Wystarczy, żeby działała całość. Nie podminujesz czegoś, o czym nie wiesz, że istnieje. Heraklit... tak, jeden z nas... powiedział słusznie, że ukryty związek zawsze jest silniejszy niż jawny.

Spojrzałem na Zandta.

— Powinieneś się cieszyć — powiedziałem do niego. — Carl jest po prostu cudowny. Wiesz, że przy nim sprawiasz wrażenie prawie normalnego?

John wpatrywał się w stół z miną człowieka, który został wreszcie zrehabilitowany i to w stopniu, którego nie mógł spodziewać się w najśmielszych marzeniach.

— Nie usłyszałem niczego, w co nie mógłbym uwierzyć — powiedział cicho.

— Stary, ty przecież jesteś zdolny uwierzyć we wszystko!  
Unger złapał mnie za ramię.

— Ward, czy ty naprawdę uważasz za przypadek to, że Cesarstwo Rzymskie oficjalnie zaakceptowało chrześcijaństwo dokładnie w chwili, gdy samo traciło siły? Jasne, że to nieprawda. Odkryło się prawdziwe przekazanie władzy, negocjowane przez cesarza Konstantyna i jego matkę. Kościół katolicki stworzono po to, by przejął strukturalny spadek Rzymu, tak jak Rzymianie przejęli spadek po Grekach, a Grecy po Egipcjanach. Organizowali to przywódcy tamtych czasów — tak jak Unię Europejską stworzyli dzisiejsi przywódcy — o których nie wiemy nic. Jak wszystkie ludzkie instytucje Kościół się zdegenerował, lecz na początku Paweł — nie mylić z twoim bratem Paulem, chodzi o tego biblijnego — dostrzegł potencjał zbuntowanych żydowskich nauczycieli, którzy mogliby doprowadzić do powstania międzynarodowej organizacji... i zrobił to jak trzeba! Scentralizowana władza przekazywana coraz mniejszymi częstokami do księdza w parafii składającego raporty misji kontrolnej. Kościół katolicki kształtował Europę przez kolejne tysiąc pięćset lat, sprawiając, że bezustannie obserwowano ślady Niewidzialnych. Masoni wyodrębnili się z zakonu rycerskiego templariuszy, jednej z enklaw sięgających po potęgę i władzę, gdy Kościół zaczął blednąć i odchodzić prostą drogą w przeszłość. Nadal miał tyle władzy, by wypieprzyć templariuszy, używając jako pretekstu herezji katarów, więc oni sami potajemnie przemienili się w masonów... i teraz, osiemset lat później, nadal prowadzą biznes. Prawie każdy z członków wierzy głęboko, że organizacja służy osładzaniu życia jej członkom i tylko trzech trzydziestego trzeciego stopnia zna prawdziwy cel. Współczesne podszczypywanie się masonów i Kościoła wynika przede wszystkim z tego, że obie organizacje, w innych co prawda czasach i przez innych ludzi, służyły jednak temu samemu celowi. Kościół ma za sobą długą, chlubną karierę, a przy okazji nieźle się wzbogacił, więc nie chciał oddać wodzy nikomu i dlatego Zachód przeżył pięćset lat idiotycznej walki na wyniszczenie pomiędzy tymi dwiema potęgami. Na świecie

znajdzie się miejsce tylko na ograniczoną liczbę tajnych elit, jeśli rywalizują o te same serca, umysły i pieniądze, a zwłaszcza jeśli wszystkim udało się już zapomnieć, po co w ogóle istnieją. Owszem, masoni do nich należą, Bilderbergowie zresztą też, razem z Komisją Trójstronną, Bank for International Settlements, La Defence, el-Rashjid, Yom Pek i innymi, których nazwy, mam nadzieję, nigdy nie obły ci się o uszy. Jedna osoba w każdej tej instytucji zna prawdę, a także trzech masoni. To my wszyscy stoimy między światem a Niewidzialnymi.

Carl Unger wydał się nagle bardzo zmęczony.

— A w gruncie rzeczy — ciągnął — chodzi o to, że Niewidzialni są o wiele lepsi, bo prędzej czy później każdy z nas staje się chciwy i zapomina, o co toczy cię gra. Czas kryje wszelkie tajemnice. Tak, oczywiście, Chrystus studiował w Chinach i tak, po ukrzyżowaniu uciekł do Francji, i tak, wylądował w końcu w Kaszmirze, gdzie zmarł. Ale co to kogo, do cholery, obchodzi? Przecież nie w tym rzecz. Był zwykłym dobrym facetem jak Mahomet, Budda czy Jimmy Stewart. O mniej więcej tylu ludziach mówimy. Musimy powstrzymywać Niewidzialnych, nic innego się nie liczy. To jest sens i cel naszego życia. Robiliśmy, co mogliśmy od bardzo, bardzo dawna, a teraz mamy jeszcze dla rozrywki nowe technologie. Posługując się Internetem nie jesteśmy w stanie nie dopuścić do ich zgromadzenia, jeśli zechcą się gdzieś zgromadzić. Oni pracują skuteczniej i potrafią znacznie bardziej nienawidzić. Tak to niestety wygląda.

Usiadł wygodniej. Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. To ja przerwałem milczenie.

— No dobrze, a teraz chciałem się tylko dowiedzieć, jak pasuje do tego UFO.

— UFO nie istnieje, Ward. Nie bądź fiutem.

Tylko mi nie mówicie, że nie jestem otwarty na nowe idee. Przez pięć minut starałem się zrozumieć, co właściwie powiedział nam Unger, a to w jednym celu: by odkryć, czy jego rewelacje zmieniają coś w kwestii zlokalizowania Niny. Niczego nie

wyśmiałem, uznałem więc, że cała ta sprawa w ogóle zupełnie mnie nie interesuje. Kiedy znów na nich spojrziałem, John i Carl pograżeni byli w poważnej rozmowie.

— Co właściwie znalazłeś w papierach? — zapytał Zandt.

— Głównie kontrakty — odparł John. — Ryan Hudek nie był nikim ważnym. Wydawało się raczej, że to Dravecky podsyła mu interesy. Jakby odwdzięczał się za przysługę albo coś.

— Albo płacił — stwierdził Unger. — Moim zdaniem wczorajsza bomba w Los Angeles to była rozgrzewka.

— Przed czym?

— Nie wiem, ale...

Nagle w mojej głowie zapaliło się światełko.

— To dlatego! — przerwałem im. — To dlatego wyciągnęli Paula!

Spojrzeli na mnie zdziwieni.

— Pomyślcie tylko — mówiłem — sześć miesięcy temu Paulowi odbiło i stał się problemem dla Niewidzialnych. Dravecky wysłał swoich ludzi za nim, do lasu, z rozkazem, żeby go zabili, pamiętacie? A teraz ściągnęli sobie na głowę masę kłopotów, zorganizowali transport opancerzony i po co? Żeby go wyciągnąć z więzienia? Dlaczego niby mieliby to zrobić?

— On wie o nich wszystko — zauważył John. — Chcieli go załatwić raz na zawsze na wypadek, gdyby na przykład próbował zawrzeć układ w sprawie zamordowania Jones i Wallace'a. Mógł załatwić Niewidzialnych tak po prostu. Więc się go pozbyli.

— Nie zdradziłby ich nigdy i oni doskonale o tym wiedzą. Równie dobrze jak ty. Wiesz, że żyje, bo inaczej byś się na mnie nie wieształ. Gdyby chcieli załatwić gościa, rozwaliliby go w Pelican Bay, im wystarczy przecież jeden telefon. Potrzebują Paula. Tylko to ma sens.

John milczał przez chwilę... i nagle zrobił minę jak ktoś, kto oberwał pałką w łeb.

— Co? — spytał Unger.

— Jak mogłeś nie przewidzieć tego od razu! „Dzień Aniołów”... przecież to chodzi o Los Angeles! Dzień Aniołów w Mieście Aniołów.

Carl gapił się na niego zdumiony.



— Zamierzają zaatakować Los Angeles?  
— Paul zna miasto — powiedziałem. — Być może tam właśnie zaczął zabijać. Z pewnością tam zbierał ofiary dla Niewidzialnych. Tam też zabił Jessicę Jones.

— Dravecky, Hudek i co najmniej czterech innych miało lub ma bazy właśnie w Los Angeles — dodał John. — Zgromadzili tam wystarczająco dużo wtyczek w FBI, żeby w tym roku doprowadzić do zawieszenia Niny.

Wstałem i wyjrzałem na parking. Żołądek skręcał mi się ze strachu.

— Cztery dni temu Ninę i jeszcze jednego agenta FBI, któremu chcieliśmy o tym wszystkim opowiedzieć — Charles Monroe także pracuje w Los Angeles — przeniesiono nagle na drugą stronę hrabstwa w celu poprowadzenia śledztwa w sprawie morderstw wyglądających tak, jakby były dziełem serijnego mordercy. Dwa dni później Nina znikła. Zawiadomiłem Johna, więc on też jest tutaj. Jesteśmy wszyscy razem i wszyscy nie tu, gdzie powinniśmy być.

John i Carl już zdążyli zerwać się na równe nogi.

— Mamy czas — uspokoił nas Carl. — Znajdę najbliższe lotnisko i będę za godzinę miał dla nas samolot. John, masz zamiar na Ryana Hudeka?

— Mam. Ale policja z Los Angeles będzie na miejscu pierwsza.

— Panowie... — próbowałem wtrącić się do rozmowy.

— Oczywiście — powiedział Unger do Johna. — Ale będą musieli wypytać rodziców na okoliczność zachowań syna, a potem i tak dadzą im spokój. Kto uwierzy, że biorą udział w tym, czym zajmuje się ich synek?

— Dasz radę zabezpieczyć ich w domu?

— Zawsze mogę spróbować.

— Nie lecę do Los Angeles — oświadczyłem.

Zandt spojrział na mnie ze zniecierpliwieniem.

— Ward, mówileś, zdaje się...

— Wiem, co mówiłem.

Unger trzymał telefon przy uchu. Patrzył na mnie szklistym, nieruchomym wzrokiem zeloty. Wraz z Zandtem w wyobraźni już byli za progiem.

— Ward, to naprawdę nie jest trudna decyzja. Jeden albo wielu.

— Wybieram jednego. Zawsze dokonywałem takiego wyboru. Wielu będzie po prostu musiało pilnować własnych spraw.

John spojrzał na mnie i tylko pokręcił głową.

Wyminałem go, przeszedłem obok kilku wnek wypełniających się powoli ludźmi, kryjącymi za kanapkami pierwszego drinka. Szedłem szybko i byłem zły. W samych drzwiach o mało nie przewróciłem jakiegoś faceta w garniturze za pięćdziesiąt dolców. Nawet nie spojrzał mi w oczy.

Ruszyłem w stronę samochodu, kiedy usłyszałem, że ktoś wykrzykuje moje imię. Rozejrzałem się — po drugiej stronie parkingu właśnie wysiadła z samochodu Hazel. W zasadzie nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam, i gdybym się zatrzymał, to już pewnie nie ruszyłbym z miejsca, więc tylko jej pomachałem. Odmachnęła mi grzecznie. Wsiadłem do samochodu i wyjechałem na ulicę.

Gdy ujechałem jakiś kilometr, zadzwonił telefon. Odebrałem, spodziewając się Johna lub Carla i czując słabą, co prawda, nadzieję, że może zdecydowali się pozostawić problemy Los Angeles Los Angeles. Ale nie. Dzwonił Monroe.

— Gdzie jesteś? — spytał. Sprawiał wrażenie bardzo skupionego.

— Wjeżdżam do Thornton. O co chodzi?

— Podjedź po mnie na posterunek. Zdaje się, że coś mam.

## Rozdział trzydziesty drugi

Zaparkowałem samochód przed biurem szeryfa i wbiegłem do środka. Monroe stał w głębi budynku, rozmawiając z jakimś gliniarzem, którego nigdy przedtem nie spotkałem. Gdy tylko pojawiłem się w jego polu widzenia, natychmiast przerwał rozmowę, a gliniarz spojrział na mnie wzrokiem pełnym gli-niarskiej wyższości. Nie spodobał mi się nawet z odległości dziesięciu metrów.

Monroe wziął mnie pod ramię i wyprowadził na ulicę.

— To twój samochód? — spytał.

— Tak. Co to za facet, z którym rozmawiałeś przed chwilą?

— Szeryf miasteczka po drugiej stronie Owensville.

— Co tutaj robi?

— Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Ale ma o wiele większy kontakt z wydarzeniami niż miejscowi.

— To nie takie znów trudne.

— Racja. Tylko że w końcu ktoś jednak odwalil kawał dobrej roboty. W zeznaniu, które złożyła przed Reidelem Julia Gulicks powiedziała, że osiedliła się w Thornton sześć lat temu. Zgadza się data wynajęcia mieszkania i podjęcia pracy w firmie w Owensville. Ale przy okazji wspominała, że dorastała w Boulder.

— I?

— Kłamała. Szukaliśmy przez ostatnie półtora dnia. Ani śladu urodzin, nauki, pracy, po prostu nic. Ale pół godziny później glina z Thornton, nadal pracujący nad tą sprawą,

znalazł wreszcie akta niejakiej Jane Gillan, urodzonej w Dryford i tam chodzącej do szkoły.

Dla Monroe'a była to zdecydowanie ważna informacja. Mnie nic nie powiedziała.

— Dryford? — zdziwiłem się. — I tu mnie masz. Czy to też w Kolorado?

— Nie. Jakies dziesięć kilometrów stąd, tuż po drugiej stronie lasów. Tam znaleziono drugie i trzecie ciało.

Szczęka mi opadła. Po chwili mogłem już zamknąć gębę z trzaskiem.

— Racja — powtórzył Monroe. — Tak to sobie właśnie wyobrażałem. No to co, jedziemy?

Poszliśmy do samochodu. Po chwili spytałem:

— Masz coś na tą Gillan?

— Niewiele, ale to, co mam, działa. Ostatnie fakty dotyczące okresu, kiedy miała dwanaście lat. Ojciec Jane Gillan zginął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku w nieco podejrzanych okolicznościach i dlatego gliniarze trochę się temu przyjrzeni. Pewnego popołudnia spadł ze schodów, zalanym, i skrzył kark. W tym czasie w domu była tylko jego mała córeczka. Kiedy mama wróciła, znalazła trupa na podłodze, a w kuchni Jane odrabiającą lekcje. Walter Gillan był agresywnym alkoholikiem oraz rasistowskim wrzodem na dupie, wszyscy wiedzieli, że regularnie bije żonę, więc, szczerze mówiąc, nikt się za bardzo nie wysiłał, żeby rozwiązać sprawę morderstwa, które być może wcale nie było morderstwem. Żona i dzieciak wyniosły się z Dryford najszybciej, jak się dało, i potem nikt już nic o nich nie słyszał. Ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym zamieszkała w Thornton niejaka Julia Gulicks.

— Moim zdaniem nie radzi sobie najlepiej — mruknąłem.

— O co ci chodzi?

— Najczerwieńsze włosy świata, a ona ich nie ukrywa, nawet kiedy spotyka się z drugą ofiarą w Mayflower. Uważa, że to cwane być odkrywczą ciała Widmara, a ono przecież nastawia tylko twój radar na nią samą. Na litość boską, wybrała nawet te same inicjały, co w oryginalnym imieniu i nazwisku!

— Robią to nagminnie albo ci, którzy uciekają przed prawem, albo zwykli ludzie, próbujący zacząć od nowa — zauważył Monroe. — Łatwiej wypisywać czeki i rozpoznać wybrane imię, kiedy je od kogoś usłyszysz po raz pierwszy.

— Głosuję za odrobiną ryzyka i zagraniem głębiej w polu.

— Nie wszyscy mordercy są zawodowcami, a bardzo wielu jest zwyczajnie sprytnych. Przeważnie nie umieją myśleć z jakim takim wyprzedzeniem.

— Co skłania do zastanowienia. Ilu seryjnych morderców złapano za pierwszym razem, zanim mieli szansę wyrównać krok — zastanowiłem się.

— To nie jest coś, o czym chciałbym w tej chwili myśleć. I nie chcę zginąć, nim dotrzemy na miejsce, więc bardzo cię proszę: zwolnij, do jasnej cholery!

Zwolniłem, ale tylko dlatego, że musieliśmy przejechać skomplikowane skrzyżowanie naprzeciwko Renee's. Gdy tylko znaleźliśmy się na drodze prowadzącej przez las do Dryford, wcisnąłem gaz, nie zwracając uwagi na coraz bledsze i coraz mocniej zaciśnięte palce Monroe'a.

— Mam adres domu, gdzie Gillan mieszkała jako dziecko — powiedział, starając się nie patrzeć za przemykające za szybą drzewa. — Nadal nie pozwala nam to jednak ustalić, co się stało, kiedy ją już zatrzymaliśmy.

— Przez cały czas był ktoś w tle — wyjaśniłem. — Pamiętasz, kiedy John zapytał ją o ręce? „O co chodzi z tymi dłońmi?“, tak powiedział. To wtedy zaczęła się rozpadać.

Monroe pokręcił głową. Nie bardzo wiedział, do czego zmierzam.

— Ona nie wie — wyjaśniłem. — Ona nie wie, o co chodzi w tej sprawie z rękami. Dawno, dawno temu widziała coś okropnego. Może próbowała o tym komuś opowiedzieć, ktoś ją uderzył albo nakrzyczał na nią i w ten sposób zamknął wydarzenie głęboko w jej głowie tak, że już nie mogła zapomnieć. Teraz odgrywa czyjeś psychozy, dostaje wciry, pogubiła się, bo nie ma nikogo po swojej stronie.

— Mimo to zabiła dwie osoby.

— Doprawdy? Jak kobieta, którą Nina знаła w Janesville, ta, która zabijała mężczyzn, bo ją napastowali? Czy zabójstwo

to zawsze najgorsze, co możesz zrobić? Niezależnie od tego, co się dzieje wcześniej?

— O ile wiemy ani Widmar, ani ten niezidentyfikowany mężczyzna nie zrobili Gulicks najmniejszej krzywdy.

— Wiemy. Ale ktoś to przecież zrobił.

Dryford było małym, wysuszonym na wiór miasteczkiem, sprawiającym wrażenie zdumionego tym, że jeszcze egzystuje. Droga, po opuszczeniu lasu, trafiała na ulicę Główną pod właściwym kątem. Dwa zakręty doprowadziły nas do Jefferson Avenue, długiej, wąskiej drogi z rzadka ozdobionej po obu stronach małymi domkami. Niespełna sto metrów przed jej końcem Monroe kazał mi się zatrzymać przed numerem 23.

Patrzyliśmy przez okno na pomalowany na żółto drewniany domek. Duży nie był, ale wydawał się bardzo zadbany.

— Co właściwie spodziewamy się znaleźć? — spytałem.

— Cokolwiek, Ward. Po prostu cokolwiek, w miarę możliwości.

Przeszliśmy ścieżką i Monroe nacisnął przycisk dzwonka. Drzwi otworzyła nam kobieta w średnim wieku, wyglądająca trochę tak, jakby właśnie zamierzała przygotować najlepsze na świecie ciastko z orzechami. Agent spytał, od jak dawna tu mieszka, i otrzymał odpowiedź, że od ośmiu lat. Dowiedział się też, że ani ona, ani jej mąż nie są krewnymi Gillanów, a nawet o nich nie słyszeli. Na szczęście Monroe był taktowny w stopniu wystarczającym, by nie wspomnieć, że ktoś o tym nazwisku zginął, spadając ze schodów, które widzieliśmy przez ramię gospodyni. Nie odwiedził jej ostatnio nikt niezwykle, oczywiście z wyjątkiem nas, a właściciel nie dostrzegł w sąsiedztwie niczego niezwyklego. Najoczywieściej w świecie nie miała pojęcia, o czym mówimy. W tej sytuacji nie sposób było znaleźć żadnego pretekstu, by poprosić o pozwolenie obejrzenia domu i ogrodu. Czego niby mielibyśmy szukać?

Podziękowaliśmy kobiecie i wróciliśmy do samochodu. Dojechałem do końca dróżki, zatrzymałem się i obejrzałem za siebie na drogę, którą przyjechaliśmy. Zamyślałem się na chwilę.

— Ciekawe, jak długo idzie się stąd do lasu — powiedziałem

z namysłem. — Ile zajęłoby to małej dziewczynce, której wolno się włóczyć, ile chce.

— Niewiele — przyznał Monroe. — Ale spacer w tamtą stronę to spacer na wschód.

— Zawsze można zawrócić. Ale tak, masz rację. — Przyjrzałem się z kolei drodze przed nami. — No to chodźmy rozejrzeć się tam.

Poszliśmy do końca drogi. Po drugiej stronie szerokiej bramy duża polana opadała łagodnie w kierunku lasu. Biegła przez nią zarośnięta ścieżka.

— Właśnie tam by cię zaprowadziła — zauważyłem.

— Spacerek całkiem, całkiem.

— Podejrzewam, że zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jaki kawał potrafią przejść dzieci, zwłaszcza kiedy nie czują się bezpieczne w domu. A jeśli pójdziesz tą ścieżką, to w końcu znajdziesz się całkiem blisko miejsca, gdzie znaleziono ciało i ubranie.

— A więc pewnie wiemy o Gulicks więcej, niż wiedzieliśmy. — Monroe potarł twarz dłońmi. — I co teraz?

— Teraz nic. Trafiliśmy na mur. Znowu.

Odwrociłem się i ruszyłem do samochodu. Po jakichś dziesięciu metrach zatrzymałem się i spojrzałem na dom stojący tuż w końcu ulicy. Monroe też przystanął i spojrzał na mnie zdziwiony.

— Co ci chodzi po głowie? — spytał.

Jak z wieloma tego rodzaju miasteczkami, im dalej od centrum stał jakiś dom, tym bardziej był zaniedbany. Dryford nie przekraczało wielkości małego miasteczka i efekt ten był szczególnie dobrze widoczny. Numer 23 znajdował się zaledwie dwie minuty spacerem od miejsca, w którym staliśmy, a utrzymywano go w idealnym stanie. O ostatnim domu nie można było tego powiedzieć. Stał za bramą, wydawał się nieco większy, za to znacznie mniej elegancki. Od jednej strony drzewa praktycznie go zarastały. Frontowe podwórko było duże, miało ponad czterdzieści metrów długości i całkowicie zarosło wysoką trawą i krzakami. Nie wyglądało na to, by ktoś się tu zadomowił.

Ale przed domem stał zaparkowany biały camper. Furgonetka bez okien po bokach.

— Kiedyś już ten samochód widziałem — stwierdziłem.  
— Bo wszędzie się je widzi — odparł obojętnie Monroe. — Szwagier ma identyczną. Nazywa ją „Colombie”. Jest Australijczykiem.

Pokręciłem głową.

— Ale ja widziałem właśnie ten — upierałem się. — Musiałem go po czymś poznać. To było dwa dni temu, wieczorem. Nie mam żadnych wątpliwości.

Agent zrozumiał, że mówię bardzo poważnie. Zrobił jeszcze kilka kroków. Stanęliśmy obok siebie.

— Pamiętasz gdzie? — spytał.

— W Thornton. Gdzieś... tak! To było na tej samej drodze co posterunek, nieco wcześniej, tej nocy, kiedy zginęła Nina. Pomyślałem nawet, że to pierwsi dziennikarze z tych wszystkich mających zająć się sprawą Gulicks.

— I jesteś pewien, że to ten sam samochód?

— Całkiem pewien.

— Mimo to może być stąd. Tablice rejestracyjne da się sprawdzić.

— Jak chcesz. — Podeszedłem do bramy. — Mam zamiar przyjrzeć się temu domowi — oznajmiłem.

Otworzyłem bramę, spojrzałem na dom, szukając śladów reakcji na nasze działania. Sprawiał wrażenie martwego, okna na parterze były ciemne i nieprzezroczyste zielone. Trawa po drugiej stronie bramy wydawała się spłaszczona; wszystko wskazywało na ślady opon. Przeszliśmy przez podwórko, a trawa, szeleszcząc, ocierała się o nogawki naszych spodni. Przystanęliśmy mniej więcej w połowie dystansu i rozejrzeliśmy się. Za nami, koło drogi, zaćwierkał jakiś ukryty w krzakach ptaszek.

— Furgonetka przyjeżdżała tu kilkakrotnie w ciągu ostatnich paru dni.

— Jasne — przytaknąłem. — Ale jeśli ktoś tu mieszka i jeździ codziennie, to dlaczego trawa, którą przygniata, jest taka wysoka?

Monroe rozważył moje słowa, sięgnął do kieszeni, wyjął broń i ją sprawdził. Ja swoją też sprawdziłem.

— Zróbmy to ostrożnie — powiedział.



- Nie wezwiesz wsparcia?
- Na podstawie zgniecionej trawy?

Uśmiechnął się, a ja zdałem sobie sprawę, że chciał zgłosić sprawę, ale wiedział, że wyszedłby na nerwusa. Chciał pokazać wszystkim zdecydowanie i dobitnie, że doszedł już do siebie po postrzale i że Nina nadal wiele dla niego znaczy.

— Prowadź, szefie — powiedziałem. — Ja nauczyłem się tego rodzaju zabawy z telewizji.

Agent ruszył w stronę drzwi wejściowych. Ja poszedłem szerszym łukiem, docierając do ściany w miejscu, w którym mogłem ją dokładnie obejrzeć. Nie zobaczyłem niczego ciekawego: taka sama wysoka trawa, takie same przerośnięte krzaczory. Albo właściciel bardzo nie lubi pracy na podwórku, albo on (lub ona) wrócił niedawno po dłuższej nieobecności.

Poszedłem za Monroe'em na ganek. Okna po prawej stronie drzwi były brudne i zarośnięte od środka pajęczyną. Stałem przyciśnięty do ściany, gotów poruszać się bardzo szybko, jeśli okaże się to konieczne. Monroe wyciągnął rękę.

Zapukał.

Nie doczekał się odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz. Nic.

Bardzo delikatnie położył rękę na klamce i nacisnął ją. Drzwi otworzyły się bez większych problemów. Przytrzymał je palcem, żeby skrzydło nie przesunęło się za daleko.

Spojrzał na mnie. Wiedziałem, o co mu chodzi. Albo ktoś jest w środku i nie odpowiada na nasze wezwanie, albo dom jest po prostu pusty.

Niemal niezauważalnie skinąłem głową. Wchodzimy.

O tym, że wejdziemy, wiedział równie dobrze jak ja.

On otworzył drzwi, ja odkleiłem się od ściany. Nie zdarzyło się nic niezwykłego, więc wszedłem do środka tuż za nim i równie ostrożnie jak on. Delikatnie przejąłem od niego drzwi i je zamknąłem.

Słuchałem, jak opada kurz.

Przed sobą mieliśmy ciemny przedpokój. Otwarte drzwi po obu stronach prowadziły do wnętrza. Monroe skinął głową; mieliśmy się rozdzielić, on w jedną stronę, ja w drugą. Ruszył, trzymając broń w opuszczonej ręce, lufą do dołu. Nie wiem, co dostrzegł, ale w pokoju, do którego wszedłem, znalazłem tylko

jeszcze więcej kurzu, grube warstwy kurzu, a poza tym zwykłe meble i obrazy, znajdujące się mniej więcej tam, gdzie powinny się znajdować. Na regale przy tylnej ścianie stały spokojnie książki. Stare powieści i pozycje z dziedziny matematyki.

Wróciliśmy do korytarza i ruszyliśmy nim, starając się nie hałasować na drewnianej podłodze. Jeszcze dwa pokoje, jadalnia i małe biuro, oba mniej więcej w tym samym stanie. Duża kuchnia od tyłu. Tu też sprząтали bardzo dawno temu ludzie, którzy zapomnieli zabrać swoje rzeczy, kiedy wyjeżdżali. Ani śladu wandalizmu. Albo miejscowe dzieci są wyjątkowo dobrze wychowane, albo po prostu nie lubią tego miejsca.

Spojrzelśmy na siebie, po czym obaj skręciliśmy za róg, gdzie zaczynały się prowadzące na piętro schody. Ja czekałem, a Monroe powoli zaczął wspinać się na górę, plecami przy ścianie, z twarzą i bronią skierowanymi przed siebie. Kiedy dotarł na szczyt, poszedłem za nim.

Znajdowały się tu trzy sypialnie. Rozdzieliliśmy się, żeby je przeszukać. Łóżka ciągle stały na swoich miejscach. Z jednego z nich zabrano pościel, nie było też materaca. Niemal pośrodku tego pokoju stało drewniane łóżko, abażur leżał na podłodze. Na podłodze leżały też liście i odłamki szkła.

Kiedy wróciłem na górny korytarz, Monroe nadal buszował po pokoju. Zajrzałem do łazienki, cichej i zapuszczonej jak wszystko inne. Wyszedłem. Zacząłem czuć się nieco spokojniej, kiedy wydało mi się nagle, że coś usłyszałem.

Dźwięk dobiegał z pokoju, w którym już byłem. Tego z krzesłem.

Pociągnięcie nosem? Ciche rozerwanie materiału?

Podniosłem ramiona, broń powędrowała nieco wyżej. Znów, bardzo ostrożnie, podszedłem do sypialni od frontu po prawej. Przez chwilę stałem przed drzwiami.

Po ścianie od wewnątrz przesunął się mały cień.

Monroe wyszedł z dużej sypialni. Natychmiast podniosłem dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym. To go zatrzymało. Wskazałem pokój. Ledwie widocznie uniósł głowę.

Wszedłem do środka, kierując lufę w przeciwny kąt. Obróciłem się, obejmując zasięgiem strzału dłuższą ścianę. To samo w drugą stronę. Zrobiłem drugi krok. Przyklęknałem na

jedno kolano, niepewnie zerknąłem pod łóżko, to które zostało bez materaca. Nikogo tu nie było.

Odwrociłem się. Monroe stał przy drzwiach.

— Słyszałeś coś? — spytałem go.

— Nie — odparł. — Co to było?

— Nic. — Pokręciłem głową. — Chyba nic. Nie ma o czym mówić.

Wypuściłem z płuc czekające na to długo powietrze. Miałem wrażenie, że westchnął cały dom.

Zeszliśmy ze schodów. Jeszcze raz rozejrzeliśmy się po pokojach, znów trafiliśmy do kuchni.

— Moim zdaniem znowu trafiliśmy na mur, Ward.

— Co nie zmienia faktu, że rozpoznałem samochód — zauważyłem. — Mieszkańców nie ma w domu, ale to niczego nie zmienia.

— Tylko sprawia, że nie mamy niczego, czego moglibyśmy użyć. Na przy...

Urwał i spojrzął mi przez ramię. Odwróciłem się i zobaczyłem skromne, nierzucające się w oczy drzwi, umieszczone w przeciwległej ścianie.

— Wejście do spiżarni?

— Nie sądzę — powiedział Monroe, znowu bardzo cicho. — To miejsce pod główną klatką.

Wyciągnąłem rękę i pchnąłem drzwi. Otworzyły się na ciemność. Poczuliśmy podmuch zimnego powietrza. Wsadziłem rękę do środka i zacząłem obmacywać ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Wreszcie go znalazłem. Światło zapaliło się posłusznie.

Drewniane schody prowadziły do piwnicy.

Zeszliśmy na dół. Piwnica okazała się duża, prostokątna i pusta. Już miałem zawrócić, wspiąć się na górę, kiedy Monroe mnie powstrzymał.

— Czekaj! — powiedział. — Popatrz na podłogę.

Ostry blask jedynej, wiszącej pod sufitem żarówki czynił to oczywiste dla wszystkich, którzy wiedzieli, gdzie patrzeć. Ziemia i kurz na podłodze wcale nie były równo rozłożone, lecz raczej pozdierane w nierówne szeregi dużych lejów. Coś takiego mogło się zdarzyć, gdy na przykład ktoś niedawno

przemieszczał się, ale miał z tym kłopoty. Jakiś niewytłumaczalny odruch sprawił, że przyklęknąłem i położyłem dłoń na ziemi. Patrzyłem i wytrzymałem słuch. Monroe znalazł sobie miejsce kawalek dalej i robił mniej więcej to samo.

— No i tak — powiedział w końcu zdławionym głosem. — Wygląda na to, że jednak coś znaleźliśmy.

— Co? — spytałem, patrząc na niego niepewnie.

— Ślady krwi, słabe. Ktoś solidnie się napracował, próbując je zatrzeć, ale mamy też ślady lotnych kwasów tłuszczowych. Jakby przez jakiś czas leżało tu ciało.

— Żywe czy martwe?

— Złożone natychmiast po śmierci. Dobrze. Być może to tutaj Gulicks ukryła pierwszą ofiarę przed okaleczeniem ciała.

— Sądziś, że ta poruszona ziemia to przez nią?

Nie chciałem, żeby odpowiedział „tak” i on o tym doskonale wiedział.

— Trudno mi powiedzieć, Ward. Ale być może tak. To miejsce może mieć też coś wspólnego z Gulicks. Nie ma żadnych konkretnych śladów dotyczących Niny.

— Ale... samochód podjechał po tym, kiedy Gulicks została już zatrzymana.

Monroe przemyślał to sobie.

— Słusznie — przyznał. — No to go sobie obejrzymy.

Wbiegł truchcikiem po schodach. Ja czekałem jeszcze przez chwilę, przyglądając się poruszonej ziemi. Czy to dzieło Niny? Czy potrafisz wyczuć obecność kogoś kochanego nawet tam, gdzie go już nie ma? Czyż nie po to stworzono ludzkie zmysły? Szukałem odpowiedzi, ale nie udało mi się jej znaleźć. Czulem coś w tym domu, owszem, nie potrafiłem jednak powiedzieć, czy to było jej echo.

Skierowałem się w stronę schodów, ale po drodze, pod wpływem impulsu, potrafiłem wiszącą żarówkę, starając się spowodować zmianę kąta padania światła. Żarówka zakolysała się, oświetlając najdalsze kąty. To wyłaniający się, to niknący Monroe zauważył coś nieco bardziej oczywistego, a mnie zmusiło do zastanowienia się, czy mamy do czynienia ze zwłokami mężczyzny, czy z czymś współcześniejszym, z kobietą.

Pod przeciwległą ścianą coś błysnęło.

Podszedłem tam szybko, przebijając się przez głębokie, chwiejne cienie. Przykucnąłem i zacząłem macać ziemię niemal na oślep. Palcami wyczułem coś ostrego i podniosłem to coś.

Była to bransoletka. Tania bransoletka z nachodzącymi na siebie posrebrzanych kółek, z dodatkiem kawałków taniego turkusa. Pasek pękł, jakby zaczepił się o coś i został zerwany.

A jednak nie zdążyła zmatowieć, co dowodziło, że nie leży tu od roku. I bardzo przypominała coś, co doskonale pamiętałem: bransoletkę kupioną przez Ninę za sześć dolców w małym miasteczku, przez które przejeżdżaliśmy, jadąc w jedną z naszych mniej lub bardziej przypadkowych wycieczek z Sheffer.

Nie byłem pewny. Nie byłem tak do końca pewny. Tylko że nagle ślady na ziemi zaczęły układać się w kształt kogoś, kogo rozpoznawałem.

Pobiegłem do schodów. Wiedziałem, że to prawdopodobnie za mało, by poruszyć Monroe'em, ale po raz pierwszy od dwóch dni czułem, że jestem blisko Niny.

Wypadłem na ganek i zamarłem. Na podwórku było coś. Coś dużego, coś na pół ukrytego w wysokiej trawie.

Znów trzymałem broń w dłoni. Szedłem bokiem, wzdłuż ganku, starając się znaleźć miejsce, z którego lepiej będę mógł widzieć, co się stało. Spojrzałem na samochód.

— Charles?! — zawołałem cicho. — Charles, gdzie jesteś?!

Odpowiedział mi tylko wiatr, poruszający najwyższe liście na szczytach drzew. Odwróciłem się szybko maksymalnie w prawo. Tam też nie zobaczyłem niczego wartego zobaczenia.

Ostrożnie zszedłem z ganku i podszedłem do tego czegoś, co leżało na ziemi. Broń trzymałem w gotowości... dopóki nie rozpoznałem koloru garnituru.

Monroe leżał twarzą do ziemi. Nie ruszał się. Trawa wokół niego upstrzona była czerwonymi kroplami niczym małymi dzikimi kwiatkami.

Natychmiast przewróciłem go na bok. Krew była wszędzie. Na czole miał szereg prostych ran wyrytych jak kanały, tak samo jak na twarzy i szyi; widać było przez nie ciało i

roztrzaskane kości. Przez dziurę w policzku wyglądał ząb, biały i idealnie czysty.

Jego szczęki opadły powoli w jedną stronę, ujawniając czarny skrzep. Ostatnim oddechem wyszeptał słowo „przepraszam”.

Wymówiłem głośno jego imię, ale oczy miał już martwe, bez wyrazu, nawet skierowane w inną stronę.

Kłęczałem koło niego, nie wiedząc, co robić, nie mając nawet pojęcia, kto to zrobił. Dotknąłem szyi Monroe'a ale jego puls bił już w innej krainie. Odszedł. Człowiek imieniem Charlie Monroe przestał istnieć tu i teraz, pozostało tylko coś, co bardzo go przypominało. Coś martwego, rzuconego w przestrzeń tysiące kilometrów stąd.

Usłyszałem szelest wysokiej trawy. Głośny.

Podniosłem głowę...

Od lewej ściany domu biegł w moją stronę jakiś facet. Wielki facet, ściskający w dłoni wielki nóż.

Podniosłem ręce, skierowałem je w prawo i wystrzeliłem, zanim w pełni zdałem sobie sprawę, co takiego mnie atakuje.

Kula trafiła go w ramię. Cofnąłem się i z największym trudem wstałem.

Mężczyzna nadal próbował atakować. O mało nie zadał mi celnego ciosu. Cofałem się i postrzeliłem go dla odmiany w udo. Obrócił się i upadł.

Nie wstał, nie dałem mu szansy. Podbiegłem, nadepnałem mu na dłoń, zmuszając go do wypuszczenia noża. Podniosłem go i wyrzuciłem jak najdalej w trawę. Następnie cofnąłem się na długość ramienia i wycelowałem prosto w jego twarz. Włosy miał siwe. Twarz i dłonie mokre od krwi, zarówno Monroe'a jak i swojej.

— Powiedz, kim jesteś. I powiedz, gdzie ona jest.

Mężczyzna patrzył na mnie, jakby nie do końca rozumiał, o co chodzi.

— To ty — wyszeptał. — To zawsze ty.

— Nie znasz mnie.

— To zawsze ty.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, a jeśli nie...

— Skończ z tym. Proszę, błagam, skończ z tym wreszcie.

— Och, oczywiście, że cię zabiję. Możesz na mnie liczyć. — Postawiłem nogę na jego piersi, z całej siły przyciskając mu łufę do czoła. — Ale najpierw dowiem się, co masz do powiedzenia.

Mężczyzna nazywał się Jim Westlake. Nazywał się także James Kyle. On/oni mieszkali tu i on/oni zabili osiemnaście kobiet w ciągu dwudziestu lat, kończąc na żonie, leżącej spokojnie w lesie piętnaście minut drogi stąd, póki nie znaleźliśmy jej z Johnem. Różne rzeczy się zbiegły, rozumiecie? Rzeczy po prostu zbiegły się do jednego punktu. Wtedy nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że są ludzie, którzy wiedzą o nim od bardzo dawna, ludzie niebędący policją, ale doskonale rozumiejący, dlaczego kobiety z Owensville, Rackham czy nawet dalej leżących miasteczek czasami znikają. Wiedzieli, gdzie je grzebie i aprobowali to. Ktoś, kogo nazywał Przewidujący, przychodził czasami w te najgorsze noce, ostatnie noce starego życia, noce, które spędzał samotnie, pozbawiony żony, pozbawiony dziecka, które przed nim uciekło i się schowało, bo uświadomiło sobie, że wszystko z nim jest źle, nie tak, uciekło do swojej sypialni i ukryło się pod łóżkiem, jakby miała je dopaść burza. Pochował żonę zaledwie dwa dni temu, wiedział, że wszystko skończone, że wszystko się rozpadło, dotarło do końca, do punktu. Grzebiąc Lauri, głęboko w ziemi spojrzął w niebo i w blasku księżyca wydało mu się, że dostrzegł płamę czarnej krwi wiszącą niespełna półtora metra nad ziemią po drugiej stronie jeziora. Krew taka jak ta, którą zabrał im wszystkim, krew jego anielskich kobiet, krew, którą wchłonął w siebie. Nie można zjeść ręki, jest zbyt koścista, ale można zjeść krew, taką, która bardzo smakuje. Ścigał to objawienie, lecz znikło, uciekło przez las. Więc zakończył biznes, ale co miał robić teraz? Przecież to nieuchronne. Jedno prowadzi do drugiego, a wreszcie do wielu. Może gdyby nie to miasto, wszystko byłoby z nim w porządku, Karla byłaby tą jedyną, Karla z dawnych czasów, kiedy wszystko zdarzało się po raz pierwszy. Lecz jeśli ziemia chce odnawiać swą moc, nie masz wyboru, musisz się z nią zgodzić, a kiedy ktoś z twoich bliskich i kochanych pewnego dnia pozna

twój sekret, jest tylko jedno wyjście. A potem żyjesz uwięziony w płonącej skorupie życia z własną dziewczynką tak strasznie się siebie bojąca...

— Nie rozumiem — mówił mężczyzna wstrząsany drgawkami. Twarz miał bladą, pokrytą cienką warstwą zimnego potu, wykrzywioną tym, czego nie był w stanie zrozumieć. — Mówiłem jej o burzach. Sprawiałem, że czuła się lepiej. Kochałem ją. I nadal robiłem to, co robiłem. Już nic nie rozumiem.

— Co się stało później?

— Kiedy?

— Po tym, jak zabiłeś...

— Pojawiłeś się ty.

— Ja nie... dobrze, w porządku. Co zrobiłem?

— Pochowaliśmy ją blisko, pomogłeś mi wszystko posprzątać, wyjechać, użyłeś swoich kontaktów i to dzięki nim zniknąłem. Kazałeś mi zabijać ludzi dla ciebie, a potem przestałeś i nic nie słyszałem przez lata i lata. Nie zabijałem. Robiłem zdjęcia. Byłem jak wszyscy inni. Myślałem, że odszedłeś na zawsze. Za każdy rok bez ciebie próbowałem sobie wyobrazić, że jest o jednego anioła mniej. Myślałem, że może już ich nie będzie, że dojdę do zera. Nigdy nie doszedłem. Zawsze tam byłeś. Zawsze tam byłeś, skurwielu.

— Nie ja. To był ktoś inny.

— Ty. Wyglądałeś inaczej, ale to ty. Zawsze ty.

— Dlaczego tu wróciłeś?

— Ty mi kazałeś wrócić. Miałem załatwić dziewczynę, która mnie wtedy widziała i zaczęła zabijać jak ja, ale ona była już aresztowana. I... i chciałeś, żebym zrobił dla ciebie coś jeszcze.

— Zabiłeś gliniarza w Holiday Inn?

— Tak.

— Porwałeś agentkę FBI? Przywiozłeś ją tutaj?

— Na kilka godzin, potem odjechaliśmy. Mogliśmy takjechać wiecznie. Nikt by nas nigdy nie znalazł. Nie chciałem... ale ty się pojawiłeś, musiałem wrócić do domu. Zmusiłeś mnie.

— Kto?

— Ty.

— Nie ja! — Patrzyłem mu prosto w oczy. — Chwileczkę... przyjechać tutaj? Do Dryford? Kiedy?



— Dziś rano.

— Paul pojawił się tu dziś rano? Sam?

Mężczyzna patrzył na mnie i chyba w końcu zaczęło do niego docierać, że nie jestem osobą, z którą rozmawiał.

— Samochodem. Z jakimś chłopakiem. Oni nie wiedzą, jaki on naprawdę jest. Nie rozumieją, że nie jest nawet rzeczywisty.

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiem. Odjechał.

— Kiedy?

— Dwie godziny temu.

— Czy była z nim Nina?

Jim/James nagle spróbował usiąść, trochę mnie tym zaskakując. Kopniakiem rozłożyłem go z powrotem na ziemi.

— Powiedz mi albo przysięgam na Boga...!

— Jest z nim.

— Żyje?

— Żyła, kiedy odjeżdżali.

Mocniej przycisnąłem lufę do czoła człowieka niewiele młodszego od mojego ojca... gdyby mój ojciec żył.

— Gdzie teraz są? Dokąd pojechali!?

— Nie wiem.

— Jakim samochodem?

— Dużym. Czarnym.

Zacisnąłem palec na spuście, ale spojrzałem mu w oczy. W tym mężczyźnie nie było nic wartego śmierci.

Zostawiłem go, czołgającego się w wysokiej trawie, i szybko wróciłem do Monroe'a. Chciałem zaniknąć mu oczy, jednak pomyślałem sobie, że są gorsze rzeczy do oglądania przez wieczność niż gałęzie drzew kołyszące się delikatnie na tle chłodnego, błękitnego nieba.

Wróciłem do samochodu.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Lee zaczynał się wkurzać. Lee przestawał cokolwiek rozumieć. Lee zaczął podejrzewać, że z tego, co się dzieje, prawie nic nie ma sensu.

Wepchnęli kobietę na tylne siedzenie samochodu. Paul usiadł obok niej. Szyby były oczywiście przyciemnione i zewnątrz nikt nie mógł zobaczyć, kto tam siedzi. Jemu kazał zająć miejsce obok kierowcy. Facet był niski, miał niskie czoło, ciężkie brwi i haczykowaty nos; w ogóle należał do tego rodzaju ludzi, których Hudek starał się obchodzić wielkim łukiem, nawet gdyby wiązało się to z pewnymi problemami. Facet obdarzył pasażera na dzień dobry płaskim uśmiechem pozbawionym krzty wesołości, z czego wynikało, że mniej więcej to samo czuje w stosunku do niego.

Wrócili przez las do większego miasteczka i znów krążyli po uliczkach. Telefon Paula dzwonił od czasu do czasu — patrzył wtedy na wyświetlacz, lecz najczęściej nie odbierał, choć raz i drugi zdarzyło mu się o coś zapytać. Samochód zatrzymywał się, a Lee musiał wysiadać. Kierowca też za każdym razem wysiadał i stawał tuż przy otwartych drzwiczkach. Prawdopodobnie miało to uniemożliwić mu ucieczkę. Ta ostrożność doprowadzała go do furii. Nigdzie się nie wybierał, po prostu chciał wiedzieć, co tu się dzieje i na czym polega robota, którą ma się zająć. Podjechali pod Starbucksa i Lee musiał zwyczajowo odczekać swoje w kolejce po kawę. Podjechali do

supermarketu i Lee wysłano po papierosy. Lee kazano zrobić cyfrową fotografię wnętrza kościoła oraz policyjnego posterunku z zewnątrz, a on oczywiście spełnił te polecenia. Poszedł kupić baterie w Radio Shack w galerii handlowej na granicy miasta oraz chipsy cebulowe w Renee's dla kierowcy. Wszędzie ludzie zachowywali się bardzo przyjaźnie. Uśmiechali się, kiwali głowami, życzyli mu miłego dnia, zupełnie jakby byli chodzącą reklamą mieszkania w niewielkim mieście. Nic jednak nie zmieniło opinii Lee nawet w najmniejszym stopniu: życie w takiej pipidowie jest kompletnie porąbane.

Wreszcie wrócili do centrum. Samochód zatrzymał się przy długim żelaznym ogrodzeniu, pośrodku którego znajdowała się ozdobna brama. Po drugiej stronie widać było spory wypielegnowany trawnik, prowadzący wprost do wejścia do szkoły. Dzieciaki w różnym wieku kłębiły się na trawniku, próbując jak się da przedłużyć chwilę wolności, czyli parę minut przerwy śniadaniowej. Po drugiej stronie ulicy stał budynek podobny w stylu, choć nieco mniejszy. Superprzyjazny znak informował, iż mieści on przedszkole.

Paul kazał Lee zająć miejsce z tyłu. Lee posłusznie wysiadł, obszedł samochód, usiadł. Kobieta siedziała tam, gdzie ją umieszczono, ze związanymi rękami i nogami. Przez chwilę patrzył jej w oczy; pomyślał, że jak na kogoś w jej sytuacji, jest zdumiewająco wręcz nieustraszona.

— Masz zamiar kazać mi ją zabić?

Paul spojrzał na niego, unosząc brwi.

— Jakimś narzędziem albo coś.

— Nie to mam na myśli. Tak czy inaczej, w walce zakładałbym remis. W najlepszym razie.

— Więc... co?

Paul wyjął spod siedzenia małą czarną torbę, coś takiego, w czym można nosić iPoda albo odtwarzacz CD i wręczył ją chłopakowi. W środku były cztery małe słoiki prochów.

— A to co takiego? — Lee przyjrzał się prochom, po czym wyjrzał przez okno. — Chcesz, żebym sprzedawał narkotyki?

— Nie. Chcę, żebyś je rozdał.

Lee miał ochotę powiedzieć facetowi, żeby przestał się w głupiać, ale nagle zdał sobie sprawę, że to nie żarty.

— Dlaczego?

— Nazwijmy to zalaniem pompy.

— I to jest ta wielka robota, którą miałem dla ciebie zrobić?

— To tylko rozgrzewka, spokojnie. Wrócę za godzinę i wówczas zaczniemy najważniejszą lekcję dnia.

Lee wysiadł i odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód.

Wiedział, że potrafi zrobić to, o co go poproszono... co mu kazano zrobić. Okoliczności sprawiały po prostu, że powoli zaczął tracić cierpliwość. Za mało tego wszystkiego jak dla kogoś, kto przeszedł to, co on przeszedł, kogoś, komu po prostu odebrano dotychczasowe życie. Lee był człowiekiem, który chciał zostawić jakiś ślad. Jeszcze tydzień temu zmierzał we właściwym kierunku, szedł dobrym, pewnym szlakiem, który sam stworzył. Miał swoich ludzi. Miał przyjaciół. Miał życie. Miał Plan.

To on siedział za kierownicą.

Przez chwilę wahał się tu, na chodniku. Uświadomił sobie nagle, jak bardzo tęskni za Bradem i Pete'em Śpiochem też, i innymi, ale przede wszystkim Bradem, choć żebra ciągle go bolały po ich walce. Byli przyjaciółmi od bardzo dawna, a Lee nigdy nie miał wielu przyjaciół. Brad miał swój sposób wypowiedzenia opinii, dyskretnie, czasem nawet jakby obojętnie, a on na ogół przyjmował je w końcu za swoje. Lee wydawał się rozumieć, że tego rodzaju sprawy wymagają czasu... ale nigdy tak dobrze jak w tej chwili. Żałował, że nie ma przy nim Brada, który powiedziałby pewnie: „Cholera, człowieku, to śmierdzi” albo „W porządku, dziwna sprawa, ale do roboty”. Albo że nie słyszy Pete'a, opowiadającego w nieskończoność o ukrytych komnatach w jakichś grach albo choćby o Karen, przechodzącej akurat po drugiej stronie ulicy. Żałował, że nie postarał się bardziej po tym jednym jedynym razie, kiedy się ze sobą przepali. Czuł się wtedy niezręcznie, emocjonalnie obnażony w sposób, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Naturalna odpowiedź — nie odzywać się. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że chciałby się z nią jeszcze spotkać, dopóki nie było już

za późno, bo przeszła do Brada, a to tata zawsze powtarzał, że nie wchodzi się drugi raz do domu.

Przez jedną przedziwną chwilą Lee miał nawet ochotę zadzwonić do swego dawnego domu i porozmawiać z rodzicami. Powiedzieć: „Nie rozumiem, o co chodzi. Co właściwie powinienem zrobić?”. Jakiś instynkt podpowiedział mu jednak, że po prostu spokojnie odłożyliby słuchawkę. Nie był już ich dzieckiem, lecz Paula. Należał teraz do tej większej rodziny... i może należał do niej zawsze? Tak naprawdę powinien spytać: „O czym rozmawialiście, kiedy robiono wam zdjęcie, które widziałem dziś rano? O co wtedy chodziło? Jaki układ przypięczutowano? Co dostaliście? Czy kiedykolwiek coś dla was zna- czyłem”.

Nic by na tym nie zyskał. Czy ktoś naprawdę pojmuje, co dzieje się w żywym rodem z HBO, jaki wiodą jego rodzice? Czy oni rozumieją najważniejsze wydarzenia twojego MTV? Czy też może zawsze idziecie obok siebie, w jednym kierunku, równoległymi ścieżkami, które jednak dzieli czas? I z rzadka machacie do siebie przez tę barierę czasu, długą niczym przymglone boisko do futbolu.

Może tak, może nie, myślał. W końcu każdą ścieżką idzie się samotnie.

Otworzył torbę i wyjął jeden z małych słoików. Odkręcił go nieco, by mieć łatwiejszy dostęp do wnętrza, po czym wsunął go do kieszeni. Podeszedł do bramy, przyjrzał się paru dzieciakom leniuchującym po drugiej stronie. Ubrane były dokładnie tak jak wszystkie dzieciaki, sam by się od nich nie odróżnił, z czego Paul musiał doskonale zdawać sobie sprawę. Jeśli największe lizusy i niektórzy nauczyciele pytają, co robi na ulicy, odpowie, że ma informację z domu dla swojego starszego brata. Robił to kiedyś, w dawnych czasach, kiedy miał osiemnaście lat, i dopiero rozkręcał interes. Może Paul o tym wie? Może Paul wie wszystko?

Lee odwrócił się, słysząc znajomy stukot kółek na kamieniach. To jakiś dzieciak jechał w jego stronę na desce. Już miał do niego pomachać, przejść do interesów, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że dzieciak jest trochę starszy, niż mogło się wydawać, a jego czerwony plecak wygląda znajomo. Facet puścił

do niego oko i pojechał dalej w dół wzgórza — po prostu część scenografii.

Lee odwrócił się i przeszedł przez bramę.

Nieco później Paul zdjął jej knebel.

— Mam zamiar polecić ci zrobić coś, na czym mi zależy — powiedział. — Nie spodoba ci się to, rozumiem cię i szanuję, lecz jeśli nie wykonasz polecenia, natychmiast zginiesz. Nie spodziewaj się drugiej szansy.

Teraz, kiedy Lee wysiadł z samochodu, maniery Paula zdecydowanie się zmieniły. Nina uświadomiła sobie, że grał rolę na użytek tego młodego człowieka, że gra różne role, w zależności, z kim ma do czynienia. Przed nią też gra, choć może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Maszyna wykonująca swe zadanie: naśladowanie.

— Co ty tu robisz? — spytała. — To miasto pełne niewinnych ludzi. Czego tu możesz szukać?

— Odzyskuję je. Czy ty tego nie czujesz? Nie rozpoznajesz?

— Nie. Czuję tu normalne miasteczko. Przypuszczam, że coś sobie wyobraziłeś. To zapewne uboczny skutek szaleństwa.

Paul uśmiechnął się zimno.

— Czujesz to wystarczająco dobrze. Istnieją też inne takie miejsca. Miejsca, w których mieszkaliśmy dwa tysiące lat temu i dawniej. Potem ruszyliśmy dalej. Lubimy wędrować. Czasami wracamy, ale potem zawsze idziemy gdzieś, dalej. Było mnóstwo miejsca, zanim oni wszyscy się tu pojawili. Zalali ziemię jak fala potopu, znaleźli użyteczne stopy kamieni i drogi, i powiedzieli sobie: och, jak to dobrze, że Indianie zostawili to wszystko, byśmy mogli zbudować nasze idiotyczne farmy, nasze kretyńskie małe miasteczka. Nie mieli pojęcia, że szperają wśród rzeczy należących do innych. Że umieściliśmy je tam, bo mieliśmy powody. Że to wszystko nasze!

— Naprawdę, powinieneś usiąść gdzieś sobie wygodnie i pogadać z Johnem Zandtem. Ma jakieś popaprane teorie także na wasz temat. Tylko że najpierw próbowałby cię zabić.

— Och, oczywiście, że czekam na kolejne spotkanie. Podjąłem nawet pewne wysiłki, mające do niego doprowadzić. Niestety, będzie to bardzo krótka rozmowa.

Zadzwoił jego telefon. Paul spojrział na wyświetlacz.

— Już niedługo — powiedział. Wyjął z kieszeni pistolet, załadował go sprawnie i odbezpieczył.

— Cokolwiek strzeliło ci do łba — powiedziała Nina — ja tego nie zrobię.

— Zrobisz — odparł spokojnie. — Albo znajdę sposób, by wysłać twoje serce Wardowi z liścikiem oznajmiającym, że nie obchodził cię na tyle, byś chciała pozostać dla niego przy życiu. Że ważniejsze było dla ciebie odgrywanie bohaterki. Że sypiałaś z nim tylko dlatego, by dotrzeć bliżej mnie. I wreszcie, że zrobiłaś to wszystko, kierując się sugestią Charlesa Monroe'a.

Nina szybko spojrzała za okno, starając się skupić na przesuwającym się powoli do tyłu miasteczku.

— To nieprawda!

— Może? Ale on nigdy się o tym nie dowie.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Na początku mi nie wierzyli. Unger był człowiekiem mającym w głowie tysiące faktów, rozwojowych linii historycznych i powiedział wprost, że jego zdaniem chcę zatrzymać ich w miasteczku, a oni przecież mają znacznie ważniejsze sprawy do załatwienia gdzie indziej. Musiałem krzyczeć przez telefon, żeby skłonić go choćby do tego, by znaleźli parę chwil i zechcieli ze mną porozmawiać. Zgodzili się odczekać zaledwie dwadzieścia minut. Wracałem do Thornton najszybciej, jak potrafiłem.

Złapałem ich w kawiarni. Siedzieli spięci, nadęci, wyglądając absurdalnie na bordowej sofie przy oknie, otoczeni przez normalnych ludzi. Unger załatwiał przez telefon jakąś pilną sprawę. Odwrócił się do okna, próbował być dyskretny, jednak gwałtownie machał ręką i miał czerwoną twarz. Wyglądał na człowieka, który ma problemy z przekonaniem ludzi, żeby go wreszcie zaczęli go traktować poważnie. Nie byłem przesadnie zdziwiony.

— No i co? — spytał nerwowo. — Co się, do cholery, stało?

Przysiadłem się do nich. Mówiłem szybko:

— Dowiedzieliśmy się, gdzie dorastała Julia Gulicks. I znaleźliśmy dom faceta, który zabił swoją żonę. Podejrzewamy, że Julia to widziała, a miała wtedy może jedenaście lat. Weszliśmy do tego domu, znaleźliśmy piwnicę, wiem, że dziś rano była tam Nina. Resztę czasu spędziła w furgonetce. FBI nigdy jej nie znajdzie, przeszukując dom po domu, porywacz cały czas jest w ruchu.



— Zaraz, zaraz. — John podniósł rękę, próbując mnie uspokoić. Odetchnąłem głęboko. Wiedziałem, że muszę ich przekonać, że powinniśmy jednak zostać tutaj.

— Postrzeliłem faceta, który porwał Ninę — mówiłem dalej, chyba nieco bardziej zrozumiale. — Powiedział, że Paul jest tutaj. Tutaj, w Thornton. W tej chwili. Jest z nim jakiś gówniarz. I oczywiście Nina. Dwie godziny temu jeszcze żyła.

— Dlaczego miałbyś wierzyć temu komuś?

— Ponieważ chciał, żebym go zabił, a ja powiedziałem, że tego nie zrobię, dopóki nie dowiem się prawdy.

— Zabiłeś?

— Nie. Niech się pieprzy.

Unger skończył rozmawiać przez telefon.

— Ramona nie przyszła dziś do pracy — oznajmił. — To ta kobieta, z którą pracowałem nad e-mailami, jeśli pamiętacie. Jej telefon domowy nie odpowiada. Wszyscy, z którymi chcę pogadać w Langley, są właśnie gdzie indziej. Dwa razy przerywano rozmowy.

— A co z Los Angeles? — spytał John. — Zamierzają zorganizować się na podstawie naszych informacji?

— Będziemy musieli polecieć tam i pracować na miejscu. Przez telefon dostaje się za dużo różnych idiotyzmów.

— Co oznacza „nie” — stwierdziłem. — Nie wierzą ci i mają rację. W Los Angeles nic się nie wydarzy. Musimy...

— Daj sobie spokój, Ward — przerwał mi Carl. — Już to przerabialiśmy. Dostałem rozkazy. Idę do łazienki, a potem się stąd wynoszę.

Wstał i poszedł szybko w głąb lokalu. Spojrzałem na Johna.

— Na litość Boską...!

— Bardzo mi przykro, Ward. Po prostu nie kupuję informacji, że Paul tu jest.

— Przecież rozmawiałem z człowiekiem, który...

— ...jest mordercą i szaleńcem, a związki morderców i szaleńców z rzeczywistością cuchną pod niebiosa. Poza tym kłamcą. Ja tymczasem rozmawiałem z Ozem Turnerem. Sprawdził serwis i co znalazł? Samą twardą dziecięcą pornografię. Wykasał wszystko, odłączył wtyczkę i wyniósł się w cholerę ze

stanu. Ci ludzie biorą się za robotę, Ward. Mają na oku coś naprawdę dużego. Nie rozumiem, dlaczego Paul miałby być akurat w tym mieście i akurat dziś.

— Bo my tu jesteśmy — odparłem, teraz już naprawdę żył.  
— On nie usuwał nas z drogi, on zbierał nas w jednym miejscu. Wiesz, co ostatnie powiedział mi Monroe?

— Ho, ho, ho? Ostatnie słowo?

— Tak... zamordował go seryjny morderca. — Czulem, że zaczyna mi się kręcić w głowie. — Morderca zdjął mu większą część twarzy cholernie wielkim pieprzonym nożem! Myślałem, że będzie dla was oczywisty sam fakt, że nie ma go w tej chwili ze mną. Postaraj się to zrozumieć, dobrze? Charles Monroe nie żyje!

— Chryste, bracie, zwolnij trochę. Powinieneś...

— Nie mamy czasu! — Jakoś zdawałem sobie sprawę z tego, że obok nas ludzie idą po dolewkę kawy, przeglądają działy sportowe gazet, żyją normalnym, łatwo wytłumaczalnym życiem. — A ostatnie słowo Monroe'a brzmiało: „Przepraszam”. Masz może jakieś pomysły?

— Na przykład...

— Wiesz. Oczywiście, że wiesz, tylko nie przyszło ci do głowy mi powiedzieć. Kiedy tego wieczoru chciałeś porozmawiać z Gulicks, a ja dostałem telefon od Carla, skłoniłeś mnie, żebym rozmawiał na zewnątrz. Bo podejrzewałeś, że Monroe dostał skądś jakieś polecenie, że kazano zabrać mu Ninę ze sobą, tutaj.

— Owszem.

— Doprowadziłeś do konfrontacji, a on właściwie nie przyznał się do niego, ale nagle wyszło na to, że wszystko w porządku, że możesz sobie rozprawiać z mordercą.

— Zauważyłem tak ot, w rozmowie, że jeśli wbijesz sobie do głowy, że ściągnął tu dziewczynę poleceniem albo sugestią, to go zabijesz tu i teraz, nie czekając na bardziej sprzyjające okoliczności. Ale niczego nie byłem pewny. Zgadywałem. Nie powiedziałem ci, bo...

— ...bo nikomu nie wierzysz, a poza tym masz mnie za przyglupa i w tym wcale niekoniecznie się mylisz. Ale w tej

sprawie mam rację. Do jasnej cholery, co ten Carl tam tak długo robi?! Musimy stąd iść i zacząć szukać!

Zandt zmarszczył brwi.

— Słusznie. Trochę długo go nie ma.

Oczekaliśmy jeszcze pół minuty, a potem wstaliśmy i przeszliśmy na tyły, gdzie pięciometrowy korytarzyk prowadził do toalet. Weszliśmy do męskiej. Trzy umywalki, trzy pisuary, trzy kabiny. I ani śladu Ungera.

— Dziwne — mruknął John.

— Napłuł nam w gęby — orzekłem. — Wiedział, że możesz zmienić zdanie, kiedy ci powiem, że Paul jest tutaj, więc poleciał do Los Angeles bez nas.

— Nie. Byliśmy mu potrzebni. Wierzyliśmy w jego rewelacje.

— Ty wierzyłeś. W każdym razie, czy to nie wszystkie elity całego świata go wspomagają? Od masonów do certyfikowanych uczestników G osiem? Zadzwoń sobie jeden-osiemset-DOBRY-FACECI.

— Spokojnie, Ward. Nie mają zielonego pojęcia, o co chodzi... czyś ty w ogóle usłyszał choć jedno jego słowo? — Otworzył drzwi pierwszej kabiny — pusta. — Potrzebuje nas. Druga też była otwarta i pusta. — Stanęliśmy oko w oko z tymi ludźmi, podczas gdy dla innych są tylko mitem. Poza tym stąd nie ma wyjścia. Musiał przejść tuż koło miejsca, gdzie siedzieliśmy pogrążeni w rozmowie.

John pchnął drzwi trzeciej kabiny. W środku siedział Carl Unger. Nogi miał wyciągnięte, jego ramiona zwisały bezwładnie. Opierał się o sphuczkę, głowę odrzucił w tył. W środku jego czoła widać było niewielką schludną dziurkę, dzieło kuli z broni małego kalibru, ale wystarczająco dużej, by zniszczyła zawartość czaszki, choć bez produkowania obrzydliwego otworu wylotowego.

Obaj zrobiliśmy nieświadomie krok w tył, zatrzymaliśmy się i zrobiliśmy krok w przód. Facet nie żył, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

— Jak? — spytałem. Byłem cholernie przerażony. Dziś śmierć doskonale wiedziała, gdzie jestem. — Jak... jakim cudem to się stało?

Szybko zamknęliśmy kabinę i ostrożnie wróciliśmy na korytarz. John pchnął drzwi do damskiej toalety i wszedł do środka. Ja pilnowałem korytarza.

Nikogo nie znalazł.

Upewniliśmy się, że tylnego wyjścia nie ma. Korytarz kończył się ścianą. Wejść i wyjść można było wyłącznie głównymi drzwiami.

Odwróciliśmy się i dokładnie obejrzelśmy salę. Jacyś dwaj siwi faceci klócili się zaciekle. Młode matki, siedzące po dwie i trzy, pogrążone w rozmowie, podziwiałały wydatki — i zakupy — jedna drugiej i trzeciej, niewielkie grupki właścicieli domów, przeważnie samotnych, pogrążonych w lekturze magazynów i zajętych konsumowaniem babeczek z borówkami, świadomych, że ta godzina mija im w najlepszej możliwej atmosferze. Był też facet w średnim wieku z notatnikiem. Dwaj turyści, walczący z wielkimi mapami martwili się, że dokądś nie zdążą. Stara kobieta spokojnie czytała lokalną gazetę. Nikt nie zwrócił na nas uwagi, zupełnie jakby wszyscy byli szczęśliwi w czyichś innych snach.

— Wynosimy się stąd — powiedziałem cicho.

— Co racja to racja.

Przeszliśmy przez środek kawiarni i przez ciemne, przytulne centrum. Trzymaliśmy się blisko siebie, szliśmy szybko, nogi mieliśmy sztywne. Młoda kobieta w puszystym swetrze roześmiała się nagle. Odwróciłem się błyskawicznie w jej kierunku, omal nie wyszarpując broni z kieszeni, a ona przecież tylko zabawiała dziecko jakiejś innej kobiety. Gdzieś w tle syczał i prychał ekspres do kawy, batistas krzyczał o dodatkowe porcje z mlekiem sojowym; bardzo etycznie brzmiąca kawa ciągle była dostępna.

Wyszliśmy na chodnik. Obróciliśmy się, szukając choćby śladów kogoś, kto nas obserwuje i może postanowi za nami iść.

Nikt nawet na nas nie patrzył. Było tak, jakbyśmy nie wyszli albo w ogóle nas nie było w środku. Szybko ruszyliśmy w górę wzgórza. Obaj trzymaliśmy ręce w kieszeniach, a w dłoniach broń.

John nie mógł się powstrzymać, żeby jeszcze raz nie obejrzeć się za siebie.

- Co tam się stało? — spytał.
- Widziałeś kogoś zachowującego się dziwnie?
- Nie... ale nie interesował mnie przecież ktoś, kto by się dziwnie zachowywał. W pieprzonym Starbucksie?
- To musiał być Paul.
- Co? Przeszedł koło nas, ciągnąc Ninę za włosy? Nie. Musiałbym to zauważyć, nie ma mowy.
- Jest z nim jakiś gówniarz. Młodzieniaszek.
- Z pewnością Hudek. Podejrzewam...
- Ale nikt nie wszedł i nie wyszedł, John. Siedziałem twarzą do drzwi. Zauważyłbym.

Dotarliśmy wreszcie do samochodu. Otworzyłem drzwiczki od strony pasażera, obszedłem maskę i otworzyłem swoje. Przez chwilę siedzieliśmy zupełnie zdezorientowani.

- Unger nie żyje.
  - I taki pożytek z pieprzonej kawalerii.
  - Powinniśmy oddalić się od tego miejsca jak najszybciej i jak najdalej — stwierdziłem, zapalając silnik. — Jeszcze parę chwil i ktoś wejdzie do toalety, i znajdzie trupa, który siedział obok ciebie przez ostatnie pół godziny. Trzeba skontaktować się z federalnymi.
  - Zapomnij o tym. Monroe nie żyje, a tylko dzięki niemu mogliśmy w ogóle postawić nogę za progiem.
  - Racja. Nie widzę jakoś, żeby gliniarze nam pomogli. Kiedy dziś rano byłem na posterunku, żeby zabrać Charliego, spotkałem tam młodego faceta, nowego, jakiegoś glinę zza miasta. Nie podobało mu się chyba, że musi mnie oglądać.
  - No pewnie! Jesteś dyplomowanym paranoikiem.
- Odwróciłem się i długo na niego patrzyłem.

Zawróciliśmy gwałtownie i przejechaliśmy koło Starbucksa. Mijając go, lekko zwolniliśmy. Wyglądał jak akwarium pełne szczęśliwych rybek. Obecny tam ludziom nic się nie przydało. Mieszkali wewnątrz pocztówki, od czasu do czasu wyglądając na zewnątrz.

Zandt szybko dochodził do siebie. Siedział, trzymając broń na kolanach. Wyglądało na to, że bardzo pragnie jej użyć.

— Powinniśmy wrócić — powiedział.  
— I zrobić... no właśnie, co? Ktokolwiek zabił Carla, załatwi nas, nim się zorientujemy, z kim mamy do czynienia. Połowa klientów zginie w wymianie ognia, a wszystko to ani na centymetr nie przybliży nas do Niny.

— No więc co?  
— Zachowamy mobilność. — Dodałem gazu, włączyłem się do ruchu. Po obu stronach jezdni ludzie chodzili tam i z powrotem. Na lekkim wietrze drzewa zrzuciły jesienne liście. Podjechała furgonetka UPS i ubrany na brązowo facet wniósł długie, płaskie pudło do sklepu z prezentami gwiazdkowymi. Całe miasto było jak ruchomy billboard, obraz, którego nie sposób minąć, coś, co zupełnie do nas nie pasuje.

— Dokąd jedziesz, Ward?  
— Nie mam pojęcia. Musimy dowiedzieć się, dokąd Paul ją zabrał, tymczasem jednak szukamy miejsca, gdzie nas nie zastrzelą. Uciekamy przed dobrymi facetami co sił w nogach.

— To teraz co? My jesteśmy tymi dobrymi?  
— Tak dobrymi, jak tylko się da.

W dziesięć minut dotarliśmy do granic miasteczka. Wjechałem na wzgórze, przekroczyłem je, skręciliśmy i znaleźliśmy się na drodze gruntowej. Kończyła się czymś w rodzaju parkingu z widokiem na Raynor's Wood. Byliśmy sami, co raczej mi odpowiadało.

Zatrzymałem się na samym końcu. Wsiadłem z samochodu, przez jakiś czas chodziłem szybko w kółko. Zauważyłem, że na rękach wciąż mam ślady krwi Monroe'a. Próbowałem je zetrzeć.

John wysiadł po jakichś dziesięciu minutach.

— Moim zdaniem powinniśmy zawiadomić policję — stwierdził. — Powiedzieć im o ciele. I o śmierci Monroe'a. Uświadomić ludziom, co tu się dzieje.

— Od kiedy to nabrałeś wiary w policję? W ciągu tygodnia w tym miasteczku zabito gliniarza i porwano agentkę FBI. W dwóch różnych lasach znaleziono dwa trupy. Jeśli miejscowe sukinsyny nie wzmogły czujności, to już nigdy jej nie wzmogą.

Zandt spojrzał w dół, na las i pokręcił głową.

— Coś tu jest zdecydowanie nie tak. To...

Zszedł kilka kroków z boczem i przyjrzał się dokładniej lasowi.

- Co cię tak interesuje? — spytałem.
- Coś w rodzaju pagórka. Wśród drzew.
- Tam znaleziono ciało Lawrence'a Widmara. W każdym razie gdzieś w pobliżu, na dole. I co z tego?
- Wygląda jak te cuda, których szukałem po całej Nowej Anglii.
- John, to nie jest właściwy czas na... — Umilkłem i przechyliłem głowę. — A to co takiego? Jakiś dźwięk...
- Włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem telefon. Na wyświetlaczu widniało słowo „NINA”.

Palce zmieniły mi się w gumę, musiałem próbować trzy razy, nim trafiłem na właściwy przycisk. Podnosiłem powoli telefon. W uszach mi dzwoniło i szumiało głośno od krążącej w przyspieszonym tempie krwi, wyraźnie szukającej ujścia.

— Nina? — powiedziałem w końcu cicho. — To ty?

— Cześć, Ward — odpowiedział męski głos.

— Kim jesteś?

— A jak ci się wydaje?

To mógł być tylko on.

— Paul?

John natychmiast na mnie spojrzał. Podniosłem dłoń, nakazując mu, by milczał.

— Trafiłeś — powiedział głos. — Postanowiłem sprawdzić, co u ciebie. Nie piszesz, nie dzwonisz...

— Gdzie jest Nina? Gdzie jesteś?

— A jak myślisz?

— Powstała teoria, że coś dużego ma się zdarzyć w Los Angeles.

— Ooo! Trzeba przyznać, że dobrzy jesteście, chłopaki.

— To nie moja teoria. Moim zdaniem jesteś znacznie, znacznie bliżej.

— Nie sądziłem, że jesteś aż tak dobry. Przy okazji, mam kogoś, kto chce ci powiedzieć „cześć”.

Mocniej ścisnąłem telefon.

— Cześć, skarbie — powiedziała Nina.

— Cześć. Wydawało mi się, że ktoś zaciska mi szyję w garści. — Wszystko w porządku?

— Nic mi się nie stało. — Jej głos brzmiał bardzo słabo.

— Gdzie jesteś?

— Trzyma mi pistolet przy głowie, Ward.

— Więc nie odpowiadaj. Czego chce? Co mam zrobić?

— Chce Johna.

— Tylko żyj, dobrze? Żyj dla mnie.

— Zrobię co będę mogła. Naprawdę. Żyjesz i uczysz się. Żyjesz i uczysz się. Kocham...

Umilkła. Za to Paul miał mi coś do powiedzenia:

— Masz więc motywację. Czy były detektyw Zandt jest teraz z tobą?

— Nie. Poleciał do Los Angeles.

— Naprawdę? Co za pech. Wybrał zły kierunek. Będzie się czuł jak dureń. A ja tak chciałem z nim porozmawiać.

— To ryzyko, które ponosisz, grając w idiotyczne gry. Co by się stało, gdybyś nie dorwał telefonu Niny? Jak byś się ze mną skontaktował?

— Przecież mam twój numer, Ward. A teraz posłuchaj.

Po dwóch sekundach przerwy gdzieś blisko rozległ się nieznamy mi sygnał. John wyjął telefon. Dzwoniący. Spojrzał na mnie.

Paul roześmiał się wesoło.

— Hej, co ty tam wiesz! Właśnie usłyszałem w słuchawce charakterystyczne dźwięki, co moim zdaniem oznacza, że nadal jesteście razem. Jego numer też mam, oczywiście. Doprawdy, Ward, chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia.

— Nikt nie wie. Nawet masoni.

— Ach, pan Unger. Dziwny, skołowany człowiek. No cóż, w każdym razie już nie żyje, nie ma to więc większego znaczenia. Nie widzisz mnie? Jestem zawsze gdzieś tam, w tle. I zawsze będę. Jest nas legion, bracie. A teraz daj mi Johna.

Wyciągnąłem do Johna rękę z telefonem i John go ode mnie wziął. Słuchał przez minutę czy coś koło tego. W tej chwili podziwiałem go jak nikogo innego w życiu. Oto słuchał głosu mężczyzny, który zabił mu córkę, a on mu nie przerywał, nie krzyczał, nie groził. Wiedział, że morderca ma Ninę, więc tylko słuchał.



Po czym oddał mi telefon.

— Zawiadom policję, a zaraz się o tym dowiem — ostrzegł Paul. — Spróbuj się ze mną pieprzyć, a zabiję Ninę i to nie szybko. Wiesz, że to prawda.

— Wierzę ci. Ale ty też powinieneś coś wiedzieć. Godzinę temu zastrzeliłem twojego koleśa psychopatę.

— To znaczy...? — głos zawahał się, przez sekundę ale jednak się zawahał.

— To było w Dryford. Jim, James, obojętne. Kiedy odchodziłem, krwawił na trawnik. I mówił. Całkiem możliwe, że nawet tu może ściągnąć na siebie uwagę.

— Nie pojawi się nawet na siódmej stronie — stwierdził Paul i się rozłączył.

John zapalił papierosa i zapatrzył się na las. Twarz miał ściągniętą, nieruchomą, spokojną, jakby już podjął decyzję. Tymczasem w mojej głowie kotłowały się wspomnienia rozmowy z Niną. Wiedziałem, że wkrótce przestanę przywiązywać do nich wagę, no, ale teraz wiedziałem przynajmniej, że żyje. Na razie.

— Co ci powiedział?

Zandt nawet się do mnie nie odwrócił.

— Że jeśli się z nim skontaktuję, wszystko odwoła. Zamierza wypuścić Ninę. Ciebie chce mieć żywego.

— Co to takiego „wszystko”?

— Tylko to, co powiedział. Może nic?

— Nie. I bynajmniej nie chodzi tu o ciebie. Nie dorastasz do tego, co się dzieje.

— Chce, żebym pojechał do Holiday Inn. Przyjedzie i dokądś mnie zabierze.

— A ty się zastanawiasz, czy nie pojechać, co?

— Co innego możemy zrobić?

— Nie w tym rzecz. Myślisz, że może uda ci się go załatwić.

— Połowa hotelu to ciągle federalni. Kiedy będę miał lepszą szansę?

— Myślisz, że on o tym nie wie?

— Jeśli pojedziemy teraz, możemy powiedzieć im, co się stało z Charlesem. Wtedy się przygotowują.

— Nie uwierzą nam. A ciebie pewnie aresztują. Oni... — Urwałem. Próbowałem zrobić miejsce dla myśli, która mogła, ale tylko mogła, wyrwać się za chwilę na powierzchnię. — Jemu właśnie o to chodzi ! — wróciłem po chwili do tematu. — Chce cię tam mieć i wie, że pojedę z tobą, żeby cię kryć. Co oznacza, że obaj będziemy gdzie indziej. Chce nas, owszem, ale nie tu, gdzie teraz jesteśmy. — Ukryłem twarz w dłoniach. — Nina coś powiedziała...

— Co masz na myśli.

— No, coś... coś dziwnego. Trochę nie z tej ziemi. Na koniec rozmowy. „Żyjesz i uczysz się”. I powtórzyła to.

— Co z tego?

— Czy dla ciebie to brzmi jak słowa Niny? Czy ona przemawia jak ciasteczka z wróżbą?

— Nie — przyznał Joe. — Ale...

— Poza tym te słowa były wyrwane z kontekstu. Życie i uczenie się nie ma nic wspólnego z pozostaniem przy życiu. Więc dlaczego...?

— Nie powiedziała nic więcej?

Przebiegłem w myślach naszą zbyt krótką rozmowę. Nina twierdziła, że nic jej się nie stało. Broń przyłożona do głowy. Żyj dla mnie.

— Nic w tym stylu — przyznałem zgodnie z prawdą. — Było tego może trzydzieści, czterdzieści słów. Z czego osiem to były właśnie te słowa.

Zandt stał nieruchomo. Czekał. Wreszcie jakby wszystko się ułożyło.

— Informacja, którą Carl przekazał nam dziś rano. Co z niej pamiętasz? — zapytałem.

— Coś o tym, że nie są Amerykanami ani Europejczykami, ani w ogóle nikim szczególnym. Był jeszcze kawałek o tym...

— Czas uczyć ludzi albo uczyć drogi.

— Mają ze sobą młodego człowieka. Wyglądającego tak młodo, że może wejść gdzieś i podłożyć bombę, zupełnie tak, jak to zrobił wczoraj w Los Angeles. Tylko tym razem nie małą i słabą, ale coś, co rzeczywiście narobi huk. To dlatego Paul chce nas mieć po drugiej stronie miasta.

Nagle John zaczął biec do samochodu.

— Mają zamiar zrobić coś w szkole!

## Rozdział trzydziesty piąty

Zaparkowałem pięćdziesiąt metrów od szkoły, naprzeciwko wielkiego kościoła. Wysiedliśmy i stanęliśmy, uderzeni pędzącym pod górę zimnym wiatrem. Z tego miejsca widać było dobrą połowę miasta. Nie dostrzegłem nikogo. Nie to, że nikogo wyglądającego podejrzanie, ale po prostu nikogo w ogóle. Zupełnie, jakby wszyscy znaleźli się nagle gdzieś za rogiem, w domu, w budynku lub gdzieś tam, w dole ulicy, poza zasięgiem wzroku. Spojrzałem na zegarek — za piętnaście trzecia — biznes kręci się jak zwykle; to ta pora popołudnia, kiedy wszystko zdarzyło się wcześniej albo wszystko zdarzy się później. Na razie ludzie pracują, robią zakupy, studiują i czekają, aż czas minie. Gdybyś miał lądować statkiem kosmicznym, trzecia byłaby najlepszą godziną na podbicie planety Ziemi.

Sprawdziliśmy pistolety. W ciągu ostatnich piętnastu minut zdążyłem podrzucić Johna pod Holiday Inn. Przystawiliśmy jego samochód tak, żeby był widoczny z głównej ulicy — to na wypadek, gdyby Paul postawił kogoś na czatach. Następnie, dyskretnie, przeszliśmy do mojego auta — przenosząc broń i amunicję Zandta w czarnej torbie — które zaparkowane było tam, gdzie zostało zaparkowane. Być może nie robiło to różnicy, ale sam pomysł wydał nam się całkiem dobry.

Wyjąłem częściowo opróżniony magazynek pistoletu i uzupełniłem go. Wypełniliśmy kieszenie; czarne kurtki nagle

zrobiły się ciężkie od rzeczy, z których nie mogło wynikać nic dobrego. John spojrzał na mnie.

— Gotowy? — spytał spokojnie.

Skinąłem głową.

— Tylko że jeśli choćby wyda mi się, że Nina jest gdzie indziej, natychmiast stąd znikam — ostrzegłem.

Poszliśmy w prawo i w dół, mijając kościół z boku. Alejką dotarliśmy do drogi biegnącej równoległe do głównej ulicy miasteczka. Szliśmy nią, dopóki nie znaleźliśmy się pięćdziesiąt metrów za szkołą. Przystanęliśmy. Nadal nic się nie działo i nikogo nie widzieliśmy.

Przeszliśmy na drugą stronę. Maszerowaliśmy nią na tyłach szkoły, od przecznicy do przecznicy budynków, z których największe były oczywiście te najważniejsze; od ulicy oddzielał je asfaltowy prostokąt. W odróżnieniu od znajdujących się od frontu trawników nie wyglądał na miejsce zabaw czy spotkań uczniów. Od strony ulicy ogrodzony był płotem z metalowych prętów, w rogach znajdowały się bramy dla ciężarówek dostawczych. Jedna z nich stała na wyznaczonym miejscu; towar, który przyjmował facet w kombinezonie, wyglądał bardzo niewinnie: mrożona pizza ładowana na wózki i wieziona pochyłą rampą do znajdujących się pod ziemią stanowisk załadunkowych. Po chwili facet pojawił się i wdał w przyjacielską pogawędkę z kumplem odbierającym towar. Oparli się o ścianę, zapalili po papierosie. Najwyraźniej doskonale się znali.

Szybko doszliśmy do przeciwległego końca przecznicy, skręciliśmy w lewo, przeszliśmy kawałek uliczką, znów skręt w lewo i znów byliśmy na głównej ulicy. Spojrzeliśmy przed siebie. Oto główny kompleks starych budynków, bezpiecznych za pasmem zasłanej liśćmi trawy.

Dostrzegliśmy także faceta stojącego od wewnątrz, tuż przy bramie. Młodego chłopaka, którego poprzednio tu nie było. Pod pachą trzymał deskę. Mógł mieć od siedemnastu do dwudziestu lat, jeśli nie trochę ponad dwudziestkę. Ani John, ani ja nie widzieliśmy zdjęcia Lee Johna Hudeka, więc nie mieliśmy czego z czym porównać.

— Co o tym myślisz? — spytałem cicho.  
— Lekcje jeszcze się nie skończyły. Dlaczego on tam stoi?  
— Idzie do dentysty. Czeka, żeby ktoś go podwiózł. Napy-  
skował nauczycielowi, który kazał mu stać przez godzinę.  
— Opalony, nie uważasz?  
— Jasne — powiedziałem. — Walnijmy go na chodnik py-  
skiem w dół. Przykro mi, chłopcze, ale nie jesteś zadowolająco  
blady. Musimy cię za to zastrzelić.

Mimo tego gadania ruszyłem pod górę i wkrótce znajdowa-  
łem się już zaledwie kilka kroków od chłopaka. Nie spieszyłem  
się. On bardzo przekonująco nie patrzył, kiedy się zbliżałem,  
ale każdy w jego wieku zachowałby się podobnie.

— Masz zapalniczkę? — spytałem.  
— Palenie zabija — odpowiedział.  
— Podrzucić cię gdzieś?

Powoli podniósł wzrok. Skórę miał bez skazy, oczy niebie-  
skie i zimne. Przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

— Nie rozśmieszaj mnie, człowieku.  
— Lekcje jeszcze się nie skończyły.  
— A co ci, fiucie, do tego?

— Mamy, fiucie, mały problem — powiedział John, który  
nagle pojawił się przy moim boku — a mianowicie nie wiemy,  
dlaczego tu, fiucie, stoisz.

— Jesteście taką szkolną policją czy co?  
— Owszem — przyznałem. — Coś takiego.

Dzieciak tylko pokręcił głową.  
— Odpierdolcie się — rzucił krótko.

I nagle zorientował się, jak patrzy na niego John. Odwrócił  
się na pięcie, oczywiście powoli i lekceważąco, i znikł za bez-  
pieczną bramą. Obaj odprowadziliśmy go wzrokiem.

— To nam poszło nieźle — westchnąłem z ulgą.

Zandt nie odpowiedział. Po prostu stał, obserwując chłopaka  
maszerującego trawnikiem z deską pod pachą. A on ani razu  
się nie odwrócił, nie obrzucił nas kpiącym spojrzeniem, nie  
pokazał nam środkowego palca. Próbowałem domyślić się, czy  
to zaskakujące, czy może nie, kiedy zrobił coś zwracającego  
uwagę.

Szedł po trawniku w stronę części znajdującego się po prawej

stronie zespołu głównego budynku szkoły, ale właśnie stamtąd wyszło kilku rozbawionych uczniów, więc skręcił lekko, żeby się z nimi nie spotkać.

Zandt spojrzał na mnie wymownie.

— Widziałem — mruknąłem.

My też przeszliśmy przez bramę. Nasz chłopak szedł szybciej w stronę łuku prowadzącego na dziedziniec w obrębie głównego budynku szkolnego.

— Hej! — krzyknął John. — Lee!

Ten się nie odwrócił. Ale inny, owszem.

Jeden z dwóch stojących na trawniku, daleko i po prawej, gwałtownie poderwał głowę. Przerwał to co robił i spojrzał na nas.

Moje serce stanęło.

— John — wykrztusiłem po chwili.

— Widziałem.

Poszedł szybko tam, gdzie jeszcze przed chwilą było tych dwóch. Ten, który zareagował, schował coś do kieszeni kurtki, odwrócił się i wszedł szybko do jednego z budynków. Szedł z wdziękiem i pewnością siebie dowodzącymi, że nie jest nowicjuszem w tym biznesie. Nie był też uczniem. Ostatnio może tak, ale teraz już nie. A jeszcze biorąc pod uwagę, jak zareagował na imię, można było mieć pewność, że to właśnie Hudek.

John poszedł za nim wprost do budynku. Ja zauważyłem trzeciego chłopaka, odchodzącego na bok z nonszalancją tak wdzięczną jak słup ogłoszeniowy. Udało mi się go złapać.

— Kumpel, z którym rozmawiałeś... — Znasz go? — spytałem wprost.

Pokręcił głową. Bez wątplenia żywił złudzenia, że jest cool, ale miał może czternaście lat i sprawiał wrażenie bardzo zderwowanego.

— Właściwie... nie.

— To o czym z nim rozmawiałeś?

— O niczym.

— Akurat. Widziałem, jak chowa coś do kieszeni. Co to było?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Fajnie — powiedziałem spokojnie. — Więc z całą pewnością nie rozmawiamy o narkotykach.

Twarz małego powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

— Cokolwiek to było, ani mi się waży tego brać — rzuciłem na odchodnym i wbiegłem do budynku.

Wejście otwierało się na duży, mroczny hol dzielący się z kolei na dwa korytarze. Z tyłu znajdowały się kamienne schody, do których dochodziło słabe szare światło. Wejście do środka było jak zrobienie kroku pod prąd czasu. Obojętne, jaką budujesz szkołę, zawsze czuć ją będzie szkołą. Nie zauważasz tego, kiedy jesteś w środku, ale kiedy wrócisz jako dorosły, to miejsce jest jak stajnia dla niemytych obcych. Po obu stronach znajdowały się klasy, do każdej prowadziły oczywiście drzwi zaopatrzone w szybę z matowego szkła, a przy końcu pogięte, zniszczone szafki. W tle słychać było stłumione, lecz wyraźne przemowy artykułowane tak, by były dobrze słyszalne, lecz raczej nieprovokujące do przemyśleń lub dyskusji.

Zatrzymałem się na sekundę, nasłuchując. Nad głową usłyszałem kroki. Jeszcze jeden bieg schodów i znalazłem się jakby w tym samym miejscu, tyle że wyżej. John stał po drugiej stronie korytarza, przy oknach.

— Gdzie on się podział?

— Nie mam pojęcia. — John odwrócił się i ruszył w moją stronę. — Byłem pewien, że włączył tutaj.

— Nie miał torby — zauważyłem. — Więc albo pomyliliśmy się i szukaliśmy nerwowego chłopaka handlującego trawką albo już podłożył to, co ze sobą przyniósł. Głupota, John. Proponuję zawiadomić kogoś tutaj, a potem ruszyć w cholerę w poszukiwaniu Niny.

— Zgoda — powiedział nieoczekiwanie. — Znajdźmy dyrektora...

Umilkł. Wyrząłem przez okno. Policyjny samochód zaparkował na ulicy, tuż przy wejściu do szkoły. Wielki policjant szedł szybko trawnikiem.

— Tego nam naprawdę nie potrzeba — mruknąłem. Zacząłem schodzić po schodach, John szedł tuż za mną. Szybko wyszliśmy z budynku. Gliniarz dostrzegł nas oczywiście i natychmiast wzbudziliśmy jego zainteresowanie.

— Interesujące — powiedziałem. Szliśmy prosto na niego.  
— Jestem całkiem pewny, że to z nim Monroe rozmawiał dziś rano.

— Wygląda na normalnego gliniarza.  
— Wsadź mnie w mundur, to będę wyglądał tak samo.  
— No, może trochę. Jak taki, którym natychmiast interesuje się wydział spraw wewnętrznych.

Policjant zatrzymał się kilka metrów przed nami. To był z pewnością ten, którego widziałem rano. Elegancki, szeroki w ramionach, oczy bez wyrazu.

— Kim jesteście i co tu robicie? — spytał.  
— A co cię to obchodzi? — odpowiedział pytaniem John. Jego głos bardziej przypominał głos chłopaka z deską, choć pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Rozumiesz, że jestem policjantem, czy tak?  
— W czym problem, panie władzo? — spytałem.  
— Dzwonił do mnie nauczyciel. Jeden z jego uczniów poinformował go, że dwóch zachowujących się dziwnie mężczyzn zaczęło go przed bramą. Mam wrażenie, że może chodzi o was?

— Naszym zdaniem szkoła ta może być zagrożona.  
Policjant chrząknął.  
— Może, może. Wy jesteście zagrożeniem. Nie proszę, tylko wydaję polecenie. Wychodzimy w tej chwili.

Żaden z nas się nie poruszył.  
— Już, panowie!  
— Gdzie byłeś, kiedy zadzwonił? — spytał John tonem towarzyskiej rozmowy. — Na posterunku może?

Gliniarz tylko na niego patrzył.  
— Szybko jeździsz — skinąłem głową. — Rozmawialiśmy z tym dzieciakiem... ile? Pięć, może sześć minut temu? Musiał wejść do środka, porozmawiać z nauczycielem, przekonać go, że warto fatygować policję na nas dwóch. Nauczyciel zadzwonił na posterunek, rozmowę przekazano tobie, no i przyjechałeś.

— To się nazywa szybka obsługa — przytaknął John z uznaniem.

— A może jednak żaden uczeń nikomu się na nic nie poskarżył? Może ktoś nas obserwował? W takim razie dlaczego łiesz o wezwaniu?



— Zadzwońisz po wsparcie? — zainteresował się John. — Bo ja bym na twoim miejscu zadzwonił. Dwóch dziwnych facetów, ostrzeżenie... w tej szczególnej sytuacji chciałbym mieć przy sobie innych oficerów. Zakładając, że byłbym tu z właściwych powodów.

Oczy gliniarza zrobiły się wyraźnie zimniejsze.

— Czy imię „Paul” coś ci mówi? — spytałem wprost. — Bo my słyszeliśmy, że ktoś o tym imieniu kręci się gdzieś w okolicy. Bardzo niebezpieczny człowiek. Może tak naprawdę szukasz tego Paula?

— Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział glina, kładąc dłoń na kolbie przypiętego do pasa pistoletu. — I mam już dość waszego gadania.

— Masz rację — przyznałem, wyciągając ręce. Nie było innego sposobu załatwienia tej sprawy, a czas płynął. — Naprawdę nie chcieliśmy zacząć od kłótni. To bardzo poważna sprawa. Powinniśmy pojechać na posterunek. Dokładnie to rozważyć.

— Jedziemy.

Poszliśmy z nim przez trawnik i przez bramę, na ulicę, do jego samochodu. Gliniarz zatrzymał się i zaczął otwierać tylne drzwi. John dał mi sygnał ręką. Spojrzałem w górę i w dół ulicy. Nadeszła właściwa chwila.

Złapałem drzwi i walnąłem nimi faceta, niemal miażdżąc mu żołądek. W ostatniej chwili dostrzegł niebezpieczeństwo, próbował się cofnąć i prawie mu się udało, ale zarobił cios w łeb od Johna. Błysnął białkami oczu, spróbował jeszcze oprzeć się o karoserię tylko po to, by dostać ode mnie pięścią w twarz. John wrzucił go na tylne siedzenie.

Otworzyłem drzwi i usiadłem za kierownicą.

— Nie ma kluczyków — oznajmiłem.

Wyglądałem przez okno, podczas gdy z tyłu rozległ się odgłos paru ciosów i kilka stęknień. Stęknienia umilkły, po czym pojawił się Zandt.

— Łap — powiedział, rzucając mi kluczyki.

Pojechałem dostojnie ulicą, a za rogiem szkolnego ogrodzenia skręciłem w lewo.

— Odznakę miał w porządku — zauważył John. — Jeśli to fałszerstwo to bardzo, bardzo dobre.

— Tak czy inaczej, dupek.

Zatrzymałem samochód w połowie ulicy, wysiadłem i pomogłem Johnowi wywlec nieprzytomnego faceta z tylnego siedzenia. Otworzyliśmy bagażnik i wrzuciliśmy go do środka. To był wielki facet, z trudem się zmieścił.

— Chcesz go zakneblować?

John pokręcił głową.

— To na wypadek, gdybyśmy się jednak mylili — wyjaśnił.

— Jest zły — powiedziałem, kiedy zatrzaskiwaliśmy bagażnik. — I sam dobrze o tym wiesz.

— Co oznacza, że lada chwila coś się tu wydarzy.

Wiedziałem, że ma rację, i wiedziałem również, że Paul jest gdzieś niedaleko.

— No, to pora zamknąć szkołę.

## Rozdział trzydziesty szósty

Zignorowaliśmy budynek, który zdążyliśmy już odwiedzić, i idąc łukiem, dostaliśmy się do drugiego wejścia. Schody po prawej stronie dziedzińca zaprowadziły nas na bardziej obiecujące terytorium. Znaleźliśmy się w największym i najstarszym budynku szkoły, miało więc sens ulokowanie w nim legowisk miejscowych lwic i lwów. Na parterze znajdowały się klasy, usytuowane po obu stronach krzyżujących się pod właściwymi kątami korytarzy, które były puste. Pamięć podpowiadała mi, że zawsze ktoś powinien się po nich pętać, pryskać na wagary, udawać chorego albo rannego lub po prostu marnować tyle czasu, ile się tylko da na najbardziej wymyślne sposoby. W Thorton High z pewnością surowiej traktowano załogę. Gdzieś, w oddali, przy końcu jednego z korytarzy zobaczyłem wreszcie samotnego młodego człowieka, nie reagował jednak na krzyk i znikł, zanim go dogoniliśmy. Pierwsze piętro wyglądało tak samo jak parter, z tym że była tam duża sala będąca prawdopodobnie pracownią naukową. Dopiero na samej górze odkryliśmy biura. Wśród wyłożonych boazerią ścian widniały drzwi, z czego jedne rozmiaru mogącego sugerować tylko i wyłącznie, że egzystuje za nimi A.L. SINGER. DYREKTORKA. Były lekko uchylone.

Weszliśmy do sekretariatu. Urzędowała tam dama w typie matrony, mordująca się z antycznym komputerem. Spojrzała na nas z wyrazem nagany. Od razu poczułem się, jakbym miał dwanaście lat.

— Kim panowie są? — spytała.  
— Musimy zobaczyć się z dyrektorką — oznajmiłem. — Natychmiast.

— W tej chwili rozmawia przez telefon...

Poszedłem za Johnem do drugich drzwi, tych zamkniętych. Otworzył je. Pokój okazał się znacznie większy. Pośrodku stało eleganckie biurko, za biurkiem siedziała inna kobieta, która oczywiście nie rozmawiała przez telefon. Na regałach przy ścianach stały same bardzo poważne książki, w wolnych miejscach wisiały czarno-białe zdjęcia ważnych osób i poważnych postaci, ściskających sobie dłonie. Przez okno widać było frontowy trawnik.

— Trzeba natychmiast ewakuować szkołę — powiedział bez wstępów John.

Kobieta tylko na nas patrzyła. Była wysoka, miała nastroszone włosy; wyglądała jak w domu, rozdając kopniaki w sali zarządu Fortune 500.

— O czym, panowie, mówicie? Kim jesteście?

— Ktoś przygotowuje atak na tę szkołę.

Kobieta wstała powoli.

— Ktoś... co? Jak panowie wpadli na ten pomysł?

— Nie ma czasu na szczegóły — wtrąciłem. — Proszę uwierzyć nam na słowo. To bardzo poważne zagrożenie.

Kobieta sięgnęła po stojący w rogu biurka telefon. John dotarł na miejsce pierwszy i przytrzymał słuchawkę. Dyrektorka zacisnęła wargi. Przemówiła do kogoś za moimi plecami.

— Jane, zadzwoń na policję, proszę, a następnie jak najszybciej przyślij tu Bena. Powiedz mu, że mamy intruzów.

Odwrociłem się. Na progu stała kobieta z sąsiedniego pokoju.

— Proszę tego nie robić — powiedziałem.

Coś odwróciło jej uwagę i Jane znikła mi z pola widzenia. Zwróciłem się więc do dyrektorki:

— Pani Singer, wiem, jak dziwnie to brzmi, ale musi pani uwierzyć w to, co mówimy.

— Oczywiście, że nie wierzę. Gdyby mojej szkole coś groziło, policja natychmiast by się ze mną skontaktowała.

— Przed chwilą rozmawialiśmy o tym właśnie z policjantem. Nie ma pewności, czy można im zaufać.

— Niemożliwe! Im? Boże! Jane, wezwij Bena. Ma tu natychmiast przyjść.

Nikt z sekretariatu nie odpowiedział, po chwili usłyszeliśmy jednak kwękający głos starszej kobiety pouczający kogoś. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Do środka wszedł uczeń. Był nim chłopak z deską, którego spotkaliśmy za bramą, tylko teraz było już dla mnie jasne, że to nie dzieciak, nie uczeń i że nie chodzi ani do tej szkoły, ani żadnej innej. Zaczął mówić od razu, obrażony i pewny siebie:

— Proszę pani, stałem sobie za bramą, kiedy pojawiło się dwóch facetów i zaczęło mnie napastować. O, to są ci dwaj.

Dyrektorka przyjrzała mu się uważnie. Wiedziałem już, że dni jej pracy przebiegały na ogół nieco inaczej.

— Kim jesteś? Nie pamiętam cię.

— Jason Scott, proszę pani. Ci mężczyźni chcieli, żebym wsiadł do ich samochodu.

Oстрыm spojrzeniem obdarzony został tym razem John.

— Proszę oddać mi telefon! Policja rozwiąże ten problem.

Zandt nadal trzymał dłoń na słuchawce. Dyrektorka odsunęła szufladę i wyjęła z niej telefon komórkowy.

— W porządku, pieprz się — powiedziałem, wściekły nie na żarty. — Proszę dzwonić po gliny, pani Singer. Niech pani robi co chce, ale proszę tymczasem usunąć wszystkich w cholerę z tego budynku. Co się z panią dzieje! Tłumaczymy, że szkoła jest w niebezpieczeństwie. Puk, puk, czy ktoś nas słyszy? Naprawdę chce pani podjąć takie ryzyko?

— Jak tam bym ich nie słuchał, proszę pani — powiedział chłopak i nagle zachichotał. — Jeden chciał mi pokazać fiuta.

Nadal próbowałem przemówić pani dyrektor do rozumu.

— Nigdy przedtem nie widziała pani tego człowieka. No, proszę, niech pani sobie przypomni... nie mam racji? Nie chodzi do tej szkoły. A może go pani rozpoznaje?

— Nie mogę pamiętać wszystkich...

— Można sprawdzić nazwisko, prawda? Sprawdzić, czy w szkolnej bazie danych jest jakiś Jason Scott. Tylko proszę zrobić to jak najszybciej.

Kobieta podeszła do komputera umieszczonego po drugiej stronie biurka, ale nie wyglądało, by miała jakieś pojęcie, co z

tym fantem zrobić. Zużyłem resztę rezerw cierpliwości, żeby po prostu się na nią nie rzucić.

— Proszę pani, albo ewakuuje pani szkołę, albo my to zrobimy za panią.

Nagle ktoś krzyknął: „Pani dyrektor!”. Krzyczała sekretarka.

— Pani dyrektor, coś złego dzieje się z telefonami. — Słychać było niecierpliwe uderzenia słuchawek o widełki. — Nie mogę wyjść na zewnętrzną linię.

Singer spojrzała na mnie. Nagle nie byłem już najdziwniejszą rzeczą w jej życiu.

— Doprawdy? — powiedziałem, patrząc jej wprost w oczy. — Więc proszę to zrobić, zrobić natychmiast.

— Doskonale. Jane, uruchom alarm przeciwpożarowy. W tej chwili.

Młody mężczyzna z deską skrzywił w uśmiechu cienkie wargi.

— O Jezu, wy, ludzie, jesteście jak prawdziwe wrzody na dupie!

Rzucił deskę i z przedniej kieszeni bluzy wyjął rewolwer wyposażony w mały tłumik. Strzelił dyrektorce w głowę, odwrócił się, pobiegł do drzwi.

Nim obaj z Johnem zdążyliśmy wyciągnąć, broń usłyszeliśmy kolejny cichy trzask. Wybiegłem do sekretariatu i zobaczyłem kobietę leżącą przy ścianie. Jej nogi poruszały się jeszcze, ale twarz miała przyciśniętą do dywanu. Tyłu głowy nie miała.

— Znajdź alarm! — krzyknął John, mijając mnie pędem.

Przeszukałem całe wielkie biuro, ale nie znalazłem sposobu, by zaalarmować kogokolwiek o czymkolwiek. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że włączniki muszą znajdować się na korytarzach. Wypadłem na zewnątrz i pobiegłem korytarzem, waląc pięścią we wszystkie mijane drzwi. Nim dobiegłem do schodów, z większości sal wyglądały już zdumione twarze.

— Pali się — powiedziałem tak spokojnie i przekonująco, jak tylko potrafiłem. — Wszyscy mają opuścić budynek.

— Co? — spytał ktoś. — Gdzie się pali?

Zapomniałem o spokoju i wymierzyłem w niego broń.

— Róbcie, co powiedziałem, i spieprzajcie — warknąłem.

Zbiegłem na piętro poniżej i zobaczyłem Johna pędzącego przez kolejne skrzyżowanie korytarzy. Pobiegłem za nim. Niemal natychmiast znalazłem skrzynkę alarmową. Zbiłem szkło łokciem, wcisnąłem wielki czerwony przycisk.

Nic się nie stało.

Uderzyłem po raz drugi, tym razem nasadą dłoni. Potem spróbowałem trochę łżej, ale też do samego końca.

— O Chryste! — wy dyszałem, biegnąc na następne skrzyżowanie korytarzy. Znalazłem tam kolejny przycisk, tym razem zbiłem szkło pięścią. Kilka razy próbowałem go wcisnąć.

I znów cisza. Odwróciłem się. Biegł do mnie John, trzymając w ręku broń.

— Wyłączyli system alarmowy — oznajmiłem. — Zapomnij o tym facecie. Musimy zaalarmować ludzi sami.

John popędził korytarzem, szarpnięciem otworzył pierwsze drzwi, na które trafił. Słyszałem, jak krzyczy coś do ludzi w środku. Poszedłem w drugą stronę i zrobiłem mniej więcej to samo. To znaczy otworzyłem drzwi prowadzące do sali pełnej ludzi, siedzących i gapiących się przed siebie jak zahipnotyzowani.

— Ewakuacja — oznajmiłem, znów spokojny i przekonujący. — Wydaje się, że w szkole wybuchł pożar. Macie natychmiast opuścić budynek.

Ćwiczenia przeciwpożarowe w tej szkole musiały być naprawdę dobrze przeprowadzone. Wszyscy wstali szybko, lecz utrzymując idealny porządek.

— Informujcie o tym każdego, kogo spotkacie — dodałem, przypominając sobie o tym ważnym fakcie w ostatniej chwili. — Niech nikt nie biegnie. Po prostu wychodźcie z klasy i zachowujcie spokój.

Wszystko będzie w porządku, pomyślałem, widząc, jak uczniowie mijają mnie, idąc szybko, gęsiego. Jeszcze dziesięć minut, a wszystko będzie w porządku, a ja zajmę się wreszcie tym, co naprawdę ważne.

Wyszedłem na korytarz. Klasy istotnie opróżniały się jedna po drugiej. Nagle, przez okno, zauważyłem Johna. Zdążył już wyjść na zewnątrz i siedł teraz szybko trawnikiem, do kolejnego budynku. Może chodziło mu o to, żeby i on został opróżniony,

może miał zamiar w tym pomóc, ale w jego oczach dostrzegłem coś, co podpowiedziało mi, że lepiej mu będzie towarzyszyć.

Przepchnąłem się przez gromadę rozgadanych chłopaków i dziewczyn i zbiegłem po schodach najszybciej, jak potrafiłem. Dolna sala była pełna kłębiących się ludzi; poruszali się szybko, szybciej niż ci na górze i w sposób jakby nie do końca kontrolowany.

Usłyszałem krzyki. Niemal natychmiast zrozumiałem, że ktoś znalazł dyrektorkę i jej sekretarkę. Mężczyzna w średnim wieku ubrany w tweedową marynarkę próbował zbiec ze schodów, rozmawiając z drugim nauczycielem. O wiele za głośno. Widać było, że należy do tego typu ludzi, którzy muszą skonsultować z dyrektorką najprostsze polecenie, na przykład polecenie opuszczenia w cholerę budynku, który może się przypadkiem zapalić.

Cofnąłem się i znalazłem tuż przy nim. Złapałem faceta za kłapy marynarki i przyciągnąłem jego twarz do swojej twarzy.

— Zamknij się — powiedziałem cicho. — Przestań gadać i to natychmiast!

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Co? Co się stało?

Mówiłem cicho, ale szybko i dobitnie:

— Pani Singer nie żyje. Ci ludzie nie muszą się jednak dowiedzieć o jej śmierci w tym miejscu i w tym czasie. Nie rób paniki. Po prostu pomóż im wyjść stąd tak szybko, jak tylko się da.

Facet nadal się na mnie gapił.

— Pan tu nie pracuje. Kim pan jest?

— Takim sobie zwykłym człowiekiem — odpowiedziałem i pchnąłem go mocno. — A teraz ruszaj tyłek. I to szybko!



## Rozdział trzydziesty siódmy

Lee nie miał pojęcia, co teraz. Wykonał już robotę, pogadał z paroma ludźmi, zrobił z siebie fajnego, przyjaznego chłopaka i przekazał towar jako prezent na imprezę, do wypróbowania. Nadal nie pojmował, co to warte, skoro nie wydawało się w najmniejszym stopniu prawdopodobne, że będą tu, by sprzedać następną działkę, wykonał jednak polecenie tak, jak zostało mu wydane... jako preludium do nierobienia tego następnym razem. Już wychodził, gotów spotkać się z Paulem na zewnątrz, zażądać jakiejś odpowiedzialniejszej, bardziej wymagającej roboty, kiedy usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego imię. Poderwał głowę; patrzyło na niego dwóch wyglądających ekstremalnie podejrzanie facetów w czerni, idących szybko trawnikiem, tuż za szkolną bramą.

Najpierw zainteresowali się kimś innym, zbyt oddalonym, by mógł powiedzieć, czy to jeden z dobroczyńców jak on. Chętnie kopnęłyby się w tyłek za sposób, w jaki zareagował. Nawet Śpioch Pete był wystarczająco przytomny i za dobrze znał świat, żeby zrobić coś aż tak głupiego. Ale co się stało, to się nie odstanie, i trzeba to jakoś wykorzystać. Lee ukrył się w budynku szkolnym tak zręcznie i niezauważalnie, jak tylko potrafił, i natychmiast postarał się zniknąć w labiryncie korytarzy. Dostrzegł jednego z facetów, wbiegającego za nim do środka, znał jednak ten budynek, choć tylko z powierzchniowej obserwacji, więc z łatwością utrzymał bezpieczny dystans.

Skulił się i ukrył na końcu korytarza na parterze. Chciał się zorientować, w którą stronę powinien pryskać teraz, kiedy dostrzegł coś, od czego dosłownie zakreśliło mu się we łbie. Zupełnie jakby widział, że do budynku dosłownie przed chwilą wpadł Paul. Lee zamknął oczy, otworzył je, lecz nadal widział Paula, choć ten facet był inaczej ubrany, no i z pewnością należał do dwójki w czerni, tych z trawnika. Stał przez chwilę zupełnie nieruchomo, jak nasłuchujące zwierzę, a potem popędził schodami za tym, który wpadł tu pierwszy.

Lee odczekał, aż znów przebiegną, tupiąc butami po korytarzu, i szybko opuścił budynek, a potem poszedł na górę. Zdecydował, że nigdzie się nie ruszy, dopóki ci dwaj nie znikną na dobre. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia kogoś, z kim warto byłoby się spotkać.

Już niemal zdecydował, że pora ruszać, kiedy nagle zorientował się, że świat ma zupełnie inny dźwięk. Przedtem było cicho, naprawdę cicho, o całą cholerę ciszej niż w jego starej budzie, nawet głuchy od razu by się zorientował. A teraz nagle usłyszał odgłosy rozmów, dobiegających gdzieś z daleka. Z zewnątrz?

Podszedł do jednego z okien w ścianie korytarza i zobaczył przez nie dzieciaki zaczynające wychodzić tylnym wyjściem sąsiedniego budynku i gromadzące się na wielkim dziedzińcu. Zerknął na zegarek; no nie, lekcje nie miały prawa się jeszcze skończyć. Poza tym dlaczego wychodzą od tyłu? Wyglądało to jak ćwiczenia czy coś takiego, choć nie słyszał alarmu.

Tak czy inaczej wyglądało to dziwnie albo jeszcze dziwniej. Najwyższy czas znaleźć się gdzie indziej.

Już miał zejść ze schodów, kiedy zorientował się, że tymi samymi schodami ktoś idzie do góry. Odszedł za daleko, by wrócić do poprzedniej kryjówki. Pomyślał sobie, że dwóch facetów nie może być aż tak dobrych w poszukiwaniach. Był w łazience, to wszystko, przez okno widział odbywające się ćwiczenia, a teraz wychodzi jak każdy dobry obywatel.

Ruszył przed siebie i o mało nie wpadł na tego wchodzącego, młodego chłopaka z deską... tyle że już nie miał deski. Za to był poważnie napalony.

— O co chodzi? — spytał go.

— Mamy problem — odparł facet. Starał się zachowywać spokojnie, nonszalancko, ale zbliżał się już do granic wytrzymałości. — Plan nie wychodzi nam jak powinien. Muszę to skonsultować z Pauliem.

Wyjął z kieszeni małe radio i wcisnął odpowiedni przycisk. Odwrócił się tyłem, zaczął mówić coś szybko i cicho. Przeszedł kawałek korytarzem, słuchając odpowiedzi, zerknął na Hudeka.

I wtedy Lee przejrzał na oczy. Dopiero teraz zorientował się, dlaczego ta gęba wydała mu się znajoma. Tak, to był jeden z facetów z Belle Isle, i tak, prawdopodobnie był w grupie, która wyszła z cienia tego pierwszego wieczoru, kiedy Lee spotkał się z Pauliem. Ale w międzyczasie też widział jego gębę.

Na krańcu samotnego parkingu nocą, u gościa oświetlonego blaskiem reflektorów, jednego z trzech, którzy nie wystąpili, jak się tego po nich spodziewano, ale trzymali się z tyłu, a potem im odbiło.

Lee stał, gapiąc się na niego. Starał się zobaczyć ten wredny pysk jakoś inaczej. Nie mógł. Jego wizerunek pozostał mu w pamięci na zawsze.

Tymczasem facet schował radio, uśmiechał się. Był deskarzem jak najlepszy aktor. Przeszł powoli z nogi na nogę.

— Najwyraźniej to jest plan — powiedział. — Jak to mówią: naprzód, na podbój świata!

Lee Hudek skinął głową.

— A kiedy właściwie zaczyna się ten plan? — spytał.

— W czym rzecz, koleś?

— No, bo myślałem, że zaczął się po śmierci mojego przyjaciela, a my popełniliśmy błąd i zakopaliśmy ciało w lesie, bo nam kazano. Hernandez specjalnie dał nam fałszywe wskazówki, no i tak sobie myślałem, że to był początek.

— No więc słuchaj, nie mamy czasu...

Lee ruszył w jego kierunku.

— Ale wszystko zaczęło się znacznie wcześniej, prawda? Jasne, przecież moi rodzice mieli z tym coś wspólnego. To już wiem. Nie rozumiem, ale przynajmniej coś wiem. Ale teraz mówię o tej nocy, kiedy z kilkoma kumplami pojechałem na parking w Santa Ynez i komuś, kogo znałem od czasu, kiedy

mu zmieniano pieluchy, zwyczajnie rozwalono cholerny łeb. Nie zrobiła tego żadna cholerna banda przypadkowych gangsterów ze stanowej prowincji. Nie. To byłeś ty.

Deskorolkarz stał nieruchomo, wyprostowany. Wcale nie wyglądał na młodego chłopaka.

— W czym rzecz?

— W tym, że albo ty, albo któryś z tych innych facetów zabił mojego przyjaciela!

— Wielka mi rzecz, cwaniaku. Jasne. To byłem ja. Ja strzelałem.

— Więc od razu, od tego dnia, wy, panowie, pieprzyliscie mnie, ile wlezie. Pchaliście mnie to tu, to tam. Spierdoliliście mi całe prawdziwe życie.

— Nigdy nie miałeś życia. — Tak, pomyślał Lee, ten człowiek czuje do mnie wyłącznie pogardę. — Zostałeś kupiony i opłacony w dniu, kiedy się urodziłeś. Od dnia...

Lee rzucił się na niego.

Umiał się bić. Miał to coś, co pozwala walczyć. Był silny, pewny siebie, nie przeszkadzało mu krzywdzenie ludzi. Ale ten drugi miał znacznie więcej zalet. On się po prostu świetnie bawił. Zaatakował przeciwnika, jakby ktoś przełączył wajchę.

Obaj byli milczący, skupieni, uważni, i wydawali najwyżej sieknięcia. Pierwsze ciosy Hudeka trafiły w cel, lecz niemal natychmiast ten drugi rozpoczął sekwencję ruchów, które tylko długa, śmiertelnie groźna praktyka może uczynić drugą naturą. Lee aż za dobrze wiedział, że nie wolno mu bawić się w Hollywood. Walka nie ma wyglądać fajnie, walkę wygrywa ten, kto walnie przeciwnika. Więc łapiesz za włosy i ubranie, wtykasz palce w oczy, starasz się przewrócić przeciwnikiem o ziemię tak szybko, jak to tylko możliwe. A potem kopie się, bije pięściami i używa każdego ostrego przedmiotu, jaki jest w zasięgu ręki. Ale temu facetowi nie mógł zrobić nic. Nie nadązał. Ilekroć zaatakował, gościa tam zwyczajnie nie było, a jednocześnie wydawał się coraz bliższy tego, by przewrócić go, by strzaskać mu twarz i zmiażdżyć żołądek pięściami, łokciami i kantami dłoni.

Wreszcie dostał cios w krtań, który całkowicie odebrał mu oddech. Lee opadł na jedno kolano. Zdołał jeszcze odetchnąć chrapliwie i wystrzelony z siłą kuli but trafił go wprost w twarz.

Padł na wznak. W głowie mu się kręciło. Przeciwnik stał nad nim, w rękę trzymał pistolet.

— Nie kazano mi cię zabijać — powiedział. Nawet się nie zadyszał. — Ale zawsze mogę to zrobić. Kulę zawsze da się wydłubać.

— Pieprz się.

— Pewnie, jasne.

Facet nacisnął mu nogą głowę. A potem zrobił to jeszcze kilka razy.

Kiedy młody Hudek stracił przytomność, deskarz schował pistolet do kieszeni bluzy, pochylił się, wziął go pod ramiona i przeciągnął szybko przez korytarz. Znał rozkład szkoły na pamięć; w ciągu poprzednich tygodni przestudiował go dokładnie. Doskonale wiedział, dokąd musi dotrzeć. Magazyn żywności, tuż za rogiem. Powinno być trochę inaczej, no, ale nie miał wyboru. I tak jest nieźle. Wszystko w granicach tolerancji.

Otworzył drzwi magazynku i wepchnął ciało do środka. Zamknął je i zablokował zewnętrznym bolcem. Nikt nie będzie się starał dostać do środka.

Skończył w ostatniej chwili, zaledwie dziesięć sekund przedtem, nim usłyszał jednego z tych beznadziejnych palantów z biura dyrektorki, biegających po budynku i wrzeszczących o pożarze. Nie brzmiało to za dobrze. Sprawiedliwy nie wspominał o tego rodzaju sprawach, nie było na nie miejsca, kiedy zabawa już się zaczęła, a tymczasem tych dwóch facetów wcale nie zamierzało odejść. Wyglądało na to, że idą na całość, zwłaszcza ten wyglądający jak Paul, którego teoretycznie nie należało zabijać.

Ustawił się na pozycji, przeładował broń. Instrukcje można różnie interpretować. Cokolwiek zdarzy się za chwilę, nie miał zamiaru sprzedać życia tanio.

Ludzie tacy jak on po prostu tego nie robią.

## Rozdział trzydziesty ósmy

Kiedy John wbiegał do pierwszego, ważniejszego budynku, byłem tylko kilka kroków za nim. On pobiegł w prawo, ja w lewo. Otwierałem drzwi i kazałem ludziom wychodzić. Wszyscy robili to, posłusznie. Wspaniale, doprawdy wspaniale. Zandt odwalił swoją połowę roboty bardzo szybko, a ja ciągle zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zauważył kogoś i nie przybiegł tu przynajmniej częściowo po to, by go złapać. Drzwi ostatniej klasy w moim korytarzu nie otwierałem, po prostu zabębniłem w nie. Zrozumieją, nie ma strachu, hałas, jaki robiły wychodzące dzieciaki stawał się coraz głośniejszy. Przecisnąłem się przez zmierzający do wyjścia tłum i pobiegłem schodami za Zandtem. Kiedy wypadłem za róg, pojawiła się cała masa uczniów, musiałem więc schować głowę w ramiona i przepchnąć się przez tę falę najszybciej jak to możliwe.

— John?

— Jest tam, na górze! — odpowiedział. Biegł szybko górnym korytarzem. Uznałem, że musi mieć na myśli człowieka, którego spotkaliśmy w gabinecie dyrektorki. Mimo tłumów, udawało mi się jakoś utrzymać tuż za nim. Wreszcie dotarłem do końca korytarza i stanąłem przed ciężkimi drzwiami, których przedtem jakoś nie zauważyłem.

Z drugiej strony znajdowała się sekcja budynku, powracająca kilkoma skrętami w to samo miejsce. Po obu stronach korytarza dostrzegłem trzy długie okna z matowego szkła. Zapewne były to kolejne pracownie naukowe.

John stał przyciśnięty plecami do ściany, trzymając rewolwer tuż przy piersi. Machnął na mnie wolną ręką. Zrozumiałem go bez problemu i błyskawicznie doskoczyłem do ściany po drugiej stronie.

— Jest w jednym z korytarzy po lewej — powiedział cicho.

— No, to go tam zostawmy.

John spojrział na mnie tępo.

— Nie obchodzi mnie ten facet — wyjaśniłem. — Musimy opróżnić i zamknąć szkołę, to wszystko. Resztą niech zajmuje się policja lub FBI. Ja tu skończyłem. Zamierzam...

— Nic nie zamierzasz, bo nie masz dokąd pójść, Ward. A ten facet może nas doprowadzić do Paula.

Zawahąłem się. Z laboratorium dobiegło jakieś pobrzękiwanie. Obaj jak na komendę wstrzymaliśmy oddech, mierząc w najbardziej oddalone drzwi korytarza. Uświadomiłem sobie jednak, że więcej sensu będzie miało wybranie celów indywidualnych, i przesunąłem lufę na środkowe po mojej stronie.

— W porządku. Bierzemy się za niego. Ale bądź ostrożny. Zandt omal się uśmiechnął.

— Zawsze bardzo cenilem sobie twoje rady.

— Wiesz co? Zapomnij. Załatw go. Dostań szalu. Rób wszystkie głupoty, jakie ci tylko przyjdą do głowy.

Strzały w okna albo zdradziłyby nam pozycję faceta, albo przynajmniej utrudniłyby mu ukrycie się. Jednocześnie jednak mógłby celniej do nas strzelać. Alternatywą było przejście nisko pochylonym wzdłuż korytarza, z głową pod oknami, dotarcie do drzwi i rozpoczęcie akcji właśnie tam.

Zrobiliśmy i jedno, i drugie. John ruszył nisko pochylony i szybko korytarzem, ja tymczasem zacząłem strzelać w okna, zaczynając od najdalszego w nadziei, że to go do mnie zbliży, w głąb sali, z dala od drzwi. Gdy drugie rozpadało się z trzaskiem, dostrzegłem faceta postępującego dokładnie tak, jak przewidywałem. Gdy tylko rozbiłem trzecie okno, natychmiast popędziłem za Johnem.

Byłem w połowie drogi, gdy John stał już na progu. Wymiana ognia szła na pełną parę. Widziałem, jak kula rzuca

Johna na ścianę, odwróciłem się i wystrzelałem magazynek w głąb pokoju. Kilka pierwszych strzałów wymierzonych było przypadkowo, lecz potem dostrzegłem przeciwnika, próbującego skryć się za jedną z długich ław. Znieruchomiałem i na lekko rozstawionych nogach kilkakrotnie nacisnąłem spust.

Przestałem strzelać i on też już nie strzelał.

John podniósł rękę; dostrzegłem, że ma tylko draśnięty nadgarstek. Przeładowałem, po czym obaj ostrożnie weszliśmy do pracowni.

Szliśmy powoli, przy przeciwległych ścianach, w stronę tylnej ściany, ostatnią ławkę okrążyliśmy niemal jednocześnie. W kącie znalazłem rewolwer z niewielkim tłumikiem. Kopnąłem go daleko, by nie stanowił już niebezpieczeństwa.

Deskorolkarz siedział oparty o ścianę, z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż boków. Na podłodze było mnóstwo krwi. I ciągle płynęła nowa.

— Gdzie on jest? — spytałem go.

Facet pokręcił spokojnie głową.

— Spóźniliście się — wybełkotał. — Już się zaczęło. Dzień Aniołów.

— Nie dla ciebie — zauważył rzeczowo John. — Twoje dni zbliżają się do końca. Powiesz nam, gdzie jest Paul. Nic mnie nie obchodzi, jak niesympatycznie będziemy musieli się zachowywać, żeby uzyskać tę informację. Powiesz nam, jeśli zagniemy kolejno odstrzeliwać ci części ciała, jedna po drugiej.

I znów mężczyzna tylko pokręcił głową. John poruszył ramieniem. Mierzył w jego nogę.

— Nie żartuję — zagroził. I rzeczywiście nie żartował.

Deskarz zamknął na chwilę oczy, jakby zbierał siły.

Ja też podniosłem rewolwer. Co dwa to nie jeden.

Powoli, powoli, ramię rannego powędrowało w górę.

— Lepiej nie próbuj — ostrzegłem. — Niech zostanie tam, gdzie było.

Lecz on nagle poruszył się znacznie szybciej. Wsunął dłoń do kieszeni bluzy i w ułamku sekundy wyjął z niej nóż.

— To ci akurat nie pomoże — zauważył John.

Mężczyzna odetchnął głęboko.



— Cieszcie się swoim światem, póki jesteście w stanie — pożegnał się z nami i z całej siły wbił sobie nóż w szyję po lewej stronie.

John skoczył jak błyskawica, próbował wyrwać nóż z rany, miał jednak do czynienia z człowiekiem, który poświęcił ostatnie chwile życia, by umrzeć. Wbity poprzednio z całą siłą nóż wyrwał z rany, wbił w prawą stronę szyi.

Krwawił straszliwie, umarł szybko.

Zandt przeszukał ciało. Znalazł portfel z niewielką ilością gotówki, bez żadnego dowodu identyfikacyjnego, pół paczki papierosów, którą zubożył o jednego, natychmiast go zapalając. Znalazł też coś, co było bez wątplenia radiotelefonem. Niestety, jedna z moich kul musiała go trafić, ponieważ były, niekształcone, pogięte i nie dało się wydobyć z niego żadnego odgłosu. Prawdopodobnie używał go do kontaktów z lewym gliniarzem, który odpoczywał teraz w bagażniku własnego samochodu.

Nic nie prowadziło nas do Niny.

Wściekły, odwróciłem się gwałtownie do okna w przeciwległej ścianie sali, żeby nie patrzeć na ten straszny widok. Widziałem przez nie dziedziniec z tyłu szkoły i z radością stwierdziłem, że przed budynkiem jest już prawie pełny kłębiącej się młodzieży, a ze środka wychodzą coraz to nowi uczniowie. Ustawiano ich w szeregi na specjalnie oznaczonym terenie w cieniu budynku, przy którego oknie stałem. Na oko było ich kilkuset. Otwarta przestrzeń od strony ulicy była pusta.

Przez bramę właśnie wjeżdżał samochód.

Najpierw pomyślałem: Dzięki Bogu, przyjechali wreszcie gliniarze, możemy się stąd wynosić, ale była to kretyńska myśl, trwająca zaledwie nanosekundę. Miejscowi gliniarze nie podjechaliby od drugiej strony wielkim czarnym samochodem o przyciemnionych tylnych szybach. Znałem jednak kogoś, kto mógł przyjechać właśnie tak.

— John! — zawołałem. — Chodź tu, szybko.

Samochód bez pośpiechu pokonał wolną przestrzeń. Nikt na niego nie patrzył, nikt się nim nie interesował, wszyscy byli zbyt zajęci ustawianiem się nawzajem w rzędy, zbyt zachwyceni

wspaniałym kawałem, jakim zawsze wydawały się ćwiczenia przeciwpożarowe.

— O Chryste — westchnął John.

Samochód pojechał na tył szkoły, wjechał na pochylnię, którą widzieliśmy wcześniej, to tamtędy wnoszono pizzę. W ciągu kilku sekund znikł, jakby go nigdy nie było.

— Piwnica — powiedziałem. — Albo rampa załadunkowa. Dlaczego przywozi ją...

— Bomba nie została jeszcze umieszczona — stwierdził John ponuro. — Właśnie widzieliśmy, jak nadjeżdża.

Samochód wypełniony ładunkiem wybuchowym wywołuje naprawdę wielkie „bum”. W najlepszym przypadku na zgromadzoną młodzież posypią się odłamki szkolnych budynków. W najgorszym, w zależności od rozmiaru i kształtu piwnicy, wybuchnie im wprost pod nogami.

Nie udało się nam osiągnąć niczego. Paul ciągle był przynajmniej krok przed nami.

Złapałem za kłamkę okna, ale zamalowano je wiele lat temu. Wałilem w szybę obiema pięściami, lecz nikt nie zwracał na nas uwagi.

John trącił mnie w bok.

— Zostaw. Przecież wiemy, dokąd musimy iść.

Wybiegliśmy na korytarz i popędziliśmy do drugiego skrzydła budynku. Kiedy biegłem, wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś coś krzyczy, ale nie potrafiłem powiedzieć, skąd dobiega głos, a nie miałem czasu, żeby się tym zajmować.

Zbiegliśmy schodami na parter i zaczęliśmy szukać wejścia do piwnic. Nie znaleźliśmy żadnego. Wypadliśmy na trawnik, wbiegliśmy do głównego budynku, skręciliśmy w lewo, w korytarz, przy którym znajdowała się wielka otwarta przestrzeń, prawdopodobnie kafeteria.

Kafeteria, więc gdzieś blisko są kuchnie. Omijając stoliki, dobiegliśmy do lady, przy której wydawano jedzenie. Dalej znajdowała się kuchnia podgrzewająca dania — poobijane piecyki, wielkie lodówki. A dalej, wreszcie, znaleźliśmy drzwi, a za nimi schody. Wyjeliśmy broń i zeszliliśmy do piwnicy.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Kiedy Paul kazał kierowcy podjechać do szkoły od tyłu, Nina uświadomiła sobie, że cokolwiek powie, będzie tylko stratą czasu. Wjazd samochodem do podziemi mógł przecież oznaczać tylko jedno. Wiedziała, że nie ma sensu apelować do jego rozsądku i wcale nie dlatego, że Paul był zbyt szalony, by taki apel zrozumieć. Rozumiał wszystko doskonale, tylko się z tym nie zgadzał. Wittgenstein powiedział kiedyś, że gdyby lew umiał mówić, nie byłibyśmy w stanie go zrozumieć. Paul dotarł do punktu, który osiągnął dzięki racjonalnemu myśleniu, dzięki prostym i logicznym krokom umysłu, który po prostu był inaczej skonstruowany i wyznawał inne wartości. To się musiało zdarzyć. W tej chwili w jego przekonaniu o własnych racjach był wręcz seksualny ładunek i Nina zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie rozpoczyna się kilka ostatnich minut jej życia. Fajnie, że mogła porozmawiać z Wardem, choćby i tak krótko. Szkoda, że nie wyłapał jej aluzji do szkoły, no ale była to aluzja bardzo delikatna. Naprawdę miała lufę przy głowie.

Tak czy inaczej, teraz niewiele już mogła zrobić. I w tej sprawie, i we wszystkich innych. Musi po prostu być... przez ten czas, który jej jeszcze pozostał.

Czasami decyzja o tym, by nie prowadzić beznadziejnej akcji, jest najdzielniejszą decyzją ze wszystkich.

Samochód zjechał do piwnic pod budynkiem, szerokich na cztery samochody, z prowadzącymi w górę schodami po obu stronach i szeregiem podjazdów długości sześciu metrów. Część ścian pokryta była starymi lśniącymi płytami, oświetlonymi słabymi, nieregularnie rozmieszczonymi lampami. Kierowca dojechał do podjazdu graniczącego ze ścianą, w której sklepiona łukowato brama prowadziła do dalszej części podziemi. Wyłączył silnik.

Paul odwrócił się do Niny.

— Tam, na górze — powiedział — wszystko odbędzie się bardzo szybko. „Bum” i koniec, ludzie wyparują. Na dole jest trochę gorzej, bo trzeba czekać. Mógłbym cię zabić, oczywiście. Z jednej strony nie mam jednak szczególnej ochoty ulżyć twemu losowi, z drugiej mimo wszystko podejrzewam, że oczekujesz tych kilku chwil, choć jakże są niedoskonałe. Nie myślę się?

Nina spokojnie patrzyła mu w oczy.

— Dziękuję, Paul — odezwała się po chwili. — Tak, chętnie przeżyję te chwile.

— A więc sprawa załatwiona. Nie podam ci dokładnego czasu, ponieważ mam zamiar włączyć urządzenie samodzielnie. Ale nie ma to jak niespodzianka, prawda? Niech każda twoja chwila będzie szczęśliwa, bo przecież, rozumiesz mnie, każda może też być ostatnia.

Kierowca wysiadł. Trzask drzwi wydawał się krótką chwilą ostateczności. Wszystko zaczynało się dziać po raz ostatni. Nina nie spuszczała oczu z Paula.

— Zdajesz sobie sprawę, że choćbyś nie wiem co mówił, pozostawienie mnie przy życiu jest aktem współczucia, prawda?

— I?

— Więc jesteś do tego zdolny. Jesteś zdolny do empatii. Rób to coraz częściej i częściej, i w końcu staniesz się jak chłopiec. Jak Pinokio.

— Jestem bardziej rzeczywisty, niż kiedykolwiek potrafisz zrozumieć.

— Nie, nie jesteś. Jesteś taki sam jak ja czy ktokolwiek inny. Nie ma genetycznej różnicy między tobą i Wardem. Nie zachowujesz się tak, jak się zachowujesz, ponieważ jesteś

przedstawicielem rasy panów. Winne jest to, co cię w życiu spotkało. Mógłbyś być zwyczajnym człowiekiem.

— Słusznie — przyznał i zabrzmiało to dziwnie. — A kim byliby ci zwyczajni ludzie? Powinniście spędzić więcej czasu, oglądając wiadomości, zamiast polować na takich jak ja. Twój gatunek kradnie i zabija od czasu, kiedy zaczął chodzić na dwóch nogach. Kłamie od czasu, kiedy nauczył się mówić. Nie jesteśmy jedyni, którzy prowadzą wojny, gwałcą i mordują. Jedyna różnica to ta, że wy udajecie, że jest w tym coś złego.

— Paul, ty naprawdę niczym się od nas nie różnisz. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Gdzieś, w głębi umysłu piastujesz tę jedną myśl: ja też jestem człowiekiem.

— Nie. My jesteśmy pieśnią Boga. Za długo byliśmy do was przywiązani, o wiele za długo, i teraz zrywamy sznur. Nie będzie cię, byś mogła to obserwować ale uwierz mi, to co się stanie będzie dziwne i fantastyczne.

Otworzył drzwi i wysiadł. Zamienił kilka słów z kierowcą, po czym podszedł do bagażnika samochodu. W pewnej chwili Nina usłyszała krótki sygnał mogący oznaczać, że urządzenie zostało uzbrojone.

Kierowca odszedł szybko, a Paul podszedł do drzwi od jej strony. Pochylił się, spojrzął na nią.

— Być może sądzisz, że uda ci się otworzyć jedno z tych drzwi, mimo że jesteś związana, ale one wszystkie zostaną zamknięte — powiedział spokojnie. — Mnie wydaje się to przedsięwzięciem na granicy niemożliwości, może jednak jesteś innego zdania? Pozwolę więc sobie wyjaśnić ci, że każde drzwi podłączone są do mnóstwa zabawnych urządzeń w bagażniku.

Otwórz jedno, wybucha wszystko. Wyświadczyć mi przysługę i daj czas na opuszczenie budynku, a potem dopiero próbuj, dobrze?

Nina patrzyła na niego przez cały czas i wreszcie udało się jej odkryć, co takiego dostrzegła w jego oczach.

— Paul? Czy ty pamiętasz, kim jesteś?

Zatrzasnęła drzwi. Rozległo się pstryknięcie włączanego centralnego zamka.

A potem były już tylko oddalające się kroki.

## Rozdział czterdziesty

Piwnica była labiryntem przestrzeni magazynowych zaprojektowanych w czasach, gdy niemożliwe było jeszcze zamawianie towarów z dnia na dzień. Prowadząca z kuchni klatka schodowa wiodła do części zastawionej metalowymi regałami. Stały na nich artykuły spożywcze od zamrożonej pizzy począwszy. Niewielki magazynek od góry do dołu zastawiały stare drewniane krzesła. Nie dostrześliśmy żadnego pracownika szkoły.

John i ja biegaliśmy jak szaleni, szukając ramp załadowniczych, które musiały znajdować się gdzieś z tyłu. Znaleźliśmy wreszcie korytarz, który na końcu wydał nam się jaśniejszy. Skorzystaliśmy z niego i zatrzymaliśmy się dopiero kilka metrów przed otwartymi drzwiami. John skinął głową i przesunął się na bok.

Wyszedł zza zasłony, odwracając się w prawo. Nie usłyszałem hałasów strzelaniny, więc poszedłem za nim.

Znaleźliśmy się na wielkiej otwartej przestrzeni wyglądającej tak, jakby ciągnęła się przez całą szerokość szkoły. Z niskiego stropu w nieregularnych odstępach zwisały lampy, kafelki i pleśń nadawały ścianom zielonkawy kolor. Z lewej i z góry dobiegało jaśniejsze światło, to tamtędy pochylnią wjeżdżało się do magazynów od tyłu. Słysząc tu było dobiegający z góry, stłumiony szum setek dzieciaków. Ale nadal żadnych syren. Chryste Panie, gdzie się podziali ci ludzie!

— Powinieneś ich ostrzec — powiedział Zandt.

— Ostrzeżę, kiedy znajdę Ninę — odparłem. — Albo ty to zrób, już, zaraz.

— Jeśli jest tu Paul, bomba nie wybuchnie tak od razu.

— Nie wiesz, co gotów jest zaryzykować albo nawet zrobić. A skoro go tu nie ma, wybuch może nastąpić lada chwila, a ty się o tym dowiesz, oczywiście za późno.

Tylko wzruszył ramionami i pobiegł w prawo. Uświadomiłem sobie, że nie wiem przecież, jakie ryzyko gotów jest ponieść John. Wolalbym, żeby był ze mną Bobby. Był lepszym człowiekiem od Zandta i znacznie sympatyczniejszym ode mnie. Można mu było zaufać, zawsze robił to, co powinien zrobić, stawiał innych przed sobą, nie zwracając uwagi na koszty, poza tym miał sporą praktykę w groźnych sytuacjach, także tych ewidentnie niebezpiecznych. Ja byłem amatorem, a teraz wiedziałem jak nigdy, że nie mamy czasu na popełnienie najdrobniejszego błędu.

Ludzi trzeba ostrzec.

I wyglądało na to, że tylko ja mogę to zrobić.

Zakląłem i pobiegłem rampą. Byłem najwyżej w połowie drogi, kiedy dostrzegłem stojącą w cieniu przy ścianie niewysoką postać, ukrytą przy samym końcu.

Ten ktoś wystrzelił. Trzy dobrze wymierzone trzaski broni z tłumikiem.

Poruszałem się szybko, więc po prostu rzuciłem się szczupakiem i skokiem przebyłem pozostały kawałek drogi do jednego z podjazdów. Z całej siły walnąłem w ścianę i opadłem na ziemię. Próbowałem przetoczyć się, przyjąć pozycję, w której mógłbym odpowiedzieć atakującemu, ale on po prostu strzelał raz za razem wzdłuż wjazdu na stanowisko.

— Ward?!

Krzyk Johna odbił się od twardych ścian tak głośnym echem, że nie wiedziałem nawet, z jak daleka woła.

— W porządku! — odkrzyknąłem. — Możesz go dostać?

Odpowiedzią była lawina ognia trwająca może dziesięć sekund. Na twarde trzaski pistoletu Johna odpowiadał powtarzający się, cichy stuk wytłumionej broni tego drugiego, a towarzyszyło temu wycie rykoszetów.

Gdy tylko rozbrzmiał ostatni strzał Johna, usłyszałem jego okrzyk: „Teraz, Ward!”.

Nim zdążyłem pomyśleć, co robię, wybiegłem z podjazdu, natychmiast skręcając w lewo i raz po raz strzelając w prawo, podczas gdy John mnie osłaniał. Mniej więcej pośrodku największej pustej przestrzeni dostrzegłem go — kucnął przy wjeździe na podjazd jakieś trzydzieści metrów ode mnie, po przeciwnej stronie. Gdy przemierzałem ostatnie kilka metrów, przeciwnik znowu skupił się na mnie.

I znów byłem na stanowisku zdumiony tym, że jeszcze żyję. Otaczały mnie stare ławki. W uszach mi dzwoniło.

— Jezu — wykrztusiłem.

— Kim, do diabła, jest ten facet? — spytał John.

— Nie mam pojęcia — wydyszałem. — Ale póki żyje, nie zbliżymy się nawet do wyjścia.

— Nie będzie łatwo — zauważył John. — Gość wie, co robi. Mało brakowało, a byś oberwał.

— Dzięki za informację,

— Nie trafił. To się nazywa szczęśliwe zakończenie. — Wystawił lufę za granicę podjazdu i wystrzelił. Natychmiast odpowiedział mu strzał.

Wszystkie stanowiska wyposażone były w drzwi. Podszedłem do naszych i otworzyłem je na oścież. Był za nimi korytarz prowadzący w lewo.

— W ten sposób się do niego nie zbliżymy — stwierdziłem. — Ale za to zmienimy kierunek, co mnie akurat całkiem odpowiada.

Poszedłem pierwszy, John za mną, powoli, z wymierzoną bronią na wypadek, gdyby gość właśnie teraz zdecydował się zaatakować.

Obaj wycofaliśmy się szczęśliwie. Zatrzasnąłem drzwi. Pospieszaliśmy wąskim korytarzem, jak najszybciej przeładowując broń. Co mniej więcej dziesięć metrów po lewej stronie znajdowały się drzwi; te, które się otwierały, prowadziły do magazynów, takich jak ten spotkany przez nas jako pierwszy, częściowo zawalonych gratami, których w szkole akurat w tej chwili nie potrzebowano. Otwierałem wszystkie, ale jakoś nie widziałem sensu w próbach znalezienia drogi przez którykolwiek. Nagle korytarz skończył się ścianą.

— Ożeż... — mruknął John.



— Wygląda na to, że jednak będziemy musieli skorzystać z którychś drzwi.

— Powinniśmy przynajmniej wiedzieć, gdzie facet jest teraz. Wpadliśmy w pułapkę. Jeśli przez pierwsze stanowisko dostał się do tego korytarza, ma nas jak ryby w sieci.

Otworzyłem ostatnie drzwi. Wychodziły na kolejny podjazd. Wyszedłem i zobaczyłem drugi, naprzeciw naszego. Nie było w nim pudeł, ławek czy w ogóle czegoś takiego, ale i nie był pusty.

Stał w nim duży czarny samochód.

— No, to znaleźliśmy to, czego szukaliśmy — westchnąłem.

Wszystkie światła samochodu były zgaszone. Z naszego punktu widzenia przyciemniane szyby i słabe światło uniemożliwiało stwierdzenie, kto lub co znajduje się w środku, jeśli rzeczywiście był tam ktoś lub coś.

Wysunąłem stopę i zdążyłem ją cofnąć w ostatniej chwili, o ułamek sekundy wyprzedzając kulę, nadlatującą centralnym przejściem. Uzbrojony facet twardo utrzymał swoją pozycję. Prawdopodobnie jego robota polegała przynajmniej w części na powstrzymaniu nas przed dostaniem się do samochodu, dlatego zrezygnował z szansy doścignięcia nas i załatwienia w korytarzu, którym uciekaliśmy. I tak widział nas, gdy tylko wychodziliśmy na podjazd, obojętnie który. Był teraz nieco dalej od nas, więc jeśli będziemy poruszali się wystarczająco szybko i poprosimy niebiosa o łut szczęścia, może przeskoczymy na drugą stronę. A może nie.

John już był sprężony. Już szykował się do biegu.

Tylko że ja zdałem sobie nagle sprawę, że to wcale nie jest takie proste. Po prawej, przy końcu ściany, było łukowate przejście. Znajdowała się tam dalsza część piwnicy, pod kolejną częścią budynku. Była pogrążona w głębokiej ciemności i nie wiedzieliśmy, czy...

— Zaczekaj sekundę — powiedziałem. — Paul musi gdzieś tam być.

— Skąd wiesz?

— Gdyby wyszedł z budynku, to ten drugi facet też. Zakładając więc, że Paul był w samochodzie, gdy wjeżdżał on do podziemi, to albo ciągle w nim jest, albo mamy go gdzieś po prawej.

John natychmiast zrozumiał, o czym mówię. Jeśli Paul nie odszedł, to panowie mają samochód w ogniu krzyżowym. Albo facet z jednego końca zastrzeli nas, gdy będziemy biegli, albo wpadniemy wprost w pułapkę Paula, strzelającego z drugiej strony, zza łuku, stojącego już w kolejnej sekcji piwnicy.

John powoli skinął głową.

— Owszem, jeśli o to chodzi, mamy tylko jedną szansę.

Nie wiedziałem, co robić. Znajdowaliśmy się w tej chwili nieco ponad pięć metrów od bomby, do której, być może, przywiązana była Nina. Nie mogliśmy wyjść z budynku i ostrzec zgromadzonych na zewnątrz pracowników i uczniów szkoły. Nie mogliśmy się wycofać, oba kierunki były dla nas zamknięte. Szliśmy więc przed siebie. Pozostało jedyne pytanie: dokąd skierować kroki i ile nam ich jeszcze zostało. Wysłałem myśl, pytanie, z nadzieją, że ktoś sprytniejszy widzi może drogę naprzód.

Teraz to by było to, Bobby. Teraz to byłby najlepszy moment.

Mijały sekundy. John zrobił już pierwszy krok. Świsnęła kolejna kula.

— Nie mamy innego wyjścia, Ward. Musimy ryzykować.

Ale mój stary przyjaciel wreszcie odpowiedział.

— Ma telefon — powiedziałem powoli, z namysłem. — Nawet do ciebie dzwonił. Numer zachował się w pamięci. Teraz ty możesz zadzwonić do niego.

— Wyłączył go.

— Może tak, może nie.

— Wysłanie tam sygnału...

— John... nie mamy nic więcej.

Zandt wyjął telefon i wcisnął przycisk pokazujący rozmowy przychodzące. Ta zapisana jako ostatnia miała podany mniej więcej odpowiedni czas, natomiast nie było numeru.

— Mam — powiedział.

— Czekaj. — Wziąłem głęboki oddech i zacisnąłem dłoń na kolbie pistoletu. — Bum i galopem. Ty dzwonicz. Jeśli odezwie

się sygnał i go usłyszymy, i w dodatku jeszcze dźwięk zasugeruje, że nie ma go akurat tam, nie czeka, żeby nas skosić, ruszamy w jednej chwili. Ja biegnę do samochodu, ty ruszasz za nim.

John nie zastanawiał się długo. Wiedział, że mam rację.

— W porządku — zgodził się.

— Nie daj się zabić — powiedziałem jeszcze.

Spojrzał na mnie oczami, w których była jedna myśl. Jego uśmiech był niewesoły, lecz szczerzy.

— To nie jest życie.

— Lepsze takie niż żadne.

— Jeśli dasz radę, wyciągnij stamtąd Ninę. I ani się waż iść za mną.

— Wiem, że tego właśnie chcesz.

Odetchnął ciężko.

— Daj sygnał.

Oczekałem uderzenie serca i powiedziałem: „Teraz”.

John wcisnął przycisk w telefonie. Rozległa się seria cichych dźwięków wybierania z listy numeru. Potem dwie, trzy sekundy ciszy.

I nagle usłyszeliśmy sygnał. Odezwał się gdzieś po prawej, dość daleko. Dwadzieścia, trzydzieści metrów, może nawet więcej.

— Ruszaj — powiedziałem.

Pobiegłem przez przejazd. John był równie szybki, lecz skierował się nieco w prawo, gdzie pod łukiem mógł przebiec do kolejnej części piwnicy. Przeleciały między nami trzy, może cztery kule. Żadna nie skończyła lotu charakterystycznym suchym trzaskiem.

Dotarłem na miejsce, poślizgnąłem się, i zatrzymałem przy bagażniku samochodu. Natychmiast odwróciłem się; musiałem być gotowy na wypadek, gdyby strzelający do nas facet dostał rozkaz ścigania nas i przerobienia na befsztyki.

— John! — zawołałem jeszcze, ale John zdążył już zniknąć.

Był w innej części piwnicy, wciąż na drodze, którą zamierzał dojść aż do końca.

Oczekałem trzydzieści sekund, nim zaryzykowałem i odwróciłem się w stronę samochodu. Podszedłem szybko do

tylnych drzwi po prawej i sięgnąłem do klamki. Prawie położyłem na niej rękę, kiedy usłyszałem cichy łomot.

Patrzyłem przed siebie, nie wiedząc, co właściwie słyszę. Ale dźwięk rozległ się po raz kolejny, uświadamiając mi, że ktoś uderza w okno od wewnątrz.

Odsunąłem ręce od drzwi, przykucnąłem, zbliżyłem głowę do okna, jak tylko było to możliwe.

Zobaczyłem w środku twarz Niny.

Nie widziałem jej rąk, wyglądała, jakby siedziała niewygodnie, jakby naciągała coś, co ją trzyma. Uderzała głową w szybę, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

Przysunęła twarz tak blisko, jak tylko mogła. Z ruchu jej warg poznałem, że ma coś bardzo ważnego do przekazania. Próbowała trzy razy, ale wreszcie ją zrozumiałem.

Mówiła mi, że do drzwi samochodu podłączone są materiały wybuchowe.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Najpierw pył, a potem zapach czegoś wilgotnego. Ciemność i wielki, potworny ból głowy.

Lee usiadł, powoli, z wysiłkiem. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Próbował wstać, ale przestrzeń była ograniczona i miał miękkie nogi. Upadł, zwalając na siebie ciężką górę czegoś hałaśliwego ze stojących za nim twardych drewnianych regałów.

Spróbował jeszcze raz, podpierając się rękami. Tym razem jakoś stanął. W głowie mu się kręciło, przed oczami wirowały białe kropeczki. Czuł się dziwnie, klaustrofobicznie. Czuł się, jak w jakimś maleńkim pomieszczeniu.

Wyciągnął rękę w prawo. Zrobił ostrożnie kilka kroków w tym kierunku i uderzył w kolejną ścianę z półkami; na niektórych leżało coś miękkiego — ubrania albo ręczniki. Kopnął coś, co zagrzecotało mu pod nogą. Pewnie mop.

Znajdował się w jakimś magazynku.

Spróbował pójść w drugą stronę i prawie wpadł na drzwi. Miał niejasne wrażenie, że może nawet zrobił coś takiego przedtem, odzyskał przytomność kiedyś tam, wcześniej, pokrzyczał trochę, nim znowu wpadł w niebyt. Teraz wydawało mu się, że lada chwila głowa może spaść mu z ramion. Bolała go jak jasna cholera.

Czuł się... czuł się kiepsko.

Obmacał ścianę wokół drzwi, próbując znaleźć jakiś sposób, żeby je otworzyć. Znalazł uchwyt, obrócił go, ale nic to nie dało. Z pewnością zamknięto je z drugiej strony.

Przez pewien czas walił w drzwi pięściami, ale siła uderzeń tylko wprawiała w drżenie jego ramiona i głowę, zmieniając je w czarne morze załamujących się wielkich fal niewydających żadnego dźwięku.

Nikt z zewnątrz nie odpowiedział.

Ciągle na chwiejnych nogach, odsunął się od drzwi. Miał zamiar stać chwilę nieruchomo, stać, oddychając głęboko, pozwolić, by głowa znów zaczęła pracować w miarę normalnie. Nie udało się. Ku swemu zdumieniu wylądował na podłodze częściowo na tyłku, częściowo na boku.

Prawdę mówiąc tu, na dole, było mu znacznie lepiej. Nie ma mowy, nie wyjdzie, póki nie pojawi się ktoś i go stąd nie wyciągnie. Więc równie dobrze może siedzieć. Bo ktoś przecież przyjdzie, prędzej czy później. Paul na przykład. Zauważy, że Hudeka nie ma przed szkołą i postanowi sprawdzić, co się stało. Albo tatko. Całkiem prawdopodobne. Mama nie. To wydawało się całkiem nieprawdopodobne. Mama zawsze była tak trochę poza zasięgiem, jak się teraz nad tym zastanowić, człowiek powiedziałby chyba, że myślała o czymś zupełnie innym. Ale tata pewnie tak, owszem. Tata go lubił. Albo Brad. O, Brad z pewnością. Zawsze był bardzo solidny. Był przyjacielem Lee, zawsze był jego przyjacielem. Nawet gdyby wszystko inne miało zawieść, to Lee wiedział z całą pewnością, że Brad pojawi się prędzej czy później, otworzy drzwi, znajdzie go i dokądś zabierze. Pojadą na burgera. Pojadą popatrzeć na morze.

Póki to nie nastąpi, posiedzi sobie i poczeka. Było ciepło, a w małym pokoiczku człowiek czuł się przytulnie.

Przecież jest wiele miejsc gorszych niż to.

Cofnąłem się od drzwi. Pokazałem Ninie, żeby, wyraźnie poruszając wargami, powtórzyła to, co mówiła. Chciałem się upewnić. Paul tak przygotował samochód, że każda próba otworzenia drzwi miała natychmiast wywołać eksplozję.

A dziewczyna była w środku.

Oparłem dłonie o okno. Nie przyłożyła swoich, żeby się ze mną przywitać; oto kolejne potwierdzenie, że jest związana. Ale przyłożyła głowę, zbliżając się, jak tylko mogła najbliżej do moich rozczapierzonych rąk. Gdyby nie szkło, mógłbym dotknąć jej włosów.

Nie wiem nic o bombach. Nie wiem, jak podłożyć ładunek, nie wiem, jak go rozbroić. Równie dobrze mogło próbować unieszkodliwić ten samochód każde grające w małej lidze dziecko. Jeśli uważa na lekcjach fizyki, to pewnie jest nawet lepsze ode mnie. A tymczasem wybuch mógł nastąpić w ciągu kilku sekund. Narodziny każdej nowej sekundy zapowiadały pochłaniającą świat biel.

A Nina siedzi w samochodzie.

Bagażnik mógłbym otworzyć, tylko odstrzeliwując zamek. Musiałbym stać dość daleko, by nie dostać odłamkiem, a to postawiłoby mnie dokładnie na linii ognia czyhającego gdzieś przy końcu drogi wjazdowej faceta. Wpakowanie kuli w bagażnik samochodu pełen materiałów wybuchowych to też taktyka obciążona, szczerze mówiąc, bardzo wysokim ryzykiem.

Odsunąłem się od samochodu tak daleko, jak to tylko możliwe, i przyjrzałem mu się uważnie. Siłą woli próbowałem skłonić go, żeby mi powiedział coś, w co będę mógł uwierzyć... i żeby zrobił to szybko.

Miał czworo drzwi, co do których ostrzeżono mnie wyraźnie: nie ruszać. I bagażnik, do którego nie miałem dostępu, zawierający urządzenia, których nie potrafiłbym wyłączyć. Nie wydawało się prawdopodobne, byśmy mieli czas. Paul zostawił tu samochód, a to oznaczało, że ładunek jest uzbrojony i gotów wybuchnąć.

Uświadomiłem sobie, że sprawa wygląda mniej więcej tak.

Czy drzwi uruchamiają prąd elektryczny przez styk lub wykrywacz ruchu? Czy połączenia trzeba przerwać, czy też ładunek reaguje mechanicznie na nieoczekiwany ruch, drgnięcie samochodu jako całości?

Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie. To prawda, Nina uderzająca głową o szybę nie doprowadziła do wybuchu, ale robiła to tak delikatnie, jak tylko mogła. To, co ja zamierzam zrobić za chwilę, z pewnością nie będzie delikatne.

Po prostu musiałem mieć nadzieję, że mam do czynienia z połączeniem elektrycznym. Było to przypuszczenie albo prawdziwe, albo fałszywe. Nasza przyszłość była długa lub niepomierne krótka. Nie miałem wyboru, musiałem oddać ją w inne ręce.

Podszedłem do okna i znów przyłożyłem do niego twarz, w mrocznym wnętrzu dostrzegłem oczy Niny. Powiedziałem, że ją kocham, a potem gestem poprosiłem, żeby cofnęła się na siedzeniu najdalej, jak to możliwe, także jak najdalej przedniej szyby, schyliła się jak najniżej możliwie najbliżej tych drzwi. Nie próbowała zadawać żadnych pytań, ani przez chwilę we mnie nie zwątpiła, tylko popatrzyła mi jeszcze chwilę w oczy i znikła.

Cofnąłem się. Przelknąłem. Przeszedłem na przód samochodu. Trzymając pistolet w obu dłoniach, wymierzyłem w środek tej części przedniej szyby, za którą nie było głowy Niny.

Wypaliłem.

John Zandt ostrożnie przedzierał się przez ciemność, przez piwnicę, o której myślał, że wygląda jak wszystko, co widział kiedykolwiek i gdziekolwiek w ciągu ostatnich trzech lat. W tej części także umieszczono podjazdy, ale mniejsze i wypełnione rzeczami zagubionymi, zapomnianymi i nikomu już do niczego niepotrzebnymi. Było cicho, wilgotno, zimno, brudnawo; w ogóle wyglądało to bardziej jak las niż coś, co mógł zrobić człowiek.

Zatrzymał się. Czterdzieści metrów dalej widział słabe, blade światło przebijające się przez jakąś brudną tafelę szkła. Prawdopodobnie znajdowało się tam wyjście, awaryjne schody prowadzące do zewnętrznego świata. Jeśli tak, całkiem możliwe, że Paul już tamtędy wyszedł, ale Johnowi nie wydawało się to prawdopodobne. Czuł jego bliskość. Nigdy nie wątpił, że kiedyś do tego dojdzie, nie wątpił w to od chwili, gdy Sprawiedliwy zabrał mu córkę, niszcząc tym wszystko, co John uważał za swoje życie. Wiedział, że do tego dojdzie, chyba że ktoś wcześniej uwolni od niego ten świat. Że oni dwaj się spotkają, a zostanie tylko jeden. Albo żaden.



Więc się nie bał. Nie był nieszczęśliwy. Nie czuł, że wszystko na świecie, co jest coś warte, ma skończyć się lada chwila. Czasami śmierć to jedyna sensowna odpowiedź na pytanie, którego nigdy nie słyszałeś. I masz tylko nadzieję, że to jest czyjaś śmierć, nie twoja.

Pora na metodę prób i błędów. Nadszedł czas. Słyszał strzał Warda dobiegający z daleka, z innej części piwnic, i dziwny dźwięk uderzenia.

Już czas.

Wszedł na pierwszy podjazd i wystrzelił.

Przednia szyba mogła dużo znieść. Trzeba było kilku strzałów, by pękła warstwa kuloodporna i pojawiła się dziura.

Ale bomba nie wybuchła.

Z dala, z ciemności, dobiegały odgłosy strzelaniny. Brzmiało to tak, jakby każdym strzałem John systematycznie torowi sobie drogę w głąb swojej części piwnicy.

A ja wspiałem się na maskę, ściągnąłem kurtkę i zacząłem spychać szkło, używając materiału jako osłony dłoni. Otwór zrobił się wreszcie wystarczająco duży, żebym mógł się w nim zmieścić, raniąc się raczej, niż ryzykując twarde lądowanie. A Nina była tu, na tylnym siedzeniu, dostałem się do niej, pocałowałem ją raz, mocno, na wypadek, gdyby nic więcej nam nie zostało... a potem zacząłem ją rozwiązywać — nogi i ręce — i pociągnąłem ją drogą, którą wszedłem. Była słaba, bardzo blada, poruszała się sztywno po tym, jak dużo czasu spędziła w tej nienaturalnej pozycji, a wagę najdrobniejszej chwili podkreślał fakt, że każdy ruch mógł być tym, który pytanie o sposób podłączenia zamków uczyni bezsensownym, bo ktoś, gdzieś, wreszcie zdecydował się wcisnąć guzik. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Przeciągnąłem Ninę przez okno i maskę, a przy okazji znowu się pokaleczyłem. Staralem się trzymać ją jak najdalej od ostrych krawędzi, ale same na nią trafiały. Ześlizgnęliśmy się wreszcie oboje z samochodu, opadliśmy na podłogę, a wybuch nadal nie następował.

Wstałem i pomogłem jej wstać.

— John?

— Nie wiem — powiedziałem. — To bomba czy urządzenie

sterowane zdalnie?

- Paul ma zapalnik.
- W takim razie lepiej stąd chodźmy.
- Oczywiście — zgodziła się.

Sięgnąłem do kieszeni resztek mojej kurtki i znalazłem drugi pistolet. Załadowałem go i dałem Ninie.

- Możesz biec? — spytałem.
- Zawsze mogę spróbować.
- No, to do roboty.

Objąłem ją tak, by stanąć między nią a czekającym na nas strzelcem. Pobiegliśmy prosto środkową drogą. Facet strzelił do nas, ja strzeliłem do niego i już byliśmy na przeciwległym podejździe. Pomogłem Ninie dostać się do tylnej ściany i otworzyłem drzwi. Dostaliśmy się do korytarza i pobiegliśmy w stronę jego końca. Biegliśmy tak szybko, jak mogłem, z nadzieją, że dostaniemy się tam, nim strzelec zdecyduje się na pościg i będzie na nas czekał w jednym z wjazdów, kiedy się tam pojawimy. Kopniakiem otworzyłem drzwi, przez które kiedyś z Zandtem dostaliśmy się na pierwszy podjazd. Cały czas sprawdzałem, czy trzymamy się lewej ściany, by utrudnić strzelanie pod kątem. Odczekałem sekundę, aż Nina odzyska oddech.

— W porządku — powiedziałem. — No, to zaczynamy. Musi być jakiś początek.

Nina się uśmiechnęła.

— I zawsze jest.

Pobiegliśmy przed siebie, strzelając.

Jakiś czas temu John minął połowę drogi i wówczas usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z ostatniego podjazdu po lewej. Brzmiało to trochę tak, jak ławka albo krzesło, ciągnięte ze zgrzytem po betonowej podłodze, którą ktoś, poprawiający swą pozycję w ciemności, przypadkowo w coś uderzył. Paul wiedział, co on robi. Wiedział, że zbliża się, przechodzi od stanowiska do stanowiska, za każdym razem opróżniając połowę magazynka. Wiedział, że John nie zawróci, więc był gotów na jego przyjęcie.

John Zandt zastanawiał się, czy ten człowiek w ogóle zna uczucie strachu. Podejrzewał, że nie. Jeśli znał, mógł pobiec do drabiny, uciec z tego upiornego miejsca, znaleźć się znów na

świeżym powietrzu. W takim przypadku John załatwiłby go bez problemu. Jeśli nie znał strachu, czekał do końca na ostatnim stanowisku i w takim razie wszystko było w rękach wszystkich tych niechlujnych duchów, to przysypiających, to budzących się na chwilę przy sterze świata. Duchów, które pozwoliły Karen umrzeć, lecz jednocześnie jemu pozwoliły znów odnaleźć Sprawiedliwego. Duchów, które albo nic nie obchodziło, albo z chorobliwym wręcz uporem nie obstawiały faworytów.

Przeładował po raz kolejny. Na sekundę zamknął oczy. Myślał o różnych ludziach, miejscach, czasach... W tle słyszał strzały Warda, długie, rzadko przerywane serie, dobiegające jakby z większej odległości niż przedtem. Miał nadzieję, że oznacza to, iż wszystko idzie jak powinno.

Wszedł do ostatniego stanowiska.

— Cześć, John — powiedział głos w ciemności. — Mam tu ze sobą twoją córkę.

Potem mówiła już tylko broń.

Sądzę, że to Nina trafiła strzelca. W każdym razie trafiło go jedno z nas. Widziałem, jak obraca się i pada, nim zdałem sobie sprawę, że nic już koło nas nie lata.

Nina potknęła się, niemal upadła. Przytrzymałem ją mocniej, mocniej pociągnąłem w kierunku pochyłej rampy wjazdowej. Choć musieliśmy biec pod górę, światło wydawało się nas przyciągać, jakbyśmy lecieli w górę wodospadu.

Gdy tylko wyszliśmy na otwartą przestrzeń, na plac za szkołą, zacząłem krzyczeć i wymachiwać wolnym ramieniem. Trochę potrwało, nim wszyscy zrozumieli, co próbuję im powiedzieć, lecz potem informacja rozniosła się jak burza. Pękły formacje przygotowane na wypadek pożaru, uczniowie zaczęły uciekać przez bramy z obu stron. Wrażenie było zupełnie takie, jak kiedy patrzy się na szklaną ścianę rozpryskującą na boki. Najpierw wszystko odbywa się powoli, potem coraz szybciej i wreszcie z prędkością błyskawicy.

Gdy tylko zorientowałem się, że wszyscy ruszyli, i to z odpowiednią prędkością, skoncentrowałem się na wyciągnięciu Niny przez najbliższą bramę. Poruszała się sprawniej, widziałem,

jak się rozgląda, przygląda ludziom, zastanawia, czy nie powinna czegoś dla nich zrobić, jakby to ona była za wszystko odpowiedzialna. Położyłem jej dłoń na plecach i mocno pchnąłem. Wybiegliśmy na ulicę, przebiegliśmy ją i dostaliśmy się na drogę po drugiej stronie.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na szkołę. Dzieciaki i nauczyciele nadal przebiegali przez jezdnię, ale po drugiej stronie ogrodzenia nie pozostał już nikt. Budynki przypominały mi balony nadmuchane do granic możliwości.

— Nie wiemy — powiedziała Nina. — Może John...

I w tym momencie nastąpił wybuch. Było tak, jakby cały świat się zatrząsł, jakby ktoś kopnął planetą o ścianę.

Wydawało się, że były dwie eksplozje, które dzielił dosłownie ułamek sekundy. Tył szkoły i przylegający do niego teren uniósł się po prostu w powietrze, a jednocześnie wybuchły wszystkie okna w całym kompleksie. Szkło poleciało ułamek sekundy wcześniej, niż runął dach i piętra, rozlatując się jednocześnie na bok — zniszczenie ogarniało błyskawicznie okolicę we wszystkich kierunkach świata naraz.

Ludzie nadal uciekający ulicą za naszymi plecami odwrócili się, chłonąc ten niesłychany widok, a potem znów zaczęli uciekać, bo zdawało się, że szkło, odłamki muru, ziemia i ogień spadają wprost na nich. Wraz z Niną przyłgnęliśmy do ściany najbliższego budynku, szukając schronienia. Nie od razu pojąłem, że Nina coś do mnie krzyczy.

— Telefon — zrozumiałem wreszcie. — Daj mi swój telefon!

Dałem go jej, a w tym momencie ziemia zatrząsła się po raz drugi. Szkolna wieża opadła powoli i nieubłaganie jak młot, wnosząc swój wkład do chmury dymu, bijącej z terenu szkoły w niebo, zasłaniającej powoli wciąż opadające resztki budynków, coraz gęstszej, jakby coraz groźniejsze były jej intencje, jakby lada chwila miała uformować się z niej twarz. Ludzie nadal mijali nas, pędząc ulicą, bladzi z wyjątkiem tych miejsc, w których ze świeżych ran zaczęła sączyć się krew. Świat był grzmotem podkreślonym przeraźliwym krzykiem.

— Nie mogę się połączyć — powiedziała Nina. Wcisnęła kilka przycisków, spróbowała znowu.

— Do kogo dzwonisz?

Nie odpowiedziała. Złapała mnie za rękę i pociągnęła na ulicę, w kierunku szkoły. Pobiegłem za nią, pod prąd, mijając zapłakane dzieci. Płomienie wybuchały pięciometrowymi falami na całym terenie szkoły, nowe dołączały do tych wcześniejszych, jakby nigdy nie miało zabraknąć dla nich miejsca. Pojawiały się jakby znikąd, niczym stworzone dotknięciem niewidzialnej dłoni. Ogień palił nie do zniesienia już z odległości trzydziestu metrów.

— Gdzie samochód?

Wskazałem w lewo. Pobiegliśmy wzdłuż tylnego ogrodzenia szkoły, omijając stosy płonących ruin. Na ziemię spadał pył i gorący popiół. Dotarliśmy do końca przecznicy, skręciliśmy w ulicę — mijaliśmy teraz bok szkoły. Wszystkie rosnące wzdłuż niego drzewa płonęły. Słyszeliśmy długi, przeraźliwy jęk, to nadal waliły się resztki budynków. Nie pojmowałem, dlaczego ziemia wciąż się trzęsie, chyba że tylko sobie te wstrząsy wyobrażałem.

Minęliśmy wielki stary kościół, dotarliśmy do końca ulicy, przekroczyliśmy wzgórze aż za front szkoły, tam gdzie droga zjeżdża do Thornton i stanęliśmy jak wmurowani. Nogi zechciały ponieść nas kilka kroków, po czym odmówiły posłuszeństwa. Po prostu nie byliśmy w stanie się ruszyć.

Obróciliśmy się powoli, patrząc z góry na miasteczko. Zrozumiałem wreszcie, dlaczego wyczuwam eksplozje. Miałem co wyczuwać.

Thornton płonęło. Całe. Kolumny dymu wznosiły się wszędzie. Zbiegłem aż do najbliższego zakrętu. Posterunek policji znikł. Starą część miasta właśnie pożerały płomienie. Spojrzałem w drugą stronę. Potężna chmura, z której sypały się ruiny, pokrywała Holiday Inn.

Patrzyłem, jak Nina wciąż próbuje wybrać numer kogoś, gdzieś, jak próbuje rozmawiać z władzami, których już nie ma, więc nie ma z kim rozmawiać. Ja obracałem głowę, nie wiedząc, kiedy przestać. Dostrzegłem jeszcze, że płomienie Raynor's Wood dosięgają nieba.

Kilka sekund później przelecieliśmy w powietrzu dobry kawał drogi. To wybuchł kościół, rozrzucając wokół radosny deszcz kamieni.

# Sheffer

Zrobiło się zimno. Mieszkamy w zapasowej chacie Patrice, tej ukrytej w lesie. Jesteśmy tu od blisko trzech tygodni. W tym czasie zima rozpoczęła marsz z gór i zbliżała się do nas cichymi krokami, kiedy spaliśmy. Czas jedzenia na ganku skończył się dawno, dawno temu, ale wciąż spędzamy niektóre wieczory nad jeziorem. Siedzimy, patrzymy na lodowatą wodę i odbijające się w niej czarne chmury. Siedzimy blisko siebie, ale na ogół nie rozmawiamy.

Nina jest teraz właśnie tam. Czeka. Ja obserwuję ją przez okno. Nie przygotowuję kolacji, po prostu stoję przy oknie i patrzę.

Zjemy w jakiejś knajpce.

Bardzo interesuję się informacjami, przed którymi, po wydarzeniach w Thornton, nie sposób się opędzić. Nie sposób ich nie śledzić. Dni zmieniają się w tygodnie, a my nie dostajemy nic innego. Szacunkowe oceny liczby zabitych nadal są tak różne w zależności od źródła, że właściwie nie mają żadnego znaczenia. Z całą pewnością podaje się znacznie ponad tysiąc, a że nie wielokrotnie więcej, uważa się za niepojęte. W tej chwili wiadomo już, że pojedyncze ładunki wybuchowe podłożono w komisariacie policji, kościele, szkole, Starbucksie, Holiday Inn, Renee's, żłobku, remizie straży pożarnej, dwóch restauracjach

w zabytkowej części miasta, na głównym targu, w Radio Shack mieszczącym się w centrum handlowym na drodze do Owensville, w bibliotece publicznej i sali masonów. Między innymi. Nie zapomniano także o barze Mayflower — Hazel, Lloyd i Gretchen zginęli wraz ze wszystkimi klientami. Wraz z nimi zginęła Diane Lawton, bo wpadła do nich po pracy — chciała sobie udowodnić, że może ot, tak, zwyczajnie napić się kawy i nie musi się to zmienić w wieczorne picie aż do końca. Może by się jej udało? Może nie? Zginął recepcjonista z Holiday Inn, którego tak kiedyś przeraziłem, a wraz z nim siedmiu funkcjonariuszy FBI, używających hotelu jako bazy, i młody chłopak, którego widziałem drugiego dnia pobytu, tylko przez chwilę, kiedy przyszedł sprawdzić minibarek w pokoju Niny. Był beznadziejny, choć jego funkcja wyglądała na taką prostą, ale sympatyczny i obdarzony doskonałymi manierami. To, co w nim najlepsze, przestało istnieć, pozostało tylko w mojej pamięci. Liczba i natura innych ofiar pozostaje niepojęta. Podejrzewam, że Thornton nie jest miasteczkiem nieprzyzwyczajonym do tego typu rzeczy, a coś, co powiedziała mi Nina, a jej z kolei Paul wydaje się sugerować, że mogą mieć rację. Że wszystko zaczęło się tutaj dawno temu. Że to takie miejsce, gdzie ludzie, bywa, umierają.

Tego popołudnia i wieczoru robiliśmy, co mogliśmy. Pobiegliśmy do miasta, próbowaliśmy wyciągać ludzi z budynków, usuwać ich z drogi ognia, który wybuchał wszędzie. Wszystko się waliło, każdy system, każdy ceniony sposób życia. Trwało niekończące się piekło. Miasto rozpadło się na masę pojedynczych, poparzonych i poranionych ludzi, próbujących uciekać we wszystkich kierunkach naraz. Nawet ci, którzy pragnęli być bohaterami, stwierdzili nagle, że nerwy ich zawodzą, rzucali ludzi, którymi chcieli pomóc, i uciekali, gdzie oczy poniosą. Nigdzie nie widać było ani jednego policjanta, nigdzie nie widać było straży pożarnej. Nikt nie walczył z ogniem, płomienie rozprzestrzeniały się błyskawicznie. Wkrótce nie sposób było powiedzieć, gdzie to się zaczęło, który wybuch nastąpił jako pierwszy. Wszystko zdarzyło się jednocześnie.

Najlepsze, co mogę zrobić, to powtarzać sobie, że przynajmniej udało nam się wyprowadzić wszystkich ze szkoły. Wielu zraniliły oczywiście spadające resztki i gruzy, było dużo

ataków serca, ale gdyby nie nasza pomoc, byłoby o wiele, wiele gorzej. O setki gorzej. Bywają dni, że ta świadomość mi pomaga. Wracaliśmy jeszcze dwukrotnie, próbowaliśmy znaleźć Johna. Bez skutku. Nie sposób było podejść wystarczająco blisko do pogorzelska.

Nie było żadnej zorganizowanej pomocy, póki do Thornton nie zaczęli docierać mieszkańcy innych miasteczek, a w końcu i armia. Armia przybyła tłumnie i zbrojnie. Nikt nie wiedział, komu można zaufać, a kto jest nieprzyjacielem; przez pewien czas wydawało się, że, być może, wszyscy. A my tymczasem próbowaliśmy zapewnić ludziom bezpieczeństwo. Niektórych uratowano. Wielu nie.

Robiliśmy, co mogliśmy, dopóki nie straciliśmy sił... i nie przyjechała pomoc. Potem znaleźliśmy mój samochód i odjechaliliśmy. Doprowadziła nas tu długa droga. Jechaliśmy przez wiele dni, przez wiele okręgów, w których drogi zostały zablokowane, wszystkie loty odwołane, gdzie każdy ekran telewizyjny pokazywał jeden obraz, gdzie każdy mieszkaniec każdego miasteczka zastanawiał się, czy to on będzie następnym.

Na razie nic się nikomu nie stało, lecz jak długo trzeba czekać? Tego nie wiedział nikt.

Nikt nie miał pojęcia, jakim cudem grupa terrorystyczna zdołała zinfiltrować miasteczko i zainstalować w nim tyle ładunków wybuchowych tak, żeby nikt nic o tym nie wiedział. Teorie spiskowe mnożyły się jak króliki. Od czasu do czasu spotykam raport o dwóch mężczyznach, a czasami mężczyźnie i kobiecie, widzianych podobno na terenie szkoły bezpośrednio przed i po wybuchu. Niektórzy mówili, że ludzie ci próbowali nieść pomoc, większość jednak twierdziła, że byli uzbrojeni i wznosili okrzyki charakterystyczne dla islamskich ekstremistów. W bagażniku zniszczonego przez rozszerzający się pożar wozu policyjnego, zaparkowanego tuż obok kościoła, po przeciwnej stronie ulicy, znaleziono spalone ciało mężczyzny. Na podstawie resztek munduru mężczyznę tego uważa się za policjanta, choć z powodu zamieszania oraz wielkiej liczby ofiar wśród przedstawicieli sił prawa i porządku nie zostało to jeszcze udowodnione. Pozostało wiele, bardzo wiele ciał i bardzo długo będzie trwało określenie, kto jest kim, a raczej był.



Oczywiście jedna ofiara została już zidentyfikowana. Wśród ruin magazynku na piętrze jednego z budynków szkolnych strażacy znaleźli szczątki młodego mężczyzny. Karta dentyścyczna dowiodła, że jest to osoba odpowiedzialna za to, co obecnie uważa się za atak dywersyjny w galerii handlowej w Los Angeles, który miał miejsce poprzedniego ranka.

Tą osobą był Lee John Hudek.

Jest to teraz nazwisko, którego nikt nigdy nie zapomni. Nawet gdyby nie odkryto jego szczątków, twarz Lee Johna i tak znalazłoby wszyscy. Według raportów ocalonych w dniu ataku, widziano go prawie w całym mieście. Według pozytywnej identyfikacji dziesiątków wiarogodnych świadków znajdował się na rynku spożywczym i w centrum handlowym, w Starbucksie, niedaleko kościoła i w mnóstwie innych miejsc, które zostały później zniszczone w pierwszym wybuchu. Co więcej, przy niektórych okazjach towarzyszył mu niewysoki mężczyzna przypominający Araba. Rozpoznała go także pewna liczba uczniów ze szkoły, z których części proponował narkotyki. Stało się dla wszystkich oczywiste, że jego zachowanie miało odwrócić uwagę od rozmieszczania materiałów wybuchowych, którego dokonywał wraz ze swymi towarzyszami. Hudeka uznano także za podejrzanego w sprawie morderstwa jego przyjaciela, niejakiego Bradleya Metzgera, którego ciało znaleziono w magazynach w Valley. Śmierć innego młodego człowieka z ich kręgu oraz młodej dziewczyny uważana jest za powiązana ze sprawą, choć tak naprawdę nikt nie wie, w jaki sposób. Świadcstwo oparte na podsłuchanej rozmowie, dostarczone przez lokalnego biznesmena nazwiskiem Emilio Hernandez, pozwoliło przyjąć roboczą hipotezę polegającą na stwierdzeniu, że Hudek pozbył się współkonspiratorów przed ostatecznym atakiem.

Jedno można uznać za pewne: wydarzenia z Thornton są już zdarzeniem publicznym. Mają swoje oblicze. Nikt nigdy nie zdoła sprawdzić, co się za nimi kryje, nie będzie się dziwił, próbował dojść, jak to się właściwie stało. Pewnie już dzieje się coś nowego. Tak przecież jest zawsze.

Ryan i Lisa Hudek pojawili się kilkakrotnie w telewizji, na konferencjach prasowych, zawsze otoczeni sztabem prawników.

Są tacy, którzy ich nienawidzą, ale wielu Amerykanów wydaje się uważać i ich za ofiary, lojalnych obywateli, którzy stracili jedyne dziecko, zwabione przez zagraniczny mroczny czar, przez nikogo nierozumiany. Żadne z Hudeków nie miało pojęcia, dlaczego ich syn stał się, być może, sympatykiem lub nawet członkiem organizacji terrorystycznej. Pani Hudek wyznała przez łzy, że przez ostatnie kilka miesięcy jej chłopiec zachowywał się dziwnie, a niedawno przyznała także, że raz, przypadkowo, miała możliwość usłyszeć, jak prowadzi zażartą dyskusję, w której fragmenty realizowanej przez Amerykę polityki zagranicznej nazwał „aktami wojny”.

Nikt nie potrafił jednak niczego wyjaśnić. Ryan Hudek zachowywał się jak sparaliżowany.

Julia Gulicks nadal żyje... na granicy życia. Już nigdy nie odzyska przytomności, ale ponieważ przyznała się do dwóch morderstw może liczyć na opiekę najnowszej medycyny. Władze potrzebują kogoś lub czegoś, by zorganizować wreszcie proces. Zastanawiam się, czy czasami w jej zamglonych snach pojawia się wspomnienie popołudnia, kiedy pijany, zataczający się ojciec staje na szczycie schodów jej starego domu w Dryford, myślę także o tym, czy w niekończących się snach przychodzi z wizytą inna mała dziewczynka, kilka lat młodsza, niż ona była wtedy, lecz która nigdy nie opuściła ich ulicy.

Mężczyzna nazwiskiem James Kyle został zatrzymany na tylnym podwórku domu, który zajmował, nim dwanaście lat temu nagle opuścił Dryford. Sądzone wówczas powszechnie, że wyjechał z żoną i córką, współczesne wydarzenia rzuciły jednak na ten fakt inne światło. Po południu, w dniu ataku na Thornton, sąsiad poinformował o mężczyźnie zachowującym się dziwnie w ogrodzie starego domu Kyle'a. Dokonał obserwacji z drogi, nie podszedł wystarczająco blisko, by znaleźć zwłoki agenta FBI leżące w wysokiej trawie. Gdyby podszedł, gdyby i o tym poinformował, prawdopodobne jest, że policja znalazłaby się na miejscu znacznie szybciej, choć raczej nie, bo kiedy gliwniarze pojawili się w okolicy, mieli już znacznie więcej ważniejszych rzeczy do zrobienia gdzie indziej. Tego szczególnego

popołudnia martwi przedstawiciele prawa byli zjawiskiem powszechnym. Kiedy ktoś wreszcie odpowiedział na wezwanie, znaleziono ciężko rannego mężczyznę lat około sześćdziesięciu, siedzącego przy płytkiej dziurze, którą wygrzebał własnymi rękami w rogu posiadłości. Mężczyzna był zrozpaczony. W rękach trzymał kości, prawdopodobnie dziewczynki lat około ośmiu.

Sprawę Gulicks skomplikował fakt, że Kyle bierze na siebie odpowiedzialność za śmierć dwóch mężczyzn, których ciała znaleziono w okolicach Thornton w zeszłym tygodniu. Mimo iż nie jest w stanie dostarczyć żadnych dowodów autentyczności swych twierdzeń, stanowczo utrzymuje, że to on jest winien. Twierdzi także, że w najbliższej okolicy można znaleźć inne ciała. Bardzo dużo ciał.

Tego rodzaju sprawy niezbyt interesują ludzi, w każdym razie nie w tej chwili. Thornton jest miastem wystarczająco wielu trupów, by nie cofać się o dekadę po jeszcze kilka. A więc, przynajmniej na razie, Julia leży w szpitalu, poddając się upływowi czasu, ani winna, ani niewinna, ani martwa, ani żywa. Bardzo się pilnuję, by nie wspomnieć o niej przy Ninie.

Charles Monroe został pochowany. Jeden z wielu. Wysłaliśmy kwiaty.

Nie mam pojęcia, czy Paul żyje. Wiem, że kiedy uciekaliśmy z piwnicy szkoły w Thornton nadal słyszeliśmy, jak John na niego poluje. Bardzo trudno jest wyobrazić sobie, jakim cudem Paul mógł uciec z budynku wystarczająco szybko i daleko, by uniknąć skutków wywołanego przez siebie wybuchu, wciśnięcia przycisku uruchamiającego nie tylko ładunki z bagażnika stojącego w piwnicy czarnego samochodu, lecz także wszystkich innych, rozmieszczonych w całym mieście.

Jeśli zginął, to jestem pewny, że zginął szczęśliwy. Sprawiedliwi mieli swój dzień, przelali krew wielu aniołów. Nikt nie mówi o niczym innym, tylko o tym, co zdarzyło się w Thornton. Z jakiegoś powodu fakt, że atak został szczegółowo opracowany w taki sposób, by zniszczyć niewielkie miasteczko, że przeprowadzono go tam, gdzie żyją i pracują normalni, zwykli ludzie, tym trudniejszym czyni przyjęcie go do wiadomości

i zrozumienie. Bo przecież nie był to atak na symbol albo miejsce, które widuje się tylko w telewizji. Ta ciemność przyszła i znalazła ludzi tam, gdzie spokojnie mieszkali. Fakt, że terroryści zrównali z ziemią miejsce, gdzie znajdowała się właśnie spora grupa funkcjonariuszy FBI, doprowadził tylko do tego, że ludzie jeszcze mniej są przekonani, iż rząd zdoła ich obronić, niezależnie od regularnie ogłaszanych, coraz bardziej stanowczych, codziennych oświadczeń na ten temat. Być może to też zostało zaplanowane, tak jak — być może — zaplanowano obecność mediów, które nie musiały wysłać korespondentów z daleka, mogły zaś pokazać horror od samego początku, tak że nikt nie mógł mieć wątpliwości, jak to właściwie było. Czy to tylko szczęście, czy też raczej fragmenty wielkich puzzli połączono starannie, przykładając wielką uwagę do szczegółów. Z Paulem nigdy nic nie wiadomo. Jak powiedział Ninie James Kyle, to bardzo Przewidujący Chłopiec.

Próbowałem telefonować do Johna. Codziennie. I wiedziałem, że Nina też próbuje. Odbieramy tylko dźwięk sygnału. John nigdy nie był dobry w odpowiadaniu na telefony, ale kiedyś można mu było przynajmniej zostawić wiadomość.

Być może kiedyś przestaniemy próbować. W końcu kiedyś wszystko się kończy.

Agent Nina Baynam wpisana jest na wstępne listy jako ofiara zamachu w Thornton na podstawie faktu, że przez kilka dni przed atakiem uważano ją za zaginioną. Jeszcze nie zdecydowała, czy zamierza zaprzeczyć tym przypuszczeniom.

Na razie pomagamy Patrice i sąsiadom w prostych pracach fizycznych. Nie pozwalam Ninie podnosić ciężkich przedmiotów, chyba że nalega. Czasami jemy ciche, spokojny obiad w Sheffer, czasami wypijamy trochę za dużo nad stołem do bilardu w barze Billa. Siedzimy blisko siebie na ławce nad jeziorem, albo na krzesłach w naszej chacie.

Razem spędzamy czas.

W żadnym raporcie nie znalazłem najmniejszej nawet wzmianki o martwym agencie CIA, znalezionym w kawiarnianej toalecie. Starbucks spłonął do fundamentów. Na zdjęciach

nie widać nawet, gdzie kiedyś stał. Szczątki Carla Ungera zmieszane są najprawdopodobniej ze szczątkami innych klientów, którzy tam zginęli. Obróciły się w pył podziemnych strumieni historii.

Spędziłem wiele czasu, rozmyślając o tym, co nam opowiedział, szukając wszystkiego, co mogło być prawdą. Problem w tym, że ja nie wierzę w raje. Nie wierzę także w piekła. Jedno i drugie to tylko sposób na wyrażenie problemów, jakie mamy z określeniem samych siebie, a kim jesteśmy to nie pytanie, lecz fakt. Mrocznym jądrem naszego jestestwa jest sen śmierci, a poszczególni mordercy to wyłącznie jego kapłani. Od czasu do czasu jakiś szaleniec próbuje ludobójstwa w naszym imieniu i świat przez kolejne pół wieku kołysze się na wzbudzonej przez niego fali, a w tym czasie samotny strzelec spokojnie odwala swoją robotę. Bywa, że któregoś złapiemy, zabijamy lub więzimy jego, ją lub ich, ale przecież zawsze będą następni. Śmierć będzie zawsze, ponieważ nosimy ją w sercu. Nie prowadzimy wojny, nie zabijamy sąsiadów, nie wyniszczamy innych gatunków, bo jesteśmy głupcami, czy też nie widzimy dalej niż własny nos, a w każdym razie nie tylko dlatego. Byliśmy pierwszymi zwierzętami, które zrozumiały śmierć, i teraz odczuwamy potrzebę zademonstrowania, że nie jesteśmy w jej obliczu bezradni. Być może seria zabójstw, która trwa przecież od trzydziestu tysięcy lat, to akt sprzeciwu, próba wzięcia naszego własnego karzącego losu w nasze własne karzące ręce. Wiemy, że to nasza śmierć nadchodzi, więc bywa, że wypowiadamy jej wojnę. Istnieje też oczywiście możliwość, że Paul i jego rodzaj mają rację, twierdząc, że nie ma w tym nic złego. Może zabijanie to coś, co po prostu robimy.

Ale to nie wszystko, czym jesteśmy, a śmierć nigdy nie jest prosta. Co ja sam bym zrobił, gdybym miał prosty wybór: szkoła albo Nina?

Nie zadawajcie mi tego pytania.

W tej chwili po prostu nie wiem, co myśleć. Ale, chyba w odróżnieniu od Carla, nie wierzę, że historia się powtarza. Cykl nie istnieje. Historia bez przerwy robi to samo. Czasami nie zauważamy, co się dzieje, i tylko tyle, a czasami nie mamy wyboru, musimy widzieć. Każdy atak zabija niewinnych. Z każdym kontratakiem jest tak samo. Siedzimy skuleni w centrum

kręgu wściekłości, nie mając pojęcia, w którą stronę się obrócić. Mordercy wszystkich wyznań i epok tworzą krąg, widzą tylko ludzi po drugiej jego stronie, wybranych przeciwników, tych, których mają za demony. My, wszyscy inni, jesteśmy dla nich niewidzialni.

Jakże nierzeczywiści musimy wydawać im się my, normalni ludzie, jakże brakuje nam ich jasnego, oczyszczającego ognia. Jacyż jesteśmy niebohaterscy z naszym idiotycznym marzeniem, by zwyczajnie przeżyć krótkie życie otoczeni drobiazgami, które bogowie łaskawie nam przydzielili, w prostym pragnieniu, by po drodze od kołyski po grób nikt nas nie postrześlił, nie zagłodził, nie rozerwał na kawałki w imię długoterminowych inwestycji lub ideałów, o których nic nie wiemy i które nic nas nie obchodzą.

A jednak oni nadal nas zabijają. Taki mają sposób na życie, w ten sposób działają. Musimy im się sprzeciwić, zawsze i na zawsze. Musimy nauczyć się, jak głośniejsze mówić „nie”.

Trzy dni później przynajmniej jedno pytanie doczekało się odpowiedzi. Przez dwa tygodnie po naszym powrocie tu Nina cierpiała na nieregularne ataki wymiotów. Była słaba, od czasu do czasu bardzo bolała ją głowa. Mieliśmy nadzieję, że to tylko rezultat jej uwięzienia w starym samochodzie, przepuszczającym spaliny, lecz kiedy nie zniknęły, namówiłem ją wreszcie na wizytę u lekarza.

I okazało się, że jest w ciąży.

A więc mam zamiar wyjść teraz, podejść do Niny i zabrać ją na obiad. Nie sałatkę, ale coś solidnego i pożywnego. Nina potrafi być wybredna, ja potrafię być nieugięty. Nie sposób mi się oprzeć. Być może porozmawiamy o tym, co jeszcze się zdarzy, o przyszłości, którą wspólnie musimy znaleźć.

Nie będziemy się spieszyli. Nie mam pojęcia, czy jestem gotowy, by zostać ojcem. Zakładam, że kiedyś się tego dowiem. Dziwny wydaje mi się świat, w którym będziemy wychowywali nasze dziecko.

Ale przypuszczam, że zawsze był dziwny.

# Spis treści

Podziękowanie	7
Key West	11
Część I	
Nikt	21
Część II	
Wielu	137
Część III	
Ten	295
Sheffer	438